

Taylor Anderson

W Oku Cyklonu

Into the Storm

Przełożył
Radosław Kot



*Dla mojej ukochanej córki, Rebeci Ruth.
Wszystko, co robię, jest ostatecznie dla niej.
W zamian za uśmiech, mądre słowo, bliskość, inspirację i niewątpliwy podziw.
Niezła wymiana*

PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności dziękuję Donowi i Jeanette Andersonom, którzy odnosili się tolerancyjnie do moich najróżniejszych poszukiwań, chociaż czasem na ich ustach gościł lekki uśmieszek powątpiewania i nierzadko wznosili oczy do nieba. Rodzice chcą zawsze najlepiej dla swoich dzieci, ja zaś często wybierałem nieuczęszczane, ciemne i zarośnięte ścieżki. Tyle dobrego, że nie musieli się martwić, iż wpadnę w złe towarzystwo, skoro większość czasu spędzałem w lesie z flintą i śpiworem. Nie siedzieli jednak z założonymi rękami i za pewne rzeczy, które od nich przejąłem, są odpowiedzialni. Tata nauczył mnie wiele o starych odbiornikach radiowych, maszynach wiertniczych zwanych Fort Worth Spudders, lataniu oraz oczywiście o honorze. Matka była dla mnie przykładem siły woli i charakteru. Niektórym mogę się przez to wydawać szczególnie uparty, ale zapewniam, że to bardzo sensowne i praktyczne podejście.

Dziękuję też starszemu bosmanowi sztabowemu Tomowi Pustulce, mechanikowi Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, dobremu przyjacielowi, którego bardzo mi brakuje. Chociaż był podwodniakiem, już wiele lat temu zainteresował mnie starymi „czterofajkowcami”. Erik Holland, także z US Navy, obecnie w stanie spoczynku, wiele razy rozbawił mnie opowieściami o pracy w przedziale maszynowym klasycznych okrętów podwodnych. Wiele się od niego nauczyłem. Inny emeryt, starszy bosman Jeff Fairchild, który dla odmiany pływał na jednostkach o napędzie atomowym, pomógł mi rozwikłać kilka istotnych problemów. Podpułkownik Dave L. Leedom z US Air Force Reserve oraz Mark Wheeler przypomnieli mi, jak świetnie można poczuć się w powietrzu. Dennis (Bad) Petty, Jim Goodrich, pułkownik Allan Huffines z US Army Reserve oraz Lynn Kosminski przekonali mnie, że zapewne zdołam jednak sklecić kilka zdań, chociaż wielu moich dawnych profesorów z czasów, gdy zajmowałem się tylko historią, robiło co w ich mocy, żeby wybić mi z głowy wszelkie ambicje literackie.

Wśród innych, którzy okazali mi pomoc, są Robin i Linda Clay, Mark Beck, Brad Fisher (US Marine Corps, emeryt), Dennis Hudgens, Michael Dunegan, Walter Baldree, sierżant Dex Fairbanks (US Army, emeryt), Riqui i David Wartes, Preston Furlow i Courtney Skinner. Szczególne podziękowania zachowuję dla doktora Davida Berrery i całego personelu medycznego Harris Southwest Methodist Hospital oraz, rzecz jasna, mojej wytrwałej i pięknej

narzeczonej, Christine.

Na końcu, chociaż nie jako mniej ważnym, dziękuję Russelowi Galenowi i Ginjer Buchanan.

Ginjer to najlepsza redaktorka, jaką znam. Przyjazna, otwarta i nie szczędząca wsparcia. Praca z nią i z jej ekipą była dla mnie czystą przyjemnością.

Russel Galen jest najlepszym agentem w tej branży. Jego cierpliwość, profesjonalizm, życzliwość i wiara w ludzi czynią cuda. Gdybym stwierdził, że „ta książka nie powstałaby bez niego”, byłby to łagodny eufemizm. Rzadko brakuje mi słów, ale w tym wypadku naprawdę nie potrafię w pełni wyrazić tego, co czuję. Po prostu dziękuję, Russ.

Rozdział 1

Uciekali. Nie można było nazwać tego inaczej i nic nie mogło ukryć tej przykrej prawdy. Tak jak i poczucia zagubienia oraz otepiającego zmęczenia, które narastały od siódmego grudnia, kiedy zaczęła się dla nich wojna. Teraz, trzy miesiące później, mogli już tylko uciekać niczym kulejący pies i nie mieli nawet kiedy ani jak wylizać sobie ran. Wyczerpani ludzie na pokładach starych okrętów z 29. dywizjonu niszczycieli raz za razem próbowali stawiać czoła tej potędze, którą okazała się Japońska Cesarska Marynarka Wojenna, jednak ubywało ich z dnia na dzień. To była beznadziejna i nierówna walka, jedynie gest, nie prawdziwy opór. A teraz została im już tylko ucieczka, choć zapewne i tak było już na nią za późno.

Komandor porucznik Matthew Patrick Reddy, kapitan USS *Walker*, stał na prawym skrzydle mostka w pomiętej i przepoconej koszuli, próbując zachować resztki godności. Lewą ręką przytrzymał na głowie czapkę, żeby nie porwał jej pęd powietrza towarzyszący marszowi z prędkością trzydziestu węzłów, w prawej balansował kubkiem, starając się uchronić mundur przed ochlapaniem resztą ciepławej kawy

Podkrążone oczy i ogólne zmęczenie sprawiały, że jego zwykle chłopięca twarz trzydziestodwulatka w żadnym razie nie pasowała do metryki. Niecałe trzydzieści sześć godzin wcześniej jego okręt uczestniczył w największym starciu nawodnym od rozpoczęcia wojny, bitwie na Morzu Jawajskim. Po raz pierwszy siły były wyrównane, przynajmniej liczebnie, i wydawało im się, że mają jakąś szansę, jednak od samego początku wszystko szło nie tak. Ostatecznie bitwa zakończyła się zagładą prawie całego zespołu kontradmirała Doormana. Wokół było coraz więcej japońskich jednostek, alianckie zaś, rozproszone, po kolei ginęły w ciemnościach.

Walker nie uczestniczył w tym boju, podczas którego *Huston* i *Perth* zostały otoczone przez okręty przeciwnika i mocno postrzelane poszły na dno. Wszystkie niszczyciele otrzymały wcześniej rozkaz odejścia do Surabai i uzupełnienia paliwa, co dało im chwilę wytchnienia. *Edwards*, *Alden*, *Ford* i *Paul Jones* wyruszyły zaraz potem do Australii i nikt nie wiedział, czy udało im się pokonać cieśninę. Pozostałym niszczycielom kazano dołączyć do brytyjskiego krążownika *Exeter*, jedynej ciężkiej jednostki, jaka pozostała jeszcze aliantom na Morzu Jawajskim, i eskortować ją na Cejlon, gdzie okręt miał zostać poddany prowizorycznym naprawom. Matt wykorzystał ten dzień na spenetrowanie zbombardowanej

już przez Japończyków bazy holenderskiej marynarki wojennej, jednak wysłane tam ekipy niewiele znalazły. Kilka taśm z amunicją do karabinów maszynowych, osiemdziesiąt nabojów do czterocalówek artylerii głównej, dwie niesprawne torpedy, trochę żywności. Udało się jednak usunąć część uszkodzeń na pokładzie niszczyciela, a Matt znalazł nawet chwilę, żeby się zdrzemnąć.

Teraz, stojąc na skrzydle mostka, pozwolił sobie na potężne ziewnięcie. Mógł mieć tylko nadzieję, że załoga pomyli jego wywołaną zmęczeniem ociężałość z opanowaniem. Poranek był jasny, gładź niemal fioletowego morza mąciła tylko widoczna w oddali sylwetka wyspy Bawean oraz kilka brytyjskich i amerykańskich niszczycieli osłaniających uszkodzonego *Exetera* niczym sterane walką mrówki żołnierze prowadzące królową do nowego kopca. Wedle wiedzy Matta to było wszystko, co ocalało z amerykańsko-brytyjsko-holendersko-australijskiego zespołu ABDA, który miał bronić tej części Oceanii. Początkowo składał się z dwóch ciężkich i siedmiu lekkich krążowników, dwudziestu trzech niszczycieli i około trzydziestu okrętów podwodnych oraz jednostek wsparcia. Teraz większość z nich spoczywała na dnie. Los oszczędził jedynie trzy stare amerykańskie niszczyciele, pamiętające jeszcze Wielką Wojnę czterofajkowce, zwane tak od czterech prostych kominów wznoszących się nad niewielkimi smukłymi kadłubami, jeden nowoczesny brytyjski niszczyciel *Encounter* oraz HMS *Exeter*. Niemniej bohater bitwy u ujścia La Platy, stoczony ponad dwa lata temu, był ciężko uszkodzony, a cała japońska flota, która wcześniej ścigała rozrzucone zgrupowania aliantów, mogła się teraz skoncentrować na jednym celu. USS *Pope* (DD-225) i HMS *Encounter* osłaniały krążownik z prawej burty, a USS *Mahan* (DD-102) oraz *Walker* (DD-163) z lewej.

Matt spojrzął na bocianie gniazdo na głównym maszcie. Tkwił tam Rodriguez, mat elektryk trzeciej klasy, z ciężką lornetką skierowaną za rufę. Z dołu nie było jeszcze niczego widać, Matt wiedział jednak, że od siódmej rano podążają za nimi dwa japońskie ciężkie krążowniki. Rodriguez widział wyrzucany przez nie dym i oceniał, że pościg jest coraz bliżej.

Gdy poprzedniej nocy wymknęli się z Surabai, zamierzali przejść przez Cieśninę Sundajską na Ocean Indyjski i tak dotrzeć do Cejlonu. Napotkawszy przeciwnika, musieli zawrócić na Morze Jawajskie i obrać kurs wzdłuż wybrzeży Borneo. Szybki zwrot dał im trochę miejsca, jednak wrogie krążowniki wystrzeliły samoloty obserwacyjne, które nawet teraz krążyły wysoko w górze, daleko poza zasięgiem działek przeciwlotniczych. Niewątpliwie wciąż meldowały o ich położeniu.

Uszkodzenia *Exetera* ograniczały prędkość zespołu do dwudziestu siedmiu węzłów, jednak Matt wiedział, że jego *Walker* i tak nie wyciągnąłby wiele więcej. Codzienne raporty o

problemach technicznych przypominały listę napraw dla stoczni remontowej. *Pope* i *Mahan* nie były w lepszym stanie. Nieustanne przemarsze z dużymi prędkościami i częsty udział w walce wystawiły starego *Walkera* na próbę cięższą niż wszystko, czego doświadczył przez dwadzieścia trzy lata dotychczasowej służby. Nie zaprojektowany do tak wielkiego wysiłku gonił resztkami sił, podobnie zresztą jak załoga.

Matt dowodził *Walkerem* ledwie cztery i pół miesiąca. Owszem, ukończył Akademię, ale jako rezerwista nie cieszył się łaskami Marynarki Wojennej. Do stanowiska pierwszego doszedł, pływając na niszczycielu typu „Benson”, co było w sumie nie lada wyczynem w czasie pokoju, stracił jednak miejsce na rzecz starszego oficera zawodowego i znalazł się na lądzie. Wiedział, że to nie potrwa długo, i nie pomylił się. Wojna ogarniała cały świat i było tylko kwestią czasu, kiedy przystąpią do niej też Stany Zjednoczone. Gdy dostał wezwanie, miał nadzieję, że kierują go na jeden z nowych niszczycieli typu „Fletcher”, być może na stanowisko oficera artyleryjskiego. To by mu pasowało, ale ku swojemu wielkiemu zdumieniu otrzymał własny okręt. Tyle że nie nowoczesną i groźną jednostkę, o której marzył. Powierzono mu ledwie uzbrojony zabytek. Owszem, znał ten typ, ale daleko mu było do radości. Co gorsza, oznaczało to przypisanie do Floty Azjatyckiej.

USS *Walker* wchodził w jej skład od sześciu lat i ani razu nie był w tym czasie w kraju. Liczył ponad dziewięćdziesiąt pięć metrów długości i niecałe dziesięć szerokości. Długi, smukły kadłub z czterema prostymi kominami stwarzał wrażenie, że to szybka jednostka. I rzeczywiście była, ale w 1919 roku. Podczas prób okręt uzyskał trzydzieści sześć węzłów i nawet dzisiaj nie należał do powolnych, jednak lata służby i zaniedbania zostawiły na nim ślady.

Stare kotły obrastał od środka kamień, przewody parowe pękały, kiedy i gdzie chciały, przewody elektryczne tak skorodowały, że większość z nich była niesprawna, co zmuszało do montowania obejść i dodatkowych linii, przez co wszędzie biegły pęki splątanych kabli. Płyty poszycia miały tylko dwie trzecie pierwotnej grubości, resztę stanowiła rdza i niezliczone warstwy łuszczącej się farby. Mimo nieustannej pracy załogi przecieki były po prostu nieuniknione. Okręt przesiąkł cały wonią potu, smarów, farby, ropy i rozgrzanego linoleum. Okrągła część denna powodowała silne przechyły nawet na spokojnym morzu, a całość tak wibrowała, jęczała i grzechotała, że aż zęby bolały. Gwizdki zdawały się cierpieć na zaawansowaną astmę, za to w maszynowni panował hałas uniemożliwiający rozmowę.

Artyleria główna składała się z czterech czterocalówek, czyli dział kalibru 102 milimetry, z czego tylko trzy mogły prowadzić jednoczesny ogień do tego samego celu, a żadnej z luf nie można było unieść na tyle wysoko, żeby ostrzeliwać samoloty. Była jeszcze samotna

trzycałówka na rufie, miała jednak mały zasięg i używano jej zwykle do wystrzeliwania pocisków oświetlających. Obronę przeciwlotniczą miały zapewniać dwa karabiny maszynowe kalibru .30 na platformie kontroli ognia i dwa kalibru .50 ustawione na nadbudówce na śródkręciu. Lekko zaokrągloną rufę wieńczyły dwa przestarzałe wyrzutniki bomb głębinowych. Jedynym groźnym elementem uzbrojenia było dwanaście torped kalibru 21 cali w czterech potrójnych wyrzutniach zamontowanych między czwartym kominem a nadbudówką rufową. Właśnie ich przenoszenie było niegdyś głównym zadaniem okrętu i dlatego uczyniono go tak prędkim. Tyle że to była nowa wojna, z innymi wymogami, na dodatek stareńkie torpedy biły rekordy zawodności.

Matt słyszał nie raz, że młody kapitan przymyka oko na różne minusy jednostki podczas pierwszego dowództwa. On jednak, ledwie ujrzał swój okręt stojący na kotwicy w Zatoce Manilskiej, z miejsca zauważył nie tylko jego opłakany stan, ale i przesadny rozmiar wymalowanego białą farbą na dziobie numeru 163.

Wcześniej Matt był w Chinach i na Filipinach tylko raz, jako młody chorąży służyący na innym czterofajkowcu skierowanym w rejon działania Floty Azjatyckiej po incydencie na Jangcy, gdzie japońskie samoloty „przypadkowo” zbombardowały i zatopiły amerykańską kanonierkę. Wówczas też nie odniósł pozytywnego wrażenia, obserwując okręty, ludzi i warunki prowadzenia działań. Bazy były ledwie wyposażone, załogi nijak nie zaliczały się do elity i okręty były zbieraniną przestarzałych jednostek, które trzymano w służbie jedynie dlatego, jak żartowano, że były warte mniej niż paliwo potrzebne na odesłanie ich do Stanów. Objąwszy dowództwo *Walkera*, przestudiował książkę okrętową i meldunki swojego poprzednika, kapitana *Simmonsa*. Tak jak oczekiwał, załoga miała wielkie zamięłowanie do trunków i rozrób, jednak w zapiskach kapitana znalazł coś więcej. *Simmons*, choć pilnował dyscypliny, wyraźnie lubił i chronił swoich ludzi. Sądząc po rezerwie, z jaką przyjęli oni *Matta*, sympatia musiała być wzajemna. Zastanawiał się, jak długo będzie musiał wkupywać się w ich łaski, zanim uznają go za swojego, i ile się napoci, nim zaczną porządnie wykonywać jego rozkazy. Wiedział, że nawet samo pojawienie się „nowego” może wywołać tarcia, on zaś na domiar złego służył przecież dotąd poza Flotą Azjatycką.

Nie było jednak wcale źle. Może sprawiły to jego kompetencja i nie narzucający się sposób bycia oraz wpojone z dawna poczucie obowiązku, które przekonały do niego załogę. Swoją rolę odegrało też zapewne odkrycie, że jego ludzie nie są żadną bandą zęzowych mętów. Doszedł do tego całkiem szybko. Od czasu Wielkiego Kryzysu marynarka uważnie przyglądała się rekrutom, ale oczywiście różnym typom udawało się przejść przez to sito. Najgorsi kierowani byli do Floty Azjatyckiej, okazali się jednak wcale nie gorszymi

zawodowcami niż ich koledzy w innych stronach świata. Może dlatego, że prowadzili odmienne życie niż reszta marynarki. Nieustannie musieli się borykać z awariami sprzętu, łątać go niemal tylko przysłowiową gumą do żucia i drutem. Co prawda mieli też przez to więcej „pary do upuszczenia” niż załogi służące w bardziej umiarkowanym klimacie. Owszem, karał ich za burdy w mieście, ale nie potrafił ich potępić, że się w nie wdali. Gdy byli na pokładzie, potrafili uporać się z każdą awarią. Może nie zawsze zgodnie z książkami obsługi czy regulaminami, ale skutek osiągalni - co powinno działać, działało. Za to ich podziwiał. Nim się zorientował, awansował w ich oczach na „skippera” i odkrył, że też ich lubi.

Potem przyszyła walka, która poddała ich wszystkim próbie, i właściwe Mattowi białoczarne postrzeżenie dobra i zła zostało wystawione na szwank. Przeżyli kilka ataków powietrznych oraz uniesienie po niespodziewanym zwycięstwie w Cieśninie Makasarskiej. Widzieli wiele niepotrzebnych śmierci w cieśninie Badung, spowodowanych zamieszaniem i problemami z łącznością. Wyszli też cało z przerażającej i frustrującej bitwy na Morzu Jawajskim, w której zginęły setki ich towarzyszy z innych okrętów. Wtedy też przyszło zrozumieć, że być może wszystko to na darmo. Nie, sensu walki nikt nie kwestionował, tak jak i sensu prowadzenia tej wojny, która spadła na nich nagle i bezlitośnie. To była rękawica, którą należało podjąć. Tyle że nie rozumieli, dlaczego walczą i giną właśnie tutaj.

Niełatwo było opuścić Filipiny. Wielu miało tam żony albo ukochane i myślało, żeby po służbie osiedlić się na wyspach. Gdy jednak amerykańskie lotnictwo lądowe zostało zniszczone w kilku pierwszych dniach wojny i samoloty z czerwonymi kołami na skrzydłach i kadłubach latały jak i gdzie chciały, pozostanie na Filipinach byłoby samobójstwem. Nikt nie chciał odpływać, nawet Matt, który nie cierpiał tego zesłania. Może zresztą obudził się w nim teksaski „duch Alamo”, nakazujący walczyć do końca. Jeśli więc w tym celu należało się wycofać, nie było co się wahać.

Szarym świtem cały 29. dywizjon wyruszył na południe, bronić Holenderskich Indii Wschodnich, jednak była to beznadziejna walka. Nie mieli żadnej osłony powietrznej i za mało okrętów, żeby powstrzymać to, co nadciągało. Celem Japończyków były holenderskie pola naftowe, jednak kilka starych jednostek mogło co najwyżej nieco spowolnić przeciwnika, dając mu okazję do ćwiczeń artyleryjskich. Skoro marzyła im się obrona fortu w stylu Alamo, może jednak lepiej byłoby wybrać „macierzyste” Filipiny?

Jawa należała do Holandii i nikogo nie dziwiło, że mają jej bronić, podejmowali się jednak niemożliwego. Nie mogli liczyć na żadne wsparcie i Matt uważał, że rozsądniej byłoby wycofać te skromne siły i zachować je do czasu, aż pojawi się wreszcie szansa na

skopanie dupy Japończykom. Nie był jednak admirałem ani politykiem, a wszystko wskazywało na to, że dla nich przetrwanie Floty Azjatyckiej nie jest priorytetem. W duchu przyznawał, że być może myślałby inaczej, gdyby Jawa była jego ojczyzną. Nazistowskie Niemcy podbiły Holandię i tylko Jawa została jeszcze wolna. Tak, chyba o to właśnie chodziło. Przecież nawet do obrony amerykańskich Filipin miał więcej serca, mimo że nigdy nie czuł się tam dobrze. To była kwestia perspektywy. Owszem, był młody i niedoświadczony, ale i tak nie mógł się pozbyć myśli, że skoro wymogi strategiczne zdecydowały o zaniechaniu obrony Filipin, to samo powinno dotyczyć Jawy. Chociaż może przemawiało przez niego zgorzknienie. Ci sami ludzie, którzy oczekiwali od nich walki do końca w obronie holenderskiej Jawy, nie kiwnęli palcem, żeby wesprzeć amerykańskie Filipiny.

Po klęsce na Morzu Jawajskim był przekonany, że teraz nawet Holendrzy powinni zrozumieć, że lepiej będzie się wycofać, niż zostać zniszczonym. Z tego, co wiedział, zatopili w tej bitwie tylko jedną japońską jednostkę, zespół ABDA zaś, okrojony do *Exetera* i garstki niszczycieli, praktycznie przestał istnieć.

Niestety mylił się. Pojawiły się pogłoski, że admirał Helfrich, Holender, który zastąpił Tommy'ego Harta na stanowisku dowódcy ABDA, wciąż planował działania zaczepne, chociaż admirałowie Glassford i Palliser zapoznali go ze skalą strat. Ale Holendrzy nie mieli monopolu na bezmyślny upór. Brytyjczycy podobnie nie wykazali się rozumem w sprawie Singapuru, a na Filipinach pozostały przecież tysiące Amerykanów bez najmniejszej nadziei na pomoc. Pora była się wycofać. Zespół ABDA zrobił co mógł, okazując pełną chęć współpracy, chociaż w jego działaniach zabrakło należytej koordynacji. Bez osłony powietrznej czy porządnego rozpoznania lotniczego, a nawet wspólnego języka byli jak dzieciaki na trójkołowych rowerkach próbujące zatrzymać walec parowy. Nie mogli powstrzymać katastrofy.

Matt, myśląc o wojnie, wyobrażał sobie zawsze, że będzie to wojna z Niemcami, i nie poświęcał wiele uwagi Japonii. Chyba nie był w tym jedyny i dlatego teraz musiał ratować okręt i własną skórę przed atakami lekceważonego latami przeciwnika gotowego posłać ich na dno Morza Jawajskiego.

Rzuciwszy okiem w lewo, na *Exetera*, i upewniwszy się, że *Walker* trzyma miejsce w szyku, wszedł do sterówki. Oficer artyleryjski Greg Garrett spojrział na niego niepewnie z lewego skrzydła mostka i Matt pomachał mu ręką. Wysoki i szczupły Garrett pokiwał głową i wrócił do przepatrywania morza na północy, gdzie rozciągała się wyspa Borneo. To był dobry dzieciak. Sumienny i oddany pracy, chociaż czasem może trochę sztywny. Od rana

obowiązywała ich gotowość bojowa i zgodnie z przydziałem Garrett powinien był pełnić służbę na pomoście kontroli ognia nad sterówką, ale Matt kazał jego obsadzie zmieniać się co jakiś czas, żeby każdy mógł schronić się choć chwilę przed wiatrem i słońcem. Działa artylerii głównej i tak były nieprzydatne w razie ataku powietrznego i miało potrwać jeszcze trochę, zanim znajdą się w zasięgu ośmiocalówek japońskich krążowników. Niemniej gdy przyszła pora na przerwę, Garrett zszedł tylko kondygnację niżej i dalej robił to samo co wcześniej: obserwował morze i czekał. Matt domyślał się, co czuje młody oficer. Wszyscy na pokładzie byli przekonani, że lada chwila znajdą się pod ogniem.

Na drabince pojawiła się zwalista sylwetka porucznika Jamesa Ellisa. Słyszając metaliczny stukot, Matt spojrzał na niego i pytająco uniósł brwi. Lubił Ellisa, z którym łączyła go na tyle bliska przyjaźń, na ile pozwalała różnica stopni, jednak Jim oddalił się od swojego stanowiska, którym była zapasowa kabina radiowa na śródkręciu, znacznie bardziej niż Garrett.

- Tak, sir, wiem - powiedział Ellis, uprzedzając reprimendę i sugerując kapitanowi, by oddalili się poza zasięg słuchu reszty stojących na mostku. - Jednak pielęgniarki i lotnicy chcą wiedzieć, czy mogliby się do czegoś przydać. Jeden kapitan z zielonych uparł się, że przyjdzie tu zawracać panu głowę. Mat Gray powiedział, że musi poczekać na zaproszenie, a gdy to nie poskutkowało, zagroził, że usiądzie na tym zającu - dodał z uśmiechem Ellis. - Wcale przy tym nie żartował, wcześniej jednak posłał po mnie.

Przed opuszczeniem Surabai wzięli na pokład mieszaną grupę pasażerów. Najpierw zjawił się obszarpany i wymizerowany Australijczyk, niejaki Bradford, inżynier pracujący dla Royal Dutch Shell. Przedstawił się jako „naturalista”, ale zarobił na bilet, interweniując u władz portowych, które nie pozwalały niszczycielowi wziąć paliwa. Miejscowi twierdzili, że muszą je zachować dla holenderskich jednostek mających bronić Jawy. Bradford wyjaśnił im, że w okolicy został już tylko jeden holenderski niszczyciel, który zamierza lada chwila wyrwać stąd jak najdalej. Trudno powiedzieć, co zadziało - dawny szacunek wobec kogoś na stanowisku czy świadomość, że wszystko już się sypie - dość, że *Walker* wyszedł w morze zatankowany pod korek.

Potem na pokład wkuśtykał sierżant z przypisanego do USS *Huston* oddziału piechoty morskiej. Został ranny w wybuchu bomby, która zabiła kilkudziesięciu ludzi i wyłączyła z walki rufową wieżę krążownika, przez to trafił do szpitala na lądzie i przeżył swój okręt. Nie miał ochoty doświadczać gościnności Japończyków. Szybko okazało się, że rany na jego poszarpanej odłamkami nodze wciąż krwawią, i natychmiast trafił do izby chorych.

Na koniec, gdy manewrowali już w basenie, dogoniła ich „pożyczona” łódź z sześcioma

pielęgniarkami US Navy i dwoma pilotami na co dzień latającymi na P-40, rozbitkami z zatopionego poprzedniego dnia przez Japończyków *Langleya*. Stareńki lotnikowiec miał dostarczyć myśliwce przeznaczone do obrony Jawy, został jednak wytropiony pięćdziesiąt mil przed celem. Kilka trafień bombami wywołało pożary, których nie udało się opanować, i załoga musiała opuścić okręt.

Został dobity cennymi torpedami przez siostrzaną jednostkę *Walkera*, niszczyciel *Edsall*. Większość transportowanego personelu popłynęła dalej na południe na tankowcu *Pecos*, jednak w powszechnym zamieszaniu o kilku osobach po prostu zapomniano. Pielęgniarki i lotnicy zdołali przekonać kierowcę z holenderskiej kolumny transportowej, żeby zabrał ich do Surabai, gdzie zdążyli akurat na czas, żeby zaokrętować się na *Walkera*.

Matt jeszcze ich nie widział. Gdy się zjawili, był na pokładzie *Exetera*, uczestnicząc w zorganizowanej przez kapitana Gordona odprawie. Po powrocie usłyszał, co zaszło, od Jima Ellisa, który podszedł do sprawy z właściwym mu poczuciem humoru, oraz pałającego świętym oburzeniem porucznika Brada McFarlane'a zwanego „Spanky”. Ów oficer maszynowy święcie wierzył w panujące w Marynarce Wojennej przesady, był zatem przekonany, że kobiety na pokładzie muszą sprowadzić na okręt jakieś nieszczęście. Pilotów lotnictwa wojsk lądowych uważał chyba za równie niebezpiecznych. Matt nic nie powiedział, chociaż rozbawiła go taka reakcja. Oczywiście wysadzenie gości na ląd nie wchodziło w grę, musiał się jednak zastanowić, gdzie ich ulokować. Potem inne sprawy stały się ważniejsze i całkiem zapomniał o pasażerach.

- Jak on się nazywa? - zapytał Ellisa.

- Ten kapitan? Kaufman, sir.

- Dobrze, przyślij go tu, ale samego. I jeszcze jedno - dodał poważnym tonem. - Żadnych kobiet na mostku, jasne?

Porucznik uśmiechnął się szeroko i poszedł wykonać rozkaz. Matt wrócił na skrzydło, akurat gdy oficer z lotnictwa wojsk lądowych wszedł niezdarnie na mostek. Przygotował się, żeby odpowiedzieć na jego salut, skoro byli teoretycznie na otwartej przestrzeni, ale się go nie doczekał. Lekko zmrużył oczy, a pozostali obecni na mostku wymienili zdziwione spojrzenia.

- Komandor porucznik Reddy? - zapytał lotnik. - Jestem David Kaufman, kapitan Army Air Corps.

Mężczyzna podał mu rękę i Matt uściśnął ją zdawkowo. Gotów był sądzić, że gość zwrócił się do niego, używając określenia jego rangi, miast należnego tytułu kapitana, po prostu z niewiedzy, że komandor porucznik to w marynarce odpowiednik majora. Jednak nacisk, który Kaufman położył na własny stopień, sugerował, że gość może uważać się za

ważniejszego.

- Co mogę dla pana zrobić, kapitanie Kaufman? - spytał Matt, też akcentując „kapitana”, jednak w taki sposób, jakby zwracał się do podwładnego.

Kaufman dostrzegł wrogie spojrzenia i trochę spuścił z tonu.

- Chciałem przekazać, że gdybyśmy ja i porucznik Mallory mogli w czymś pomóc, to jesteśmy gotowi. Proszę tylko powiedzieć. - Uśmiechnął się i wrócił do paternalistycznej pozy. Wyraźnie uważał, że wyświadcza komuś wielką łaskę.

- Co pan potrafi? - spytał Matt. - Poza pilotowaniem samolotów, bo zakładam, że to akurat pan umie.

Kaufman poczerwieniał i pojął, że chyba przesadził.

- Tak, jestem pilotem - powiedział z przelotnym uśmiechem. - Tyle że samolotów akurat zabrakło. Chyba że pan ma jakiś do pożyczania? - dodał, ale żart nie został dobrze przyjęty. - Potrafię obsługiwać karabin maszynowy.

Matt spojrział na Garretta, który nie wyszedł jeszcze z szoku.

- Panie Garrett - zwrócił się doń - być może kapitan i porucznik mogliby panu pomóc przy trzydziestkach? W razie ataku lotniczego trzeba będzie donosić amunicję. - Skrzywił się. - Niestety, większość obsługi mesy musieliśmy zostawić na Filipinach i zabraknie nam ludzi. - Spojrzał z ukosa na lotnika. - Dziękuję za propozycję pomocy. Może pan odejść - powiedział i odwrócił się do okna, wbijając spojrzenie w działo numer dwa. Jeszcze przez parę chwil wyczuwał za plecami obecność wściekłego Kaufmana, aż dobiegły go westchnienia ulgi i kilka stłumionych chichotów. Oficer musiał wyjść, czym ucieszył całą wachtę. Nie powinienem był dać się sprowokować, pomyślał Matt, ale i tak się uśmiechnął i zaraz się odwrócił. - Pierwszy!

Ellis poderwał głowę.

- Tak, szefie? - zapytał.

- Te kobiety to pielęgniarzy, tak?

- Jak najbardziej - odparł z uśmiechem Ellis.

Matt pokręcił głową.

- Jeśli chcą pomóc, wyślij je do Doca Stevensa. I puść po załozę, że wszyscy mają odnosić się do nich z szacunkiem. Jeśli ktoś zacznie je zaczepiać, zaraz wyleci za burzę, na żer Japończykom. Jasne?

Ellis skinął głową.

- Świetnie - rzekł Matt. - I jeszcze jedno.

- Tak, sir? - spytał pierwszy, uśmiechając się ponownie, tym razem ze zrozumieniem.

- Pilnuj, żeby nie wchodziły mi na mostek.

Ellis zjechał po poręczach schodni niczym strażak i dołączył do Kaufmana, który szedł zdecydowanym krokiem w stronę nadbudówki na śródokręciu. Przystojną twarz miał ściągniętą gniewem. Ellis dotknął rękawa oficera i ten obrócił się gwałtownie. Poznał Ellisa i siłą woli uspokoił oblicze. Był o sześć cali wyższy niż pierwszy oficer, mniej jednak muskularny. Chwilę później pojawił się przy nich Fitzhugh Gray, który podał im po otwartej już coli. W potężnej dłoni jeszcze ścisnął otwieracz.

Służąc na morzu, otrzymuje się wiele tytułów i przydomków, jednak Gray bił pod tym względem rekordy. Zasadniczo był bosmanem i najstarszym stopniem podoficerem na pokładzie. Stał z tej racji niżej niż wszyscy oficerowie, jednak wydawać mu rozkazy mogli tylko kapitan i pierwszy. Czas służby i przymioty osobiste uczyniły go ważną personą i załoga nie mówiła o nim inaczej jak „Stary”. Pozostali podoficerowie, a także większość oficerów, posługiwali się staromodnym, ale wciąż znamionującym szacunek terminem „bosun”, który także oznaczał bosmana. Tylko kapitan i pierwszy zwracali się do niego w zwykły sposób.

- Gorący dzień się szykuje - powiedział Gray, ocierając rękawem czoło. - Chyba że spotkamy żółtków, to będziemy pływać. My to jeszcze, ale lotników pewnie pływać nie uczą?
- dodał żartobliwie, Kaufman jednak wziął to do siebie. Wciąż pamiętał wcześniejsze groźby Graya i jeszcze nie ochłonął po spotkaniu z kapitanem.

- Że co? - warknął nieprzyjaźnie.

Gray spojrział na Ellisa i wznosił oczy ku niebu.

W tej samej chwili dołączył do nich porucznik Benjamin Mallory. Też popijał colę.

- Wyobraża pan sobie, kapitanie? - powiedział, unosząc butelkę. - Niszczyciel z maszyną do napojów chłodzących! To pewnie jedyne urządzenie, które tu działa.

Rozdrażniony zachowaniem Kaufmana Gray chciał już się odciąć, jednak Ellis uznał, że porucznik jest dla odmiany przyjaźnie nastawiony, i jął ratować sytuację.

- Zgadza się, chłopcze - powiedział z uśmiechem. - Gdybyście zrobili swoje na Filipinach, wciąż siedzielibyśmy szczęśliwi w Cavite i dawali się nosić pływom. Jedynym naszym zmartwieniem byłoby pilnowanie, żeby maszyna zawsze była pełna, i poganianie stoczniowych obiboków pracujących przy naszych kotłach. - Tupnął w pokład, pod którym była akurat maszynownia.

Mallory nie roześmiał się.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał. - Mnie tam akurat nie było, ale słyszałem, że

nasi nie sprawili się w powietrzu.

Gray zaczerpnął powietrza, szykując się do tyrady na temat nieskuteczności działań lotnictwa lądowego, o czym wiele ostatnio dyskutowano. Japońskie panowanie w powietrzu i całkowity brak amerykańskiego przeciwdziałania nurtowały wszystkich od początku wojny. Ignorowany Kaufman skorzystał z okazji i oddalił się godnie. Mallory chciał iść za nim, ale Ellis go powstrzymał.

- Przy okazji - rzekł. - Kapitan Kaufman zaofiarował się z pomocą i nasz kapitan powiedział, że w razie potrzeby możecie donosić amunicję do pelotek.

Mallory z zastanowieniem pokiwał głową.

- Jasne - powiedział. - Niewiele więcej możemy tu zdziałać. Pokażcie mi, gdzie trzymacie kulki, i wezmę, ile będzie trzeba. - Spojrzał z ukosa na Ellisa i skinął głową, pokazując za siebie. - Jemu pewnie się to nie spodobało?

Ellis uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Ani trochę. Chyba oczekiwał godniejszego przydziału.

Usta Mallory'ego też drgnęły w lekkim uśmiechu.

- W sumie to nie jest zły gość, ale chyba trochę... - Nie dokończył i wzruszył ramionami.
- Pomogę, ile będę mógł.

Ellis klepnął lotnika w plecy, omal go nie popychając na Starego.

- Nie wątpię, synu. Bosmanie, przydziel kogoś, żeby mu pokazał, gdzie jest magazyn amunicyjny. Ja muszę wracać na stanowisko.

Porucznik Sandra Tucker odsunęła groszkową zasłonę i wprowadziła swoje towarzyski do mesy. Tucker była drobna, miała ledwie trochę powyżej pięciu stóp i piaskowe włosy zebrane w ciasny kok. Gdy je rozpuszczała, okalały jej twarz w sposób nie czyniący z niej może klasycznej piękności, ale na pewno wyróżniała się na plus spośród „dziewczyn z sąsiedztwa”. Duże zielone oczy sprawiały, że można ją było wziąć za naiwną i bezbronną, jednak było to całkowicie mylne wrażenie. Chociaż miała tylko dwadzieścia siedem lat, jako pielęgniarka pracowała już od 1935 roku i spotkała się w tym czasie ze wszystkimi nieszczęściami i obrażeniami, jakie mogły się trafić na morzu w okresie pokoju. Była bystra i pewna siebie, a gdy przychodziło do spraw zawodowych, potrafiła nawet przybrać autorytarny sposób bycia. Miała po temu zresztą powody. Nie raz okazywała się w tej robocie lepsza niż dyplomowani lekarze. Asystowała przy najróżniejszych zabiegach i operacjach chirurgicznych tak długo, aż sama nauczyła się je przeprowadzać. Potrafiła dokonać samodzielnie nawet amputacji, co bardzo się przydawało, zwłaszcza gdy obowiązki rzucały ją na pustkowia, gdzie nie mogła

liczyć na niczyją pomoc. Gdy wybuchła wojna, zgłosiła się na ochotnika i poprosiła o wysłanie na Filipiny. Miała tam przyjaciół i chciała znaleźć się w miejscu, gdzie jej umiejętności zostaną najlepiej wykorzystane. W sumie po to właśnie została pielęgniarką. Teraz jednak, chociaż była najstarszą stopniem osobą w mesie, szybko się zorientowała, że nie ona tu będzie dowodzić.

Chirurg pokładowy „Doc” Stevens był wysoki i upiornie blady. Na oko miał jakieś czterdzieści kilka lat. Siedział przy stole obok farmaceuty maty Jamiego Millera oraz sierżanta piechoty morskiej Pete’a Aldena i grał z nimi w domino.

Mesa oficerska tradycyjnie służyła nie tylko do serwowania posiłków. W razie bitwy zmieniała się w salę operacyjną. Długie jadalniane stoły stawały się stołami operacyjnymi, a wiszące pod sufitem lampy można było obniżyć tak, żeby dobrze oświetlały pacjenta. Prócz domina usunięto już wszystko, co było akurat zbyteczne, a dokoła ustawiono tace ze lśniącymi instrumentami chirurgicznymi.

Farmaceuta, jak większość załogi, wyglądał na nastolatka, marine jednak był zwalisty, muskularny, a do tego mocno opalony. Musiał mieć ze trzydzieści kilka lat. Spojrzał z zaciekawieniem na pielęgniarki. Chirurg dostawił kolejny klocek domina i także uniósł głowę.

- Oczekiwałem, że zjawicie się tutaj... szanowne panie - powiedział z silnym nosowym akcentem z Massachusetts. - Zakładam, że wciąż chcecie być pielęgniarkami? - Wyprostował się na krześle i potarł podbródek. - Nigdy nie miałem takiej pomocy. Nie licząc Jamiego, naturalnie. - Spojrzał na marine. - A pan miał do czynienia z pielęgniarkami, sierżancie?

Alden łypnął na niego zdumiony. Ostatecznie przybyłe pielęgniarki były oficerami.

Stevens pokręcił głową.

- Oczywiście musiał pan mieć - sam sobie odpowiedział. - Jest pan rannym bohaterem wojennym i na pewno skakały wokół pana.

Sandra spojrzała na niego ze złością, ale Doc nie dał jej dojść do słowa.

- Wiem, że jesteście oficerami, a ja tylko podoficerem - ciągnął - ale nic mnie to nie obchodzi. Znam was dobrze. Gdybym trafił do waszego nowoczesnego i czystego szpitala, żadna z was nawet by na mnie nie spojrzała. Ale tutaj ja rządzę. Jeśli zechcecie zostać i pomagać, to w porządku. Na pewno będzie w czym. Jeśli jednak marzy wam się ustawianie wszystkiego po swojemu, radzę wykonać w tył zwrot i wrócić na pokład czarować marynarzy. - Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się, żeby podkreślić swoje stanowisko. - Bez was też dam sobie radę, skoro jest Jamie. To świetny pielęgniarz, nawet jeśli dziwnie wygląda w mundurze.

Sandra zmrzyła oczy i zawahała się. Spotykała się już z podobnym podejściem i dawała sobie radę. Największą przeprawę miała zapewne z własnym ojcem, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego córka chce robić w życiu coś więcej poza czekaniem na „właściwego chłopaka”. Być może wyrażał się bardziej oględnie niż Stevens, ale i tak umiał porządnie dokuczyć, chociaż nie miał racji. Sandra jednoznacznie tego dowiodła. Wyprostowała się i zmusiła się do uśmiechu.

- Chirurg mat Stevens, prawda? - spytała lodowato.

Doc unióśł brwi, ale przytaknął. Gwałtownie, jakby zaczepnie.

- Pański kapitan poprosił, żebyśmy zameldowały się u pana, i właśnie to robimy. Wiem, że to pański „szpital”, i jestem gotowa wykonywać pańskie polecenia. Skoro jednak zapomina pan o zasadzie starszeństwa, pragnę panu przypomnieć, że jestem porucznikiem - dodała jeszcze ostrzej. - Może na panu nie robi to wrażenia, ale na mnie owszem! Skoro nie ma w panu nic z dżentelmena, nie będę odwoływać się do pańskich manier, lecz jako oficer żądam szacunku. Albo ruszy pan swój chudy tyłek i zachowa jak należy, albo oskarżę pana o niesubordynację!

Z każdym słowem mówiła coraz głośniej i ostatnie zdanie praktycznie wykrzyczała. Jamie Miller zerwał się, przewracając krzesło. Nawet ranny marine wstał ciężko, z malującym się na twarzy zakłopotaniem. Stevens nie ruszył się od razu, w końcu jednak podniósł się z ciężko obrażoną miną i zsalutował zamasyście, z przesadą.

- Jakie rozkazy, ma'am? - rzucił sarkastycznie, Sandra jednak tylko się uśmiechnęła. Oczekiwała takiej właśnie reakcji.

- Z kim mam do czynienia? - spytała, patrząc na Jamiego.

- Mat farmaceuta Miller, ma'am.

- Panie Miller, proszę sprzątnąć domino ze stołu i odkazić blat. W każdej chwili możemy oczekiwać rannych. - Zerknęła na nasiąknięty krwią bandaż marine. - Nawet pan został przypisany do służby?

- Tak, ma'am.

- Hm. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, ale zobaczymy. Zaraz obejrzę pańską nogę. Skoro jeszcze jest na to czas.

Stevens odchrząknął.

- A co ze mną? - spytał z wyrzutem.

Sandra miała ochotę ponownie ustawić go do pionu, ale znów tylko uśmiechnęła się słodko i wskazała pozostałe pielęgniarki.

- Pan, panie Stevens, powie nam, co mamy dalej robić - oznajmiła. - W końcu to pański

„szpital”.

Matt zapomniał już o spotkaniu z kapitanem Kaufmanem. Miał ważniejsze sprawy na głowie, chociaż z *Exetera* przekazano lampą tylko kilka słów. Były to jednak ważne słowa: „Nieprzyjaciel w zasięgu wzroku”. Bocianie gniazdo krążownika znajdowało się znacznie wyżej niż na niszczycielu, lecz nie minęło wiele czasu, a Garrett też uniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

- Sir, Rodriguez też ich widzi - usłyszał. - Wciąż dokładnie za rufą, ale szybko skracają dystans. Muszą robić trzydzieści pięć węzłów!

Matt skinął głową. To rzeczywiście była nieprawdopodobna prędkość. Nawet bez zwalniającego marsz zespołu *Exetera Walker* nie zdołałby uciec. Nie w obecnej kondycji.

- Rozumiem, panie Garrett - powiedział. - Proszę wracać na stanowiska. Panie Rogers? - zwrócił się do pierwszego oficera. - Proszę odwołać Rodrigueza z bocianiego gniazda. Skoro nas widzą, mogą nas trafić. Poruczniku Flowers - spojrzał na nawigacyjnego - proszę przejąć ster.

- Zmieniam was - powiedział Flowers do marynarza trzymającego wypolerowane koło sterowe.

- Pan Flowers trzyma ster - oznajmił marynarz, schodząc ze stanowiska, i rozejrzał się wkoło.

Matt pokazał mu, żeby nałożył słuchawki.

- Ogłosić alarm bojowy - powiedział. - Wprawdzie wszyscy od rana mieli być na swoich miejscach, ale nigdy nie wiadomo, czy kogoś nie poniosło gdzie nie trzeba.

Po okręcie poniósł się przenikliwy jęk syreny.

W tylnej kotłowni oficer maszynowy Brad „Spanky” McFarlane otarł pot z pociągłej twarzy i strzepnął go na pokryty tłustą mazią pokład. W zamkniętej przestrzeni między trzecim i czwartym kotłem było dobrze ponad pięćdziesiąt stopni. Sygnał alarmu ledwie przebijał się przez huk nawiewu i nieustanny ryk palników.

- Muszę wracać do przedniej - powiedział Spanky. - To już drugi alarm. Może tym razem prawdziwy.

Obsługujący nawiew palacz Isak Reuben i pilnujący palników Gilbert Yager tylko kiwnęli głowami. Ich praca wymagała nieustannej koncentracji, podobnie jak czuwanie nad poziomem wody w kotłach. Każde przedawkowanie paliwa przy zbyt małym napływie powietrza oznaczało gęsty czarny dym z komina i w konsekwencji ostrą reprimendę kapitana

oraz szyderstwa innych „kocmołuchów”. Gdy w rurkach kotłowych nie było dość wody, z komina unosiła się dla odmiany biała para. Nadmiar wody i paliwa groził z kolei uszkodzeniem delikatnych łopatek turbin przez docierające aż tam krople wody. Isak i Gilbert byli mistrzami w swojej robocie i najlepszymi, jakich McFarlane miał na pokładzie, ale poza tym niewiele o nich wiedział. Tworzyli nierozłączną parę i rzadko z kimś rozmawiali. Obaj byli krępi i żadnemu chyba nie przeszkadzało gorąco, w którym przebywali przez wiele godzin. Zostawali na dole nawet po służbie, co bardzo drażniło kolejną wachtę. Nie wywoływali kłopotów, ale też nie szukali przyjaciół. Nie grali nawet w okrętowej drużynie baseballu. Trzymali się na uboczu. Reszta nazywała ich Białymi Myszami albo Myszowatymi, z racji twarzy przywodzących na myśl te gryzonie i dlatego, że unikali, jak mogli, wychodzenia na pokład. Byli przez to bladzi i mieli niezdrową cerę. Jedynym wyjaśnieniem takiego zachowania, jakie McFarlane kiedykolwiek od nich usłyszał, było to, że zbyt długie przebywanie na chłodnym otwartym pokładzie obniżyłoby ich odporność na panujące w kotłowni gorąco. Oficer wzruszył więc ramionami i skierował się do służby. Owszem, byli dziwakami, ale jego dziwakami.

Przeszedł przez służę do przedniej maszynowni. Nie był wiele wyższy od obu myszowatych i prawie nie musiał się schylać. To pomieszczenie wypełniały dwie wielkie turbiny i labirynt przewodów pod parą. McFarlane przeszedł z wprawą do osłoniętego interkomu przy głównym zaworze.

- Zawór obsadzony i gotowy - powiedział do słuchawki.

Mostek potwierdził odbiór meldunku i Spanky spojrzął po swoich ludziach. Wszyscy byli bardzo młodzi, wyraźnie wystraszeni i pełni nadziei, że ich przełożony oraz nowy kapitan wiedzą co robią. Nie była to relaksująca świadomość.

McFarlane rzadko grywał w pokera i zasadniczo nie lubił hazardu. Więcej nawet - nie lubił przypadkowości. Najlepiej czuł się wtedy, gdy miał sytuację pod kontrolą. Całą czy chociażby ten wycinek, za który odpowiadał. Teraz miał zajmować się maszynami. Owszem, były kapryśne, ale wiedział, że da sobie z nimi radę. Nie miał natomiast wpływu na nic, co działo się poza maszynownią, i w jakiejś mierze był nawet z tego zadowolony, chociaż narastało w nim to odczucie, które pojawiała się, gdy siadał do pokera: że jego los zależy od rozdawanych kartoników i tylko ślepy traf może mu pomóc. Rozumiał bezradność swoich ludzi. Jemu też dokuczała, jednak nie mógł tego po sobie pokazać. Tak jak kapitan, musiał trzymać twarz i liczyć w duchu, że dostanie asa. Jak dotąd los dawał im niezłe karty, jednak teraz, z Japończykami na ogonie... Jeśli kapitan nie zna jakichś sztuczek, może im się nie udać.

Matt, mrużąc powieki, spojrzął w słońce. Nie świeciło już prosto w okna, ale było dość jasne, żeby rozmyć widok. Nagle dwieście jardów przed okrętem, dokładnie tam, gdzie akurat patrzył, wyrosły dwie kolumny wody. Niemal w tej samej chwili nadszedł meldunek, że nieprzyjaciół otworzył ogień. Pociski kalibru osiem cali wzbity geizery sięgające aż do wierzchołka masztu. Matt spojrzął na zegarek i stwierdził z ulgą, że ręka mu nie drży. Teraz, gdy padły już pierwsze strzały, trawiący go lęk osłabł. *Exeter* odpowiedział na japońską salwę i sylwetka krążownika zniknęła na chwilę za szaroburymi chmurami dymu. O szyby mostka uderzył podmuch powietrza. Oczekiwanie dobiegło końca i Matt niemal odetchnął. Całkiem jak podczas rozgrywek baseballu, którym pasjonował się w młodości. Bywał wtedy tak zdenerwowany przed meczem, że aż go mdliło. Nie wiedział, dlaczego tak jest, domyślał się tylko, że zapewne ze strachu, że coś się przytrafi. Grał na trzeciej bazie i zawsze widział oczami wyobraźni, jak przepuszcza decydującą piłkę, skazując drużynę na porażkę. Sama wizja takiej hańby była gorsza, niż gdyby zdarzyło się to naprawdę, jednak gdy tylko gra się zaczynała, zapomniał o obsesyjnych lękach, brał się po prostu do roboty i cała nerwowość zniknęła jak ręką odjął. Tutaj musiało być podobnie, chociaż gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę.

Kolejne salwy *Exetera* rozlegały się szybciej, niż Matt oczekiwał. Z dumą zauważył także, że kapitan Gordon zastąpił zwykłą banderę wielką banderą bojową. Całkiem jak niszczyciel *Electra*, gdy podczas bitwy na Morzu Jawajskim przyszło mu samotnie szarżować na nieprzyjaciela. Tamta akcja uratowała uszkodzony krążownik. Japończycy musieli zmienić kurs, żeby wymanewrować wystrzelone przez *Electrę* torpedy. Sam niszczyciel oberwał fatalnie. Był to największy pokaz odwagi, jaki Matt widział podczas kilku ostatnich, obfitujących przecież w wydarzenia miesiąca. Niestety większość niedawnych ofiar okazała się daremna.

Japońskie pociski padały coraz bliżej, niezmiennie w skoncentrowanych wiązkach. Kolumny wody co rusz przesłaniały uszkodzony krążownik. Wydawało się też, że pocisków nadlatuje coraz więcej.

- Sir, *Exeter* wysłał wiadomość radiową - powiedział łącznościowiec, Steve „Sparks” Riggs, schodząc z mieszczącej się nad mostkiem platformy kontroli ognia. - Chyba się obawiają, że moglibyśmy przy tych rozpryskach nie dojrzeć lampy.

- Co mówią? - spytał niecierpliwie Matt.

- Dostrzegli kolejne japońskie jednostki. Dwie ciężkie, co najmniej krążowniki, i trzy niszczyciele w natarciu dwa jeden pięć. Te większe otworzyły już ogień. *Exeter* podaje też, że stracił centralę ogniową. Nie trafienie, po prostu awaria. Wieże prowadzą ogień indywidualny.

Niedawna ulga Matta ustąpiła miejsca przerażeniu. Bez kalkulatora artyleryjskiego krążownik stał się niemal równie bezradny jak jego eskorta.

- Kapitan Gordon chce, żebyśmy przeszli za jego rufę i postawili zasłonę dymną - dodał podoficer.

Matt skinął głową.

- Jasne - powiedział. - Upewnij się, że *Pope* i *Mahan* też odebrały ten rozkaz. Proszę wykonać manewr, panie Flowers - powiedział, zwracając się do sternika. - Idę na górę, żeby się rozejrzeć. Przejmuje pan mostek.

- Aye, sir, przejmuję mostek.

Matt wspiął się szybko na platformę. Jeśli nie liczyć masztu i czterech prostych kominów, nic nie przesłaniało mu widoku na cały krąg oceanu i rozgrywający się na nim dramat. Garrett oderwał się od dalocelownika.

- Nowi Japońce, sir! Wyszli ze szkwału. Widzi pan? Tam! - Uniósł długą rękę, wskazując lekko w lewo od rufy. - Szkwałów też jest coraz więcej - dodał z nadzieją.

Pokład przechylił się, gdy *Walker* skreślił ostro na prawą burtę. Flowers zmniejszył trochę prędkość, żeby zrównać się z pozostałymi jednostkami przechodzącymi za rufę krążownika. Na północnym zachodzie widać było grupę okrętów, trudno powiedzieć jak liczną. Znajdowały się blisko masywu wyspy Borneo rozmytego nieco przez ten sam szkwał, który skrył podchodzący japoński zespół.

- Widzę ich, panie Garrett - powiedział Matt tonem, który miał znamionować pewność siebie, choć był w zasadzie potwierdzeniem wyroku śmierci. Mieli na karku dwie grupy japońskich okrętów naprowadzanych przez krążące nieustannie nad nimi samoloty, które mogły ściągnąć tu więcej sił nawodnych, a zapewne także bombowce. Matt nachylił się do rury głosowej. - Poproszę trochę dymu, panie Flowers.

Jego rozkaz natychmiast przekazano torpedystom, którzy rzucili się uruchamiać generatory dymu. W tym samym czasie wymieniono płytki rozpraszaczy przed dyszami, zwiększając dopływ paliwa do palenisk. Najpierw leniwie, potem coraz intensywniej, z kominów zaczęły wydobywać się smugi ciężkiego, czarnego dymu. Pozostałe trzy niszczyciele też nie próżnowały, tworząc półprzezroczystą ścianę między alianckim zespołem a nieprzyjacielem. Nadlatujące pociski zaczęły natychmiast padać w większym rozproszeniu, a Matt spojrzał na ciemną barierę, która zdawała się ogarniać cały zachodni horyzont.

- Uwielbiam ten widok - powiedział i zaśmiał się cicho.

Patrzący akurat na niego porucznik Garrett nic nie powiedział.

Skryci za czarnym woalem szli kursem na wschód-południowy wschód. Nieprzyjacielski

ogień wciąż był niecelny, ale nie ustawał. Krążowniki utrzymywały łączność z samolotami obserwacyjnymi, które korygowały namiary artyleryjskie. Uciekający zespół próbował zygzakować, żeby nie ułatwić Japończykom roboty, ale nie mógł sobie pozwolić na duże zmiany kursu, które spowolniłyby marsz. A przecież przeciwnik i tak był szybszy. Mogli liczyć tylko na to, że ukryje ich szkwał, za którego zasłoną doczekają ciemności. Może wtedy uda im się skrycie zmienić kurs i umknąć prześladowcom. Matt niezbyt w to wierzył. Była dopiero jedenasta i cokolwiek ich czekało, miało najpewniej zdarzyć się przed zachodem słońca.

Nagle w słuchawkach Garretta rozległ się podniecony głos porucznika Rogersa:

- Cel nawodny! Prawoburtowa ćwiartka! Cztery niszczyciele żółtków wyszły z dymu. Boże, ale pędzą!

- Obsługa działa, ładować! - krzyknął Garrett do słuchawki.

- Ogień do najbliższego celu, gdy tylko będziecie gotowi, panie Garrett - powiedział Matt i odsunął się od rury głosowej. Spojrzał, jak radzą sobie pozostałe manewrujące niszczyciele.

- Sternik, dziesięć stopni na prawą burtę.

Przy tej prędkości wibracje okrętu czyniły dalecełownik bezużytecznym i Garrett musiał sam oszacować dystans.

- Salwy drabinką wznoszącą! - odezwał się w końcu. - Odległość dziewięć pięć zero zero!

Teraz rozkazy padały jeden po drugim, Matt słyszał przygłuszone ich potwierdzenia rozlegające się w słuchawkach Garretta. Mimowolnie poczuł dumę, że ma taką załogę, zdolną spokojnie i metodycznie przygotować się do walki. Po wprowadzeniu prędkości, kursu i odległości mechaniczny kalkulator podał właściwe namiary.

- Sprawdzić kąt podniesienia! - rozkazał Garrett trzem odpowiedzialnym za to marynarzom, którzy po chwili zameldowali wykonanie rozkazu. - Działa gotowe, kapitanie.

- Rozpocząć ostrzał.

- Trzy strzały salwą! - Oficer pochylił się i sięgnął do przycisku odpalania. Krótki, szarpiący nerwy sygnał ostrzegawczy niemal się zlał z wystrzałem z czterocalówek. Nim jeszcze pociski dotarły do celu, brzęczyk rozległ się ponownie. Pierwsze trzy kolumny wody wyrosły w pewnej odległości za rufą prowadzącego nieprzyjacielskiego niszczyciela. Chwilę później pojawiły się kolejne - to pozostałe jednostki alianckiego zespołu także otworzyły ogień. Trzecia salwa padła już bardzo blisko, wciąż jednak była za długa.

- Chyba idą szybciej, niż sądziłem - powiedział przepaszającym tonem Garrett i wprowadził poprawki do kalkulatora. Ktoś inny miał jednak więcej szczęścia i trafił już pierwszą salwą. Z komina trzeciego japońskiego niszczyciela buchnął kłęb czarnego dymu i

jednostka zwolniła, wychodząc z linii. Załoga *Walkera* zakrzyknęła z radości i nawet Matt poczuł się trochę podniesiony na duchu. Celny pocisk musiał pochodzić z *Pope'a* albo *Encountera*. Pozostałe okręty przeciwnika parły przed siebie. Po chwili otworzyły ogień z podwójnych wież dziobowych, koncentrując go na uszkodzonym brytyjskim krążowniku.

- Idą na *Exetera!* Proszę przeciąć im drogę, panie Garrett! - Dla Matta zamiary Japończyków były oczywiste. Chcieli zadać kolejne rany największej jednostce, żeby jeszcze bardziej ją spowolnić, zmuszając eskortę do przyjęcia walki albo ucieczki. W obu wypadkach rezultat byłby ten sam.

Walker wypuścił kolejną salwę i chyba nawet trafił, choć nie było widać eksplozji. Być może jednak przeniosło pociski albo przebiły one tylko nadbudówkę.

- Tak trzymać! - zawołał Garrett. - Niczego nie zmieniać, szybki ogień! - Kolumny wody wykwitające dokoła prowadzącego japońskiego niszczyciela przypominały te, które niedawno otaczały *Exetera*. Były mniejsze, ale równie liczne. Japończycy nie mogli wiedzieć, że krążownik ma częściowo niesprawną artylerię, i Matt podziwiał ich odwagę. Zaczęli skręcać ku prawej burcie *Exetera*. Kapitan nie miał już wątpliwości, że artylerzyści robią swoje, i postanowił wrócić na swoje miejsce. Nie chcąc rozpraszać Garretta, w milczeniu zszedł niżej.

- Kapitan na mostku! - krzyknął ktoś.

- Przejmuję okręt, panie Flowers. Pan trzyma ster.

- Aye, aye, sir. Pański okręt, ja trzymam ster.

- Skipper, kapitan Blinn z *Pope'a* każe wykonać skręt na prawą burtę, żeby ustawić się w linii i wystrzelić torpedy - powiedział Riggs.

Blinn górował starszeństwem zarówno nad Mattem, jak i Atkinsonem z *Mahana*, tak więc on dowodził zespołem trzech amerykańskich niszczycieli.

- Dobrze, przyjąłem - odrzekł Matt. - Panie Flowers, proszę nas ustawić za *Mahanem*, gdy wykona zwrot.

Oficer torpedowy podporucznik Bernard Sandison stał na prawym skrzydle mostka i poprawiał słuchawki, jeden z marynarzy grzebał już przy antycznym celowniku torpedowym dla obu prawoburtowych wyrzutni. Gdy wszystkie cztery niszczyciele przyspieszyły, żeby zablokować atak przeciwnika, oczy załóg zaczęły łzawić od własnego dymu.

- Sir, *Exeter* strzela torpedy - zameldował Flowers i wskazał na krążownik, zwrócony teraz ku nim lewą burtą. Dojrzeli smugi dymu wydobywające się z wyrzutni okrętu, ale rozprysków od wpadających do wody torped nie sposób było odróżnić od fontann powodowanych przez ostrzał. Nagle między dwoma kominami krążownika pojawił się czerwony rozbłysk. Niemal natychmiast uniosła się z tego miejsca kolumna czarnego dymu

oraz białe strugi uciekającej pary. Na mostu *Walkera* zapadła martwa cisza, którą mąciły tylko brzęczyki i szum wiatru.

- Och, nie... - mruknął w końcu ktoś słabym głosem.

Matt nie wiedział, co powiedzieć. Przecież mogło trafić i na niego. Ktoś zaklął. Prędkość *Exetera* spadła niemal do zera, jakby okręt napotkał nagle niewidzialny mur. Pociski padały coraz gęściej i Japończykom łatwiej było teraz trafić we wlokący się z prędkością jakichś czterech węzłów krążownik. Alianckie niszczyciele wykonały jeszcze jeden zwrot i ustawiły się po prawej burcie *Exetera*, odgradzając skazaną jednostkę od nadciągających Japończyków. Przez rzadniejącą zasłonę dymną widać było już całkiem bliskie krążowniki przeciwnika. *Encounter* okrył się na chwilę parą i dymem, wyrzucając torpedy. Dwa amerykańskie niszczyciele za nim zrobiły to samo.

- Proszę użyć prawoburtowych wyrzutni, panie Sandison.

- Aye, aye, sir! - odparł oficer. - Prawoburtowe wyrzutnie do strzału! Salwą! Odpalić jedynkę, trójkę, piątkę! Siódemkę, dziewiątkę, jedenastkę!

Matt zerknął na pokład. Zza zasłaniającej widok nadbudówki wyglądały ustawione pod kątem trzydziestu stopni do burty potrójne wyrzutnie torpedowe. Chwilę później pierwsze trzy ponadtonowe torpedy Mark 15 kalibru 21 cali zeszły z nich jedna po drugiej. Słońce odbiło się w ich gładkich, metalowych cylindrach i zniknęły pod wodą, zostawiając jednak na powierzchni znaczące ich przebieg smugi bąbelków powietrza. Niemniej to były tylko trzy torpedy.

Sandison przepraszająco spojrział na kapitana.

- Sir, wyrzutnia numer trzy ma awarię - zameldował. - Nie wiem jeszcze, o co chodzi, ale torpedy są bezpieczne.

Matt zaklął w duchu. Najpewniej nie była to niczyja wina, tylko zwykłe zmęczenie materiału.

- Rozumiem, Bernie - odrzekł. - Zamelduj, gdy się czegoś dowiesz. Ale niech się starają. Potrzebuję tych torped!

- Kapitanie! - zawołał jeden z marynarzy. - Oko melduje o japońskich torpedach w wodzie!

Matt spojrział na niego, nie od razu pojmując, co słyszy. Oczywiście, że... Nagle dotarło do niego, co to oznacza, i pobiegł na skrzydło mostka, odsuwając ramieniem Sandisona.

- Japońskie torpedy! - zawołał na całe gardło. - Ster cała w prawo! - *Walker* przechylił się gwałtownie. - Przekazać na pozostałe jednostki: torpedy w wodzie! Wiele torped! Robimy uniki.

Rzuciwszy okiem na morze, dostrzegł z tuzin zmierzających w ich stronę smug ostro odcinających się od ciemnej wody. Za dnia wymanewrowanie torped nie było zwykle trudne, jednak nie tylu. Istniało ryzyko, że uchylając się przed jedną, wpadną na kolejną. *Walker* miał tylko dziesięć metrów szerokości i Matt odruchowo nakazał zwrócić go dziobem do torped, żeby okręt stanowił dla nich jak najmniejszy cel. Aliancka formacja poszła w rozsypkę, gdy każda jednostka zaczęła samodzielnie manewrować.

- Jezu, żółtki chyba całe stado ich wypuściły - powiedział *Flowers* na tyle spokojnie, na ile był w stanie.

- Ster zero! - *Walker* wyprostował się. Może to i stara łajba, pomyślał Matt z satysfakcją, ale wciąż wiele potrafi. Zasadniczo czterofajkowce nie słynęły ze zwrotności, ale Gray przekazał wcześniej kapitanowi, że ster tego niszczyciela został tytułem eksperymentu powiększony ku dołowi o cztery stopy. Zadziałało, chociaż zwiększyło też opór hydrodynamiczny i tylko parę siostrzanych jednostek zmodyfikowano w ten sposób.

- Idą! - ktoś krzyknął.

Niemal wszyscy poza sternikiem rzucili się do okien. Dwie torpedy przeszły po obu burtach niszczyciela. Ta z prawej w odległości może dziesięciu metrów. Młody chłopak nazwiskiem *Dred Reynolds*, który wyglądał ledwie na trzynaście lat, uśmiechnął się słabo do Matta i przechylił się przez reling, żeby zwymiotować. Gwałtowny wiatr sprawił, że większość wymiocin osiadła na jego krótko obciętych włosach. Znowu odezwał się brzęczyk, ale wystrzał padł tylko z dziobowego dział. Huk przebudził obsadę mostka z chwilowego stuporu i przypomniał wszystkim, że idą z pełną prędkością w stronę przeciwnika.

- Co jest, do diabła?! - doleciał z dołu głos *Graya*. - W okręciki się bawisz?! - Szef rzucił *Reynoldswi* gniewne spojrzenie i pokazał mu na migi, że powinien znaleźć wiadro wody i splukać pokład.

Chłopak otarł usta i chwiejnym krokiem wrócił na stanowisko. Reszta też zajęła się wreszcie swoimi sprawami, a Matt skrzywił się w duchu. Zawinił w tym wypadku nie mniej niż inni, jednak *Gray*, który wspiął się tymczasem na górę, tylko mrugnął do kapitana i westchnął teatralnie. Matt zauważył to i odwrócił się.

- Ster w lewo! - rozkazał. - Wracamy do formacji!

Coś brzęknęło rozgłośnie nad ich głowami.

- Jezu Chryste! - rozległ się w rurze głosowej okrzyk porucznika *Rogersa*. - Pocisk zarysował właśnie maszt dwie stopy pode mną!

Przy kolejnym brzęczyku odezwały się znowu wszystkie trzy działa. Matt spojrzał na pierwsze i dostrzegł ze zdumieniem mężczyznę w mundurze koloru khaki dźwigającego

pocisk do magazynku podręcznego.

- To Mallory - powiedział szef, jakby czytał mu w myślach. - Przybył razem z tym drugim oficerem, ale to porządny gość.

Matt pokiwał głową, rozumiejąc, że nieporządny musi być kapitan Kaufman.

Niszczyciele ponownie utworzyły kolumnę. Radość z wyminięcia torped błyskawicznie się ulotniła. Na kilka chwil zapomnieli, że największa jednostka zespołu nie może manewrować. I stało się. Przy prawej burcie *Exetera* na wysokości drugiego komina wyrosła kolumna wody. Krążownik przechylił się w lewo, potem jego pokład opadł mocno w prawo. Potężna eksplozja wyrzuciła w powietrze całą masę śmieci i dymu.

Kolejny brzęczyk i kolejna salwa.

Nie mieli jednak czasu, żeby przejmować się losem *Exetera*. Gejzery wzbijane przez upadające pociski zbliżały się do nich. Gdzieś od rufy dobiegł huk trafienia.

- Meldować o uszkodzeniach!

- Nic poważnego, kapitanie - odezwał się przez interkom Ellis. - Tylko nowa dziura w ostatnim kominie. Pocisk nie wybuchł, widać był przeciwpancerny.

Obsługa dział podniosła radosną wrzawę, gdy wielka eksplozja wstrząsnęła jednym z japońskich niszczycieli. Jednostka skręciła ostro z mostkiem skrytym w kłębach dymu. Pozostałe dwie przerwały atak i stawiając własną zasłonę dymną, zawróciły w stronę zbliżających się nieubłagane krążowników.

- Kapitanie - odezwał się ponurym głosem Riggs. - Sygnał z *Exetera* do wszystkich jednostek. Kapitan Gordon dziękuje za pomoc, ale od teraz będą radzić sobie sami. - Matt przeszedł na lewe skrzydło mostka i spojrzał na piękny niegdyś okręt, który brał udział w walce, zanim jeszcze Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Doprowadził wówczas do zagłady *Grafa Spee*, obecnie jednak dawna sława w niczym nie mogła mu pomóc. Załoga opuściła już szalupy i schodziła z krążownika.

Matt zaczerpnął głęboko powietrza.

- Przyjąłem - powiedział. - Proszę odpowiedzieć: Powodzenia, *Exeter*. Boże pobłogosław.

Bezsilny w tej sytuacji *Walker* przeszedł obok ginącego okrętu, w którego kadłub trafiały wciąż nowe pociski. Sfrustrowany Matt uderzył dłonią w reling.

- Pomóż im, Boże - mruknął pod nosem. Wszystkim nam pomóż, poprawił się w myślach.

Kolejna wielka eksplozja wstrząsnęła *Exeterem* i krążownik położył się gwałtownie na burcie, miażdżąc część szalup. Potem przewrócił się, ukazując pomalowany na czerwono spód kadłuba. Pociski wciąż padały dokoła, ale działa niszczyciela milczały, niezdolne

sięgnąć przeciwnika z tej odległości. Wszyscy odprowadzali spojrzeniem tonącego *Exetera*.

- Kapitanie, sygnał z *Pope'a* - powiedział Riggs. - Rozkazuje utworzyć szyk czołowy i wznowić wytwarzanie dymu. Chce też, żebyśmy zwiększyli prędkość.

- Przyjąłem. Odpowiedz, że spróbujemy.

Następne godziny przypominały koszmar. Udało im się odsadzić trochę od krążowników, nie wyszli jednak całkowicie z zasięgu ich ognia. Co jakiś czas wyrastały wokół nich kolumny wody i wszystkie niszczyciele odniosły jakieś uszkodzenia od blisko eksplodujących pocisków. Fale uderzeniowe obluźowywały i wrywały nity z poszycia kadłuba i *Walker* przeciekał już w kilku miejscach. W górze pojawiły się kolejne samoloty i niszczyciele przestały stawiać zasłonę dymną, żeby nie ułatwiać nieprzyjacielskim obserwatorom roboty. Oprócz maszyn rozpoznawczych doczekali się w końcu także myśliwców pokładowych, które próbowały nękać uchodzące jednostki, zaprzestały jednak tego, gdy jeden oberwał od ognia karabinów maszynowych i mijając o włos pokład *Mahana*, wpadł do morza.

Na horyzoncie widać było wędrujące nad oceanem szkwały, zdawało się jednak, że nigdy nie zdołają do nich dopłynąć. Matt energicznie przetarł oczy i spojrzał po wyczerpanej i trochę zrezygnowanej obsadzie mostka. Widok tonącego *Exetera*, najsilniejszej przecież jednostki zespołu, podziałał na nich deprymująco. Sądząc po wyrazach twarzy, wszyscy byli pewni, że czeka ich ten sam los.

I rzeczywiście. Następny był *Encounter*. Kolejna salwa ośmiocalowych pocisków, które było nawet widać w locie, gdyż silnie obijały blask słońca, okazała się fatalnie celna. W miejscu, gdzie znajdował się brytyjski niszczyciel, pojawiły się nagle fontanny wody, ogień i dym. Gdy znowu dało się coś dojrzeć, było już po wszystkim. Garstka ocalałych zrzuciła z zalewanego już pokładu wszystko, co tylko mogło utrzymać się na wodzie. Pozostałe trzy niszczyciele pognały przed siebie. Nic nie mogły pomóc i Matt dobrze o tym wiedział, jednak gdzieś w głębi ducha czuł wyrzuty sumienia. Mocno zacisnął zęby, patrząc na to, co zostało z *Encounterera*, który zsuwał się już rufą pod powierzchnię morza.

- Rzygać mi się chce, że ich tak zostawiamy - rzucił Gray.

Matt pokiwał głową.

- Równie dobrze mogło trafić na nas - powiedział. - A my na pewno nie chcielibyśmy odebrać innym szansy. Nie chcielibyśmy, żeby ich załatwili przy próbie ratowania nas.

Szef przytaknął, ale Matt gotów był przysiąc, że w oczach marynarza pojawiły się łzy.

- Za pozwoleniem, sir - rzekł Gray - sprawdzę, czy Spanky ma wszystko, co potrzebne do łatania przecieków.

Matt uśmiechnął się mimowolnie. Gray musiał być naprawdę poruszony, skoro chciał zejść pod pokład i pomóc przy maszynach.

Dostrzegłszy spojrzenie kapitana, bosman wzruszył ramionami.

- E tam, kapitanie - powiedział. - Nawet jak nas zaleje od dołu, góra popłynie dalej.

- Jasne, bosmanie, ale Spanky chyba sobie radzi, a ja wolałbym mieć was tutaj. Ktoś musi mieć oko na naprawy.

- Tak jest, sir.

- Kapitanie, mamy obiecującą chmurę w prawoburtowej ćwiartce dziobowej! - doleciał ich głos Rogersa, który niemal cały dzień tkwił na bocianim gnieździe.

Matt uniósł lornetkę.

- Sir, sygnał z *Pope'a* - odezwał się Riggs. - Sterować na szkwał.

- Przyjąłem. Sternik, dziesięć w prawo.

Chmura wisiała przed nimi i wydawała się coraz ciemniejsza. Gdy prześladowcy zauważyli zmianę kursu niszczycieli, zareagowali na to kolejną salwą.

- Samoloty! Japońskie bombowce! Na szóstej! - dobiegło z bocianiego gniazda. - Trzy pary! Myślałem, że to obserwacyjne, ale idą prosto na nas!

Niemal natychmiast usłyszeli rytmiczne postękiwanie trzycalówki na rufie. Matt uniósł głowę i dostrzegł szybko rosnące ciemne sylwetki. Dwie kierowały się na *Walkera*, przecinając kłębki ciemnego dymu. Do strefy intensywnego deszczu zostało już tylko parę mil, ale czy w ogóle tam dotrą...? Spróbował ocenić kąt nurkowania samolotów i przewidzieć, w jakiej chwili zwolnią bomby.

- Sternik, przygotować się! - rozkazał zdecydowanie. - Nie będziemy ułatwiać im roboty.

- Potem mógł tylko czekać, nie zwracając uwagi na wymieniane wkoło nerwowe spojrzenia. Jeszcze chwila... jeszcze moment... jeszcze... - Ster maksymalnie w lewo! Cała naprzód!

Walker przychylił się tak gwałtownie, że trudno było ustać na nogach, i z jękiem nitów zerwał się do galopu. Od samolotów oderwały się dwa ciemne punkty i szybko stało się jasne, że spadną na prawo od okrętu. Dwie olbrzymie eksplozje przeorały fale niecałe dwieście jardów od burty, odłamki zadzwoniły o blachy. Odprowadzane poszczekiwaniem karabinów maszynowych samoloty wyszły z nurkowania. Zdawało się, że musnęły przy tym kołami stałego podwozia powierzchnię oceanu. Czerwone koła odbijały się wyraźnie od pomalowanych na niemal biały kolor skrzydeł.

- Meldować o uszkodzeniach!

Karabiny umilkły, gdy samoloty wyszły z ich zasięgu.

- Tylko trochę zadrapań farby na linii wodnej.

- Jak inni? - spytał Matt, rozglądając się po morzu. Wydawało się, że wszyscy wyszli z ataku cali i zdrowi.

Szkwał był już niemal na wyciągnięcie ręki. *Walker* aż cały drżał, żeby znaleźć w nim schronienie. Po prawej starał się mu dorównać *Mahan*, osamotniony po utracie *Encountera* *Pope* zniknął już za szarą kurtyną.

Bombowce zbierały się w szyku, gdy dziób niszczyciela jakby zniknął. W kilka sekund za oknami zrobiło się szaro i ulewa uderzyła werblem w dach mostka, strugi wody popłynęły po otwartym pokładzie. Ten i ów uśmiechnął się z ulgą.

- Dwie trzecie naprzód, dziesięć stopni w lewo. Japończycy nas nie widzą, ale my siebie też nie. Musimy zrobić sobie trochę miejsca.

- Jezu - mruknął Sandison i otarł rękawem pot z czoła.

Porucznik Garrett był równie przemoczony jak wszyscy artylerzyści, a woda ściekająca z hełmu przesłaniała mu widok. Nikt nie miał pojęcia, gdzie mogą być pozostałe okręty zespołu. Zmienili już kilka razy kurs, żeby pozostać w szkwału, a zarazem oddalić się od przeciwnika. Garrett i reszta wypatrywali oczy, ale nie mieli złudzeń, że gdyby szli kursem kolizyjnym z inną jednostką, dostrzegliby ją za późno i nic nie ocaliłoby *Walkera* przed zderzeniem. Mieli też ostrzegać przed osiągnięciem granicy szkwału, ale niestety wszędzie wkoło robiło się coraz jaśniej i nie było już ciemniejszych miejsc, ku którym mogliby posterować.

Garrett zdjął zatyczkę rury głosowej i osłonił ją, żeby woda nie naląła się do środka.

- Mostek - odezwał się. - Wychodzimy ze szkwału.

Niemal równie gwałtownie, jak weszli w deszcz, teraz z niego wyszli, mrużąc oczy przed blaskiem popołudniowego słońca. Wilgoć zaczęła natychmiast parować. Potem, jedną trzecią mili z lewej, ukazał się mokry niczym pies *Mahan*, który natychmiast zwiększył prędkość. Wszyscy rozglądali się za przeciwnikiem.

- Boże, kapitanie! Proszę spojrzeć! - krzyknął Sandison.

Bosman zaklął i Matt przepchnął się obok niego na prawe skrzydło. Serce niemal zatrzymało mu się w piersi. Jakieś cztery mile od nich konał *Pope*. Niszczyciel przewalał się z boku na bok z silnym przegłębieniem na rufę, a nad nim niczym sępy krążyły samoloty. Wokół niego uniosły się kolumny wybuchów. Obserwatorzy naprowadzali na *Pope'a* ogień krążowników.

- Kapitanie! Chyba nie możemy... bo może jednak... - zaczął młody Reynolds, lecz

szybko zamknął usta, rozumiejąc bezsens swojej nie wyartykułowanej prośby. Gdy spojrzął na kapitana, przeraził się, spostrzegłszy malującą się na jego twarzy wściekłość.

Kapitan Reddy jęknął i cofnął się do środka. Około siedmiu mil przed nimi ciemniał następny szkwał, niemal zielony i pochłaniający znaczną część horyzontu. Z jakiegoś powodu zdawał się emanować jeszcze większą grozą niż ścigające aliancki zespół krążowniki.

- Kurs na chmurę! - rozkazał Matt tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszano, twardym i nabrzmiałym nienawiścią. - Przekazać na *Mahana*, że trzymamy odległość na wypadek konieczności manewrowania. Niech wycisną wszystko z maszyn!

Po lewej przeciągał jeszcze jeden, mniejszy szkwał. Szybko zanikał, jakby coś wysysało z niego siły. Gdy deszcz osłabł, wychynęły z niego dwie ciemne sylwetki.

- Święta Mario - mruknął Gray i przeżegnał się odruchowo.

Od lewej burty zbliżały się dwa okręty. Niszczyciel i jakaś znacznie cięższa jednostka. Oba odcinały im drogę do zbawczego schronienia. Wszystkim zabrakło słów.

Matt uniósł lornetkę i przyjrzał się uważnie obu przeciwnikom.

- Panowie, to *Amagi* - powiedział ochryple, ale rzeczowo. - Krążownik liniowy. Nie całkiem pancernik, ale silniejszy od zwykłego krążownika. Jestem pewien, że to on, bo to jedyna taka jednostka - dodał, uśmiechając się ironicznie. - Zbudowany w latach dwudziestych, więc niemal tak samo stary jak my, jednak sporo w niego zainwestowali. Kilka lat temu przeszedł poważną przebudowę. Gdy o tym czytałem, nie mogłem się nadziwić, jakim cudem udało się Japończykom zmusić tę górę stali do osiągnięcia prędkości, o których inni mogą tylko marzyć. - Westchnął. - W sumie chyba nie ma nic dziwnego w tym, że pojawił się właśnie tutaj. Oni naprawdę nie chcą, żebyśmy im uciekli. - Obrócił się do Riggsa. - Proszę przekazać na *Mahana*, żeby szykował lewoburtowe wyrzutnie do ataku torpedowego - powiedział twardo. - Panie Sandison, proszę postawić swoich ludzi w stan alarmu. - Skrzyżował ręce na piersi i zacisnął dłonie. - Nie możemy ich ominąć i nie możemy zawrócić. Zostaje nam tylko jedno.

Gray przytaknął z ponurą miną.

- Aye, aye, sir. Musimy przez nich przejść.

Przy dźwięku sygnałów alarmowych oba sterane służbą i wojną niszczyciele zmieniły trochę kurs, szykując się do ostatniej walki. Matt zauważył, że teraz nawet kapitan Kaufman wyszedł na pokład i wziął się do noszenia pocisków. Porucznik Mallory i dwóch marynarzy przemknęli po schodni obwieszeni taśmami naboju do karabinów maszynowych. Wszyscy

rozumieli, że albo wywalczą sobie drogę do zbawczego szkwału, albo będzie po nich. Każdy pojmował też, że podejmują się czegoś prawie niemożliwego.

Na ich drodze znalazł się *Amagi*, olbrzym o wyporności 46 tysięcy ton, z pancernem ze wzmocnionej stali. Krążownik zaczął właśnie zwrot, prezentując z wolna imponującą sylwetkę z pięcioma wieżami uzbrojonymi w działa kalibru 410 milimetrów. Nie musiał jednak z nich korzystać - do pokonania pary niszczycieli mogły z powodzeniem wystarczyć artyleria średnia: działa kalibru 120 i 140 milimetrów. Płynący obok nowoczesny niszczyciel wydawał się nic nieznaczący, mimo że też miał sporą siłę ognia, w tym śmiertelnie groźne torpedy nazywane długimi lancami. Cóż to jednak było wobec krążownika liniowego, choć w razie potrzeby sam mógł się uporać z oboma amerykańskimi okrętami.

Huk i rozbryzgi wody oznajmiły, że idące z tyłu krążowniki nie zapomniały o swoich „podopiecznych”. Odgłos silników lotniczych zapowiadał kolejny atak powietrzny.

- Chyba wszystkie żółtki z całego Morza Jawajskiego zbiegły się, żeby nas załatwić - stwierdził Gray.

Odległy o pięć mil *Amagi* otworzył ogień. Długa sylwetka okrętu pojaśniała, gdy jego wielkie działa odpaliły. Ciężkie pociski pomknęły z rykiem w kierunku Amerykanów. Matt zauważył mimochodem, że towarzyszył temu znacznie niższy dźwięk niż przy wystrzale ośmiocalówek. Potem zaś rozpętało się piekło.

Pierwsza salwa krążownika była za krótka, strumienie wody zalały jednak niszczyciel, mocząc od stóp do głów wszystkich przebywających na otwartym pokładzie, a zapewne także Rogersa w bocianim gnieździe. Porucznik zamilkł i Garrett zabrał się do korygowania ognia dział numer jeden i trzy, ale nie mógł niczego dostrzec. W końcu *Walker* przebił się przez spieniony ocean, lecz dokoła wciąż padały pociski mniejszych kalibrów. Matt przypomniał sobie, jak w dzieciństwie strzelał do żółwi pływających w stawie za domem babki. Teraz wiedział, co musiały czuć. Coś huknęło mu za plecami i natychmiast się obejrzał. Oberwała nadbudówka na śródokręciu.

Ryk w górze zmusił go do poderwania głowy. Bombowiec nurkujący wyciągał właśnie tuż nad okrętem, ledwie o kilka stóp omijając maszt. Bomba uniosła powierzchnię oceanu po lewej burcie, odłamki zadzwoniły o poszycie. Zaraz potem seria pocisków smugowych dosięgła samolot na tyle skutecznie, że coś od niego odpadło. Kolejna salwa krążownika liniowego została chyba wymierzona w *Mahana*. Matt był prawie pewny, że opadająca woda odsłoni zmasakrowany i tonący wrak, ale niszczyciel ocalał, chociaż jego tylna nadbudówka nosiła ślady zniszczeń, a komin numer cztery leżał wygięty na połamanych żurawikach

łodziowych. Zniknęła też platforma z reflektorem.

Pocisk mniejszego kalibru zrykoszetował ze zgrzytem na poszyciu dziobowym i wpadł do morza. Zerwał przy tym łańcuch kotwiczny, którego luźny koniec zaczął się miotać po pokładzie. Następna salwa nadleciała z niecałych trzech mil. Cholernie blisko, pomyślał Matt, gdy przelatujące nad nimi pociski niemal wyssały mu powietrze z płuc. Wszystkie padły z wielkim hukiem daleko za rufą *Mahana*.

Kapitan wykorzystał krótką chwilę spokoju, żeby znowu unieść lornetkę do oczu.

- Są! - zawołał do rury głosowej. - Jest cel nawodny! Przed dziobem, szacunkowy dystans pięć, pięć, zero, zero! - Brzęczyk zdawał się brzmieć tym razem bardziej przenikliwie, jakby z politowaniem kwitował tę żalostną próbę obrony z użyciem własnych dział. *Walker* skręcił ostro w prawo i *Greg* musiał się czegoś przytrzymać. *Amagi* zdawał się trwać niemal w bezruchu z niszczycielem trzymającym się w jego cieniu niczym nieśmiałe dziecko. Za nimi przesuwiał się zielonkawy cień ulewy.

Amagi wystrzelił ponownie, akurat gdy wypuszczali torpedy. Z kominów znowu zaczęła się wydobywać czarny dym. *Garrett* wyglądał na uradowanego, że torpedy są jednak w wodzie. Przy odrobinie szczęścia... Nagle ogłuszający huk i gorąca chmura pary cisnęły nim o pokład.

Walker zadrzał, gdy ciężki pocisk, lecący niemal płaskim torem, przeszedł na wylot przez przednią kotłownię. Nie eksplodował, ale wywołana przez niego dekompresja spowodowała, że palniki buchnęły nieopanowanym płomieniem. Jednak to nie ogień zabił obsadę kotłowni, lecz wydobywająca się z rozerwanych przewodów para. Niszczyciel zwolnił i *Matt* obrócił się do *Graya*, który jednak zniknął już z mostka. Spojrzenie kapitana przesunęło się po wybitych oknach i spoczęło na chwilę na rurze głosowej biegnącej z bocianiego gniazda. Kapiąca z niej krew zbierała się kałużą na pokładzie. Była tam też krew mata *Janssena* oraz *Rodrigueza*, którego niesiono właśnie do izby chorych. *Janssenowi* nic już nie mogło pomóc.

- Sir, przednia kotłownia wyłączona trafieniem! Pan *McFarlane* robi obejście głównego zaworu. Mówi, że zaraz... prawie zaraz znowu będziemy mieć parę.

- Dobrze.

Mahan wyszedł z dymu i kolumn wody, wykonując szeroki zwrot na lewą burtę. W stronę *Amagiego*. *Matt* w ostatniej chwili powstrzymał się przed wydaniem rozkazu, żeby przesłać sygnał na siostrzany okręt. Nic by to nie dało. Działo numer jeden stało nagie, pozbawione osłony i obsady. Cała przednia nadbudówka zmieniała się w stos pogiętych blach, spomiędzy których wydobywał się dym. Zapewne nikt tam nie przeżył. Wyrzutnie torped na

lewej burcie opadły poskręcane na pokład. Były puste, *Mahan* wystrzelił więc najpewniej torpedy, ale była to jego ostatnia salwa.

Oznaczało to, że wraz z wydłużeniem się listy poległych Matt przejął dowodzenie. Był najstarszy po kapitanie Blinnie z *Pope'a*. Czym prędzej nakazał atak torpedowy. Nie, żeby miał jakiś wybór. Dowodził okrętem, który płynął na oślep w kierunku przeciwnika. Jednak co z tamtymi? Istniała szansa, że jeśli *Amagi* skoncentruje ogień na ciężko uszkodzonym niszczycielu, *Walkerowi* się uda. Już teraz wymierzony w nich ogień był wyraźnie słabszy. Niemal na pewno dotrą do szkwału. Matt przetarł oczy i spojrzał na swoich ludzi. Chcieli, żeby zawrócił. Tego właśnie oczekiwali. Czy nie pojmowali, że to oznacza śmierć? Mieli szansę. Musieli tylko pozostawić siostrzaną jednostkę na łasce przeciwnika.

Nie, nie mogli tego zrobić. On też nie potrafiłby później z tym żyć. Za daleko zaszli, żeby cokolwiek więcej miało znaczenie. Pozostała tylko walka i musieli ją podjąć. Świat stał się czarno-biały, szarości zniknęły. Czy tak to miało wyglądać? Czy tak miała skończyć Flota Azjatycka?

Brzęczyk oznajmił wystrzały z dział jeden, trzy i cztery, ale Matt prawie ich nie słyszał. W końcu spojrzał na Reynoldsa. Najmłodszy i najmniej doświadczony członek załogi miał w oczach coś, jakby niemą prośbę.

- Zawracamy! - zawołał Matt. - Ustawić okręt równolegle do *Mahana*. Może zdołamy je chociaż zniechęcić - dodał, pokazując na trzy krążące leniwie nad nimi bombowce.

- Kapitanie, japońskie krążowniki za nami wyszły ze szkwału. Widzą nas teraz.

- Dobrze. Niech sobie patrzą - rzucił Matt. Ktoś zachichotał nerwowo. - Ile jeszcze do odpalenia torped, panie Sandison?

- Dziesięć sekund.

Walker zakończył zwrot i pogonił za *Mahanem*. Morze dokoła gotowało się od nieprzyjacielskich pocisków. Jeden z nich trafił gdzieś na dziobie.

- Czas?

- Trzy... dwa... jeden... - Sandison oderwał wzrok od tarczy zegarka i skrzywił się ze złością. Znowu coś wysiadło, co nie było nowiną, bo używane przez US Navy torpedy sprawiały kłopoty od początku wojny. Zrównali się już prawie z *Mahanem*, który płynął coraz wolniej.

- Zobaczmy, czy... - zaczął Matt, ale przerwał porażony jasnym błyskiem. Uniósł głowę akurat na czas, żeby usłyszeć huk detonacji, która przepołowiła japoński niszczyciel. Dziób i rufa sterczały z wody pod ostrym kątem, zsuwając się powoli pod powierzchnię. Buchające z wraku płomienie ostro kontrastowały z mrokiem przesuwającej się w tle ulewy. Ludzie

podnieśli radosną wrzawę i Matt też się nie pohamował, zapominając na chwilę, że jednak nie trafili *Amagiego*. Krążownik robił właśnie zwrot na wypadek, gdyby w wodzie były jeszcze jakieś torpedy, i nie mógł prowadzić ognia. Strzelały tylko okręty z tyłu. Nagle ciężka jednostka stała się jakby gorzej widoczna, ogarnięta szkwałem. Zbawczy deszcz był już tylko niecałą milę od nich.

- Kapitanie, proszę spojrzeć! - zawołał Flowers. Wskazywał głową w lewo, na *Mahana*, którego pokład zalewały właśnie nowe kaskady wody. Jakiś mężczyzna starał się tam mimo wszystko ustać na nogach i chyba miał coś do zakomunikowania. Najpierw wskazał prawą ręką na *Walkera* i uniósł tę rękę wysoko. Potem poklepał się lewą ręką w pierś i też uniósł ją węzowym gestem w górę. Sekundę później zniknął przesłonięty wodną kurzawą.

- Co u diabła? - mruknął Sandison.

Mieli już *Mahana* trochę za rufą, gdy dostrzegli na nim ludzi ciągnących za porwane przewody sterowe. Niszczyciel skręcił w prawo, ledwo omijając przy tym rufę *Walkera*. Niemal natychmiast też przyspieszył. Ten sam mężczyzna co wcześniej stał teraz między dwoma wykręconymi na burtę wyrzutniami torpedowymi. Te były całe.

- Boże, one ciągle są załadowane! - zawołał Sandison.

Matt podbiegł na skrzydło mostka i uniósł prawą rękę.

Potem opuścił i uniósł je obie, okalając miejsce, w którym przed chwilą była pierwsza. Mężczyzna na pokładzie *Mahana* pokazał OK i gdzieś pobiegł.

- Dwadzieścia stopni w lewo! - rozkazał Matt. - Miniemy go z obu burt. Możemy nie mieć torped, ale przecież Japończycy o tym nie wiedzą.

Amagi wyszedł ze szkwału, ale nie całkiem. Wyglądało to tak, jakby ulewa ścigała krążownik. Teraz płynął prosto na nich i widać było spływające z pokładu dziobowego potoki wody. Byli na tyle blisko, że tylko niektóre działa artylerii pomocniczej miały szansę ich trafić. Pozostałych nie można było opuścić aż tak nisko. Niemniej i to starczy, pomyślał Matt. Za dwie minuty się okaże.

Mahan przesuwał się coraz bardziej w prawo. Wyglądał jak wrak, ale parł naprzód. Wyłączenie przedniej kotłowni ograniczyło prędkość *Walkera* do dwudziestu pięciu węzłów. Krążące dotąd spokojnie bombowce zdecydowały się na atak, ignorując padające dokoła niszczycieli pociski z krążowników. Odezwały się karabiny maszynowe, zarówno własne, jak i przeciwnika. Zaraz po nich zabrzmiał brzęczyk. Smuga pocisków omiotła mostek *Walkera*, akurat gdy oba niszczyciele miały dziób *Amagiego*. Porucznik Flowers zachwiał się przy kole i padł na pokład. Matt skoczył zająć jego miejsce. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego piekła. Z pokładu krążownika liniowego strzelano do nich chyba ze wszystkiego, co było pod

ręką. Pociski uderzały w blachy niczym deszcz.

Potem kilka rzeczy stało się prawie jednocześnie. Najpierw okręt zadrżał od bliskiego wybuchu dwóch bomb, a samolot, który je zrzucił, odleciał chwiejnie w kierunku *Amagiego*. Ciągnąc za sobą smugę dymu, uderzył w środkową wieżę krążownika. Sekundę później z drugiej strony olbrzymiego kadłuba wyrosły dwie wielkie fontanny wody. I znowu brzęczyk, i znowu huk własnych dział.

Spadło jeszcze kilka niecelnych bomb, a pociski z krążowników padały tak gęsto, że niektóre trafiały w *Amagiego*. Nagle całe to piekło ognia, huku i śmierci zniknęło w ulewnym deszczu.

Rozdział 2

Matt dał się ponieść uniesieniu, gdy pochłonęła ich zieleń, przez którą ledwie widać było majaczące tu i ówdzie błyski eksplozji i pożarów. Krzyknął nawet radośnie, całkiem wbrew sobie. Jednak po chwili pojął, że zamiast uspokajającego szumu deszczu słyszy... ciszę. Jakby coś upośledziło mu zmysły. Jednak niemal natychmiast do jego uszu dobiegły okrzyki zaskoczonych marynarzy z przedniego pokładu i szepty zdumionej obsady mostka. Gdy reszta okrętu wychyłała z zieleni za jego plecami, usłyszał również zwykle odgłosy towarzyszące pracy kotłów i maszyn oraz przekleństwa, które ktoś miotał pod adresem dwóch artylerzystów na śródokręciu. Jednak poza tym nie było nic. Tylko wywołane hukiem niedawnej bitwy dzwonięcie w uszach i... nicość.

Deszcz owszem, był, ale... nie padał. Krople wody wisały w powietrzu. Bez ruchu. Matt uniósł rękę i przesunął po nich dłonią. Wyczuł wilgoć. Wyszedł na otwartą część mostka i zobaczył, że okręt jest mokry, że wpada na te krople niesiony wciąż naprzód. Zdumienie zaczęło przeradzać się w panikę, gdy poczuł, że śruby niszczyciela wyszły z wody, tak jak zdarzało się to czasem przy wysokiej fali. Rozkręcały się tylko chwilę, aż Spanky zareagował, ale sytuacja skłoniła kapitana do spojrzenia za burtę. Zamrugął, niczego nie rozumiejąc. Morze zniknęło. Jak daleko sięgał wzrokiem, rozciągała się zielonoczarne pustka pełna niezliczonych kropeł wody znieruchomiałych w powietrzu. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, pokład uciekł mu spod stóp i uszy zablokowały od wzrostu ciśnienia. Złapał się relingu i oparł o drewnianą obudowę mostka, żeby nie stracić kontaktu z czymś stałym, materialnym. To, co widział dokoła, należało do zjawisk niemożliwych. Żołądek podszedł Mattowi do gardła, a sądząc po odgłosach, inni też przeżywali niemiłe i niezrozumiałe sensacje. Potem usłyszał jeszcze pisk. Z początku cichy, ale narastający z każdą sekundą, coraz trudniejszy do zniesienia. Przypominał odgłos, jaki wydaje niesmarowane łożysko, które za chwilę się rozpadnie. Ciśnienie też stawało się bardziej dokuczliwe. Kapitan wrócił z trudem pod dach, uważając, żeby cały czas trzymać się czegoś chociaż jedną ręką. Przebrnął po potłuczonym szkle i plamach krwi do swojego umocowanego do ściany krzesła i wspiął się na nie ostrożnie.

Ciśnienie wpychało mu oczy w głąb czaszki, ale dojrzał, że nikt na mostku nie zdołał utrzymać się na nogach. Reynolds spojrział na kapitana z przerażeniem, ale nie z paniką w

oczach. Na przednim pokładzie ludzie pełzali pośród łusek po pociskach i szukali jakiegoś uchwytu, jakby obawiali się odlecieć z okrętu. Dokoła wciąż rozciągała się wilgotna zielonkawa pustka. Pisk narastał, aż zagłuszył huk palników. Matt przycisnął dłonie do uszu, ale nie poczuł ulgi. Dźwięk zdawał się rozlegać w jego głowie, a do tego doszły jeszcze mdłości.

Nagle pokład zakołysał się niczym kolejka górską i świat ożył. Krople wody poruszyły się i przemieniły w głośno szumiące strugi deszczu. Wyczerpany kurczowym ściskaniem podłokietników Matt opadł ciężko na krzesło. *Walker* dryfował przez najzwyczajniejszy na świecie szkwał, po uspokojonym ulewą morzu.

Kapitan zebrał się w sobie, widząc, że ludzie wolno podnoszą się z pokładu i wracają na stanowiska. Nie wiedział, co właściwie się wydarzyło, ale podobnie jak oni, potrzebował czegośkolwiek, co przywróciłoby mu poczucie normalności. Potem będzie się zastanawiał nad tym, co się stało, teraz musiał zająć się okrętem oraz ludźmi i być może znów przygotować się do walki. Ludzie ponownie podnieśli wrzawę, ale tym razem Matt z ulgą usłyszał wybijający się ponad gwar głos bosmana:

- Dość babskiego lamentu! Za kogo się macie?! Tak, ty też, Davis! Zrób mi tu zaraz porządek z tymi łuskami! Nie widzisz śmietnika?! Myślałby kto, że same szczury lądowe tu się płaczą. Tutaj, na moim pięknym pokładzie! Myślisz, że widziałeś prawdziwą walkę? Gorsze staczałem z karaluchami w mesie! Dość rzygania, Smitty. Bulgoczysz jak żaba.

Matt słuchał, jak Gray przechodzi ze swoimi połajankami ku rufie. W końcu odchrząknął i zwilżył mokrymi dłońmi wargi. Wyczuł smak krwi.

- Meldunek o uszkodzeniach - wychrypiął do stojącego niepewnie przy kole sterowym Riggsa. - Meldunek o uszkodzeniach! - powtórzył głośniejszym głosem. - Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Słyszał, że kotły nie pracują jak powinny, ale na wyjaśnienie musiał poczekać, aż Sandison zbierze meldunki przez interkom.

- Porucznik McFarlane wyłączył maszyny - usłyszał. - Mamy wodę w kadłubie, ale pompy poradzą sobie z nią, gdy już je uruchomimy. Przednia kotłownia nie nadaje się do użytku. W tylnej kotły wygasły i jest pełno dymu. Właśnie ją wietrzą. Jak tylko się da, rozpalą ponownie. Pewnie za kilka minut. - Sandison mówił rwanymi zdaniami, powtarzając to, czego sam się dowiadywał. - Mamy wiele trafień na dziobie i jest sporo ofiar - dodał ponuro. - Doc nie żyje. Pracował nad Rodriguezem, gdy pocisk przeszedł przez mesę... rozerwało go. Zginęło też wielu rannych oraz jedna z pielęgniarek. - Twarz mu poszarzała. - Stała zaraz obok Doca. Dwie inne pomagały na zewnątrz. Pan Garrett melduje jednego poległego i dwóch rannych na platformie kontroli ognia i obawia się, że pan Rogers nie żyje.

Widział krew spływającą z bocianiego gniazda.

Sandison zamilkł, wysłuchując kolejnych raportów. Kiwnął przy tym głową, jakby rozmówcy mogli go widzieć.

- Jest jeszcze woda w schowku na farby, ale tam jest zawsze - dodał, wzruszając ramionami. - Chyba głównie deszcz. Z kadłubem mieliśmy szczęście, przynajmniej pod linią wodną. Są tylko przecieki od nitów obluzowanych bliskimi wybuchami. Większość pocisków nadlatywała płasko i przebijała tylko nadbudówki. Kilka mniejszych kalibrów wybuchło, reszta musiała być przeciwpancerna i nie trafiała na nic dość solidnego, żeby zapalniki zareagowały. Działo numer trzy zniszczone, czterech ludzi nie żyje... - Posłuchał jeszcze chwilę. - Podziurawiło nas jak ser, skipper.

- Radio? - zapytał Matt. - Cokolwiek z *Mahana*?

Sandison pokręcił głową.

- Radio nie działa, sir. Clancy melduje, że od wejścia w szkwał nic nie odebrał. Wcześniej było wiele, głównie od atakowanych statków handlowych błagających o pomoc. - Odchrząknął. - Teraz tylko szumy statyczne. Coś musiało wysiąść.

Matt zaczerpnął głęboko powietrza.

- Ofiary łącznie...? - spytał w końcu.

- Jeszcze nie wiadomo, sir, lecz... wiele.

Kapitan zdjął czapkę i przeciągnął dłonią po przepoconych włosach.

- Torpedy?

Porucznik pokręcił ze smutkiem głową.

- Tylko te w wyrzutni numer trzy. Poza tym... w tej chwili nie wiem.

- Trudno. Odwołać alarm bojowy. Jest zbyt wiele do zrobienia, żeby ludzie stali beczynnie. Ale niech podstawowa obsada zostanie przy działach i niech ma otwarte oczy. Zobaczmy, czy da się dla niej skombinować coś ciepłego do jedzenia. - Ziewnął niezgrabnie, bo zdrętwiały mu szczęki. - Potrzeba też kawy. Niech porucznik Ellis zamelduje się na mostku, gdy tylko będzie mógł. - Przerwał na chwilę. - A bosman niech wyznaczy ludzi do zniesienia Rogersa - dodał łagodniejszym tonem.

Deszcz ciągle padał i Matt wolałby mieć okręt pod parą, żeby odejść jak najdalej pod osłoną szkwału, zwłaszcza że nie miał jak dowiedzieć się czegokolwiek o losie *Mahana*. Być może ich powrót i towarzyszenie siostrzanej jednostce podczas samobójczego ataku na krążownik liniowy coś dało. Być może wywołane tym zamieszanie uratowało oba niszczyciele. Jednak jeśli nawet *Mahan* ocalał, musiał być w kiepskiej kondycji. Może nawet tonął. Tak czy owak tym razem nie mieli jak mu pomóc. Jedno było pewne: *Amagi* też

porządnie oberwał. Czy dość mocno, żeby się wycofać? Może. Żeby zatonać? To byłaby przesadna nadzieja. Jakkolwiek jednak było, nie miało to większego znaczenia wobec bliskości zespołu krążowników. Nie wiedział, czy zrezygnują ani czy wciąż mają w powietrzu samoloty rozpoznawcze, ale daleko być nie mogły.

Gdy tylko maszyny ożyją, popłynie dalej, modląc się o ocalenie *Mahana*. Matt zastanowił się nagle, czy drugi niszczyciel przeszedł przez to samo dziwne coś. Zadrzał i rozejrzał się po pograżonym w półmroku mostku. Nie był pewien, czy inni widzieli to samo, i skłonny był podejrzewać, że po prostu oszalał. Może zaczął cierpieć na wywołane bitewnym stresem halucynacje, bo jak inaczej wytłumaczyć te wiszące nieruchomo w powietrzu krople deszczu? Przecież weszli w najsilniejszy szkwał, jaki widział. Takie ulewy rządzą się swoimi prawami i kto wie, jakie prądy powietrzne mogą się w nich pojawiać. Słyszano nawet o tak gwałtownych podmuchach, że potrafiły wywrócić okręt, czasem więc pewnie mogło wiać i do góry. Spróbował wyprostować przemoczoną czapkę. Może, ale to nie wyjaśniało tego, co widział za burtą. Nic nie mogło tego wyjaśnić. Takie coś nie miało prawa zaistnieć.

- Kapitanie, pan Garrett melduje, że szkwał przechodzi.

Deszcz rzeczywiście osłabł. Matt obrócił się i zobaczył kobietę wpatrującą się w niego ze schodni. Widział tylko przemoczone włosy, głowę i ramiona oraz wielkie brązowe oczy, które otworzyły się szerzej, napotkawszy jego spojrzenie. Usta też rozchyliły się, jakby do krzyku. Biała bluza mundurowa była wilgotna i brudna, na policzkach rozmazał się jakiś smar zmieszany z krwią. Kobieta bez słowa uniosła lśniący dzbanek z kawą i postawiła go na pokładzie. Potem lekko skinęła głową kapitanowi, jakby składała mu ofiarę, i zniknęła na dole.

- Jest kawa - mruknął Matt i potrząsnął głową. Wstał z krzesła zdumiony, że nogi chcą go nosić. - Daj mi Spanky'ego. Nie możemy dłużej czekać z maszynami.

Zanim kotły dały parę, słońce przesunęło się mocno na niebie. Na początek ruszyli tylko na prawoburtowej maszynie. Śruba zaczęła mącić wodę za rufą, ale kadłub wibrował jak w febrze i z okien posypały się resztki tkwiącego tam jeszcze szkła. Wkrótce udało się uruchomić także czwarty kocioł i porucznik Tolson, który zastąpił Boba Flowersa, nie musiał już zmagać się ze sterem, żeby utrzymać okręt na kursie. Szkwał został za rufą, ale wyraźnie już się rozprasał. W każdej chwili oczekiwali, że wyjrzą z niego przysadziste sylwetki japońskich krążowników, kto żyw przepatrywał też niebo w poszukiwaniu samolotów rozpoznawczych i bombowców. Gdyby nie problemy z kotłami, dawno by już stąd odpłynęli.

Jim Ellis zjawił się na mostku w zakrwawionym mundurze, z opuchniętymi i zaczerwienionymi oczami. Wydarzenia ostatnich godzin odebrały mu sporo animuszu i jego

głos był dziwnie łagodny.

- Okręt jest w opłakanym stanie, skipper - powiedział. - Całą górę mamy postrzelaną. Na dole jest lepiej, ale bierzemy wodę i im szybciej popłyniemy, tym więcej jej będzie. Większość przecieków jest nad linią wodną, ale fale robią swoje. - Westchnął. - Wie pan, mój dziadek był w Zatoce Manilskiej. Jego brat w zatoce Santiago. Obaj powtarzali, że prędzej czy później trafiają się takie dni. Tyle że w ich opowieściach wydawało się to prawie zabawne.

Matt ze znużeniem pokiwał głową.

- Mój ojciec podczas poprzedniej wojny pływał na takiej łajbie na północnym Atlantyku - rzekł. - Zwalczali okręty podwodne i nic podobnego nigdy im się nie przydarzyło. Chyba niewiele mijał się z prawdą. Nigdy nie twierdził, że było fajnie. Trudno mi było sobie wyobrazić coś gorszego niż służba na czterofajkowcu na północnym Atlantyku. Do teraz. Zwłaszcza do dzisiaj.

Rozmawiali cicho, mimo to Matt rozejrzał się dyskretnie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

- Co sądzisz o tym, co się zdarzyło... gdy weszliśmy w szkwał? - spytał prawie szeptem.

Jim spojrział na niego z wahaniem. Wyraźnie nie miał ochoty o tym rozmawiać i miał żal do Matta, że w ogóle poruszył ten temat.

- To było coś dziwnego - powiedział w końcu. - Jakby prąd wstępujący albo coś.

Matt pokiwał głową.

- Też mi się tak wydaje. I tak każę panu Tolsonowi zapisać to w książce okrętowej. Ale... spojrzaleś wtedy za burtę?

Porucznik Ellis aż się cofnął, jakby chciał uniknąć uderzenia. Wyraz jego twarzy świadczył jednoznacznie, że widział to samo co kapitan. Mattowi zrobiło się zimno.

- Tylko na chwilę... - w końcu wydusił z siebie Ellis.

Matt ponownie się rozejrzał.

- Jak sądzisz, ilu z załogi też mogło to widzieć? - zapytał.

- Niewielu, może nikt. Byli diabło zajęci. Potem ten wiszący w powietrzu deszcz. Pewnie wszyscy gapili się w górę.

Matt pomasaował skronie.

- Cholera - rzekł. - Pytałem, bo miałem nadzieję, że mi się tylko wydawało i ty nic nie widziałeś. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Cokolwiek to było, minęło. Wróciliśmy do realnego świata i teraz możemy martwić się już tylko Japończykami.

Kącik ust Jima drgnął niepokojąco.

- Tak, sir, ale jeśli to nie wadzi, wolałbym...

- Pan Garrett melduje cel nawodny - przerwał im głos mata Normana Karasa, który zajął miejsce Sandisona. - Kurs jeden siedem zero! Dystans pięć, pięć, dwa, zero!

Wypadli na zewnątrz i unieśli lornetki. Ze szkwału wyłaniała się ciemna sylwetka. Szła dziobem do nich, z przechyłem na lewą burzę. Gdzieś ze śródokręcia unosił się porywany wiatrem dym. Nawet z tej odległości widać było uwijające się na przednim pokładzie postacie z wężem przeciwpożarowym.

- Mój Boże! - zawołał Jim. - To *Mahan*!

Walker zawrócił łagodnym łukiem, żeby nie nabrać zbyt dużo wody, i przyspieszając, ruszył ku siostrzanej jednostce. Nikomu nie podobało się, że zawracają. Stojący na przednim pokładzie mężczyzna w mundurze khaki przeklął nawet tę decyzję, a potem *Mahana*. Gdyby nie dostrzegli niszczyciela, mogliby z czystym sumieniem płynąć dalej. Wyszło jednak inaczej, na dodatek *Mahan* bardzo potrzebował pomocy i chwilowo nigdzie nie było widać nieprzyjaciela. Oczywiście, parsknął w myślach mężczyzna, ten młodzik na mostku gotów jest zaryzykować życie wszystkich na pokładzie. W Surabai byłby bezpieczniejszy! I jeszcze jak go tu potraktowano! Był oficerem i pilotem myśliwskim, a musiał wykonywać pracę fizyczną razem ze zwykłymi marynarzami. Ktoś zapłacił za to głową, zdecydował. Najpierw jednak musiał się uratować, mimo że pojawił się ten przeklęty *Mahan*. Wszyscy zginą przez jeden wrak, który tylko cudem jeszcze nie zatonął. Mężczyzna ze złością kopnął walającą się obok łuskę.

Kapitan Kaufman najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że nawet gdyby między oboma niszczycielami pojawił się nagle *Amagi*, to załoga DD-163 w ogóle by się tym nie przejęła. Jeszcze parę chwil temu żegnali się z życiem, uważali więc, że jeśli mieliby teraz pójść na dno, to przynajmniej zrobiwszy przedtem coś dobrego.

Podeszli do *Mahana* i skręcili pod wiatr. Jim Ellis przejął ster i ustawił *Walkera* czterdzieści jardów od burty drugiego niszczyciela. Matt wyszedł z tubą na skrzydło mostka i spojrzał na *Mahana*. Okręt miał przegłębienie na dziób i brakło mu choćby jednej całej nadbudówki. Z szybów wentylacyjnych przedniej kotłowni sączył się dym. Jeszcze więcej wydobywało się go z dwóch pierwszych kominów, zatem kotłownia musiała być w porządku, jednak główny ster, a także pomocniczy, zostały zniszczone i żeby kierować okrętem, załoga musiała po prostu ciągnąć za porwane liny sterowe. Komin numer cztery zniknął - zapewne zrzucono go za burzę, żeby udrozić pokład. Platforma reflektora spadła na rury wyrzutni torpedowej numer dwa i porządnie je wgniotła. Ocalałe działa zostały obsadzone, jednak poza

tym wszyscy wydawali się zbyt zajęci ratowaniem okrętu, żeby zamienić choć słowo z Mattem.

Uniósł głowę i spojrzął na zniżające się ku horyzontowi słońce. Potem zerknął na ciemniejącego na platformie powyżej Garretta. Młody porucznik odwzajemnił spojrzenie. Był wyraźnie zagubiony. Szkwiał przeszedł i wszyscy obserwatorzy pilnie przepatrywali horyzont, na razie jednak niczego nie dostrzegli. Matt nie zamierzał narzekać z tego powodu, ale nie mógł uwierzyć, że Japończycy po prostu zrezygnowali. Nawet jeśli krążowniki zawróciły, zostały jeszcze samoloty, także te z lotniskowców. Chociaż może skończyło im się paliwo, a maszyny pokładowe wołały odlecieć, żeby nie lądować po ciemku na wąskich pokładach.

Matt zmarszczył czoło. *Amagi* jednak musiał oberwać. Na pewno oberwał, gdy dwie torpedy *Mahana* doszły pod koniec do celu. Może więc być blisko, bo zapewne nie jest obecnie zdolny osiągnąć pełnej prędkości, jakakolwiek by ona była. Chyba że krążownik jednak zatonął, co byłoby najlepsze.

Wszystko to przemknęło kapitanowi przez głowę w krótkiej chwili, gdy spoglądał na *Mahana*. W końcu uniósł tubę do ust.

- Opanowaliście pożary?! - spytał gromowym głosem. - Potrzebujecie węży?! Macie parę?! Gdzie kapitan Atkinson?! - Ostatnie pytania zadał pro forma, bo raczej znał odpowiedź. Jakaś obszarpana postać zbliżyła się do relingu. Być może był to ten człowiek, który koordynował wspólny atak, ale trudno to było orzec z całą pewnością. Okolił dłońmi usta i nabrał powietrza w płuca.

- Jestem porucznik Brister z maszynowni! - odkrzyknął. - Kapitan Atkinson nie żyje! Cała obsada mostka zginęła albo ciężko ranna. Ogień chyba już pod kontrolą, maszyny działają, ale brak nam ludzi do ciągnięcia lin sterowych. Gdybyście kilku użyczyli, moglibyśmy ruszać!

- Cała obsada? A kto dowodzi?!

- Chyba ja, sir!

- Dobry oficer z tego porucznika Bristera - powiedział Matt, gdy motorówka pokonywała niewielką odległość między okrętami. Wysłali sześciu ludzi pod dowództwem mata Francisza „Frankiego” Steelea oraz sygnalistę Eda Palmera z przenośnym aldisem. Żadna z lamp sygnalizacyjnych *Mahana* nie przetrwała walki. Teraz mogli się przynajmniej bez trudu komunikować.

- To prawda, sir - przyznał Jim. - Zasłużył na pochwałę za utrzymanie okrętu na powierzchni, o walce nie wspominając. Będzie miał teraz pełne ręce roboty.

- Właśnie. A na dodatek nie jest ani nawigatorem, ani nawet oficerem pokładowym. Nie chcę cię tracić, ale może byłoby lepiej, gdybyś tam popłynął i przejął dowództwo.

- Skoro tak... Ale my też mamy kłopoty.

Matt machnął ręką.

- Porucznik Dowden da sobie radę - powiedział. - Wie, co robić, i ludzie go lubią. Poza tym jest przypisany do kontroli uszkodzeń i napraw. Po śmierci Richarda sam za to wszystko odpowiada. - Matt spojrzał na Ellisa i uśmiechnął się smutno. - Idź tam, Jim. *Mahan* cię potrzebuje. Musimy ruszyć go jak najszybciej, a jeśli ktoś może tego dokonać, to właśnie ty.

Jim spojrzał na marynarzy sprzątających pokład.

- Aye, aye, sir - rzekł. - Chociaż wolałbym nie zostawiać naszej łajby w trudnej chwili. - Uśmiechnął się krzywo i zerknął na *Mahana*. - Nie sądziłem, że dostanę na pierwsze dowództwo cokolwiek nowoczesnego, ale czegoś takiego również się nie spodziewałem.

Matt zaśmiał się cicho, bo przypomniał sobie, jak sam myślał niedawno o *Walkerze*. Oczywiście *Mahan* był teraz w znacznie gorszym stanie, chociaż *Walker* też mocno oberwał. Jim miał więcej powodów do narzekania.

- Zejdę na dół po parę rzeczy i gdy tylko łódź wróci, popłynę. - Ellis wyprostował się niepewnie i wyciągnął rękę. - Powodzenia, sir... Matt.

Kapitan uściskał przyjacielowi dłoń i poklepał go po ramieniu.

- Też się trzymaj. Melduj jak najszybciej, co uda ci się zrobić. Podnoś wrzask, gdybyś czegoś potrzebował.

Jim wyszczerzył zęby i rozejrzał się dokoła.

- Ty też - powiedział. - Możemy się nawet założyć, kto rozedrze się pierwszy.

Obaj zachichotali, po czym porucznik Ellis cofnął się o krok i zaszalutował. Matt odpowiedział mu, a gdy Jim opuścił mostek, opadł ciężko na krzesło.

- Proszę przekazać wiadomość panu Dowdenowi - rzucił.

Gdy motorówka wróciła, jej sternik, niejaki Tony Scott, usłyszał przykrą nowinę, że musi zrobić jeszcze jeden kurs. Bardzo mu się to nie spodobało, chociaż dokładnie nie wiedział dlaczego. Czuł jednak, że coś jest nie tak z tym morzem. Co rusz czuł uderzenia w kadłub łodzi. Owszem, przywykł do spotkań ze zwykłymi rybami, czasem nawet z rekinem, ale znajdowali się na środku oceanu i nie powinni napotykać żadnych stworzeń. Tymczasem widział przemykające pod powierzchnią srebrzyste kształty i to na pewno były ryby. Jak dotąd nie trafiło się nic dużego, ale po co w ogóle napastowały motorówkę? Czy to jasne dno je przyciągało? Zadrżał na myśl, że gdzieś w okolicy może się też czaić jakiś większy

drapieżnik. Tymczasem Jim Ellis wrzucił swój worek do łodzi i zszedł po umocowanych do kadłuba klamrach. Scott zaraz uruchomił silnik i skierował motorówkę na drugi niszczyciel. Miał zamiar obrócić jak najszybciej.

- Kapitanie, mam coś dziwnego w wodzie - zameldował Sandison. - Prosto przed nami, odległość dwie mile. Chwila... Oko sądzi, że to okręt podwodny!

- Co z naszą motorówką? - zapytał Matt.

- Przy burcie. Zaraz będą ją wciągać.

- Dobrze. Przekażcie Palmerowi na *Mahanie*, że płyniemy sprawdzić obiekt, który może być okrętem podwodnym. Sonar wciąż nie działa?

- Wciąż, sir. Jim, czyli pan Ellis, pracował nad tym, ale... Ale może jeszcze uda nam się go uruchomić, jeśli...

- Dodasz go do listy.

- Sir, pan Garrett też widzi to coś i również uważa, że to okręt podwodny - odezwał się Karas. - Mówi, że dokoła pływają jakieś szczątki i ludzie. Może to japoński okręt podnoszący rozbitków z niszczyciela, który zatopiliśmy.

- Jak motorówka?

- Zabezpieczona, sir - odparł Riggs, wychylając się z lewego skrzydła mostka.

- Ogłosić alarm bojowy! - rozkazał Matt. - Cała naprzód. Może dopadniemy go na powierzchni.

Spanky sprawdzał uszkodzenia w przedniej kotłowni. Osiem martwych ciał usunięto już wcześniej, wciąż jednak nie mógł zapomnieć ich widoku. Znał przecież tych ludzi. Towarzyszyli mu mechanik Dean Laney i odpowiedzialny za naprawy Dave Elden, który na bieżąco zapisywał spostrzeżenia. Dwie wielkie dziury wybite przez ciężki pocisk wpuszczały do środka światło dnia. Kotły uniknęły zniszczenia, ale przewody parowe zostały kompletnie porwane.

- To cud, że nie trafił w kocioł - zauważył Laney.

McFarlane chrząknął.

- Tak, ale zniszczony kocioł to byłby wtedy najmniejszy problem - powiedział. - Gorzej, że przy uderzeniu w taki kawał żelaza pocisk pewnie by eksplodował, rozrywając nas na kawałki.

Pozostali mężczyźni z powagą pokiwali głową.

- Niewiele możemy tu teraz zrobić, Spanky - powiedział Elden. - Do tego potrzebna jest

stocznia.

- Wiem. Może jednak uda się złożyć chociaż jeden przewód. Wolałbym nie polegać tylko na dwóch kotłach. Szczególnie że jeden z nich to numer czwarty. Nie ufam mu. Jeśli zawiedzie, zostaniemy na środku morza jak kaczka na jajach. Idealny cel dla Japończyków.

W tej samej chwili we względnie cichym pomieszczeniu rozryczała się syrena alarmu.

- Jezu Chryste! - jęknął Laney, gdy kratownica pod jego nogami przechyliła się lekko i okręt nabrał prędkości. - Tylko nie to!

- Nie wiedziałeś? - spytał McFarlane, spiesząc do służby. - Mamy wojnę.

- Działo numer jeden, przygotować się do otwarcia ognia do celu nawodnego! - krzyknął Garrett. - Szacowany dystans dwa, dwa, zero, zero.

Zdołał już trochę doprowadzić się do ładu, ale kark piekł go ciągle tam, gdzie zetknął się z uchodzącą z kotłowni parą. Z kontrolą ognia nie było najlepiej, ale mogli strzelać. Spojrzał na ciemny kształt ledwie wystający nad powierzchnię morza. Przypominał częściowo zanurzony okręt podwodny płynący przez grupę znajdujących się w wodzie ludzi. Garrett wolałby nie otwierać ognia do bezbronnych rozbitków, nawet jeśli to byli wrogowie, ale cóż było robić. Miał już wydać rozkaz, gdy nagle zauważył coś dziwnego. Nie opuszczając lornetki, nachylił się do rury głosowej.

- Kapitanie, coś tu nie gra - zameldował.

Matt sięgnął po słuchawki.

- Co takiego? - zapytał.

- To nie wygląda jak powinno, sir. Ten okręt podwodny porusza się trochę, ale nie ma kiosku. A ludzie w wodzie starają się od niego odpłynąć. Widzę, jak machają rękami. Nie ma ich wielu, ledwie garstka, ale wyglądają... na przerażonych. - Przez chwilę żaden z nich nic nie powiedział. - Skipper...? Może to nasza łajba? Może dlatego Japońce nie chcą trafić na jej pokład? Słyszałem, że się nie poddają.

- Chyba nie, Greg. Też na to patrzę. W życiu nie widziałem takiego okrętu podwodnego. Mamy ich tu kilka, ale wszystkie są zwyczajne.

- Cholera jasna...! - rozdarł się nagle z bocianiego gniazda Reynolds. - Sir, to nie okręt podwodny! To jakaś wielka ryba!

Garrett zamrugał. Widział okręt podwodny, bo tego właśnie oczekiwał. Gdy tylko usłyszał słowa Reynolds, zrozumiał, że młody marynarz ma rację.

- Jezu Chryste! - zawołał. - Skipper, to rzeczywiście ryba. Albo wieloryb czy coś. On chyba pożera tych Japońców!

- Otworzyć ogień! - rozkazał Matt.

- Aye, aye, sir. Działo numer jeden, dystans... jeden cztery, cztery, zero! Otworzyć ogień!

- Garrett był tak przejęty niezwykłą sytuacją, że nie uruchomił brzęczyka ostrzegawczego. Działo na przednim pokładzie zagrzmiało i chwilę potem tuż za celem wytrysnął słup wody. - Działo numer jeden, poprawka. Sześćdziesiąt w dół, trzy pociski, wznowić ogień!

Trzy wystrzały zabrzmiały jeden po drugim tak szybko, jak tylko budowa działa pozwalała. Pociski padły z małym rozrzutem i tym razem woda wyraźnie zabarwiła się czerwienią. Stworzenie poderwało się i w zapadającym już zmroku Matt dostrzegł jego opływową sylwetkę. Naprawdę przypominało wieloryba, tyle że miało długą i pełną zębów paszczę. Kłapiąc nią niczym krokodyl, zanurkowało i machnąwszy gwałtownie dwoma wielkimi płetwami, rzuciło się do ucieczki.

- Boże wszechmocny.

Gdy podплыли bliżej do pływających w wodzie ludzi, którzy rozpaczliwie czepiali się pływających szczątków, powierzchnia morza zagotowała się od setek srebrzystych ryb. Ławica otoczyła rozbitków z fatalnym skutkiem. Ryby przypominały tuńczyki, ale zachowywały się jak piranie. Byli już dość blisko, żeby słyszeć krzyki masakrowanych ludzi.

- Dwie trzecie wstecz, ster dziesięć w prawo! - zawołał Matt i wychylił się przez wybite okno. - Wyciągnijcie tych ludzi z wody! Ster prosto - dodał spokojniej, patrząc na Tolsona. - Maszyny stop. Pilnuj, żeby byli po zawietrznej. - Spojrzał ze skrzydła mostka. Morze dosłownie się gotowało. Pamiętał, jak kiedyś w Amazonii na jego oczach rzucono do wody martwą krowę. Piranie w kilka chwil obrały ją wtedy do gołego szkieletu. Ledwo powstrzymywał mdłości, gdy setki znacznie większych ryb robiły to samo z pływającymi w dole Japończykami. Ale co to były za ryby? Nie znał się na morskiej faunie, ale nigdy nie widział niczego podobnego. Sądząc po minach jego ludzi, oni także nie. Tylko na Grayu nie robiło to chyba wrażenia. Zajął się tym, co miał wykonać, jakby codziennie napotykał ławice ludojadów. Matt pozazdrościł mu tego.

Mimo starań Graya, zanim udało się zebrać ludzi i opuścić liny, nie było już kogo ratować. Kotłowanina płetw i zębów znaczyła miejsce, gdzie zniknął ostatni z pływaków. Chwilę potem ławica zaczęła się rozpraszać i tylko niektóre ryby łapały jeszcze pływające tu i ówdzie strzępy ciał. Na łagodnie falującym morzu została jedynie przewrócona do góry dnem łódź, na której znajdowali się dwaj ludzie. Jeden wydawał się nieprzytomny, drugi klęczał nad nim z ogryzionym kikutem wiosła w dłoniach. Gdy uniósł głowę, okazało się że ma azjatyckie rysy. Chyba dopiero teraz spostrzegł niszczyciel, ale przyjął to ze stoickim spokojem. Stoczywszy walkę z monstrualnym skrzyżowaniem wieloryba z krokodylem i całą

ławicą drapieżnych tuńczyków, musiał chyba uznać okręt za jeszcze jednego przeciwnika. Matt obrócił się i ujrzał spoglądającego nań ze schodni australijskiego inżyniera, którego wcześniej spotkał tylko raz.

- Czy mogę... sir... na słówko?

Matt pokiwał głową i wysoki mężczyzna wspiał się na górę. Rzadkie przepocone włosy kleiły mu się do czaszki. Przeczesał je lewą dłonią, jakby szukał kapelusza, który trzymał w prawej ręce. Zauważywszy, że wszyscy na mostku noszą hełmy albo czapki, nałożył i swoje nakrycie głowy. Potem zerknął jeszcze na przedni pokład, gdzie kilku marynarzy rzucało liny rozbitkowi na łodzi i przekonywało go gestami, żeby złapał się którejś.

- Wielkie nieba - rzekł przybysz. - Niewyobrażalne. Ten Japończyk musiał przejść piekło, ale wciąż nie chce się poddać. Przypuszczam, że nie ma pan na pokładzie nikogo, kto by mógł się z nim porozumieć? Nie, oczywiście, że nie.

Matt spojrział na inżyniera i uniósł brew. Już wcześniej zauważył, że mężczyzna ma dziwny zwyczaj odpowiadać sobie na własne pytania.

- Zaskoczę pana, panie Bradford, ale mamy na pokładzie kilku starych Chińczyków. Niektórzy mogli nauczyć się trochę japońskiego.

- Naprawdę?

Ostatecznie jednak tłumaczem nie został żaden z marynarzy, którzy służyli u wybrzeży Azji, ale porucznik Mallory, pilot towarzyszący kapitanowi Kaufmanowi. Wypowiedział kilka zdań, które dla Matta mogły być równie dobrze japońskim co językiem Marsjan, niemniej uparty rozbitek cisnął w końcu resztkę wiosła do morza i złapał linę. Matt spojrział na Garretta.

- Proszę dać naszym ludziom jakąś broń, zanim wciągną Japończyka na pokład - powiedział. - Gdzie pan się nauczył japońskiego, panie Mallory?! - zawołał, wychylając się przez reling.

- Wychowałem się w południowej Kalifornii, sir! - odkrzyknął młody oficer. - Moja rodzina miała tam plantację pomarańczy! Zatrudnialiśmy wielu Japończyków!

- Dlaczego nie chciał złapać liny?!

- Powiedział, że okryłby hańbą swoich przodków, gdyby się poddał!

- Dureń! Nie widział, co stało się z resztą?! - Matt pokręcił głową. - A jak go pan przekonał?!

Mallory zawahał się.

- Nie przekonałem go, sir! Ale zgodził się, żebyśmy uratowali jego oficera, skoro jest nieprzytomny i nie może o sobie decydować! Powiedziałem mu, że pozwolimy mu później

popelnić samobójstwo, jeśli będzie chciał!

- Jezu - mruknął ktoś. Mat Sonny Campeti zjawił się na pokładzie dziobowym z kilkoma springfieldami i szybko rozdał wszystkie oprócz jednego, który zachował dla siebie. Podczas gdy trzech marynarzy wyciągało rozbitka, reszta cofnęła się, trzymając broń w gotowości. Przytomny Japończyk balansował w tym czasie na kilu łodzi, zerkając co chwila na bezwładną postać leżącą obok niego twarzą do góry. Mężczyzna miał na sobie granatowy mundur. Łódź uderzyła w burtę niszczyciela i na dół poszła kolejna lina. Przytomny złapał ją z wprawą i szybko obwiązał towarzysza pod pachami. Potem wstał i odsunął się, ponownie łapiąc równowagę. Marynarze zaczęli wciągać rozbitka. Pozostały na łodzi nie spojrzął na niego więcej, tylko usiadł i schował głowę w dłoniach, wplatając palce we włosy.

Przejęty Gray spojrzął pytająco na Matta.

- Żyje?! - odezwał się kapitan przez tubę.

Gray położył palce na szyi mężczyzny i przytaknął. Nie licząc małej rany głowy, rozbitek wydawał się być w dobrym stanie.

- Zabierzcie go do mesy! - zawołał Matt. - Ma być pod strażą!

- Aye, aye, sir!

- A co z tym drugim?! - spytał Mallory.

- Nie wiem! Może by go złapać na łąso?! Japończyk czy nie, nie godzi się go tak zostawiać!

- Niech to! - zakrzyknął Courtney Bradford, który stał obok Matta i wpatrywał się w morze.

Kapitan obrócił ku niemu głowę, a potem spojrzął tam gdzie on. Woda pod łodzią robiła się coraz ciemniejsza i nagle spod powierzchni wystrzeliła bestia, którą widzieli wcześniej. Ta sama albo taka sama. Krokodyla paszcza zatrzęsnęła się na przewróconej szalupie. Stworzenie było naprawdę wielkie! Matt oceniał długość łodzi na dwadzieścia pięć do trzydziestu stóp, a szczęki były niemal równie długie. Gdy deski poszły w drzazgi, zębiska zahaczyły o nogę japońskiego marynarza. Matt usłyszał jego krzyk, bardziej bólu niż przerażenia. Zaraz potem rozbrzmiał ogłuszający werbel karabinów maszynowych znad mostka, włączyły się również karabiny ze śródokręcia. Strzelali także stojący na pokładzie marynarze i Matt pomyślał, że może któraś kula oszczędzi cierpienia upartemu Japończykowi, jednak w rozpryskach wody trudno było cokolwiek dojrzeć. Bestia szarpnęła się i uderzyła o burtę tak silnie, że kapitan musiał złapać się relingu. W końcu zniknęła, machając energicznie płetwami i wzbijając kolejne fontanny wody.

- Niech to! - powtórzył Bradford, który jeszcze chyba nie uwierzył w to, co zobaczył.

Matt też zastygł na chwilę, ale szybko się ocknął.

- Niech ktoś sprawdzi poszycie! - zawołał do ludzi w dole. - Mocno nas rąbnął.

Przez chwilę nikt się nie poruszał, w końcu bosman przerwał ten stan.

- Dalej, dziewczynki! - wrzasnął. - Kapitan wydał rozkaz! Nie gadajcie, żeście nigdy nie widzieli, jak potwór morski pożera Japońca!

Matt odwrócił się i na drewnianych nogach podszedł do swojego krzesła. Siadając, stwierdził, że słońce całkiem już się schowało za horyzontem. Zdjął czapkę i położył ją na kolanach. Miał wrażenie, że zużył tego dnia adrenalinę przewidzianą na całą resztę jego życia. Był potwornie zmęczony. W końcu westchnął i otarł twarz.

- Panie Tolson, wracamy do *Mahana* - powiedział. - Może uruchomili już maszyny. Odwołać alarm bojowy, ale karabiny maszynowe mają być obsadzone. - Ziewnął potężnie i spojrzał na ludzi wkoło. Jego podkomendni jeszcze nie doszli do siebie. - Co za wariacki dzień - wyszeptał.

Rozdział 3

Całą noc płynęli na południe z prędkością dwudziestu węzłów. Na każdym z niszczycieli sprawne były po dwa kotły i mogliby wydusić z maszyn sporo więcej, ale przy licznych uszkodzeniach kadłubów musieli bardzo uważać. Ekipy naprawcze dawały z siebie wszystko, starając się wykonać prace, które normalnie powierzono by stocznii. Pozbawione nitów powyginane blachy dociśnięto do siebie belkami rozporowymi.

Czekała ich jednak daleka droga i Matt zastanawiał się nawet nad powrotem do Surabai, jednak przy tak wielkiej aktywności przeciwnika zapewne nigdy by tam nie dotarli. Mieli dość paliwa, żeby dojść na Cejlon, gdzie pierwotnie się udawali, ponieważ była tam stocznia mogąca przyjąć *Exetera*. Teraz, gdy krążownik zatonął, najlogiczniejszym celem wydawało się Perth w Australii, do którego popłynęły już wcześniej ich siostrzane jednostki.

Noc była bezchmurna, ale księżyc nie dawał wiele światła. Starczało go akurat, żeby *Mahan* mógł się utrzymać w ich kilwaterze. Matt współczuł swojej wyczerpanej i nie dość licznej teraz załodze. W bitwie stracili ponad dwudziestu poległych, ośmiu zostało poważnie rannych. *Mahan*, z ponad sześcioma dziesiątkami zabitych, znajdował się w jeszcze gorszej sytuacji. Był pływającą kostnicą. Najwięcej ofiar spowodował wybuch ciężkiego pocisku, który całkowicie zdemolował mostek. Resztę poległych śmierć dosięgła w tylnej nadbudówce oraz w kotłowni.

W sumie niszczyciel przetrwał tylko cudem oraz dzięki temu, że podszedł na tyle blisko do *Amagiego*, iż krążownik nie mógł użyć przeciwko niemu artylerii głównej. No i był jeszcze szkwał, oczywiście. Matt niespokojnie poruszył się na krześle, wracając do tego wspomnienia. Na dodatek potem pojawiła się ta dziwna ryba, potwór morski właściwie. Niepokojący był także brak łączności radiowej. Po dokładnym sprawdzeniu urządzeń nie znaleźli w nich żadnej usterki, ale w tym stanie, zmęczeni i niewyspani, na pewno coś przeoczyli. Jasne, tak właśnie musiało być. Matt szeroko otworzył oczy i potrząsnął głową, żeby odpędzić nerwowe myśli. Niewiele to dało, bo po chwili głowa opadła mu powoli na pierś.

Zaraz zacznie się północna wachta, pomyślał leniwie. Wreszcie ktoś będzie mógł się wyspać. Biedny Richard. Cały dzień w bocianim gnieździe tylko po to, żeby zginać w ostatniej chwili walki. Wykonał swój obowiązek, ale nie zobaczył potwora morskiego. Jim też

nie, tak jak i wszyscy na tym drugim okręcie. Mieli szczęście. Przynajmniej nie będzie nawiedzać ich w koszmarach sennych. Ja już go widzę, chociaż jeszcze nie zasnąłem.

Zachrapał lekko. Garrett przejął okręt. Dłonie i szyję miał obwiązane bandażami. Podszedł cicho do kapitana i stanął obok, pilnując, żeby Matt nie spadł z krzesła. Porozumiewając się spojrzeniem z innymi, położył palec na wargach.

Matt obudził się szarym i mglistym świtem. Zamrugał, przetarł wciąż zasypane piaskiem oczy i rozejrzał się. Obok stał porucznik Dowden i rozmawiał cicho z bosmanem. Kapitan zirytował się, że pozwolili mu zasnąć, zaraz jednak poczuł ukłucie winy, że sam do tego dopuścił. Potem przyszła rezygnacja. Może i dobrze, pomyślał, przynajmniej będę miał więcej siły na nowy dzień.

- Kawa? - wychrypiał.

Zanim słowo wybrzmiało do końca, tuż obok pojawił się Juan Marcos z parującym kubkiem w dłoni. Juan był stewardem oficerów i jedynym Filipińczykiem, który nie zszedł z okrętu, gdy opuszczali archipelag. Można było go zrozumieć. Uśmiechnął się, gdy kapitan wziął kubek i skinął głową w podziękowaniu.

- Dobra - powiedział Matt, ostrożnie upiwszy łyk. - Bardzo dobra. Najlepsza kawa, jaką zrobiłeś, Juan.

- Ale, kapitanie Reddy, ja jej nie zrobiłem - odparł ze smutkiem Filipińczyk.

Matt spojrzał na Graya, który nagle odwrócił głowę.

- Cóż... właśnie się obudziłem i to moja pierwsza kawa - zaczął się tłumaczyć. - Może bardziej mi smakuje, bo naprawdę jej potrzebowałem.

Bosman zakaszłał, żeby zamaskować chichot. Juan naprawdę bardzo o nich dbał, zważywszy na to, jak mało miał do dyspozycji. Nikt nie chciał go urazić, niemniej rzeczywiście do kawy miał dość specyficzne, wręcz rzadko spotykane podejście.

- Nie, kapitanie Reddy - powiedział Juan oficjalnym tonem. - Ta kawa jest naprawdę dobra, lepsza niż moja. Jedna z pielęgniarek ją zrobiła - dodał takim tonem, jakby oczekiwał w kubku trucizny. - Skoro się pan obudził, przyniosę śniadanie. Niezrównane śniadanie!

- Nie wątpię - rzekł Matt z uśmiechem. - Jestem diabło głodny.

Filipińczyk wyprostował się godnie i opuścił mostek. Matt spojrzał na Graya i uniośł brwi, bosman zaś pokręcił głową. Potem spojrzał ku rufie.

- Dzielnie się nas trzyma - skomplementował *Mahana*.

Matt ledwie dostrzegał sylwetkę niszczyciela majaczącą w różowej porannej mgle. Wstał i rozprostował ramiona. Czuł się jak wypluty, chociaż nie odniósł żadnych obrażeń poza

drobnymi skaleczeniami od stłuczonego szkła.

- Gdzie jesteście? - zapytał.

Dowden podszedł do stołu nakresowego, Matt i Gray dołączyli do niego, żeby spojrzeć na mapę.

- Tutaj, sir - powiedział oficer, wskazując palcem. - To nasza przybliżona pozycja.

Matt zerknął na mapę i uniósłszy głowę, wbił spojrzenie w horyzont. Być może się mylił, ale miał wrażenie, że daleko przed nimi rozciąga się jakiś ląd.

- Wolałbym nie przechodzić cieśnin Lombok czy Bali za dnia - powiedział. - Jeśli Japończycy są też przed nami, tam najłatwiej mogliby nas zatrzymać. Malaje nie dają większego wyboru drogi. Mimo całej doby marszu jesteśmy tak naprawdę ledwie trzysta mil od punktu wyjścia. Wciąż mogą nas dopaść.

- Racja, sir - zgodził się bosman. - I to bez okrętów - dodał, pokazując na mapę. - Kilka samolotów tutaj, kilka tutaj i muszą nas zauważyć. Za słabo sterujemy, żeby uchylić się przed bombowcami nurkującymi.

Matt potarł szczecinę na brodzie i z namysłem pokiwał głową.

- A to co? - spytał, wskazując na skrawek lądu przy północno-wschodnim wybrzeżu wyspy Bali.

Dowden pochylił się nad mapą.

- To... wyspa Menjangan - powiedział. - Długa na jakieś dwie mile, może trochę więcej. Według mapy między nią a Bali jest kanał żeglugowy szeroki mniej więcej na milę.

- Może byśmy tam weszli i przyczaili się na cały dzień, żeby cieśninę Bali przejść nocą? - zastanowił się głośno Matt.

Dowden nie wyglądał na przekonanego, ale Gray poważnie się nad tym zastanowił.

- To sporo wody - stwierdził w końcu. - Sto czterdzieści stóp w dół i trzysta pięćdziesiąt po bokach. Prąd do przyjęcia. - Spojrzał na Matta. - Sam wolałbym nie przechodzić cieśniny Bali nocą, bo jest bardzo wąska, ale być może Japończycy dojdą do tego samego wniosku. Dobry pomysł, kapitanie.

- Może, ale z drugiej strony wiemy, że Japońcy są już na Bali - rzekł Matt. - Po przegranej w cieśninie Badung nie mieliśmy już jak ich powstrzymać - westchnął. - Szkoda, że tak wyszło. Teraz wszystko zależy od tego, jak bardzo się umocnili. Ich pierwszy rzut był nieliczny i obsadzał głównie lotniska. - Zastanowił się. - To duża wyspa, a oni wylądowali po jej drugiej stronie. W najgorszym razie mogli tu wysadzić kilku obserwatorów, ale nie sądzę, żeby marnowali czas na dozоровanie cieśniny przy Menjanganie. Nic by im to nie dało.

Dowden pokiwał głową. Wiedział, że w przeciwnym razie czeka ichienne przejście

podwójnie niebezpiecznego akwenu.

- Przeczekamy tu dzień - zdecydował Matt. - Będzie okazja załatać kilka dziur. Ja popłynę do Jima, żeby na własne oczy zobaczyć, w jakim stanie jest *Mahan*. - Zapatrzył się na mapę. - Ciekawe, czy znajdziemy dobre miejsce przy brzegu. Na wielu z tych wysepek dżungla schodzi do samego morza. To byłoby idealne, ale trafiają się też całkiem nagie wyspy wulkaniczne. - Spojrzał pytająco na obecnych. - Nigdy tam nie byłem - dodał, lecz Dowden i Gray pokręcili głową. - Poślijcie po pana Bradforda. Może on będzie coś wiedział.

- Tak jest, sir.

Bosman poszedł za Mattem na skrzydło mostka, gdzie stanęli w milczeniu, patrząc na *Mahana*.

- Swoją drogą jak tam nasi pasażerowie? - spytał Matt.

Gray uniósł brew i parsknął.

- Chwilowo byłem trochę zajęty - odrzekł - i dałem im odetchnąć od mojej obecności.

Matt zachichotał.

- Nie jesteś tylko bosmanem, ale i szefem! Masz wiedzieć o wszystkim, co się dzieje na pokładzie.

Gray chrząknął enigmatycznie.

- Tak jest, sir. Porucznik Mallory stracił na wadze. Pomagał nosić amunicję i gdyby nie on, przypuszczam, że musielibyśmy zostawić obu tych żołdków. Kaufman się naraził. Przez cały dzień wyrastał, gdzie go nie posiali, i próbował mówić ludziom, co mają robić. W końcu Campeti dał mu pocisk do czterocalówki i kazał zanieść go do działka numer jeden. Zagroził mu, że albo posłucha, albo wpakuje mu ten pocisk w spodnie i tak wyrzuci za burtę.

Matt roześmiał się, ale zaraz poczuł złość na samolubnego idiotę, który przeszkadzał jego ludziom w czasie walki. Zmusił się do zachowania spokoju, zdumiało go jednak, jak szybko wezbrała w nim ta wściekłość.

- A pielęgniarki? - zapytał. - Słyszałem, że jedna zginęła.

Gray pokiwał głową. Schował ręce do kieszeni, zaraz jednak je wyciągnął.

- Tak jest, sir - odparł z prawdziwym żalem. - Na dodatek była piękna. Leslie Runnels albo Ranells czy jakoś tak. Pomagała Docowi i Rodriguezowi, gdy oberwali. Rodriguez ma niedużą ranę nogi. Wyjdzie z tego, chociaż ledwo udało się zatamować krwawienie. Chyba przecięta arteria. - Zamilkł na chwilę i pokręcił głową. - Ten pocisk, który zabił Doca i pielęgniarkę, chybił go o włos. Reszta dziewczyn zaraz się wszystkim zajęła, a ich porucznik, nazywa się Tucker, objęła dowodzenie. Widziałem ją w akcji, gdy przynosiłem rannych. Wkoło dym i krew, ciągle coś trafiało w okręt, a ona cięła, szyła i wydawała rozkazy jakby

nigdy nic. Nie wiem, jak byśmy sobie bez niej poradzi. Na pewno stracilibyśmy więcej ludzi. Była cała masa rannych, a im zabrało jedną z nich.

- Będę musiał jej podziękować - powiedział Matt i głęboko westchnął. - Wszystkim im podziękuję. - Nie znam dokładnej listy ofiar. Potrzebne mi kompletne wykazy ze wszystkich działów. Będzie wiele listów do napisania...

Courtney Bradford wybrał ten moment, żeby wspiać się do nich po schodni.

- Domyślam się, że potrzebujecie panowie pilota znającego te tajemnicze morza? Bez wątplenia potrzebujecie i macie mnie. Życie morskie wokół Menjanganu jest po prostu niesamowite! Naprawdę wspaniałe! Nie ma żadnych płycizn, tylko opadające równo urwisko z mnóstwem dziwnych stworzeń, które na nim przemieszczają. Gdy raz zapuściłem sieć, sam ledwie uwierzyłem w to, co wyciągnąłem.

- Zgadza się - odparł zaskoczony Matt. - Ale nie będziemy mieli czasu na oglądanie tych dziwów. Zapomniałem, że jest pan przyrodnikiem.

- Naturalistą, drogi chłopcze. To takie moje hobby. Kiedyś napiszę o tym książkę. Cała ta wojna jest mi bardzo nie na rękę!

- A co właściwie robi naturalista?

- Bada przyrodę, proszę panów. Może to zbyt górnolotne określenie, ale dobrze do mnie pasuje. Przyrodniccy skupiają się zwykle na jakiejś wybranej dziedzinie, ja natomiast zajmuję się wszystkim po trochu. Moja książka też nie ma być o niczym konkretnym, zamyślam ją raczej jako głos w dyskusji o różnorodności fauny tych okolic.

Rozmawiając, przeszli pod dach i cała wachta zaczęła wyciągać uszy, ciekawa, co mówi dziwny Australijczyk.

- Proszę powiedzieć, panie Bradford - odezwał się Matt poważnym tonem - czy prowadząc swoje studia, słyszał pan kiedykolwiek o... - Zawahał się, szukając właściwego określenia. Z jakiegoś powodu „potwór morski” wydał mu się nie na miejscu. W końcu wspomniał o „stworzeniu”. - Zapomniałem spytać pana o to wieczorem.

Bradford spojrzał na niego i pozostałych.

- Nie, kapitanie - odrzekł cicho. - Nigdy. Ani o podobnej ławicy ryb! Chyba że, oczywiście... - Przerwał i poprawił kapelusz, masując przy tym palcami czoło. - Słyszał pan kiedykolwiek o plezjozaurach? - spytał z wahaniem. Matt zmrużył oczy, nie wiedząc, o czym mowa, i Gray pokręcił głową. - To fascynujące zwierzęta. Szczególnie ciekawy okaz znaleziono kiedyś w pobliżu Queensland i nazwano bodaj kronozaurom. Miał łeb wielki prawie na osiem stóp!

Teraz słyszeli go już wszyscy, a pobudzony Bradford coraz bardziej zapalał się do

tematu.

- Musiał być straszny! - ciągnął. - Długie, masywne płetwy i paszcza pełna zębów! Drapieżnik równie groźny jak orka. Musiał pan o nim słyszeć!

Matt uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie. Dobrze jednak, że ktoś go nazwał. Teraz wiemy, co przydarzyło nam się zobaczyć. Muszą być jednak wyjątkowo rzadkie, bo inaczej byłoby o nich głośno.

Bosman spojrzał na Bradforda sceptycznie, jak na wędkarza bajającego o taakiej rybie.

- Służę w marynarce niemal tak długo jak ten okręt - mruknął - i nigdy nie słyszałem o żadnych plezjorazach czy jak to się nazywa.

Bradford wyglądał na zdumionego niczym sowa, która obudziła się, wisząc na gałęzi, miast na niej siedzieć.

- Nie, nie rozumiecie! - powiedział. - To w żadnym stopniu nie mógł być kronozaur. Te stworzenia wyginęły dziesiątki milionów lat temu!

Matt zerknął na Bradforda i westchnął. Dość miał tych zagadek i wolałby uniknąć nowych.

- Całkiem wyginęły? - spytał ponuro Gray.

Bradford energicznie pokiwał głową.

- Otóż to - powiedział. - Już ich nie ma. Nie chciałem sugerować...

- Hmm - odezwał się Matt. - Cóż, rozumiem, że ma pan sporo do roboty, bosmanie? Dobrze. Panie Bradford, zamierzamy schować się między Bali i wyspą Menjangan i przeczekać tam do zmroku. Chciałbym, żeby był pan przez jakiś czas w pobliżu, gdybym miał jakieś pytania. - Skinął obu mężczyznom głową i zszedł po schodni. Dobiegł go jeszcze komentarz bosmana:

- Jeśli jeszcze raz nazwie pan naszego kapitana chłopcem, wrzucę pana w spienioną wodę za rufą!

Mimo zatroskania Matt nie zdołał opanować uśmiechu, słysząc, jak Bradford na zmianę protestuje i przeprasza. Gray myśli, że to zwykła bujda, przebiegło mu przez myśl, ale czy rzeczywiście? Coś przecież pożarło tego Japończyka. I to na naszych oczach. Z drugiej strony naukowcy co rusz odnajdują jakieś zwierzę, które mieli za całkiem wymarłe. Może to właśnie taki przypadek?

Na platformie kontroli ognia wymienił pozdrowienia z poranną wachtą, która przyglądała się rosnącemu przed nimi lądowi. Brzegi obu wysp spowijała mgła, nie była jednak zbyt gęsta. Owszem, rzadkie zjawisko na tych morzach, nie powinno jednak utrudniać nawigacji i mogło ukryć ich przed samolotami. Po chwili wrócił na mostek.

Mahan trzymał się blisko, gdy bez większego trudu i z paroma tylko podpowiedziami Bradforda weszli do cieśniny. Bosman pomiałał na dziobowym pokładzie marynarzami przydzielonymi do obsługi ocalałej kotwicy. Gdy ją rzucono, dwie motorówki, po jednej z każdego niszczyciela, popłynęły z linami na brzeg wyspy. Cała wachta patrzyła niespokojnie, jak znikają we mgle.

- Mam nadzieję, że rozkazał pan, by nie wchodzili do wody? - odezwał się nerwowo Bradford.

Matt spojrzał na niego.

- Myśli pan, że może tu być więcej tych ryb? - zapytał.

Australijczyk pokręcił głową.

- W ogóle nie powinno być - odrzekł. - Gdziekolwiek.

- Niech się pan nie przejmuje - mruknął Matt zgodnym tonem. - Po tym, co się wczoraj zdarzyło, woda nikogo nie skusi.

Kotwica trzymała mocno, ale Matt wolał przeciągnąć cumy do brzegu, żeby mogli zamaskować okręty zielenią. Dokoła było dziwnie cicho. Huk palników osłabł do lekkiego szumu, łagodne fale chlapały lekko o kadłub. Ludzie wynieśli z dołu cienkie materace i rozłożyli je na pokładzie, żeby choć jedną noc spędzić na świeżym powietrzu. Inni wciąż pracowali nad usuwaniem uszkodzeń.

Matta zawsze uderzał ten kontrast. Jego załoga była zdolna do długotrwałego wysiłku i aktów wielkiej odwagi, gdyż mogła naprawdę swobodnie wypoczywać. Wielu z kręcących się po pokładzie ludzi, którzy szukali miejsca na rozłożenie swoich materacy, było na nogach przez trzydzieści sześć godzin albo i więcej. Ci, którzy teraz pracowali, w większości podłapali trochę snu w nocy. Dwaj marynarze, którzy wyszli właśnie z dołu, zmrużyli oczy przed mdłym jeszcze światłem poranka. Pod warstwą potu i brudu byli bladzi i Matt dopiero po chwili poznał, że to ci dwaj zwani Myszami. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej wychodzili z kotłowni. Rozejrzeli się dokoła, trochę jak prawdziwe gryzonie, które przegryzły się przez ścianę do nieznanego im pokoju, w końcu wspięli się na nadbudówkę na śródkręciu i schowali za magazynkiem amunicyjnym działa numer dwa. Pewnie zasnęli, nim na dobre się ułożyli. Matt pomyślał, że ekipy naprawcze oraz cała maszynownia oberwały w tej bitwie najbardziej.

Dołączył do porucznika Dowdena, który wypatrywał obu posłanych na brzeg motorówek. Ich sylwetki ciemniały niewyraźnie w lekkiej mgle obok przybrzeżnych skał, nic jednak tam się nie poruszało. Sama wyspa kryła się w oparze, mieli jednak wrażenie, że jest gęsto porośnięta. Matta naszły złe przecucia, ale zaraz je odpędził. Jego ludzie szukają najpewniej

drzewa dość dużego, żeby utrzymało cumę. Może potrwać, zanim znajdą odpowiednie.

Nagle od wyspy dobiegł przytłumiony odgłos strzału. Obaj oficerowie unieśli lornetki. Zaraz potem rozległy się trzy kolejne strzały.

- Przygotować prawoburtową trzydziestkę! - krzyknął Matt. - Nie otwierać ognia bez rozkazu!

Ktoś zdjął brezent z karabinu maszynowego i założył nową taśmę amunicyjną.

Stanowisko obsługiwał mat Dennis Silva, zwykle przypisany do działu numer jeden. Był prawdopodobnie najlepszym strzelcem na pokładzie, poza tym jednak sprawiał sporo kłopotów. Na pokładzie zawsze kompetentny i profesjonalny, na brzegu okazywał się nieprzewidywalny, wręcz szalony. Matt najchętniej zakazałby Silvie opuszczania okrętu, ale wtedy zacząłby się samowolnie oddalać, co zdarzało mu się już wcześniej, i narobiłby jeszcze większych kłopotów. Był ich własnym Herkulesem, kimś cennym, ale wymagającym specjalnej opieki. Teraz Silva spoglądał na łodzie z dłonią na spuście karabinu, którego lufa celowała jednak ciągle w niebo. Jeden z jego pomocników, Tom Felts, trzymał taśmę amunicyjną.

- Widzę ich! - zawołał Dowden, wskazując na kilka wyłaniających się z mgły postaci. Dwaj ludzie pomagali iść trzeciemu. Dotarli do motorówki i szybko zepchnąwszy ją na wodę, załadowali się do środka. Matt usłyszał jeszcze kilka strzałów i reszta grupy dobiegła do drugiej łodzi i też pospiesznie odbiła. Zakaszłały uruchamiane silniki i obie motorówki pomknęły w stronę *Walkera*.

- Nie wiem, do czego oni strzelali, ale pilnuj brzegu! - zawołał Matt do Silvy.

- Tak jest, sir.

Kilka minut później motorówki dobiły do burty niszczyciela i marynarze wspięli się na pokład, taszcząc rannego towarzysza, który ze zdumieniem ujrzał, że czekają już na niego dwie pielęgniarki. Bosmanmat Carl Bashear, który dowodził oddziałem, przystanął przy nich i zamienił parę słów. Potem skierował się na mostek.

- Nie udało nam się uwiązać lin, skipper - powiedział, oddychając ciężko. Ciemne włosy miał sklezione potem. Mimo mgły temperatura sięgała dwudziestu sześciu stopni, swoje robiła też duża wilgotność powietrza.

- Tyle sam widzę - rzekł Matt. - Co się stało? Kto jest ranny?

- Tam były jaszczury, sir - wyrzucił z siebie Bashear. - Wielkie jaszczury.

- Niemożliwe! - parsknął Bradford.

Matt uciszył Australijczyka spojrzeniem.

- Jakie jaszczury? - zapytał. - I do czego strzelaliście?

Bashear zaczynał się wreszcie uspokajać.

- Nie wiem jakie, skipper, ale były. Rozdzieliliśmy się, żeby poszukać dobrych drzew do lin na przystań. Wtedy Leo Davis zaczął się nagle drzeć, że coś go złapało. Pobiegłem z Vernonem i Scottem, no i faktycznie. Jakiś dziwny jaszczur ciągnął go za nogę gdzieś w zarośla.

- Ale... ale... - zaczął bliski wybuchu Bradford, lecz Matt ponownie go uciszył, tym razem ruchem dłoni, i kazał Bashearowi kontynuować.

- Tak jest, sir, dziękuję, sir. Tak czy owak, gdy zobaczyliśmy, że ten jaszczur chce pożreć starego Davisa, zaczęliśmy strzelać do stwora. Ja i Scott mieliśmy karabiny. - Przerwał na chwilę i łyknął coli, którą podał mu bosman. - No to go puścił i rzucił się na nas. Strzelaliśmy dalej i jestem pewien, że go zabiliśmy. Potem wzięliśmy Davisa i ruszyliśmy z powrotem do łodzi, ale nagle dokoła pojawiło się więcej tych jaszczurów i do nich też musieliśmy strzelać. Ledwie nam się udało, bo nie mieliśmy zapasowych naboji, a te jaszczury były naprawdę wielkie.

- Niemożliwe! - nie wytrzymał Bradford. - Jedyne jaszczury zdolne zaatakować człowieka żyją na wyspie Komodo, która leży dwieście mil morskich stąd. Występują tylko tam i jeszcze na paru przyległych wysepkach. Nigdzie więcej, a na pewno już nie na Menjanganie! Wielki Boże, co ty opowiadasz, człowieku? Byłem tu już kiedyś i nie spotkałem niczego podobnego. Nie sądzę, żeby żyły tu nawet jakieś mniejsze drapieżniki.

Bashear spojrzał zimno na Australijczyka.

- Nazywa mnie pan kłamcą? - zapytał.

- Te jaszczury z Komodo... - wtrącił zaraz Matt.

- Smoki, sir - przerwał mu Australijczyk. - Tak je nazywamy. Smoki z Komodo, po łacinie *Varanus komodoensis*.

- Mniejsza o to - rzucił Matt. - Dla mnie mogą nawet zionąć ogniem, ale chcę wiedzieć, czy są jadowite. Jeden z moich ludzi został pogryziony.

Bradford zamrugał, zapominając o wzburzeniu.

- Istotnie - przyznał. - Są jadowite, i to bardzo, a raczej ich ślina jest silnie toksyczna. Zapewne dlatego, że w ich paszczach żyją całe kolonie bakterii...

Bashear nie czekał na ciąg dalszy.

- Skipper, za pozwoleniem... - rzekł.

Matt machnął ręką, pozwalając mu odejść.

Bradford obrócił się, przeszedł na prawe skrzydło mostka i spojrzał na lepiej już widoczną wyspę. Nagle zeszywniał.

- Patrzcie! - zawołał. - Niech mi ktoś pożyczy lornetkę. - Porucznik Pruitt Barry z artylerii wzruszył ramionami i podał mu szkła. - Tam! Tam są dwa!

Matt też spojrział. Na plaży kręciła się para nadzwyczaj wielkich jaszczurów. Mierzyły chyba od dziesięciu do dwunastu stóp, miały tępe nosy i biczowate ogony. Zeszły niemal do samej wody i spojrzały na oba niszczyciele.

- Boże, ale one są wielkie! - wykrzyknął Bradford. - Największe, jakie widziałem. A barwa ich skóry... Zielona i czerwona. Niezwykłe!

Nagle jeden z jaszczurów uniósł się na tylnych nogach, przybierając niemal pionową pozycję. Stał tak, kołysząc łbem w górę i w dół, jakby łapał wiatr.

- Boże! - gorączkował się Bradford. - Kapitanie, muszę tam popłynąć. Proszę tylko spojrzeć! On stoi! To jakiś całkiem nowy gatunek, nigdy wcześniej nie widziany. Wyobraża pan sobie? - ciągnął, obojętny na wszystko. - Proszę pozwolić mi zejść na brzeg. Muszę przyjrzeć im się dokładniej.

- Czy zapomniał pan już, gdzie jest, panie Bradford? - spytał w końcu Matt spokojnym głosem, chociaż sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Australijczyk oderwał wreszcie spojrzenie od plaży i zerknął na kapitana. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nagle się opamiętał.

- Oczywiście, kapitanie - odparł ze smutkiem. - Oczywiście. - Westchnął. - Przepraszam. Niecodziennie trafia się taki widok. Odkrycie nowego gatunku to bardzo ważne wydarzenie. - Spojrzął z żalem na wyspę. - Jeszcze jeden pech związany z wojną.

Matt pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Chyba wszystkich nas dotknął. - Obrócił się do Dowdena. - Raczej nie uda nam się przycumować okrętów. Zostaniemy na kotwicy. Wszyscy wolni od wachty mają wypatrywać samolotów. Okręt ma być gotowy do natychmiastowego odpłynięcia.

Matt pojął z zaskoczeniem, że zwrócił się do podporucznika Dowdena, jakby naprawdę był on już pierwszym oficerem na *Walkerze*. Z braku Jima i śmierci innych starszych oficerów był to oczywisty wybór. Dowden był bezpośrednim podwładnym Jima i często wykonywał jego obowiązki, czasem naprawdę trudne. W zasadzie zbyt młody na to stanowisko, za sprawą wojny miał szansę zostać pełnym porucznikiem, zanim jeszcze dopłyną do Australii. Matt nie wątpił, że tak będzie słusznie. Poza nim mógłby wybrać, w kolejności starszeństwa, oficera zaopatrzenia Alana Lettsa, Garretta bądź Spanky'ego. Dwaj ostatni byli potrzebni tam, gdzie byli, a Letts... mógłby rozczarować. Był dobrym człowiekiem i znał swoją robotę, ale brakowało mu lotności. *Walker* potrzebował teraz kogoś naprawdę dobrego i jasnowłosy podporucznik z Tennessee wydawał się najwłaściwszy.

Matt pokręcił głową i zajął się pozostałymi sprawami.

- Możliwe jednak, że samoloty nas nie zauważą - powiedział. - Będą szukać raczej w cieśninie. Wywołajcie aldisem *Mahana* i spytajcie pana Ellisa, czy będzie mu pasowało, jeśli przyplynie do niego za jakąś godzinę.

Matt siedział na koi w swojej małej kabinie i sprawdzał palcami rezultat golenia. Trochę trudno było mu operować brzytwą wokół drobnych skaleczeń na twarzy, ale coś w końcu z tego wyszło. Usatysfakcjonowany ubrał się i spojrzął w wiszące nad biurkiem lustro. Tak lepiej, pomyślał. Szybki prysznic też pomógł, ale wciąż był zmęczony, oczy miał podkrążone i zaczerwienione, kleiły mu się powieki. Ponownie usiadł na koi i nastawił ucha na głosy dobiegające z zatłoczonej mesy. Gdybyż tylko mógł się położyć i zdrzemnąć, choć na minutę. Ciasna i niewygodna koka wydawała mu się teraz najciekawszym miejscem na świecie.

Ktoś zapukał we framugę.

- Sir? - odezwał się z wahaniem Garrett.

- Jestem - westchnął Matt i wstał. Garbiąc się, wyszedł na korytarz i skierował się do mesy, gdzie czekała już większość oficerów i szefów służb. Wielu dopiero objęło swoje obowiązki. Byli też Ellis i obandażowany porucznik Tony Monroe z *Mahana*. Monroe był pomocnikiem oficera nawigacyjnego i poza Perrym Bristerem, jego głównym inżynierem, jedynym ocalałym z oficerów. Brister pozostał na *Mahanie*, żeby dopilnować napraw, i dobrze się stało, bo w razie alarmu miał kto dowodzić niszczycielem.

Ponadto w mesie były trzy z pielęgniarek oraz obaj piloci. Jako że zabrakło krzeseł, Courtney Bradford opierał się o ścianę po drugiej stronie pomieszczenia. Juan krążył między ludźmi, napełniając kubki kawą z dwóch dzbanków. Wszyscy byli spoceni, a dym papierosowy ulatywał przez drobne otwory powstałe w czasie walki w dwóch ścianach mesy. W ogólnym zamieszaniu nie wszyscy od razu dostrzegli kapitana i dopiero Garrett przywołał ich do porządku:

- Kapitan na pokładzie!

Zebrani stanęli na baczność i tylko kapitan Kaufman wciąż niedbale opierał się o gródź. Na jego twarzy malowało się pogardliwe lekceważenie.

- Witam panów... i panie - powiedział Matt, dostrzegłszy pielęgniarki. Mimo wyczerpania zauważył, że są młode i ładne. Rozpoznał tę, która przyniosła mu kawę na mostek, i skinął jej głową. Inna, pani porucznik, spojrzała na niego ze szczerym podziwem.

W oczach Sandry był młodzieńcem, którego niezwykle i trudne okoliczności zmusiły do nagłego przyjęcia wielkiej odpowiedzialności. Wszyscy wiedzieli, w jakiej sytuacji się

znaleźli, a przynajmniej tak im się zdawało, i że ostatnio doszło do wielu dziwnych wydarzeń. Pod kapitańską pewnością siebie Sandra wyczuła lekkie wahanie, ale nie wiedziała, czy to skutek owych osobliwości czy tylko ciężaru dowodzenia dwoma uszkodzonymi okrętami. Sercem była z nim. Jako pielęgniarka potrafiła rozpoznać oznaki cierpienia, nawet takiego z zaciśniętymi zębami. Wprawdzie sam kapitan nie został ranny, w jego oczach odbijał się jednak ból załogi.

Matt poczuł się nieswojo, patrząc w zielone oczy pielęgniarki. Odniósł wrażenie, że spojrzenie dziewczyny wnika w jego duszę, i szybko przeniósł wzrok na resztę obecnych.

- Pierwsza sprawa: stan okrętu - powiedział, zaczynając odprawę. - Nie mam jeszcze pełnego obrazu, ale mamy parę, przecieki są pod kontrolą i starczy nam paliwa na przejście z szybkością dwudziestu węzłów do Perth. Musimy jednak brać pod uwagę także stan *Mahana*, dlatego teraz oddaję głos panu Ellisowi.

Jim przytaknął i odchrząknął.

- Dziękuję, skipper. - Rozejrzał się po mesie. - *Mahan* zdrowo oberwał. Nie zatonął, ale stracił większość nadbudówek. Połowa załogi zginęła i jest dwudziestu rannych. Niektórzy poważnie. - Dostrzegł liczne zdumione spojrzenia. - Tak, jest gorzej, niż sądziliśmy. Większość ofiar to obsada mostka i tylnej kotłowni. Zginęli wszyscy z wachty na mostku i platformy kontroli ognia. Działa numer dwa i cztery są w porządku i możemy z nich prowadzić ogień indywidualny, ale to wszystko. Numer jeden pewnie naprawimy, ale nie sprawdziliśmy jeszcze tego dokładnie. - Westchnął ciężko. - Karabiny maszynowe na śródkręciu też są sprawne, nie będziemy więc całkiem bezbronni wobec samolotów, ale brak już torped i wolałbym nie przekraczać bez wyraźnej potrzeby szybkości piętnastu węzłów. Przednia kotłownia jest w porządku i można by wycisnąć więcej, ale... - Wskazał na smugi światła wpadające przez podziurawione burty - sami rozumiecie. Tak czy owak *Mahanowi* brakuje ludzi. Zostało ze czterdziestu w pełni sprawnych, nie licząc tych, których wziąłem ze sobą. Ale jedno jest pewne: damy sobie radę. Zrobimy, cokolwiek pan rozkaże, kapitanie. Tyle że musimy pamiętać o naszych słabościach i lepiej, żeby udało się uniknąć walki. - Uśmiechnął się. - Zwłaszcza takiej jak wczoraj.

Jego słowa wywołały nieco chichotów, które jednak szybko ucichły. Wszyscy pamiętali, jakie żniwo śmierć zebrała poprzedniego dnia.

- A jaki jest stan rannych? - spytał Matt.

- W większości stabilny, ale przydałaby się pomoc. Nasz farmaceuta nie żyje, a chirurg goni resztkami sił.

Matt pokiwał głową i spojrzął na grupę pielęgniarek. Teraz zauważył, jaka jest

zróznicowana. Ta, która przyniosła kawę - wiedział już, że nazywa się Karen Theimer - wydawała się nerwowa i nadwrażliwa. Nieustannie mrugała i niespokojnie zaciskała dłonie. Siedząca obok niej Pam Cross, jak głosiła naszywka na mundurze, była niemal równie drobna jak porucznik Tucker i wydawała się bardzo pewna siebie, ale jej spojrzenie mówiło co innego. Pozostałe dwie, Beth Grizzel i Kathy McCoy, były akurat nieobecne. Jasnowłosa pani porucznik wciąż obserwowała kapitana, co można było zrozumieć. Wszyscy na niego teraz patrzyli. Tyle że jej spojrzenie z jakiegoś powodu niepokoiło Matta. Poza tym była piękna. Zdołał się do niej uśmiechnąć.

- Pani musi być porucznik Tucker - powiedział.

Wstała z krzesła. Ponieważ kapitan też stał, nie chciała rozmawiać z nim na siedząco.

- Porucznik Sandra Tucker, sir - odezwała się.

- Przepraszam, że pani nie przywitałem, gdy zjawiała się pani na pokładzie, i przykro mi, że robię to dopiero teraz. Dziękuję pani i pozostałym pielęgniarkom za wielką pomoc, którą panie nam okazały. Chcę także wyrazić głębokie współczucie z powodu śmierci podporucznik Ranell.

Kilka osób pokiwało głowami, wypowiadając ciche kondolencje.

- Dziękuję, kapitanie Reddy - odrzekła porucznik Tucker. - Też jest mi żal Leslie i wszystkich, których straciliśmy. Nadal będziemy służyć pomocą ze wszystkich sił.

- Dziękuję, pani porucznik. Skoro zaś mowa o pomocy, chciałbym spytać, czy kilka pielęgniarek mogłoby przejść na *Mahana*.

- Oczywiście, kapitanie. Sama bym się tam udała, ale raczej poproszę o to część moich towarzyszek. Nie, żeby robiło mi wielką różnicę, w jakiej izbie chorych pracuję. Pływającej czy ledwie pływającej - dodała z uśmiechem.

Matt też się uśmiechnął.

- Oczywiście. One mogą wybierać, pani nie. Potrzeby służby, a zwłaszcza mojej załogi, skłaniają mnie do zerwania z tradycją oraz regulaminami i wyznaczenia oficera medycznego. Sądzę, że okoliczności to usprawiedliwiają.

- Tak jest, sir - odparła Tucker z uśmiechem. - Niemniej na pańskim miejscu zapisałabym to w książce okrętowej.

- Może. Może nie - powiedział Matt i też się uśmiechnął. Umilkł na chwilę, podziwiając postawę i spokój dziewczyny. Gray miał rację, pomyślał. Ona jest inna. Odchrząknął i zwrócił się ponownie do wszystkich. - Kolejna sprawa. Dopóki pan Ellis będzie na *Mahanie*, zastępuje go tutaj porucznik Dowden. Rick Tolson wykonuje obowiązki oficera nawigacyjnego. Larry? Ty i Rick powinniście dobrać sobie zastępców. Zastanówcie się

dobrze, ale odpowiedzcie jak najszybciej. - Spojrzał na Graya. - Co z pokładem?

Bosman zmarszczył czoło i zatknął dłonie za pas, odparł:

- Jak była już mowa, nie toniemy, jednak też brakuje mi ludzi. - Obsada pokładu zajmowała się normalnie ogólną konserwacją i służyła jako otwarta rezerwa siły roboczej. Gray spojrzął na Ellisa, który odebrał mu sporo marynarzy, jednak nie było to spojrzenie oskarżycielskie. - Wszystkie przecieki są pod kontrolą. Załataliśmy większość szpar, chociaż na pewno nie tak dobrze jak stocznia. Nie mamy też jak uzupełnić brakujących nitów. Szczęśliwie wszystkie większe otwory znajdują się nad linią wodną i jeśli nie trafimy na trudne warunki, będzie dobrze. Nad tymi dziurami też pracujemy, ale to powolna robotka. Niektóre są naprawdę spore i nie mamy czym ich załatać. Brak wolnych arkuszy stali. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy wykroić je ze szczątków nadbudówki *Mahana*, ale to będzie musiało poczekać. Sądzę, że wszystko co pod linią wodną ma pierwszeństwo.

Matt pokiwał głową.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Prawie nic - odrzekł bosman. - W raporcie wpisałem jeszcze z tysiąc drobiazgów, ale to niemal te same bolączki, które odczuwaliśmy na co dzień, tyle że pomnożone przez dziesięć.

- Panie Garrett? - zapytał Matt.

Porucznik Garrett miał już porządnie zabandażowaną szyję. Szczęśliwie nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Odchrząknął nerwowo i mat musiał opanować uśmiech. Podczas całej akcji Garrett był wcieleniem opanowania, ale teraz, gdy miał wystąpić przed większym gronem, zachowywał się jak stremowany chłopak.

- Tak... artyleria główna jest sprawna, ma łączność z kontrolą ognia. - Wzruszył ramionami. - Ale został zniszczony dalmierz. Wielki odłamek po prostu zdjął go z podstawy. Tyle że już wcześniej był niesprawny. Podręczne magazyny amunicji zostały uzupełnione. Coś jest nie tak z pięćdziesiątkami, ale mat Silva powiedział, że upora się z tym do popołudnia.

- Niech się zwija - rzekł Matt. - Stanowią połowę naszej obrony przeciwlotniczej. Jak z torpedami? To działka Sandisona, prawda?

- Zgadza się. Ciagle nie wiem, w czym problem. Może kable łączące z wyrzutnią? W tej chwili sprawdza po kolei obwody.

- I dobrze. W jakim stanie są te dwie torpedy, które zabraliśmy z Surabai?

- Nie wiemy jeszcze, dlaczego zostały porzucone. Być może da się je naprawić. Chociaż jedna wygląda na mocno poobijaną.

- Dziękuję, Greg. Niech Sandison informuje mnie o postępach. Teraz maszyny. Spanky,

twoja kolej.

- Tak jest, sir. Owszem, oberwaliśmy, ale wydaje się, że wszystko jest pod kontrolą. Być może uda się znowu uruchomić kocioł numer dwa. Musimy jeszcze sprawdzić, czy będzie trzymał wodę. Co najmniej dwadzieścia węzłów. - Matt chciał go dopytać o szczegóły, ale inżynier jeszcze nie skończył mówić. - Szczerze mówiąc, nie wiem, jak nam się udało. Okręt odsłużył przecież swoje jeszcze przed wojną. Wygląda jednak na to, że jest lepszy niż myśleliśmy. Zasłużył sobie na naszą wdzięczność. Poza tym mieliśmy chyba wielkie szczęście. Bóg nam pomógł. Sam tego nie widziałem, ale słyszałem, że ten szkwał był jakiś dziwny. Nie jestem specjalnie religijny, ale wydaje mi się, że to właśnie jego zasługa.

Matt opanował drzenie wywołane wspomnieniem szkwału. Z jakiegoś powodu nie przyszło mu do głowy, że właśnie Bóg miałby za to być odpowiedzialny, ale kto wie? Spojrzał znacząco na McFarlane'a, który odwzajemnił spojrzenie.

- No i wiele zawdzięczamy naszemu kapitanowi - dodał inżynier.

Rozległ się zgodny pomruk potwierdzenia i Matt poczuł, że się rumieni. Nie uważał, żeby zasłużył na pochwały. Wiedział jednak, że Spanky jest dobrym oficerem, świadomym, jak jest ważne, by załoga ufała kapitanowi. Ufać zaś można komuś takiemu, kto nie wątpi w swoje siły. Tak zatem docenił gest Spanky'ego, uzasadniony czy nie.

- Dziękuję, panie McFarlane. - Upił łyk kawy z kubka, który podał mu Juan, i odwrócił głowę od inżyniera. To był jego własny porcelanowy kubek, którego używał w mesie. Drugi trzymał na mostku. Jak zwykle wpatrzył się na chwilę w okalające naczynie czarne litery KAPITAN - USS WALKER - DD-163. Nabrał powietrza i z mieszanymi odczuciami zaczął mówić: - Zostaniemy tu na kotwicy cały dzień i zajmiemy się niezbędnymi naprawami. Utrzymywać kotły pod parą, ale bez dymu. Przez cały czas zdwojone wachty obserwatorów i obsługi kaemów oraz dział. Wiem, że trzycalówki na wiele nam się nie przydadzą, ale widok ciemnych kłębków dymu może odstraszyć samoloty wroga. W nocy spróbujemy z maksymalną szybkością przejść cieśninę. Mam nadzieję, że do tego czasu będziemy dysponować torpedami. Jim, wiem, że nie możesz poganiać, ale postaraj się, zwłaszcza w cieśninie.

Ellis pokiwał głową.

- Będziemy się trzymać, skipper - zapewnił.

- Dobrze. Przypomnę, my prowadzimy - ciągnął Matt. - Trzymajcie się blisko. Będzie ciemno, prawie bez księżyca. Sonar wciąż nie działa, ale nie będziemy marnować czasu na zygzakowanie. Cieśnina zresztą i tak jest za wąska. Chyba nawet w obecnym stanie mamy szansę ją przejść, byle szybko i po cichu.

Upił kolejny łyk kawy i spojrzał na swoich ludzi. Następnej kwestii, o której myślał, wolałby nie poruszać, ale nie miał wyboru.

- Została nam już tylko jedna sprawa - powiedział i zauważył, że kilka osób poruszyło się niespokojnie. - Jak wszyscy wiedzą, oprócz zwykłych kłopotów spotkaliśmy także coś... bardzo dziwnego. Cała załoga o tym mówi, jakby nie dość nam było wyjaśnialnych problemów. - Przerwał, aby jego słowa zapadły słuchaczom w pamięć. - Z drugiej strony, jeśli zaczniecie ucinać te rozmowy, niepokój wzrośnie. Musicie zapewnić załogę, że zajmujemy się sprawą, cokolwiek to jest, i że oni nie muszą się już tym martwić. Czy jasno się wyraziłem?

Zebrani przytaknęli milcząco.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - odezwał się po raz pierwszy kapitan Kaufman. Oderwał się od ściany i położył dłonie na stole. - A co z radiem?

Matt zazgrzytał zębami.

- Wciąż nie działa - powiedział.

- Ja słyszałem co innego. Że działa świetnie, lecz odbiera tylko szumy statyczne. Próbowaliście nadawać?

Matt spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie - odrzekł. - To byłoby równie niebezpieczne jak pomalowanie okrętu na różowo i wpłynięcie do cieśniny w blasku dnia. Wiemy, że między nami a Australią są japońskie lotniskowce. Takie meldunki otrzymaliśmy przed wyruszeniem w rejs, a później widzieliśmy samoloty pokładowe. To znaczy, że przeciwnik jest za i przed nami i łatwo mógłby ustalić naszą pozycję za pomocą prostej triangulacji. Równie oczywiste jest, niezależnie od tego, co pan słyszał, że radio nie działa. W przeciwnym razie coś byśmy słyszeli. Nie wiemy, co się zepsuło, ale coś musiało. Nie sądzi pan, że sprawdzenie radia poprzez ujawnienie naszej pozycji nie miałoby sensu? - Matt mówił coraz głośniej. - A tak szczerze, kapitanie Kaufman, nawiązując do pańskiego wcześniejszego stwierdzenia, jeśli nie potrafi pan ukryć lęku przed załogą, lepiej żeby nie kręcił się pan po okręcie.

Twarz Kaufmana okryła się purpurą. Rozejrzał się i zdumiało go, że wszyscy, nawet pielęgniarki, patrzą na niego z niechęcią, nawet wrogo. Tylko obandażowany podporucznik z *Mahana* zdawał się mu współczuć. Kaufman jednym uchem złowił słowa wyszeptane przez Graya do porucznika Garretta:

- Należałoby go zamknąć w areszcie z tym złotkiem.

Wezbrała w nim wściekłość i już miał się odciąć, gdy usłyszał jakieś zamieszanie na pokładzie. Być może zaczęło się już chwilę wcześniej, ale w gęstniejącej atmosferze nikt w

mesie tego nie zauważył. Teraz wszyscy zwrócili uwagę na tupot nóg i podniesione głosy.

Do mesy wpadł zdyszany i jakby zdumiony Bernard Sandison.

- Jesteśmy atakowani? - zapytał go Matt.

- Nie, sir. To nie atak, ale... proszę samemu zobaczyć.

Całe zgromadzenie ruszyło hurmem na zewnątrz.

- Przejście! - zahuczał bosman. - Przejście dla kapitana!

Wszyscy oficerowie, w tym także porucznik Tucker, weszli po schodni na mostek. Reszta zebrała się na nadbudówce na śródokręciu, gdzie stała już większość załogi, albo na lewoburtowym pokładzie. Łącznie tłoczyło się tam tylu ludzi, że niszczyciel lekko, ale wyraźnie się przechylił. Wchodząc na mostek, Matt usłyszał, jak Gray łąja marynarzy, żeby wracali do swoich zajęć, zanim przewrócą okręt. Nic jednak to nie dawało i po raz pierwszy legendarny gniew bosmana poszedł na marne. Matt wziął lornetkę od Tolsona i spojrzął w kierunku wyspy Bali, gdzie wszyscy bez wyjątku wskazywali z wielkim przejęciem. Lekko poprawił ostrość.

Mgła na południu prawie już się rozeszła i odległy o niecałą milę brzeg był dobrze widoczny. Pasował do opisów, których kapitan wcześniej wysłuchał, i kilku widzianych przezeń zdjęć. Za ciemną wulkaniczną plażą rozciągał się kamienisty teren porośnięty krzewami. Dalej dywan roślinności wznosił się aż ku odległym górą. Matt pamiętał, że ich stoki mają tarasowy charakter, Bradford też o tym sporo mówił. Teraz tarasów nie było widać, wszystko inne było jednak na miejscu. Tyle że wśród zarośli pasły się leniwie stworzenia, które wyglądały na dinozaury.

W pierwszej chwili przyszła mu do głowy nieco absurdalna myśl, że są dziwnie małe, nie większe niż azjatyckie słonie. Miały jednak długie szyje i smukłe ogony wyrastające z całkiem słoniowych korpusów. Wyglądały jak artystyczne wizje stworzeń zwanych brontozaurami. Nagle Matt usłyszał jakiś jęk i spojrzął w bok.

- Niech ktoś złapie pana Bradforda - nakazał. - Za chwilę zemdleje.

Jim Ellis podszedł bliżej i szepnął kapitanowi do ucha:

- Teraz mam już pewność, że opuściliśmy Kansas, skipper.

Matt chrząknął niepewnie, patrząc na przedziwne stado zachowujące się jak zwykłe bydło, tyle że brontozaury oprócz trawy jadły też liście z drzew.

- Prawdę mówiąc, czarno-biała wersja tego filmu bardziej mi się podobała - szepnął lekko drżącym głosem Matt. - Wprowadzenie koloru wszystko zepsuło.

Obaj myszowaci wrócili do swojej ciasnej jaskini. Na pokładzie panowało dla nich zbyt duże zamieszanie. Woleli zostać przy kotłach. Gdy weszli, napotkali spojrzenie jednego z techników od utrzymywania poziomu wody.

- Co tam się dzieje, u diabła? - spytał ich. - Weszliśmy na mieliznę? Zaraz się przewrócimy?

Isak spojrział na niego beznamiętnie.

- Na Bali są dinozaury - powiedział, lecz nie rozwinął tematu. Potem położył się wraz z przyjacielem przy grodzi, gdzie woda za burtą mile chłodziła poszycie. Przykryli się brudnymi kamizelkami ratunkowymi i ponownie zasnęli.

Na całym okręcie ludzie wracali do swoich obowiązków albo próbowali trochę odpocząć. Niektórzy rozgadani i nakręceni, inni w milczeniu zastanawiający się, co też znaczą te wszystkie tajemnicze zjawiska. Kilku niemal wpadło w panikę i trzeba ich było stanowczo uspokoić, większość jednak przyjęła nowinę z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ot, jeszcze jedno dziwo, następne do kolekcji. Nie rozumieli, co się dzieje, oprócz tego, że coś jest nie tak, ale byli zbyt zmęczeni, żeby się tym przejmować. Ludzie z Marsa latający na wielkich błękitnych kurczakach też pewnie nie byłiby dla nich sensacją. Tyle że pewnie trzeba by ich było zestrzelić, gdyby podlecieli za blisko.

Dennis Silva należał do tej ostatniej grupy. Obsługiwał lewoburtową pięćdziesiątkę na nadbudówce śródokręcia. Kończył ją już prawie składać, gdy zaczęło się zamieszanie i jeden z pierwszych dostrzegł dziwne stworzenia. Teraz też jeszcze się im przyglądał wraz z paroma innymi marynarzami. Pierwsza grupa brontoczegoś już przeszła, ale w polu widzenia pojawiały się wciąż nowe, równie dziwne stwory. No i jeszcze jedna gromada takich jak na początku.

- Ustrzeliłbym któregoś! - oznajmił Silva.

Tom Felts i Paul Stites obrócili na niego wzrok.

- A po czorta? - spytał Stites.

Silva wzruszył ramionami.

- Ostatnio ciągle ktoś do nas strzela i miałbym ochotę na małą odmianę - wyjaśnił.

Felts pokręcił głową.

- Ja tam bym ich nie ruszał. Ale... co będzie, jeśli potrafią pływać? Będą chciały nas zatopić. Jakby Japońce nie wystarczali...

Stites spojrział podejrzliwie na wodę za burtą.

- Myślicie, że to naprawdę dinozaury? - zapytał. - Chyba nie powinno ich być na Bali.

Myślałem, że wszystkie wymarły.

- Oczywiście, że nie powinno ich tu być - prychnął Silva. - W ogóle nie powinno ich być. Nigdzie! Oczekiwałem raczej stadka młodych tubylczych dziewcząt bez koszulek.

Stites i Felts spojrzeli ku wyspie.

- No to co one tu robią?

- Możesz spytać kapitana, chłopie. - Silva już się nie uśmiechał. - Ale założę się, że i on nie wie.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Sandra nie wiedziała, co robić. Kompletnie brakło jej konceptu, co było dla niej szczególnie deprymujące. Widok niezwykłych stworzeń na wyspie zupełnie wytrącił ją z równowagi i zachwiał jej pewnością siebie. Wciąż tkwiła na mostku i choć zapewne nie powinna tam przebywać, nikt jej nie poprosił, żeby z niego zeszła. Nie miała już pacjentów w stanie krytycznym, a ciężko ranni zostali przeniesieni na własne koje, gdzie zajmowali się nimi towarzysze wraz z pielęgniarkami. Gdyby nie możliwość ataku powietrznego, poprosiłaby o zrobienie im miejsca na pokładzie. Wciąż o tym myślała, ale przeżyty wstrząs nie pozwalał jej się skoncentrować. Zawsze szczyliła się tym, że umie trafnie ocenić każdą sytuację, bo taka właśnie powinna być dobra pielęgniarka, ale coś takiego...? Co tu się działo?

Spojrzała na kapitana. Rozmawiał ożywionym szeptem z kilkoma oficerami. Po początkowym podnieceniu załoga zaczęła przycichać. Mgła już zniknęła, wyszło słońce i kto mógł, szukał cienia. Co rusz jednak któryś z marynarzy spoglądał niespokojnie ku wyspie, jakby chciał się upewnić, że to, co tam widział, nie jest złudzeniem. Sandra też przeniosła wzrok na wyspę. Dziwne stworzenia wciąż tam były. Brzeg wprost się od nich roił. Zadrzała. To nie była gra wyobraźni, chyba że wszyscy mieli to samo złudzenie.

Obejrzała się na grupę oficerów. Byli wyraźnie zmęczeni, mieli podkrążone oczy i też często zerkali w stronę Bali. Kapitan Reddy wyglądał trochę lepiej i w godny podziwu sposób skrywał niepewność i obawy, które też musiał przecież żywić. Gdy usłyszała jego szept, zabrzmiał w jej uszach niezwykle spokojnie. Wydało się jej zabawne, że ledwie przed chwilą patrzyła na niego jak ktoś bardzo pewny siebie. Teraz sama szukała u niego wsparcia.

Courtney Bradford doszedł już trochę do siebie i stał teraz oparty o reling mostka po lewej burcie. Obojętny na cudze rozterki studiował prehistoryczną menażerię przez lornetkę. Sandra podeszła do niego.

- To naprawdę dinozaury? - spytała cicho.

Australijczyk energicznie kiwnął głową.

- Oczywiście! Wydają się niezbyt duże w porównaniu z tym, co znamy z wykopalisk, ale nie można nazwać ich inaczej. Oczywiście nie powinno ich tutaj być! Sprawdziłem mapy i poznaję ten teren. To naprawdę jest Bali, braknie tylko tarasowatych pól, co samo w sobie jest bardzo dziwne. Od mojej ostatniej wizyty nie minęło jeszcze tak wiele czasu i jestem pewien, że nawet ciężkim sprzętem nie udałoby się zniwelować tarasów tak dokładnie, żeby ślad po nich nie został. I jeszcze te dinozaury. Nie rozumiem, skąd się wzięły.

- Ale musi być jakieś wyjaśnienie - powiedziała Sandra. - Przecież one wymarły miliony lat temu. Chyba nie sądzi pan... - Nie dokończyła.

- Naprawdę nie mam pojęcia - odparł Bradford. - Może ten niezwykły szkwał coś zmienił? A może przenieśliśmy się w czasie? - prychnął. - Niezbyt w to wierzę. Czymkolwiek był szkwał, nie odesłał nas w przeszłość. Podróże w czasie są niemożliwe. Poza tym, gdy Ziemia należała do tych stworzeń, linia brzegowa wyglądała całkiem inaczej, było też cieplej i wyższy był poziom oceanów. Te wyspy są pochodzenia wulkanicznego i pewnie jeszcze ich wtedy nie było. A to naprawdę jest Bali! Zatem cokolwiek się dzieje, wciąż mamy „teraz”. Rozumie pani, o czym mówię? Oczywiście, że pani rozumie.

- Ale jeśli to jest teraz, to które teraz? - spytała niemal błagalnie. - I gdzie jest to, w którym powinniśmy być? Bo przecież na Bali nie ma prawa być żadnych dinozaurów, prawda?

- Prawda.

Nie przeszli cieśniny tej nocy. Pozostali na kotwicy, prowadząc naprawy, podczas gdy oficerowie zastanawiali się, co dalej. Nie było już żadnych wątpliwości, że stało się coś niezwykłego. Bradford dowodził, że nie zostali przeniesieni w czasie, co wszyscy przyjmowali z ulgą. Co jednak w takim razie się stało? Z jakim to zjawiskiem spotkali się w szkwale? Czy przerzuciło ich do całkiem innego świata? Na pewno nie. Gwiazdy były na swoim miejscu, srebrzysty Księżyc zachowywał się tak jak powinien, a mapy okazywały się w pełni aktualne. Bez wątpienia kotwiczili między Bali i Menjanganem.

Z drugiej strony musieli być gdzie indziej. Od czasu walki z *Amagim* i wejścia w szkwał wszystko było dziwne. Księżyc, słońce, powietrze, którym oddychali, zapach łagodnie rozfalowanego morza pozostały takie same, jednak w morzu żyły jakieś potwory, a po lądzie chodziły jaszczury, których nie powinno tu być.

Mimo całodniowych narad nikt nie wiedział, co robić. Jeśli znaleźli się w innym czasie czy miejscu, to co z Japończykami? Czy wciąż groził im atak? Jeśli popłyną do Perth, czy znajdą je w zwykłym miejscu? Jak każdy dobry dowódca niszczyciela Matt zaczynał w takiej

chwili myśleć o zapasie paliwa. Czy to zjawisko rozciągało się aż do Australii? Jeśli tak, to skąd wezmą ropę? Skoro istniała możliwość, że Perth zniknęło, czy powinni ryzykować i być może zmarnować zapasy na tak daleki rejs? W głowie Matta tłukło się całe stado pytań, na które musiał znaleźć odpowiedź. O tym, co będzie dalej, obecnie nawet nie myślał.

Podobnie jak większość oficerów Floty Azjatyckiej Matt nie miał rodziny, którą musiałby się martwić. W domu czekali na niego tylko rodzice. Wielu innych zostawiło na Filipinach żony albo dziewczyny, jednak i oni już wcześniej pogodzili się z losem, świadomi, że wobec postępów Japończyków nie zdołają pomóc bliskim. Gdy po raz ostatni wypływali z Cavite, Matt był zaskoczony stoicką postawą większości żonatych. Wiedzieli, że być może nigdy tu nie wrócą. Gotowi byli walczyć, aż otworzy się po temu szansa. Rzeczowe podejście. Cokolwiek zdarzyło się po wejściu w szkwał, nie zmieniało zasadniczo ich położenia, chociaż kapitan zastanawiał się, jak ludzie by zareagowali, gdyby okazało się, że opuścili znany sobie świat. Na razie jednak martwił się bezpieczeństwem *Walkera* i *Mahana* i głowił się, jak najlepiej wykorzystać paliwo.

W końcu zmęczenie zmusiło go do zejścia z posterunku, jednak zanim to zrobił, rozkazał wygasić kotły na *Mahanie*. *Walker* miał zachować dwa czynne, na wszelki wypadek, ale od tej pory mieli oszczędzać paliwo. Tyle mógł zrobić. Może wymyśli coś, gdy się wyśpi. Może obudzi się z tego koszmarne snu i znowu jedynym jego zmartwieniem będą Japończycy. Zdjął przepocony mundur i położył się na koi. Mały wentylator na ścianie, grzechocząc, mieszał cuchnące gorące powietrze. Matt był naprawdę zmęczony, ale niepokój nie pozwolił mu od razu zasnąć. Gdy zgasił światło, nad jego koją zaczęły zbierać się potwory będące produktem ostatnich dni.

Kapitan Reddy siedział już na swoim krześle, gdy o ósmej zjawiła się poranna wachta. Znajomy widok zmiany wachty podziałał na niego uspokajająco i pomógł przegnać resztki koszmarów, które dręczyły go całą noc. Porucznik Garrett zwolnił Larry'ego Dowdena, który natychmiast poszedł szukać chłodnego miejsca na wypoczynek. Garrett też wyglądał, jakby miał za sobą niełatwą noc, i przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć, przeszedł jednak na skrzydło mostka, gdzie stał Courtney Bradford. Australijczyk czekał niecierpliwie na zniknięcie porannej mgły, żeby znowu ujrzeć przyrodnicze cuda Bali. Matt wstał i przeciągnął się, potem znowu spojrzął na mapę. Usłyszał, że ktoś wspina się po schodni, i zerknął na zegarek. Akurat w czas.

- Dzień dobry, Jim - powiedział.
- Dzień dobry, sir - odparł Jim Ellis.

- Dobrze spałeś?

Jim skrzywił się i ziewnął teatralnie. Matt zachichotał.

- Podjąłem decyzję, która ci się nie spodoba - rzekł - ale nie widzę innej możliwości.

Były pierwszy Matta spojrzał na kapitana pytająco.

- Zamierzam ruszyć *Walkerem* do Surabai i trochę się rozejrzeć - wyjaśnił Matt. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie nam paliwa na powolny marsz do Australii. Jeśli zaś to... zjawisko dotknęło także Surabaję, będziemy musieli przyjąć, że to samo stało się z Perth, a może nawet całym światem. W takim wypadku... Cóż, zastanowimy się, co zrobić. Gdyby Surabaja była na miejscu albo gdybyśmy trafili na Japończyków, zawrócę i dołączę do ciebie. *Mahan* zostanie tutaj, póki nie wrócę. Zostawię ci trzy pielęgniarki i najciężej rannych. - Skrzywił się. - Wiem, że brakuje ci ludzi, zabiorę więc jeńca, którego trzeba pilnować, dostaniesz jednak kapitana Kaufmana. Może znajdziesz mu jakąś robotę. No i ten jego porucznik może się przydać. - Wskazał Bradforda. - Co do niego, nie wiem, czy go zostawić, żeby gapił się na zwierzaki, czy zabrać go ze sobą. Z drugiej strony może się przydać, gdybyśmy chcieli wyżebrać paliwo.

- Nie podoba mi się, że pan odpływa, sir, ale to chyba równie dobry plan jak każdy inny - odezwał się Jim. - *Mahan* opóźniałby marsz i utrudniał sprawę w razie walki. Co do Bradforda, chyba lepiej, żeby pan go wziął. Teraz trzeba pilnować go cały czas, żeby nie popłynął na brzeg, i nawet potwory morskie go nie odstraszą. Jak pan powiedział, nie mam dość ludzi, żeby pilnować Japońca, jego więc tym bardziej.

Matt ponownie zachichotał.

- Dobrze - powiedział. - Nie ma co czekać. Gdybyśmy nie wrócili w ciągu trzech dni, ruszaj sam do Perth. Naszym punktem zbornym będzie wyspa Alor. Jeśli nas tam nie znajdziesz... to w ogóle już się nie pojawimy.

Niezwykła mgła ulotniła się prawie zupełnie do czasu, gdy przewieziono wszystkich wyznaczonych z okrętu na okręt i marynarze zabrali się do podnoszenia kotwicy. Łańcuch zagrzechotał w kluzie i wyznaczona do tego drużyna zaczęła polewać wyłaniające się z wody ogniwa wężem strażackim. Matt przeszedł na prawe skrzydło mostka i spojrzał na tajemniczą wyspę. Zauważył, że po oderwaniu kotwicy od dna wiatr zaczął znosić ich dziobem ku brzegowi.

- Prawa maszyna wolno naprzód - rozkazał cicho, ale sternik i tak usłyszał.

- Prawa wolno naprzód, aye - potwierdził Tony Scott.

Matt westchnął. Rutynowe działania go uspokajały. Kilka chwil później kotwica znalazła

się na swoim miejscu na burcie i przypięci do łańcuchów marynarze wychylili się, żeby oczyścić ją z mułu i wodorostów. Kapitan widział to już wiele razy, ale po raz pierwszy naprawdę docenił starania drużyny kotwicznej i ucieszył się, że cuda, nie cuda, pewne rzeczy się nie zmieniają.

Nagle rozległ się brzęczyk. Zgłosił się Alfred Vernon z bocianiego gniazda.

- Mostek, mam cel nawodny! - zameldował. - Namiar trzy, pięć, zero. Dystans... cholera, trudno powiedzieć. W cieśninie ciągle zalega mgła. Powiedziałbym, że sześć, zero, zero, zero. Cokolwiek to jest, jest wielkie! - dodał piskliwym z podniecenia głosem.

- Ogłosić alarm bojowy! - zawołał Matt. - Przekazać na *Mahana*, żeby kierował się do punktu zbornego. Odciągniemy to coś i spotkamy się wieczorem.

W tylnej kotłowni Spanky odstawiał właśnie kubek do kawy na jego miejsce przy palnikach, gdy rozległ się sygnał alarmu. Potem dołączył do tego dzwonek nakazujący całą naprzód i rozpełtało się piekło. Wyciągając rękę, żeby czegoś się złapać, Spanky upuścił kubek, który spadł na pokład i kompletnie się potłukł. Rufa okrętu przysiadła, gdy wielkie śruby pchnęły *Walkera* naprzód. Obaj myszowaci i chłopak od wody pracowali gorączkowo nad zaworami, żeby nie dopuścić wody do turbiny. Palniki ryknęły, gdy paliwo popłynęło wartkim strumieniem. Isak zaklął głośno, gdy i jego kubek spadł na pokład, oblewając mu łydki gorącym płynem. Reszta obsady pospiesznie zajmowała stanowiska, ślizgając się na obluźowanych płytach. Niszczyciel przyspieszał jeszcze chwilę, ale już nie tak gwałtownie.

Spanky rozejrzał się po trochę zabałaganionej teraz kotłowni i otarł pot z czoła. Potem zerknął niespokojnie na łąty w kadłubie.

- Cholera jasna! - mruknął. - Stary chyba nie zrozumiał, kiedy go prosiłem, żeby oszczędzał łąjbę.

Rozdział 4

Chack-Sab-At całkiem stracił humor. Siedząc na samym szczycie pierwszego wielkiego skrzydła, niemal sto pięćdziesiąt ogonów nad głównym pokładem *Salissy*, nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że właśnie został odrzucony. Powinien był się tego spodziewać. Selass zaczęła flirtować z nim tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę Saak-Fasa, pierwszego syna wodza klanu kontrolującego środkowe, najważniejsze z trzech skrzydeł Domu. Zaczynał rozumieć, nie bez zakłopotania i goryczy, że padł ofiarą podstępu, podobnie zresztą jak jego rywal. Selass skłoniła Saak-Fasa swoją grą, żeby wybrał ją na partnerkę, zanim jeszcze nadeszła kolej Chacka, żeby wybierać. Ale nieważne. Był młody i miał perspektywy. Mógł przebierać w niezłych partnerkach. Też był pierwszym synem i chociaż jego siostra była starsza i to ona miała dziedziczyć po ich matce przywództwo klanu przedniego skrzydła, powinien zająć wysoko. Był najlepszym skrzydłowym na całej *Salissie* i gdy za rok albo dwa przyjdzie do budowy nowego Domu, na pewno sam zostanie wodzem i znajdzie się na szczycie środkowego skrzydła.

Zostanie albo i nie, poprawił się ponuro w myślach.

Selass mogła na tyle nim pogardzać, żeby nakłonić ojca, wielkiego wodza *Salissy*, do pozbawienia go tego zaszczytu. Nie byłoby to nic niezwykłego, chociaż porządek dziedziczenia w ramach każdego z trzech klanów Domu rzadko był naruszany i każda grupa zachowywała dużą niezależność. Oczywiście poza tym, co wiązało się z przemieszczaniem Domu z miejsca na miejsce. Gdyby wódz klanu był niekompetentny albo nie umiał dogadać się z pozostałymi dwoma klanami skrzydeł lub klanem kadłuba, na jego spadkobiercę wyznaczono by kogoś z zewnątrz. Wielkich wodzów zawsze wybierano z klanu kadłuba i byli oni ponad sporami klanów skrzydeł. Mogli zatwierdzić albo odwołać czyjeś prawa, a nawet skazać na banicję.

Keje-Fris-Ar był dosłownie panem ich życia i śmierci. Gdyby zapalał niechęcią do Chacka, obiecującego młodzieńca mógłby czekać powolny upadek. Chack wiedział jednak, że Keje to dobry i miłosierny wódz. Nie pozwoliłby na to, żeby osobiste animozje, nawet wywołane kapryсами jego córki, miały wpływ na sprawy stanu. Teraz jednak Chack był rozżalony i ten nastrój w nim narastał. Nijak nie mógł uwolnić się od obrazu miękkiego srebrzystego futra Selass i jej zielonych oczu.

Spojrzał na pokład Domu i dostrzegł członków klanu kadłuba krzątających się przy codziennych obowiązkach: soleniu ryb z porannego połowu i pielęgnowaniu roślin uprawianych pod zadaszeniami ciągnącymi się przez całą długość *Salissy*. Życie płynęło swoim rytmem, jak zwykle w porze dobrej pogody. Lud nie przejmował się byle czym, a większych zmartwień akurat nie miał. Mało który potwór morski mógł zagrozić czemuś tak olbrzymiemu jak Dom, a na jego pokładzie można było odczuć tylko najgorsze sztormy. Musieli jednak uważać na rzadkie gigaryby, nadbrzeżne skały i mielizny oraz grików.

Gigantyczne ryby spotykało się rzadko i tylko w najgłębszych regionach Wielkich Mórz, gdzie pływające domy Ludu rzadko się zapuszczały. Łąd łatwo było ominąć, nad czym czuwali już kapłani Niebios ze swoimi magicznymi zwojami i instrumentami. Gdy pogoda nie pozwalała dokładnie trzymać się wytyczonego przez nich szlaku, obserwatorzy na szczytach skrzydeł, gdzie obecnie znajdował się także Chack, mieli szansę dostrzec zagrożenie na tyle wcześnie, żeby klan kadłuba wysunął wielkie miecze umożliwiające sprawne sterowanie Domem podczas każdej pogody, wyjąwszy potężne sztormy. Gdyby i to nie pomogło, mieli jeszcze masywne miedziane stopy, po dwie na każdy Dom, które można było cisnąć do morza uwiązane na linie. One były zawsze skuteczne, niezależnie od tego, jaki akurat dął wiatr, i nawet strakka nie był im straszny.

Tak naprawdę Lud obawiał się tylko grików. Był to pradawny nieprzyjaciel, który wypędził kiedyś Lud z rajy. Stało się to przed tyloma wiosnami, że nawet kapłani Niebios mówili tylko, że „bardzo dawno”. Lud jednak uszedł z życiem i zajął się własnymi sprawami, aż całkiem zapomniał o nieprzyjacielu. Pamięć o nim zachowała się tylko w mitach, legendach i bajkach powtarzanych niegrzecznym dzieciom. Jeśli nawet nieprzyjaciel naprawdę gdzieś żył, musiał zamieszkiwać po drugiej stronie Oceanu Zachodniego, którego żaden statek nie miał szansy pokonać. Tak mijały pokolenia, aż nagle legendarny wróg powrócił. Pradawny lęk ożył w całej grozie.

Grików było coraz więcej i pojawiali się dosłownie wszędzie, na swoich osobliwie małych i kruchych statkach. Każdy z nich mieścił tylko kilkaset istot, były one jednak bardzo zwrotne i groźne. I zawsze atakowały. W ciągu pierwszych siedmiu wiosen swego życia Chack widział tylko jeden statek grików, który rzucił się na Dom i oczywiście został pokonany, jednak szok wywołany tamtym zdarzeniem trwał w pamięci aż do teraz. Trudno było zrozumieć, jak równie małe coś, choć pełne przerażających stworzeń, mogło zaatakować Dom, i to jakby całkiem bez namysłu, na oślep dążąc do dzikiej walki. Czasem widywał to nawet w snach. Przez następnych siedem wiosen, które uczyniły go dorosłym, widział jeszcze sześć takich ataków. Każdy powodował co najwyżej drobne uszkodzenia Domu, zawsze

jednak ginęli jacyś obrońcy. Jednym z poległych był ojciec Chacka.

W sumie nie było w tym jednak żadnego sensu. Przecież grikowie musieli być choć trochę inteligentni, w przeciwnym razie nie zbudowali tych szybkich statków. Musieli pojmować, że atakując pływające domy Ludu, mają mniejsze szanse niż błyskryby w spotkaniu z gri-kakka. Mogli zranić, ale nic więcej. Kapłani mówili, że grikowie są istotami lądowymi, i być może to wyjaśniało ich szaleństwo.

Chack nie udawał, że to rozumie, podobnie jak nie pojmował zdradzieckiej natury kobiet. Zerknął na swoją siostrę Risę, która siedziała na wsporniku skrzydła dziesięć ogonów niżej. Odpowiedziała spojrzeniem, lecz w jej wielkich bursztynowych oczach błysnęło zniecierpliwienie. Wiedział, że Risa go kocha, jest jego najlepszym przyjacielem. Uważała jednak, że zbyt poważnie podchodzi do pewnych spraw. Sama żartowała ze wszystkiego prócz służby, jednak żartowanie z siebie to jedno, a żartowanie z innych - drugie. Ciałem wyrażało teraz znacznie więcej niż słowami. Jej zdaniem zachowywał się jak głupiec. Mrugnął przepaszająco i wrócił do przepatrywania horyzontu. Znajdowali się w cieśninie i kapłani pewnie prowadzili Dom jej środkiem, jednak wszyscy obserwatorzy słyszeli od wczesnego dzieciństwa, że nigdy dość ostrożności. Poza tym grikowie lubili atakować na takich właśnie, częściowo zamkniętych wodach.

Przepatrywał zamglony brzeg, gdy wydało mu się, że dostrzegł coś dziwnego. Z oparu zalegającego między dużą a małą wyspą wypłynął kłęb ciemnego dymu i coś poruszyło się gwałtownie poniżej. Było to coś małego, ale przemieszczało się bardzo szybko. Chack przylgnął do belki i trwał tak przez chwilę z otwartymi w bezbrzeżnym zdumieniu ustami. Nic nie mogło być aż tak szybkie! Zamrugnął i nagle zrozumiał. Tak, to było to. Czym prędzej sięgnął po linę.

- Grikowie! Grikowie nadciągają! - zawołał ze szczytu skrzydła ile sił w płucach i cisnął linę w stronę zaskoczonych i zaniepokojonych twarzy na pokładzie.

- Wciąż nie wiem - odparł Vernon z bocianiego gniazda, spytany po raz kolejny, co właściwie widzi. - Za dużo mgły. Ale to jest wielkie. Olbrzymie. Większe niż ten krążownik liniowy, z którym się biliśmy.

Dowden wszedł na mostek i przetarł zaspane oczy.

- Co jest, kapitanie? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem, Larry. Coś płynie cieśniną. - Matt uśmiechnął się ponuro. - Przykro mi, że musiałem cię obudzić. Przejmuję ster, panie Garrett. Proszę przejść na swoje stanowisko. Torpedy? - zapytał podporucznika Sandisona, który stał już przy lewoburtowym

celownika torpedowym.

- Gotowe, kapitanie.

- Wszystkie stanowiska obsadzone i w gotowości - dodał wachtowy.

Matt uniósł lornetkę do oczu. Mgła szybko rzedła w słońcu, lekka bryza też robiła swoje. Nawet z mostka udało mu się dostrzec ciemną sylwetkę, która rzeczywiście wydawała się większa od *Amagiego*. Pomyślał, że oto wszystkie ich ofiary i cierpienie pójdą na marne. To mogła być naprawdę ciężka japońska jednostka i gdy tylko zobaczą się nawzajem, będzie po niszczycielu. Tak czy owak Matt nie zamierzał zająć się przeciwnikiem. Strzelił ostatnie torpedy, postawił zasłonę dymną i ruszył pełną prędkością w stronę Surabai. Może to wystarczy, żeby nie zauważyli *Mahana*, i chociaż siostrzany okręt ocaleje.

Wachtowy ponownie zagadnął Vernona.

- Kapitanie, bocianie melduje, że jest już ponad mgłą i widzi cel. To jakiś bardzo niezwykły obiekt.

- Dokładniej! - rzucił Matt.

Wszyscy na mostku czekali w napięciu na dalszy ciąg meldunku.

- On mówi, że ta jednostka ma żagle, sir.

Wszystkie lornetki podniesiono do oczu. Żagle. Cokolwiek to było, było wielkie i miało żagle. Porucznik Garrett zameldował przez interkom o parametrach celu:

- Dystans sześć, cztery, pięć, zero. Namiar dwa, pięć, zero. Prędkość czte... cztery węzły? Mam namiar, kapitanie. Proszę o pozwolenie na otwarcie ognia.

Kapitan Reddy oderwał spojrzenie od statku, który zaczął nagle nabierać kształtów, i sam podszedł do interkomu.

- Nie ma pozwolenia, panie Garrett - powiedział. - Powtarzam, nie otwierać ognia. Proszę śledzić cel, ale nie strzelać. - Spojrzał na Sandisona. - Ciebie też to dotyczy, Bernie. - Stał obok swojego krzesła i ponownie uniósł lornetkę. Wpadający przez wybite okna wiatr niemal zerwał mu czapkę z głowy, ale Matt w ogóle tego nie zauważył. Teraz widział, że tamten statek jest większy niż pancernik. Większy nawet niż lotniskowiec. Większy niż cokolwiek, co widział na morzu. Na jego pokładzie wznosiły się wysokie na trzysta do czterystu stóp trójnożne maszty z półsztywnymi żaglami. - Maszyny zwolnić do dwóch trzecich. Ster dziesięć stopni w lewo. Zobaczmy, co tu mamy.

Wielki statek nawigował ostrożnie kanałem w stronę Morza Jawajskiego. Gdy byli już na tyle blisko, żeby dostrzec szczegóły, na mostku *Walkera* zapanowała martwa cisza. Matt nawet nie zwrócił uwagi, że Sandra Tucker i Bradford stanęli tuż obok, gapiąc się na lewiatana. Jednostka była z obu stron ostro zakończona i rufa nie różniła się niczym od

dziobu. Przypominała niebywale rozdmuchaną wersję *Monitora* Unii, tyle że gładkie burty wznosiły się sto stóp nad poziom morza. Na pokładzie nie było też wieży z działami, ale trzy wielopoziomowe konstrukcje przypominające torty weselne, które mogły się kojarzyć z pagodowatymi pomostami bojowymi japońskich ciężkich okrętów, tyle że były nieporównanie większe i jak cały ten statek, zostały najwyraźniej zbudowane z drewna. Wszędzie widać było barwne płócienne zadaszenia, a między nimi, na ile można było dostrzec to z dołu, wzniesiono chyba coś w rodzaju namiotów i pawilonów z jasnego materiału w paski.

Cała jednostka musiała mierzyć co najmniej tysiąc stóp długości, najbardziej niezwykle były jednak stojące na wieżowych masztach i wychylające się z okien „pagód” istoty, które wpatrywały się w niszczyciel.

- Proszę przyjąć kurs równoległy, panie Scott - powiedział Matt cichym głosem i zaraz odchrząknął. - Nie bliżej niż sto jardów. Zwolnić do jednej trzeciej. - Spojrzał na wachtowego. - Proszę spróbować wywołać *Mahana* i przekazać, żeby czekał.

- A co z Japońcami, sir? - spytał Sandison. - Przecież nas usłyszą.

Tony Scott wybuchnął śmiechem, ale zaraz się opanował. Matt wypuścił powietrze, które trzymał w płucach od dłuższej chwili, i wskazał brodą za okno.

- Nie przypuszczam, żebyśmy mogli spotkać tu gdzieś Japończyków, panie Sandison - powiedział z uśmiechem. - Jestem przekonany, że w ogóle ich tu nie ma.

Gwar cichł w miarę jak obcy statek się zbliżał, cichły nawet okrzyki przerażenia. Chack i Risa przeszli na galerijkę biegnącą nad ogrodami wokół całego statku i przepchnęli się do relingu, żeby lepiej widzieć. Obca jednostka była już blisko, niecałe sto ogonów od Domu. Mała w porównaniu z nim, była jednak dłuższa niż statki grików, chociaż chyba od nich węższa. W przedniej części wznosił się jeden wysoki maszt, z tyłu wyrastał drugi, mniejszy. Na obu brakło skrzydeł! Przestał już gnać jak szalony i szedł teraz z prędkością Domu. Białe odkosy, które zostawiał wśród fal, zmały do jasnych wąsów.

Nie miał skrzydeł, a jednak poruszał się swobodnie w dowolnym kierunku, niezależnie od wiatru. Teraz Chack miał wrażenie, że dziwny obiekt po prostu pełźnie, jakby trzymany na uwięzi, i chętnie znów zerwałby się do biegu. Pośrodku wznosiły się cztery kominy albo ujścia przewodów wentylacyjnych, z których wydobywały się czasem smugi dymu. Może to były skrzydła? Tylko jak miałyby działać? Gdy wcześniej je widział, dymu było więcej i statek płynął szybko. Teraz płynął wolno i dymu było mało. Czyżby rozpalali w środku ogień, żeby napędzał statek? Może. Chack poczuł ukłucie lęku. Ogień był dla Ludu jeszcze jednym z

wielkich zagrożeń. Na pokładzie wolno było go rozpalać tylko w specjalnych piecykach oraz lampach. I dobrze go pilnowano, żeby chwila nieuwagi nie spowodowała zagłady całego Domu.

Obcy statek był też całkiem innej barwy. Zasadniczo szary niczym sztormowe niebo, z tyłu niósł na małym maszcie pasiasty kolorowy kawałek materii. Burty miał poznaczone brunatnymi zaciekami i nosił ślady zniszczeń. W kadłubie ziały liczne duże i małe dziury, jakby stoczył walkę z gigarybą.

Przybycie gwardzistów wyrwało Chacka z zamyślenia. Zbrojni rozstawili się wzdłuż burty co pięć ogonów i odsunęli gapiów. Większość nie włożyła nawet lekkich pancerzy, wszyscy jednak mieli topory i kusze, które napięli, zaraz gdy zajęli stanowiska. Chack poczuł się winny. Należał do rezerwy gwardii, jak wszyscy zdolni do noszenia broni, ale zapatrzony w intruza nie pomyślał nawet, żeby pobiec po oręż. Powinien zrobić to teraz i już chciał iść, gdy na pokładzie znów podniósł się gwar. Przepchnął się do relingu.

- To nie grikowie! - krzyknęła Risa, unosząc rękę. - Nie grikowie!

Chack zamrugał zdumiony i ponownie przyjrzał się obcej jednostce. Zaciekawiony nią nie zwrócił wcześniej uwagi, kto jest na jej pokładzie. Był pewien, że nikt z Ludu, ale dopiero teraz poznał, że nie są to również grikowie.

- Kim oni są? - spytała Risa tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- Kto to jest, u diabła? - spytał półgłosem Matt.

- Wyglądają jak małpy. Albo koty! Albo... pojęcia nie mam - wyrzucił z siebie Sandison.

- Mnie kojarzą się z lemurami - odezwał się podniecony Bradford. - Chociaż muszę przyznać, że jest w nich coś kociego.

- Nie widziałem nigdy lemurów - rzucił Scott. - Kocie małpy i tyle.

- Cisza na mostku! - powiedział spokojnie, ale z naciskiem Matt. - Proszę pilnować steru, panie Scott.

Keje-Fris-Ar podszedł do relingu w otoczeniu przybocznych gwardzistów i poczekał na Adara, najwyższego kapłana Niebios. Keje był niski nawet wśród swoich i jak wielu z klanu kadłuba miał skłonność do tycia. W ramionach był jednak równie szeroki jak w młodości, gdy zasłynął jako znakomity harpunnik. Mimo czterdziestu wiosen wciąż należał do najlepszych i często wsiadał do łodzi wyruszających zapolować na wielkie gri-kakka, cenne dla mięsa i tłuszczu jaszczurze ryby. Rudobrazowe futro miał obecnie przyprószone srebrem, jednak w jego ciemnobrazowych oczach wciąż iskrzyła się młodzieńcza ciekawość. Gdy stał tak i

przyglądał się przybyszom, jeden z gwardzistów narzucił na niego łuskową zbroję - tunikę ze skóry gri-kakka pokrytą polerowanymi miedzianymi płytkami. Przy boku nosił scotę, długi miecz o szerokiej klindze, używany zwykle do oddzielania pokładów tłuszczu jaszczurzych ryb, jednak we wprawnych dłoniach zmieniający się w bardzo groźną broń.

Adar przepchnął się zdecydowanie przez tłum. Okrywająca jego wysoką sylwetkę długa purpurowa szata powiewała na wietrze. Na ramionach nosił wyszywane srebrne gwiazdy, podobnego koloru był także jego pas. Były to znaki jego stanowiska. Wpatrzył się z niedowierzaniem w obcy statek, największą uwagę zwracając na znajdujące się na jego pokładzie istoty noszące białe, granatowe i jasnobrązowe stroje. Nie robiły nic groźnego, tylko odwzajemniały spojrzenia, niemniej były cudaczne i do tego wysokie, wyższe niż on sam. Nie miały sierści, tylko włosy na głowach, kilka z nich także na twarzy. Największą jednak różnicą było to, że w ogóle nie miały ogonów.

Większość z nich zdawała się podzielać zdumienie Ludu, niektórzy porozumiewali się między sobą, z ożywieniem wymieniając chyba jakieś uwagi. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywali się bardzo podobnie jak załoga Domu.

- Bezogoniaści żeglarze - powiedział kapłan do swojego wodza i wieloletniego przyjaciela. W jego głosie nie było ani śladu strachu. - Zaiste dziwne. Skąd oni mogli się wziąć? - Pokręcił głową. - Najpewniej to demony ze Wschodu.

Keje spojrzał na niego pytająco.

- Czy Zwoje mówią coś o demonach ze Wschodu? - zapytał. - Dość nam demonów nadciągających ze wszystkich pozostałych kierunków. Czy w tych jest coś szczególnego?

Adar uśmiechnął się lekko, porzucając na chwilę stoicką postawę.

- Zwoje o nich nie wspominają - rzekł. - Ale jest jeszcze wiedza nie spisana, przekazywana od pokoleń wśród kapłanów, mój bracie.

Keje parsknął. Zauważył, że kilku najbliższych stojących usłyszało ich wymianę zdań i niespokojna fala szmerów „Demony, demony” rozchodziła się teraz coraz dalej.

- Uważaj, co mówisz, przyjacielu - upomniał Adara. - To ja rządę umysłami w tym Domu i nie chcę, żebyś zatruwał je nieostrożnym słowem. - Wskazał na obcy statek, który z niewiarygodną precyzją utrzymywał pozycję. - To nie grikowie - powiedział głośno. - To bardzo dziwny lud, ale nie zaatakowali nas. Może nie mają czym, bo nie widzę broni. Nie mają mieczy, toporów ani kusz. Ale ich dom jest szybki. Gdyby nasz mógł tak szybko płynąć, też nie potrzebowalibyśmy broni! - zakończył ze śmiechem.

Jego słowa szybko rozeszły się wśród Ludu, który wkrótce zapomniał o tym, co powiedział Adar. Kapłan skłonił się i z szacunkiem pochylił uszy.

- Mądryś, Keje-Fris-Ar - rzekł. - To dlatego jesteś wielkim wodzem wszystkich klanów Domu, podczas gdy ja tylko skromnym sługą Niebios. - W jego głosie pobrzmiwał sarkazm, ale kto znał obu dostojnych mężów, wiedział, że to tylko żarty przyjaciół.

- Zastanawiam się, co powinniśmy zrobić - wyszeptał Adar do ucha wodza.

- Skoro oni nic nie robią, możemy dalej na siebie patrzeć - odszepnął Keje. - Jak dotąd wychodzi nam to bardzo dobrze.

Kapitan Reddy przeszedł na skrzydło mostka z Sandrą i Bradfordem zaraz za plecami. Obok działa numer jeden zauważył Graya stojącego z założonymi do tyłu rękami. On też patrzył na wielki statek, ale tak beznamiętnie, jakby chodziło o pustą butelkę po piwie San Miguel unoszącą się na falach pod Cavite. Obsada działa rozglądała się niespokojnie, ale panowała nad sobą. Obecność bosmana na pewno pomagała i Matt nie wątpił, że Gray dlatego właśnie został na przednim pokładzie - żeby dodawać ducha załodze albo go poskramiać, zależnie od potrzeb.

Od strony działa unosił się jednak dym papierosowy i kapitan zdumiał się, że bosman zezwolił na takie rozluźnienie dyscypliny. Co więcej, sam też trzymał papierosa w ustach. Matt spojrzał do tyłu i przekonał się, że to samo dzieje się na całym okręcie. Nawet Dennis Silva przypalał papierosa drżącą dłonią. Wielki artylerzysta nigdy nie palił, wołał żuć tytoń, czego nie zabraniał regulamin, przynajmniej dopóki spluwało się za burtę. Sandra Tucker wciąż wyglądała na poważnie wstrząśniętą. Nic nie mówiła, ale chyba nawet widok dziwnych zwierzaków na ładzie nie zaskoczył jej tak bardzo jak ten wielki statek. Matt nie zauważył, kiedy weszła na mostek, ale z jakiegoś powodu nie miał ochoty jej wypraszać. Bradford promieniał i mruczał coś pod nosem.

Matt nie potrafił powiedzieć, co właściwie odczuwa. Na pewno lęk, może nawet przerażenie? Z drugiej strony nie był zaskoczony kolejnym niesamowitym zjawiskiem. W pewnym sensie nawet mu ulżyło. Teraz wiedział, że nic już nie jest pewne i nie musi trzymać się dotychczasowych planów. Raz jeszcze spojrzał na gapiące się z góry istoty. Widział kiedyś lemura i Bradford miał trochę racji. Nie były to jednak kocie małpy. Owszem, miały małpie ogony, były jednak porośnięte sierścią w różnych barwach. Z oblicza przypominały koty i podobnie jak w ich wypadku, trudno było poznać, co właściwie myślą.

Na pokładzie zapanowało całkowite milczenie. Pora coś powiedzieć, pomyślał kapitan.

- Jest odpowiedź z *Mahana*? - zapytał.

- Żadnej, sir.

- Trudno. Panie Scott, ster prosto, dwie trzecie naprzód. Sprawdźmy, czy zdołamy go

wyprzedzić. - Palniki zawyły głośniejsze, ale Matt i tak usłyszał gwar zdumionych głosów, gdy niszczyciel przyspieszył. Odruchowo uniósłszy rękę, pomachał obcym otwartą dłoń.

- Nie do wiary! - wykrzyknął Bradford, gdy kilka futrzastych istot powtórzyło z wahaniem gest Matta.

- Niezwykłe - powiedział Adar, kiedy obcy statek ruszył z wielką prędkością. - Nie zaatakowali, a jeden z nich pokazał gest pustej dłoni. To już coś. - Znak pustej dłoni był powszechnie stosowany przy powitaniu i oznaczał, że ten, kto go daje, nie ma broni oraz wrogich zamiarów.

- Może tylko osłaniał swoje małe oczy przed słońcem - powiedział wódz. Tłum zaczynał się z wolna rozchodzić, wciąż jednak podniecony i rozgadany. - Mimo to nie przypuszczam, żeby byli bezbronni. Czy to długie coś na samym przedzie ich statku to nie broń? Na pokładzie mają jeszcze trzy takie urządzenia.

- Też o tym pomyślałem, mój panie - szepnął Adar. - Ale jeśli to naprawdę broń, najważniejsze, że jej nie użyli, prawda? Nigdy jeszcze nie spotkaliśmy nikogo spoza Ludu, kto by nas nie zaatakował. Myślę, że to napawa nadzieją.

Keje coś mruknął.

- Nie wiem tylko na co - powiedział. - Nie nawykłem widywać dziwnych obiektów pływających bez skrzydeł o wiele szybciej niż Dom, i to jeszcze przed śniadaniem. Zapraszam do stołu. Będziemy mogli porozmawiać o tym, co właśnie zobaczyliśmy.

Wszyscy oficerowie obecni na pokładzie stłoczyli się na mostku. Podoficerowie i marynarze zebrali się pod prowadzącą na mostek schodnią. Nikt nie porzucił swojego stanowiska, ale chyba wszyscy wolni od służby tkwili gdzieś w pobliżu dziobowej nadbudówki. Nie umawiali się, że tak zrobią, raczej odruchowo uznali, że powinni w takiej chwili przebywać blisko kapitana i czekać, co im powie. Matt nie dziwił się ich zachowaniu. Nie obawiał się buntu na pokładzie, wiedział jednak, że każdy ma jakąś granicę wytrzymałości i obecnie wszyscy znaleźli się blisko punktu krytycznego. Nie dość, że przeszli piekło, to jeszcze trafili w miejsce, w którym wszystko było niepojęte, a zaskoczenia następowały jedno po drugim i wyglądało na to, że ten dziwny sen nigdy się nie skończy. Załogi niszczycieli nie lubiły nagłych i zbyt licznych zmian, tyle zdążył się już o nich nauczyć.

Spojrzał po tych, co stali w pobliżu - wszyscy z wyrazem szacunku, ale i oczekiwania na twarzy - i pojął, że niektórym może jednak być trudniej niż innym, zwłaszcza tym z Floty Azjatyckiej. Wielu z nich służyło w tych samych bazach i na tych samych pokładach przez

wiele lat, zzywając się z kolegami. Jedną z fundamentalnych cech Floty Azjatyckiej była pewność, że nic się w niej nigdy nie zmienia. Czasem zwano to skostnieniem i widok starych okrętów z przestarzałym wyposażeniem potwierdzał tę opinię. Towarzyszyła temu niezmienna przez dziesięciolecia rutyna służby, którą przerwał dopiero wybuch wojny. Ci, którzy mieli filipińskie żony, byli święcie przekonani, że po odejściu z marynarki po prostu osiadą na wyspach i będą tam wieść spokojne życie emerytów. Wojna zniszczyła te marzenia, jednak pokładowa rutyna pozostała. Mogli wierzyć, że wypełniając zwykłe obowiązki, odtworzą sposób życia, do którego przywykli. Robili to także teraz, gdy z całego znanego im świata mieli już tylko swój niszczyciel, kolegów z załogi oraz broń i maszyny, które obsługiwali. Na nic więcej nie mogli liczyć.

Zebrali się, żeby posłuchać, co kapitan ma im do powiedzenia. Liczyli, że da im siłę i nadzieję. Ostatecznie skoro szefostwo uznało, że jest dość bystry na dowódcę niszczyciela, musi być także zdolny wykombinować jakieś rozwiązanie obecnego problemu. Jeśli chodziło o sprawy ogólne, Matt nie miał najmniejszego pojęcia co robić i nie zamierzał ich oszukiwać. Pod tym względem był równie wystraszony jak oni. Wierzył jednak w swoją załogę i żeby cokolwiek działać, musiał zaapelować do ich inicjatywy i przemyślności. W końcu jak nikt inny w US Navy przywykli do służby na pograniczu. Jeśli ktokolwiek mógłby dać sobie tutaj radę, to właśnie oni, pomyślał; przynajmniej jeśli będą trzymać się razem. Tylko wtedy ochronią ten skrawek znanego nam świata, niszczyciel USS *Walker*. Potem mogą stawić czoło większym wyzwaniom.

- Nagłośnienie - powiedział, sam trochę zaskoczony swoim postanowieniem. - Proszę o uwagę! - odezwał tak samo jak przed wygłoszeniem każdego zwykłego komunikatu. Z mikrofonem w ręce obrócił się do pozbawionego szyby przedniego okna i wpatrzył się w mgiełkę na horyzoncie. - Jak już zauważyliście, ostatnio widzieliśmy wiele dziwnych rzeczy. - Uśmiechnął się kwaśno i odczekawszy, aż ucichną nerwowe chichoty, przeszedł na poważniejszy ton. - Nie wiem o nich ani trochę więcej niż wy. Gdy tylko jednak się czegoś dowiem, zaraz was o tym powiadomię. Obiecuję. Nie zamierzam kłamać. Sytuacja jest trudna. Nasz okręt poważnie oberwał w walce i daleko mu do pełnej sprawności. Mamy ograniczone zapasy amunicji i paliwa. - Przerwał na chwilę i przeszedł do rzeczy: - Nie potrafię wam powiedzieć, kiedy ani jak zdołamy je uzupełnić. W pierwszej kolejności zamierzam wyruszyć z *Mahanem* na ich poszukiwanie. Jeśli to się uda, spróbujemy uzyskać pełniejszy obraz sytuacji i zdecydować, co robić dalej. To były złe wiadomości. - Mimowolnie nadał jednak swojej wypowiedzi lekko humorystyczny charakter. - Pierwsza dobra to taka, że nikt do nas nie strzela. Kolejna, że mapy są wciąż aktualne i wiemy, gdzie

jesteśmy. Zniknęła reszta mieszkańców naszego świata, ale pozostały znane nam lądy i wody. Szczęśliwie nie ma już także Japończyków. Odwołuję alarm bojowy.

Chciał już oddać mikrofon wachtowemu, ale nagle zmienił zamiar.

- Jeszcze jedno - powiedział, patrząc na twarze załogi. - Cokolwiek nas spotka, można będzie do tego podejść na kilka sposobów. Powiecie, że to wszystko jest bardzo dziwne, i nie będę się z wami spierał. Niesamowite? Zgodzę się z wami. Złe? Zobaczymy. Możecie to traktować nawet jako wybawienie, bo wcześniej przecież byliśmy już prawie martwi. I to jest akurat pewne. - Wielu ludzi pokiwało z przekonaniem głowami. - Niemniej gdziekolwiek się udamy, cokolwiek będziemy robić, pozostaniemy częścią 29. dywizjonu i załogą *Walkera*! Załogą niszczyciela! Przedstawicielami Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych! - Potakiwanie stało się energiczniejsze i Matt wyczuł... aprobatę. Miał nadzieję, że to wystarczy. Westchnął i spojrzął na zegarek. - Wracajcie do swoich obowiązków. Obecnie priorytet mają kontrola i naprawa uszkodzeń. O trzynastej odbędą się uroczystości pogrzebowe. To wszystko.

- I starczy - dobiegł go pomruk z wielu ust.

Porucznik Tamatsu Shinya siedział na jednym z krzeseł przy stole w mesie. Ręce miał skute z przodu, łańcuch od kajdanek na przegubach biegł do drugich, krepujących mu kostki. Spowijający jego głowę bandaż osunął się na lewe oko. W pomieszczeniu było gęsto od dymu, ale przez dziury w poszyciu wpadały co jakiś czas podmuchy świeżego powietrza. Naprzeciwko jeńca rozpierał się amerykański marine. To on produkował ten dym, bacznie obserwując jeńca, odkąd odzyskał on przytomność.

Japończyk nie dał się ogłupić pozorną beztronską strażnika. Nie przypuszczał też, aby bandaż na nodze Amerykanina osłaniał ranę na tyle poważną, żeby uniemożliwiła mu użycie trzymanej w kaburze broni. Wiele wskazywało raczej na to, że marine tylko czeka na pretekst. Razem wysłuchali przemowy kapitana płynącej z zamontowanego na ścianie głośnika. Shinya, który udawał, że nie zna angielskiego, nie wiedział, czy ma się śmiać, czy żałować, że ta olbrzymia ryba go nie pożarła.

Nie był zawodowym oficerem marynarki wojennej, ale synem bogatego przemysłowca. Kilka lat studiował w Stanach na uniwersytecie w Berkeley, a mundur włożył, bo tego od niego oczekiwano, nie z miłości do polityki swojego państwa, chociaż jego ojciec piał z zachwytem nad samą ideą Wielkiej Azjatyckiej Strefy Dobrobytu. Owszem, Shinya był patriotą w tym sensie, że uważał, iż skoro w jego rodzinie wszyscy służyli w marynarce, to i on nie może się wyłamać. Poza tym wojna w Chinach była operacją lądową, a w marynarce zawsze

było mniej fanatyków.

Gdy zaczęły się przygotowania do wojny ze Stanami, z początku nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł wpaść na taki szalony pomysł. Przecież był tam, widział tamten kraj! Jak wielu innych dobrze wiedział, że to niebezpieczna zagrywka, a nawet gorzej - wielki błąd. Z drugiej strony trudno mu było zachować obiektywne spojrzenie. Lubił Amerykanów, podobało mu się w Kalifornii. Mógł ulec wpływom tamtejszych znajomych. Niemniej rozumiał, jaka przepaść kulturowa dzieli Stany i jego kraj. Niezależnie od retoryki uprawianej w USA i Japonii, dobrze rozumiał prawdziwe przyczyny nadchodzącej wojny i piętrowe nieporozumienia, które nie pozwoliły jej zapobiec. Sojusz z Niemcami i Włochami czynił konflikt nieuniknionym i choć mógł nawet doprowadzić do wygranej, niewątpliwie był błędem. Nie należało prowokować Amerykanów, nie należało ściągać sobie na głowę ich wściekłości.

Owszem, na razie wojna przebiegała po myśli Nipponu. Nawet ten zabytek, na którym został uwięziony, był dowodem nieprzygotowania Amerykanów do wojny. Wcześniej jednak zdarzyło mu się zobaczyć Balikpapan i wiedział, do czego byli zdolni, nawet gdy brakowało im sprzętu i zasobów. Obawiał się o wynik wojny, jeśli potrwa ona za długo i przeciwnik zbuduje nową, lepszą broń.

Potem jego okręt został przydzielony do eskortowania *Amagiego* i doszło do tej osobliwej walki z dwoma przestarzałymi amerykańskimi niszczycielami. Ich atak był tak śmiały, że musiał budzić podziw, nawet jeśli przeciwnik nie miał innego wyboru. Miał za to ducha walki.

Gdy dwie torpedy trafiły w jego okręt, usuwając mu pokład spod nóg, zmienił się oczywiście w zwykłą jednostkę ludzką walczącą o przetrwanie. Nie pamiętał, co uderzyło go w głowę ani jak wyłowiono go z wody. Widział ten dziwny szkwał i czuł wszystko, co mu towarzyszyło, ale to wszystko. Obudził się dopiero na pokładzie amerykańskiego niszczyciela i sporo usłyszał od tego czasu z ust ludzi, którzy nawet nie podejrzewali, że może ich rozumieć.

A potem zobaczył to, o czym mówili. Wielki statek widoczny przez dziurę w kadłubie. Wówczas zrozumiał, że wszystkie te pogłoski to szczerą prawdą.

Nie wiedział, jak wpłynie to na jego położenie. Był zapewne jeńcem, ale co to mogło oznaczać w praktyce? Jak powinien się zachowywać? Podczas ćwiczeń i wykładów nie mówiono im o tym prawie nic. Regulaminy nie przewidywały możliwości poddania się wrogowi, zatem instruktorzy nie poruszali tego tematu. Mimo swojej „amerykanizacji” odczuwał lekkie poczucie winy, że przeżył, chociaż nic nie mógł na to poradzić. Ten, który go

uratował, przekazując Amerykanom, nie żył i już nigdy nie odpowie na pytanie, dlaczego to zrobił. Tak czy owak, cokolwiek miało go jeszcze spotkać, na razie był tylko przeprowadzany pod strażą z pomieszczenia do pomieszczenia. Nikt go o nic nie pytał. Owszem, nie wiedzieli, że zna angielski, ale przynajmniej jeden z nich, młody oficer lotnictwa, mówił po japońsku. Wydawało się nad wyraz dziwne, że nikt nie jest tu zainteresowany wiadomościami na temat Cesarskiej Floty Wojennej. Już wcześniej postanowił, że niczego nie powie, ale Amerykanie z jakiegoś powodu nawet nie próbowali go przesłuchiwać, co było niepokojące.

Być może zajęci naprawami i ucieczką po prostu o nim zapomnieli. Nie widział kapitana, chociaż wiedział, że siedzi w mesie oficerskiej. Podszuchując, co poszeptuje załoga, zaczął jednak dochodzić do wniosku, że nie jest to zwykłe zaniedbanie. Po prostu wszystko, co mógł wiedzieć, raptownie straciło na znaczeniu. Potem, ledwie kilka chwil temu, pojął z całą jasnością, że przeciwnik miał powód, żeby całkowicie stracić nim zainteresowanie. Siedział więc pogrążony w myślach i słuchał monotonnego szumu maszyn.

Coś poruszyło się za zieloną zasłoną w wejściu i wychynęła zza niej czyjaś głowa. Przybysz, zobaczywszy jeńca i strażnika, zaskoczony zaraz zniknął, a z korytarza dobiegło „Cholera, Japoniec”.

Marine uśmiechnął się lekko i wzniosł oczy do sufitu. Potem spojrzał na Tamatsu.

- To nowy pierwszy - wyjaśnił. - Ktoś sobie w końcu o tobie przypomniał. Może sprowadzi tu kapitana. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Mam nadzieję, że rzucą cię na pożarcie rybom.

Pół godziny później zasłona znowu się poruszyła i do mesy weszło dwóch ludzi. Młodszy zachowywał się jak biznesmen. Miał brązowe włosy i w odróżnieniu od wszystkich innych był gładko ogolony. Ciemnozielone oczy zdradzały, że jest bardzo zmęczony, były jednak czujne i ciekawe świata. Drugi był starszy i niższy, z wyraźnym brzuszkiem. Też był wyczerpany i raczej nieświeży, ale miał zdecydowanie obojętny stosunek do świata. Tyle że na jeńca patrzył z nienawiścią. Strażnik poderwał się tak szybko, jak mu pozwalała zraniona noga.

- Sierżant Adler? - spytał pierwszy z mężczyzn.

- Alden, panie kapitanie - odparł strażnik. - Sierżant Pete Alden z kontyngentu Marine Corps na USS *Huston*. - Przy ostatnim słowie zerknął ponuro na jeńca.

- Cieszę się, że mam pana na pokładzie, sierżancie. Przepraszam, że nie zdążyłem porozmawiać z panem wcześniej, ale byłem bardzo zajęty.

- Nie ma za co przepraszać, sir.

- Tak czy owak doceniam, że mimo rany zajął się pan jeńcem. Jak noga?

- Dobrze, sir.

Matt udał, że bierze to za dobrą monetę. Rana na pewno nie przeszkadzała Aldenowi w wypełnianiu obecnych obowiązków, podobnie jak wielu innym, którzy mimo obrażeń pozostali na stanowiskach. Matt wskazał na Japończyka.

- Jak się zachowuje? - zapytał.

- Nie sprawia kłopotów, sir. Głównie siedzi i rozgląda się dokoła. On robi, co mu każe, a ja pilnuję, żeby załoga go nie zlinczowała.

Gray parsknął, ale Matt tylko pokiwał głową. Odsunął krzesło po drugiej stronie stołu i usiadł naprzeciwko jeńca. Łokcie oparł na blacie, splótł palce obu dłoni i spojrzał Japończykowi w oczy. Jeniec beznamiętnie odwzajemnił spojrzenie. Kapitan westchnął głęboko.

- I co mam z tobą zrobić? - spytał głośno sam siebie.

Tamatsu poczuł przyływ adrenaliny. Uważał, że powinien dalej udawać, że niczego nie rozumie, nagle jednak zrozumiał, jakie to bezsensowne. Z tego, co widział i słyszał, wynikało, że wojny, w której uczestniczył, już nie ma, tak jak państw i flot, które ją prowadziły. Wcześniej gotów był przypuszczać, że przeciwnik celowo wymyślił tę bajeczkę, żeby go skłonić do mówienia. Dinozaury na Bali - toż to paradne! Potem jednak zobaczył obcy statek i w końcu pojął, że najwyższy czas ujawnić znajomość angielskiego. Prędzej czy później to odkryją i jeżeli stanie się to zbyt późno, nigdy już mu nie uwierzą. A przecież i bez tego był w niełatwej sytuacji. Cokolwiek sądził o tej wojnie, nie zamierzał zostać zdrajcą, ale potrzebował ich zaufania. Kto wie, jak długo u nich będzie.

Odchrząknął z wahaniem i ku zdumieniu mężczyzny naprzeciwko odezwał się płynną, lekko tylko akcentowaną angielszczyzną:

- Kapitanie, jestem porucznik Tamatsu Shinya. Jestem waszym jeńcem. Japonia nie ratyfikowała Konwencji Genewskiej, ale daję panu słowo honoru, że będę współpracować z wami jak tylko zdołam, o ile nie będę nakłaniany do zdrady mojego narodu i rządu. W tych... niezwykłych okolicznościach nie przypuszczam, żeby podobny gest z mojej strony mógł zaszkodzić Japonii. Jeśli zgodzi się pan przyjąć moją propozycję, kapitanie, zagwarantuję ją oficcerskim słowem honoru.

Reakcje były rozmaite. Twarz Tamatsu pozostała niewzruszona, ale Gray zaczął miotać oczami błyskawice, a marine patrzył na Japończyka, jakby cierpiał na wstrząs pourazowy. Zaskoczony po raz kolejny Matt wyprostował się na krześle, ale zaraz się opanował. Znów się przekonał, że jego zdolności adaptacyjne rozwijają się nader szybko. Może nawet zbyt szybko.

- Poruczniku Shinya, to szczodra... propozycja - powiedział. - Rozważę ją. Przypuszczam, że słyszał pan, co powiedziałem chwilę temu przez radiowęzeł? - Jeniec skinął głową. - Zatem rozumie pan, że znaleźliśmy się w sytuacji, której nie przewidują żadne regulaminy. Zakładam, że gdzieś tam ciągle trwa wojna. Zgodnie z jej prawami powinienem przekazać pana moim przełożonym, ale ponieważ nie wiem, gdzie oni się znajdują i czy kiedykolwiek ich jeszcze spotkam... - Rozpostarł dłonie na blacie. - Zastanowię się. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, jeśli na razie pozostanie pan pod strażą sierżanta Aldena?

W drodze na rufę Matt słyszał cały czas mamrotanie Graya. Robili właśnie szybki obchód okrętu. Raz po to, żeby załoga mogła zobaczyć swojego dowódcę, a dwa - żeby sprawdzić, jak przebiegają naprawy i jakie są nastroje załogi. Matt zamierzał też porozmawiać ze Spankym. Inżynier był jedynym oficerem, który nie słyszał jego przemowy. Gdy weszli w cień nadbudówki na śródokręciu, Gray wciąż coś mamrotał. Po drodze minęli szereg ludzi podających kanapki na zewnątrz tak szybko, jak tylko kucharz potrafił je przygotowywać.

Było nieznośnie gorąco i przynajmniej to jedno się nie zmieniło. W drodze powrotnej, prosto pod słońce, zatrzymali się przy dystrybutorze z wodą pitną na tyłach wielkiej lodówki obok komina numer dwa. Bezsensowne miejsce na lodówkę, pomyślał po raz kolejny Matt, ale świetne na poidelko. Dotknął przycisku i zimny strumień sięgnął jego warg. Popił trochę, starając się oszczędzać chłodzoną wodę. Gray poszedł w jego ślady.

- Wydajecie się podenerwowani, bosmanie - zauważył Matt.

- Chodzi o tego Japońca. Chyba go pan nie wypuści?

- Jeśli będzie się dobrze zachowywał, to może. I bez niego mamy się czym martwić. Dał słowo.

- I co z tego? Wcześniej też udawali miłych, a zrąbali Pearl Harbor. Nie musielibyśmy go pilnować, gdyby... - Rozejrzał się, czy nikt ich nie słyszy. - Powinniśmy się go pozbyć. Przecież to wróg!

Matt spojrzał uważnie na bosmana.

- Pozbyć się go? Czyli zabić? - Pokręcił głową i zerknął na wcinających kanapki marynarzy. Westchnął. - Nie. Nie możemy tego zrobić. Wiesz dlaczego? Bo jesteśmy Amerykanami i nie robimy takich rzeczy. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Gdziekolwiek jesteśmy, pozostajemy Amerykanami - dodał, gdy ruszyli dalej.

Słońce dotknęło już morza na horyzoncie, gdy Spanky i McFarlane przystanęli przy wyrzutni torpedowej numer dwa. Po raz pierwszy od ucieczki z Surabai pokład był niemal pusty. Mieli za sobą bardzo ciężki dzień, podczas którego ukończyli najpilniejsze naprawy, i

wieczorem załoga wydała z siebie zbiorowe westchnienie ulgi i po prostu padła. W okolicy widać było jedynie Dennisa Silvę z paroma ludźmi z jego drużyny. Siedzieli na nadbudówce i rozmawiali. Spanky ich zignorował, ale tym razem nie mógł inaczej. Też potrzebował wytchnienia, a gdyby zajął się tą bandą, zapewne musiałby zgłosić ją do raportu.

Wyjął z kieszeni bury gałgan i otarł pot z oczu. Piekły go jak diabli. Potem cisnął brudny kawał materiału w spienioną wodę przy burcie. Czy tylko mu się zdawało, czy rzeczywiście coś złapało gałgan, ledwie dotknął fal? Chwycił się łańcucha, który pełnił tu funkcję relingu. Chyba zaczyna ci odbijać, pomyślał, i poszukał papierosa. Wypraktykowanym gestem zapalił go na wietrze i mocno się zaciągnął. Tak, to był piekielny dzień.

Niedługo po przemówieniu kapitana pochowali z honorami wszystkich poległych. Prawie jedna czwarta załogi zsunęła się za burtę przy wtórce odczytywanej ze ściśniętym gardłem modlitwy. Spanky zadrżał, zastanawiając się, jak głęboko ciała zdążyły zatonać, nim pożarły je tutejsze odpowiedniki piranii. Te ryby zdawały się być wszędzie. Stary zaś nawet w tym wypadku okazał się przewidujący. Zamiast pocisków do czterocalówek, które zaszywano zwykle w workach, tym razem dołożyli cały złom, którego Spanky mógł się pozbyć.

Wcześniej kapitan wyraźnie mu powiedział, żeby nie wyrzucać niczego, co w jakikolwiek sposób może się przydać, Spanky wyznaczył więc kilku ludzi do segregowania śmieci. Potem sam jeszcze sprawdził, czy się dobrze sprawili, i wybrał kawałki *Walkera*, które miały towarzyszyć jego poległym dzieciom w ostatniej podróży. Parsknął ironicznie. Przynajmniej paru poszło na dno z pociskami, tyle że były to japońskie niewybuchy wydłubane z kadłuba niszczyciela. Ale dobrze, że stary zaczął myśleć w ten sposób. Przyszłość jest ważna. Jeszcze wczoraj inaczej do tego podchodził, ale potem zobaczyli ten statek. Kapitańska przemowa też sporo pomogła, zwłaszcza że została wygłoszona we właściwej chwili. Spanky podejrzewał, że kapitan nie mniej niż załoga potrzebował czegoś, co dodałoby mu ducha.

Słońce osunęło się za horyzont, nad morzem zapadał mrok. W sumie jednak to nie był taki zły dzień, pomyślał z zadowoleniem Spanky. Nie wiedział, co jeszcze może przynieść im spotkanie z dziwnymi stworzeniami pływającymi na olbrzymim statku, ale zaciekały one załogę i na chwilę pozwoliły zapomnieć o zwykłych kłopotach. A na dodatek zdołali uruchomić kocioł numer dwa. Stan jedyнки nie rokował najlepiej. Była cała popękana w środku, na dodatek musieli wykorzystać jej przewody parowe, żeby naprawić dwójkę.

Silva wybuchnął śmiechem i Spanky uśmiechnął się mimowolnie. Trzeba czegoś więcej niż pogrzeb i przeniesienie do innego świata, żeby wielki mat artylerzysta stracił humor. Potrafił cieszyć się dosłownie wszystkim. Na chwilę Spanky mimowolnie wsłuchał się w rozmowę marynarzy.

- To bardziej małpy niż koty. Widziałeś ich ogony? - spytał Tom Felts. - Kocie małpy i już!

- Koty też mają ogony, idioto! - odpalił Paul Stites. - A twarze mieli na pewno kocie. Poza tym „kocie małpy” głupio brzmi.

- A ty co myślisz, Marvaney? - spytał Felts przyjaciela, który stał przy relingu nad Spankym.

Mack Marvaney wzruszył ramionami i spojrzał na kilwater. Felts chciał ponowić pytanie, ale Silva trącił go w ramię i bez słowa pokręcił głową. Mack zostawił w Cavite filipińską żonę. Dość już wycierpiał, gdy się dowiedział, że Japończycy zajęli wyspy, a teraz jeszcze to...

- Już zdecydowałem - powiedział Silva tonem, który zwykle kończył sprzeczki. - To będą kocie małpy.

Stites wdzięczny, że Silva powstrzymał Feltsa od nagabywania cierpiącego przyjaciela, przyjął to w miarę spokojnie.

- Ale tak właśnie mówią na nie kocmołuchy! Nie możemy ich naśladować!

- Tak? - spytał zatroskany Spanky. - Przecież nawet ich nie widzieli. Siedzieli cały czas pod pokładem. Jestem pewny, że się schowali przed nimi! Dla nich mogłyby to być trzynogie hipopotamy. - Zamilkł na chwilę i podszedł do relingu obok Marvaneya, żeby splunąć za burtę. Spojrzał na niego, potem na resztę. - Zdecydowałem! Odtąd to są kocie małpy. To my je odkryliśmy i możemy je nazwać jak chcemy.

Spanky pokręcił głową, ostrożnie zaciągnął się ostatni raz resztką papierosa i cisnął go do morza. Do jutra cała załoga będzie się kłócić o te kocie małpy. Wciąż z uśmiechem poklepał pustą rurę wyrzutni torpedowej. Nawet z trzema kotłami ta łajba, której nie cierpiał i którą ukochał, była zapewne najszybszym okrętem tego świata. To dawało nadzieję.

Przez półtora dnia *Walker* szedł na wschód, szukając *Mahana*. Drugi niszczyciel nie mógł ich zbyt szybko wyprzedzić i na pewno nie płynął z pełną szybkością, powinni więc trafić na niego po kilku godzinach, jednak wciąż nie widzieli nawet śladu siostrzanej jednostki. Wszyscy bardzo się niepokoiли. Nie dość, że *Mahan* był w kiepskim stanie i wiele mogło się na nim jeszcze zdarzyć, to stanowił jedyny znajomy element w tym obcym świecie. No i miał na pokładzie marynarzy z załogi *Walkera*.

Kapitan Reddy wszedł na mostek i ciężko opadł na swoje krzesło. Machnął niedbale ręką, słysząc regulaminowe „kapitan na mostku”. Nie było go ledwie kilka minut. Narastał w nim niepokój i chociaż sądził, że dobrze go ukrywa, obawa o *Mahana* przyprawiała go niemal o mdłości. Wiedział, że niebawem będzie musiał podjąć bardzo trudną decyzję.

Wstawiono szyby w oknach i wiatr nie wyciskał już łez z oczu. Wachtą dowodził akurat Larry Dowden, ale Matt nie potrafił opuścić mostka. Wiedział, że wygląda to, jakby nie ufał Larry'emu, ale był zbyt przejęty sytuacją.

- Meldunek? - zapytał.

- Brak kontaktu, skipper.

Matt pokiwał głową i znów pogрузzył się w ponurych myślach. Powinni już go widzieć. Pogoda była dobra, niebo błękitne. Po prawej rysował się ostro północny skraj wyspy Alor. Byli już w punkcie zbornym, gdzie *Mahan* miał na nich czekać. Gdyby nie dotarli, miał obejść Wetar i popłynąć na południe między Timorem a Moa. *Walker* wyciągał dwadzieścia węzłów, znacznie więcej, niż Jim byłby skłonny płynąć na swoim uszkodzonym niszczycielu. Nawet gdyby jakimś cudem sporo ich wyprzedził, powinien tu krążyć, widoczny z daleka. Skoro go nie było, nasuwał się nieunikniony wniosek, że w ogóle do Aloru nie dotarł. Pewnie wyprzedzili go niezauważenie w ciemności i jest gdzieś za nimi. Chyba że stało się coś jeszcze.

Ta myśl prześladowała Matta. To on skierował *Mahana* na te puste wody. Nie wiedział wtedy, że wcale nie musieli się rozdzielać, ale mało go to pocieszało, zwłaszcza że stanął przed wiecznym dylematem wszystkich dowódców niszczycieli: zapas paliwa spadł do jednej trzeciej. Nie miał wyboru.

- Panie Dowden, proszę zawrócić okręt - powiedział z ciężkim sercem. - Zmniejszyć prędkość do jednej trzeciej.

Larry westchnął. Wiedział, ile ten rozkaz kosztował kapitana, i nie był pewien, czy sam potrafiłby go wydać. Może drugi okręt rzeczywiście był za nimi, ale i tak wydawało mu się, jakby się poddawali.

- Aye, aye, sir. Sternik, skręt w lewo na kurs dwa, osiem, zero.

Matt wstał i spojrział na zegarek.

- Panie Dowden, proszę przekazać wszystkim oficerom, że o szesnastej trzydzieści oczekuję ich w mesie. - Zamilkł na chwilę. - Dobrze będzie wcześniej przenieść gdzieś naszego „gościa”. - Obrócił się, żeby zejść z mostka, ale jeszcze się zatrzymał. - Cofam rozkaz. Niech sierżant Alden sprowadzi nieprzyjacielskiego oficera na spotkanie. - Dowden uniósł brwi. - Proszę też zapytać pana Bradforda, czy byłby uprzejmy do nas dołączyć.

- Aye, sir.

Smugi dymu papierosowego krążyły i zwijały się w podmuchach wpadających przez otwarte bulaje. Dziury po bitwie zostały wreszcie załatane. Kapitan Reddy siadł u szczytu stołu,

wszyscy pozostali przy życiu oficerowie i podoficerowie stłoczyli się po bokach. Obecni byli przedstawiciele wszystkich działów. Larry Dowden, bosman Gray, Rick Tolson, Bernard Sandison oraz Riggs siedzieli po lewej kapitana. Po prawej Matt miał Sandrę Tucker, za nią siedział Spanky, Bradford, Garrett oraz porucznik Alan Letts, oficer zaopatrzeniowy. Krzesło u drugiego końca stołu było wolne. Gdy sierżant Alden wprowadził Japończyka do mesy i wskazał mu to miejsce, zapadła cisza.

Tamatsu usiadł z godnością i wpatrzył się w kapitana. Alden stanął oparty o ścianę za jeńcem, ale po chwili Juan przyniósł mu krzesło. Sierżant podziękował drobnemu Filipińczykowi i usiadł, wysuwając nogę przed siebie. Atmosfera zgęstniała i wszyscy spoglądali na cesarskiego oficera, niektórzy z jawną wrogością.

- Przedstawiam państwu porucznika Tamatsu Shinyę - rzekł Matt. - zaproponował on, że da mi oficerskie słowo honoru, iż nie ucieknie, które postanowiłem warunkowo przyjąć. Będzie traktowany z szacunkiem i otrzyma prawo swobodnego poruszania się po okręcie. Oczywiście w granicach rozsądku i na razie w towarzystwie sierżanta Aldena. Czy może pan się podjąć takiego eskortowania jeńca, sierżancie?

- Tak jest, sir. Tyle że nie wszędzie zdołam obecnie wejść.

Matt tylko skinął głową.

- Poruczniku Shinya, przedstawiam panu moich oficerów. - Podał nazwiska wszystkich siedzących przy stole. Każda z wywołanych osób skłaniała lekko głowę, ale większość była wyraźnie niezadowolona. Nie umknęło to uwagi kapitana. - Panowie... i proszę pani, kraj porucznika Shinyi i nasza ojczyzna są obecnie w stanie wojny, ale to się dzieje gdzieś daleko i nie powinno wpływać na nasze decyzje. I nie o tym mamy rozmawiać. Musimy zaplanować, co zrobimy, zakładając, że jesteśmy zdani całkowicie na własne siły i US Navy w żaden sposób nas nie wesprze. Zarazem bez względu na okoliczności nie wolno nam zapominać, że wciąż jesteśmy jej częścią. Oznacza to zachowanie zwykłej dyscypliny na pokładzie i wypełnianie przez załogę wszystkich obowiązków. Porucznik Shinya został zaproszony na zebranie, ponieważ znalazł się w tej samej sytuacji co my. Będzie podlegał tym samym regulaminowym wymogom co wszyscy. Bez specjalnego traktowania i bez prześladowań. Panie Dowden?

- Hm, tak, sir?

- Proszę porozmawiać z porucznikiem Shinyą i ustalić, czy ma on przydatne dla nas talenty albo umiejętności. Tak czy owak proszę znaleźć mu coś do roboty. Wszyscy musimy wiosłować. - Spojrzał na Tamatsu. - Czy to jasne, poruczniku? Takie są moje warunki.

Shinya lekko skłonił głowę.

- Doskonale pana rozumiem, kapitanie - powiedział po angielsku, wywołując szmer zdumienia. Niektórzy wciąż nie kryli niezadowolenia, część jednak się zamyśliła.

Matt przeszedł do zasadniczych spraw, żeby odciągnąć uwagę od gościa.

- Po pierwsze, jak już na pewno wiecie, jesteśmy na kursie powrotnym. Powinniśmy znaleźć *Mahana* w punkcie zbornym, ale skoro tak się nie stało, musieliśmy go minąć albo... - spojrzawszy zdecydowanie na zebranych - albo *Mahan* zatonął. Będziemy przepatrywać uważnie akwen, przez który idziemy, brak nam jednak paliwa, żeby dotrzeć do Australii albo do Surabai. Zresztą nie przypuszczam, żeby Perth było tam, gdzie normalnie moglibyśmy go oczekiwać.

- Czy jest pan skłonny sądzić, że Surabaja także zniknęła? - spytał Bradford.

- Tak. Niemniej musimy znaleźć paliwo. Cokolwiek się stało, geografia tego świata jest taka sama, przynajmniej tutaj. Czy zna pan lepsze miejsce w okolicy, gdzie mamy szansę pozyskać ropę? Skoro jest pan ekspertem w tej dziedzinie, proszę nam powiedzieć, gdzie konkretnie powinniśmy jej szukać. Gdzie najłatwiej będzie nam się do niej dostać?

Bradford zetknął palce obu dłoni i zamyślił się. W zębach trzymał wygaszoną fajkę, ale poruszał ustami, jakby co chwilę z niej pociągał.

- Będę się musiał nad tym zastanowić - odezwał się po chwili. - Ropa jest tu prawie wszędzie, ale nie jestem pewien, gdzie najlepiej jej szukać. Zapewne w Surabai. W naszym świecie to były naprawdę znaczne złoża. Podobnie jest na Flores. Proszę dać mi czas na sprawdzenie tego w posiadanych przeze mnie materiałach. Może trafię na informację, gdzie dokładnie rozpoczęto eksploatację i jak do tego doszło. To może być istotna wskazówka.

- Dobrze - powiedział Matt. - Proszę sprawdzić i jak najszybciej zameldować o wynikach.

- Przeniósł spojrzenie na porucznika McFarlane'a. - Czym jeszcze możemy palić w kotłach? Czy po przeróbkach nadawałoby się drewno?

Spanky spojrzawszy na kapitana z przerażeniem w oczach.

- Jezu, skipper! - jęknął. - Nie ma żadnych szans. To by je rozwalilo.

Matt zerknął na niego ostro.

- Wiem, że to niewskazane, ale w razie konieczności...?

- Tak, sir - odparł niechętnie inżynier. - Tyle że skutki byłyby opłakane. Przede wszystkim pojawiłby się problem usuwania popiołu. Poza tym musielibyśmy zabierać całe tony drewna. Nie mamy go gdzie składować, a ułożone na pokładzie zaburzyłyby stateczność.

- Ale ogólnie to wykonalne? - cisnął Matt. - Moglibyśmy przemieszczać się tak od jednej wyspy do drugiej?

- Owszem - mruknął porucznik.

- Dobrze. Proszę przygotować wyliczenie, ile drewna potrzebowalibyśmy na pokonanie, powiedzmy, pięciuset mil.

- Aye, sir.

Kapitan zwrócił głowę w stronę Sandry Tucker i bezwiednie złagodził wyraz twarzy.

- Jak przedstawia się sytuacja w pani dziale, porucznik Tucker? - zapytał.

Sandra uśmiechnęła się, słysząc o „swoim dziale”, który składał się z niej samej, Karen Theimer, która jedyna z jej grupy pozostała na *Walkerze*, oraz mata Millera. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że to było jej królestwo, choć skromne.

- Coraz lepiej, sir - odrzekła. - Rodriguez będzie mógł za jakiś tydzień wrócić przynajmniej do niektórych obowiązków. Noga dobrze mu się goi. - Spojrzała na siedzącego za Tamatsu sierżanta. - A skoro mowa o nogach, mam wrażenie, że niektórzy używają ich intensywnie, chociaż nie powinni. - Alden udał, że zainteresowało go nagle coś znajdującego się pod stołem. - Reszta rannych powinna przeżyć, chociaż trochę to potrwa. Wielu normalnie pracuje, ale obawiam się, że nie zdołałabym zatrzymać ich w kojach. - Spojrzała Mattowi prosto w oczy. - Obecnie wszyscy mają coś do roboty i dają z siebie wszystko. Gdy kryzys minie, spodziewam się wielu chorych, ofiar wyczerpania. Załoga się wypala. - Matt skinął głową, świadom, że porucznik Tucker mówi przede wszystkim o nim samym. - Obecnie martwię się właściwie tylko o Davisa. Cokolwiek robię, jego gorączka nie spada.

- To ten ugryziony przez jaszczurę? - upewnił się Matt.

Sandra pokiwała głową.

- Pan Bradford twierdzi, że one właściwie nie są jadowite, a problemy wywołują żyjące w ich paszczach kultury bakteryjne. Może tak być, niemniej pan Bradford mówił o innym gatunku. Jeśli to rzeczywiście infekcja bakteryjna, musi być wyjątkowo paskudna i nie wykluczałabym także obecności jadu.

- Proszę informować mnie o stanie chorego - poprosił z powagą Matt. - Panie Garrett, jak wyglądamy z uzbrojeniem? Mam na myśli nie tylko działa, ale również broń ręczną.

Garrett zmarszczył brwi.

- Jest jakiś problem? - spytał Matt.

Garrett poczerwieniał i szybko pokręcił głową.

- Żadnego, sir. Zaskoczyło mnie tylko pytanie o broń ręczną. Nie pamiętam dokładnych liczb. Chociaż powinienem, sir.

- Wystarczy ogólny obraz - powiedział Matt z uśmiechem. - Rozumiem, że ostatnio zajmował się pan działem numer trzy?

- Tak, sir - odparł Garrett z widoczną ulgą. - Dalej nad nim pracujemy. Zasadniczo chodzi

o okablowanie, ale uszkodzenia obejmują także przekładnie obrotowe. Należałoby wymontować je i wziąć do warsztatu...

- Nie teraz - odparł Matt, kręcąc głową. - Nie chcę wyłączać żadnego działu na dłużej. Poza tym warsztat zajęty jest torpedami, które mają obecnie priorytet. Do czasu, gdy dowiemy się więcej o istotach z wielkiego statku, chcę mieć możliwość jak najszybszego podziurawienia każdego przeciwnika.

Garrett zauważył, że Bernie zapisuje coś sobie na kartce przypiętej do podkładki. Spojrzał znów na kapitana.

- Oczywiście, sir. Poza tym jednym działem artyleria główna jest w porządku. Mat Silva zajął się karabinami oraz trzycalówką na rufie. Stan magazynów taki sobie. Zużyliśmy ponad jedną trzecią pocisków do głównej oraz dwadzieścia trzy i pół procent do trzycalówek. Było warto, ale to dużo! Jeśli chodzi o amunicję do karabinów maszynowych, nabraliśmy jej sporo w Surabai, jednak nasi radośni strzelcy wywalili już prawie cały nadmiar. Mamy jeszcze trochę ponad stan, ale... - Westchnął. - Co do broni ręcznej, nie wiem dokładnie - powtórzył przeproszającym tonem. - Ogólnie jednak będzie dobrze. Marynarze Floty Azjatyckiej rzadko występują w roli piechoty morskiej, zwłaszcza w Chinach. W zbrojowni leży sześćdziesiąt springfieldów i zapewne dwadzieścia kilka pistoletów wzór 1911. Mamy też cztery automatyczne karabiny Browninga i pół tuzina thompsonów. Amunicja pochodzi z bardzo starych zapasów, od 1918 roku poczynając, ale to dobrze, bo jest tego kilka skrzyń. Na samym spodzie leżą podobno takie, które zawierają karabiny Kraga. Zapewne ktoś musiał je wyfasować na Filipinach.

- Niekoniecznie - odezwał się Gray. - *Walker* wszedł do służby w 1919 roku, kiedy kragi były jeszcze w powszechnym użyciu w US Navy. Założę się, że należą do pierwotnego wyposażenia. Może nawet nigdy nie wyjmowano ich ze skrzyń.

Matt pokiwał głową.

- Proszę je sprawdzić - rozkazał Matt. - Coś jeszcze?

- Aye, aye, sir. Nie, to wszystko.

- Dobrze. Sparks? Coś nowego w łączności? - Matt wiedział, że nie. Pytał o to Riggsa kilka razy dziennie i rozkazał, by natychmiast informowano go o odebraniu jakiegokolwiek komunikatu.

- Nic, skipper - zaprzeczył Riggs, kręcąc głową. - Sprzęt jest sprawny, wszystko sprawdziliśmy. Po prostu nie ma czego słuchać. - Wszyscy już o tym wiedzieli, ale głośne potwierdzenie tego dziwnego faktu i tak zadziało przygnębiająco.

Matt wyczuł spadek nastroju i zaczął przeciwdziałanie. Jak zwykle wykorzystał w tym

celu bosmana.

- Zostały jeszcze jakieś większe dziury, szefie?

- Większe nie - odparł bosman z lekkim uśmiechem. - Nasza łajba zawsze przeciekała jak sito. Możemy łątać do woli, ale to konstrukcja nitowana i pewnie nie ma w części dennej łączenia, które chociaż trochę by nie puszczało, ale kontrola robi swoje. - Spojrzał na McFarlane'a i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Góra i dół uwija się przy tym razem, co nie jest normalne. Nie zrobiliśmy jeszcze nic z przestrzelinami w kominach, ale wszystko, co może brać wodę, jest już załatwione.

McFarlane przytaknął.

- Pływamy, skipper, i póki pompy będą działać, nogi nam nie zamokną. - Rozejrzał się po obecnych. - Ale na pewno potrzebujemy stoczni.

Słuchacze pokiwali potwierdzająco głowami.

- Wiemy, Spanky - powiedział cicho kapitan. - Coś jeszcze z twojej strony?

McFarlane zaprzeczył gestem, świadom, że przyczynił się do ponownego zepsucia nastroju.

- W zasadzie nie, sir, chociaż... Jedno przychodzi mi do głowy, gdy chodzi o konserwację. Żebyśmy poszukali jeszcze innych sposobów. Farby czy środków czystości też mamy ograniczone zasoby i tutaj nie damy rady ich uzupełnić. Tak to wygląda.

Gray chciał zaprotestować, że jeśli jego święty pokład nie będzie należycie szorowany i konserwowany, to w tym klimacie niebawem zostaną bez pokładu, ale wiedział, że aby czegoś używać, trzeba to mieć.

- Spanky ma rację - mruknął. - Wiem, że pokładowym nie spodoba się, gdy nie będą mogli wykonywać ulubionych zajęć - stwierdził z chichotem - ale z farbą faktycznie jest krucho. Muszę pokryć spawy, ale zwykle odświeżanie moglibyśmy sobie darować.

- Słuszna uwaga - powiedział Matt i spojrzął na oficera zaopatrzeniowego, Alana Lettsa, chudego gościa z Dakoty Północnej. Letts miał rude włosy, bardzo jasną skórę i masę piegów na twarzy. Rzadko pokazywał się na pokładzie, bo nawet krótki pobyt na słońcu upodabniał go do rzodkiewki, toteż gdy tylko mógł, chował się w cieniu, co bawiło całą załogę. Był przy tym lubiany i nie obrażał się o byle co. Czasem pozwalał marynarzom, żeby towarzyszyli mu, gdy robił obchód okrętu, chroniąc się pod chińskim parasolem. Obecnie, mimo wszystkich wysiłków, skóra oblażyła mu z twarzy płatami. Swoje obowiązki wykonywał należycie i znał różne biurokratyczne kruczki, czego teraz nijak nie mógł wykorzystać. Z punktu widzenia Matta jego największą wadą było lenistwo wynikłe z wielu lat służby we Flocie Azjatyckiej, gdzie wszystko płynęło swoim, niespiesznym rytmem. Kapitan miał nadzieję, że obecna

sytuacja skłoni go to trochę większej pracowitości.

- Jak nasze zapasy? - spytał.

- Chwilowo w porządku - odrzekł Letts. - Nabraliśmy ich dużo przed opuszczeniem Surabai. Nikt nie chciał zostawiać pełnych magazynów Japończykom - dodał, zerkając z ukosa na jeńca. - Przy obecnym zużyciu, co oznacza normalne zużycie, braki zaczną się dopiero za trzy tygodnie. Chłodnie są pełne. Potem będziemy mieli jeszcze drugie tyle na konserwach. - Skrzywił się. - Ale nie liczyłbym za bardzo na parówki wiedeńskie. Lepiej będzie znaleźć coś świeżego, zanim załoga nam się zbuntuje. Tak czy owak nie nastąpi to raczej przed upływem miesiąca albo i półtora.

- Racji obciąć nie możemy - oznajmił zdecydowanie Matt. - Nie teraz, gdy ludzie ciężko pracują. Poza tym miałyby to zły wpływ na morale. Musimy po prostu znaleźć dobre źródło żywności. - Spojrzał na Courtneyę Bradforda. - Zastanawiam się, jak może smakować stek z dinozaura...

Australijczyk zrobił zdumioną minę, która wywołała ogólną wesołość.

- Jeść dinozaury? Boże... Ten człowiek proponuje, żeby jeść dinozaury!

Matt zwrócił się znowu do Lettsa.

- Słodka woda? - spytał.

Kotły *Walkera* zostały zaprojektowane w układzie otwartym, wykorzystywały więc wodę morską, ale załoga potrzebowała słodkiej do gotowania i picia. Jej zbiorniki były niezbyt duże i w zwykłych okolicznościach kąpiel na pokładzie niszczytela była luksusem. Często widywało się kolejki nagusów czekających na spryskanie morską wodą z węża, chociaż drażniła ona skórę, gdy wysychała.

- Z tym jest problem - przyznał Letts. - Przy obecnym stanie skraplaczy starczy jej na jakiś miesiąc. Zakładając zużycie na obecnym poziomie.

- Dobrze. Potrzebujemy zatem paliwa, amunicji, żywności i wody. - Kapitan spojrzał pytająco na Graya. - Oraz farby. - Kilka osób zaśmiało się, mimo że nikt nie miał pojęcia, skąd to wszystko wziąć. - Coś jeszcze?

- Jakiś milion różnych drobiazgów, skipper, ale to jest najpilniejsze - odparł Letts. - Jestem pewien, że porucznik McFarlane dodałby jeszcze listę części zamiennych, ale...

- Jasne. Proszę przygotować listę wszystkiego, co jest potrzebne, ale z uwzględnieniem propozycji zdobycia tych artykułów. Róbcie co chcecie, ale potrzebuję konkretnych odpowiedzi. - Matt obrócił się z krzesłem do Bradforda. - Czy byłby pan gotów wstąpić w szeregi?

Australijczyk wyjął fajkę z ust i cały się uśmiechnął.

- Z rozkoszą, kapitanie! Co mogę zrobić?

- Pomóc Lettsowi uporządkować listę. Będzie pan jego specjalnym asystentem. Wiem, że to nie jest ten sam świat, który pan badał, ale i tak musi mieć pan większe pojęcie o jego zasobach niż my wszyscy. Zgoda?

- Oczywiście, kapitanie Reddy. Zrobię, co w mojej mocy!

- Nie wątpię.

Matt zerknął na Sandrę i dostrzegł w jej oczach isierkę rozbawienia. Uśmiechnął się do niej zadowolony. Ostatecznie dyskusja poszła dość gładko. Jego ludzie wykazali się zaangażowaniem, aktywnie pracując nad rozwiązaniem problemów. Morale było lepsze, niż oczekiwał, a przerażenie wywołane całą sytuacją można było utrzymać na wodzy. Otaczało ich nieznane, jednak rutyna zwykłych obowiązków dodawała załodze pewności siebie.

Shinya milczał przez cały ten czas i tylko słuchał. Początkowo wrodzy, wszyscy jakby o nim zapomnieli. Porucznik był zdumiony, jak dobrze wychodzi Amerykanom dyskusja i planowanie współpracy. Nikt, niezależnie od wieku i stażu, nie obawiał się wyrazić swego zdania. W porównaniu z dyscypliną panującą w japońskiej armii robiło to wrażenie kompletnego bałaganu, wydawało się jednak efektywne. Nikt nie ukrywał, że znaleźli się w trudnym położeniu, nie wahano się wyliczać braków i niedostatków, chociaż stawiało to niektórych w nie najlepszym świetle. W ten sposób kapitan mógł lepiej ocenić sytuację. Porucznik nie miał wątpliwości, że podobna narada na jego okręcie przebiegałaby w znacznie duszniejszej atmosferze, co z jakiegoś powodu napełniło go lekkim optymizmem.

Właśnie wtedy do mesy wszedł Juan i zaczął napełniać kubki kawą. Przystanął przy Tamatsu z dziwnym wyrazem twarzy, co przypomniało porucznikowi, że niezależnie od wszystkiego jest wrogiem tych ludzi. Filipińczyk zaczął przechylać dzbanek, ale nagle zadrżała mu ręka, jakby kawa nagle zmieniła się w ołów, i uderzył naczyniem w blat stołu.

- Przepraszam, kapitanie Reddy, nie mogę - szepnął, po czym wyprostował się i zniknął za zasłoną.

Wszyscy odprowadzili go spojrzeniem, jedynie Tamatsu patrzył ciągle wprost przed siebie, trochę tylko spuścił oczy.

Matt westchnął. To nie była łatwa sprawa.

Walker płynął niespiesznie przez Morze Flores na zachód-północny zachód, ponownie kierując się ku Jawie. Nad oceanem zapadał zmierzch, gęstniejące chmury zakryły księżyc, pojawiła się silniejsza fala. Matt kazał włączyć światła pozycyjne, co jeszcze kilka dni wcześniej byłoby czystym samobójstwem, i ustawił ludzi przy dwóch szperaczach. Mieli co

dziesięć minut omiatać horyzont, zarówno po to, żeby dać się dostrzec, jak i spróbować coś zobaczyć. Okręt zaczął się kołysać, co przypominało wszystkim, że niezależnie od wojny, dinozaurów i dziwnych wielkich statków największym przeciwnikiem niszczyciela jest ocean.

Około dwudziestej drugiej, w połowie pierwszej wachty, stan morza jeszcze się pogorszył. Matt spędzał tę noc na koi w swojej małej kabinie. W końcu nie musiał zajmować się niczym poza zwykłymi problemami wiekowego niszczyciela, do których już przywykł. Kołysanie nawet go usypiało i gdy w końcu poddał się zmęczeniu, zapadł w głęboki sen bez koszmarów. Kiedy więc zderzyli się z rybą i wstrząs omal nie wyrzucił go na pokład, niewiele brakowało, żeby wcale się nie obudził.

Mała lampka nad biurkiem trzęsła się jeszcze jak w febrze, gdy na nią spojrział. Zaskoczenia dopełnił chrapliwy głos porucznika Garretta dobiegający z głośnika wiszącego tuż nad poduszką:

- Kapitan pilnie proszony na mostek!

Matt odkaslnął i wcisnął guzik interkomu.

- Idę.

Opuścił nogi na podłogę i sięgnął po spodnie i buty. Nałożywszy koszulę i czapkę, pospieszył krótkim korytarzem do schodni i wdrapał się na górę. Dotarł do kabiny radiowej i wspinał się na mostek. Nie słyszał huku palników, a szczególnie nieprzyjemne kołysanie podpowiadało, że także maszyny zostały zatrzymane.

- Meldować! - rzucił do stojącego na prawym skrzydle mostka Garretta. Wiał silny wiatr i krople morskiej wody dolatywały aż do nadbudówki.

- Przepraszam, że pana obudziłem, sir, ale właśnie uderzyliśmy w jakiegoś wieloryba albo wielką rybę - powiedział oficer. - Wygląda jak to coś, co zjadło Japończyka. Jest tam, sir. - Wskazał za burtę i Matt wychylił się przez reling. Szperacza nie można było obniżyć na tyle, żeby dokładnie oświetlił stwora, ale odbite światło też sporo ukazywało.

Niszczyciel dryfował, a cielsko wielkiej „ryby” objało się martwo o burtę. Garrett miał rację. Stworzenie przypominało to, które widzieli już wcześniej, chociaż nie było takie wielkie. Ile razy fale unosiły je bliżej poziomu pokładu, widać było wielki łeb z podłużną zębatą paszczą i olbrzymie, czarne ślepia. Powodem śmierci stworzenia była głęboka rana tuż za łbem, która mocno barwiła wodę na czerwono. Na mostku pojawiła się nieuczesa Sandra Tucker i przetarła zaspane oczy.

- Straszne stworzenie - powiedziała.

Podobne okrzyki dobiegały z pokładu poniżej. Po chwili do widzów dołączył także Bradford i jego głos wybił się nad pozostałe:

- Zdumiewające! Musimy go zabrać! Wy tam, poszukajcie czegoś, żeby go przywiązać!

- Uszkodzenia? - spytał Matt.

- Mnóstwo potłuczonych kubków - odparł nerwowo Garrett. - Na razie o niczym więcej nie wiem. Pierwszy kazał bosmanowi Bashearowi sprawdzić dokładniej. Porucznik McFarlane też poszedł się tym zająć.

Interkom na ścianie pisnął natarczywie i kapitan sam odebrał połączenie.

- Mostek. Tu kapitan.

- Mówi McFarlane. Nie ma nic poważnego. Tylko kolejna szczelina między płytami - dodał chrapliwie. Chyba też został właśnie obudzony.

- Dobrze. Czy wachta wystarczy, żeby tym się zająć?

- Tak, sir. Tak sędzę - odparł oficer po chwili zastanowienia.

- Potem wracaj do koi. Bosman też. To rozkaz.

- Aye, aye, skipper - dobiegło z głośnika. Matt westchnął z ulgą i podszedł do relingu. Sandra stała tam cały czas i chyba podsłuchiwała.

- Dzięki Bogu - mruknęła. - Może to dziwne, ale ile razy okrętowi przybywa nowa szrama, czuję ją na własnej skórze.

Matt uśmiechnął się lekko.

- Znam to - powiedział. - Gdy objąłem dowództwo, nie poświęcałem *Walkerowi* wiele uwagi, ale teraz, po tym wszystkim, co przeszedł... - Wzruszył ramionami i wskazał na martwą rybę. Odplynęła już na ponad dziesięć metrów od kadłuba. - Te cienkie płyty to wszystko, co oddziela nas od żywiołu, nic więc dziwnego, że się nimi przejmujemy. - Zachichotał i Sandra zawtórowała mu po chwili. Nagle poczuli lekkie drżenie pokładu pod nogami i z wody wystrzeliła inna wielka ryba, tym razem wielka na dwie trzecie długości niszczyciela. Bez wahania rzuciła się na martwą kuzynkę i wyrwała ogromny kawał cielska. Okazała się obnażona kość i jeszcze więcej krwi spłynęło do morza. W blasku szperacza błysnęły srebrzyste ciała mniejszych ryb. Sandra krzyknęła zaskoczona i uczepiła się ramienia kapitana.

- Panie Garrett, proszę nas stąd zabrać, zanim nasz gość skończy główne danie i zainteresuje się przystawkami!

Ryknęły palniki, niesiona podmuchem woda zmoczyła Matta i Sandrę. Woda miała niezwykły smak, który skojarzył się kapitanowi z krwią. Splunął, spojrzał przeproszająco na panią porucznik i odchrząknął energicznie.

- Proszę o wybaczenie - powiedział. - Absmak w ustach.

Popatrzył na główny pokład, skąd zafascynowany Bradford obserwował rybią ucztę.

Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na wodę. Nieco dalej stał ktoś jeszcze. Matt poznał po chwili, że to Shinya. Też patrzył na widowisko, ale z całkiem innym wyrazem twarzy. Sierżanta Aldena nie było nigdzie widać, ale Matt uznał, że to i tak bez znaczenia. Cokolwiek Japończyk mógłby zrobić, i tak było niczym wobec niebezpieczeństw czyhających na nich dokoła. Na dodatek mina porucznika sugerowała, że za nic nie chciałby znaleźć się ponownie w wodzie.

Matt spojrzął na stojącą obok niego kobietę. Była przemoczona i zaczynała już dzwonić zębami. Długie włosy zwisały jej w strąkach, jednak całkiem przytomne oczy zdawały się nie wyrażać strachu. Może raczej fascynację? Kapitan poczuł, że też jest mu zimno.

- Może zejdziemy do mesy, żeby się wysuszyć? - zaproponował.

Mat Dennis Silva siedział na jednym z kibli w tylnym pomieszczeniu załogi i palił papierosa. Wciąż nie był zadowolony z przebiegu wydarzeń, ale miał jeszcze tabakę, a to już było coś. Samo siedzenie nie było wygodne, zrobiono je po prostu z wyłowionej z morza deski, wewnątrz zaś śmierdziało potem i odchodami. Coraz bardziej wzburzone morze zaczynało już omywać pokład i Silva musiał co chwila unosić nogi przed wędrującą po podłodze morską wodą.

Tylny zakątek dumania był zasadniczo przypisany do obsługi maszynowni i dlatego tutaj właśnie zajrzał, żeby trochę się podrażnić z kocmołuchami. Niezbyt mu to jednak wychodziło, przede wszystkim dlatego, że tak właściwie do nich nie należał i nie zwracali na niego zbytnej uwagi. Ponadto był nad wyraz rostry i chociaż ogólnie spokojny, miał opinię niebezpiecznego. Prawa „dołu” do tego akurat schronienia też były dyskusyjne, przynajmniej dla kogoś z zewnątrz, skoro zaraz obok była pralnia i warsztat torpedowy. Załoga traktowała jednak sprawę bardzo poważnie i chociaż nikt nie zaczepiał siedzącego sobie spokojnie i palącego Silvy, nikt też z nim nie rozmawiał, a niektórzy rzucali mu zdecydowanie mało przyjazne spojrzenia.

W pewnej chwili pojawili się Stites, Felts i torpedysta Brian Aubrey. Stłoczyli się przy drzwiach, jakby nie mieli ochoty wejść do środka, i przytrzymali się framugi.

- Tu jesteś! - zakrzyknął Stites. - Szukaliśmy cię! Najechaliśmy na wielkiego rybiego dinozaura, takiego jak tamten, który pożarł Japońca, i załatwiliśmy go na cacy!

- I dobrze - mruknął Silva. - Pora była kogoś zabić.

- Aha - przyznał Tom. - Ale zaraz potem zjawilo się jeszcze większe bydlę i zaczęło zjadać tego pierwszego. O tak! - Strzelił palcami. - Warto zobaczyć coś takiego, a ty ciągle siedzisz w tej brudnej dziupli.

Silva spojrział na siedzących niedaleko dwóch ludzi z dołu.

- To nie jest żadna brudna dziupła - powiedział powoli i z naciskiem. - To moja dziupła!

Jednym z prawowitych lokatorów był mat mechanik Dean Laney, niemal tak samo rosły jak artylerzysta i podobnie zbudowany. Siedział dwie klapy dalej.

- Uważaj co mówisz - warknął. - To nie jest miejsce dla pokładowej zgrai.

Silva pociągnął dymka i spojrział na mechanika.

- To co, pójdziesz do któregoś z szefów i powiesz, że zabieram wam sraczyk? Poruczniku Spanky! Dennis Silva sra w naszym kiblu! I pierdzi! Proszę coś zrobić!

Laney zaklął głośno i zerwał się na nogi. Dennis zrobił to samo, jednak okręt zakołysał się właśnie na większej fali i obaj stracili równowagę. Ze spodniami na wysokości kostek nie mieli szans i runąwszy zgodnie na pokład, przejechali na pokrywającej podłogę brei pod ścianę. Tak oto walka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Dennis zaniósł się śmiechem, Laney jednak pozostał poważny i złapał się najbliższego kibla, żeby wstać. Ponieważ się zorientował, że to czerwona deska dla marynarzy z chorobami wenerycznymi, puścił się więc i zaraz wrzasnął, gdy kolejny przechył pokładu skapał go w błotnistej cieczy. Dennis zaśmiał się jeszcze głośniej, pozbierał się jakoś z podłogi i podciągnął wybrudzone spodnie. Chciał podać Laneyowi rękę, ale nagle się cofnął.

- Do diabła z tobą, Laney! Chcesz, żebym też coś złapał?! - Wytarł dłonie o spodnie, a po chwili namysłu umył je w długim zlewie pod przeciwległą ścianą. Przez chwilę stał potem przed lustrem, podziwiając muskulaturę swojej klatki piersiowej i bicepsy, w końcu jednak spojrział także na swoje ubranie. - Cholera. Wszystko w gównie. Będę musiał dać portki do spalenia, a nie wiem, czy znajdziemy gdzieś nowe. - Obejrzał się na równie uświnionego Laneya. Reszta ekipy siedziała ciągle na kłopach i udawała, że nic się nie stało. - Dalej, Laney. Co powiesz na kubek kawy z prawdziwym marynarzem z niszczyciela? Będziesz miał co opowiadać wnukom.

- A idź do diabła - mruknął Laney, ale pozbierał się w końcu i obaj poszli do pralni zmienić koszulki. Potem włazem obok wyrzutni torpedowej numer trzy skierowali się na pokład. Morze było już mocno wzburzone i pokład pracował pod ich stopami niczym skóra żywego stworzenia. W górze przesuwała się wolno tam i z powrotem smuga światła ze szperacza, mająca wskazać pozycję *Walkera* zaginionej siostrzanej jednostce. Chwilę później schronili się pod osłoną platformy działowej, przy której znajdowało się wejście do marynarskiej mesy. Właz był otwarty i stała w nim kolejka ludzi z kubkami w dłoniach. Czekali, aż w kotle znajdzie się świeża porcja kawy. Obaj nowo przybyli wzięli swoje kubki i zajęli miejsca w kolejce.

- Earl, masz coś oprócz kanapek z masłem orzechowym i zgniłych kutasów? - zawołał Dennis, przekrzykując szum morza.

Earl Lanier ponuro pokręcił głową.

- Nic z tego, chłopaki - odparł. - Niestety nie mogę gotować przy takiej fali. Już kawę trudno jest zrobić. Mamy jednak trochę fasoli na zimno.

- Też z tymi kutaśnymi parówkami? - zapytał Silva.

- Aha.

Silva skrzywił się paskudnie.

- To dziękuję, ale nie. A jabłek nic już nie zostało?

Earl ponownie pokręcił głową.

- Juan chowa pozostałe dla oficerów - powiedział Ray Mertz, pomocnik mesowego.

- Hej, Earl, kto tu rządzi, ty czy Juan? - rzucił Dennis, gdy przyszła jego kolej na napełnienie kubka.

- Ja, do cholery, ale Juan wyniósł je do mesy oficerskiej. Mieliście szczęście, że w ogóle trochę odpalił.

- Oficerowie - mruknął Stites, jakby to wszystko tłumaczyło.

Silva przytaknął, bo tego właśnie odeń oczekiwano, ale zrobił to jakoś bez przekonania. Też nie przepadał za oficerami, ale uważał, że ostatnio radzą sobie nie najgorzej. Ostatecznie to oni za wszystko odpowiadali i czego jak czego, ale odpowiedzialności im nie zazdrościł.

- Jest jeszcze trochę ogórków konserwowych - zaproponował Mertz.

Dennis już chciał odmówić, ale ugryzł się w język. Jeśli zrobi się jeszcze gorzej, będzie mógł tylko pomarzyć o takim rarytasie. Będzie o nie jeszcze trudniej niż o jabłka. Może pewnego dnia zacznie śnić o tych ogórkach, których dzisiaj nie zje.

- Jasne, Ray - powiedział. - Daj mi jednego.

Felts trącił Laneya łokciem i wskazał za róg nadbudówki, na postać stojącą przy relingu na prawej burcie i gapiącą się we wzburzone morze.

- To ten Japoniec! - syknął. - Co on tu robi bez opieki?

- Niech mnie! - wyrzucił z siebie zdumiony Laney. - Z byle kim zadajecie się na tym pokładzie!

Wielu spojrzało na niego ze złością, ale widać było, że nie są tak do końca przekonani, czy mat przypadkiem nie ma racji.

- Właśnie, co jest grane? - spytał Stites, zerkając na Silwę. - Jesteś blisko z szefem. Co on myśli o żółtku szwendającym się po okręcie? Chyba powinniśmy wyrzucić drania za burtę...

Silwa ugryzł ze smakiem ogórka i popatrzył po ludziach.

- Grayowi to się nie podoba - powiedział - i ja też jestem przeciwko, ale zostawcie go w spokoju. Rozkaz kapitana. Podobno ten gość dał słowo oficera czy coś w tym rodzaju. - Pokręcił głową. - Cokolwiek to znaczy. Nie przypominam sobie, żeby Japończy szanowali tak naszych na Wake.

Przez chwilę wszyscy milczeli, obserwując sylwetkę przeciwnika, aż zniknęła we władze nadbudówki.

- Z drugiej strony - dodał Silva - on czuje się tu pewnie jeszcze bardziej samotny niż my.

Spanky siedział przygarbiony na swoim ulubionym krześle przy zaworze. Trzymany w obu dłoniach drugi ulubiony kubek ścisnął dla pewności między kolanami. Było to spore naczynie, które mieściło dwa razy więcej kawy, niż należało brać za jednym razem. Z jednej strony miało stylizowany widok atolu Oahu widzianego z lotu ptaka, z drugiej - wypukły wizerunek niemal nagiej tancerki hula ułożonej w prowokacyjnej pozie na tle emblematu Chevroleta. Jego najlepszy kubek, z dwiema całkiem rozebranymi tancerkami, się roztrzaskał i Spanky nie zamierzał dopuścić, żeby to samo spotkało następny. Uniósł go ostrożnie do ust i łyknął kawy, wsłuchując się w odgłosy pracy kadłuba na fali.

Przez lata przywykł do tych dźwięków i potrafił rozpoznawać na ich podstawie różne trapiące okręt problemy. Po niedawnych naprawach *Walker* jęczał jednak w nowy sposób, który trudno było trafnie odczytać. Spanky zdrzął na myśl o wszystkich prowizorycznych łąkach, które sam nakładał, i zdumiał się, jakim cudem unoszą się jeszcze na wodzie, i to ciągle pod parą. Zaraz jednak się skrzywił, przypomniawszy sobie o pomysle opalania kotłów drewnem. Przecież to je zniszczy! Z drugiej strony, gdy zabraknie ropy, nie będą mieli innego wyjścia. Westchnął z rezygnacją.

W zasadzie powinien już spać. Kapitan jasno mu to nakazał, ale Spanky był niejasno przeświadczony, że gdy tylko przymknie oczy, na pewno stanie się coś paskudnego. Poza tym, pracując, nie myślał, w jakiej ponurej sytuacji się znaleźli. Załoga zaczynała to w końcu pojmować i rozmawiać o tym, także tutaj, na dole. Posłuchawszy przez chwilę, wyłapał w ich głosach nutę strachu.

Przetarł piekące oczy i spojrzał na dwie blade twarze wpatrzone w niego w półmroku. Wzdrygnął się zaskoczony. Nie wiedział, że Myszwowaci też tu są. Jak zwykle ignorowali wszystkie toczące się wokół rozmowy.

- Co tu robicie? - spytał z westchnieniem. - To nie wasza wachta. Idźcie spać.

Gilbert zamrugnął i rozejrzał się. Reszta rozprawiała znowu o stworzeniach widzianych na wielkim statku.

- Widzieliśmy już kiedyś dinozaury - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Ja i Isak. W Nowym Jorku, w takim dużym muzeum, gdy kilka lat temu byliśmy tam na przepustce.

McFarlane uniósł brwi.

- I co? - zagadnął.

- To były tylko kości, ale wyglądały tak samo jak te, któreśmy widzieli na Bali. Tyle że te w Nowym Jorku były większe. - Przerwał i spojrzał wyczekująco na Spanky'ego, który jednak był zbyt zaskoczony, żeby zdobyć się na komentarz. Po chwili Gilbert stracił cierpliwość i znowu się odezwał. - Podobno to z nich właśnie powstała ropa. Dawno temu, gdy całe ich stada zdychały i rozkładały się, jak martwe krowy, wszystkie wydzieliny wsiąkały w ziemię i zmieniały się w ropę. Tak przynajmniej słyszałem.

- Pomyśl tylko - odezwał się Isak - gdyby ropa nie powstała z dinozaurów, dlaczego Sinclair miałby mieć jednego w swoim znaku? - Zastanowił się chwilę. - Te z Bali były bardzo podobne do dinozaura Sinclaira, tyle że nie zielone.

McFarlane nie mógł już wyżej unieść brwi. Na dodatek był zbyt zmęczony, żeby udawać wielkie zdziwienie.

- Chłopaki... - zaczął, ale Gilbert mu przerwał.

- Za przeproszeniem, sir, ale trudno o tym nie myśleć. Wiele obaj przeszliśmy w młodości. Jeździliśmy z ekipami naftowymi. Oklahoma, Teksas, Kolorado, Wyoming... Sporo dziur wywierciliśmy, zanim trafiliśmy do marynarki. Ale nie podobało nam się. Ciągłe w słońcu i kurzu, no i gorąco. Dlatego w końcu się zaciągnęliśmy - wyjaśnił Isak z lekkim uśmiechem. - Znamy się trochę na ciężkich maszynach, ale teraz wolimy spalać ropę, niż jej szukać.

Gilbert spojrzał na drugiego Myszowatego lekko zrezygnowany, ale skinął głową.

- I tak właśnie kombinujemy - powiedział. - Też tak myślę, że jeśli chcemy opalać kotły ropą, będziemy musieli się do niej dowiercić. My wiemy, jak to się robi, i jak będzie trzeba... zrobimy to.

Spanky zaczął wreszcie coś rozumieć.

- Dzięki, chłopaki - rzekł. - Zapamiętam to sobie.

Matt i Sandra suszyli ręcznikami włosy. Kapitan szybko się z tym uwinął i przyjrzał się Sandrze, rozczesującej długie sploty o barwie zbliżonej do mosiądzu. Od początku uważał, że jest atrakcyjna, ale teraz, z uniesionymi nad głową rękami, w wilgotnej odzieży lepiącej się do ciała, wydawała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie i musiał się hamować, żeby nie pospieszyć jej z pomocą. Nagle dostrzegł, że dziewczyna go obserwuje, i uszy mu

poczerwieniały. Wyraz jej twarzy był... jaki właściwie? Szczęśliwie w tej samej chwili do pomieszczenia wszedł podniecony niedawnym spotkaniem Bradford.

- Zdumiewające! Co za szczęki! Na pewno dziękuje pan losowi, kapitanie, że nie zderzyliśmy się z tym większym. Bez wątpienia jest pan szczęśliwy!

- Chyba wszyscy mamy przez to powody do zadowolenia, panie Bradford - odparł Matt, zarazem zirytowany wtargnięciem intruza i trochę mu za to wdzięczny

Australijczyk spojrział na nich zdziwiony i dopiero teraz wyczuwszy panujące tu napięcie, spróbował opanować entuzjazm.

- Racja. Proszę o wybaczenie, ale mnie poniosło. Nie zapomniałem o naszym położeniu. Tak naprawdę cały czas o nim pamiętam. Sięgnąłem do mojej podręcznej biblioteki i chyba mam kilka pomocnych sugestii dla pana Lettsa.

- Miło mi słyszeć.

- Proszę jednak pamiętać, że cokolwiek powiem, będzie się opierało na założeniu, że jesteśmy... gdzie jesteśmy. Nie wiem, jak to lepiej wyrazić.

- Chyba możemy spokojnie przyjąć takie założenie, panie Bradford - odparł Matt. - Niestety, nasze mapy tych okolic są przerażająco niedokładne. Wiele danych, które w nich wykorzystano, pochodzi jeszcze z dziewiętnastego wieku. Zwłaszcza głębokość morza. Ale cóż, chyba nikt nie badał dokładnie tych wód przed Holendrami. Z zarysem lądów jest o wiele lepiej i na ile możemy obecnie coś powiedzieć, wszystkie pokrywają się z tym, co widzimy. Wiemy zatem, gdzie jesteśmy, jakkolwiek dziwnie może to brzmieć.

Sandra odłożyła szczotkę na stół i przeczesała palcami jeszcze wilgotne włosy.

- Jest jeszcze jedno pytanie, którego chyba wszyscy unikamy - odezwała się lekko drżącym głosem. - Co się stało? Chciałabym usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź, nawet niepełną czy dziwną. Męczy mnie to, chociaż w porównaniu z innymi i tak jakoś się trzymam. Ja tak, ale porucznik Theimer boi się nawet wyjść z kabiny. I nikt nie chce o tym rozmawiać! Wiem, że wszyscy się boją, nawet pan, kapitanie. - Spojrzała mu w oczy z szacunkiem, wyrzutem i jeszcze czymś... - Na razie jednak niemal każdy zdaje się działać jak zwykle.

Matt uśmiechnął się smutno.

- I dzięki Bogu, że tak jest, porucznik Tucker - powiedział. - Ma pani rację. Wszyscy się boimy. A mówiąc między nami trojgiem, ja chyba boję się najbardziej - dodał konspiracyjnym tonem. - Nie przestajemy jednak wykonywać naszych obowiązków. To jedyne, co zostało nam z normalności i nasza jedyna nadzieja na przetrwanie.

Bradford zrobił niewyraźną minę, a Sandra na chwilę zakryła twarz dłońmi. W końcu pokiwała głową.

- Oczywiście, kapitanie. Przepraszam... jestem zmęczona. - Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. - Cała załoga jest wyczerpana, a mnie właśnie skończyły się pigułki nasenne.

Matt spojrzał na nią z troską, Tucker jednak machnęła niedbale dłonią i nawet się uśmiechnęła.

- Nie ma powodów do niepokoju - zapewniła go. - Niewielu je brało, żadna epidemia... Zabrzmiało to gorzej, niż chciałam... Gdyby było wiadomo, co się stało, połowa z tych ludzi zasnęłaby sama nawet w obliczu plutonu egzekucyjnego. - Pokręciła z podziwem głową. - Zdumiewa mnie raczej spokój całej reszty. Chociaż wielu na pewno skrywa swoje myśli - dodała, marszcząc brwi i wzdychając. - Tak jak ja. Mam to za koszmar rodem z powieści Herberta Georgea Wellsa albo Arthura Conan Doyle'a.

- Skoro mapy są aktualne, *Wehikul czasu* odpada - mruknął Matt. - Ale co zrobić z tymi ogoniastymi futrzakami na statku większym niż nasz *Hornet*? To z kolej pasowałoby do *Świata zaginionego*.

Sandra spojrzała na niego ze zdumieniem, jakby nie oczekiwała, że mógł mieć te powieści w rękach.

- Sądzę, że oboje się mylicie - powiedział nagle Bradford.

- To co pan o tym myśli? - spytał Matt z lekkim uśmiechem.

- Jeszcze nie wiem - odparł poważnie Australijczyk. - Potrzebuję więcej materiału. Woda jest wszędzie taka sama - dodał tonem oskarżenia.

- Poza rybami, które w niej pływają - stwierdziła oschle Sandra.

Bradford skłonił się jej, uznawszy trafność spostrzeżenia.

- Istotnie - rzucił, spojrzał na stół i ponownie na rozmówców. - Czy zastanawialiście się kiedyś, jak mogłoby wyglądać wasze życie, gdybyście w jakiejś chwili dokonali innego wyboru? Jaki wpływ na nie mógłby mieć taki czy inny uczynek? Co by było, kapitanie, gdyby nie wstąpił pan do marynarki wojennej? Kim byłby pan dzisiaj? Tą samą czy całkiem inną osobą? Niektórzy skłonni są uważać - gdy się nad tym zastanowią, oczywiście - że nie byłoby żadnej różnicy. Tyle że wykonywaliby inny zawód. Nie zgadzam się z tym. Wierzę, że wszystkie nasze poczynania oraz kontekst i środowisko, w których one zachodzą, razem nas kształtują. Dlatego pytanie, co by było gdyby, ma sens. Co by było, gdyby pańska matka nigdy nie spotkała pańskiego ojca? Pańska babka pańskiego dziadka? Co, gdyby Stany Zjednoczone przegrały wojnę o niepodległość? Albo gdyby imperium rzymskie nigdy nie upadło bądź nawet nie powstało? Jak wyglądałby dzisiaj świat? Czy byłby taki sam, może poza paroma drobiazgami?

Matt ani Sandra nie odpowiedzieli. Kapitan spojrział na Bradforda wyczekująco, Sandra mocniej zacisnęła usta.

- Sądzę, że byłby całkiem inny - powiedział cicho Australijczyk. - I im dalej od momentu zmiany, tym więcej pojawiałoby się w nim różnic.

- Interesowałem się trochę historią - stwierdził z namysłem Matt. - Często zadawałem sobie to pytanie. Co by było gdyby? Chyba każdy historyk to robi, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Na przykład co by było, gdyby Południe wygrało pod Gettysburgiem, a pewien Serb nie zastrzelił austriackiego arcyksięcia? Sprawy potoczyłyby się inaczej. Może nawet bardzo odmiennie. - Spojrzął na inżyniera. - Ale co to ma wspólnego z nami?

- Może nic, może wiele - stwierdził tajemniczo Bradford.

Ostre słońce wznosiło się ponad horyzont na bezchmurnym niebie. Sztorm, o ile można było nazwać tak nocne kołysanie, minął i *Walker* wszedł ponownie między wyspy Bali a Menjangan przy lekko tylko wyższej fali. Niestety nigdzie nie dostrzegli ani śladu siostrzanego niszczyciela. Matt też liczył po cichu, że Jim zawrócił okręt z drogi do miejsca umówionego spotkania, zbyt wiele mając problemów z uszkodzoną poważnie jednostką, i postanowił schronić się w znajomej zatoce. Mógł być pewien, że tam będą go szukali. Niestety, kotwiczowisko to było puste.

Pozbawiony tarasów brzeg Bali wciąż przypominał wszystkim, że znany im świat zniknął. Między dziwnymi, przypominającymi palmy drzewami kręciły się całe stada niesamowitych stworzeń i załoga ponownie stłoczyła się przy relingu, żeby na nie popatrzeć. W odróżnieniu od morza, które okazało się teraz śmiertelnie groźne, na lądzie zdawały się zamieszkiwać przede wszystkim łagodne stworzenia roślinożerne. Owszem, przypominały jaszczura, którego ukąszenie przyprawiło Davisa o ciężką gorączkę, ale tamto zdarzyło się na Menjanganie. Może na Bali tych bestii nie było. Domniemane brontozaury zachowywały się jak krowy, pasąc się w pełnym blasku słońca i nie żywiąc najwyraźniej żadnej obawy przed drapieżnikami.

Do brzegu podchodzili ostrożnie. Matt zdawał sobie sprawę, że dwieście jardów to naprawdę niewiele, i na wszelki wypadek rozkazał rzucić sondę. Stojący obok Bradford lustrował wyspę przez „własną” lornetkę, którą pewnie od kogoś pożyczył. Matt nie miał pojęcia od kogo, był jednak pewien, że człowiek ten już jej nie odzyska. Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

- Przejmuje pan okręt, poruczniku Dowden - powiedział. - Zostaniemy tu cały dzień i miejmy nadzieję, że *Mahan* się w końcu pokaże. Cały czas podwójna obsada obserwatorów.

Japończyków raczej już się nie obawiam, ale opuszczenie kotwicy pozbawi nas możliwości manewru, a chwilowo dość mam niespodzianek. Proszę też przygotować wykres kursowy na Surabaję. Jeśli *Mahan* nie pojawi się do zmroku, ruszamy. - Spojrzał na Bradforda, który wyglądał na poważnie zmartwionego. - Pan Bradford, pan Letts i mały pododdział ochrony będą mi towarzyszyć, gdy popłynę na wyspę. Niech Campeti wyda springfieldy, broń boczną i amunicję dla ośmiu ludzi. Chociaż... pistoletów niech lepiej będzie dziesięć, do tego jeden thompson i jeden BAR. Dwóch ludzi zostawimy w łodzi z thompsonem.

Zachichotał, widząc krańcowo odmienne wyrazy twarzy Bradforda i Dowdena. Jeden był zachwycony, drugi ciężko przerażony.

- Spokojnie, Larry. Nie będziemy się daleko zapuszczać, nie spuścimy okrętu z oka. Pora jednak stawić czoło tej rzeczywistości, bądź zatem gotowy do działania, gdyby coś chciało nam dokopać. Jasne?

Dowden z trudem przełknął ślinę.

- Tak jest, sir. Aye, aye, sir.

Silva przewiesił pas amunicyjny przez pierś i uniół ręczny karabin maszynowy.

- Idę na polowanie! - powiedział z szerokim uśmiechem do mających ruszać na brzeg. Byli to Carl Bashear, Mack Marvaney, Glen Carter i Alfred Vernon oraz Tony Scott i Fred Reynolds, którzy siedzieli już na dole i mieli potem zostać na brzegu. Silva spojrzął na schodzącego przed nim, ponurego jak chmura gradowa Marvaneya. - Uszy do góry, Mack! - zawołał. - Będzie wesoło! - Marvaney obejrzał się i uśmiechnął posłusznie, ale spojrzenie wciąż miał ponure.

Reynolds stanął na dziobie ze springfieldem w garści, Scott siadł przy silniku z thompsonem ułożonym na przedramieniu. Buchnął niebieskawy dym. Kapitan schodził po kłamrach ostatni i zatrzymał się jeszcze chwilę na pokładzie, żeby spojrzeć na najbliższych stojących. Mrugnął do wyraźnie wystraszonego porucznika Garretta.

- Pamiętaj, odpowiadasz z Larrym za mój okręt - powiedział i zerknął na dział numer trzy. Było już obsadzone i wykręcone w stronę lądu. Dowodzący nim Stites dostrzegł spojrzenie kapitana i z powagą skinął mu głową. Matt odpowiedział tym samym i zwrócił się do Garretta. - Powodzenia, poruczniku - dodał i zniknął za burtą. Gdy tylko znalazł się w łodzi i usiadł, Scott dodał gazu. Silnik zaterkotał głośno i ruszyli ku tajemniczemu brzegowi.

Od razu poczuli uderzenia w kadłub łodzi i kilku wymieniło nerwowe spojrzenia. Nawet Silva drgnął, gdy coś łupnęło w deski akurat pod jego nogami. Byli pewni, że to srebrzyste ryby albo coś bardzo podobnego, szczęśliwie jednak nie przyciągnęły uwagi żadnego

większego napastnika. Mimo gorąca Matt dostał gęziej skórki na samą myśl, że mógłby wypaść za burtę. Wciąż dobrze pamiętał, co się stało z drugim Japończykiem.

Wiał lekki wiatr z kierunku SSW i morze wciąż lekko się burzyło, zraszając ich wilgocią przyboju, jednak niebo było wręcz boleśnie jasne. Zieleń roślinności na brzegu była mniej więcej taka, jak być powinna, i wszystko zdawało się wyglądać całkiem normalnie. Letts próbował osłaniać wysmarowaną kremem twarz przed słońcem, manewrując rondem szerokiego słomkowego kapelusza. I tylko te dziwne stworzenia nie pasowały jakoś do sielankowego krajobrazu.

Przybój okazał się łagodny i fala pchnęła ich ostatecznie w stronę brzegu. Stukanie od dołu przycichło i zniknęło kilkadziesiąt metrów od plaży. Na razie jednak nikt się nie palił, żeby wychodzić do wody, mimo że była płytka. Scott zgrabnie podprowadził łódź, aż jej dno zachrząściło o kamienie. Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w wąski pas wody pozostały do brzegu. Dobrze widzieli już dno, ale wciąż byli nerwowi, aż w końcu Silva zaśmiał się krótko, rozpiął i uniósł wysoko pas z bronią, po czym przesadził burtę. Reszta niechętnie zrobiła to samo. Matt przeszedł po pustych ławkach, wskoczył do wody i z pozorną beztrąską ruszył do plaży. Letts i Marvaney zamykali pochód, Reynolds i Scott przeciągnęli linę i zaczęli się już rozglądać za czymś, do czego mogliby ją przywiązać.

- Wy zostajecie - powiedział Matt. - Miejcie oczy otwarte i nie włóczcie się po okolicy. Nie odejdziemy daleko i gdybyśmy usłyszeli, że strzelacie, zaraz wrócimy. Jeśli to będzie konieczne, tnijcie linę i zwiewajcie z plaży, ale trzymajcie się blisko, żeby nas zabrać. Jeśli usłyszycie, że strzelamy, przygotujcie się do szybkiego odbijania. Zrozumiano?

- Aye, aye, sir - odpowiedzieli chórem.

Bradford wysforował się już przed innymi, ciągnąc w głąb lądu. Kilku marynarzy szło niepewnie za nim. Matt westchnął.

- Trzymamy się razem! - zawołał. - Mógłby pan o tym pamiętać?!

Dalej poszli luźną podwójną kolumną, pilnie się przy tym rozglądając. Matt wyrósł z bronią w rękę i polował przez całe życie, springfield był mu więc w tej sytuacji miłym towarzystwem. Razem z Bradfordem szedł na samym przedzie, przedzierając się przez wysoką, niekiedy do pasa, trawę. Jej szerokie pasma kojarzyły mu się z sorgo. Brakło cierni czy kolców, ale i tak nie szło się zbyt wygodnie. Całkiem jak w Teksasie na prerii, pomyślał.

Przed sobą zobaczyli pierwsze stado zwierząt przypominających brontozaury. Skubały liście jakichś tutejszych palm rosnących w zwartych kępach. Bydłeta poruszały się całkiem jak słonie, a nawet wydawały przy tym podobne dźwięki, ale na tym podobieństwo się kończyło. Miały długie szyje i smukłe ciała i wyrastały ponad roślinność wyżej niż

jakikolwiek słoń.

Stadko liczyło nieco ponad dziesięć osobników różnej wielkości, które w ogóle nie zwróciły uwagi na podchodzących coraz bliżej ludzi. Oddział zwolnił, ale nie próbował się kryć. W odległości około sześćdziesięciu metrów zwierzaki coś wreszcie dostrzegły, ale tylko przelotnie, i nie podniosły alarmu. Kilka zwróciło łby w stronę intruzów i obejrzało ich sobie, nim wróciło do przeżuwania.

- Nic sobie z nas nie robią - zauważył cicho Matt.

- Może nie znają drapieżników dość dużych, żeby im zagrozić - zastanowił się Bradford. - Albo uważają, że stada nic na napadnie. Możemy podejść bliżej?

Matt rozejrzał się. Po bokach było pusto, jeśli nie liczyć ciągnącej się szeroko łąki. Dobrze widział odległą o ćwierć mili łądz i czuwających przy niej ludzi. Dalej, na tle nader malowniczego krajobrazu, kołysał się na lekkiej fali *Walker*.

- Trochę chyba tak.

Ruszyli dalej, przy czym niemal wszyscy odruchowo zaczęli się skradać, stąpając na ugiętych nogach i pochylając głowę. Chyba zdawało im się, że powinni się jakoś spróbować zamaskować przed tak dużymi stworzeniami. Tylko Bradford szedł wyprostowany, z lornetką ciągle przy oczach i nieustannie się czymś zachwycał.

- O, o - odezwał z tyłu Letts.

Jedno z największych zwierząt w stadzie wyciągnęło szyję na całą długość i zebrało się w sobie, żeby wydać przenikliwy odgłos. Inne obróciły łby w jego stronę i po chwili całe towarzystwo hałasowało jak najęte.

- Dobra, może lepiej trochę się cofnijmy - rzekł Matt.

Inne stworzenia widoczne na równinie też zwróciły uwagę na zamieszanie. Stadko zwierząt, przypominających trochę nosorożce, tyle że z szeroką kryzą wokół szyi zamiast rogu, zaczęło trąbić po słoniowemu, inna grupa brontozaurów truchtem dołączyła do większej gromady, która zwarła szyki w czymś, co wyglądało na linię obronną. Po chwili zaczęły zmierzać w tym kierunku także inne stadka.

- Zdumiewające! - wykrzyknął Bradford.

Wielki samiec z najbliższej grupy tupnął gniewnie, wzbijając kurz i miażdżąc kilka małych drzewek.

- Cofamy się - rozkazał kapitan. Nigdy nie widział niczego podobnego, ale cokolwiek się działo, byli w mniejszości, o przewadze masy przeciwnika nie wspominając. Działa *Walkera* mogłyby powstrzymać szarżę dinozaurów, ale ludzka grupa była ciągle zbyt blisko, trudno było zaś przewidzieć, czy w tym wypadku broń ręczna okaże się skuteczna. Owszem,

springfield mógł załatwić słonia indyjskiego, jeśli trafiło się gdzie trzeba, w co jednak mierzyć, strzelając do brontozaura? - Panie Bradford, wynosimy się stąd.

Australijczyk odwrócił się niechętnie i nagle zamarł i zbladł, dostrzegłszy coś za plecami Matta. Kapitan błyskawicznie się obejrzał. Nie więcej niż dwadzieścia jardów od nich w trawie stało osiem wielkich jaszczurów. Bez wątpienia szykowały się do ataku. Przypominały trochę bestie z wyspy Menjangan, tyle że pokryte były piaskową sierścią lub krótkimi piórami i poruszały się w postawie wyprostowanej. Ustawiły się w luźnym półkolu, blokując ludziom drogę odwrotu. Wielki samiec ze stada nosorożcopodobnych wciąż dawał głośny wyraz niezadowoleniu i jeden z nowych jaszczurów, zapewne przywódca, prawie bezgłośnie syknął na niego, ukazując pełną ostrych zębów paszczę. Stwór miał długie na cztery palce zakrzywione pazury i przebierał nogami jak szykujący się do ataku kot. Nagle od plaży dobiegło znajome staccato thompsona i bardziej basowe pohukiwanie springfielda. Matt odkrył nagle, że ma jeszcze całkiem spory zapas adrenaliny.

- Cel jaszczury! Ognia! - wykrzyknął rozkaz.

Ledwie to powiedział, bestie uderzyły, skrzecząc przy tym pod niebiosa. Trzy padły w pierwszej chwili ataku, były jednak szybkie i równały się wzrostem z człowiekiem. Silva zaczął robić użytek z karabinu maszynowego i Matt niemal ogłuchł od huków. Jego springfield mógł się okazać zbyt narowisty na ten dystans, sięgnął więc czym prędzej po pistolet i odbezpieczył go, akurat gdy jeden z potworów minął w pędzie rozpaczliwie uchylającego się Basheara i skoczył wprost na niego. Matt zdążył oddać cztery strzały i rzucił się w bok, a bestia wylądowała z hukiem w miejscu, gdzie dopiero co stał. Mimo krwi lejącej się z piersi i braku lewego oka próbowała się podnieść i Matt musiał wpakować w nią jeszcze dwie kule, zanim przestała się miotać. Potem kapitan strzelił do innej, która upodobała sobie Glenu Cartera, i zaklął, gdy skończyły się naboje. Carter ładował właśnie swojego springfielda i spojrzał z przerażeniem na galopującą ku niemu śmierć. Letts, który zgubił kapelusz gdzieś w trawie, obrócił się i wypaliwszy dwa razy, ranił bestię w tylną łapę i zwałił ją u stóp Cartera. Ten rzucił koledze pełne wdzięczności spojrzenie i władował stworowi, który wciąż wyciągał pazury, kulę w łeb.

Z lewej dobiegł ich przenikliwy krzyk i Matt, wsuwając nowy magazynek w rękojeść, spojrzał w tamtą stronę. Jedna z bestii pochylała się i chyba walczyła z kimś w wysokiej trawie. Bashear, Silva i Vernon otworzyli do niej ogień, aż legła nieruchomo. Kolejna rzucała się jeszcze na ziemi, prychając różową pianą z pyska i nozdrzy. Bradford stał kilka kroków od niej i wpatrywał się w zwierzę z chorobliwą fascynacją, zamiast użyć wycelowanej już z grubsza broni. Bashear odsunął go, wykończył stworzenie i spojrzał pogardliwie na

Australijczyka.

Matt rozejrzył się wkoło. Stado brontozaurów wycofało się na bezpieczną odległość, daleko za plecy wielkiego samca, który pozostał na posterunku. Jedyne ucalały napastnik uciekał, sadząc długimi susami prędzej, niż mógłby biec człowiek. Całkiem inaczej niż jaszczury z Menjanganu, pomyślał kapitan. Silva zaklął zduszonym głosem, porwał z ziemi karabin maszynowy i wypuścił w uciekiniera długą serię, od której zagotowała się ziemia wkoło. Bestia runęła w pół skoku, dalej jednak rzucała się w trawie, aż Silva ponownie potraktował ją ołowiem.

Spojrząwszy raz jeszcze na brontozaury, Matt pospieszył do gromadki ludzi skupionych wokół czegoś leżącego w trawie. Pod truchłem jednego z potworów ujrzał niemal pozbawione głowy ciało mata artylerzysty Macka Marvaneya.

- Cholerne jaszczury czy cokolwiek to było - warknął Silva, skopując ścierwo z ciała przyjaciela.

Wstrząśnięty Matt zauważył, że po twarzy marynarza spływają łzy. Gdy przyjrzał się ciału zabitego, ogarnęła go złość, krew zaczęła szumieć w uszach. I co teraz? Co powinien zrobić? Zeszli na brzeg niecałą godzinę temu i już stracili człowieka. Jak żyć w tym świecie, gdzie wszędzie coś próbuje ich zjeść? Jak, u diabła, dać temu odpór?

Zerknął na resztę drużyny. Wszyscy wyglądali na wstrząśniętych, przerażonych i wściekłych. Wiedział, że woleliby stawić czoła jeszcze dziesięciu krążownikom liniowym, niż zostać tu kolejną godzinę. I dobrze, na razie mogli się stąd zmywać, jednak prędzej czy później znowu będzie trzeba zejść na brzeg. Jeśli nie tutaj, to gdzie indziej.

- Weźcie Marvaneya - rzucił i wskazał na martwe zwierzęta. - Je też zabierzcie.

Strzelanina w pobliżu łodzi ucichła, widać było stojące na plaży dwie sylwetki. Dzięki niech będą Bogu. Roślinożerne dinozaury hałasowały coraz bardziej. Pora się zmywać.

Gdy wnosili ciało Marvaneya na pokład, wkoło rozległy się smutne, ale podszyte gniewem pomruki. Zanim żona od niego odeszła, był zawsze wesoły i lubiany, nie miał więc wrogów. Wielu współczuło mu w nieszczęściu, zwłaszcza że ciężko to przechodził. Poza tym ważne było i to, że zginął śmiercią jakby bardziej tragiczną niż wszyscy polegli podczas bitwy i pierwszy po przejściu przez szkwał. Wcześniej wszystkiemu winni byli Japończycy, a tutaj...? Nie zrobił nic takiego, zszedł tylko na brzeg, który okazał się groźniejszy, niż wszyscy sądzili. Owszem, okręty przeciwnika omal ich nie zniszczyły, ale czego innego można się było po nich spodziewać? Jednak to, co działo się teraz, wykraczało poza zwykły porządek świata. Gdyby Mack zginął z ręki żółtka, byłoby to przykre, ale całkiem zrozumiałe. Taki już

los marynarza z załogi niszczyciela. Ale zostać rozszarpanym przez okrytego futrem jaszczura to całkiem inna sprawa.

Szemranie ucichło, gdy na górę trafiło cielsko bestii. Cały oddział, który był na brzegu, przyglądał się temu z napięciem. Kapitan też. Toby Scott i Fred Reynolds bez trudu zabili drapieżniki, które ich zaatakowały, i nikt oprócz Marvaneya nie odniósł poważniejszych obrażeń, jednak i tak mieli dość i stali cicho, jak oszołomieni. Tylko Australijczyk nie mógł opanować podniecenia i niczym ojciec na porodówce dreptał obok wyrzutni torpedowej numer dwa, gdzie miało zostać złożone ścierwo. Dla Matta było to zachowanie niemal obraźliwe, ale nie miał do Bradforda żalu. Ten człowiek po prostu taki już był i wiele się od niego nauczyli. Nie mieli nikogo innego, kto mógłby im tyle wyjaśnić.

Padlina zaczynała już cuchnąć i w tym upale szybko mogło się zrobić o wiele gorzej. Wyprostowany jaszczur był wzrostu dorosłego mężczyzny, okazał się jednak znacznie bardziej masywny, wykorzystali więc wózek torpedowy, żeby przewieźć cielsko w cień nadbudówki. Najbardziej masywne były chyba muskularne łapy, przypominające bardziej nogi strusia niż kończyny jaszczurów z Menjanganu. Kończyły się trzema pazurzystymi palcami i dwa razy dłuższymi, przeciwstawnymi ostrogami w kształcie kos. Jeszcze więcej ważył zapewne krótki, ale silnie umięśniony ogon z ostrymi wypustkami i czymś w rodzaju ptasich piór. Te na ogonie były ciemne, a porastające resztę ciała o wiele jaśniejsze, z wyraźnie widocznymi pasami. Górne łapy bardzo przypominały ludzkie ręce, chociaż budowa ramienia też była raczej ptasia. Każda łapa kończyła się czterema zbrojnymi w pazury palcami, z których jeden bardzo przypominał kciuk. Długa szyja podpierała masywny łeb z bogato uzębioną paszczą kojarzącą się z tanimi horrorami. Szare ślepia zdążyły już zmatowieć, wciąż jednak malowała się w nich tępa gadzia złośliwość.

Bradford wziął się do wygłaszania wykładu, traktując zgromadzonych marynarzy niczym grupę studentów medycyny:

- Proszę spojrzeć, oczy ma skierowane ku przodowi i tak osadzone, że bez wątplenia musi mieć zdolność stereoskopowego widzenia. To naprawdę straszny i bardzo skuteczny drapieżnik. A te szczęki! Przeróżające...

Istotnie, paszcza była bardzo wydłużona, przez co żuchwa wyglądała na delikatną, całość była jednak solidnie umięśniona i musiała mieć potężną siłę nacisku. Matt nigdy nie widział tylu tak gęsto wyrastających zębisk. Całkiem jak u piranii z komiksu, tyle że w tym wypadku trudno było o uśmiech. Te zęby miały wyrywać kęsy ciała i miażdżyć grube kości. Trochę jak u kota, tyle że w rekiniej skali.

Matta zdumiało też, że zebrała się tu z połowa załogi. Widoczne na twarzach marynarzy

przeżalenie i przygnębienie przechodziły w miarę, jak Bradford rozwijał swój wykład. Australijczyk dobrze wie, co robi, pomyślał Matt. Trzeba przedstawić ludziom przeciwnika, straszego wprawdzie, ale teraz już martwego, pokazując, że można go zabić. Spojrzał na Bradforda z szacunkiem.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i odwrócił głowę. To była porucznik Tucker, wciąż niepewna, lecz zaaferowana.

- Jak długo pani tu stoi? - spytał Matt, zmuszając się do uśmiechu.

- Od kiedy weszliście na pokład. Wszystko z panem w porządku?

Matt odstąpił o krok.

- Znośnie. Mieliśmy trochę przygód, ale wyszliśmy z nich obronną ręką, jeśli nie liczyć...

- Przerwał i pokręcił głową. - Dlaczego?

Uśmiechnęła się lekko i poklepała go po ramieniu. Nie mogła teraz powiedzieć, jak przeraził ją wyraz jego twarzy, gdy wracał z lądu. Malowały się na niej wściekłość i beznadzieja, czego jednak zapewne nikt inny nie zauważył, zwłaszcza że teraz Matt znowu był sobą. Zapamiętała sobie jednak, że istnieje coś, co może zburzyć spokój człowieka, który decydował o ich przetrwaniu. I któremu współczuła tego brzemienia.

- Tak tylko - rzuciła, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Nagle zauważył ją Bradford.

- A, porucznik Tucker! - zawołał. - Tu pani jest. Słyszałem, że jest pani lekarzem. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała mi pani asystować przy sekcji tego bydlęcia, żeby chłopcy wiedzieli następnym razem, gdzie najlepiej celować. - Wkoło rozległ się szmer aprobaty. Bradford uśmiechnął się krzywo i otarł czoło. - I dobrze byłoby to zrobić jak najszybciej, żeby nie udusić się od smrodu.

Matt siedział na swojej koi, kryjąc twarz w dłoniach. Przepecone włosy i ubranie kleiły mu się do skóry. W końcu westchnął i włączył interkom.

- Mostek, tu kapitan - odezwał się.

- Tu mostek, sir.

- Proszę przekazać panu Dowdenowi, że jestem jeszcze u siebie, ale niebawem przyjdę na górę.

- Aye, aye, sir.

- Dzięki - odparł Matt po chwili niezgrabnej ciszy i opadłszy na koję, wpatrzył się w sufit.

To kolejny, pomyślał. Tylu ludzi stracił już w walce, a teraz jeszcze Marvaney. Kto następny? Musi coś zrobić, żeby to powstrzymać. Marvaney był dobrym dzieciakiem. W

odróżnieniu od Silvy i wielu innych nigdy nie było z nim problemów, ani na okręcie, ani na brzegu. Po prostu wykonywał swoją robotę. Owszem, niekiedy trochę go ponosiło, ale zawsze się pilnował. Być może miała z tym coś wspólnego pewna piękna dziewczyna z Filipin. Matt widział ją tylko dwa razy, gdy stali w Cavite po manewrach. Zawsze czekała na nabrzeżu, żeby zabrać Marvaneya ze sobą, zanim kumple go gdzieś wyciągną. Szedł z nią bez niechęci czy dwuznacznych gestów, które nie były obce innym w podobnych sytuacjach. Bez wątplenia bardzo ją kochał. Zamartwiał się, gdy Japończycy zbombardowali miasto tuż przed ich wypłynięciem, a od czasu szkwału... jakby nie był sobą. Niepotrzebnie zabierali go na brzeg, ale wcześniej Matt jakoś o tym nie pomyślał, teraz zaś czuł się winny.

W końcu odchrząknął i usiadł. Żałoba nic tu nie da, zwłaszcza Marvaneyowi. Po prostu musi bardziej uważać. Od tego tu jest, i nikt nie zdejmie z niego tej odpowiedzialności. Co więcej, nie jest już jednym z wielu młodych kapitanów niszczyciela, który wykonuje płynące z góry rozkazy. Teraz musiał sobie radzić sam i zazdrościł nawet takim ludziom jak Silva, których praca kończy się wraz ze zdaniem wachty. Matt cały czas był na służbie i obecnie mógł jedynie żywić nadzieję, że nikt więcej nie zginie do czasu, gdy wreszcie zrozumie, w co zostali rzućeni.

Zmienił koszulę na suchą, przeczesał przetłuszczone włosy i nałożył czapkę. Spojrzał w zawieszony nad biurkiem lustro, szukając na swojej twarzy śladów czającego się na dnie duszy strachu, i warknąwszy coś pod nosem, wyszedł z kabiny, żeby znowu stać się kapitanem niszczyciela DD-163.

Dennis Silva oparł się o skrzynkę z warzywami między trzecim a czwartym kominem. Przyglądał się, jak Stites, Campeti i Jamie Miller obszywają Marvaneya. W paru miejscach krew przesączała się przez poszwę materaca, schnąc błyskawicznie w popołudniowym słońcu. Silva czuł się przygnębiony i była to dla niego całkowita nowość. Dotąd rozróżniał tylko cztery „stany ducha”: chciwść, głód, zadowolenie i wściekłość, i gdy o tym opowiadał, nie był to tak całkiem żart. Teraz poznał piąty. Owszem, był też ciężko wkurzony, ale złość nigdy nie utrzymywała się u niego tak długo. Dopadło go zaraz po śmierci Marvaneya, czyli już dobre trzy godziny temu. To musi być depresja, pomyślał z westchnieniem. Ciekawe, co jeszcze mnie czeka...?

Wiedział, że będzie mu brakowało Marvaneya. Byli kumplami od czterech lat i przeszli wiele od Cavite po Singapur, aż ten dureń ożenił się i sporządzał. Zawsze jednak dobrze się bawili i rozwalili razem sporo łbów, nie mając wątpliwości, że kumpel dobrze pilnuje pleców. Tak, to był ktoś, do kogo pasowało chyba określenie „przyjaciół”. Przyjaciół, którego teraz

zabrakło. Gdyby chociaż można było się napić...

- Nie zapomnijcie o dodatku - powiedział ponuro, wskazując na to, co zgodnie z jego wyborem miało towarzyszyć przyjacielowi w głębinie.

Campeti zmierzył go spojrzeniem.

- Nie mogłeś znaleźć nic lepszego? - zapytał. - Chryste, nie wiem, czy to się nadaje. Poza tym czego będziemy słuchali?

Dodatek stanowił stos około pięćdziesięciu płyt gramofonowych, część obszernej kolekcji Marvaneya odtwarzanej często na nakręcanym gramofonie. Takie krążki na 78 obrotów były naprawdę ciężkie i powinny wystarczyć jako balast.

- Bez nerwów, Sonny. Wybrałem tylko takie, których nie słuchał nikt poza nim. On jednak je lubił i pewnie chciałby zabrać ze sobą.

Campeti pokręcił głową.

- Dobra, ale gdy przepadną, to na dobre. Nigdy już nie usłyszymy tych piosenek.

- I dobrze. Lubię żywe melodie do tańca, a to są jakieś walce dla staruszek.

- Tańca! - parsknął Campeti. - Z kim niby będziesz tańczył?

W ciszy umieścili „dodatek” w nogach kokonu i zaszyli go na dobre.

- Sześć mówi, że zabił sześć jaszczurów - odezwał się po dłuższej chwili mat farmaceuta. - A ile ty ich załatwiłeś, Silva?

- Sześć? - spytał Dennis. - Z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem, żeby zabił choć jednego. Chociaż może tego jednego tak. Sam mu przy nim pomagałem.

- A ty? - naciskał Miller.

Silva wzruszył ramionami.

- Pewnie dwa albo trzy. Wszyscy tam strzelali i trudno powiedzieć.

Stites spojrział na Campetiego, potem ponownie na Silwę.

- A skipper? - zapytał. - Wyglądał, jakby szau dostał.

Silva pokiwał głową.

- Też dopadł parę z pistoletu. Po prostu stał, gdy jeden biegł prosto na niego, i strzelił gdzie trzeba - powiedział, klaszcząc w dłonie. - Prosto w oko! Nasz kapitan ma jaja. - Rozejrzał się zamyślony. - Owszem, ruszyło go. Nie widziałem jeszcze, żeby coś tak bardzo go ruszyło. Nie wiem tylko, czy to dlatego, że jaszczury załatwiły Macka, czy dlatego, że po chwili nie było już czego zabijać. Nie był nawet w części tak wściekły, gdy byliśmy w zatoce Subic i ja oraz... - Nagle przerwał i uśmiechnął się szeroko. - Ale mniejsza z tym. Jeszcze do tego wrócę.

Pozostali odpowiedzieli mu śmiechem i szybko dokończyli przygotowania do pogrzebu.

Wieczorem, gdy słońce dotknęło horyzontu, ciasno zaszyty pakunek spadł z pluskiem do wody tuż obok pokrytej rdzawymi zaciekami burty niszczyciela. Przez chwilę unosił się na wodzie, jaśniejąc w blasku światel pozycyjnych. Potem z tylnych kominów buchnął dym, który zawisł nieruchomo w spokojnym powietrzu. Dla stworzeń na brzegu musiał to być bardzo obcy widok. Większość nie zwróciła w ogóle uwagi na ruszający powoli okręt, zajęta napychaniem licznych żołądków paszą. Pewnie zapomniały już nawet, że tego dnia zdarzyło się coś niezwykłego.

Kilka jednak odprowadziło ciemną sylwetkę spojrzeniami i wpatrywało się w cieśninę nawet wtedy, gdy światła niszczyciela zniknęły za pobliską wyspą.

Keje-Fris-Ar siedział na stołku przy stole, na którym przygotowano śniadanie. Znajdował się w bogato zdobionej kabinie u fundamentów centralnej wieży Domu. Było to największe pomieszczenie na całym statku, nie licząc ładowni czy obór. Zostało obwieszane kolorowymi gobelinami, pod ścianami ustawiono misternie wykonane rzeźby, w wielu miejscach piętrzyły się stopy poduszek, w centrum zaś rosło niemal dojrzałe drzewko Galla. Jego wypełniona ziemią donica sięgała aż do kila statku. Pozwalające przetrwać roślinie światło dostawało się do środka przez ozdobne włazy, które zwykle, jak i teraz, były otwarte. Łagodne powiewy szeleściły podłużnymi zielono-złotymi liśćmi. Jedynym, co nie pasowało do wspaniałości kabiny, był najzwyczajniejszy stolik pod ścianą, przy którym Keje-Fris-Ar, wódz wszystkich klanów *Salissy*, oraz Adar, najwyższy kapłan Niebios, spożywali właśnie poranny posiłek. Kabina była osobistym gabinetem Kejego, jego salą tronową i salą narad zarazem. To tutaj omawiano wszystko, co było ważne dla Domu, i czyniono to zwykle z namaszczeniem i pełną powagą. Na co dzień jednak nie dbano tak bardzo o formę i wówczas Keje korzystał z tego skromnego stołu. Poza tym wiedział, że Adar też lubi tak właśnie jadać.

Wielki wódz był władcą absolutnym Domu, jednak bezpośrednią władzę nad trzema wieżami, które utrzymywały wielkie skrzydła, sprawowali wodzowie cieszący się pewną niezależnością. Ta ich autonomia sprawiała czasem kłopoty wymagające mediacji kapłanów, którzy jako słudzy Niebios nie należeli do żadnego klanu. Cieszyli się zaufaniem, a na *Salissie* nie byli też nazbyt oderwani od życia, co powodowało, że ich autorytet zwykle wystarczał do uśmierzenia sporów. Było to jednak ich drugorzędne zadanie, przede wszystkim bowiem czytali niebo i wyjaśniali to, co wyczytali, innym, dla których gwiazdy były tylko punkcikami światła. Kapłani potrafili dzięki nim określić, gdzie statek się znajduje i jaką drogę powinien obrać. Głoszona przez nich prawda Niebios ważniejsza była niż wszystko inne.

Gdy mediacja kapłanów nie pomagała, to wielki wódz musiał ruszyć konceptem, żeby namówić, ale i zmusić, przywódców klanów do współpracy. To był jeden z powodów, dla których dystansował się wobec przepychu swej siedziby, przynajmniej na co dzień. Nie domagał się, by traktowano go czolobitnie, jakby był bóstwem, chociaż inni wielcy wodzowie często się przed tym nie cofali, wynosząc się ponad swój lud. W zamian cieszył się prestiżem, który zdobył dzięki swej wiedzy i umiejętnościom. Nie chroniło to, oczywiście, przed niesnaskami, ale jego Dom wolny był od poważnych konfliktów międzyklanowych, które nękały inne statki, gdzie wielcy wodzowie nie świecili osobistym przykładem.

Takie sprawowanie władzy dostarczało Kejowi sporo satysfakcji i uważał, że jest dobrym wielkim wodzem, a lud *Salissy* zyskuje na jego przewodnictwie. W praktyce oznaczało to między innymi tyle, że ilekroć obowiązki akurat nie wzywały, mógł w spokoju zjeść śniadanie ze swoim najwyższym kapłanem.

- Powiedz mi zatem, panie, czy zastanawiałeś się nad tymi istotami żeglującymi na szybkim i dymiącym statku? - spytał Adar, osuszając wibrysy misternie tkaną serwetką.

- Nie - odparł Keje z kęsem jajka akki w ustach. - Nie miałem na to od wczoraj czasu. - Nie był zachwycony, że przyjaciel poświęca tyle uwagi bezogoniastym. W głębi ducha był równie ciekaw tych nowych istot, ale musiał też pamiętać o innych sprawach, a ich spotkanie było zbyt krótkie, żeby je marnować na jałowe spekulacje i pytania, na które zapewne nigdy nie znajdą odpowiedzi.

Adar zamrugął rozbawiony.

- Oczywiście, panie, nie mogłeś poświęcić im wiele ze swych myśli. - Przerwał na chwilę i spoważniał. - Mnie jednak nie dają spokoju. Jak zapewne się domyślasz - dodał z uśmiechem.

Keje spojrzał na niego pytająco.

- Pomyśl, panie, jak ważnego zdarzenia byliśmy świadkami - ciągnął Adar. - Spotkaliśmy istoty całkiem innego gatunku, które potrafią budować statki znacznie doskonalsze niż nasze. Doskonalsze też od statków grików - stwierdził, patrząc w oczy wodza. - I co ważniejsze i co powtarzam cały czas: nie zaatakowali nas! Czy kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego? Według proroka doszło do tego tylko raz i wówczas też były to dziwne stworzenia bez ogonów. Grikowie są naszym pradawnym wrogiem i jasno wynika ze Zwojów, że to oni wygnali nas z dawnego domu, naszych dawnych lądowych siedzib. Było to tak dawno, że nawet w Zwojach brak informacji, jak wyglądało wówczas nasze życie. Na pewno jednak to grikowie zmusili naszych przodków do budowy wielkich, pływających domów, byśmy mogli w nich bezpiecznie podróżować po morzu. Niestety, grikowie też w końcu opanowali sztukę

żeglugi, chociaż dzięki niebu nie są w tym tak dobrzy jak my, i to nie zmieniło się z czasem. Tyle że ile razy gdzieś ich napotykamy, natychmiast nas atakują. Wojna, która zaczęła się wieki temu, wciąż trwa. - Zamilkł, opuścił głowę i zadrżał. - Zgadzam się z pismami, że grikowie to czyste zło, i boję się o nasz lud. Naszą rasę.

Keje zamrugał zgodnie, chociaż ciągle nie pojmował, do czego kapłan zmierza. I co mają z tym wszystkim wspólnego bezogoniaści?

- Znasz morze, mój panie, i wiesz, jak po nim żeglować, ale ostatnio coś się zmienia. Grikowie znowu nas znaleźli. Do niedawna niewiele z tego wynikało, bo chociaż czasem ktoś przez to ginął, ich małe statki były niczym w porównaniu z naszymi - powiedział, unosząc ciemną, bezwłosą dłoń. - Niemniej za naszego życia zaczęli budować coraz większe jednostki, a ich napaści są coraz częstsze. Gdy ostatni raz rozmawiałem z innymi najwyższymi kapłanami podczas spotkania domów, usłyszałem od nich, że zauważają to samo. Kruche statki grików nie radzą sobie dobrze na morzu i wiele z nich zapewne tonie, ale nieustannie pojawiają się kolejne i bezmyślne ataki nie ustają. Z tego co wiem, wynika, że grikowie nie mają tu nic więcej do roboty poza walką z nami a Ocean Zachodni nie jest już dla nich przeszkodą.

Keje milczał, zastanawiając się nad słowami kapłana. Poruszał przy tym lekko zawiniętym pod krzesło ogonem. Jeden z młodych służących sprzątnął talerze.

- Rozumiem, o czym mówisz - odezwał się wódz, gdy sługa już odszedł. - Grikowie nadciągają coraz liczniej, a my odpieramy ich ataki, gdy już do nich dojdzie. Ale co więcej możemy zrobić?

- Na razie ich odpieramy - zgodził się Adar. - Jednak co będzie, jeśli uderzą na nasze kolonie i targowiska na lądzie, gdzie ludu nie chronią żadne mury, jak nas chronią burty Domu? Albo jeśli zaatakują w nowy sposób, tak że nie zdołamy się obronić? Już teraz stosują ogień, co jest wystarczająco złą nowiną. Co wtedy uczynimy? Czyżby czekała nas nowa wędrówka podobna do tej, którą opisano w Zwojach? Teraz nie mamy już dokąd uciekać.

- Jasne, rozmawialiśmy już o tym. Tylko co mają z tym wspólnego bezogoniaści? - powtórzył Keje, który w głębi ducha zgadzał się z Adarem. - Czyżbyś wierzył, że ci nowi bezogoniaści są spokrewnieni z tymi dawnymi? Czy to właśnie sugerujesz? To tylko zbieg okoliczności, nic więcej. Są tak odmienni od tych dawnych wędrowców jak my od nich.

- Nie wiemy tego na pewno, mój panie. Może są, może nie. Możliwe, że to nie ma nawet żadnego znaczenia. Ważne wydaje mi się tylko jedno: że nas nie zaatakowali.

- Owszem, już to mówiłeś!

- Nie zaatakowali nas, ale wyraźnie nie obawiają się grików. Mając tak szybki statek, nie

mają powodów, żeby się ich bać.

Keje spojrzał uważnie na kapłana.

- Uważasz, że to dla nas sposobność... - zawiesił pytanie w powietrzu.

- Tak, mój panie.

Jakby na zamówienie w tej samej chwili usłyszeli tupot nóg i zaniepokojone głosy. Obaj uznali ten zbieg okoliczności za znaczący i spojrzeli po sobie. Moment później pojawił się osobisty oddział gwardii wodza. Część zbrojnych poprawiała jeszcze pancerze. Kas-Ra-Ar, ich kapitan i kuzyn Keja, skłonił pokrytą futrem głowę.

- Grikowie, mój panie - oznajmił bez wstępów.

Keje zamrugał i zakrzyknął, żeby przyniesiono mu pancerz.

- Skąd nadciągają, kuzynie? - zapytał.

- Z południowego zachodu, mój panie. - Kas nawet nie drgnął, napotkawszy przenikliwe spojrzenie wodza. - Tak, panie, aż sześć statków. Większych niż wszystkie, które dotąd widzieliśmy.

Keje chodził po pomoście okalającym brzegi tej wielkiej pływającej wyspy, która była ich Domem. W tym miejscu pokład ciągnął się od burty do burty, tworząc jednocześnie sufit przedniej części wielkiej sali, przez co wznosił się na kilkadziesiąt ogonów ponad główny pokład. Przy pozostałych dwóch wieżach nadbudówki były mniej imponujące i służyły raczej mieszkalnym celom. Ta przy środkowej wieży była również stanowiskiem dowodzenia w czasie sztormów oraz bitew.

Tym razem zbiórka przebiegła sprawniej niż poprzednio. Każdy, kto mieszkał na *Salissie*, niezależnie od płci czy wieku, jeśli tylko był dość zdrowy i silny, żeby nosić broń, należał zasadniczo do gwardii, której rdzeń tworzyli najsilniejsi i najsprawniejsi członkowie poszczególnych klanów. Ta wybrana grupa spędzała wiele czasu na ćwiczeniach, jednak ponieważ okazja do walki trafiała się naprawdę rzadko, zwykle przygotowywali się przede wszystkim do turniejowych pojedynków toczonych między przedstawicielami klanów.

Rywalizacja podczas tych widowisk była ostra, toteż lud je uwielbiał. Kryły się jednak za nią różne zadawnione żale, toteż poszczególne klany organizowały zwykle własne ćwiczenia, nawet gdy chodziło o przygotowanie do wspólnej obrony Domu. Łącznie gwardia liczyła blisko czterystu zbrojnych plus trzy razy tyle rezerwy. Wielu jednak nie miało okazji walczyć naprawdę, jeszcze mniej potrafiło walczyć razem. Gwardziści z różnych klanów często nawet nie znali się nawzajem. Co gorsza, nikt z nich, ani tutaj, ani na żadnym innym domu, nie musiał nigdy odpierać ataku więcej niż jednego statku grików na raz.

Chodząc tam i z powrotem, Keje co rusz zerkał na lewą rufową ćwiartkę, gdzie za lekką mgielką krył się ład. Na własne oczy przekonał się, że statków jest aż sześć, i wszystko się w nim skręcało. Nie bał się walki i sądził, że nie boi się też śmierci, ale miał już do czynienia z grikami i wiedział, do czego są zdolni w swoim zdziczeniu. Owszem, zawsze parli do przodu na oślep, dzięki czemu stosunkowo łatwo było ich odeprzeć, ale budzili tym swoisty lęk. Keje wolał sobie nie wyobrażać, do czego by doszło, gdyby przeciwnik wdarł się kiedyś na pokład Domu. Niestety, teraz ta zmosfera mogła się ziścić.

Grikowie zbliżali się szybko i mogło się wydawać, że *Salissa* jest prawdziwą wyspą, niezdolną do samodzielnego poruszania się, chociaż skrzydła nieustannie łapały podmuchy wiatru. Na dole wydawano broń kobietom i młodzieży, potencjalnym wojownikom, którzy jednak nigdy dotąd nie trzymali oręża w dłoni. Widać było, że czują swoją bezsilność. Powinien był lepiej przygotować ich na ten dzień.

Pospiesznie zwinięto płócienne zadaszania pokładów. Najgorszą stroną ataków grików było ich uwielbienie dla ognia. Domy budowano na tyle solidnie, żeby mogły przetrwać niemal wszystko, co zdarzało się na morzu, a *Salissa* powstała ledwie pokolenie temu. Niestety, była z nasączonego żywicą drewna, które łatwo poddawało się płomieniom. Na pokładzie zawsze stały beczki z morską wodą, teraz dodawano czym prędzej kolejne. Wszyscy wiedzieli, że być może będą musieli stawić czoła pożodze. Krople wody ściekały z polewanych obficie skrzydeł, pokład też był już od niej śliski. Utrudniało to poruszanie się, ale dawało nadzieję, że nie zrobi się śliski od krwi.

Keje rozejrzył się. Adar stał w otoczeniu akolitów. Wszyscy byli uzbrojeni, ale mrugali niespokojnie, ponieważ nigdy nie szkolono ich do walki. Kapłani zgłębiali jedynie tajniki nieba i nie poświęcali wiele myśli niszczyielskim zapędom obcej rasy. Nie było co ustawiać ich przy burcie. Czekali tutaj, wiedząc, że jeśli przeciwnik dotrze tak daleko, wszystkim zostanie tylko walka o życie.

Najbliższa rodzina Kejego przebywała wraz z nim na pomoście, jednak nie dlatego, że traktowano ją szczególnie, ale z szacunku dla bardzo dawnej tradycji. Podczas walki wielki wódz i tak miał dość zmartwień i lepiej było nie dodawać mu jeszcze troski o rodzinę, która zresztą żadnego udziału we władzy nie miała. Teoretycznie status wszystkich krewnych wodza nie różnił się od statusu zwykłego robotnika patroszącego ryby czy pracującego na skrzydłach liniarza. Niekiedy sami zdobywali pozycję, jednak hołdujący równości lud i jeszcze bardziej wpatrzony w egalitaryzm wódz nie tęsknili za powstaniem niczego na kształt arystokracji, nawet jeśli nie wszystko było w tej dziedzinie proste i przejrzyste. Urząd Kejego należał do dziedzicznych i chociaż każdą nominację zatwierdzić musiało zgromadzenie klanu,

nikt nie pamiętał, żeby została ona odrzucona. Tym samym rodzinę wodza otaczała atmosfera właściwa dworom monarszym i ochrona jego potomstwa była priorytetem.

Dziedziczenie urzędu wielkiego wodza wyglądało jednak trochę inaczej niż w wypadku wodzów skrzydeł, gdzie władza przechodziła po prostu na najstarsze dziecko. Od „monarszych” pierworodnych oczekiwano, że po osiągnięciu dorosłości założą własne domy, które zamieszkają potomkowie rodzin z ich domu macierzystego, niejako przedłużając jego istnienie. To zapewniało pożyteczną ciągłość doświadczenia, zapobiegało przeludnieniu pokładów oraz „wojnom” o sukcesję. W ten sposób wszystkie domy były w jakimś stopniu spokrewnione, chociaż ostatnio coraz częściej zdarzało się, że dorastający dziedzice decydowali się na założenie kolonii lądowych. Wielu krytykowało te nowe obyczaje, które mogły zagrozić tradycyjnemu sposobowi życia, w sumie jednak powstające na brzegach osady były po prostu zapleczem dla i tak coraz liczniejszych domów. Niezależnie zaś od zmian wciąż nie było wśród ludu żadnych ksiąząt koronnych.

Przynajmniej w teorii. Keje, którego jedyna partnerka umarła młodo, miał tylko jedną spadkobierczynię, Selassę. Sam nie był jeszcze stary i myślał o ponownym związku, może nawet kilku, ale na razie było jak było. Podczas bitwy stała obok niego tylko Selassa. Inna sprawa, że zjawiała się ze swoim partnerem, Saak-Fasem, którego Keje nie lubił, chociaż sam właściwie nie potrafił powiedzieć dlaczego. Saak budził w nim po prostu antypatię, od dzisiaj jeszcze silniejszą, skoro przyszedł na pomost, zamiast zająć stanowisko przy burcie, gdzie było jego miejsce. Na pomoście nie powinno być żadnych zbrojnych poza gwardzistami wodza oraz akolitami najwyższego kapłana. Oprócz nich wstęp na górę mieli jedynie posłańcy roznoszący rozkazy. Keje uznał, że gdy przyjdzie pora, wyśle Saaka z jednym z nich niezależnie od tego, co jego córka sobie o tym pomyśli. Zauważył, że Selassa zachowuje się trochę niepewnie, chociaż nie wiedział, czy wstydzi się za partnera, czy może obawia się śmierci.

Spojrzał na podchodzące po dwa statki grików. Takiej samej konstrukcji jak te, które widział wcześniej, były jednak większe, długie na jakieś sześćdziesiąt do osiemdziesięciu ogonów. Nawet z daleka można było dostrzec tłoczące się na ich pokładach paskudy. Ich broń i kolczugi lśniły w słońcu, jako że dzień był nader pogodny. Keje wezwał posłańca, pierwszego z wielu, których miał potrzebować przed takim czy innym końcem bitwy.

- Przekaż strzelcom, że mają czekać, aż przeciwnik zbliży się na sto ogonów, i celować tylko w linię wodną - powiedział.

Goniec zamrugał na znak, że zrozumiał rozkaz, i ruszył biegiem. Strzelcy obsługiwali jedyną dalekosięzną broń *Salissy*, wielkie maszyny miotające przypominające kusze, tyle że

znacznie, znacznie od nich większe. Przeznaczone do obrony przed gigarybami oraz polowań na ich mniejszych kuzynów, stały na ruchomych podstawach, po cztery na każdej burcie. Do naciągnięcia grubej jak nadgarstek cięciwy potrzeba było aż sześciu chłopów, mogły jednak wyrzucać grube na dłoń, długie na trzy ogony i zaopatrzone w ostre groty drzewce na trzysta ogonów z celnością pozwalającą trafić gigarybę w oko, stanowiące jedyny słaby punkt tych stworzeń. Ich ślepie były mniej więcej tej samej wielkości co stolik w wielkiej kabynie Kejego.

Więcej rozkazów Keje przed bitwą nie wydał. Wiedział, że nie wymanewruje zwrotniejszych jednostek grików i teraz może już tylko czekać, aż zadadzą cios.

Chack złapał się jednej z lin podtrzymujących przednią wieżę i wbił spojrzenie w nadciągającego przeciwnika. Gardło ścisnął mu strach i za nic nie chciał oderwać dłoni od liny, żeby nie było widać, jak bardzo się trzęsą. Wraz z połową klanu znajdował się na przedniej platformie, dość blisko gwardzistów, żeby móc wesprzeć ich w potrzebie, jednak jego głównym zadaniem była błyskawiczna naprawa skrzydła, gdyby okazało się to konieczne. Obok oparł o reling swoją broń, wielki topór z długim ostrzem, miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć. Owszem, był silny, ale prawie nie umiał walczyć.

Mimo dobrej kondycji w turniejach nie wypadł najlepiej z uwagi na nie najlepszą koordynację ruchów. Risa była sprawniejsza i wiele razy pomagała mu w treningach, mało co jednak z tego wyszło. Wiedział, że dowolnie długie ćwiczenia nie zmienią jego mało agresywnego charakteru. Owszem, wdawał się czasem w bójki, jak każdy. *Salissa* była wielka, ale za mała, żeby zawsze unikać konfliktów. Nigdy nie wygrywał, rzadko jednak wychodził z nich ranny. Był naprawdę świetny w unikach, sam jednak rzadko wykazywał zapał do ataku. Walki zwykle pozostawały nierozstrzygnięte, jednak nikt nie nazywał go tchórzem, ponieważ brał w nich udział i czasem obrywał, chociaż sam krzywdy nikomu nigdy nie zrobił. Miał to nawet za rodzaj zwycięstwa, jałowego może, ale zawsze. Niestety, dzisiaj stawka była całkiem inna i samo unikanie ciosów nic nie da. Grika trzeba było zabić, żeby go powstrzymać.

Przy wszystkich wcześniejszych spotkaniach przeciwnik nigdy nie próbował rozmawiać. Ilekroć natrafiał na ludzi, reagował w jeden sposób: atakował. Nieważne, jak mały był ich statek ani jakie były proporcje sił, grikowie zawsze atakowali. Walka też wygląda niezmiennie tak samo. Gdy dochodziło do bezpośredniej wymiany ciosów, przeciwnik zawsze zachowywał się jak ogarnięty szałem i machał potężnie, acz bezmyślnie orężem, nie stosując żadnej obmyślanej zawczasu taktyki. Aby zakończyć taką walkę, trzeba było zabić

wszystkich napastników, którzy nawet ciężko okaleczeni czy rozbrojeni nie potrafili się uspokoić. Taki obłąkany spektakl powtarzał się raz za razem.

Już niebawem, pomyślał Chack. Statki były bardzo blisko. Pierwsza para podeszła na dwieście ogonów z lewej i kierowała się na przednią wieżę. Druga zachodziła Dom z prawej, trzecia zaś od rufy, jakby grikowie chcieli uderzyć w trzech, może nawet sześciu miejscach jednocześnie. Dziwne, zastanowił się odruchowo Chack, że mają jakiś plan ataku. Z drugiej strony dotąd zawsze napotymano samotne jednostki i nie było nawet okazji przekonać się, czy przeciwnik zdolny jest do koordynacji działań.

Te nowe statki były chyba o połowę większe niż dotąd widywane, chociaż budowę miały identyczną. Zapewne chodzi o to, żeby mogły pomieścić więcej wojowników, pomyślał Chack. Miały po trzy smukłe maszty, które grikowie zwykle stawiali na swoich jednostkach, z trzema kwadratowymi żaglami miast skrzydła na pierwszym i trójkątnymi na pozostałych dwóch. Jeszcze jeden maszt wystawał z dziobu, nie nosił jednak żagla i służył zapewne tylko do mocowania lin wspierających główne omasztowanie.

Kadłuby siedziały nisko na wodzie i były smukłe. Na dziobie i rufie miały dwie osobne nadbudówki. Burty pomalowano jaskrawą czerwienią, obramowanie burt chyba na czarno. Nie było ich wiele widać, ponieważ zasłaniały je setki owalnych tarcz w jaskrawych barwach. Na niektórych widać było jakieś wzory, inne były gładkie, każda jednak oznaczała jednego wojownika. Stłoczone na pokładach postacie wpatrywały się milcząco w ludzi. Spomiędzy nich unosiły się zwiewane wiatrem smugi dymu. Chack przełknął ciężko, pojmując, że przeciwnik uszykował już swoją broń ogniową.

Dokoła prawie nie rozmawiano, czasem tylko ktoś zwrócił się szeptem do sąsiada. Umilkła nawet recytująca coś niedawno Risa. Byli gotowi, o ile można w ogóle być gotowym na śmierć. Wszyscy wiedzieli, że mogą jej nie uniknąć. Risa położyła dłoń na ramieniu Chacka i uśmiechnęła się, pokazując zęby.

- Wiem, że będziesz dobrze walczył, mój bracie - powiedziała, odgadując jego myśli. - Ostatecznie oni nie są ludem. - Potem spoważniała i spojrzała na nadpływające statki. - Nie chcę, żebyś zginął, ale jeśli tym razem nie podejmiesz walki, nie tylko ty zginiesz - stwierdziła poważnie.

Spojrzał na nią, jakby poczuł się zdradzony, ale zaraz pojął, że siostra ma rację. Na moment ogarnął go wstyd, potem zaś determinacja i to ona kazała mu sięgnąć po topór. Risa pojęła ten gest, ale nic nie powiedziała. Czekali w milczeniu.

Ich uwagę zwróciły podniesione głosy dobiegające z przedniego pokładu, gdzie Adar stanął z uniesionymi rękami i rozwianą szatą. Wszyscy, których Chack mógł dostrzec,

powtórzyli gest kapłana, zwracając twarze ku słońcu. Risa musiała dać bratu kuksańca, żeby się ruszył. Czując ciepłe promienie na twarzy, zaczął powtarzać z innymi: „Stworzycielu wszelkiej rzeczy, błagamy cię o obronę, jeśli jednak nadszedł mój czas, wskaż memu duchowi drogę do domu jego w niebie!” Potem skrzyżował ramiona na piersi i przyklęknął. Rozległ się głuchy łomot setek kolan uderzających o drewniany pokład, gdy wszyscy zrobili to samo. Nie dane im było jednak dokończyć, ponieważ ktoś krzyknął rozgłośnie.

Chack uniósł głowę. Na maszcie jednego ze statków rozwijał się wężowy proporzec karmazynowej barwy. Gdy załopotał wyprostowany, z pokładów rozległo się przeraźliwe syczenie, które spadło na Dom potężną falą, tym różniącą się od morskich, że pobrzmiwała w niej nieznana oceanowi nienawiść. Tarcze zniknęły z nadburcia i do syczenia dołączyły metalicznie pulsujące uderzenia. Był to najstraszniejszy odgłos, jaki kiedykolwiek dane było słyszeć Chackowi. Nagle, gdy zgiełk osiągnął apogeum, wszystkie statki skrzyły w kierunku *Salissy*, żeby zniszczyć jego Dom, jego rodzinę, jego świat.

Popołudniowa wachta objęła obowiązki wedle zwykłego pokładowego porządku, który tak przydawał Mattowi ducha. Przez krótką chwilę straszne wydarzenia poprzedniego dnia wydały mu się tylko złym snem. Morze było spokojne, niebo czyste, łagodna bryza owiewała mostek, odganiając przygnębiające myśli. To był jeden z tych dni, kiedy niszczyciel był naprawdę w swoim żywiole, pozornie bez wysiłku rozcinając fale, które w gorszych momentach potrafiły miotać smukłym okrętem tak gwałtownie, jakby zaraz miał się wywrócić. Całkiem jakby niebiosy chciały im ulżyć. Matt czuł się o wiele lepiej, a wraz z nim lepiej czuła się też załoga. Już od wielu dni nie napotykało się na pokładzie tylu uśmiechów co dzisiaj.

Matt siedział na swoim fotelu i przeglądał meldunki. Z nogą Davisa wciąż nie było lepiej, ale coraz więcej rannych okazywało się zdolnych do lekkiej pracy. Spanky, Letts i obaj Myszowaci zostali wyznaczeni do ekipy wiertniczej. Udało się też przekonać Sandisona do przerobienia niesprawnej wyrzutni torpedowej numer trzy na destylarnię, gdy uda się już znaleźć ropę. Gray pracował ze swoimi na przednim pokładzie, usuwając najpoważniejsze uszkodzenia. Na razie zajmował się tylko tym, chociaż brudny pokład i wgrzyzające się coraz głębiej smugi rdzy musiały być dla niego równie wielkim utrapieniem. Za prostującą blachy i uzupełniającą braki ekipą posuwał się marynarz z puszką farby. Jedna z kotwic przepadła na zawsze, wyciągnięto więc i zamontowano zapasową. Dzielnie pomagał im japoński oficer, co samo w sobie było niezwykle, oraz towarzyszący mu marine, który przysiadł sobie na kabestanie. Reszta pracujących starała się trzymać z dala od Shiny i wielu rzucało mu

niechętnie spojrzenia, jednak nie przeszkadzali mu działać. Nieźle jak na początek, pomyślał Matt. Dzień był naprawdę piękny.

Jedynym cieniem, który pełzał gdzieś w podświadomości, były lęk o los *Mahana* i troska, skąd wziąć paliwo.

Kapitan usłyszał za sobą jakiś głos i odwróciwszy się, ujrzał Courtneya Bradforda oraz Sandrę Tucker, którzy chcieli poprosić o zgodę na wejście na mostek. Matt uśmiechnął się szeroko, wskazał miejsce obok siebie i wstał.

- Dzień dobry, porucznik Tucker. Witam, panie Bradford. Piękny dzień, prawda?

- Istotnie, kapitanie - odparł Australijczyk, a Sandra posłała mu uśmiech. - Tak sobie pomyślałem, że może pana zainteresować, że zakończyliśmy już nasze... hm... badania naukowe i nie potrzebujemy już resztek tego co badaliśmy.

- I dzięki Bogu - mruknął Matt i zachichotał. - W tej sytuacji... Mam nadzieję, że wyrzuciliście już to śmierdzące ścierwo za burtę? - Sandra i Bradford pracowali przez całą noc i rano, pracowicie krojąc stworzenie zabite na Bali. Część załogi kibicowała im, na ile obowiązki na to pozwalały, i Bradford nieprzerwanie racył tę grupkę wykładem. Reszta jednak gardłowała coraz głośniej przeciwko narastającemu odorowi padliny. Teraz badacze skończyli wreszcie swoje dzieło i wyglądali na bardzo z siebie zadowolonych.

- Powiedzmy, że otrzymało nagrodę, na którą zasłużyło - odparł zdawkowo Bradford.

Matt znowu się zaśmiał, zdumiony, że Australijczyk poddał się tak łatwo. Kapitan oczekiwał, że zapalony przyrodnik weźmie okaz do swojej kabiny, może nawet zażąda przechowania go w chłodni. Widać było jednak, że Bradford przeszedł znaczącą przemianę, wywołaną zapewne widokiem atakujących potworów i śmiercią Marvaneya. Z drugiej strony obecność okazu do przebadania powstrzymywała go przez jakiś czas od wtrącania się w cokolwiek innego, a pierzaste jaszczury z Bali zaczął traktować jak osobistych wrogów. Niemal na równi z Japończykami.

- I co ustaliliście? - zapytał Matt.

- Całkiem sporo. Przede wszystkim nie sądzimy, żeby te stworzenia były jaszczurami - powiedział Bradford. - Może pani Tucker żywi jeszcze pewne wątpliwości, ale ja jestem przekonany, że dominują u nich cechy ptasie.

- Ptasie? - zdumiał się Matt. - Z takimi zębami? Chyba pan żartuje.

- Nie, nie żartuje - odezwała się Sandra. - Wiem sporo o ludzkiej anatomii i anatomii jako takiej, chociaż nie jestem ekspertem od tych stworzeń. Nikt zresztą nie jest, lecz pan Bradford na pewno ma doświadczenie w badaniu podobnych zwierząt i rozumiem, o co mu chodzi. One naprawdę przypominają budową ptaki, na przykład strusie. Ich kości są puste w środku,

ale bardzo wytrzymałe, właśnie jak u ptaków. Nasze opinie są trochę rozbieżne przez to, jak wyglądają ich górne kończyny, ogony i głowy. One ptasie nie są. Na przykład górne kończyny nie robią wrażenia szczątkowych skrzydeł, rozwinęły się raczej od razu jako chwytne kończyny. Podobnie jest z głowami, dokładniej zaś ze szczękami - dodała, wzdrygając się lekko. - Nie zdradzają żadnego pokrewieństwa z dziobami.

- Ależ pani porucznik, swoją opinię opiera pani na wyglądzie, nie bierze zaś pani pod uwagę funkcji... - zaczął Bradford, najwyraźniej zamierzając kontynuować dysputę.

Matt uśmiechnął się i uniósł rękę, żeby mu przerwać.

- Wystarczy - uciął. - To fascynujący temat, ale najbardziej interesuje mnie, czy są inteligentne. Czy naprawdę są tak przebiegłe, czy tylko nam się wydawało? Byliśmy w dziesiątkę, one zaś zaatakowały nas sposobem. Powiedziałbym, że zastosowały pewną taktykę. Równocześnie uderzyły na grupę w głębi łądu i marynarzy, którzy pozostali przy łodzi, jakby chciały wykorzystać to, że się podzieliliśmy. A przecież uzbrojone w zęby i pazury mogły oczekiwać, że i tak mają przewagę.

Sandra milczała, Bradford zaś rozejrzał się niespokojnie.

- Obawiam się, że nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie - stwierdził w końcu. - Teoretycznie mogą być. Masa ich mózgu w porównaniu z masą ciała sugeruje, że to możliwe. Ich mózg jest podobny do naszego, niemniej...

Matt pokiwał głową. Sam pomysł, żeby równie dzikie stworzenia były równocześnie inteligentne, wydawał mu się przerażający. W pewnej chwili będą przecież musieli znowu zejść na brzeg. Może nie na Bali, ale trudno byłoby zakładać, że w innych miejscach nie spotkają podobnych zagrożeń. Należało więc znaleźć sposób wyeliminowania ryzyka, że zostanie się pożartym.

Nagle rozległ się brzęczyk oznajmiający, że bocianie gniazdo chce rozmawiać przez interkom z mostkiem.

- Mostek, tu Elden - rozległ się głos obserwatora.

- Mostek, Riggs mówi - odpowiedział podoficer.

- Mam dym na horyzoncie. Namiar zero, jeden, pięć. Mnóstwo dymu. Jest go tyle, że w pierwszej chwili wziąłem go za chmurę. Ma podobny kolor, nie całkiem czarny, jak dym z płonącej ropy. Ale cokolwiek tam się pali, musi być duże i unosi się na wodzie. Na pewno nie, powtarzam, nie znajduje się na lądzie.

- Przepraszam - powiedział Matt do gości i uniósł lornetkę.

- Widzisz już to coś? - spytał Riggs obserwatora. - To statek czy co innego?

- Nie widzę. Dostrzegam tylko dym. Cokolwiek to jest, nie porusza się... Chwila!

Cholera! Przysiągłbym, że to ten wielki statek kocich małp!

Matt opuścił lornetkę rozczarowany i zaciekawiony jednocześnie. Trochę mu też ulżyło, że to nie *Mahan*, ale w takim razie cóż tam się działo? Może jednak dobrze byłoby zainteresować się losem tych spotkanych już wcześniej stworzeń? Zwłaszcza że chyba mają kłopoty...

- Cała naprzód - rozkazał. - Ster w prawo, piętnaście stopni.

Walker skręcił i szybko zaczęli nabierać prędkości. Woda pryskała odkosami spod dziobu, sięgając niemal przedniego pokładu. Pracujący tam ludzie przerwali swoje zajęcia i powiewając ubraniami, spojrzeli w kierunku wyrastającej na horyzoncie kolumny dymu. Minęło pięć minut, potem dziesięć.

- Mostek? - odezwał się Elden. Zwykle spokojny, tym razem wydawał się dziwnie poruszony.

- Mostek, słucham.

- To rzeczywiście kocie małpy, ale obok nich widzę kilka dużych trzymasztowych statków. Niektóre stoją przy burcie i chyba dokonują abordażu. Statek kocich małp płonie, pali się też chyba jeden z tych mniejszych żaglowców. - Na chwilę zapadła cisza. - Mam wrażenie, że oni tam ostro walczą.

Matt spojrzał na Reynoldsa.

- Niech pan poprosi pana Barry'ego o odległość - powiedział.

- Aye, aye, kapitanie - odparł zdumiony Reynolds. Po raz pierwszy pełnił funkcję wachtowego i miał szczęście, że zdarzyło mu się akurat coś takiego. Odezwał się krótko do mikrofonu i poczekał na odpowiedź. - Sir, porucznik Barry ocenia odległość na piętnaście tysięcy jardów.

- Dobrze. Proszę ogłosić alarm bojowy.

Po okręcie poniosło się wycie nieco jak z rogu przeciwmgłowego. Zaskoczeni ludzie sięgali pospiesznie po hełmy i kamizelki ratunkowe i biegli na swoje stanowiska. Niektórzy zerwali się z koi i zamarli na chwilę, zastanawiając się, co właściwie mają zrobić, co przed szkwałem nigdy im się nie zdarzyło. Porucznik Garrett i reszta jego drużyny pojawili się z metalicznym tupotem na mostku i obsadzili platformę powyżej. Bernard Sandison przybył, dopinając koszulę, zaraz potem nadbiegli torpedyści Hale, Carter i Aubrey, którzy zajęli miejsca przy celownikach.

Reynolds wyrecytował kapitanowi całą litanię meldunków i po chwili oznajmił pełną gotowość wszystkich stanowisk.

- Pan Dowden melduje, że... hm... to, co widzi, przypomina mu pożar w burdelu - dodał,

rumieniąc się.

- Przykra sprawa - odezwał się Matt, patrząc na zegarek. - Z takim wynikiem każdy japoński kajakarz z paroma laskami dynamitu mógłby posłać nas na dno. Sparks, poinformuj szefa, że ostatnia zgłosiła gotowość drużyna awaryjna.

Wszystkich przebiegł dreszcz na myśl, co bosman zrobi ze swoimi fajtlapami. Już teraz było słychać, jak wydziera się na obsadę działa numer jeden.

Tragiczny czas reakcji załogi wiązał się w jakiejś mierze z „pokojowym” urządzeniem pokładu, który został osłonięty płóciennym zadaszaniem, Matt wiedział jednak, że największą odpowiedzialność ponosi on sam. Za bardzo pofolgował z ćwiczebnymi alarmami, co miało pewien sens, skoro nie musieli już obawiać się Japończyków, powinien jednak pamiętać, że nie oznaczało to braku jakichkolwiek zagrożeń. Co więcej, w obecnej sytuacji ćwiczenia były przecież tym bardziej potrzebne dla podtrzymania ducha. Postanowił, że nigdy więcej nie pozwoli swoim ludziom na takie rozluźnienie dyscypliny.

Usiadł na swoim krześle. Nie zapomniał o obecności Sandry i Bradforda, bardziej jednak skupił się na przygotowaniach do ewentualnej walki.

- Panie Sandison, jak stoimy z torpedami?

- Jedyńka, trójka i piątka załadowane i gotowe do użycia.

- A co z tymi uszkodzonymi?

- Na razie nic, sir. Ciągłe w warsztacie. Jedna nie ma tabliczki napraw, sprawdzają ją więc cal po calu. W drugiej napęd jest w porządku, wymaga tylko paliwa. Tyle że to szmelc. Osłona głowicy jest w fatalnym stanie. Z zapisu wynika, że jeden z naszych podwodniaków strzelił nią do mylnie zidentyfikowanego holenderskiego frachtowca, ale wybiła mu tylko dziurę w burcie i zakleszczyła się w blachach. Wyciągnęli ją w stoczni. Chyba wszystkim wtedy szczęście dopisało - dodał z ironicznym uśmiechem.

Początek wojny obfitował w podobne przypadki i chociaż ten akurat skończył się dobrze, Matt zastanawiał się, ile amerykańskich jednostek mogłoby ocaleć, a japońskich pójść na dno, gdyby nie wadliwy sprzęt. Na krążowniku *Huston* wiele pocisków do działek przeciwlotniczych okazało się niewypałami, co wszystkich zaskoczyło, ponieważ bardzo rzadko zdarzało im się ćwiczyć z bojową amunicją. To samo dotyczyło torped, w których zawodziły między innymi detonatory oraz urządzenia odpowiedzialne za utrzymanie głębokości przebiegu. Podczas nocnej akcji pod Balikpapanem też się nie spisały i sytuację uratowali artylerzyści. Matt bardzo żałował, że takie właśnie uzbrojenie przypadło im w udziale. Mimo to musieli się o nie troszczyć, nie mieli bowiem nic lepszego w zanadrzu.

- Proszę zrobić co się da, panie Sandison - powiedział krótko.

Skierował spojrzenie przed dziób i uniósł lornetkę, zwracając uwagę na podstawę kolumny dymu. Teraz sam mógł się już przekonać, że trwa tam bitwa, chociaż nie przypominała ona niczego, co zdarzyło mu się widzieć.

- Mój Boże... - wyszeptał.

Siedmiokrotne powiększenie lornetki Marki M2, produktu zakładów Bausch and Lomb, pozwoliło mu dostrzec wszystko z całym bogactwem szczegółów. Była to niemal średniowieczna rzeź, najbardziej jednak go zaskoczyła desperacja obrońców oraz całkowita pogarda atakujących wobec śmierci. Oraz sami napastnicy.

Bradford, który sięgnął już po własne szkła, wyraźnie zadrzał.

- Mój Boże... - powtórzył za kapitanem.

Chack warknął głośno i zamachnął się toporem na tyle potężnie, żeby odciąć ogon wojownikowi grików, który zamierzał się na nieprzytomną i krwawiącą Risę. Przeciwnik zaskrzeczał i straciwszy równowagę, runął na pysk, zębata paszczą sięgając do gardła dziewczyny. Chack ponownie uniósł broń, wbijając ostrze w grzbiet grika. Trysnęła gorąca krew. Chack odepchnął truchło i czym prędzej podał siostrę czekającym na dole ogrodnikom, pełniącym podczas bitwy funkcję sanitariuszy.

Byli to najstarsi i najmniej sprawni członkowie klanu. Jedyni, którzy nie brali obecnie aktywnego udziału w walce, ponieważ ich zadaniem była opieka nad rannymi. Chack obawiał się, że jego siostra może być już umierająca, bo chociaż nie widział na jej ciele żadnej rany, sierść Risy zmatowiała od krwi i dziewczyna przelewała mu się bezwładnie przez ręce. On też był cały w czerwone plamy, niektóre już zaschnięte, jednak zapewne nie była to jego krew. Odkąd Saak-Fas zjawił się na tym odcinku i wysłał do boju ostatnie rezerwy, Chack walczył jak szalony, bardziej zapamiętałe, niż sądził, że w ogóle potrafi. Kątem oka dostrzegł obsadę skrzydeł rzucającą się na wroga, ani wtedy, ani później nie zdołał jednak wypatrzeć ponownie Fasa.

Lud nigdy jeszcze nie stoczył podobnej bitwy! Na samym początku grikowie próbowali rozproszyć ich siły ognistymi pociskami, kulami dwukrotnie większymi niż ludzka głowa, które rozbijały się na burtach Domu. Większość płomienistych potoków spływała do morza, w końcu jednak dosięgły także pokładu. Ogień rozprzestrzenił się szybko i nad statkiem uniósł się odór palonego futra. Grikowie byli tymczasem coraz bliżej. Strzelcy zasypali ich jednostki wielkimi włócznie, co jednak nie powstrzymało przeciwnika, który w końcu przybił do kadłuba Domu. Z góry odezwały się kusze, których bełty dosięgły wielu wrogów, nie mogły jednak powstrzymać setek haków i dziesiątków drabin, po których grikowie wdarli

się na pokład. Niektórym obrońcom udało się opleść drabiny linami i zrzucić jaszczury do wody, gdzie ginęły miażdżone między burtami statków, aż morze zagotowało się od srebrzystych drapieżnych ryb, jednak to wszystko było za mało.

Bitwa przerodziła się z wolna w bezpośrednią walkę na białą broń, topory i miecze po stronie Ludu oraz krótkie szable i piki po stronie grików. W tej sytuacji nie było jak dłużej gasić ognia i Chack patrzył wraz z siostrą na coraz bardziej przerażającą rzeź, gdy gdzieś za rufą pokazała się kolumna płomieni i dymu, której towarzyszył triumfalny krzyk obrońców. Zaraz dołączyło do niego skrzeczenie grików z pokładu statku, na którym musiało dojść do podpalenia składowanych na pokładzie pocisków. Niektórzy skoczyli w panice do morza, gdzie padli natychmiast ofiarą drapieżników. Jednostka szybko straciła maszty i zanurzając się coraz głębiej kadłub oddryfował od *Salissy*. Tyle że i to było za mało. Grikowie wciąż atakowali i wtedy właśnie Chack został wreszcie wojownikiem.

Pierwszego przeciwnika zabił przypadkiem, łądując na nim, gdy zeskakiwał z pomostu. Zamachnąwszy się odruchowo toporem, przerąbał jaszczurowi skórzany hełm wraz z czaszką. Oczekiwał napadu mdłości albo wyrzutów sumienia, ale nic takiego nie nastąpiło, za to po chwili poczuł nagły przypływ sił i zdecydowania. Krzyknąwszy rozgłosnie, ruszył przed siebie, używając topora, tak jak go nauczono. Niczego tak nie pragnął, jak powalać kolejnych morderców jego Ludu. Przez długi czas nic, tylko ich zabijał, z Risą u boku, której zachęty słyszał nawet mimo panującego wkoło zgiełku. A potem siostra upadła.

Słońce było już nisko nad widocznym na zachodzie górzystym lądem. Chack nie wiedział, ilu grików zdołał dopaść, ale był pewien, że nie zabił ich jeszcze dość wielu. Owszem, przeciwnik ciągle ponosił olbrzymie straty, ale na jego okrętach tłoczyły się wciąż kolejne zastępy gotowe wspiąć się na pokład *Salissy* i walczyć ze świeżym zapalem i dzikością. Jeszcze jedna jednostka zatonała przeszyta pociskami z olbrzymich kusz, była jednak połączona z Domem tak wieloma linami, że zawisała na nich, unosząc się tuż pod powierzchnią, z wystającymi nad fale masztami, których czepiały się całe dziesiątki grików. Dodatkowy ciężar spowodował kilkustopniowy przechył Domu, Kolejna jednostka grików buchnęła płomieniami, była jednak podobnie solidnie powiązana z *Salisą*, przez co ogień zaczął się błyskawicznie przenosić na Dom, ogarniając najpierw prawą stronę pierwszej wieży i przednie skrzydło, które znajdowało się pod opieką klanu Chacka. Pożoga buchnęła na setki ogonów w górę, a na pokład spadł deszcz tłących się kawałków płótna. Sytuacja miała wszakże jeden plus - panujące wkoło gorąco utrudniało walkę także grikom i cała walka w tym rejonie skupiła się na szerokiej na jakieś piętnaście ogonów przestrzeni z lewej strony wieży. Wróg, który przełamał chwilę wcześniej obronę, wdzierając się do ogrodów i

masakrując drugi rzut wojowników, został wyparty przez kontratak Kejego, który porzucił swoją pozycję na górze i wraz ze swoimi gwardzistami pojawiał się wszędzie, gdzie załamywała się obrona. Chack zauważył ze zdumieniem, że Selassa też mu towarzyszy.

Na rufie walka miała znacznie mniej dramatyczny przebieg, ale tamtejsi obrońcy musieli stawić czoła wojownikom z tylko jednego statku. Grików, którzy uderzyli na Chacka i jego towarzyszy, było znacznie więcej, przy czym wkoło krążyła jeszcze samotna jednostka przeciwnika, która dotąd nie zaangażowała się w bitwę. Nie zrobiła tego, nawet gdy kolejne statki były eliminowane, a jej dowódca zachowywał się, jakby czekał na swoją chwilę. Strzelcy robili co mogli, żeby ją wyeliminować, i po wielu trafieniach zdawała się mieć trochę większe zanurzenie niż wcześniej i chyba właśnie się oddalała, chociaż Chack nie był tego do końca pewny. Ledwo co widział w dymie, który wyciskał łzy z oczu i utrudniał oddychanie. Tak czy owak nie był skłonny uwierzyć, że przeciwnik odplywa. Grikowie nigdy nie uciekali. Zawsze albo ginęli, albo zostawali, niezdolni do dalszej walki czy pościgu, za rufą niedosłej ofiary. Należało raczej przypuszczać, że ten jeden statek szuka dogodnego wiatru, żeby zaatakować jakieś niebronione obecnie miejsce i przesądzić o losach bitwy. Z drugiej strony mogło to nie być wcale konieczne. Jeśli szybko nie ugaszą tego ognia, który chwilowo pomagał im w walce, los *Salissy* będzie przesądzony.

Chack wydostał się z tłumu walczących, żeby złapać trochę oddechu. Ograniczona przestrzeń pozwalała na rotację wojowników, co było kolejnym szczęściem w nieszczęściu. Chack dyszał ciężko, wywiesiwszy język, jednak zrzędzeniem losu odniósł jedynie niegroźną, płytką ranę na lewym ramieniu. Podbiegł do beczki ze słodką wodą i zaczął chciwie pić. Zawartość była lekko zabarwiona na czerwono od dłoni, które zanurzały kubek, ale Chackowi to nie przeszkadzało. Liczyło się tylko, żeby zwilżyć zaschnięte na wiór gardło. Potem cisnął drewniany kubek z powrotem do beczki i rozejrzał się wkoło.

Młodzież, starzy ogrodnicy i wszyscy, którzy tylko mogli utrzymać się na nogach, nosili wodę do gaszenia pożaru, jednak ich wysiłki, chociaż wcale niemałe, nie mogły nic zmienić. Chack przeraził się, że niezależnie od wyniku walki ich Dom padnie łupem płomieni. Całe przednie skrzydło zniknęło, a jego płonące szczątki zagrażały całości wieży. Gorzej być nie mogło i Chack poddał się gorzkiej myśli, że może i lepiej, aby jego siostra naprawdę była już martwa. Przynajmniej nie zginie w ogniu. Z rezygnacją uniósł zakrwawiony topór i chciał wracać do walki, gdy kątem oka dostrzegł dwie wysokie kolumny wody, które wyrosły nagle przy myszkującym statku grików. Zaraz potem wielka ognista eksplozja na linii wodnej cisnęła go na burtę.

- Mój Boże! Sir, musimy coś zrobić! Proszę tylko spojrzeć! - wołał Bradford, który chyba ciągle jeszcze nie dowierzał swoim oczom.

Mattowi nawet jeden mięsień nie drgnął na twarzy.

- Nie powiedziałem, że nie chcę im pomóc - rzekł. - Wolałbym tylko, żebyśmy nie musieli tego robić. Gdy do tego dojdzie, opowiemy się jednoznacznie po którejsz ze stron, chociaż tak naprawdę nie wiemy, co tu się dzieje. A może to napastnicy są pozytywnymi postaciami? To, że przypominają jaszczury z Bali, nie musi oznaczać, że są tak samo krwiożerczy. Równie dobrze ktoś mógłby zacząć nas oceniać na tej tylko podstawie, że jesteśmy tak samo biali jak Niemcy. I jeszcze jedno, panie Bradford, i nie chciałbym panu tego powtarzać. Kolejny taki wybuch i każę usunąć pana z mostka. Czy to jasne?

- Mnie też pan usunie? - spytała Sandra, patrząc przenikliwie na kapitana.

Matt westchnął ze złością.

- Wolałbym, żeby tu pani nie było, pani porucznik. Być może czeka nas bitwa. Pozwolę sobie przypomnieć, że ma pani swój przydział na okręcie.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Reszta wachty obserwowała ich konfrontację i można było wyczuć, że obecni są raczej po stronie Tucker i Bradforda, nie kapitana.

- Proszę się zastanowić... - powiedział Matt możliwie rzeczowym tonem. - To nie jest nasza walka. - Uniósł dłoń, żeby mu nie przerywano. - Na razie nie jest. Owszem, skłaniam się ku udzieleniu pomocy tym... jak ich nazywacie, lemurom? - Bradford pokiwał głową. Nie wdawał się dotąd w spory na temat małych kotów czy kocich małych. - Tak, chciałbym im pomóc, ale muszę pamiętać, że jesteśmy tu całkiem osamotnieni. Jeśli zrobimy cokolwiek, może się to skończyć uwikłaniem nas w cudzą wojnę, chociaż nie wiemy, jakimi siłami i zasobami dysponuje przeciwnik. My z całą pewnością nie mamy żadnych rezerw. Poza tym spójrzcie na te okręty... W odróżnieniu od statku lemurów są niemal identyczne z naszymi jednostkami budowanymi w osiemnastym wieku. Naszym osiemnastym wieku! Podobieństwo jest zbyt duże, żeby to był czysty przypadek. Te istoty musiały spotkać już jakichś ludzi. Może innych rozbitków, którzy trafili tu kiedyś przez podobny szkwał. Rozumiecie? Jeśli tak było, może jaszczury coś by nam o nich powiedziały. Może ci ludzie jeszcze tu są! - Zamilkł, po chwili jednak podjął wątek: - Jeśli zaczniemy do nich strzelać, niczego się już nie dowiemy.

Obrócił się wraz z krzesłem i zerknął przez okno na coraz bliższe walczące jednostki.

- Z drugiej strony... - mruknął i nie dodał nic więcej. Lemury były wyraźnie w mniejszości, a biorąc pod uwagę oczywistą różnicę prędkości statków, nie ulegało wątpliwości, kto rozpoczął bitwę. Jak dotąd żadna ze stron chyba ich nie zauważyła, co przy

silnym zadymieniu nie było nawet dziwne. Prędzej czy później ktoś musiał ich spostrzec. Może sama obecność niszczyciela spowoduje, że przestaną się bić i staną z otwartymi ustami. To byłoby już coś. Może niewiele, ale chyba lepsze niż podejście z salwami ze wszystkich dział.

Jednak mimo wszystkich wątpliwości i argumentów Matt wiedział, że właśnie to najchętniej by zrobił. Pamięć o śmierci Marvaneya była jeszcze bardzo świeża, a istoty walczące z lemurami naprawdę przypominały tamte jaszczury. Poza tym nie wydawały się bardziej cywilizowane niż ich kuzyni z Bali. Być może straci w ten sposób szansę na zdobycie ważnych informacji, ale zrobi przynajmniej coś słusznego...

- Zobaczmy, co z tego wyniknie - powiedział w końcu.

- Kapitanie, pan Garrett melduje, że już nas zauważyli - odezwał się Reynolds. - Jeden ze statków jaszczurów kieruje się w naszą stronę. Odległość dwadzieścia jeden zero zero.

Matt też dostrzegł wypełnienie żagli jednostki przeciwnika. Zwiedzał kiedyś USS *Constitution* i był pod wrażeniem podobieństwa jaszczurzych statków do historycznego amerykańskiego żaglowca. Tylko barwa była inna. Te tutaj kadłuby zostały w całości pomalowane na czerwono, no i nie miały furt działowych. Poza tym bardzo przypominały wczesne wersje ludzkich fregat, zgadzała się nawet liczba masztów i rodzaj żagli.

- Zwolnić do dwóch trzecich - rozkazał.

- Dwadzieścia zero zero - powiedział Reynolds, powtarzając meldunek Garretta. Statek jaszczurów podniósł chyba całe płótno, jakie miał, i Matt ocenił jego prędkość na osiem do dziesięciu węzłów. Nawet sporo, ale nie to było najgorsze. Zachowanie załogi żaglowca bardzo przypominało postępowanie jaszczurów z Bali. W ogóle nie przejęły się widokiem niszczyciela, nie okazały ostrożnej ciekawości, jak lemury, tylko od razu ruszyły przed siebie, jakby do ataku.

- Dziewięćset jardów, sir.

- Zwolnić do jednej trzeciej. Trzydzieści stopni w lewo. Działa jeden, trzy i cztery mają prowadzić cel.

- Mostek! - odezwał się Elden. - Cała masa tych potworków zbiera się na pokładzie dziobowym. Mają miecze i tarcze - dodał z niedowierzaniem.

- Przekazać bosmanowi Campetiemu, żeby wydał załodze pokładowej karabiny i broń boczną. Przygotować się do odparcia abordażu - rozkazał Matt i dopiero po chwili pojął, w jak dziwnej sytuacji się znalazł. Zapewne od wojny 1812 roku żaden kapitan US Navy nie musiał stawiać czoła abordażowi na pełnym morzu. Matt uśmiechnął się ironicznie. - Jeśli dalej będzie szedł na nas, przy dystansie trzystu jardów dział numer trzy ma oddać strzał

przed jego dziób.

Spojrzał na Sandrę i Bradforda. Obserwowali go z mieszanymi uczuciami, ale Australijczykowi przynajmniej przeszła już irytacja. Matt uniósł brwi, jakby chciał spytać, po co był cały ten spór, i ponownie sięgnął po lornetkę. Elden miał rację. Na dziobie żaglowca tłoczyła się liczna grupa jaszczurów wymachujących pikami, mieczami i tarczami. Otwierały przy tym szeroko zębate paszcze, zawodząc coś albo wykrzykując. Wielu uderzało bronią o tarcze, inni trzymali haki, które bez dwóch zdań miały być pomocne w abordażu. Matt poczuł, że po grzbiecie przebiegł mu zimny dreszcz. Co gorsza, w polu widzenia pojawiali się co chwila kolejni zbrojni. Na każdym statku musiały ich być chyba całe setki.

- Trzysta jardów! - zameldował z przejęciem Reynolds.

- Ognia - spokojnie rozkazał kapitan Reddy.

Nie opuścił lornetki, czekając, aż działo numer trzy odpali. Chwilę później przed dziobem przeciwnika wyrósł potężny gejzer wody, który spadł na pokład, zmywając kilka jaszczurów do morza. Nie przyniósł jednak zamierzonego efektu, bo pozostali wojownicy zaczęli zachowywać się jeszcze bardziej agresywnie, a statek nie zmienił kursu.

Nagle, gdy od niszczyciela dzieliło go jakieś dwieście jardów, w powietrzu pojawiły się dwie kule wielkości piłek lekarskich, które zatoczyły leniwy łuk w stronę amerykańskiej jednostki. Chwilę potem z pokładu żaglowca wzleciała trzecia. Wszyscy widzieli je gołym okiem. Wirujące pociski zostawiały za sobą smugi dymu. Dwa spadły do wody dziesięć metrów od lewej burty niszczyciela, rozlewając na falach jakąś płonąca ciec. Trzecia przeszła tak blisko, że płomienie liznęły poszycie *Walkera*.

Matt opuścił lornetkę i spojrzał na obecnych na mostku.

- Czy dobrze widziałem, że ostrzelali nas płonącymi kulami? - spytał spokojnie, ale z wyczuwalną wściekłością.

Przez chwilę jeszcze zastanawiał się nad konsekwencjami podjęcia akcji zbrojnej, ale decyzja już zapadła. Podszedł do Reynoldsa i wziął od niego słuchawki.

- Panie Garrett, mówi kapitan. Ognia salwami.

Chack przetaił oczy. Kolejne eksplozje zmieniły uszkodzony statek grików we wrak. Płonące szczątki i ciała zostały rozrzucone na setki ogonów wkoło, a resztki kadłuba szybko zaczęły znikać pod falami. Poszarpane żagle obwisły, środkowy maszt przewrócił się w ciżbę walczących daremnie o przeżycie jaszczurów. Walka przygasła na chwilę, gdy wojownicy obu stron próbowali dojrzeć poprzez dym, co właściwie się stało. Po chwili statek całkiem

skrył się pod wodą, zostawiając na powierzchni tylko żer dla polujących bezlitośnie ryb. W dali Chuck dostrzegł nagle dziwną, ale znajomą już sylwetkę.

Bezogoniaści, zrozumiał z niedowierzaniem.

- Bezogoniaści wrócili! - zawołał ile tchu w płucach. - Zniszczyli statek grików! - Inni powtórzyli jego okrzyki, Chuck zaś, pełen niespodziewanej nadziei, rzucił się ponownie do walki. Przeciwnik wciąż bił się zażarcie, ale jakby inaczej. Po raz pierwszy w postawie jaszczurów można było wyczuć coś w rodzaju desperacji, a może nawet strachu. Cokolwiek to było, ułatwiało Chackowi robotę, który mimo obolałych ramion z zapalem rozłupywał czaszki i odrąbywał kończyny. Przez śliski pokład czasem nie trafiał, boleśnie odczuwając każde zderzenie topora z tarczą albo trafienie wroga płazem, ale się nie zrażał. Nie tylko on chyba odczuwał różnicę, ponieważ wszyscy dokoła też mocniej napierali na grików. Przednia wieża stała już cała w ogniu i przeciwnik mógł się tylko cofnąć albo spłonąć, z wolna zaczął więc oddawać teren.

Chwilę później Chuck ponownie spojrzał na zbawczą jednostkę. Podeszła już bliżej, ale mimo tak zdecydowanej rozprawy z samotnym statkiem grików nie podejmowała kolejnych działań. Chuck szybko zrozumiał dlaczego. Widać bezogoniaści naprawdę chcieli pomóc, ale ich broń nie była na tyle precyzyjna, żeby dało się nią razić wyłącznie wrogów, nie uszkadzając przy tym Domu. Tak przynajmniej pomyślał w pierwszej chwili.

- Co teraz? - szepnął Matt. Niszcząc okręt jaszczurów, porzucili wszelkie pozory neutralności, nie mieli też jak pomóc rozbitkom. W tym świecie nie ma dla nich nadziei, pomyślał kapitan, obserwując kotłujące się w wodzie drapieżne ryby. Owszem, otworzyli ogień w samoobronie, wątpił jednak, żeby setki uczestniczących w walce jaszczurów postrzegają to tak jak on. Z drugiej strony sytuacja nie pozwalała na półśrodki. Nawet jeśli ostrzał płonącymi baryłkami nie miał prawa być skuteczny, duży statek naprawdę znalazł się w kiepskim położeniu.

- Zwrot w lewo, kurs jeden trzy zero - rozkazał chłodnym tonem. - Na razie wstrzymać ogień, ale obsada dział pozostaje w gotowości. Używać tylko broni maszynowej po podejściu na sto jardów. Cel to jaszczury na statku lemurów. Oszczędzać amunicję, koncentrując ogień na większych skupiskach przeciwnika. Uważać na lemury. Rozwinąć węże przeciwpożarowe i przygotować je do akcji gaśniczej. - Założył ręce za plecy i słuchając potwierdzeń swoich rozkazów, zapatrzył się w obraz walki.

Sandra podeszła do niego. Też nie mogła oderwać oczu od rzezi.

- Przepraszam, kapitanie - powiedziała cicho.

Zerknął na nią przelotnie i wzruszył ramionami.

- I ja też przepraszam - stwierdził. - Chyba trudno byłoby w tej sytuacji nie pomóc. Ale Pan mi świadkiem, że i bez tej wojny dość mamy własnych problemów. - Nie podnosił głosu, nie chciał, żeby ktokolwiek więcej wiedział o jego wątpliwościach. Słysząc było trzask springfieldów, do których dołączyło basowe poszczekiwanie prawoburtowego karabinu maszynowego. - Mam nadzieję, że było warto - dodał ponuro. - Każdy pocisk wystrzelony w obronie tych lemurów zmniejsza nasze szanse na przetrwanie. - Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł na prawe skrzydło mostka, żeby ponownie poprowadzić *Walkera* do walki.

- Cholera! - warknął Dennis Silva, zmagając się z zacięciem w prawoburtowym karabinie kalibru pół cala. - W końcu jest kogo zabijać!

Stojący obok Gil Olivera, gotowy podać nową skrzynkę amunicyjną, zachichotał nerwowo. Za nim znajdowali się jeszcze Alfonso Reavis i Sandy Newman, obaj z karabinami na ramionach, jednak ich zadaniem było zbieranie łusek, zanim stoczą się do wody. Silva nie wiedział, po co to robią, skoro nie było jak zmienić ich z powrotem w pełne naboje. Nie mieli przecież nawet zapasu prochu. Ale cóż, ważne, że dostał wreszcie rozkaz otwarcia ognia i miał do kogo strzelać. Jeśli Campeti mimo to martwił się zbieraniem łusek, to był to już jego problem.

Wrzawa bitewna dobiegająca z pokładu wielkiego statku sprawiała, że cała ta historia wydawała się wręcz nieprawdopodobna. Nie tylko dlatego, że krzyki i wrzaski były głośniejsze niż pokładowy sygnał alarmu, ale i z tego powodu, że pochodziły wszystkie z nieludzkich gardeł. Dym bardzo ograniczał widoczność, w końcu jednak Silva wypatrzył coś w rodzaju linii oporu pod stojącą w ogniu dziobową wieżą. Musiało tam być piekielnie gorąco.

Skinął na Feltsa, który stał między nim a działem numer trzy i miał już zacząć strzelać z ciężkiego karabinu maszynowego.

- Od tamtego miejsca do dziobu są już chyba tylko jaszczury! - zawołał.

Felts spojrział i pokiwał głową. Jedna z jednostek przeciwnika zatonała u burty dużego statku i wisiała chyba tylko na linach. Marynarze już teraz wzięli się do zestrzeliwania uczeponych takielunku jaszczurów, jednak żeby precyzyjnie razić cele na pokładzie, musieli podejść jeszcze trochę bliżej.

- Widzę, Dennis - rzekł Felts. - Jeśli zaczniemy, to tak, żeby każdą serią załatwić z pół tuzina.

- Otóż to! - odparł z uśmiechem Silva.

- Tylko uważaj, żeby nie trafić żadnej małpy!

Silva wzniosł oczy ku niebu.

- Ile razy mam ci powtarzać, że to bardziej koty niż małpy? Szukasz guza czy co?

Zanim Felts zdążył odpowiedzieć, Silva wypuścił pierwszą serię. Pociski smugowe wgrzyły się w największą cizbę jaszczurów.

- Ja wam dam napastować moje koty! - wrzasnął Dennis Silva.

Keje-Fris-Ar ledwo trzymał się na nogach. Ciężko dyszał, opierając dłonie na ugiętych kolanach, a świat zdawał się zmieniać swój odwieczny porządek. Keje odniósł wiele ran i oprócz zwykłego zmęczenia za jego słabość odpowiadał zapewne także upływ krwi. Do tego zaschło mu w gardle, popękały mu wargi i obrzmiał język, dłonie zaś tak drżały, że gdy Selassa podała mu kubek z wodą, mimo wielkiego pragnienia nie mógł pić samodzielnie. Dopiero Adar, który wyszedł jak duch z dymu, pomógł mu utrzymać naczynie. Keje wolałby mimo wszystko zrobić to sam, ale nie miał siły odsunąć kapłana, zaczął więc chciwie chłonać wodę, zamykając oczy z tej szczególnej rozkoszy. Wciąż jednak widział pod powiekami to, co zaszło chwilę wcześniej.

Cała ta bitwa była godna zapisania w Zwojach, taka okazała się przerażająca, tyle podczas niej było aktów bezprzykładnej odwagi. Wszystko jednak bledło wobec niespodziewanej interwencji bezogoniastych, którzy okazali się potężni jak nikt na tym świecie i bez dwóch zdań uratowali im skórę. Grikowie musieli widzieć to podobnie, zdarzyło się bowiem coś, czego nigdy jeszcze nie widziano. Przeciwnik nie został jedynie odparty - grikowie wpadli w panikę, ich siły uległy kompletnej dezorganizacji. Przerażone jaszczury uciekały na oślep przed magią bezogoniastych i ostrzami Ludu. Z początku obie strony były jedynie zdezorientowane, jednak gdy okazało się, że gromowa broń bezogoniastych zabija jedynie grików, to był już koniec walki. Setki potworów zginęły w jednej chwili, nie wiedząc nawet, co właściwie pozbawia je życia. Nie mogąc nijak przeciwstawić się tym ciosom, przeciwnik dał się ponieść przerażeniu, które najpierw ogarnęło tylne szeregi, a potem dotarło do walczących. Keje dostrzegł, co się dzieje, i bez dłuższych rozważań skorzystał z sytuacji, pomagając towarzyszom oczyścić pokład z jaszczurów.

Zwycięstwo było całkowite, grikowie zostali po prostu rozbici. Trudno byłoby zliczyć, ilu z nich zginęło podczas ucieczki na własne statki. Setki po prostu skakały do morza, tak wielkie było ich przerażenie. Spośród wszystkich jednostek jaszczurów dwie zdołały odbić i postawić żagle. Jedna została błyskawicznie zatopiona, gdy statek bezogoniastych huknął dwa razy swoją bronią. Potem chciał chyba skrócić za ostatnim żaglowcem grików, zawrócił jednak i zbliżył się do burty *Salissy*. Dziwne istoty na jego pokładzie zaczęły miotać się tam i

z powrotem, ciągnąc jakieś grube liny, z których nagle trysnęła woda nakierowana na pożary trawiące Dom.

Zapadał z wolna zmierzch, niezwykle dzień miał się ku końcowi. Nad pokładem unosiła się odświeżająca wodna mgiełka i kto żyw spychał ciała grików za burtę. Keje uwolnił się od opiekuńczych dłoni córki i przyjaciela i ciężko podszedł do relingu. W dole dostrzegł tę samą postać co poprzedniego dnia. Zmagając się z bólem i zmęczeniem, uniósł prawą rękę i pokazał znak pustej dłoni. Miał nadzieję, że wyrazi w ten sposób chociaż drobną część swojej wdzięczności.

O ile mógł dostrzec coś w blasku dogasających płomieni, istota odpowiedziała mu tym samym. Zaraz potem padłby na pokład, gdyby bliscy go nie podtrzymali. Gdy odnoszono go do kabiny, zrozumiał, że jutro słońce wzejdzie już nad innym światem. Owszem, grikowie wrócili w roli pradawnego wroga, ale Lud miał już teraz potężnego sprzymierzeńca.

Rozdział 5

Bitwa dobiegła końca. Jak zawsze najgorsze było to, co działo się po niej. Szperacze *Walkera* oświetlały wciąż okryty dymem pokład odległego o niecałe sto jardów statku. Lemury zajmowały się swoimi rannymi i wyrzucały ciała nieprzyjaciół za burtę. Z początku wahały się wchodzić w kręgi światła, szybko jednak zorientowały się, że nowy sojusznik chce im pomóc, i skorzystały z iluminacji. Bardzo praktyczne stworzenia, pomyślał Matt. Wahał się, czy włączyć reflektory, nie wiedząc, czy nie uznają tego za jakiś wrogi akt. Niemniej nawet jeśli lemury nie przeszły jeszcze do porządku dziennego nad niespodziewaną interwencją *Walkera*, najwyraźniej gotowe były uznać to zdarzenie i jego konsekwencje za całkiem pożądane.

- Odwołać alarm bojowy - powiedział cicho Matt i dołączył do Sandry i Bradforda na skrzydle mostka, gdzie torpedyści składali już swój sprzęt. Powyżej Garrett i kilku innych przechylali się przez reling platformy kontroli ognia, obserwując poczynania okrytych futrem sojuszników. Na dole spłynął do morza mały meteor - to Gray pstryknął za burtę niedopałek papierosa, którego zasadniczo w ogóle nie powinien teraz zapalać.

- Widziałem, szefie! - zawołał Matt.

Załoga działa numer jeden zachichotała radośnie i bosman obrócił się wściekły w jej stronę. Kapitan posłuchał chwilę wymiany zdań, jaka potem nastąpiła, i pokręcił głową.

- Powinniśmy im pomóc - powiedziała Sandra, mając na myśli statek pełen rannych. Wahała się, czy rozwinąć temat. Pamiętała zarówno o tym, że mają ograniczone zasoby medykamentów, jak i mało personelu medycznego. Na dodatek z Karen Theimer coraz trudniej było ostatnio nawiązać kontakt, a Kamie Miller ciągle miał mleko pod nosem. No i nie mogli płynąć wszyscy. Niemniej... - Przynajmniej ja powinnam im pomóc. Chciałabym udać się na tamten statek i zaproponować wsparcie, kapitanie - dodała, zmieniając zwykłą sugestię w oficjalną prośbę.

Matt spojrział na nią zamyślony i powoli pokręcił głową.

- Zasadniczo to dobry pomysł - powiedział. - Pomogłoby to utrwalić nasze dobre kontakty z nowymi przyjaciółmi, zakładając oczywiście, że rozumieją, o co chodzi. Ale teraz to niemożliwe.

- Obawiam się, że muszę nalegać, kapitanie. Nie mamy żadnych rannych i jestem pewna,

że bez trudu pojmą moje intencje. Ból to uniwersalny sygnał. Nawet nie znając ich języka ani fizjologii, mogę pomóc zakładać opatrunki. A jeśli oni nie wiedzą nic o mikrobach?

Kapitan ponownie pokręcił głową, tym razem z wyraźnym współczuciem.

- Podziwiam pani odwagę - powiedział spokojnie. - Odwagę i oddanie. W tej chwili jednak to naprawdę niemożliwie i proszę nie nalegać. - Wskazał za burzę, gdzie woda lśniła ciągle od grzbietów srebrzystych ryb wielkości tuńczyka.

Czatowały na kolejne, wrzucane do morza ciała jaszczurów i walczyły zajadle o każdy kęs. Sandra przygryzła wargę.

- W tych warunkach nie będę ryzykował niczyjego życia. Ani pani, ani siostry Theimer, o załodze łodzi nie wspominając. Do rana wszystko się uspokoi, ryby się najedzą, odpłyną i wtedy będzie można spróbować.

- Naprawdę nie da się inaczej? - spytała niemal błagalnie.

- Nie. W blasku dnia owszem. Gdyby drapieżniki ciągle się kotłowały, możemy spróbować porozumieć się z lemurami i przerzucić linę, na której zawiesilibyśmy krzesło bosmańskie. Ale to wymaga koordynacji działań, żeby utrzymać stałą pozycję jednostek względem siebie. Gdyby zaś pojawił się jakiś plezjozaur, musielibyśmy manewrować... - Zamilkł na chwilę. - Zatem to również odpada. Mam nadzieję, że uda się rano łodzią.

Nic już nie dodał, tylko zapatrzył się w ciemną wodę. Sam też bardzo chciał spotkać te dziwne istoty, i to z kilku powodów. Po pierwsze, zgadzał się z Sandrą, że powinni zaoferować im pomoc medyczną. Po drugie, właśnie zadeklarowali udział w jakiejś nowej wojnie i należało dowiedzieć się czym prędzej, kto, z kim, jak oraz o co walczy. Niewykluczone też, że jaszczury były po prostu piratami. Możliwe również, że lemury na co dzień rządziły tu na morzach i opowiedzenie się po ich stronie rozwiązywało wszystkie problemy. Ale mogło też być na odwrót. Na dodatek jeden ze statków jaszczurów zdołał uciec i na pewno wieść o roli, jaką *Walker* odegrał w tej bitwie, szybko się rozejdzie. Następnym razem użycie nowoczesnej broni może nie wywołać tak wielkiego szoku. Tylu rzeczy powinien się jak najszybciej dowiedzieć. Oczywiście założywszy, że obie strony znajdą wspólny język. W tym mógł liczyć już tylko na pomoc Bradforda.

Nagle Sandra dotknęła palcami jego dłoni.

- Przepraszam - powiedziała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Za co?

- Za... wiele rzeczy. Za wywieranie presji. Za to, że w pana zwątpiłam, gdy tak długo pan się zastanawiał. Ale słusznie pan postąpił.

- Też mi się tak wydaje - odparł Matt z westchnieniem i uśmiechnął się. - Inaczej nic bym nie zrobił. W ogóle mam nadzieję, że oboje mamy rację. Pewnie niebawem się tego dowiemy.

Wraz ze świtem morze ponownie przybrało złudnie niegroźny wygląd i Reddy rozkazał przygotować dużą motorówkę, która wydała mu się lepsza niż szalupa. Była bezpieczniejsza, poza tym chciał zabrać ze sobą sporą grupę. Od razu wyznaczył do niej Sandrę, Bradforda, Graya, McFarlane'a i Lettsa, dodał jeszcze dwóch cieśli oraz drużynę ochrony: Silvę, Feltsa, Reavisa i Newmana. Za sterem posadził Tony'ego Scotta. Potem wysłuchał jeszcze prośby porucznika Shinyi, który także chciał popłynąć. Matt uznał, że to dobry pomysł, i to z niejednego powodu, chociaż Japończyk miał być jedyną osobą bez broni bocznej. Kapitan nie wierzył, żeby niedawny przeciwnik chciał cokolwiek kombinować, chociaż nie miał wątpliwości, że reszta załogi może oponować przeciwko jego obecności. Na wszelki wypadek uświadomił to niedawnemu przeciwnikowi.

Dowództwo niszczyciela pozostawił ponownie Larry'emu Dowdenowi.

- Nie oczekuję żadnych kłopotów - powiedział. - Z drugiej strony ostatnio też tak myślałem. Na wszelki wypadek proszę utrzymać alarm bojowy. Jakoś musimy się z nimi spotkać, ale wolałbym, żeby nie szwendali mi się po okręcie, póki nie wiem, co to za jedni. Gdybyśmy zbyt zwlekali, mogliby sami do nas przyplłynąć.

- Rozumiem, kapitanie, ale wciąż uważam, że to ja powinienem udać się do nich - stwierdził Dowden, marszcząc czoło.

Matt uśmiechnął się szeroko.

- Może, ale to ja jestem kapitanem i robię co chcę. Chociaż poważnie mówiąc, to zgadzam się, ale... już to przemyślałem. Gdy znowu spotkamy jakichś obcych, ty przywitasz ich pierwszy. Obiecuję.

Wspiął się do motorówki, która wisiała na żurawikach na jednym poziomie z pokładem. Cieszyło go, że można ją opuścić na wodę razem z załogą. Przypadkowe skapanie się w morzu nie było już tylko kwestią pecha ani niezręczną gafą - tutaj oznaczało wyrok śmierci. Kil uderzył o fale, silnik zaskoczył z parsaniem i ruszyli ku lemurzemu statkowi. Było jeszcze wcześniej, ale słońce wzniosło się już nad horyzont i Matt miał nadzieję, że lemury zdążyły wypić swój odpowiednik porannej kawy. Nie chciał ich zaskoczyć ani ryzykować spotkania ze zbyt zasną załogą.

Jego obawy okazały się płonne. Wiele czujnych oczu musiało nieustannie wpatrywać się w niszczyciel, ponieważ wiele istot przerwało swoje prace na pokładzie i podbiegło do burty, alarmując podnieconymi okrzykami pozostałych.

- Chwała niech będzie zwycięzcom - jęknął bosman.

Z bliska i z poziomu morza statek wydawał się jeszcze większy. Od jego pokładu dzieliło ich dobre sto stóp i nie było wątpliwości, że jednostka jest tak wielka jak nowe amerykańskie lotniskowce. Może nawet większa. Odniosła jednak spore uszkodzenia. Trójnożny maszt dziobowy stał nagi, częściowo zwęglony, a przednia nadbudówka, przypominająca pagodę, zmieniła się w stos dymiących zgliszcz. Wszędzie zalegał jeszcze lekki popiół z niedawnych pożarów. Przednia część kadłuba też nosiła ślady ognia, jednak sama struktura nie została chyba osłabiona, chociaż trudno było orzec, jak grube są drewniane burty. Matt zauważył zdumiony, że podwodna część kadłuba jest obłożona miedzianymi blachami, tak jak w dawnych ludzkich żaglowcach. Cel też był najpewniej identyczny - ochrona poszycia przed żywiącymi się drewnem organizmami morskimi.

Podeszli do statku w okolicy śródkręcia, na tyle blisko, że motorówka prawie uderzyła o burtę, ale Scott był świetnym sternikiem i bez trudu uniknął kolizji, chociaż prowadził akurat coś, co znał tylko tak sobie. Nie znaleźli jednak żadnej drogi na górę, ani schodni, ani szczebli, po których można by się wspiąć. Przez chwilę widzieli jedynie setki głów wystających zza nadburcia, gdy nagle opadła stamtąd również całkiem znajomo wyglądająca drabinka sznurowa, która rozwinęła się z klekotem i zawisła naprzeciw motorówki.

- Nie jest to czerwony dywan, ale na pewno potraktowali nas lepiej niż poprzednich gości - mruknął Bradford, wywołując trochę śmiechu.

Matt ujął pierwszy szczebel.

- Zwykle puszczam panie przodem, ale tym razem odstąpię od tej zasady - powiedział, także budząc wesołość, chociaż paru marynarzy zerknęło niepewnie na porucznik Tucker. Ostatnio zyskała wśród załogi bezprecedensową popularność, zwłaszcza jak na kogoś, kto nie należy do załogi niszczyciela, a do tego jest kobietą. Zawdzięczała to wielkiej biegłości medycznej oraz przyjaznemu nastawieniu do wszystkich pacjentów. Z drugiej strony dała się też poznać jako osoba stanowcza i nieprzebierająca w słowach, ale nie było jeszcze wiadomo, czy ma także poczucie humoru. Wyglądało na to, że chyba tak, nie sprawiała bowiem wrażenia urażonej żartem kapitana.

- Bosmanie, pan następny, potem drużyna osłony. Gdy już ruszą, reszta wchodzi w dowolnej kolejności - dodał Matt i zaczął się wspinać, ale nagle przystanął. - Wszyscy mają zachować spokój i zachowywać się przyjacielsko. Pamiętajcie, kim jesteście i co tutaj reprezentujecie. - Ruszył dalej, starając się poruszać jak ktoś bardzo pewny siebie. Za nic nie chciał okazać zdenerwowania. Obawiał się nie tyle samego spotkania, ile towarzyszącej mu niepewności. Nigdy, w najosobliwszych nawet marzeniach, nie sądził, że znajdzie się w

podobnej sytuacji. Nie był na nią nijak przygotowany i nie miał zielonego pojęcia, jak powinien postąpić. Wiedział tylko, że zapewne nikt nie doświadczył nigdy niczego podobnego i jakkolwiek niezwykła to chwila, nie ma prawa jej spieprzyć.

W końcu dotarł do relingu i zatrzymał się na moment, zanim zeskoczył na pokład. Zebrane wkoło istoty odsunęły się lekko na jego widok, patrząc na przybysza wielkimi kocimi oczami w najróżniejszych kolorach. Ich długie ogony poruszały się z lekka, jakby żyły własnym życiem, za nic mając stoicki spokój właścicieli. Poza tym istoty te były niskie, o wiele niższe, niż wydawały mu się z daleka. Najwyższa z nich, mocno wyrastająca ponad przeciętną, sięgała mu ledwie do podbródka. Matt nie potrafił orzec, jakiej jest płci. W końcu uznał, że męskiej, chociaż tylko zgadywał. Większość obecnych nosiła odzież jakby przypadkowo dobraną. Ten i ów miał na sobie jeszcze miedziany pancerz. Wszyscy wyglądali na zmęczonych, wielu było rannych, niejeden uzbrojony w topór albo krótki zakrzywiony miecz. Nikt jednak nie kierował oreża w stronę gościa.

Ten najwyższy, poza wzrostem, wyróżniał się także ubiorem, nosił bowiem ciemnopurpurowy płaszcz z naszytymi wielkimi gwiazdami na ramionach i wysokim kapturem, który osłaniał mu głowę, ukazując tylko twarz z przenikliwymi, szarymi oczami. Ci, którzy stali tuż obok niego, wydawali się bardziej niespokojni, jakby byli strażnikami strzegącymi kogoś ważnego. Matt uznał, że ma przed sobą przywódcę albo przynajmniej kogoś obdarzonego sporą władzą. Chwilę później na pokładzie pojawił się bosman i z miejsca dotknął jednego z wielkich baksztagów wspierających centralny maszt. Potem spojrzał na swoją dłoń, na której został ślad smoły. Gray uniósł brew i spojrzał na kapitana, który skinął głową na znak, że też to widział. Potem zrobił krok i stanął w milczeniu naprzeciwko zakapturzonej postaci, podczas gdy reszta grupy wchodziła jeszcze na górę. Kapitan pomyślał, że najlepiej byłoby zachować się zgodnie z regulaminem i najpierw oddać honory banderze, tyle że żadnej tutaj nie widział. Z drugiej strony może to nie przeszkoda...? Tradycja to tradycja i nawet jeśli nie zrozumieją co powie, sensu samego ceremoniału powinni się domyślić. Może zyska w ten sposób ich szacunek.

Nagle wykonał zwrot w prawo, żeby stanąć twarzą do rufy, i wykonał zamaszysty salut. Potem zasalutował również postaci w płaszczu.

- Komandor porucznik Matthew Reddy, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Proszę o pozwolenie na wejście na pokład, sir.

Lemur zamrugał energicznie, co mogło wyrażać zdumienie, a jego usta rozciągnęły się w grymasie przypominającym uśmiech. Matt zatrzymał rękę w górze chwilę dłużej, niż to było konieczne, potem wiedziony impulsem opuścił ją powoli, wysuwając przed siebie i pokazując

pusztą dłoń. Istota przed nim niespiesznie zsunęła kaptur. Wciąż się „uśmiechała”, chociaż poza tym wyraz jej twarzy się nie zmienił. Matt skłonny był przypuszczać, że mimika tych istot jest równie skromna jak u znanych mu kotów, zdolnych jednak wyrażać całe bogactwo odczuć innymi sposobami. I tak zapewne było, ponieważ reszta lemurów również zaczęła się „uśmiechać”. Ku zdumieniu ludzi najwyższy z kotowatych powtórzył niepewnie salut kapitana i również wysunął rękę przed siebie. Matt usłyszał, jak stojący zaraz za nim bosman wzdycha ciężko i mruży coś pod nosem o napalonych Australijczykach.

- Może go pan tu puścić, Gray - szepnął, nie odwracając głowy.

Lemur tymczasem przycisnął obie dłonie do piersi i powiedział:

- Adar.

Bradford przepchnął się do przodu i stanął obok kapitana.

- Nie do wiary! - odezwał się. - Czy uważa pan, że to on nazywa się Adar, czy to może raczej nazwa jego ludu?

Matt też westchnął.

- Właśnie chciałem go o to spytać, panie Bradford - rzekł. - Proszę sobie darować podobne napady ciekawości. Lepiej, żeby pan nie mieszał. I bez tego jest mi niełatwo. - Wskazał na istotę. - Adar?

Lemur mrugnął dwa razy i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Potem rozłożył ręce i skłonił się głęboko.

Matt wskazał na siebie.

- Matthew Reddy - przedstawił się.

Adar spróbował ułożyć usta w sposób, który pozwoliłby mu wymówić obco brzmiące słowa. I spróbował:

- Maa-tju Riddy.

Teraz kapitan się uśmiechnął.

- Bardzo dobrze. - Obrócił się i przedstawił po kolei wszystkich, którzy mu towarzyszyli, potem zaś wskazał unoszący się niedaleko niszczyciel. Dopiero teraz dotarło do niego, jak osobliwie wygląda jego okręt. Burty były poznaczone smugami rdzy, a niedawno naprawione miejsca jaśniały plamami świeżej farby. Bomba zapalająca zostawiła ciemny ślad zaraz za numerem taktycznym i tam przypalona farba odłaziła całymi płatami. Chyba cała wolna od wachty załoga tłoczyła się na pokładzie, a na maszcie rufowym łopotała gwiazdzista bandera.

- *Walker* - powiedział.

Wszystkie istoty spojrzały na doświadczonego w walce okręt, zachowując pełne szacunku milczenie. Adar przestał się uśmiechać i Matt miał wrażenie, że celowo spoważniał.

- Ło-ker - powtórzył obcy, po czym zamrugał energicznie i wskazał na wejście do wielkiej nadbudówki za swoimi plecami. Zawahał się, obejrzał i w końcu zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Reszta stworzeń zrobiła przejście, sugerując chyba, że Matt powinien pójść za ich przywódcą. Kapitan zerknął na bosmana, który wzruszył ramionami, potem na Sandrę. Ostatecznie także wzruszył ramionami i pomaszerował za odzianą w purpurę postacią, z resztą grupy deptającą mu po piętach. Nagle Silva jęknął, jakby się dusił.

- Co jest...? - spytał Matt, odwracając głowę, i wtedy też to zauważył. W ogólnym przejściu dopiero teraz do niego dotarło, że wśród przyglądających im się obcych jest wiele osobników rodzaju żeńskiego. Poza tymi, którzy nosili pancerze, wszyscy mieli na sobie krótkie spódniczki, co było bez dwóch zdań praktycznym odzieniem, zważywszy na ogony. Niektórzy nosili jeszcze tuniki, ale tych było bardzo niewiele, co pozwalało dostrzec tu i ówdzie zarys najnormalniejszych na świecie kobiecych piersi, tyle że obrośniętych futrem. Nic dziwnego, że Silva aż jęknął...

- Mój Boże! - pisnął Newman.

- Fascynujące! - dodał Bradford.

- Ale całkiem naturalne - zauważyła lekko spłoniona Sandra. - Nawet u nas prymitywne plemiona nierzadko tak się noszą.

- Dla mnie niezwykle. Aż za bardzo - szepnął Felts i Sandra zdecydowanie już spięła raka.

- Cisza - warknął Gray i odchrząknął. - Przestańcie się na nie gapić! Chcecie, żeby was zjedli? Nie strzelać oczami. Przecież to dzicy!

Matt zakaszlał znacząco.

- Żadni dzicy - stwierdził. - Nie są też tak prymitywni, żeby nie zrozumieć, gdy się ich obraża. Nie wgapiać się więc i ręce przy sobie - dodał, spoglądając znacząco na Silvę. - To rozkaz.

Gdy weszli do środka, przekonali się, że jest tam znacznie przestronniej, niż oczekiwali. Pomieszczenie zajmowało całą dolną kondygnację wieży i było wysokie jak szkolna sala gimnastyczna. Na ścianach wisiały grubo tkane, ale bogato zdobione tapiserie, podłogę zaś pokrywały ułożone w stosy poduszki. W porównaniu z pokrytym jeszcze krwią i sadzą pokładem wyglądało to wręcz sielsko, chociaż i tutaj unosiła się przykra woń spalenizny i przysmażanego futra. Matt zastanowił się, ile czasu będzie musiało minąć, nim ten smród się ulotni. W suficie pośrodku pomieszczenia był otwór, przez który przechodziło dziwne drzewo wyrastające z wielkiej donicy. Matt, który rozróżniał tylko dęby, cedry i jądłoszyn, nie potrafił powiedzieć, czy to palma czy sosna. Tak czy owak z długiego co najmniej na dziesięć

metrów pnia wyrastały krótkie konary okryte delikatnym listowiem w barwie złocistej zieleni. Kapitan przyglądał się drzewu z zaciekawieniem, aż dostrzegł kolejną postać, siedzącą przy stoliku tuż obok.

Byłaby całkiem nieruchoma, gdyby nie poruszający się w wolnym rytmie ogon. Miała rudobrunatną sierść i wyglądała na dobrze umięśnioną. Po chwili Matt rozpoznał obcego, z którym wymieniał wcześniej pozdrowienia. Bez wahania podszedł do niego i raz jeszcze wyciągnął otwartą dłoń, co nawet tutaj musiało być uniwersalnym gestem pozdrowienia. Adar stanął obok siedzącego, który chyba nieprzypadkowo nie przywitał ich na zewnątrz. Jego ciało poznaczone było licznymi ranami, które nie zostały jeszcze opatrzone, pokryto je tylko jakimś lekko żółtawym mazidłem. Matt zastanowił się, co to za medykament, i niemal wyczuł pragnienie Sandry, by jak najszybciej zająć się chorym. Nie był jednak pewien, czy potrzebuje on pomocy.

Jego oczy były czyste i przytomne, co mogło świadczyć, że nie odczuwa silnego bólu ani nie gorączkuje. Z namaszczeniem uniósł dłoń i odwzajemniwszy pozdrowienie, z szerokim uśmiechem wyrzucił z siebie kilka sylab. Tylko tyle, jednak bez wątpienia chciał przekazać w ten sposób coś ważnego. Adar wskazał na niego z szacunkiem.

- Keje-Fris-Ar - powiedział i lekko skłonił głowę. Pozostali kotowaci powtórzyli jego gest. - U-Amaki ay Mi-Anakka ay *Salissa* - dodał takim tonem, jakby wyliczał zaszczytne tytuły.

- Wydaje mi się, że to gość, który tu rządzi - szepnęła Gray, nie tyle do Matta, ile do reszty grupy. - A ten drugi to pewnie jego czarownik czy inny papież.

Mimo powagi sytuacji Matt omal nie parsknął śmiechem, słysząc tak kuriozalne porównanie.

- Chce pan nas wszystkich zabić, bosmanie? - spytał przez zaciśnięte zęby, nie odwracając głowy. - Jeśli tak, to wystarczy zapewne jeszcze jeden podobny komentarz.

- Przepraszam, szefie - odparł speszony Gray. - Ale moim zdaniem moglibyśmy im nawet bajki recytować i nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

- Pewnie nie, ale mogą nie być zadowoleni, gdy ktoś z nas zacznie się śmiać, słysząc imię ich bóstwa albo wodza. Gęba na kłódkę!

- Aaa... Tak jest, sir!

- Ależ oni są szpetni - szepnęła Jarrik-Fas, krewniak Kejego i dowódca gwardii *Salissy*. - Prawie nie mają sierści, a ich skóra jest chorobliwie biała.

- Wczoraj, gdy nam pomogli, ich wygląd nie miał znaczenia - mruknął Adar kącikiem ust,

podczas gdy obie grupy mierzyły się spojrzeniami. - I chyba zgodzicie się ze mną, że wciąż nie ma?

Jarrik chrząknął, ale w tonacji sugerującej, że zgadza się z przedmówcą.

- Gri-kakka też były wczoraj sympatyczne, skoro pożerały naszych wrogów - stwierdził. - Ale poza tym nie tęsknimy za ich towarzystwem.

- Racja - przyznał Adar. - Gdyby jednak bezogoniaści chcieli nas zaatakować, już by to zrobili. Wiemy, jak potężną bronią dysponują. Zachowują się jednak przyjaźnie.

- Niewątpliwie są uzbrojeni - rzekł Jarrik - chociaż nie mam pojęcia, co to właściwie za broń. Można powiedzieć, że chociaż pokazują gest puste dłoni, nie należy go traktować dosłownie.

Adar milczał. Widział, że Keje po cichu zasięga opinii dwóch najlepszych doradców.

- Nie można zaprzeczyć - odezwał się - ale być może wśród nich ten gest to bardziej metafora. Coś wyrażającego intencje. Że nie chcą użyć broni przeciwko nam, chociaż poza tym są do tego gotowi.

- Metafora albo coś jeszcze innego - warknął Keje, odzywając się po raz pierwszy. - Ale ten, który wygląda na ich przywódcę, naprawdę ma puste dłonie. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby z nim porozmawiać. Poza tym, czy gdybyśmy udawali się na ich statek, towarzyszyłbyś mi nieuzbrojony, Jarrik?

- Nie panie, na pewno nie - odparł Jarrik. - Chociaż wobec ich magii to pewnie i tak bez znaczenia.

Bezogoniaści też wymieniali półgłosem jakieś uwagi i Adarowi przeszło przez myśl, że mają one podobny charakter. Długie przedmioty, które musiały być bronią, trzymali na paskach przewieszonych przez ramię, co sugerowało, że nie zamierzają od razu ich użyć. Niemal wszyscy coś mówili, najwięcej zaś jeden, który miał znacznie mniej sierści na głowie niż inni i był chyba największy z całej grupy. Ich twarze wykrzywiały się w grymasach, które musiały chyba zdradzać targające tymi istotami emocje. W sumie zrozumiałe, skoro nie mieli ogonów ani wielkich oczu, którymi mogliby mrugać. Ich uszy też były za małe, żeby cokolwiek wyrazić.

Potem odezwał się jeszcze jeden, trochę niższy od innych i długowłosey. Proporcje budowy sugerowały, że może to być osobnik rodzaju żeńskiego, trudno to było jednak zweryfikować z uwagi na masę odzieży, którą wszystkie te istoty nosiły.

- Zwoje nic o nich nie wspominają? - spytał Keje.

- Nie jestem pewien - zawahał się Adar. - Jest w nich wzmianka Siska-Ta o bezogoniastej rasie, która dawno temu pożegłowała na Wschód. Tyle że ich statki wyglądały całkiem

inaczej. Miały żagle podobne do tych, których używają grikowie. - Odchylił głowę, żeby sobie przypomnieć relację zapisaną w Pierwszych Zwojach. Uczył się jej jako młody adept sztuki kapłańskiej. Została zapisana w martwym języku, którym skreślono najstarsze zapiski. Kapłani uczyli się go z pokolenia na pokolenie, w końcu był to język starożytnych, którzy jak nikt znali się na gwiazdach.

- „I w najdłuższym z długich dni, gdy Słoneczny Brat najwyżej wznosi się na niebie, uwolnili swój okręt i pozęglowali na wschód, prosto w pustkę Morza Wschodniego” - wyrecytował i uśmiechnął się, dumny ze swej pamięci. Rzadko zdarzało mu się mówić w języku starożytnych. Spojrzał na bezogoniastych i zauważył z zaskoczeniem, że przestali rozmawiać i wszyscy wpatrują się w niego z napięciem. Ten mało porośnięty stał wręcz z otwartymi ustami. Inny, z trochę ciemniejszą skórą, podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha. Przywódca zrobił nagle wielkie oczy i spojrzał na swego rozmówcę tak, jakby coś nim wstrząsnęło, i powoli pokiwał głową. Ten ciemniejszy przeniósł spojrzenie na Adara.

- Czy to... wasza mowa? - spytał w pradawnym języku Zwojów.

Keje aż podskoczył ze zdumienia. Adar zemdlał.

Matt stał na mostku i przyglądał się uszkodzeniom wielkiego statku. Razem płynęli w kierunku NNE. Niespiesznie, rozwijając góra cztery węzły, ponieważ jednostka lemurów w obecnym stanie i przy słabym wietrze nie mogła rozwinąć większej prędkości. Obok kapitana stali bosman, McFarlane i Larry Dowden. Reszta obsady zajmowała się swoimi sprawami, ale po cichu, żeby słyszeć słowa dowódcy i czym prędzej przekazać je dalej. Matt dobrze wiedział, że na każdym okręcie działa poczta pantoflowa, ale tym razem mu to nie wadziło. Rozumiał, że wszyscy są głodni jakichkolwiek nowin.

- Łacina - mruknął Gray. - Kto by się spodziewał?

Matt tylko pokiwał głową.

- Ale jakim cudem? - zastanawiał się McFarlane. - Skąd mogą ją znać?

- Skądkolwiek ją znają, bardzo nam to pomoże - stwierdził kapitan. - Nawet jeśli u nas zna ją tylko paru ludzi. A jak do tego doszło, też nie mam pojęcia. Może Bradford albo porucznik Shinya zdołają z czasem to ustalić.

Courtney Bradford, porucznik Shinya i porucznik Tucker oraz cały oddział ochrony zostali na resztę dnia na pokładzie statku lemurów, otrzymawszy wyraźny rozkaz, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tych stworzeniach. No i pomóc im, na ile zdołają. Gdy nabrali pewności, że nie ma się czego obawiać, Matt postanowił wrócić na *Walkera*. Prawie nie znał łaciny, nijak nie mógł więc uczestniczyć w rozmowach, pamiętał za to o przeciwniku, który

wciąż mógł się kręcić w pobliżu, i wolał czym prędzej znaleźć się na swoim stanowisku.

- Ciekawe było to, co powiedzieli o grikach - powiedział. - Chociaż tak naprawdę wciąż niewiele o nich wiemy. Lemury chyba zresztą też. Poza tym, że jaszczury nigdy wcześniej nie atakowały w ten sposób.

- Ważniejsze, że lemury wydają się doceniać to, co dla nich zrobiliśmy - rzekł Gray i uśmiechnął się. - Gdy ten ich Adar doszedł do siebie, ledwie dał nam dojść do słowa.

- Chyba rozumie pan trochę łacinę, bosmanie? - spytał Dowden.

Gray parsknął.

- Nie tyle rozumiem, ile rozpoznaję na słuch. Moja matka była katoliczką i trochę mnie nauczyła. Spanky powinien lepiej znać łacinę, bo u niego oboje rodzice byli katolikami. No i spotykał się na Filipinach z mnóstwem katolickich dziewcząt!

- Owszem, jestem katolikiem - potwierdził Spanky, spoglądając na bosmana spod zmrużonych powiek. - Nie odróżniam jednak łaciny od greki - dodał z nieśmiałym uśmiechem. - Nie próbowałem nawet niczego rozumieć. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że nasz Japoniec może ją znać!

Gray spojrział na Matta.

- Właśnie, kapitanie - przyznał. - Co z nim? Mało też nie padłem na pokład, gdy się odezwał. Czy to naprawdę dobry pomysł, żeby go tam zostawić? Owszem, dał słowo, ale to ciągle wróg. I jakim cudem zna łacinę?

- Nie mam pojęcia, ale Bradford też ją zna, i to chyba lepiej, będzie więc miał oko na naszego gościa. Poza tym sędzę, że porucznik poważnie traktuje swoją obietnicę. No i co mógłby zyskać, zdradzając nas teraz?

- Nie wiem - mruknął ponuro Gray. - Ale to Japoniec. Może nie potrzebuje żadnego powodu, żeby zdradzić.

Matt i reszta wachty czekali już na lunch, gdy łódź wioząca pozostałych ludzi z oddziału wysłanego na wielki statek podeszła do burty. Kapitan niecierpliwił się, ciekaw, czego jeszcze dowiedzieli się na wielkim statku. Kiedy weszli na pokład, od razu zorientował się, że kilku brakuje. Bradford stanął przed nim pierwszy. Nie zaszalował i wyglądał na zmęczonego, chociaż zadowolonego.

- Gdzie porucznik Tucker? - spytał natychmiast Matt. - I porucznik Shinya oraz dwóch matów artylerzystów?

Bradford machnął ręką.

- Zapewniam pana, że nic im nie jest - odparł. - Porucznik Tucker została, żeby zajmować

się rannymi. Jak pan pamięta, otrzymała na to pańską zgodę. Mają bardzo wielu rannych - dodał z ponurą miną Australijczyk. - Obawiam się, że z połowę stanu, w tym wiele dzieci i starców. Co najmniej jedna czwarta zginęła w bitwie. To musiała być straszliwa walka. - Z kieszeni na piersi wyciągnął zapisaną kartkę. - Oto lista potrzeb spisana przez porucznik Tucker.

Matt przyjął kartkę i bez słowa podał ją Alanowi Lettsowi.

- Ponadto Japończyk został na ochotnika - ciągnął Bradford - żeby tłumaczyć. Swoją drogą to niezwykle. Nie mam pojęcia, co mogło skłonić Japończyka do nauki łaciny... Na pewno go o to spytam. A obaj marynarze, Silva i... ten drugi, zostali, żeby chronić pannę Tucker, chociaż nie przypuszczam, żeby cokolwiek jej groziło. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych jest tutaj bardzo lubiana i wszyscy odnoszą się do nas życzliwie.

Mattowi decyzja Sandry wcale się nie spodobała, musiał jednak przyznać, że ogólnie rzecz biorąc, postąpiła słusznie i nic złego nie powinno z tego wyniknąć. Wręcz przeciwnie. Co innego Dennis Silva. On mógł narobić kłopotów.

- Trudno - powiedział.

- Rozmawiał pan z nim? - spytał Dowden Australijczyka. - To znaczy nieoficjalnie?

- Tak, trochę. Moja łacina nie jest najwyższej próby i rzadko jej używam. W naszych czasach prawie nie ma po temu okazji, chociaż przy moich prywatnych zainteresowaniach jest mi niezbędna. Wie pan, że każde zwierzę i każda roślina mają łacińską nazwę? Oczywiście, że pan wie. - Z wdzięcznością przyjął butelkę cennej coli i upił łyk. - Właśnie. Jest trochę różnic, zwłaszcza w wymowie. W sumie jestem zdumiony, że przy ich budowie ust w ogóle mogą wydawać ludzkie dźwięki. Odkryłem, że nauczyli się łaciny ze źródeł pisanych. Nic dziwnego - ustna tradycja nie przetrwałaby wieków.

Matt chciał już spytać o te źródła pisane, ale porucznik McFarlane go uprzedził.

- Od jak dawna ją znają?

- Nie wydaje mi się, żeby używali jej na co dzień. Zna ją tylko niewielka grupa, jakby kasta czy sekta. Ich społeczeństwo dzieli się na szereg takich grup, zależnie od podziału pracy, podobnie jak w wypadku naszej obsady maszynowni czy załogi pokładowej. Tyle że u nas to kwestia przydziału, u nich zaś sposobu życia. Zauważyłem, że dzielą się na trzy główne grupy, jednak relacje pomiędzy nimi są dość złożone... - Matt spojrział na niego pytająco, jakby naprawdę był ciekaw tych szczegółów. Australijczyk zawahał się, ale skinął głową. - Przede wszystkim są ci, którzy zajmują się zagłami. Oni nazywają je skrzydłami. Przypominają topmenów z naszej historii. Potem jest zasadnicza grupa mieszkańców statku, który oni nazywają Domem. W tym wypadku Domem Salissy albo po prostu *Salissy*. Nie

mam pojęcia, co to dokładnie znaczy, może chodzi o Dom Naszego Ludu. - Zamrugał i potarł nos. - Tworzą oni Klan kadłuba, który jest najliczniejszy. Zajmuje się wszystkim, co nie wymaga żeglarskich umiejętności. Jego członkowie parają się ciesiołką, łowią ryby, uprawiają ogrody i tak dalej. To z tej grupy wywodzą się zwykle ich wodzowie. Trzecia kasta to nawigatorzy, których tutaj nazywają kapłanami Niebios. Jest ich niewielu, ale cieszą się wysoką pozycją. Wyznają religię opartą na boskości słońca, księżyca i innych ciał niebieskich, co wydaje mi się w tym wypadku całkiem naturalne. Nie miałem czasu wgrzyźć się w to głębiej, ale powód tego stanu rzeczy wydaje mi się jasny. Chodzi o nawigację! I łacina też ma z tym związek. Dlatego właśnie się jej uczą.

Matt pokręcił głową. Miał wrażenie, że coś mu umknęło. Może dlatego, że Bradford chaotycznie relacjonował sprawę. Zasadniczo już do tego przywykł, czasem jednak gubił się i bardzo go to irytowało. Odchrząknął.

- A dokładniej to dlaczego? - zapytał.

- Chodzi o te zwoje. Zostały spisane w starożytnym i świętym języku. Adar był wielce zdumiony, że nim władamy. Może poza tym mają jakiś własny pisany język, ale nie wiem. Może nie.

- Czym są te zwoje?

- To coś jak nasza Biblia. Jest tam ich mit o początku ludzkości, są nakazy etyczne. Na podstawie kilku wzmianek skłonny byłbym sądzić, że przypomina Stary Testament.

- Dorozumiewam z tego, że owe zwoje spisane zostały właśnie po łacinie? - spytał Matt, opanowując zniecierpliwienie.

Bradford spojrzał na niego tak, jakby miał przed sobą najbardziej tępego ucznia w klasie.

- Oczywiście! - rzekł. - O to właśnie chodzi! Sądziłem, że dawno już pan zrozumiał. To nie tylko ich Biblia, ale również podręcznik nawigacji. Właściwie tablice nawigacyjne. Dlatego właśnie kapłani muszą uczyć się łaciny, chociaż tutaj jest jeszcze bardziej martwym językiem niż u nas.

- Może dlatego jest ich tak niewielu - dodał szyderczo Gray.

Bradford zgromił go spojrzeniem.

- To rodzi ważne pytanie - powiedział Letts. - Łacina jasno dowodzi, że mieli już kiedyś kontakt z ludźmi. Wcześniej podejrzewaliśmy o to grików. Ich statki przypominają nasze sprzed paruset lat. Ale kiedy spotkali ludzi ci tutaj? Chyba dawno, skoro tak ich zaskoczył nasz widok. I ciekawe, czy nauczyli się łaciny na przykład od Rzymian czy raczej od osoby w rodzaju obecnego tu pana Bradforda. Kogoś, kto miał własne powody, żeby to zrobić. Może nawet dla kawału...

- Owszem, intrygująca sprawa - przerwał mu Matt. - Sam chciałbym znać odpowiedź. Nie tylko dla zaspokojenia ciekawości. Jest jeszcze jeden powód, może nawet ważniejszy. Zgodzę się, że do tego spotkania musiało dojść za życia poprzednich pokoleń, ale skoro ludzie kiedyś się tu pojawili, i nie zdarzyło się to przed wiekami, to niewykluczone, że jeszcze tu są. Jeśli tak, może uda nam się ich odnaleźć. - Odchrząknął znacząco. - Zauważył pan, jak nasi ludzie zareagowali na widok samiec lemurów? Z czasem ta frustracja będzie narastać. Jeśli gdzieś tutaj są jeszcze inni ludzie, musimy ich odszukać już choćby z tego powodu. Poza tym musimy się przygotować na pewne komplikacje.

- Naprawdę? - spytał Bradford. - Jakie?

- Proszę tylko pomyśleć. Jakiś czas temu, zapewne przed setkami lat, zjawił się tutaj ktoś, kto spisał te zwoje albo nauczył miejscowych łaciny na tyle, że sami zdołali je spisać. Potem oparli na nich swoją religię. Teraz zaś, całkiem nagle, pojawiają się jacyś obcy, którzy nie tylko ratują ich przed wrogami, ale jeszcze przemawiają w świętym języku zwojów. Na razie zapewne nie dotarło to do wielu, zwłaszcza jeśli tylko garstka zna łacinę, ale z czasem się rozejdzie i kto wie, w jakiej sytuacji nas to postawi. - Westchnął. - Może być i tak, że uznają nas za bogów. I co wtedy zrobimy?

Na sporządzonej przez Sandrę liście dominowały igły i nici chirurgiczne. Wynikało to z charakteru ran odniesionych przez obrońców. W większości były to głębokie cięcia, chociaż trafiła też na kilka ran od strzelb. One niepokoiły panią porucznik najbardziej. Zeszyte ran po broni białej nie było problemem, trudniej było jednak pomagać w wypadku obrażeń wewnętrznych. Nie znała przecież anatomii tych istot i nie wiedziała, czy mimowolnie nie zaszkodzi pacjentom.

Musiała jednak próbować. Gospodarze opierali całe leczenie na smarowaniu rannych maścią, którą wcześniej widziała na ich wodzu. Trudno było orzec, co miała w składzie, zdawała się jednak mieć działanie przeciwbólowe i antybakteryjne. Możliwe, że była nawet skuteczniejsza niż sulfonamidy. Z drugiej strony nie zapobiegała utracie krwi i nic nie dawała w wypadku przeciętych jelit czy mięśni. Na dodatek lemury nie radziły sobie z opieką nad tak wielką liczbą rannych. Ewidentnie była to dla nich nowa sytuacja, nigdy wcześniej nie stoczyli też tak dużej bitwy. Sandra miała nadzieję, że pasta naprawdę działa tak, jak jej opisano, i nie będzie później trzeba zbyt wiele amputować.

Niewielka była to jednak pociecha wobec widoku całej połaci pokładu pokrytej równo ustawionymi noszami, z których większość przesiąkła już krwią. Owszem, Tucker była pielęgniarką, i to dobrą, wykształciła się jednak w okresie pokoju i aż do teraz nie miała

bliższego kontaktu z wojną. Choć biegła w chirurgii, niż oficjalnie tego od niej wymagano, z prawdziwymi ofiarami walk nie miała wcześniej do czynienia. Czuli się przytłoczeni różnorodnością poważnych obrażeń, z którymi się spotykała. Wiedziała, że nowoczesna broń jest pod tym względem jeszcze groźniejsza, ale stojący oko w oko i kaleczący się z rozmysłem przeciwnicy potrafili zadać sobie rany, jakich pocisk karabinowy nigdy by nie spowodował. Widok był straszny i porucznik Tucker zaczęła tracić pewność siebie. Zrozumiała w pewnej chwili, jak musiał poczuć się Matt, gdy los rzucił go w środek wydarzeń, do stawienia czoła którym nigdy go nie szkolono. Dał sobie jednak radę. Może nie rozumiał, co właściwie się dzieje, sprawiał jednak wrażenie kogoś panującego nad sytuacją. Jeśli chodzi o dowodzenie, intuicyjne podejście Matta sprawdziło się idealnie. Czy na polu medycyny może być podobnie?

Podczas gdy zszywała kolejne rany, Adar wraz ze swoją ekipą kręcił się w pobliżu, rozmawiając z Shinyą. Wielu miejscowych, młodych i starych, uważnie obserwowało jej samarytańskie wysiłki, jednak nikt inny nie próbował pospieszyć ofiarom z pomocą. Tucker zszywała długie cięcie na nodze młodego tubylca, który cały czas patrzył na nią wilgotnymi oczami, wstała i próbowała odgarnąć przedramieniem włosy z twarzy. Niewiele jej z tego przyszło - włosy lepiły się do spoconej skóry. Nie czekając na polecenie, Silva zmoczył gałgan w spirytusie i podał jej, żeby mogła zetrzeć krew z dłoni. Szczególnie trudno było usunąć ją spod paznokci, co z każdą chwilą bardziej ją irytowało.

- Poruczniku Shinya? - odezwała się. - Czy byłby pan tak uprzejmy i dał sygnał na nasz okręt, by kapitan Reddy przysłał farmaceutę Millera i porucznik Theimer? Potrzebujemy pomocy. Tu jest jeszcze ze dwustu pacjentów, na których nie zdążyłam dotąd nawet spojrzeć.

- Zastanowiła się chwilę. - Proszę też spytać Adara, dlaczego jego ludzie nie pomagają. Być może nasze metody są dla nich nowością, ale widzą chyba, co robię. - Wskazała ręką dokoła.

- Muszą rozumieć, że sama nie zdołam wszystkim pomóc!

- Oczywiście, pani porucznik. - Tamatsu odwrócił się i powiedział kilka zdań po łacinie. Po chwili przetłumaczył odpowiedź Adara. - Mówi, że nie wiedział, że chce pani ich pomocy. Wśród jego ludu panuje zwyczaj, że ci, którzy są biegli w jakiejś sztuce, strzegą swoich metod. Powiedział, że ich uzdrowiacze, którzy licznie panią teraz obserwują, chętnie spróbowaliby pani sposobów, ale boją się panią urazić.

Tucker z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Jedyne, co mnie obraża - powiedziała - to że pozwalają swoim cierpieć z powodu głupiego przesądu.

- Zatem powiem mu, że gotowa jest pani podzielić się z nimi swoim doświadczeniem.

Ostatniego pani zdania raczej im nie przetłumaczę. Jestem przekonany, że dla nich nie jest to głupi przesąd.

- To niech powie im pan jeszcze, żeby przynieśli wrzątku, i dowie się, czy mają jakiś alkohol, który nada się do odkażania. Mój zapas zaraz się skończy.

Shinya skłonił głowę i ponownie zwrócił się do wodza lemurów. Sandra odniosła wrażenie, że ich konwersacja nie przebiega zbyt płynnie, ponieważ obaj wspomagali się gestykulacją i powtarzali niektóre zdania, Adar jednak pojął szybko, o co chodzi. Ku wielkiemu zdumieniu Sandry niebawem przyniesiono kociołek z gorącą wodą i wyglądający na ceramiczny dzban z płynem, który roztaczał charakterystyczną woń. Musieli trzymać to gdzieś blisko, pomyślała. Sami by już ich użyli, gdyby mnie tu nie było. Z zażenowaniem stwierdziła, że odruchowo uznała gospodarzy za prymitywnych i zachowała się jak przedstawiciel wyższej cywilizacji. Być może to ona ich uraziła. Masz nauczkę, warknęła na siebie w duchu. Muszę uważać, w przeciwnym razie mogą mnie nawet zabić.

- Co to jest? - spytała, wskazując na dzban.

- Spirytus uzyskany na drodze fermentacji z jakichś owoców - wyjaśnił Tamatsu. - Nazywają go sip.

- Spytaj ich, żółtku, czy to da się pić - rzucił nagle zainteresowany Silva.

Tamatsu spojrział na niego uważnie i trwało chwilę, nim się odezwał.

- Macie Silva - zaczął lodowatym tonem. - Dałem waszemu kapitanowi słowo, że zachowam się honorowo. Wciąż jednak jestem oficerem Japońskiej Marynarki Wojennej i jeśli nie będziecie się do mnie zwracać z szacunkiem należnym mojemu stopniowi, a przynajmniej z szacunkiem, będę zmuszony zmienić swoją postawę. Chyba nie sądzicie, że kapitan Reddy ucieszy się, jeśli odmówię pomocy, ponieważ jeden z jego ludzi okazał się nieuprzejmy.

Silva poczerwieniał i otworzył usta, żeby rzucić coś o „śmierdzącym Japońcu”, ale zdołał się opanować i zacisnął zęby. Górował nad Tamatsu niczym Goliat nad Dawidem, ale oficer tylko mu się spokojnie przyglądał, czekając na reakcję. Po chwili mat uspokoił się i rozciągnął usta w uśmiechu.

- Niech mnie, ale ma pan jaja. Ja... panie poruczniku. - Uniósł dłoń i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Bez obrazy, ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Tamatsu skłonił się lekko.

- Porucznik Tamatsu Shinya - powiedział.

Silva oddał ukłon, ale nagle spoważniał.

- Nie będę zwracał się do pana „sir”, jak do innych oficerów - oznajmił. - Ostatecznie jest

pan Japończykiem. Ale będę pamiętał, że jest pan porucznikiem Shinyą, jeśli panu na tym zależy.

- To wystarczy, macie Silva - odparł Tamatsu, uśmiechając się lekko. - A co do pytania, to tak, oni to piją, chociaż trudno powiedzieć, że się zadziałyby na was.

- Skoro tak, to chyba powinienem sprawdzić! - wykrzyknął Silva. - W imię nauki czy chociaż z obowiązku.

Sandra chrząknęła znacząco.

- Wasze obowiązki, macie Silva, obejmują pomaganie mi i trzymanie się z dala od kłopotów - powiedziała. - Bez wątpienia nie zalicza się do nich próbowanie miejscowych alkoholi. Czy jasno się wyraziłam?

Silva spojrzał na dzban, oblizał wargi i zmusił się do przyjęcia pogodnego wyrazu twarzy.

- Tak jest, sir... to znaczy ma'am - odrzekł. - Całkiem jasno!

Porucznik Tucker wyprostowała plecy, które zaczynały już ją boleć od ciągłego pochylania się nad rannymi. Rozejrzała się i zobaczyła, że miejscowi uzdrowiacze weszli już między rzędy noszy. Leczyli na swój sposób, kilku jednak zaczęło przyglądać się uważnie założonym przez nią szwom. Wymieniali przy tym podnieconym tonem jakieś uwagi, poruszając ogonami i mrugając oczami, co musiało mieć jakieś znaczenie. Odeszła na bok, pod płotek ciągnącego się wkoło całego statku ogrodu. Pas upraw był szeroki na jakieś piętnaście stóp, nad nim wznosił się pomost, który w regularnych odstępach zmieniał się w kratownicę dającą światłu dostęp do roślin. W tym akurat miejscu były rośliny rodzące gruszkowate owoce, których nazwę już słyszała: polta. Miały barwę czerwonych winogron i jak one rosły w kiściach skrytych między mięsistymi żółtozielonymi liśćmi.

Obok stał miejscowy, który był bardzo wysoki jak na lemura, wydawał się też bardziej muskularny. Nosił jedynie czerwoną spódniczkę poplamioną krwią, która płynęła z jego kilku ran. Po chwili przyklęknął przy nieruchomej rannej płci żeńskiej. Podniósł jej głowę, żeby mogła wypić coś z kubka. Przy niej leżały zakrwawione miecz i topór.

Kobieta bez dwóch zdań też brała udział w walce. Sandra spotkała się z tym już wcześniej, chociaż za pierwszym razem, gdy rozciąwszy tunikę rannej, ujrzała pod nią piersi, przeżyła ciężki szok. Szybko jednak zauważyła, że dla Adara i pozostałych nie było w tym nic niezwykłego, i doszła do wniosku, że nie chodzi tu o jakiś akt wielkiego poświęcenia w potrzebie, ale zwykłą praktykę. Potem przestała zastanawiać się nad miejscową emancypacją, przynajmniej w kontekście walki, i zaczęła to traktować podobnie jak brak u lemurów tabu nagości, chociaż Silva i jego koledzy ciągle byli pod wrażeniem i nie szczędzili pieprznych uwag.

Tym razem jednak odniosła wrażenie, że troska okazywana rannej kobiecie podyktowana jest czymś więcej niż braterstwem broni. W gestach lemura dostrzegła coś bardzo ludzkiego. Podeszła bliżej. Adar omawiał coś z Shinyą i innym jeszcze lemurem, który do nich dołączył. Strzelający oczami na boki Silva nie od razu zauważył, że pani porucznik się oddaliła, ale po chwili skwapliwie za nią pospieszył. Widząc ją, miejscowa kobieta spróbowała się unieść, ale Sandra pokazała jej gestem, że nie trzeba, i przyklękła obok. Mężczyzna i Silva stanęli po obu stronach rannej.

Pobieżnie zbadawszy kobietę, Sandra stwierdziła, że nie ma ona zagrażających życiu obrażeń. Najgorsza była rana nad lewym okiem, pokryta już maścią, którą miejscowi szafowali równie hojnie jak ludzie merkurochromem. Możliwe było zatem wstrząśnienie mózgu albo ogólny szok, co pasowałoby do rozbieganego spojrzenia. Pani porucznik uśmiechnęła się i wskazała na siebie.

- Sandra - przedstawiła się.

Kobieta zamrugała gwałtownie i spojrzała na mężczyznę, który też wpatrywał się teraz z przejęciem w ludzką pielęgniarkę. Po chwili skrzywiła się lekko, uniosła rękę i poklepała się po piersi.

- Risa - powiedziała i wskazała na swojego towarzysza. - Chack.

Shinya i Adar dołączyli do grupy.

- Porucznik Tucker, Adar mówi mi, że ich wódz, Keje-Fris-Ar, bardzo chce znowu z nami porozmawiać - powiedział Japończyk.

Sandra kiwnęła głową i wstała, poklepawszy łagodnie Risę po dłoni.

- Dobrze, ale niech pan poprosi Adara, żeby przekazał tej dziewczynie, że życzę jej powrotu do zdrowia. - Spojrzała na Silvę. - Proszę tu poczekać na Millera i Theimer i powiedzieć im, żeby nie podejmowali żadnych działań na własną rękę, tylko pomagali miejscowym. Jasne?

- Tak, panno... porucznik Tucker. Przekażę to Reavisowi i Newmanowi, ale ja i Felts pójdziemy z panią.

- To naprawdę nie jest konieczne.

- Może nie, ma'am, ale i tak pójdziemy - odparł z uśmiechem Silva. - Kapitan rzuciłby nas rybom na pożarcie, gdyby się dowiedział, że straciliśmy panią z oczu.

Sandra westchnęła.

- Trudno. Jeśli naprawdę musicie wlec się wszędzie za mną, nie będę protestować, ale oczekuję, że postara się pan nie przeszkadzać.

- Oczywiście - odparł Silva z niewinną miną. - Trudno o spokojniejszego człowieka ode

mnie.

Tuż przed zmrokiem motorówka dobiła po raz ostatni tego dnia do burty *Walkera* i pasażerowie weszli ostrożnie na pokład. Pierwsze pojawiły się pielęgniarzki, przy tym Theimer wyglądała, jakby cierpiała na katatonię, i Tucker musiała jej pomagać. Scott uznał, że coś musi z nią być bardzo nie tak. Theimer nie odezwała się ani wcześniej, ani teraz, jednak gdy płynęli na statek lemurów, nie wydawała się jeszcze tak zatrzaśnięta. Z drugiej strony co go to obchodziło. Obecnie zależało mu jedynie na tym, żeby opuścić wreszcie pokład motorówki. Tkwił w niej cały dzień, znosząc ataki srebrzystych ryb, wśród których pojawiały się też jakieś większe drapieżniki. Mimo przerażenia zdołał się opanować i nie ostrzelał ich z *thompsona*, cały czas trzymał go jednak pod ręką. Owszem, kochał morze, jednak żeglowanie w czymś, co miało ledwie dwadzieścia sześć stóp długości, po falach, pod którymi czaiły się całe stada krwiożerczych bestii, wyczerpało go nerwowo. W końcu pogonił *Silwę* i ostatni ruszył na górę.

- Spokojnie, Tony, co się tak spieszysz? - warknął *Silva*.

- Niech cię diabli! Jak nie zaczniesz żwawiej przebierać łapami, słowo daję, że skopię cię do wody!

Silva zaśmiał się, wszedł na pokład i podał sternikowi rękę.

- To tylko ryby, Tony - rzekł. - Tak jak rekiny. Rekiny nigdy nie robiły na tobie wielkiego wrażenia.

Na górze Scott odsunął się jak najdalej od burty. *Silva* i *Felts* poszli za nim. *Miller*, *Reavis* i obie pielęgniarzki zeszli pod pokład, podczas gdy reszta podciągała motorówkę na żurawikach. Scott wziął od *Feltsa* papierosa i zapalił go drżącymi dłońmi. Kilka razy zaciągnął się głęboko, unikając spojrzeń kolegów.

- Całe życie spędziłem na wodzie - powiedział w końcu. - Wychowałem się w Fort Lauderdale, gdzie miałem czternastostopową żaglówkę, którą wypływałem na otwarty ocean, zanim jeszcze ojciec uznał, że jestem dość duży, żeby sięść za kółkiem. - Znowu się zaciągnął. - Miałem trochę przygód. Zła pogoda, rekiny... - Spojrzał na *Silwę*. - Aż do teraz nie bałem się wody. Do dzisiaj. Zaczęło się, gdy pierwszy raz płynąłem na *Mahana* po szkwale. A teraz mnie dopadło. Nawet te potwory, co dorwały *Marvaneya*, nie przerażają mnie tak, jak te srebrzyste bestie obijające się ciągle o burty. - Ponownie spojrzął na *Silwę*. - To nie są żadne ryby, *Dennis*, i to nie jest już Morze Jawajskie. Już nie. Wiedziałem to od początku, ale nie od razu do mnie to dotarło. Teraz wiem, że to nie jest woda, jaką znałem. To śmierć, chłopaki. Gdybym miał wybór, nigdy więcej nawet bym się do niej nie zbliżył.

Mówił to spokojnie, ale chyba głośniejszym głosem, niż mu się wydawało, bo w pewnej chwili usłyszeli śmiech Deana Laneya, który stał oparty o łańcuch relingu przy wyrzutni torpedowej numer jeden. Rosły mat krzywił się przy tym złośliwie.

- To już przechodzi ludzkie pojęcie - rzekł. - Sternik, który boi się wody! Pewnie teraz zrobisz wszystko, żeby przejść do maszyn i więcej jej nie oglądać. Jak powiem chłopakom, jaki z ciebie tchórz, nikt nie zechce cię pod pokładem...

Scott zazgrzytał zębami, ale Silva go powstrzymał i sam podszedł z uśmiechem do słupka relingu zaraz obok Laneya. Wyjrzał za burzę.

- Ale z ciebie chwat! - powiedział. - Nie widziałem jeszcze, żeby ktoś z maszyn stał tak blisko wody. Mam nadzieję, że reling wytrzyma. Nie chciałbym, żebyś wypadł.

- Co z tobą, Silva? - obruszył się Laney. - Ostatecznie, czego bym się bał, to wypaść za bu...

Krzyknął, gdy Dennis nagle wyciągnął bolec zabezpieczający łańcuch. Laney poleciał w próżnię i głucho uderzył o burzę. Silva wyjrzał za nim. Marynarz wisiał kilka metrów nad falami i z przerażeniem na twarzy zaciskał dłonie na łańcuchu.

- Kurwa! - rozdarł się. - Pomocy! Niech cię, Silva! Pomocy!

- Ale przecież ty się nie boisz wody, Dean - powiedział spokojnie Silva.

Ktoś podbiegł do burty. Felts i Scott złapali za łańcuch i zaczęli wciągać Laneya.

- Mogłeś go zabić, kurwa! - nie wytrzymał Scott.

Po chwili jeszcze inni pomogli ratować niedoszłą ofiarę.

- Mogłeś go zabić - powtórzył za kolegą Felts.

Silva wzruszył ramionami, pochylił się i spojrzał Laneyowi w oczy.

- To prawdziwy pech, że przerdzewiała zatyczka puściła właśnie teraz - powiedział. - Trzeba naprawdę uważać, gdzie się człowiek opiera. Albo co mówi - dodał ze śmiechem. - Miałeś sporo szczęścia, Laney, że nie puściłeś łańcucha. Strach pomyśleć, co by było, gdybyś wpadł do wody.

Sandra starannie umyła ręce w małym zlewku w kabinie, która należała wcześniej do Ellisa i Rogersa, teraz jednak została przydzielona Tucker i Theimer. Karen siedziała obojętnie na krześle. Kolana miała złączone, spojrzenie wbite w ułożone na nich dłonie. Były pokryte zaschlą krwią, która utworzyła czarne obwódki przy paznokciach. Równie brudne było jej ubranie, nawet włosy miała pozlepiane od strumienia krwi z przeciętej tętnicy.

- Dobrze się dzisiaj sprawiłaś, Karen - powiedziała Sandra, co było poniekąd prawdą. Podwładna wykonywała wszystkie polecenia i szyła rany jak należało, nie potrafiła jednak zrobić nic nadto. Spojrzenie miała przy tym martwe, jakby działała wyłącznie na autopilocie.

Wyraz twarzy nie zmienił się nawet teraz. Sandra westchnęła.

- Umyj się i idź potem z Millerem do przedniej izby chorych zobaczyć co z marynarzem Davisem. Ja muszę coś sprawdzić. - Theimer nie odpowiedziała, nie poruszyła się. - Karen? - Zaniepokojona Sandra wytarła dłonie i spojrzała pielęgniarce w oczy. - Karen?! - krzyknęła i potrząsnęła kobietą, złapawszy ją za ramiona. - Odezwij się!

W obojętnych oczach wezbrały dwie wielkie łzy, które potoczyły się po twarzy, gdy Theimer zamrużyła, wracając na chwilę z miejsca, w którym się ukryła. Poszukała spojrzenia Sandry, ale nie znalazła w nim tego, co chciała, zacisnęła więc powieki i jęknęła boleśnie.

- Chcę do domu!

Sandra opadła na kolana i objęła młodszą kobietę jak mogła najmocniej.

- Boże, ja też! - powiedziała.

Potem obie rozplakały się głośno i przez długie chwile nie mogły powstrzymać łez. W końcu wyczerpana Sandra odsunęła się trochę i położyła dłoń na twarzy Karen.

- Ja też chcę do domu - szepnęła. - Nie wiem tylko, jak tam wrócić. Z jakiegoś powodu jesteśmy właśnie tutaj i musimy dać sobie radę. Potrzebuję cię. Sama się z tym wszystkim nie uporam. Ten okręt cię potrzebuje, ci ludzie też. Obie musimy być silne. Musimy się trzymać.

- Ale to takie trudne.

- Wiem. Uwierz mi, że wiem. Sama o mało się dzisiaj nie poddałam. Ale chyba rozumiesz, że nie możemy tego zrobić. Nie stać nas na ten... luksus. Zbyt wielu ludzi na nas liczy i oni mają tylko nas. - Łagodnie odgarnęła brudne włosy z twarzy Karen. - Lepiej ci? - Dziewczyna nieznacznie skinęła głową i Sandra ścisnęła jej dłonie. - Dobrze, że wróciłaś. Nie zostawiaj mnie więcej. Jestem pierwszym lekarzem pokładowym na okręcie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie dam ci przepustki!

Karen parsknęła śmiechem. Lekko histerycznym, jednak po chwili energiczniej kiwnęła głową.

- Dobrze - rzekła Sandra. - A teraz umyj się i zajrzyj do Davisa. Nie chcemy, żeby całe to towarzystwo pomyślało, że jesteśmy słabe.

W milczeniu patrzyła, jak Karen doprowadza się do ładu. Po chwili wyszła i Sandra poczuła, jak napięcie ją opuszcza. Ukryła twarz w dłoniach.

- I ja też chcę do domu - szepnęła, omal nie pozwalając sobie na płacz.

Na razie musiała jednak porozmawiać w Mattem, co mogło trochę potrwać, chociaż najchętniej zwinęłaby się zaraz na koi i zapadła w głęboki letarg bez marzeń sennych. Potrząsnęła głową, zmoczyła zszarganą szmatkę i wytarła twarz ze śladów krwi i łez. Potem stanęła przed małym wentylatorem i poczekała, aż strumień powietrza osuszy jej skórę i może

trochę odświeży. Po chwili pomyślała jednak, że nie ma się co oszukiwać. Przeczesała brudne włosy i wyszła.

W mesie zastała już kapitana, Bradforda, Graya, Dowdena, Shinyę i sierżanta Aldena, któremu chyba ulżyło, że jeńiec wrócił wreszcie pod jego opiekę. Marine z każdym dniem miał się lepiej, ale na razie nie nadawał się jeszcze do dalszych wypraw. Z drugiej strony bardzo poważnie traktował swoje obecne obowiązki i nie krył rozczarowania, gdy nie pozwolono mu popłynąć na statek lemurów.

Wszyscy wstali i przywitani Sandrę uśmiechami. Porucznik Shinya skłonił się uprzejmie. Z konieczności musieli słyszeć płacz Karen i sporo z rozmowy obu kobiet. Sandra od razu zauważyła, że za uśmiechem Matta kryje się głębsze zakłopotanie niż u pozostałych. Gdy usiedli, zjawiał się Juan, który nalał jej kubek coraz ściślej racjonowanej kawy. Była tak cienka, że od herbaty odróżniał ją tylko zapach. Zwykle podczas takich spotkań Juan zaraz znikał z mesy, jednak od szkwału często zostawał, Matt zaś go nie wypraszał. Uznał, że przekazywanie załodze różnych informacji przez plotki może być lepsze niż codzienne publikowanie komunikatów.

- Mam nadzieję, że ma się pani dobrze - powiedział Bradford. - Pan Shinya opowiedział nam o pani niestrudzonej walce.

Sandra uśmiechnęła się słabo.

- Nie jestem niestrudzona - powiedziała. - To był ciężki, ale ciekawy dzień. Chyba im pomogliśmy, a i sami sporo się od nich nauczyliśmy.

Pozostali przytaknęli z powagą.

- Owszem - rzekł Matt. - Nie podobało mi się jednak, że postanowiła pani zostać.

- Nie byłam sama. Porucznik Shinya został ze mną.

Matt spojrział z zainteresowaniem na japońskiego oficera.

- Zostało z nami jeszcze kilku uzbrojonych ludzi - dodał Tamatsu. - Pani porucznik była całkiem bezpieczna. Jeden z pańskich podwładnych... chyba Silva... to naprawdę niezwykle marynarz. Gdyby pani porucznik cokolwiek groziło, pewnie byłby gotów w pojedynkę zniszczyć tamten statek, żeby ją uratować.

Gray chrząknął.

- Silva! - westchnął. - Moje wieczne utrapienie.

Wszyscy, włącznie z Tamatsu, skwitowali to śmiechem.

- Cóż, musi pani umierać z głodu - powiedział kapitan. - Juan? Każ przysłać jakieś kanapki, jeśli łaska.

Filipińczyk skłonił się i szeptem przekazał polecenie za zasłonę oddzielającą mesę od

kubryku. Nie wiedział, kto czeka po drugiej stronie, zaraz jednak wrócił na swoje miejsce pod ścianą z taką miną, jakby był absolutnie pewien, że polecenie zostanie wykonane.

- Proszę nam powiedzieć, czego dotyczyła ta druga rozmowa z Kejem - poprosił Matt. - Porucznik Shinya stwierdził, że pani powinna to przekazać, ja jednak chciałbym usłyszeć relacje obojga.

Sandra pokiwała głową.

- Był osłabiony od ran, ale chyba w pełni przytomny - powiedziała. - Ich medycyna stoi na wyższym poziomie, niż wcześniej sądziłam. Nie mają pojęcia o drobnoustrojach, ale potrafią zapobiegać infekcji. Oczyszczają rany gorącą wodą i dbają o higienę. Nie wiem dlaczego, pewnie doświadczenie ich tego nauczyło. - Spojrzała na swój uszargany mundur i zmarszczyła nos, czym wywołała kilka uśmiechów. - Stosują też maść o działaniu antybakteryjnym i zapewne miejscowo znieczulającym. Poprosiłam o próbkę i dali mi jej cały dzbanek. Nie wiem, czy nada się też dla ludzi, ale chcę wypróbować ją na marynarzu Davisie, o ile otrzymam zgodę. Ciągłe gorączkuje i może stracić nogę. Co najmniej nogę.

Bradford pokiwał entuzjastycznie głową, Matt jednak spojrzał zamyślony na pielęgniarkę. Gray wyraził swoje wątpliwości wprost:

- Wiem, że oni ufają temu smarowidłu, wszyscy je tam dostają, ale czy wiemy, jak dokładnie działa?

Sandra uniosła dłoń.

- Wszystko świadczy o tym, że mają podstawy wierzyć w jego uzdrawiające właściwości. Odnieśli wiele ran od pogryzienia. Często gorszych niż Davisa. Oni jednak traktowali je tą maścią i mieli tych rannych za lżejsze przypadki.

Matt podrapał się w ucho.

- Czy tak samo działa na grików? - zapytał. - Czy ich rannym też ją dają i uważają, że zadziała?

Sandra spojrzała na swoje dłonie, splecione na blacie stołu.

- Nie ma rannych grików, kapitanie - powiedziała po chwili.

- Ale... to niemożliwe! - wtrącił się Australijczyk. - Nie mogli wszyscy zginąć. Muszę obejrzeć chociaż jednego żywego!

- Na statku lemurów nie został ani jeden żywy grik, panie Bradford - stwierdziła Sandra. - Wielu popełniło samobójstwo, widząc, że kompani ich zostawiają. Zwykle skakali do morza. Reszta... też się tam znalazła, choć nie z własnej woli.

- Nie ma zatem jeńców - zauważył cicho kapitan.

- Nie ma. Ten świat nie zna kompromisów. Jest się zwycięzcą i żyje dalej, albo

pokonanym, który ginie. Z drugiej strony lemury nie toczą wojen między sobą albo starcia między ich statkami są tak rzadkie, że nikt z moich rozmówców nie słyszał o czymś takim. Owszem, mają swoje konflikty, ale najwyraźniej nie zabijają się z ich powodu, chyba że czasem w pojedynkach. Grikowie jednak to ich pradawny wróg, tak o nich mówią. Ta wojna trwa od początku czasu, chociaż takie krwawe bitwy jak ta nie zdarzają się często. Tyle że ostatnio jest ich coraz więcej. Po raz pierwszy też lemury zostały zaatakowane przez aż sześć jednostek grików jednocześnie.

- Wiadomo, dlaczego to robią? - spytał Matt.

- Niezbyt. To ich odwieczny wróg, lemury jednak słabo ich znają. Jedno, co pewne, to że ilekroć grikowie zobaczą przeciwnika, zaraz go atakują. Taki jest porządek rzeczy. Walczą jak szaleńcy i nie biorą jeńców. Lemury też więc tego nie robią. - Sandra przetarła piekące oczy. - Nie wiem nawet, czy znają pojęcie poddania się. - Spojrzała na porucznika Shinyę i nagle pojęła, jak podobnie wygląda ta sprawa w jego kulturze. Tyle że w odróżnieniu od mieszkańców cesarskiej Japonii tubylcy nie byli na pewno militarystami i nie marzyli o ekspansji. Zauważyła, że inni też zerknęli z namysłem na Japończyka, Tamatsu zniósł to jednak ze stoickim spokojem.

- Cóż - westchnął Matt. - Może jednak ta wojna, w którą daliśmy się wciągnąć, nie potrwa aż tak długo. - Rozległy się przyciszone śmiechy. - Gdyby lemury uważały, że grikowie to ich największy problem, chyba byłyby lepiej przygotowane. Już teraz dobrze walczą, a przy odrobinie starań atak nawet tuzina jaszczurzych okrętów nie byłby dla nich groźny.

Zebrani pokiwali głowami, ale Sandra nie była tego taka pewna. Od czasu Pearl Harbor wiedziała, że świadomość zagrożenia to jedno, a właściwe przygotowania - drugie.

- Ale rozmawialiśmy o maści - stwierdził Matt. - Proszę spróbować, jeśli Davis się zgodzi. Nie zmuszę go, żeby przyjął lekarstwo obcych.

Sandra kiwnęła głową. Rozumiała, że kapitan wolałby najpierw sprawdzić działanie maści na rannym griku, ale jeśli działała ona tak, jak lemury sugerowały, powinna uratować nogę Davisa. Porucznik robiła, co mogła, ale trapiąca marynarza infekcja nie ustępowała i nic nie wskazywało na to, żeby jego układ odpornościowy, mimo wytrwałej walki, miał szansę odnieść zwycięstwo.

Bradford pochylił się nad blatem.

- Domyśla się pani, dlaczego nasze pierwsze spotkanie z ich wodzem było tak krótkie? - spytał. - Z początku wydawał się bardzo ożywiony, potem jednak nagle oklapł i wyproszono nas za zewnątrz. To ich normalne postępowanie?

- Nie sądzę - odparła Sandra. - Możliwe, że go zaskoczyliśmy. Był zapewne pod wpływem jakichś leków, być może także usypiających. Oni również wierzą w uzdrawiającą moc snu, niemniej... - Urwała nagle i wskazała palcem na zasłonę.

Matt zrozumiał jej gest.

- Sierzancie Alden, proszę oczyścić teren.

- Sprawdzę, co z kanapkami - odezwał się Juan. - Proszę się nie fatygować, sierzancie.

Gdy steward wyszedł, wszyscy ponownie spojrzeli na Sandrę.

- Dziękuję, kapitanie - rzekła. - Chcę tylko powiedzieć, że ich lekarstwa miewają silne działanie uboczne. Sama omal nie upiłam się oparami płynu, który dostarczyli mi do odkażania. Ta maść też otępia. Sądzę, że ich wódz dostał coś krótko przed naszym przybyciem i gdy to coś zaczęło działać, czym prędzej nas wyprowadzono. Chyba nie chciał, żeby potężni sojusznicy zobaczyli go niedysponowanego.

- Tak? - zdumiał się Bradford. - Żeby nasi politycy tak się o to starali.

Ktoś zapukał w gródź za zasłoną.

- Kanapki, kapitanie - odezwał się Juan.

- Dziękuję. Wejdz, proszę - odparł Matt.

Filipińczyk pojawił się w środku i przytrzymał zasłonę dla mesowego, który wniósł cały półmisek kanapek z szynką. Postawił go na stole i obaj czym prędzej wyszli. Wszyscy zaraz sięgnęli po jedzenie, a Sandra aż przytknęła oczy, wgryzając się w świeży chleb z plasterkiem wędliny i odrobiną musztardy. Dopiero teraz pojęła, jak bardzo jest głodna. Miejscowi proponowali jej poczęstunek, który jednak dziwnie pachniał, toteż wolała nie ryzykować. Tylko Silva zjadł trochę jakiegoś purpurowego owocu i porucznik zastanowiła się, jak dzielny marynarz teraz się czuje.

- Zatem o czym rozmawialiście podczas drugiego spotkania? - ponownie spytał Matt.

Sandra czym prędzej przeżuła i przełknęła kęs.

- Zasadniczo chodziło o jedno - odpowiedziała. - Ich wódz chce nas odwiedzić. Tutaj, na pokładzie. Już jutro.

- Płyną! - oznajmił całkiem niepotrzebnie Dowden, gdy łódź odbiła od statku i ruszyła w ich kierunku. Jakaś godzinę wcześniej ujrzeli ze zdumieniem, jak cała sekcja burty wielkiego żaglowca otwiera się na zewnątrz. Z szerokiej na dwadzieścia stóp furty wyłoniła się niska i szeroka barka. W środku musiał się znajdować wypełniony wodą basen, ponieważ jednostka po prostu wypłynęła wraz załogą z trzewi olbrzyma. Potem zaczęła jeszcze na

najważniejszych pasażerów, którzy zostali opuszczeni na wielkiej platformie z głównego pokładu.

- Niezła sztuczka - mruknął McFarlane, drapiąc rzadką brodę. Po chwili spojrział przepraszająco na kapitana. - Myślę o inżynierskiej stronie zagadnienia. Świetna sprawa, gdy trzeba zwodować łódź, ale na pewno wymaga wyjątkowo starannego projektowania kadłuba.

- Ich zdolności to coś, o czym nie mamy chyba jeszcze pojęcia - stwierdził Bradford. - Sama budowa takiego kolosa... - Wzruszył ramionami.

Kapitan Reddy doprowadził się tego ranka do ładu i wbił w reprezentacyjny biały mundur, podobnie zresztą jak pozostali oficerowie. Próbowali też jakoś przygotować na tę wizytę okręt, jednak nic nie mogło zamaskować śladów niedawnych przejsów. Oczywiście nawet najbardziej pedantyczny admirał zrozumiałby sytuację, jednak tym razem chodziło o jeszcze ważniejszych gości. Załoga też ubrała się jak mogła najlepiej, jednak jeszcze na początku wojny większość ufarbowała białe mundury w kawie, której to barwa z czasem wyblakła i teraz miast porządnego khaki miały kolor brudnej szmaty. Pomysł z kawą rzucił ktoś, kto uważał, że nieprzyjacielscy piloci nie dostrzegą tak łatwo okrętu, jeśli marynarze nie będą się nosić na biało. Był to jeden z tych panikarskich rozkazów, których wiele wydano po Pearl Harbor i ataku na Cavite. Matt mógł tylko osobno ustawić ludzi w białych i osobno w burych mundurach, sugerując w ten sposób, że taki podział czemuś służy. Niestety nie miał pojęcia, na ile lemury przywiązują znaczenie do takich spraw.

- Proszę zebrać oddział przy burcie - powiedział do bosmana. - Zaraz do was dołączę. - Poprawił pas, tym razem cięższy niż zwykle, bo z balastem broni bocznej. Tak palnej, jak i białej. Ta ostatnia przyprawiała go o ból głowy, ale cóż. Podczas inspekcji magazynku oficerskiego Campeti odkrył w nim skrzynkę z kordami wzór 1918. Zapewne zostały przyjęte wraz z okrętem. Łącznie były ich cztery tuziny, wszystkie chyba nowe, z błękitnoszarymi pochwami. Gray zaproponował, żeby oficerowie przypasali je, aby lemury mogły zobaczyć znajomy im rodzaj broni. Nie chodziło o wrogi gest, tylko zasygnalizowanie, że obie rasy mają jednak ze sobą coś wspólnego.

Matt opierał się z początku, wiedząc, że w razie walki kilka lemurów mogłoby bez trudu poradzić sobie z całą kadrą oficerską *Walkera*. Bradford wsparł jednak bosmana, dodając, że dobrze będzie przypomnieć gościom, że ludzie też są wojownikami. Wówczas kapitan uległ, nakazując wszystkim oficerom, oraz oczywiście bosmanowi, przypasanie tych cholernych kordów. Jemu samemu było łatwiej, miał bowiem o wiele lżejszy pałasz z Akademii, który wcześniej przypiął tylko dwa razy: na promocję i ślub jednego z przyjaciół. Wiedział, że to dobra stal, ostatecznie kosztowała go trochę, nie wyobrażał sobie jednak, żeby kiedykolwiek

miał dobyć tej broni w walce. Spojrzał na coraz bliższą barcę, ponownie poprawił pas i szedł na pokład.

Niewielki *Walker* zataczał się ciężko nawet na małej fali i wejście na niską burtę nie należało do łatwych. Mogło naruszyć godność gości, zwłaszcza w porównaniu z ich majestatycznym wyruszeniem w drogę. Nic nie można było jednak na to poradzić, chociaż z drugiej strony goście wyglądali na dobrze wyposażonych przez naturę do wszelkich wspinaczek. Gray był już na posterunku, stojący obok Bashear uniósł gwizdek do ust.

- Mam to zrobić? - spytał szeptem, gdy pierwszy gość przeskoczył na klamry.

- Nie, do cholery - warknął bosman. - Jeśli ktokolwiek przywita ich gwizdkiem na *Walkerze*, to będę ja.

Przenikliwy dźwięk gwizdka bosmańskiego zaskoczył lemura w rudobrunatnym płaszczu, ostatecznie jednak gość tylko przekrzywił głowę i przyjrzał się bosmanowi z zaciekawieniem. O wiele bardziej zdumiało go, gdy wszyscy witający zasalutowali. Przybysz miał na sobie tę samą co poprzednio zbroję łuskową, tyle że wyczyszczonej i wypolerowanej. Pod spodem nosił długą, błękitną koszulę wyszywaną w fantastyczne ryby i ozdobioną na mankietach łuskami, naszytymi jak cekiny. Okalającą jego głowę grzywę zebrał na karku i związał błękitną wstążką. Na stopach miał sandały z ochraniaczami sięgającymi prawie do kolan. Z biegnącego przez pierś pasa zwieszał się miecz o szerokim ostrzu, przywiązany do pochwy kolejną jasną kokardą. Gość ogarnął spojrzeniem kominy ze snującymi się zeń smugami dymu, czterocalówkę nad swoją głową, pobliskie wyrzutnie torpedowe.

No i ludzi. Przeskakiwał spojrzeniem z twarzy na twarz, aż rozpoznał Matta. Wtedy uśmiechnął się niemal po ludzku, spojrzał ku rufie i zasalutował powiewającej tam banderze. Potem obrócił się do kapitana i zasalutował ponownie.

- Poszę o zhode na wejście na pokład, syr - powiedział jak umiał najlepiej.

Rozległ się pomruk marynarzy i Matt dopiero po chwili się zorientował, że chyba jednak dobrze byłoby zamknąć usta.

- Wczoraj ćwiczyliśmy to całą godzinę - szepnęła stojąca za nim Sandra. - Bardzo mu zależało. Powiedział, że jest nam to winny.

Niebawem cały oddział lemurów, liczący co najmniej tuzin osobników, znalazł się na pokładzie. Ku zdumieniu, ale i radości załogi niszczyciela, wszyscy po kolei salutowali banderze i kapitanowi. Było to bardzo poruszające - goście nie mogli znaleźć lepszego sposobu, żeby przekonać do siebie gospodarzy. Wszelkie podejrzliwe spojrzenia zniknęły jak ręką odjął i gdy Matt zaprowadził przybyszów pod nadbudówkę na śródokręciu, gdzie przygotowano poczęstunek, zapanowało autentyczne braterstwo broni. Na blacie z

nierdzewnej stali nie czekało wiele specjalów, ale obsada mesy też dała z siebie wszystko. Obok przekąsek stały karafki z mrożoną herbatą.

Keje nie wahał się długo. Spróbował napoju i uśmiechnął się z zadowoleniem. Czy chodziło o herbatę, czy o cukier, dość że pozostali szybko poszli w jego ślady, bez skrepowania zachwalając nowy smak. Gray zaproponował Adarowi colę, jednak gdy kapłan pociągnął spory łyk, zaraz bąbelki poszły mu z nosa. Załoga ryknęła śmiechem, Gray zaś poklepał krztuszącego się nieszczęśnika i też upił napoju, żeby nikt go nie zaczął podejrzewać, że chce otruć gościa.

Keje stał w tym czasie nad talerzem z kiełbaskami wiedeńskimi, podanymi w formie nadzianych na wykałaczkę koreczków z serem. Obok czekali Bradford i Shinya, gotowi tłumaczyć. Japoński oficer był w tym samym granatowym mundurze, w którym został podjęty z morza, tyle że wyczyszczonym i w miarę naprawionym. Matt zastanawiał się wcześniej, czy nie ubrać jeszcze innych w coś granatowego, żeby samotny wyjątek nie rzucał się tak w oczy, ale uznał, że załoga nie byłaby zadowolona, on zaś nie chciał dolewać oliwy do ognia.

- Panie Bradford - powiedział. - Może zostanie pan tutaj jako tłumacz dla załogi, porucznik Shinya zaś pójdzie ze mną? Chcę zaprosić jego ekscelencję... pana kapitana...

- Poprawnie należy go tytułować u-amaki - podpowiedział Shinya.

- Dobrze. Może kapitan u-amaki i paru jego oficerów chcieliby zwiedzić okręt?

Japończyk zwrócił się do Adara, jednak Keje zamrugał na zgołę, zanim jeszcze przekład dobiegł końca. Wódz nie władał starożytną mową, jednak dzięki długiej i bliskiej znajomości z kapłanem sporo z niej zrozumiał.

- Chętnie - powiedział Shinya. - Tyle że on nazywa się Keje-Fris-Ar. U-amaki to tytuł. Tak jak „kapitan”.

- Aha.

Keje, Adar, Jarrik i Chack poszli za wodzem bezogoniastych. Towarzyszył im jeszcze jeden gruby marynarz i istota żeńska oraz osobnik o ciemniejszej skórze, który wyróżniał się też kolorem odzieży. Reszta grupy została na pokładzie, popijając wspaniałą zimną napój wraz z innymi bezogoniastymi.

Chack bardzo się cieszył, że obcy okazali się tak przyjaźni, nie był jednak pewien, dlaczego włączono go do delegacji. Oczywiście był to zaszczyt, ale czemu go zawdzięczał? Czy temu, że dzielnie stawał w walce i odniósł w niej rany? Jeśli tak, to miał z czego być dumny, choć przecież nie dokonał więcej niż wielu innych. Oznaczało to też, że Keje nie

żywi do niego urazy za zaszłości z Selassą. Z drugiej strony czy jeszcze mu na niej zależało?

Gruby otworzył jakiś ciężki właz w pokładzie i skinął do środka.

- On nazywa się Gray - przełożył po chwili Adar. - Mówi, że tam płoną ognie, które poruszają ten statek.

Keje pochylił się i zajrzał, ale zobaczył jedynie ciemność. Gdy wszyscy już spojrzeli, Gray zamknął właz i zabezpieczył go, kręcąc jakimś kołem. Ruszyli do schodni wiodącej na wyższy pokład.

Cały czas jednostka bezogoniastych kołysała się mocno na fali i Chack zaczynał już czuć się nieswojo, chociaż od maleńkości pływał po morzu. Nie rozumiał, jak te dziwne istoty mogą to wytrzymać, zwłaszcza że wewnątrz tego statku było niezwykle ciasne. Sam zwykł spędzać czas na skrzydłach i nie chciałby nigdy tego zmieniać.

Potem jednak jego myśli wróciły do Selassy. Wyglądało na to, że została bez partnera. Saak-Fas zaginał. Nikt go nie widział po tym, gdy przekazał wiadomość, że Chack ma ruszać do walki. Nie było go też wśród rannych czy poległych, co znaczyło, że musiał wypaść za burtę. Chack nie myślał go oplakiwać, nie był też jednak pewien, czy Selassa jeszcze go obchodzi. Nie przypominał już tamtego młodzieńca, którym nie tak dawno się zabawiała, z którego zakpiła. Wszystko się zmieniło. Jego mieszkanie w przedniej wieży zostało zniszczone, dotąd silna zawsze Risa była ranna i słaba. Jego matka wyszła z walki bez szwanku, ale klan nie miał teraz domu. Niemniej zwyciężyli grików i spotkali tych dziwnych... jak oni się nazywali? Ameri-ka-nów. Świat stanął na głowie i nic nie miało już być takie samo.

W zamyśleniu omal nie wpadł na Jarrika, który przystanął nagle na głośno reagującej na każdy krok schodni. Inni też się zatrzymali, patrząc na Kejego, który skrobał pazurem czerwony nalot na poręczy. Potem posmakował go i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Tak jak sądziłem, to jest metal - szepnął. - Ale smakuje jak... To niemożliwe.

- Tak, panie - potwierdził cicho Adar. - To żelazo.

Chack nie wierzył własnym uszom.

- Ale przecież to wszystko nie może być z żelaza?

Adar zamrugnął zirytowany jego pytaniem.

- Ale jest - rzekł. - Musi być, skoro rdzewieje. A teraz ani słowa na ten temat, póki nie pozwolę - dodał. - Pomyślą, że jesteśmy nieuprzejmi.

Keje mruknął coś, czego Chack nie dosłyszał, i dołączył do czekających na górze gospodarzy.

Gray bardzo przeżył zainteresowanie lemurów rdzą na poręczy. Uznał to za osobistą zniewagę i sugestię, że zaniedbuje swoje obowiązki. Shinya, który spędził z nimi więcej czasu, zrozumiał jednak, o co chodzi.

- Właśnie odkryli, że pański statek jest z żelaza, kapitanie - wyjaśnił.

- Chyba tak. Zapewne to dla nich duży wstrząs. Mają żelazną broń, znają więc ten metal, ale żeby zrobić z niego coś tak wielkiego... Ale od początku musieli się domyślać, że *Walker* jest z metalu. Ciekawe, na co stawiali wcześniej?

- Zapewne na miedź - mruknął Gray. - Zresztą kto to wie? Trudno ich zrozumieć. Na przykład ja nie mam pojęcia, jak udało im się zrobić tak wielką łajbę z drewna.

- Trafna uwaga - stwierdził kapitan i zaprosił gestem gości na mostek, gdzie Keje ogarnął spojrzeniem wykonującą swoje obowiązki zmianę wachty, zerknął przez okna, na koło sterowe i masę różnych dziwnych urządzeń i rur wkoło. Przeznaczenia wielu z nich się domyślał, nawet jeśli nie wiedział, jak dokładnie działają. Pojmował, że stąd właśnie steruje się tym żelaznym statkiem. Zdumiała go skrajna funkcjonalność, brak jakichkolwiek ozdób, ale wiedział już, że te niezwykle istoty są nader praktyczne. Jako marynarz doceniał piękno tego, co widział.

Potem spojrzął na stół nakresowy i z biciem serca poznał również to, co na nim leżało. Adar także. Przerażony kapłan rzucił się na blat i prawie się na nim położył, zerkając na bezogoniastych i oczekując ich reakcji. Nie okazali specjalnego niepokoju. Adar chciał zwinąć mapy, ale coś przezroczyściego powstrzymało jego pazury. Magia? pomyślał gorączkowo. Dlaczego nam to zrobili? Czy chcą z nas zakpić, tak swobodnie pokazując wszystkim Święte Zwoje? Zamrugął do Kejego, okazując, jak bardzo jest zmieszany. Stojący za wodzem gospodarze nie wyglądali na wrogo usposobionych. Ich oblicza zdawały się wyrażać tylko zdumienie, ciekawość i troskę. Żaden z nich nie sięgnął po broń. Może więc jednak z niego nie kpili. Może chodzi o coś innego. Może zrozumieli? Czy to możliwe?

Keje podszedł doń i spojrzął na mapy.

- Ich zwoje są lepsze niż nasze, Adarze - powiedział krótko. - Musisz bardziej nad sobą panować. Jesteśmy ich gośćmi. Mogą nas uznać za nieuprzejmym - dodał.

- Za dużo sobie pozwalasz, Keje-Fris-Ar! - warknął kapłan. - Owszem, te zwoje są niezwykle precyzyjne, ale nie o to chodzi. Mówiąc tak, zbliżasz się do apostazji!

- Mylisz się. Nie jestem kapłanem, ale wiedza to wiedza, niezależnie od tego, skąd pochodzi. Czy jest apostazją docenienie wagi tego zwoju? Sam przecież widzisz, że umieścili go na honorowym miejscu. Czy apostazją będzie przypuszczenie, że oni są tacy sami jak tamci pradawni bezogoniaści, którzy przekazali nam swoją wiedzę? Sam przecież

spekulowałeś na ten temat.

Matt i inni obserwowali tę scenę w milczeniu. Pojęli już, że mapa przedstawiająca Bariere Malajską spowodowała właśnie coś w rodzaju kryzysu. Goście bez wątpienia wiedzieli, co widzą, dlaczego jednak Adar tak się wzburzył?

- Ale tutaj każdy może go zobaczyć... - powiedział kapłan. - Nie powinno tak być!

- A gdzie jest napisane, że tylko kapłani mogą znać sekrety Niebios? - spytał łagodnie Keje. - Wśród naszego ludu tylko oni potrafią odczytywać Zwoje, ponieważ nikt inny nie zna pradowej mowy. Każdy może jednak zostać kapłanem, prawda? Sam wiele razy widziałem Zwoje, sam mi je pokazywałeś. Potrafię nawet odczytać niektóre napisy. Czy to czyni ze mnie kapłana czy apostatę?

Adar zamyślił się. Oczywiście Keje miał rację. Wciąż jednak cała ta sytuacja bardzo mu się nie podobała. Westchnął.

- Przepraszam, panie. Ja po prostu.. - Wbił spojrzenie w dobrze mu znane zarysy wysp widoczne na zwoju i nagle zauważył coś jeszcze. - Opisy! One nie są w pradowej mowie!

Keje przyznał mu rację. Niektóre nazwy wysp były bardzo podobne albo nawet identyczne, ale wiele napisów wyglądało całkiem obco.

- Może to ich własny język? - zastanowił się głośno.

Adar przytaknął. Amerykanie wciąż ich obserwowali i chyba trochę się już niecierpili. On sam na ich miejscu już by zareagował.

- Spytaj ich, skąd przybyli - poprosił go Keje. - Może odpowiedzą.

Adar odchrząknął i odezwał się w pradowej mowie. Gdy ciemniejszy przetłumaczył, kapitan Matt też spojrzał na zwój. Adar wiedział, że domu bezogoniastych na pewno na nim nie znajdzie. Miał przed sobą przedstawienie blisko jednej trzeciej znanego świata, sam był na wszystkich tych wyspach, a przynajmniej blisko nich przepływał. Matt chyba zrozumiał pytanie, bo najpierw wskazał palcem na punkt, gdzie się obecnie znajdowali, potem przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i patrząc na Adara, wskazał palcem na pokład.

- Są ze wschodu! - rzekł kapłan. - Spoza naszego świata, pewnie nawet zza Wielkiego Pustego Oceanu! Tego, którego żaden statek nie przepłynie.

- Nie zauważyłeś, bracie - odezwał się Keje z nutą sarkazmu - że ten statek płynie, dokąd tylko chce?

Ludzie byli zaintrygowani zachowaniem Adara, ale daleko im było do niepokoju. Za ważniejsze uznali, że obcy rozpoznali mapy, i dało to okazję do znalezienia kolejnych punktów wspólnych.

- Proszę ich spytać, skąd oni są - poprosił Matt Shinyę. Po chwili rozmowy Adar wskazał na wielki statek i kapitan skinął głową. - Oczywiście, rozumiem. Ale chociaż żyjecie na wodzie, musi być jakieś miejsce, gdzie budujecie swoje jednostki? - Zwracał się wprost do kapłana, podczas gdy porucznik tłumaczył wszystko słowo w słowo. - Drzewa rosną tylko na lądzie, tylko na lądzie możecie pozyskać miedź czy liny. Muszą istnieć jakieś osady, przy których dokonujecie napraw.

Gdy Shinya skończył mówić, obcy spojrzeli po sobie. Chyba nie mieli ochoty odpowiadać.

Matt rozumiał ich wątpliwości, ale uważał, że jako wybawca ma prawo do takich pytań. Ostatecznie jasno dowiódł swoich dobrych intencji. Lemury musiały dojść do podobnych wniosków, bo w końcu Keje pochylił się nad mapą. Adar coś powiedział, ale wódz pokręcił głową i położył palec na stole.

- Jezu Chryste! - jęknął Gray. - Borneo!

Inni załoganci zaszemrali zdumieni. Matt spojrzał nad ramieniem niższego lemura na mapę.

- Chyba już tam byliśmy - stwierdził. - Balikpapan.

Obrócił się do Kejego.

- Wasz statek jest uszkodzony - powiedział. - My też musimy dokonać napraw i niebawem powinniśmy uzupełnić zapasy. Poza tym grikowie mogą wrócić. Chcielibyśmy wam towarzyszyć do tej wyspy, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Potem pokazał im jeszcze szybko resztę okrętu. Ominął tylko maszynownię i główne uzbrojenie. Kilkakrotnie mijali działa oraz wyrzutnie torped i chociaż goście nie kryli zainteresowania, mimo sugestii Bradforda kapitan nie chciał przesadnie podkreślać, że *Walker* jest jednostką wojenną. Uznał też, że nie znając wszystkich jego możliwości, nie będą mogli zdradzić tego innym. Był pewien, że ma do czynienia z istotami dość rozwiniętymi, żeby nie uznawały każdego niezrozumiałego dla nich zjawiska za magię, i tym bardziej nie miał ochoty już teraz wyjawiać wszystkiego. Zwłaszcza dwóch rzeczy: pełnego potencjału bojowego i prędkości maksymalnej niszczyciela.

Niestety, tubylcy nie byli skłonni czekać cierpliwie, aż sam uzna, że może powiedzieć im więcej.

Jarrik-Fas cały czas nalegał, żeby spytać bezogoniastych o broń, która pozwalała tak skutecznie niszczyć grików z dużej odległości. Keje wahał się, wyczuwając, że gospodarze nie palą się do podobnej rozmowy. Adar podchodził do sprawy inaczej. Odkąd ujrział zwoje, zaczął traktować bezogoniastych sceptycznie. Keje wręcz odwrotnie. Dla niego był to znak,

że przybysze są mimo wszystko dość podobni do Ludu. Kapłan jednak zaczął szukać w nich skazy.

- Nie lubię tajemnic - rzekł. - Jeśli nie chcą mówić o swojej broni, co jeszcze mogą ukrywać? - spytał, gdy znowu zbliżyli się do nadbudówki na śródkręciu, gdzie stały dwa działa.

Keje aż zamrugał wzburzony.

- Dopiero co zarzucałeś im, że wystawiają Zwoje na widok publiczny, teraz oskarżasz ich o tajemniczość. Zaprzeczasz sam sobie, bracie.

Adar chrząknął i pokazał zęby w uśmiechu.

- Chyba masz rację, mój panie. Sądzę, że poruszyło mnie, że pozwalają oglądać Zwoje wszystkim, którzy potrafią je zrozumieć. Co gorsza, obawiam się, że tutaj dotyczy to każdego z obecnych na pokładzie. Zwłaszcza że zostały opisane w ich języku. Nikt nie lubi sytuacji, gdy nagle okazuje się niepotrzebny. Nawet pośród obcych.

- Może jednak nie wszyscy je rozumieją. Może tylko ci, którzy są u nich twoimi odpowiednikami - zastanowił się głośno wódz. - Poza tym twoja wiedza nie sprowadza się tylko do umiejętności czytania Zwojów. Jesteś kapłanem. Wątpię, żeby wszyscy oni znali tak Niebiosa jak ty. Zresztą dowiemy się z czasem. Poza tym, jeśli to pobratymcy naszych pradawnych nauczycieli, to oczywiście, że muszą mieć własne Zwoje.

- Czy to znaczy, że oni są bogami? - spytał piskliwie Chack.

- Oczywiście nie! - parsknął Adar. - Jeden jest tylko Bóg, głupcze! Nawet nasi pradawni goście byli tylko zwykłymi śmiertelnikami, którym Niebiosa udzieliły mądrości. Należy ich szanować, ale nie ma co czcić. Ci tutaj są podobnie mądrzy. Czy bardziej niż tamci? Kto wie. Są jednak tylko istotami z krwi i kości.

- Kimkolwiek są, cieszę się, że ich spotkaliśmy - stwierdził Keje.

- Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś o ich broni - nalegał Jarrik.

- Dobrze - uległ Keje. - Skoro musisz, spytaj ich o nią, ale zachowaj takt. Sam bywam nieufny, ale po tym, co stało się wczoraj, gotów jestem nie przesadzać z wnikliwością. Jak dla mnie mogą zachować dla siebie wszystkie tajemnice dotyczące ich uzbrojenia, póki używają go w naszej obronie.

- Pytają o działa, kapitanie. Chcą wiedzieć, jak za ich pomocą niszczymy odległe cele samymi kłębami dymu i głośnym hukiem.

Matt westchnął.

- Nie mogli nie spytać - odpowiedział. - Zdumiewa mnie, że czekali z tym aż tak długo. Hmm. Proszę im powiedzieć, że zasada jest podobna jak przy wielkich kuszach, tyle że

pacisk jest wyrzucany przez gazy powstałe podczas eksplozji i leci tak szybko, że nie można go zobaczyć. - Nie chciał wdawać się teraz w rozważania na temat balistyki. - Trafiając w cel, wiele zniszczeń wywołuje za sprawą prędkości, z którą uderza. Więcej chętnie powiemy im, gdy nauczymy się sprawniej porozumiewać. I proszę dodać, że bardzo ciekawi nas ich uzbrojenie i też gotowi jesteśmy dowiedzieć się czegoś na jego temat. - Kotowaci wpatrzyli się w górujące nad nimi działo numer dwa i mroczny otwór lufy z widocznym bruzdowaniem.

Potem dołączyli do reszty delegacji, która ciągle raczyła się herbatą. Fraternalizacja postępowała bez przeszkód, w czym niedawne wspólne zwycięstwo bez wątplenia odegrało swoją rolę, jednak załoga chyba podobnie przywitałaby każdego, kto nie okazywał wrogości. Zwłaszcza po tym, co przeszła wcześniej.

- Jeśli potrzebujecie pomocy, służymy naszymi cieślami i rzemieślnikami - powiedział Matt i spojrzął na Sandrę. - Nasza ekipa medyczna także jest do waszej dyspozycji.

Porucznik Tucker energicznie pokiwała głową, a Keje zamrugął z akceptacją, gdy Shinya przetłumaczył słowa kapitana.

- Chciałbym zostawić u was jednego z moich podwładnych, żeby zaczął się uczyć waszego języka - powiedział. - Mam nadzieję, że pomoże nam to lepiej się rozumieć i sprawi, że nasza przyjaźń stanie się... łatwiejsza. - Skinął na Chacka. - To on. Chack-Sab-At. Jest nie tylko zdolnym młodzieńcem, niedawno dał się także poznać jako świetny wojownik.

Wódz powiedział to bez ironii i Chack nie wiedział, czy bardziej pochlebia mu taka ocena jego osoby czy rola, którą mu wyznaczono. Chyba że miało to utrzymać go z dala od Selassy. Kilka dni wcześniej byłby tego pewien, teraz nie dałby już za to głowy. W ogóle mało co wydawało mu się obecnie oczywiste.

- Nie zawiodę cię, mój panie - powiedział półgłosem.

- Świetnie - rzekł Keje. - Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić? Wspomnieliście o zapasach. I o naprawach.

- Na razie mamy to co najniezbędniejsze, chociaż bylibyśmy wdzięczni za trochę owoców. - Matt zatoczył ręką półokrąg. - Jak widać, brak tu miejsca na ogród. Poza tym ciekawi mnie, skąd bierzecie tę ciemną substancję, którą uszczelniacie i impregnujecie wasz statek. Czy występuje tam, dokąd się udajemy?

Keje wysłuchał przekładu i bardzo się zdziwił.

- Macie przecieki? Nie wiedziałem, że łącacie je podobnie jak my. Mamy jej sporo, właśnie do tego celu. I jest tam, dokąd płyniemy - dodał z odgłosem, który skojarzył się Mattowi ze śmiechem. - Ona i inne jeszcze substancje wypływają tam z ziemi.

Gdy Tamatsu przetłumaczył odpowiedź, kapitan uśmiechnął się szeroko. Dawno nie

widziano go tak radosnym.

- Pięknie! W takim razie może reflektujecie jeszcze na kubek herbaty?

Przez następny tydzień ekipy robocze krążyły wytrwale między *Walkerem* a wielkim żaglowcem. Jedni mieli przez to pełne ręce roboty, inni nudzili się jak mopsy, podczas gdy niszczyciel zataczał ekonomiczne kręgi wokół sunącego z prędkością trzech do czterech węzłów olbrzyma. Po utracie jednego masztu *Salissa* nie była w stanie płynąć szybciej. Na *Walkerze* pozostawiono rozpalony tylko kocioł numer cztery, co całkowicie wystarczało do czołgania się z prędkością sześciu węzłów. Minimalną, przy której okręt zachowywał sterowność na długiej fali Morza Jawajskiego.

Mattowi wydawało się, że Chack nieustannie jest gdzieś w pobliżu. Nie wchodził w drogę, ale był i obserwował. Większość czasu spędzał jednak z Sandrą, Garrettem i sierżantem Aldenem. Kapitan nie miał czasu, żeby uczyć go angielskiego, inni jednak chętnie wkładali w to sporo wysiłku i Chack z każdym dniem wysławiał się coraz bardziej zrozumiale.

Część ludzi spędzała też sporo czasu na statku lemurów. Bradford praktycznie tam zamieszkał, także udzielając lekcji angielskiego. Niektórzy z kolei zaczynali wtrącać miejscowe słowa, co doprowadzało bosmana do szału. Nie narzekał nigdy, słysząc określenia filipińskie czy chińskie, ale tym razem nie potrafił się pogodzić z sytuacją. Odpuścił, dopiero gdy kapitan powiedział mu, że załoga powinna jak najszybciej poznać mowę lemurów.

Chack sypiał w dziobowym pomieszczeniu załogi, jadał razem z resztą i ogólnie dobrze sobie radził. Przyjęli go niczym zwierzaka pokładowego, maskotkę załogi, jednak gdy zaczął mówić po angielsku, uświadomili sobie, że jest podobny do nich. Chociaż był niski, krzepą nie ustępował zapewne Silvie. Jego status wciąż był niejasny, bo chociaż przestał być maskotką, nie należał do załogi, uznano go jednak za swojego.

W odróżnieniu od niego Shinya ciągle spotykał się z otwartą wrogością, chociaż wielu zaakceptowało jego obecność. Co ciekawe, zawdzięczał to zapewne przede wszystkim Silvie i Aldenowi, którzy nie lubili Japończyka, nauczyli się go jednak szanować. Matt miał nadzieję, że w końcu wyjdzie z tego coś dobrego. Porucznik okazał się bardzo przydatny, nie tylko jako tłumacz. Chociaż nie był torpedystą, pomagał Sandisonowi w naprawie torped. Po prostu lubił maszyny, Bernie zaś polubił Tamatsu. Nie tylko dlatego, że doceniał jego zaangażowanie. Jeśli ktokolwiek miał szansę przełamać lody, oficer z Idaho nadawał się do tego idealnie.

Stojący na mostku Matt spojrzał na zegarek.

- Proszę ogłosić alarm bojowy, panie Garrett - nakazał.

- Aye, aye, sir! Alarm bojowy! Alarm bojowy! - powtórzył oficer podniesionym głosem.

Mat trzeciej klasy Mike Raymond włączył sygnał pokładowy i nałożył słuchawki. Stojący obok Chuck też sięgnął po swoje, zbyt duże na niego. Wyglądał w nich trochę komicznie, uśmiechał się jednak zadowolony i mrugał w sposób znamionujący podniecenie. Matt dowiedział się już od Bradforda, że u lemurów mruganie jest mniej więcej tym samym co poruszanie brwiami czy w ogóle mięśniami twarzy u ludzi. Taki emocjonalny alfabet Morse'a. Ciekawiło go, czy rodzili się z tym, czy musieli się uczyć tej sztuki. Tak czy owak było to bardziej dorzeczne przypuszczenie niż teoria Graya, że wszystkie kocie mały cierpią na tiki nerwowe. Zwłaszcza że poza tym ich oblicza były niewzruszone i nieczytelne.

Chuck zaciągnął wąski rzemień i wspiął się na stanowisko kontroli ognia, które było jego rezerwowym posterunkiem obserwacyjnym. Sposób poruszania się nie zostawiał wątpliwości, że lemur świetnie się bawi. Chwilę później Matt usłyszał pierwsze meldunki o osiągnięciu gotowości. Gdy napłynął ostatni, kapitan uśmiechnął się pod nosem. Żaden rekord, ale przy tylu brakach... pomyślał. Od dnia walki z grikami zarządzał takie alarmy dwa razy dziennie. Ćwiczenia nie tylko urozmaicały monotonną służbę i poprawiały gotowość załogi, ale i przypominały wszystkim, że USS *Walker* wciąż jest okrętem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli reszta tej marynarki była nie wiadomo gdzie.

- Dobra robota, panie Garrett. Proszę przekazać ludziom, że poprawili ostatni czas. Może pan odwołać alarm.

Spanky postukał w miernik ciśnienia na czwórce i coś tam mruknął pod nosem. Harvey Donaghey zameldował się na dole do inspekcji kapryśnego kotła podczas ćwiczeń, ale dotąd nie znalazł niczego niepokojącego. Dwójka była w rezerwie, trójkę wygaszono. Po raz pierwszy, odkąd wyszli z Surabai. Gdy zajrzał do środka, odkrył, że stan cegieł szamotowych pozostawia wiele do życzenia. Wiele z nich obluzowało się chyba od bliskich eksplozji. Podniósł głowę i jak zwykle dostrzegł na wpół skrytych w mroku Myszowatych. Westchnął.

- Numer czwarty jest w porządku - powiedział Isak. - Nie wiem, dlaczego pan go nie lubi. Kiedy będziemy mogli rozebrać trójkę?

- Moglibyśmy już teraz, ale to nie byłoby łatwe - warknął Gilbert. - To robota na czas postoju w Surabai.

- Nie ma już Surabai - powiedział Spanky i Myszowaci zamrugali.

- On powiedział tylko, że tam byłoby najlepiej - mruknął Isak.

Niewiele brakowało, żeby naprawdę się tam wybrali następnego dnia po wizycie

kotowatych na pokładzie. Nie dlatego, żeby naprawdę mieli ujrzeć Surabaję na swoim miejscu, ale na wszelki wypadek. Kapitan zdecydował jednak inaczej. Przede wszystkim chodziło o paliwo, którego nie było co marnować na wycieczki krajoznawcze. Po drugie zaś, jak dowiedział się Bradford, tamta okolica była zamieszкана, jednak nie przez „lud morza”, ale jakiś inny i podobno niekoniecznie przyjazny. Gdyby *Walker* wpłynął niespodziewanie do zatoki, mógłby z tego wyniknąć jakiś kłopot. Ostatecznie nawet na *Salissie* pomyślano z początku, że niszczyciel jest nową jednostką grików. Należało się też liczyć z poważnym nadszarpnięciem morale załogi. Wszyscy znali Surabaję z widzenia i odwiedzenie tego miejsca, które teraz było całkiem inne, mogło wywołać szok.

Jawa jednak była na swoim miejscu. Widzieli ją na horyzoncie. Niemniej nawet z tej odległości mogli poznać, że to całkiem odmienna wyspa od tej, którą zapamiętali. Brakło wkoło niej patrolowców i stawiaczy min, załadowanych bronią i zaopatrzeniem frachtowców. Na brzegach nie rysowały się sylwetki dźwigów portowych, woda i powietrze były zdumiewająco czyste. Nie było też rozpoznawczych łodzi latających PBY, pojawiających się co jakiś czas nad głową, ani dymów z pożarów spowodowanych japońskimi bombardowaniami. Japończyków też oczywiście nie było.

Myszowaci regularnie drażnili Spanky'ego niespodziewanym przeskakiwaniem z tematu na temat. I tym razem nie było inaczej.

- Dlaczego u nas nie ma żadnej kociej mały? - spytał Isak. - Pokładowi dostali swoją, my nie.

- Nikogo nie dostali. To nie maskotki, tylko sojusznicy.

- Co? Jak Angole?

- Podobnie. Poza tym tutaj jest za gorąco. Wiecie, oni mają futra i nie wytrzymałyby u nas.

Myszowaci spojrzeli po sobie.

- Futra? - zdziwili się.

Spanky zerknął na nich krytycznie.

- Nie widzieliście żadnego? - spytał nie mniej zdumiony. - Nawet tego, co jest u nas? - Obaj palacze pokręcili głową. - Ale z was numery! Moglibyście czasem wyjść na górę.

O zmroku Keje stanął wraz z Adarem, Jarrikiem i Kas-Ra-Arem przy nadburciu. Starto już z niego wszystkie ślady niedawnej walki, o której jednak nie dawały zapomnieć poczerniałe szczątki przedniej wieży oraz dym z pieców, którymi odprawiano dusze poległych w Niebiosa. W zwykłych okolicznościach przygotowywano stos pogrzebowy, a cała ceremonia,

choć poważna, była dla uczestników świętem. Ostatecznie zmarły odchodził do lepszego świata i nie było powodu do płaczu. Jednak obecna liczba ofiar i szok wywołany stratą sprawiały, że nawet Adar nie potrafił pocieszyć żywych w swoich mowach. Korzystano więc z pieców, co powodowało, że „wyniesienia” ciągnęły się bez końca, a dym nieustannie przypominał o tragedii. Niezależnie od tego usuwano też szkody i odgłosy pracy pił, młotów i siekier rozlegały się już od wczesnego rana. Niektórzy bezogoniaści wciąż pracowali, chociaż ich wieczorna łódź odpłynęła już jakiś czas temu. Wydawało się, że niczego nie robią połowicznie, także gdy chodziło o konsekwencje przyjaźni.

Keje był im wdzięczny. Stracili tylu silnych młodych ludzi, że bez Améri-ka-nów i ich pomysłów na podnoszenie ciężarów nie mieliby szans szybko uporać się z najpotrzebniejszymi naprawami. Patrzył z podziwem, jak zmontowany z ocalałych belek bom unosi bez trudu wielkie fragmenty zniszczonej wieży. Jej mieszkańcy znaleźli miejsce w siedzibach innych klanów, które i tak cierpiały po walce na brak ludzi do pracy. Keje miał nadzieję, że tego lata uda się stworzyć załóżek załogi nowego pływającego domu, dziecka *Salissy*, jednak obecnie nie było na to żadnej nadziei. Nie mieli dość ludzi i nie było nawet jeszcze wiadomo, czy starczy im sił i środków, żeby odbudować swój statek. O nowym musieli na razie zapomnieć.

W pewnej chwili dostrzegł jeszcze jedną postać, opartą o reling i wpatrzoną w żelazny statek. To była Selassa. Niewiele z nią rozmawiał, odkąd zniknął jej partner, i zastanawiał się, czy go oplakiwała. Saak-Fas nie miał zbyt wiele wdzięku, był jednak młody i zapewne atrakcyjny. No i miał pozycję. Selassa mogła go żałować, chociaż ich znajomość była krótka. Wzruszył ramionami. Dojdzie do siebie, a z czasem znajdzie sobie kogoś nowego. Może nawet wybierze tego młodzieńca z klanu Sab-At? Chack okazał się kimś więcej, niż dotąd sądzono. Nawet Keje dał się zwieść pozorom.

- Panie?

Keje ocknął się, poznawszy głos Jarrika.

- Przepraszam, kuzynie - rzekł. - Zamyśliłem się. Wybacz mi roztargnienie i powtórz, co mówiłeś.

- Rozmawialiśmy o statku Améri-ka-nów, panie - powiedział Adar, mrugając tytułem lekkiej reprimendy.

- Ostatnio niewiele rozmawiamy o czym innym. Ale słucham.

Jarrik pohamował irytację.

- Jeśli ich statek naprawdę jest z żelaza, zastanawia mnie, jakim cudem może pływać. Nasza żelazna broń tonie, gdy znajdzie się w wodzie. Tak samo zachowuje się każdy znany

mi kawałek żelaza.

- Ale to, co wykonane jest z miedzi, może pływać, chociaż jest ona cięższa od żelaza - powiedział Adar. - Czy miedziany kubek pływa w beczce, gdy jest pusty? Nasz Dom ma burty pokryte miedzianą blachą, a pływa. Samo istnienie żelaznego statku mnie nie dziwi, zastanawiam się, jak zdołali go zbudować. To chyba ich największa tajemnica i zarazem przewaga. Uzyskać i obrobić tyle żelaza!

- A ich broń? - spytał zaczepnie Jarrik. - Ona też jest z żelaza. Cała, począwszy od tej wielkiej, zamontowanej na pokładzie statku, po małą, którą noszą ze sobą. Zasada działania jest we wszystkich wypadkach taka sama, a wszystkie ważniejsze części wydają się wykonane z żelaza.

- Broń jak broń, jest niezwykła, bardziej jednak zdumiewa mnie prędkość ich statku - stwierdził Keje.

- A po co nam taka prędkość? - rzucił Jarrik. - Żyjemy na morzu i dzięki morzu. Gdybyśmy śmigali po falach tam i z powrotem, nie moglibyśmy polować na gri-kakka ani nawet zwodować łodzi.

- Oni nie zawsze śmigają, jak to określiłeś, i zwalniają, żeby spuścić swoje łodzie na wodę. I te łodzie także poruszają się bez skrzydeł czy wiosła - zaznaczył Keje. - Gdybyśmy mogli pływać podobnie prędko jak oni, wielu naszych by nie zginęło. Grikowie nie mogliby nas dogonić.

- To prawda - zgodził się Adar. - Ale pomyślałem o czymś jeszcze. Jarrik wspomniał o polowach. Nie wiem, czy to powód do zmartwienia, ale...

Keje zamrugał na niego niecierpliwie. Od czasu incydentu ze Zwojami bezogoniaistych Adar co rusz okazywał sceptycyzm.

- Co jeszcze miałoby nas martwić, gdy chodzi o naszych nowych przyjaciół? - zapytał.

- Trudno mi to wyrazić. Same ich zwoje już mnie tak nie martwią, chociaż inni kapłani mogą okazać mniej zrozumienia. Nie wiem, na ile są święte, ale wydaje mi się niemal pewne, że bezogoniaści mają ich o wiele więcej niż my. Bardzo chcę się nauczyć ich języka, żeby samemu móc poznać to, czym dysponują. Bradford sporo wyjaśnił, ale z drugiej strony twierdzi, że udało im się sporządzić mapy całego świata, co przecież nie może być prawdą. Nawet mapy tego, co jest w dole! - Adar zachichotał. - Dziwne to były słowa jak na kogoś bardzo wykształconego.

Keje spojrział z rozbawieniem na przyjaciela.

- Czyżby oni wierzyli, że świat jest płaski?

Adar zaprzeczył mruganiem i też trochę się uśmiechnął.

- Nie, panie, ale ani on, ani pozostali z tamtego statku nie rozumieją chyba najważniejszego prawa porządku świata. Tego, że słodka woda, która jest darem Niebios, stając się słona, robi się cięższa i spływa po zboczach świata, aż z niego spadnie. Nikt nie ustoi na dole świata - dodał ze śmiechem, cytując stare przysłowie. Reszta mu zawtórowała.

- I tym się przejmujesz, bracie?

- Nie, panie - odparł nagle spoważniały kapłan. - Chodzi o dwie rzeczy. Ale pozwól, że wyjaśnię wszystko po kolei. Po pierwsze, wiemy, że Ameri-ka-nie nie polują na gri-kakka ani żadne inne ryby. Nie uprawiają zbóż. Ich statek jest zdumiewająco mały i zależny od paliwa, płynu, który zwiemy gish. Palą go, co daje charakterystyczną woń i dym, który wydobywa się z kominów. Nie wiem, jak to dokładnie działa, ale jest jasne, że potrzebują dużo paliwa i często muszą uzupełniać jego zapas.

Keje zamrugał.

- I co z tego? - spytał. - To nie problem. Wiemy, gdzie gish występuje w wielkiej obfitości, i chętnie się z nimi podzielimy. Jesteśmy im to winni.

- Oczywiście, ale chcę przez to powiedzieć, że Ameri-ka-nie są w pełni zależni od lądu. Jedzą tylko to, co wyrosnie na lądzie, tak jak ich statek. Nie są w pełni morskim, niezależnym ludem, podobnym do nas. Wiemy też, że nie pochodzą z żadnej znanej nam wyspy. Po drugie, i co zapewne ważniejsze, wśród nich są tylko dwie samice. O wiele za mało, jak można się domyślić, a co ciekawsze, nawet one nie mają obecnie partnerów.

- Niezwykłe - zgodził się Keje. - Może nawet nienaturalne. Odniosłem jednak wrażenie, że ta pierwsza uzdrawiaczka, zapewne ważniejsza, jest skojarzona z ich wodzem. Ile razy widziałem ich razem, niemal zawsze się z nim kłóciła. Może wśród nich tylko wodzowie łączą się w pary?

- Nie, panie. Poza tym oni nie są partnerami.

Na dłuższą chwilę zapadła kłopotliwa cisza.

- Cóż, dostrzegam powód twojego zastanowienia - odezwał się w końcu Keje - ale dlaczego miałyby nas to martwić?

- Nie sugerowałem, że powinniśmy się martwić, panie. Niemniej uważam to za dziwne i warte zastanowienia. Gdy ich uzdrawiaczka zajęła się naszymi rannymi, była zdumiona, ile z nich to kobiety. Spytałem Bradforda i potwierdził, że w ich społeczności kobiety nie walczą.

- No tak - mruknął Keje.

- Ich statek jest ciężko uzbrojony, ale brak im źródeł zaopatrzenia. Nie mają też więcej kobiet oprócz tych dwóch, od których nikt nie oczekuje walki. - Adar spojrzął znacząco na pozostałych. Słońce już prawie zaszło, wciąż jednak widzieli krążący leniwie wokół nich

niszczyciel. Ostatnie promienie słońca wyraźnie ukazywały smugi rdzy na burtach i ślady licznych uszkodzeń. Z ostatniego komina snuła się smuga dymu, powietrze nad nim falowało od gorąca. Na małym maszcie, który nie miał chyba innych zastosowań, łopotał osobliwy kawałek materii zwany banderą. - W tej sytuacji nasuwa mi się nieunikniony wniosek, że statek Ameri-ka-nów został zbudowany tylko w jednym celu: do prowadzenia wojny. - Westchnął. - Jakie istoty, poza grikami, byłyby zdolne do czegoś podobnego? Widzisz załatane dziury na burtach żelaznego statku? Wiele z nich musiała zrobić broń wystrzeliwująca większe pociski niż ich „działa”. Grikowie nie mają niczego podobnego. Gdyby było inaczej, dawno już byśmy o tym wiedzieli. Poza tym oni zdają się wiedzieć o grikach jeszcze mniej niż my. - Adar spojrzał na smukłą sylwetkę niszczyciela, która po zachodzie słońca była coraz słabiej widoczna.

- Do czego zatem zmierzasz? - spytał Keje.

- Zastanawiam się, czy oni nie są jak srebrzysta ryba ścigana przez gri-kakka.

Reville wpadł do przedniej sypialni o czwartej nad ranem, żeby zbudzić poranną wachtę. Zaspani ludzie zaczęli złazić niezgrabnie z trzypoziomowych koi. Wszysey oprócz Chacka, który po prostu zeskoczył z najwyższego piętra i szybko włożył białą koszulkę, którą dostał od Lettsa w intencji upodobnienia obcego do marynarza. Spódniczki obecnie nie nosił, toteż nie miał na sobie nic więcej.

- Dzień dobry, dzień dobry! - zanucił melodyjnie, przepychając się między ubierającymi się ludźmi w kierunku schodni.

- To nie jest normalne - warknął Rodriguez, który wrócił już do swoich obowiązków. - Nikt nie może być takim skowronkiem. Nawet kocie mały. Zwłaszcza codziennie. Gość daje zły przykład. Mówię wam, to się jeszcze zemści.

Elden uśmiechnął się radośnie.

- Jak ci przeszkadza, możesz sypiać na pokładzie - stwierdził.

- Próbowałem. Co noc budziłem się mokry od deszczu.

- Chyba od potu?

Rodriguez wzruszył ramionami.

- W okolicy równika zawsze się pocisz - rzekł. - Pod pokładem czy na pokładzie, wszystko jedno. Czasem żal mi tych, co zawsze siedzą w środku. W kotłowni będzie dzisiaj pewnie ze sto czterdzieści.

- Nie ma się co nad nimi rozczulać. Gdybyśmy byli na północnym Atlantyku, siedzieliby sobie w ciepélku i mieliby gdzieś, że my dygoczymy z zimna na oblodzonym pokładzie.

- Oblodzonym? - mruknął z niedowierzaniem Leo Davis, który leżał jeszcze na koi. Od kiedy porucznik Tucker zaaplikowała mu maść lemurów, stan jego nogi zaczął się szybko poprawiać. Niektórzy nawet nabrali podejrzeń, że wcześniej musiał chyba symulować. Teraz przeciągnął się i uśmiechnął. - Już ranek? Który przyniesie mi śniadanie do łóżka?

Elden rzucił w niego brudną skarpetą. Davis pisnął i zaczął się miotać, żeby pozbyć się jej, nie dotykając jej ręką.

- Niech cię cholera! - zawołał. - jestem inwalidą!

Z góry zająztał bosman Gray.

- Ruszać się! - rzucił do nich. - Kapitan patrzy na zegarek! Jeśli nie zmieście się w minucie, stary nam się wścieknie!

- Zastanawiam się, po co my to ciągle robimy - rzucił Elden, gdy bosman zniknął. Każdego ranka na *Walkerze* zarządzano alarm bojowy, odwoływany dopiero dwie godziny po wschodzie słońca. Był to czas, kiedy okręt był najbardziej podatny na niespodziewany atak, ponieważ skryty w cieniu nieprzyjaciel łatwo mógł dostrzec jego sylwetkę na tle jaśniejszego nieba. Potem utrzymywano gotowość trzeciego stopnia, co oznaczało utrzymywanie obsady połowy uzbrojenia. - Japońskich okrętów podwodnych na pewno tu nie ma - ciągnął Elden. - Ani pancerników czy samolotów. W ogóle nie ma tu japońskiej marynarki. Ani Japończyków, oprócz naszego.

- Nie wiem po co, ale stary tak postanowił i już - powiedział Rodriguez, zawiązując drugi but, i pognął do wyjścia. - Dalej, bo kocmołuchy wyjrą nam śniadanie.

Chuck radośnie pochłaniał żółtobiałą breję podaną z kawałkiem chleba. Słyszał, że to podobno są jajka, ale Mertz robił je z jakiegoś proszku, musiał więc chyba żartować. Chuck lubił poczucie humoru Ameri-ka-nów, chociaż czasem nie wiedział, czy coś jest żartem, czy nie. Z drugiej strony breja smakowała podobnie jak jajka. Najbardziej lubił ją z ke-czu-pem.

Po śniadaniu wspiął się na pomost kontroli ognia i jeszcze wyżej, na platformę z reflektorem. Wciąż było ciemno, chociaż niebo na wschodzie już lekko poczerwieniało. Chłodny podmuch mile orzeźwiał, chociaż okręt nie robił więcej niż sześć węzłów. Chuck nigdy wcześniej nie płynął równie szybko i choć wiedział, że to ledwie ułamek prędkości, którą niszczyciel może osiągnąć, było to wspaniałe uczucie. Miał nadzieję, że w pewnej chwili okręt pójdzie „pełną parą”, jak mawiali jego nowi przyjaciele.

Na platformie poniżej pojawił się porucznik Garrett i uśmiechnął się do Chacka.

- Dzień dobry, porucz-ni-ku Gar-ret! Dobry ranek!

- Istotnie. Tobie też życzę dobrego dnia. Ale właściwie dlaczego nie wejdiesz na bocianie gniazdo, żeby objąć pierwszą wachtę? Wołaj potem, gdybyś cokolwiek zobaczył.

Zrozumiałeś? - Chack zamrugał z radości i spojrzął na kubłowate stanowisko powyżej. Większość życia spędził na znacznie większej wysokości, ale tutaj nie było bardziej wyniesionego miejsca. Ani chyba bardziej prestiżowego.

- Bocianie gniazdo? - zapytał z lekkim niedowierzaniem. - Ja?

- Zgadza się, Chack - potwierdził Garrett. - Ty. Do góry.

- Jeszcze wyżej? Na sam szczyt?

Garrett zachichotał.

- Nie, bocianie gniazdo wystarczy. - Wykonał gest nakładania słuchawek. - Musimy cię słyszeć. Ale nie odzywaj się, póki czegoś nie zobaczysz.

- Ay, ay! - zawołał Chack i ruszył błyskawicznie po drabince.

Garrett pokręcił głową, obserwując z uśmiechem wspinającego się lemura. Długi i ruchliwy ogon upodabniał go do kota, chociaż Chack na pewno miał wiele z małpy. Tak czy owak okazał się świetnym pomocnikiem, zawsze gotowym do roboty i jak nikt pełnym entuzjazmu. Garrett zastanawiał się rozbawiony, jak by tu ściągnąć więcej takich rekrutów, gdy wszystkie stanowiska zameldowały gotowość i mógł złożyć meldunek, że jego dział zrobił swoje.

Niebo poszarzało i morze zaczęło wyłaniać się z niebytu. Ćwierć mili na lewo objawił się masywny kształt *Salissy*. Obserwatorzy nieustannie przepatrywali horyzont pod coraz bardziej złocistymi chmurami. Nagle daleko w lewoburtowej ćwiartce przed dziobem zamajaczył ląd. Przed nimi leżała Cieśnina Makasarska, dalej za nią Celebes. Wszyscy jednak patrzyli na bliższy brzeg. Matt wyszedł na skrzydło mostka i dołączył do stojącego tam obserwatora.

- Borneo, skipper - usłyszał.

Wyspa wyglądała niemal tak samo jak ostatnim razem, gdy zostawiali ją za rufą po bitwie w cieśninie ledwie parę miesięcy temu. Uciekali wtedy ile pary w kotłach, z nieprzyjacielem depczącym im po piętach. Śmiertelnie przerażeni, ale i pełni uniesienia po jedynym w tej batalii „zwycięstwie” nad japońskimi siłami inwazyjnymi u brzegu Balikpapanu. Wspólnymi siłami pięciu czterofajkowców zatopili kilka frachtowców i jeden niszczyciel, po czym zdołali ująć z życiem. Mogliby więcej, ale mnóstwo torped nie doszło do celu, inne eksplodowały przedwcześnie, a część nawet odmówiła posłuszeństwa, trafiwszy nieprzyjacielską jednostkę. Wtedy po raz pierwszy zaczęli podejrzewać, że coś jest nie tak z ich uzbrojeniem. Teraz wracali w okolice wyspy, jednak inaczej niż oczekiwali.

- Jakby ta sama - powiedział obserwator. - Tyle że bez dymu od płonących żółtków.

- Dymu było dużo - zgodził się Matt. - Ale stąd i tak nie dalibyśmy rady go zobaczyć. Do

Balikpapanu jest ciągle ponad sto pięćdziesiąt mil.

- Cel nafodny! - dobiegło z bocianiego gniazda. - Cel nafodny!

Trwało chwilę, nim zaskoczona wachta zareagowała.

- Gdzie?! W jakim namiarze?! Kto się wygłupia?! Meldować porządnie! - spytał ktoś, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Matt spojrzał na bocianie gniazdo. Chack stał nie tyle w nim, ile na nim, i machał uniesionymi nad głowę rękami. Potem krzyknął coś, piskliwie, ale zdumiewająco głośno. Wyraźnie sygnalizował obecność czegoś, co wypatrzył przed dziobem niszczyciela. Matt obrócił się i wyteżył wzrok. To była ta pora poranka, gdy okręty podwodne miały ułatwione zadanie. Niebo już jaśniało, ale morze wciąż było niemal czarne. Póki gubiło się pośród fal, było praktycznie niewidzialne.

- Tam, sir! - zawołał obserwator. - Niecałe trzysta jardów dokładnie przed dziobem! To łódź!

Matt polornetował chwilę wskazany sektor, aż złapał obiekt w szkła. Łódź miała około czterdziestu stóp długości, dwa trójnożne maszty i żagle jak u dżonki. Maszty były jednak niskie, a sama jednostka ginęła na tle Borneo i nawet Chack miałby prawo jej nie dostrzec. Niemniej jakimś cudem mu się to udało.

- Ster dziesięć stopni w prawo, maszyny stop! - rozkazał Matt.

- Dziesięć stopni w prawo, wszystko stoi - zameldował sternik.

Matt przyjrzał się łodzi i dostrzegł ogoniaste sylwetki miotające się na jej pokładzie.

- Znowu lemury - mruknął. - Niech mnie.

- Skipper, proszę spojrzeć trochę w lewo - odezwał się Tolson.

Matt ujrzał kolejną łódź. I jeszcze jedną.

- To rybacy! - oznajmił zdecydowanym tonem oficer. - Przybrzeżni rybacy.

Każda z tych łodzi miała jeden koniec sieci przymocowany do burty, drugi wysunięty na długim bomie. Gdy podpływali, bom został uniesiony i na pokład posypała się lawina wijących się srebrzystych ryb różnych gatunków. Lemury brodziły wśród nich z pałkami, energicznie ogłuszając zdobycz. Słyszac krzyk swojego wachtowego, zamarły i spojrzały zdumione na podpływający niszczyciel. Chack uspokoił pobratymców, a gdy byli już blisko, wdał się z nimi w ożywioną wymianę zdań.

- Panie Tolson - odezwał się Matt - proszę zwolnić obserwatora z bocianiego gniazda i kazać mu przejść na pokład dziobowy, żeby łatwiej było mu rozmawiać z rybakami. Proszę manewrować silnikami, żeby utrzymać okręt z ich nawietrznej.

Moment później Chack stał już na pokładzie dziobowym i przechylony za burtę

konwersował z załogą łodzi. Rybacy stali z otwartymi ustami i zapomnieli nawet o wyciągnięciu sieci.

- Odnoszę wrażenie, że znalazł się tam dziwnie szybko - zauważył Tolson. - Powiedziałbym, że nie tyle zszedł na pokład, ile zsunął się po forsztagu.

Matt zachichotał.

- Ale dzięki jego bystremu oku udało nam się nikogo nie rozjechać - stwierdził. - Musimy jednak porozmawiać z nim o zasadach bezpieczeństwa i procedurach. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek zaczął go naśladować, aby pokazać, że ludzie nie są gorsi. - Obejrzał się na łódź, do której dołączyła tymczasem kolejna. Obie załogi krzyczały coś w podnieceniu do Chacka. Za nimi coraz wyraźniej rysowało się Borneo okryte bujną, soczystą zielenią. Widok był nader znajomy, ale przecież to nie była ta sama wyspa. Mogła wyglądać niewinnie, ale co z tego. Dawne skojarzenia nie miały już żadnego zastosowania.

W ciągu dnia ujrzeli jeszcze sporo innych łodzi. Większość należała do rybaków i Chack wyjaśnił, że ci z Ludu, którzy osiedli na lądzie, wyprawiają się na połów tylko rankiem i wieczorem, gdy małe ryby skupiają się na rzadko nawiedzanych przez gri-kakka płyciznach. Groźne plezjozaury wołały trzymać się głębokiej wody i czekać, aż obiad sam do nich przyplynie. Większości łodzi nie zaprojektowano ani nie wyposażono do polowań na drapieżniki, chociaż ich tłuszcz był bardzo ceniony. Tym zajmowały się pływające domy. Mieszkańcy *Salissy* żyli z łowów na gri-kakka i choć w pożarze stracili sporo pozyskanego w tym rejsie surowca, zostało go dość, żeby sfinansować konieczne naprawy.

Niektóre łodzie odpływały czym prędzej, ledwie ich dostrzeżono, inne jednak zbliżały się, żeby załoga mogła zamienić kilka zdań z Chackiem. Reszta dołączyła do *Salissy* i razem z nią ruszyła w kierunku NNE. Niszczyciel przyciągał spojrzenia, ale wyraźnie budził też respekt.

Późnym popołudniem, gdy niskie słońce rozjaśniało wiszące na horyzoncie chmury, weszli do zatoki Balikpapan. Po raz pierwszy od spotkania masywne żagle Domu zostały opuszczone, a z otworów w burtach wysunęły się niezliczone wiosła i przypominający gigantyczną stonogę statek zaczął walczyć z odpływem, żeby dotrzeć do nabrzeża. Matt nie był pewien, czego właściwie spodziewał się po celu podróży, ale był przekonany, że będzie to zapewne jakaś mała, nadbrzeżna osada. Chack i inni mówili zwykle o „kolonii lądowej” Balikpapanu, co sugerowało niezbyt wielkie osiedle. Ujrzeli jednak prawdziwą metropolię. W zatoce cumowały jeszcze dwa wielkie żaglowce w rodzaju *Salissy*, a wokół nich setki mniejszych jednostek. Wrażenie było surrealistyczne. Długie moło wychodziło w morze

dokładnie w tym samym miejscu, gdzie nie tak dawno płonęły japońskie frachtowce. Dalej rozciągało się miasto.

Trudno było nazwać je inaczej, chociaż architekturą różniło się od wszystkiego, co Matt dotąd widział. Blisko nabrzeża dominowały drewniane magazyny, dalej jednak wznosiły się wysokie budowle przypominające trochę pagody, zbudowane podobnie jak wieże *Salissy*. Większość liczyła tylko kilka pięter, niektóre jednak sięgały naprawdę wysoko. Każda kolejna kondygnacja zajmowała trochę mniejszą powierzchnię niż poprzednia, co nadawało gmachom smukłość i nasuwało skojarzenia z azteckimi świątyniami, chociaż za sprawą pagodowych dachów całość wyglądała raczej azjatycko.

Najbardziej niezwykle było jednak to, że całe miasto, z wyłączeniem magazynów, wzniesiono na palach. Między budynkami a gruntem powstał w ten sposób prześwit wysokości jakichś dwunastu stóp, wykorzystany chyba na coś w rodzaju ciągnącego się we wszystkie strony bazaru. Kręciły się po nim tysiące zajętych swoimi sprawami tubylców. Jak w Szanghaju, zwłaszcza że wszystko to było bardzo kolorowe. Ściany budynków pokrywała farba, pod nimi i między nimi wisiały płócienne zadaszenia. Dominowały czerwienie i błękity, ale widziało się też kolor złoty. Całość kontrastowała z ciągnącą się poza miastem zieloną dżunglą i szaroniebieskimi wodami zatoki.

- Całkiem jak Czyfu - mruknął Gray.

Matt, który też poznał dobrze letni port Floty Azjatyckiej, nie mógł się z nim nie zgodzić.

Przybycie niszczyciela i uszkodzonego Domu szybko stało się wydarzeniem. Na nabrzeżach zgromadziły się setki gapiów, na zatokę wyroiły się walczące zawzięcie o lepsze miejsca małe łodzie i Matt dwa razy musiał nakazywać całą wstecz, żeby nie zatopić ciekawskich. Wieczorna bryza przyniosła zapach miasta, który chociaż miły, był wyraźnie obcy. Wyczuwało się w nim nieznane przyprawy i naturalne miazmaty dżungli. Do tego dochodził, jak w każdym porcie, odór ryb i drewna gnijących w słonej wodzie. Wyczuwało się nawet nutę używanego do impregnacji kreozotu.

Salissa minęła molo i podeszła do nabrzeża z wielkim drewnianym dźwigiem. Tam zwolniła i jej wielki kadłub powoli zaczął się przysuwać do pirsu. Załoga krzątała się po pokładzie w odwiecznym tańcu wszystkich marynarzy. Po chwili z nabrzeża przerzucono na pokład grube cumy.

- Zakotwiczymy dwieście jardów od jej burty - oznajmił Matt. - Dobrze będzie zostawić sobie trochę miejsca, zanim się dowiemy, co tu jest grane.

- Aye, aye, skipper - odparł Gray i zsunął się po schodni. Dowden skierował okręt we wskazane przez kapitana miejsce, zagrzechotał łańcuch i nowa prawoburtowa kotwica spadła

na dno zatoki Balikpapan.

- Proszę utrzymać poziom trzeci, panie Dowden - dodał Matt i odwrócił się, żeby opuścić mostek. - Płynę teraz na *Salisse*. Pan Garrett, Chack i porucznik Tucker udają się ze mną. I jeszcze dwóch uzbrojonych ludzi. Proszę przekazać wszystkim, że obowiązuje strój galowy.

Wspięli się na wysoko wyniesiony pokład statku, do którego rozmiarów Matt tak naprawdę zaczynał dopiero przywykać, choć przecież gościł już na nim kilka razy. Przywitał ich Bradford w towarzystwie kilku innych członków załogi niszczyciela, którzy pomagali tu w naprawie uszkodzeń. Kapitan odesłał zaraz Australijczyka na *Walkera* z rozkazem doprowadzenia się do ładunku i powrotu za pół godziny.

Przeczekali ceremoniał towarzyszący wejściu na pokład, jednak zaraz potem ogoniasty, który go prowadził, pobiegł gdzieś żywo. Wrócił z Adarem i Kejem, którzy także mieli na sobie stroje odpowiadające ich statusowi. Kapitan nosił tę samą pelerynę, w której go poznali, Keje miedzianą zbroję łuskową i jeszcze piękniejszą tunikę niż wcześniej, ze złotym obszyciem na mankietach. Do tego doszła czerwono-złocista czapka z przebiegającym pod brodą łańcuszkiem z pazurów odciętych z tylnych kończyn grików. Nie pozwoli nikomu zapomnieć o tej walce, pomyślał Matt.

Wszyscy, włączając Chacka, zaszalutowali Kejemu. Matt uważał, że tak właśnie należy, skoro wódz jest nie tylko kapitanem statku, ale również jakby mężem stanu. Bradford próbował się rozeznąć w niuansach podziałów społecznych lemurów, ale na razie niewiele mu z tego wychodziło. Najbliższą analogią wydawały się greckie miasta-państwa, może nawet Stany Zjednoczone z okresu obowiązywania artykułów konfederacji. Każdy statek lemurów był uznawany za odrębne państwo, z własnymi prawami i specyficzną kulturą. Kolonie lądowe, zwane też terenami handlowymi, również miały taki status, chociaż rozrastając się, zyskiwały również na znaczeniu gospodarczym. Z drugiej strony co bardziej konserwatywni mieszkańcy morza ciągle nie darzyli „drwali” szacunkiem i mieli ich za nuworozysy.

- Witam, u-amaki Keje-Fris-Ar - powiedział i wódz z szerokim uśmiechem oddał salut.

- Witam pana, kapi-ta-nie Riddy. Czy dobrze Bad-furd nauczył mnie waszego języka?

- Bardzo dobrze, wasza ekscelencjo. Żałuję, że nie poczyniłem podobnych postępów.

Keje wciąż się uśmiechał, ale wyraźnie nie wszystko rozumiał. Chack wtrącił się jako tłumacz.

- Wspaniale! Chack może za nas mówić. Dobrze się uczy.

Matt pokiwał głową. Chack naprawdę dobrze sobie radził.

Kapitan widział już ludzi chwytających obcą mowę w tydzień, gdy naprawdę musieli, ale nie spotkał nigdy nikogo równie utalentowanego jak ich „lemur łącznikowy”.

- Istotnie - przyznał.

Razem poczekali na powrót Bradforda. Przez cały czas na pokładzie pojawiali się miejscowi, w tym wielu cieśli, którzy liczyli na pracę przy naprawach. Większość stanowili jednak ciekawscy, którzy chcieli usłyszeć, co naprawdę się stało, i spojrzeć na tych dziwnych bezogoniastych gości przybyłych na statku bez skrzydeł. Na pokładzie zapanowała świąteczna, niemal odpustowa atmosfera.

- I co teraz? - spytał Matt, gdy grupa była już w komplecie. Usłyszał, że najpierw muszą złożyć kurtuazyjną wizytę „u-amaki Ay Baalkpan”, Nakii-Murowi, który ugości ich jadłem oraz napitkiem i wysłucha, co im się przydarzyło. Poza tym, że mieli z czego zdawać relację, istotne było też, że nie gościli na wyspie od ponad dwóch lat, a miejscowy władca był jakoś spokrewniony z Kejem. Było co świętować.

Na wzmiankę o napitku i świętowaniu Matt zastanowił się, czy nie odesłać eskorty na okręt, ostatecznie jednak postanowił tego nie robić. Uznał, że nie ruszą sami w miasto, zwłaszcza że nie było z nimi Silvy. Na jego ewentualne peregrynacje miejscowi z pewnością nie byli jeszcze gotowi. Owszem, załoga zasłużyła po tym wszystkim na nieco wolności, ale w tych okolicznościach musiała trochę poczekać.

Na pokładzie za pierwszym masztem zaczęła formować się grupa, która miała zejść na ląd. Była tak liczna, jakby znaleźli się w niej wszyscy z *Salissy*, w komplecie uśmiechnięci, radośni i wystrojeni w jasne, bardzo różnorodne szmatki. Hałas panował niemal taki jak podczas walki z grikami, ale cóż, wszyscy oni zasłużyli na beztronską zabawę i wyraźnie zamierzali skorzystać z okazji.

- Ameri-ka-nie nie schodzą wszyscy na ląd? - spytał Keje.

- Nie, wasza ekscelencjo, jeszcze nie - odrzekł Matt. - Mój okręt sporo przeszedł i trzeba wiele na nim zrobić. To pierwszy od dawna postój wśród przyjaciół, kiedy możemy zająć się naprawami. Czeka nas wiele roboty.

- Robota jutro! - zasugerował Keje. - Dzisiaj zabawa. Spotkanie przyjaciół.

- Może później - stwierdził Matt i oddalił się z przepaszającym uśmiechem. Przystanął przy relingu i spojrzął w gasnącym świetle na swój niszczyciel. Nawet jemu wydał się bardzo sterany. Gdy objął dowództwo na DD-163, miał go tylko za przestarzały i nie dozbrojony. Poza tym *Walker* miał w sobie coś rasowego i robił wrażenie rwącego się do biegu. Teraz było inaczej. Cały kadłub znaczyły smugi rdzy, a połatane miejsca przypominały posmarowane maścią wrzody. Do morza spływał nieustannie strumień wody zęzowej usuwanej przez pompy, które robiły co mogły, żeby utrzymać przeciekający kadłub na powierzchni. Łańcuch kotwiczny zwisał luźno, a okręt wyglądał, jakby ledwo dźwigał jego

ciężar. Matt aż się zdumiał, jak smutny wydaje mu się ten widok.

W zgiełku nie usłyszał, że podeszła do niego Sandra.

- Porządne malowanie i będzie jak nowy - powiedziała, odgadując jego myśli.

Spojrzał na nią i pod maską wesołości dostrzegł troskę i głębokie współczucie, niemal lęk o niego. Zmusił się do krzywego uśmiechu, ale ona wciąż patrzyła na niego tak samo. Nagle położyła mu dłoń na ramieniu i jej twarz się wypogodziła, chociaż pozostał na niej cień smutku. W końcu uśmiech jednak przeważył, a Matt poczuł wielką ulgę. Zastanawiał się, jak ona to zrobiła. W jednej chwili dostrzegła jego głęboko skrywane zmartwienia i niemal je obnażyła, a chwilę później pogrzebała je jeszcze głębiej.

- Obawiam się, że sama farba nie wystarczy - wyszeptał. Zauważył, że stojący za plecami dziewczyny Keje energicznie macha rękami. - Chyba już ruszamy. - Nie chcąc zrywać kontaktu z Sandrą, podał jej ramię. - Pozwoli pani?

Przeczisnęli się przez tłum, żeby zająć miejsce na czele procesji, obok Adara i Kejego. Bradford ustawił się kilka kroków dalej, zaraz za wodzami klanów. Obok niego stali Chack i Garrett oraz dwaj marynarze, którzy nie wzięli innej broni palnej, oprócz bocznej i tych osobliwych kordów. Bradford nie miał swojego, chociaż był jednym z pomysłodawców ich użycia. Raz wziął go do ręki, a już się skaleczył, chociaż nawet nie wyciągnął całej główki z pochwy. Nie zabrał też pistoletu, ale to z roztargnienia. Zostawił go w kabinie, zmieniając ubranie. Kapitan Reddy miał swój pałasz z czasów Akademii. W końcu hałaśliwa procesja ruszyła po trapie na nabrzeże.

Zgiełk był dobrze słyszalny także na pokładzie kotwiczącego w zatoce *Walkera*. Spanky McFarlane wytarł brudne od smaru dłonie i schował szmatkę do kieszeni. Twarz miał mokrą od potu.

- Chyba dobrze się bawią - powiedział, patrząc na brzeg.

- No - mruknął Silva i splunął za burtę sokiem tytoniowym.

Stites opierał się o reling obok działa numer dwa, w ustach trzymał papierosa. Spanky wygrzebał zmiętą paczkę i też wyciągnął fajkę. Silva podał mu zapalniczkę Zippo.

- Myślisz, że znajdziemy tu paliwo? - zapytał.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że tak. Zostało nam tylko siedem tysięcy galonów, nie mamy więc wyboru. Nigdzie więcej nie dopłyniemy.

- Chyba że będziemy palić drewnem - wtrącił Stites.

Spanky spojrzał na niego ze złością.

- Stary zdobędzie ropę - rzekł. - Kto jak kto, ale on sobie poradzi.

- Nie kwestionuję - stwierdził Silva. - Ciekaw jestem tylko, co będziemy musieli zrobić, żeby ją dostać, i co zrobimy potem.

Spanky spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- A jaka to dla ciebie różnica? - spytał.

- Raczej żadna - odparł z uśmiechem Silva. Podeszedł do relingu i oparł się o niego obok kolegi. - Tam może być zabawnie. Chociaż bez kobiet... Ciężko będzie.

- Cała reszta pielęgniarek została na *Mahanie* - powiedział Stites. - U nas są tylko dwie, a oficerowie mają pierwszeństwo. I gdzie tu sprawiedliwość?

- Może gdzieś tu są jakieś kobiety - zaryzykował Spanky. - Skipper sądzi, że są. Statki tych jaszczurów bardzo przypominały nasze żaglowce, a kocie mały znajdują skądś łacinę. Może nie jesteśmy tu jedynymi ludźmi.

- Jeśli tak, trzeba się szybko postarać o paliwo i ruszyć na ich poszukiwanie - mruknął Stites.

- Sam nie wiem - zadumał się Silva. - Niektóre kocie mały są całkiem, całkiem. Tyle że mało amerykańskie, bo w futrach.

Stites spojrzał na niego zdumiony.

- Zboczek jesteś. Chociaż... - poskrobał się po policzku - może i faktycznie.

Spanky odchrząknął. Był skłonny sądzić, że póki ludzie żartują, nie jest jeszcze źle. Gorzej, że za tym wszystkim krył się prawdziwy problem.

- Na twoim miejscu nie zwracałbym sobie głowy - rzekł. - Na moje oko nie jesteś dla nich dość przystojny. Nawet koza by cię nie chciała.

- Oficer nie powinien tak mówić, sir - odparł Silva, udając oburzenie. - Poza tym nie możecie trzymać kóz tylko dla siebie. To by zaburzyło harmonię panującą między maszynami a pokładem.

- Zastanowię się nad tym - powiedział Spanky ze śmiechem, chociaż słyszał plotki o tym, jak Silva próbował „zamordować” Laneya. Jeśli było w nich coś z prawdy, harmonia między maszynownią a pokładem należała do przeszłości. Oficjalnie winna była przerdzewiała zatyczka i skoro nawet Laney podtrzymywał tę wersję, nie można było wszcząć sprawy. Poza tym był to jedyny taki incydent. Ludzie zbyt ciężko pracowali razem, żeby sobie pozwalać na podobne „żarty”. Z drugiej strony może Laney sobie na to zasłużył. Zawsze był z niego drań. Jeśli tak, w sumie wyszło na dobre. Nikt nie zginął, a Laney chodził od tamtej pory mniej napuszony. Gdy jednak zagrożenie minie, prędzej czy później konflikty dadzą o sobie znać. Zwłaszcza jeśli nie znajdą żadnych kobiet ani okazji do walki. Jeśli dodać do tego nudę i ogólną frustrację, zapewne nie skończy się na żartach.

Procesja wędrowała krętą drogą przez bazar, który tworzył centrum Baalkpanu. Ciekawe, że nazwa z dawnych map przeszła do tutejszej tradycji, chociaż jej brzmienie sugerowało, że osoba spisująca Zwoje mówiła na co dzień językiem bardzo różniącym się od łaciny. Matt nie interesował się tym wcześniej, ale skłonny był sądzić, że miejscowe nazwy zostały spisane albo nadane przez Holendrów nie dawniej jak dwieście do trzystu lat. Znaczyłoby to również, że świętość Zwojów jest stosunkowo nowym dodatkiem do lemurzych dogmatów. Na razie nie miało to jednak znaczenia. Tego dnia samo miasto interesowało Matta i jego ludzi o wiele bardziej niż jego historia.

Byli pod wrażeniem jego barwności. Wszystko pokrywała farba, a tkaniny, z których wykonano zadaszenia, wydawały się bardzo starannie wykonane. Nie znano tu najwyraźniej druku, ponieważ misterne wzory widoczne niemal na każdym skrawku materii zostały pracowicie wyszyte albo utkane razem z płótnem. Sami gospodarze nosili jednak niewiele odzieży, akurat tyle, ile nakazywała skromność. W powszechnym użyciu były spódniczki, widywało się też płaszcze czy peleryny oraz elementy lekkich zbroi, chyba wyłącznie ozdobnych. Możliwe, że tylko karacena Kejego była prawdziwa. Chociaż czysta i wypolerowana, w odróżnieniu od innych nosiła ślady walki. Lud Baalkpanu prezentował się szczęśliwie i dostatnio, nawet jeśli nieco hołdował bezguściu. No i w odróżnieniu od załogi *Salissy* nie miał chyba serca do walki.

Nie brakowało mu jednak ciekawości świata i serdeczności. Matt dostrzegał liczne przejawy entuzjazmu i wiele zaintrygowanych spojrzeń, żadnej zaś wrogości. Mieszkańcy miasta nie wyglądali też na zaskoczonych, co mogło znaczyć tylko jedno - już wcześniej wiedzieli o przybyciu *Walkera*. Rejs w towarzystwie *Salissy* trwał na tyle długo, że nawet wolne łodzie rybackie mogły przynieść wiadomości na wyspę, dając jej czas na zorganizowanie powitania godnego „wracających z wojny bohaterów”. Miejscowi postrzegali chyba niedawną bitwę jako wielkie zwycięstwo.

- Zdumiewające! - krzyknęła Sandra do ucha Matta, który pokiwał głową. Wszędzie wkoło widział wpatrzone w nich ogromne oczy w różnych kolorach. Dzieci przemykały pod nogami dorosłych na czworakach, z wysoko uniesionymi ogonami. Mniejsze beztrąsko ssały matki. Z przodu pojawił się zaprzężony w małe brontozaury wózek wypełniony czymś wonnym. Woźnica musiał włożyć wiele wysiłku w uspokojenie spłoszonych zwierząt, zanim procesja mogła ruszyć dalej.

- Naprawdę zdumiewające! - odezwał się Bradford, który lekceważąc protokół, pojawił się tuż za kapitanem. - Udomowione dinozaury w roli wołów czy mułów. Nie sądziłem, że mogą być tak inteligentne. Dinozaury, naturalnie.

- Zdziwiłby się pan - powiedział Matt. - Znałem gościa, który jeździł na krowie jak na koniu. A taki longhorn nie może być przecież mądrzejszy od dinozaura.

- Doprawdy?

Mijali ulicznych handlarzy rybami, którzy zatrzymali się, żeby obejrzyć pochód. Handlowali głównie srebrzystymi stworzeniami, które widywało się wszędzie na oceanie, Matt dostrzegł jednak ze zdumieniem także inne gatunki. Wcześniej wyobrażał sobie, że drapieżniki musiały już dawno wytepić wszystko, co nie było nimi. Inna sprawa, że te pozostałe ryby nie wyglądały ani trochę bardziej zachęcająco i też wolały nie spotkać ich w wodzie. Poza tym dostrzegł jeszcze coś przypominającego olbrzymiego pancernego skorpiona z ogonem homara, znacznie mniejsza wersja plezjozaura, którego zdarzyło im się staranować, oraz najzwyczajszego w świecie rekina. Matt był przekonany, że wobec takiej konkurencji rekiny nie miały w tym świecie wielkich szans.

Obejrzał się i dostrzegł, że tłum trochę zmałał. Wielu członków załogi *Salissy* musiało odłączyć od procesji skuszonych miejscowymi atrakcjami. Wciąż jednak była to liczna grupa, zwłaszcza że dołączali do niej mieszkańcy miasta. Wszyscy zmierzali ku masywnego budynkowi, niższemu trochę niż pozostałe, bardziej jednak rozległemu i osadzonemu na wyższych palach. Przez jego środek przechodził pień okazałego drzewa.

Procesja zatrzymała się przed budowlą i tłum zaczął cichnąć. Keje wystąpił o krok i uniósł ręce, pokazując otwarte dłonie.

- Witaj, Nakja-Mur, wielki wodzu Baalkpanu! - powiedział. Jego głos zabrzmiał dziwnie głośno w zapadłej nagle ciszy. Chack starał się tłumaczyć na bieżąco. - Jestem Keje-Fris-Ar, wielki wódz Domu *Salissy*. Przybywam z Morza Południowego z potężnymi przyjaciółmi, towarami i opowieściami. Czy możemy wejść, żeby się z tobą naradzić?

Po chwili z góry dobiegł ich jeszcze donośniejszy głos, którego źródło pozostało jednak niewidoczne:

- Wejdz i witaj, bracie. Dawno już *Salissa* nie gościła na naszych wodach, a część twoich opowieści dotarła do nas przed tobą. Przyrowadź swoich potężnych przyjaciół. Chcę ich poznać.

Nagle Adar obejrzał się na nich i powiedział coś do Kejego, który także odwrócił głowę i zawahał się, potem jednak poklepał kapłana po plecach i zaczął się wspinać po sznurowej drabince, którą wiodła chyba jedyna droga na górę. Adar obejrzał się raz jeszcze, tym razem jakby trochę niepewnie, i ruszył za wodzem. Matt skinął na Sandrę, żeby pierwsza zaczęła dwudziestostopową wspinaczkę. Był pewien, że nie przyświecały mu żadne zdróżne intencje, przyłapał się jednak na rzucaniu ukradkowych spojrzeń na nogi i biodra pielęgniarki.

Poruszała się na drabince w taki sposób, że... Lekko zawstydzony pokręcił głową i odwrócił spojrzenie. Niestety, pozostali mężczyźni też się w nią wpatrywali. Matt zakaszłał głośniejsze i pochylił się do Chacka.

- Czy twoi zawsze budują wszystko wysoko nad ziemią? - zapytał.

Chack spojrział na niego zdumiony, ale po chwili zamrugał rozbawiony.

- To taka... tradycja - rzekł. - Przypomina nam o przeszłości. I chroni podczas przyływów. No i jaszczury słabo się wspinają.

- To ma sens - stwierdził z uśmiechem Matt i także ruszył na górę.

Chociaż budynek był spory, kapitan nie przypuszczał, że pomieści uczestników procesji, co jednak się udało, chociaż w środku czekała już spora grupa miejscowych. Sala przypominała halę do koszykówki, oświetlały ją lampki oliwne, roztaczające wkoło woń tranu. Strop podtrzymywały masywne belki, ściany zdobiły tapiserie falujące w podmuchach wpadających przez wyposażone w okiennice okna. Pień rosnącego pośrodku drzewa ginął w mroku pod sufitem. Poza rozmiarami pomieszczenie nie różniło się wiele od tego, które poznali wcześniej na statku. Matt szacował, że w uroczystości musi brać udział około pięciuset osób, przy czym wszyscy gadali jak najęci, nie zwracając chwilowo żadnej uwagi na bezogoniastych.

Pod ścianami stały długie blaty z barwnymi półmiskami, na których piętrzyły się przekąski. Co jakieś dziesięć stóp ustawiono miedziane kotły z ciemnobursztynowym płynem pachnącym miodem i chlebem. Widząc, że wielu zanurza w nich kubki, Matt zrobił to samo, a drugą porcję podał Sandrze. Bradford też spróbował, ale gdy reszta ekipy z niszczyciela chciała pójść w jego ślady, porucznik Garrett chrząknął znacząco i pokręcił głową. Matt przyjrzał się zawartości kubka i upił łyk na próbę, potem spojrział ze zdumieniem na Bradforda.

- Smakuje jak... piwo - powiedział. - Na dodatek całkiem niezłe piwo.

Sandra nieśmiało skosztowała napitku, Australijczyk również uniósł kubek. Chwilę potem oblizali się ze smakiem.

- Zaiste, piwo! - stwierdził. - Mamy chyba z nimi więcej wspólnego, niżbym oczekiwał. Powiedziałbym też, że to całkiem mocne piwo.

Matt zerknął na Garretta oraz marynarzy i poczuł się nieswojo. Patrzyli na niego niczym psy na ludzi przy obiedzie.

- Spróbujcie, ale tylko po kubku - powiedział. - Panie Garrett, proszę tego dopilnować. Tylko pijanych marynarzy nam tu brakuje. - Wraz z Sandrą ruszył wzdłuż stołów, próbując różnych potraw. Wszystkie były swoiście, czasem bardzo ostro, przyprawione. Znajomi z

pokładu *Salissy* pokazywali im, czego przede wszystkim warto skosztować, miejscowi jednak głównie gapili się na ludzi.

- Kap-i-tanie Riddy!

Matt obrócił się, słysząc znajomy głos, i ujrzał Kas-Ra-Ara, kuzyna Kejego i dowódcę jego gwardii przybocznej.

- Proszem ze mną - odezwał się Kas-Ra-Ar.

Sądząc po skutkach, Bradford musiał włożyć sporo wysiłku w nauczanie angielskiego. Załoga *Salissy* zrobiła niewiele mniejsze postępy niż przebywający na *Walkerze* Chack.

- Panie Garrett, proszę zaopiekować się naszą eskortą - powiedział Matt. - Porucznik Tucker, panie Bradford, czy zechcecie mi towarzyszyć?

Poszli za Kasem przez tłum na drugą stronę sali, gdzie z braku bufetu było nieco przestronniej. Adar i Keje stali tam obok postaci w obszernej czerwono-złotej szacie. Siedzący na sporym fotelu lemur był bez dwóch zdań najgrubszym miejscowym, jakiego zdarzyło im się zobaczyć, nie wydawał się jednak wcale słaby czy niezdarny. Miał lśniące futro, ciemne ze srebrzystymi włosami, i mimo olbrzymiego brzucha, na którym złożył dłonie, roztaczał atmosferę władzy i siły. Spojrzał na gości bystrymi oczami, uniósł otwartą dłoń i przywitał ich gromko we własnym języku.

Matt odwzajemnił gest i lemur spojrzał znacząco na broń wiszącą przy pasie kapitana. Keje powiedział coś szybko gospodarzowi do ucha. Adar zaraz przetłumaczył jego wypowiedź Bradfordowi:

- Nigdy nie widział, żeby ktoś wykonywał gest pustej dłoni, mimo że jego dłoń nie jest pusta. Domyślam się, że chodzi mu o pański pałasz - powiedział Australijczyk.

Matt zerknął z zadumą na swoją ceremonialną broń w ozdobnej pochwie. Tak jak przedtem, wzięli broń białą, żeby wyglądać bardziej swojsko. Nikt nie pomyślał, że mogą z tego wyniknąć jakieś kłopoty. Zresztą przecież Keje chyba ostrzegłby ich, gdyby naruszali w ten sposób jakiś zwyczaj. Kapitan zastanowił się szybko, jak z tego wybrnąć.

- Proszę mu powiedzieć, że moja dłoń jest pusta. Wśród naszego ludu tylko obnażone ostrze jest groźbą, ponieważ świadczy o intencjach. Znak pustej dłoni jest u nas świadectwem przyjaźni, nie związanym z tym, czy się ma, czy nie ma broni.

- Zatem to rodzaj kłamstwa? - dobiegło go po chwili pytanie.

Keje wyglądał na zaniepokojonego, Adar zerkał na nich oskarżycielsko. Matta ogarnęła złość i zastanowił się, czy ktoś ich tutaj przypadkiem nie wystawił. Sandra ścisnęła mu rękę tytułem wsparcia.

- Proszę mu powiedzieć, że to nie jest kłamstwo. Przybyliśmy jako przyjaciele i

pomogliśmy załodze *Salissy*. Chcemy zostać przyjaciółmi całego Ludu. Skoro mamy przyjazne intencje, nieczynienie takiego znaku byłoby kłamstwem. Wśród naszego ludu przyjaciele mogą odwiedzać się uzbrojeni i mimo to pozostają przyjaciółmi. Czy u nich jest inaczej?

Wysłuchawszy tłumaczenia, Nakja przyglądał się chwilę kapitanowi, po czym z wolna jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Matt spojrzał na Kejego, który też uśmiechał się radośnie.

- Powiedziałem mu, że zawsze chodzicie uzbrojeni, ponieważ jesteście... wojownikami. A wojownikiem albo się jest, albo nie jest. I że wasz statek został zbudowany wyłącznie do walki. To przecież się zgadza?

Wreszcie do tego doszli. Matt nigdy nie twierdził, żeby było inaczej, ale po prostu odkładał temat. Teraz wiedział, że może odpowiedzieć tylko jedno. Prawdę.

- Tak, USS *Walker* to okręt wojenny - przyznał półgłosem.

- Z kim walczyacie? - spytał Adar. - Z kim takim walczyacie, że potrzebujecie statku zbudowanego tylko do walki?

Matt nie od razu zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy słyszy kapłana mówiącego po angielsku.

- Z wrogami naszego ludu... i wrogami naszych przyjaciół.

- Z grikami też? - spytał Adar w imieniu gospodarza.

- Owszem, z nimi też już walczyliśmy.

- I będziecie znowu?

Matt spojrzał na Sandrę i Bradforda. Oboje wpatrywali się w niego świadomi, że od tego, co teraz powie, może zależeć ich los.

- Jeśli przybędą znowu i nie będziecie zdolni sami ich pokonać, pomożemy. Tak postępują przyjaciele. Ale przyjaciele nie proszą przyjaciół, żeby walczyli za nich.

Wpatrując się ciągle w nieodgadniony sposób w kapitana, Nakja odezwał się do Adara, który przetłumaczył jego wypowiedź, starannie wymawiając słowa:

- U-amaki *Salissy* opowiedział o bitwie. O walce. Grikowie walczą źle, ale uparcie. W nowy sposób, z większymi statkami. Jest ich więcej niż wcześniej. - Kapłan łyknął szybko z kubka. - Jest inaczej. Grikowie mogą przybyć... liczniejsi i silniejsi niż kiedyś.

Matt nie lekcewał grików, jednak nie zamierzał się nimi przesadnie przejmować, skoro w razie potrzeby *Walker* mógł bez trudu poradzić sobie nawet z kilkoma ich jednostkami równocześnie. Owszem, dla lemurów byli „pradawnym” nieprzyjacielem, co uzasadniało po części, dlaczego tak się ich obawiano. Sam dotąd postrzegał jaszczury trochę jak malajskich

piratów, nie przedstawiciele siły o ekspansjonistycznych zapędach. Od tysięcy lat żyli gdzieś tam, daleko, i dotąd nic z tego nie wynikało. Dotychczasowe rozmowy z tubylcami utwierdzały go w tym przekonaniu, podobnie jak brak widocznych przygotowań do obrony przed poważnym zagrożeniem. Zwłaszcza w wypadku miasta. Przede wszystkim myślał o ustanowieniu dobrych kontaktów z lemurami, żeby uzyskać od nich pomoc przy naprawach oraz paliwo. Gdyby w rewanżu za te przysługi *Walker* miał czasem pogonić jakieś jaszczury, byłby to możliwy do przyjęcia „sojusz”. Matt wolałby jednak uniknąć uwiązania w roli etatowego obrońcy lemurów i wynikłej stąd obustronnej zależności.

Teraz dotarło do niego, że miejscowi muszą chyba poważnie obawiać się ataku grików. To oznaczało, że „model piracki” do nich nie pasuje. Matt już wcześniej zdumiał się, jak bezbronny jest w gruncie rzeczy Baalkpan, zwłaszcza w porównaniu z pełnomorskimi domami. Po wcześniejszych rozmowach, w których miasto było nazywane najczęściej kolonią, nabrał przekonania, że chodzi o niewielką osadę, którą łatwo byłoby ewakuować. Teraz oczywiście wiedział już, że byłoby to zadanie równie niewykonalne jak ewakuacja... Surabai. Z drugiej strony miasto dysponowało siłami wystarczającymi do odparcia jednoczesnego ataku nawet sześciu okrętów grików. Czegoś zatem chyba nie zrozumiał albo może jakieś element wypowiedzi wodza zginął w tłumaczeniu. Chyba że była to kolejna próba?

- Jeśli wrócą tak jak dawno temu, wtedy będzie ich dość... dość dla wszystkich - dokończył kapłan.

Matt spojrział na Nakję, potem na stojącego obok Kejego i na Sandrę.

- Opowiedzcie mi więcej o grikach - powiedział.

Przyjęcie trwało w najlepsze, szczęśliwy tłum śmiał się głośno i gadał. Grupa tancerzy znalazła dość miejsca obok pnia drzewa, żeby pokazać swój niebywały kunszt, przygrywał jej zespół wyposażony w bębny i przypominające rogi instrumenty dęte. Muzyka brzmiała wręcz transowo, ale w sumie była wesoła. Mimo tłoku wszyscy omijali tron wodza i jego gości.

Nakja trącił konstrukcję, na której zawieszono szereg dzwonek, i z komnaty obok wyłonił się naprawdę wiekowy lemur, który chyba czekał tam cały czas na wezwanie. Miał na sobie gwiazdzistą szatę kapłana, na szyi nosił sfatygowany, ale zawieszony na złotym łańcuchu wisior. Ścisnął go w dłoni i odezwał się podobną, może trochę płynniejszą łaciną co Adar przy pierwszym spotkaniu z przybyszami.

- Rozumiecie pradawną mowę - upewnił się na wstępie.

- Tak! To znaczy owszem, wasza... eminencjo - odparł

Bradford, zdumiewając chyba starca, który jednak nie dał się zbić z tropu.

- Nie cieszy mnie to, ale trudno - powiedział lekko ochrypłym głosem. - Chciałbym się dowiedzieć, jak to możliwe, ale ta sprawa może poczekać. - Przez chwilę jakby się zastanawiał, aż w końcu podjął opowieść. - Jestem Naga, wielki kapłan Baalkpanu. Opowiem wam o grikach i dziejach Ludu. Zwoje są dla nas źródłem wiedzy o naszej najdawniejszej historii i wskazówką, jak należy wieść życie, ale zięją w nich luki, olbrzymie, gdy chodzi o czasy między starożytnością a czasami obecnymi. Odkąd nauczyliśmy się pradawnej mowy i zaczęły się nasze dzieje, przeminęły setki pokoleń, które przekazywały sobie Prawdę z ust do ust, aż została ona zapisana. - Zamrugał kilka razy w sposób, który miał zapewne wyrażać żal. - Wiele przepadło na zawsze, jednak Zwoje jasno podają, że był taki czas, gdy cały Lud żył spokojnie i szczęśliwie na wielkim łądzie na zachodzie. Była to rozległa piękna kraina, cała zielona i porośnięta drzewami, i tylko morze bywało tam czasem groźne. Jednak Stwórca Wszechrzeczy, Największa z Gwiazd, wypełnił je drapieżnymi rybami, które chroniły nas przed dzikimi bestiami z ładu na dalszym zachodzie. I tak mijały lata. Ludzie rodzili się i umierali, żyjąc szczęśliwie, mając dość drzew na swe domostwa. - Pokręcił głową i ponownie zamrugał. - Jednak dla niektórych to nie było dość. Mimo szczęścia i dostatku chyba im czegoś brakowało. Zbudowali łodzie i zaczęli wyprawiać się na morze, żeby łowić w nim ryby. Zapuszczali się coraz dalej, badając nowe ziemie, aż w końcu jedna z łodzi dotarła do zachodniego ładu, gdzie mieszkały potwory. Grikowie - dodał ponurym głosem. - Jaszczury zabiły ich i zjadły, a potem zaczęły się zastanawiać, skąd przybyła ta nowa zdobycz.

Bradford tłumaczył jak mógł najszybciej, ale w końcu zaczął zostawać w tyle. Stary kapłan dostrzegł to i odczekał chwilę, nim znowu się odezwał.

- Grikowie zaczęli budować własne łodzie, kopie tych, które niechcący im dostarczyliśmy. Byli marnymi żeglarzami i wielu ginęło na morzu, a ryby pożerały ich ciała, ale zawsze znajdowali się następni. W końcu dotarli do dawnego rajy Ludu. Najpierw tylko garstka, tak jak teraz. - Przerwał i spojrzał na Nakję. - Zostali zabici i wrzuceni do morza. Nie było wśród nas wojowników i wielu przy tym zginęło, z początku jednak udawało się zabijać wszystkich, którzy nadpływali. Zawsze jednak pojawiali się kolejni.

Wkoło uformował się krąg słuchaczy, dla których opowieść kapłana była chyba ciekawsza niż przyjęcie. Stary kapłan sięgnął po kubek, żeby zwilżyć gardło.

- Rozumie pan, o czym mowa, kapitanie? - szepnął Bradford. - Ten ich pradawny raj to musi być Madagaskar. Oni naprawdę mogą być spokrewnieni z lemurami, tak jak od początku przypuszczałem. Może to odległe pokrewieństwo, ale...

- Odległe! - prychnęła Sandra. - Większość lemurów jest nie większa od kota. Nie widziałam żadnego o rozmiarach szympansa.

- I tu się pani myli. Na Madagaskarze żył kiedyś lemur olbrzymi, niemal tak rośli jak nasi przyjaciele. Widziałem zachowane do dzisiaj kości zwierząt tego gatunku. - Zmarszczył brwi.
- Nie były jednak ani trochę podobne do człowieka. Niemniej... i tak jest to dla mnie cenna informacja, gdy chodzi o teorię... - Musiał przerwać, bo kapłan ponownie się odezwał:

- Wojna o raj musiała trwać całe pokolenia. Nie wiemy tego, ponieważ Zwoje nic o tym nie wspominają. Niemniej Lud nauczył się w tym czasie budować wielkie statki, pływające domy, i gdy grikowie pojawili się w zbyt wielkiej liczbie, żeby można ich było odeprzeć, wyruszył na oceany i już nigdy nie wrócił do świętej ojczyzny. - Zamilkł na chwilę, żeby dać czas Bradfordowi, i spojrzał ze smutkiem na pień drzewa. - Z początku żeglowaliśmy na oślepi, nie umiejąc odczytywać znaków Niebios. Zналиśmy Wielką Gwiazdę Stwórcy, która wypełnia dzień blaskiem, oraz jej mniejszego brata, który rozjaśnia mroki nocy, jednak nie wiedzieliśmy nic o mniejszych gwiazdach przewodniczkach. Wielu zginęło, gdy morze rzuciło ich pływające domy na nieznane brzegi, gdzie ich kości oraz wraki ich statków bieleją do tej pory. Dość nas jednak ocalało, żeby przetrwać, chociaż sztormy i ciemność rozproszyły nas na dużym obszarze. Z czasem dostrzegliśmy światełko w mroku i nauczyliśmy się mądrości Niebios, zrozumiawszy, że gwiazdy są duchami tych, którzy odeszli, i strzegą nas z góry.

Kapłan spojrzał na ludzi i mrugnął.

- Niektórzy osiedlili się na północy, inni na południu. Niektórzy zginęli, próbując zaludniać małe wysepki pośrodku Morza Zachodniego, bo wszędzie tam, gdzie był ląd, prędzej czy później pojawiali się grikowie. Tylko morze było bezpieczne, ponieważ grikowie go nie lubili i nie umieli budować wielkich pływających domów. Oddzieleni od nich głębinami, w których panują gigaryby, zyskaliśmy na jakiś czas spokój i wydawało się, że grikowie zapomnieli o swojej zdobyczy. Trafiliśmy na lądy, na których nigdy nie gościli i żyły tam tylko prymitywne niecywilizowane jaszczury. Tak założyliśmy kolonie, lądowe domy. Większość Ludu znowu mogła się cieszyć życiem. Baalkpan i inne kolonie urosły w siłę, a pływające domy przemierzały morza, polując na gri-kakka, dostarczając tłuszcz i na nowo nawiązując kontakty z rozproszonymi siedzibami Ludu. Znowu staliśmy się jednością. Inaczej niż kiedyś, ale jednak, choć zmieniły się nasze języki i wierzenia. Grikowie stali się raczej legendą, mitycznymi bestiami, którymi straszy się dzieci, nie prawdziwym przeciwnikiem, którego musielibyśmy się bać. Tutejsze prymitywne jaszczury były zabijane bez litości, nie znały zresztą narzędzi ani broni. Obecnie żyją jeszcze na kilku wyspach, do których nikt nie przybija.

- Jak Bali - powiedział głośno Matt i stary kapłan zamrugnął potwierdzająco.

- Potem Niebiosa zesłały nam w darze pierwszych bezogoniastych - ciągnął - którzy przyплыnęli na trzech statkach. Słatkach uszkodzonych przez sztormy i z nadwątłonymi załogami. Byli zmęczeni, słabi i brakło im żywności, okazali się jednak przyjaźni i bogaci mądrością Niebios. Pożywiliśmy ich, daliśmy im odpocząć i pomogliśmy naprawić statki, oni zaś nauczyli nas w zamian, jak nie tylko gwiazdami, ale i słońcem kierować się, odnajdując drogę na morzu. To możliwe, ponieważ słońce jest dzieckiem Stwórcy Wszechrzeczy i jest z nim jednością. Zdradzili nam imiona tych gwiazd oraz lądów, jak Baalkpan, Borneo czy Bali. Jednak największym ich darem była pradawna mowa, w której ostatecznie spisano Zwoje i dzięki której teraz rozmawiamy.

- Boże - szepnął Matt. - Gwiazdy są duchami przodków, a słońce własnym synem... Ojciec, Syn i Duch Święty.

Sandra pokiwała głową.

- Ktokolwiek tu był, zostawił chyba więcej, niż się spodziewała - stwierdziła.

- Właśnie. Wolałbym, żeby Zwoje nie były tak głęboko osadzone w tradycji religijnej, ale...

Nie dokończył, ponieważ obserwujący ich uważnie Naga znów się odezwał:

- W końcu cały Lud mógł ponownie porozumiewać się ze sobą i żeglować bezpiecznie tam, gdzie wcześniej nikogo nie było.

- Co się z nimi stało? Jak wyglądali? - spokojnie spytał Bradford, zerkając jednak znacząco na kapitana.

- O tym, jak wyglądali, zapisano tylko tyle, że nie mieli ogonów, co już było niezwykle i niepokojące. Okoliczności ich przybycia były cokolwiek podobne... - Zawahał się. - Z ich odplynięciem wiąże się tragiczna historia, która obecnie zapewne ożyje na nowo, tyle że w naszym wykonaniu. Był wśród bezogoniastych pewien uczony, Salig-Maa-Stir, który nauczył naszych przodków pradawnej mowy oraz narysował im zarys lądów na morzu i zdradził ich nazwy. Podobno jego przywódca nie akceptował tego, co robił, i w końcu zakazali mu nauki ich codziennej mowy i magii Niebios, której strzegli zazdrośnie. Zaczął więc uczyć nas mowy, która nawet wśród jego ludu była już bardzo dawna, jednak tego mu zabroniono, nie pozwalając nawet, żeby kontaktował się z nami w innych sprawach niż wymiana różnych dóbr. Jednak jego najpilniejsza uczennica, Siska-Ta, podjęła dzieło mistrza. To ona spisała opowieść o odejściu bezogoniastych. Utrzymywali, że ich ojczyzna znajduje się na zachodzie, za lądem zamieszkanym przez grików. Jednak mimo całej ich wiedzy, Zwojów i narzędzi czuli się zagubieni i samotni, ponieważ cały ich lud zniknął. Siska-Ta i inni przyjęli, że został zgłodzony przez grików, którzy okazali się istotami wcale nie takimi legendarnymi, ale przed

odpłynięciem Salig-Maa-Stir wyjaśnił, że jego rodacy nie zostali pobici, ale po prostu zniknęli.

Matt i Sandra spojrzeli na siebie znacząco.

- To było jeszcze bardziej przerażające - kontynuował kapłan - ale bezogoniaści nigdy nie wyjaśnili, co chcieli przez to powiedzieć. Postanowili wysłać jeden statek do swojej ojczyzny i sprawdzić, co z nią się dzieje. Nasi przodkowie opowiedzieli im legendy o grikach, żeby przestrzec gości przed niebezpieczeństwem, ale oni i tak wiedzieli. Już wiedzieli! Już wcześniej spotkali grików. To była straszna nowina dla Ludu, oznaczała bowiem, że legendy są prawdziwe i grikowie rzeczywiście istnieją, tak jak nauczali tego kapłani. Najbardziej zaniepokoiło ich jednak to, że jaszczury przejmą statek bezogoniastych i wiedzę, która się w nim kryła, i niebawem do nas dotrą. Wodzowie na pozostałych dwóch statkach rozumieli ich obawy, ale nie mieli prawa powstrzymać tego, który chciał wrócić do domu. Ostatecznie na pokładzie tego jednego statku znaleźli się ci, którzy pragnęli nim popłynąć, i zabrali tylko podstawowe wyposażenie, prostą broń i jak najmniej Zwojów. Chodziło o to, żeby grikowie nie dowiedzieli się, gdyby opanowali ich statek, skąd on przybywa, gdzie zmierzał oraz, co chyba najważniejsze, że były jeszcze dwa inne statki, które udały się gdzie indziej. I tak pewnego wietrznego wiosennego dnia jeden odpłynął na zachód, najpewniej ku swej zagładzie, pozostałe zaś na wschód, znikając w pustych przestrzeniach Morza Wschodniego, które ciągnie się poza znany świat. To zdarzyło się prawie trzysta lat temu.

Stary kapłan znowu łyknął z kubka i oblizwał usta, ukazując poślizki i spróchniałe zęby. Wyraźnie nie raz opowiadał już tę historię i teraz, gdy wypełnił swój obowiązek, chciał już wziąć udział w przyjęciu.

- Czy Siska-Ta napisała coś jeszcze? - spytał Bradford.

- Oczywiście! Stała się pierwszą kapłanką Niebios i nie tylko dokończyła pierwsze Zwoje, ale i podróżowała po świecie, nauczając Lud starożytnej mowy oraz mądrości gwiazd. Dzięki niej znamy cieśniny, zatoki i wyspy od Morza Zachodniego po Ocean Wschodni, gdzie wody spadają poza kraniec świata. Zapisała też historię ludów, które spotkała i wśród których żyła. Była prorokinią. Wielką prorokinią.

- Czy Zwoje podają, gdzie dokładnie leżał raj waszego ludu? - zagadnął Bradford, chętny potwierdzić swoje domysły.

Kapłan przymknął na moment powieki, co miało wyrazić żal.

- Niestety, nie - odrzekł. - Wiemy tylko, że to gdzieś za Morzem Zachodnim, dokąd nikt nie śmie pozełgować. To bezdenne wody, w których spotkać można wielkie potwory, a za nimi są grikowie.

- Czy bezogoniaści zostawili cokolwiek? - zainteresowała się Sandra. - Coś, co kiedyś należało do nich?

- Trochę ozdób i ubrań, które zachowały się do dziś - powiedział zbywająco kapłan i spojrzał na swojego wodza. - No i jeszcze to.

Uniósł wisior, który spoczywał na jego piersi, i podsunął go gościom. Matt, Sandra i Bradford pochylili się, aby mu się przyjrzeć. Był to mosiężny dysk rozmiarów krążka hokejowego. Po chwili kapłan odchylił wieczko, ukazując środek.

- Czy to nie cudowne? - spytał.

Mieli przed sobą kieszonkowy kompas z wysuwającym zegarem słonecznym. Pod zmatowiałym szkłem poruszała się igła magnetyczna, wciąż uparcie wskazująca północ.

- Boże - wyszeptał kapitan. Kompas był zaiste czymś niezwykłym, ważniejszy jednak wydał się Mattowi grawerunek pokrywający wnętrze wieczka. Sandra też go zauważyła.

Jas. S. McClain

Sailing Master

H.E.I.C Ship

HERMIONE

- Boże - powtórzył Matt.

- Co znaczy H. E. I. C.? - spytała Sandra.

- To znaczy, że mieliśmy rację - powiedział Bradford. - Nie jesteśmy tu pierwsi. H.E.I.C. to skrót od Honorable East India Company.

- Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska? - spytała zdumiona pielęgniarka.

- Właśnie - stwierdził Matt. - Teraz już wiemy, skąd grikowie zaczerpnęli projekt swoich statków.

- Sądzi pan, że przechwycili tę jednostkę, która popłynęła na zachód?

- Musieli. Te statki handlowe były w praktyce okrętami wojennymi, a żaglowce grików do złudzenia przypominają siedemnasto- albo osiemnastowieczne jednostki Royal Navy. Albo właśnie Kompanii Wschodnioindyjskiej, która stawiała stoczniom te same wymogi co marynarka wojenna. To nie może być zbieg okoliczności. Wątpię, żeby załoga tego statku przetrwała techniczną edukację grików, ciekawi mnie jednak, co działo się potem z pozostałymi dwoma?

- Ale skoro to byli Brytyjczycy, dlaczego uczyli lemury łaciny? - spytała Sandra.

- W końcu pewnie zorientowali się, w jak dziwnej sytuacji się znaleźli, podobnie jak my.

Naga wspomniał, że trafili też na grików. Pewnie nie chcieli, żeby ktokolwiek zbyt wiele o nich wiedział. Woleli też nie ujawniać, dokąd płyną. Jakoś jednak musieli się porozumiewać i przypuszczam, że wybór języka, który nie był poza tym przez nich stosowany, wydał im się bezpiecznym rozwiązaniem. Dzięki temu mieli pewność, że cokolwiek się zdarzy, nikt nie przeczyta ich zapisków ani nie dowie się wiele od załogi.

- Jest w tym pewna logika - mruknął Bradford i spojrzał na Kejego, który był już chyba trochę zaniepokojony przedłużającą się konwersacją między bezogoniastymi. Reszta lemurów patrzyła na nich cierpliwie. - Dzięki Bogu, że nie zabrali ze sobą dział.

- Zwoje nie wspominają najwyraźniej, żeby grikowie używali od tamtej pory jakiegokolwiek zaawansowanej technicznie broni, co sugeruje, że Brytyjczycy rzeczywiście zdjęli działa z okrętu, który udał się na zachód - powiedział Matt. - Gdyby tego nie zrobili, skutki byłyby już dawno widoczne. Spytaj kapłana, od jak dawna spotykają ponownie grików i kiedy po raz pierwszy widzieli ich nowe statki.

- Zaczęło się dopiero pokolenie temu - odparł Naga. - Do tamtej pory trzymali się ładu na zachodzie i byli dla nas stworzeniami z legend. Jednak znowu się pojawili, tak jak w pradawnych czasach. Najpierw było ich mało, teraz jest coraz więcej.

Adar przetłumaczył, chociaż jego angielski nie nadawał się specjalnie do podobnych relacji.

- Takie statki widzieliśmy po raz pierwszy podczas bitwy, w której nas wsparliście. Wcześniej mieli podobne, ale mniejsze.

- Tak więc ich sztuka szkodnicza nie rozwinęła się wiele przez te trzysta lat. Tyle że powiększyli wcześniejszy projekt.

- Grikowie nie są wynalazcami - odezwał się gniewnie Keje. - Potrafią tylko naśladować. Przez lata nie spotkali nic lepszego niż te trzymasztowce i nie mieli pomysłu, co by w nich zmienić. Ale teraz wiedzą, gdzie jesteśmy, i będą przybywać. My będziemy z nimi walczyć i zabijać ich, ale oni będą tu ściągać coraz liczniej, aż w końcu nas wygubią albo zmuszą do ucieczki.

To już ostatecznie przekreślało skojarzenia z malajskimi piratami. Potrzebowali innego podejścia, do tego jednak konieczne były dokładniejsze informacje. Samo stwierdzenie, że „będą przybywać”, nie wystarczało. Musieli zdobyć więcej danych o przeciwniku. Matt poczuł znajomy dreszcz. Tak samo było po Pearl Harbor, gdy wiedzieli już, że zostali całkiem sami po tej stronie oceanu i przyjdzie stawić im czoła niewiadomemu. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że będzie trudno, ale nikt nie miał pojęcia, na co dokładnie powinni się przygotować. Rozumieli też, że spisano ich na straty, i byli wściekli na polityków oraz admirałów, którzy

lekką ręką przypieczętowali ich los w imię nieznanych dalekosiężnych planów. Bezsensowna sytuacja. Teraz jednak było jeszcze gorzej, ponieważ to Matt był dowódcą. On miał sporządzać plany, opracowywać strategie, robić politykę z tubylcami i to jego decyzje mogły uratować ich wszystkich albo zabić. Nagle przejście z poziomu taktycznego na strategiczny oszołomiło Matta. Sandra musiała dostrzec coś w jego twarzy, bo ponownie ścisnęła mu ramię.

- Jeśli się pojawią, pomożemy - powiedział w końcu Matt. - Możemy jednak pomóc już teraz, gdy jeszcze ich tu nie ma, i to będzie lepsza pomoc. Jeśli zaczniecie już przygotowywać się do walki, lepiej sobie poradzicie, gdy przyjdzie pora. Uwierzcie mi - dodał z uśmiechem. - Mój lud nauczył się boleśnie, czym może skutkować brak przygotowań. Może tym razem będzie inaczej.

- Nie widziałem jeszcze z bliska waszego niezwykłego statku, ale Keje i Adar wiele mi o nim opowiedzieli - powiedział Nakja. - Niemniej cóż może jeden statek wobec mnóstwa grików?

Matt pomyślał, że skoro wódz tak mówi, to chyba zaczyna już ulegać defetyzmowi.

- Zapewne nie dość, ale jednak sporo - odparł. - Przede wszystkim jednak możemy pomóc wam przygotować się do walki. Najważniejsze, czego w tym celu potrzebujemy, to paliwo.

Walker szarpał łańcuch kotwiczny tak długo, aż odpływ ustawił go lewą burtą do ożywionego światem miasta. Wkoło było całkiem ciemno, jeśli nie liczyć kojarzących się z Orientem świateł Baalkpanu, które odbijały się w szczytach fal. Chwilami słychać też było odgłosy zabawy. Alan Letts stał oparty o reling na wysokości działa numer trzy, przy którym pracowała po cichu grupa technicznych. Przygotowywali je do zdjęcia, żeby dostać się do uszkodzonej przekładni obracającej wieżę. Larry Dowden zatrzymał się przy nim i porozmawiał chwilę z Campetim. Alan usłyszał tylko wyrwane z kontekstu „jutro rano”.

Z warsztatu torpedowego dobiegły nagle przekleństwa i ostry zgrzyt metalu. Letts zdumiał się, słysząc, jak Japończyk odkrzyknął coś gniewnie w odpowiedzi na tyradę Sandisona. Potem huknęło, gdy któryś z nich cisnął chyba narzędzia na pokład. Nie doczekawszy się niczego więcej, Alan zachichotał.

- Albo zrobi z naszego Japońca najlepszego torpedystę pod słońcem, albo nakarmi nim ryby. - Ciągłe zdumiewało go, że dowódca pozwolił porucznikowi pracować przy jakimkolwiek uzbrojeniu, ale musiał przyznać, że przeciwnik miał świetne torpedy, a jeniec znał się na maszynach. Może więc Shinya wiedział też coś o torpedach i dlatego Letts

zasugerował taki właśnie przydział. Zresztą wszyscy musieli pracować, Japoniec też, i to było dla niego miejsce równie dobre jak każde inne.

Przeciągnął się. Miło było pobyc trochę na pokładzie, wdychając świeże powietrze, jednak bez tego parzącego skórę słońca. Podrapał się po przedramieniu, zgarniając paznokciami złączący naskórek. Robię się jak Myszwowaci, pomyślał. Jeszcze trochę, a będę mógł wychodzić na światło dzienne tylko w nocy. Boże, jak chciałbym wrócić do domu.

Daleko na zachodzie błyskawica rozdarła ciemne chmury. Pewnie będzie padać, przeszło mu przez głowę. Może dla odmiany zgniję. Sam nie wiedział, co bardziej go wkurzało, palące słońce i upał ostatnich dni czy ten deszcz, który pojawiał się kilka razy na dobę i sprawiał, że wszystko okrywało się pleśnią. Po namyśle stwierdził, że naprawdę pora byłoby wracać do Idaho.

Zapalił papierosa i pozwolił, żeby zawisł mu na wargach. Wielu tak robiło, podpatrzywszy zapewne pomysł w kinie i uznawszy, że może zadawać w ten sposób szyku. Jeszcze trochę, a palenia też nie będzie, pomyślał. Nie przeszkadzało mu to tak bardzo jak niektórym. Niestety kończyły się też inne rzeczy, bez których znacznie trudniej było się obejść, a on nie miał pojęcia, gdzie je zorganizować. Odpowiadał za zaopatrzenie, jednak od czasu napotkania kocich małp czy lemurów, jak je zwał, tak zwał, był jak na pustyni. Wcześniej świetnie sobie radził z papierkową robotą, wysyłając zapotrzebowania i lokalizując to, co było im potrzebne. Jak przychodziło, to było, a jak nie docierało, nie desperował, bo zawsze dawało się coś zdziałać. Gdy maszyny potrzebowały nowej pompy wodnej, znajdował im ją w stoczni w Cavite albo na jakiś tendrze w rodzaju *Black Hawka*. Jeśli twierdzili, że to „ostatnia i zaklepana”, bo chowali ją dla *Peary'ego* albo *Stewarda*, których zaopatrzeniowcom byli winni przysługę, potrafił być uparty i dogadywał się do skutku. Jednak z pustego nalać nie potrafił i tym razem nie wiedział, co robić. Miał nadzieję, że może kapitan na coś wpadnie.

Spojrzał w lewo, gdzie ktoś oparł się o reling ledwie kilka stóp dalej. To była pielęgniarzka, druga z obecnych na pokładzie, z kasztanowymi włosami. Ta, która prawie nigdy się nie odzywała. Karen jakoś. Karen Theimer.

- Cześć - powiedział i znów spojrzał w stronę brzegu.

Dziewczyna zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Co tam się dzieje? - spytała, wskazując na miasto.

Alan wzruszył ramionami.

- Wielki wódz wita - odparł z uśmiechem. - Skąd mam wiedzieć? Moja być zwykły porucznik, co nie pyta dlaczego. Moja mieć nadzieję, że uda nam się ściągnąć stamtąd jakieś

zaopatrzenie. Taka być moja robota i lubić, jak niczego nie brak. Teraz my mieć niewiele.

Nie zaśmiała się, nawet nie uśmiechnęła. W ogóle nic nie powiedziała, wypuściła tylko kolejny kłęb dymu. Stojąc tak blisko i patrząc na nią w nikłym blasku księżyca i poświacie pojawiających się na zachodzie błyskawic, Alan stwierdził nagle, że dziewczyna jest jednak całkiem ładna. Zaśmiał się w duchu, że oto spotyka jedną z dwóch kobiet na tym świecie i o czym z nią rozmawia? O zaopatrzeniu! Po chwili doszedł do smutniejszego wniosku, że jeśli rzeczywiście zostały tylko dwie, każda z nich byłaby piękną, nawet gdyby zamieniła się na urodę z koniem.

- Niewiele mogę pomóc - odparła rzeczowo. - To był dla mnie ciężki okres. Przerosło mnie to wszystko. Zawsze prowadziłam spokojne życie i myślałam, że praca pielęgniarki pokładowej będzie dla mnie wielką przygodą. - Spojrzała na niego, uśmiechając się lekko. - Chyba wykrakałam. Mogłam jednak lepiej się sprawić. Porucznik Tucker miała rację. Jeśli chcemy przeżyć, wszyscy musimy się sprężyć, choć nikt nas do tego nie przygotowywał. Za dużo się zmieniło i trzeba zmienić podejście do życia. Gdy musiałam popłynąć na statek lemurów, byłam śmiertelnie wystraszona. - Zadrżała. - Oni są... jak obcy z innej planety. Jak Marsjanie. Gdy zobaczyłam tę rzeź po bitwie, chyba zamknęłam się w sobie. Potem jednak zrozumiałam, że nie mogę być dłużej tylko zwykłą pielęgniarką. Rozumie pan? - Nagle przeczesła nerwowo włosy. - Boże, po co ja to panu mówię? Jest pan zupełnie obcym człowiekiem.

Spojrzał na nią i westchnął.

- Tak - przyznał. - Jestem. Ale chyba panią rozumiem. Też miałem podobny problem. Powtarzałem sobie, że jestem tylko zaopatrzeniowcem i nie docierało do mnie, że teraz to już nic nie znaczy. Albo znaczy co innego. Ale dłużej niż pani dochodziłem do prawdy. Dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego i tym razem zobaczył w świetle miasta dołki w jej policzkach.

- Nazywam się Karen Theimer. A pan, poruczniku?

Rozdział 6

Porucznik Benjamin Mallory i podporucznik Perry Brister siedzieli na krzesłach w ciasnej kabinie Jima Ellisa na pokładzie USS *Mahan* i czekali, aż oficer się obudzi. Poprzedniego wieczora wreszcie spadła mu gorączka i Pam Cross zapewniła ich, że pacjent dojdzie do siebie, musi się tylko wyspać. Czekali więc, grając w kości na małym stoliku. W końcu Ellis jęknął i zaczął z wolna wracać między żywych. Spojrzał ze zdumieniem na obu mężczyzn i oblizał wargi.

- Pić.

Moment później pielęgniarka zjawiała się z kubkiem wody.

- Masz - powiedziała, prezentując swoje maniery rodem z Brooklynu. - Pij.

Jim wypił. Gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał prawie normalnie.

- Jak długo? - spytał.

- Prawie dwa tygodnie od uderzenia gorączki. Ile pan pamięta? - spytał Brister.

- Niewiele - przyznał chory i spróbował się unieść, jednak ból wykrzywił mu twarz i poniechał wysiłków. - Kojarzę tylko, że ten sukinsyn Kaufman strzelił do mnie!

Nagle przypomniał sobie więcej. Dinozaury na Bali, tajemniczy kontakt w cieśninie i sygnał nakazujący *Mahanowi* natychmiastowe odejście na wschód. Owszem, wykonał ten rozkaz, ale daleko nie popłynęli. Po co? Skoro na Bali były dinozaury, od czasu szkwału nie napotkali zaś żadnych japońskich okrętów ani samolotów i wszystko sugerowało, że już ich nie spotkają, rozkazał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i powrót do *Walkera*.

Wtedy Kaufman zaczął się z nim kłócić. Z początku mówił nawet rozsądnie, dowodząc, że powinni płynąć do punktu zbornego przy wyspie Alor. Jednak gdy Jim nakazał zwrot, zaczął się unosić. Zarzucał, że dowódca niepotrzebnie ryzykuje ich życie. Jim kazał usunąć go z mostka i wtedy tamten sięgnął po pistolet. Kim i paru innych zaraz rzucili się na niego i zaczęła się szamotanina, podczas której padł strzał. Zapewne przypadkowy, ale pocisk trafił Jima w lewą nogę tuż pod kolaniem i wyszedł łydką, trochę nad kostką. Ludzie gotowi byli wyrzucić Kaufmana za burtę, ale ciągle miał broń i nie chciał się zamknąć. Powiedział, że zawracanie to samobójstwo, oni zaś zrobili już swoje. Okręt był prawie wrakiem, a ludzie mieli dość. Zasłużyli, żeby przeżyć. Wtedy pan Monroe, drugi obecny na pokładzie oficer marynarki poza Bristerem, który był akurat w maszynowni, wziął nagle jego stronę.

Stwierdził, że powinni posłuchać Kaufmana, który jest w końcu kapitanem, i że to szaleństwo wracać po tym piekle, które przeszli. Załoga zaczęła nastawiać ucha. Byli wściekli z powodu postrzelenia Jima, ale po prawdzie nie był on ich dowódcą, tylko obcym oficerem, który objął okręt. Kaufman zaś domagał się głośno tego, czego oni po cichu też pragnęli. I tak to poszło. Zanim Mallory czy Brister zorientowali się, co jest grane, Kaufman przejął okręt.

Potem zaczął kombinować. Zamiast wziąć kurs na Alor, zrezygnował z rejsu do Perth przekonany, że między nimi a Australią muszą być japońskie lotniskowce. W tej sytuacji został mu tylko Cejlon. Cały dzień płynęli na wschód, tuląc się do wybrzeża. Pierwszą noc przeczekali w cieśninie Lombok. Wciąż nie widzieli ani śladu przeciwnika, ale dla Kaufmana nie miało to znaczenia. Dotarcie do Cejlonu stało się jego obsesją, a nade wszystko zapewne obawiał się spotkania z *Walkerem*. Omijał wszystkie akweny, na których mogliby trafić na siostrzaną jednostkę. Jim przebywał cały czas w mesie oficerskiej. Nie jako aresztowany, ale poniekąd na wygnaniu. Starał się być na bieżąco, w czym Brister i Mallory byli bardzo pomocni. Reszta załogi jakby bała się spojrzeć mu w oczy. Było kilka wyjątków, jak bosmanmat Frankie Steele czy torpedysta Russ Chapelle, ale to było za mało, żeby odzyskać okręt. Potem, mimo wysiłków lekarza i pielęgniarek, Jim dostał wysokiej gorączki. Ostatnie, co pamiętał, to że zbliżali się do Cilacapu na Jawie i mieli nadzieję dostać tam paliwo.

- I co było dalej? - spytał, odchrząknawszy. - Znaleźliście w ogóle miasto?

Brister i Mallory spojrzeli po sobie. Ben pokręcił głową.

- Nie, sir - zaprzeczył. - Nie pamięta pan? Rozmawialiśmy o tym zaraz po naszym powrocie na pokład.

Jim potrząsnął głową.

- Wyobraź sobie, że mnie nie widziałeś - powiedział, próbując się uśmiechnąć. - Od początku zatem. Co znaleźliście?

- Nic, sir. W każdym razie nie widzieliśmy niczego, co wyglądałoby jak Cilacap. - Podobnie jak inni, którzy byli wcześniej Jawie, wymawiał tę nazwę „Czilaczap”.

- Co widzieliście?

- Bardzo dziwną i rozległą wioskę. Prawie miasto. Nie wiem, jak to nazwać, ale było naprawdę duże. Z wielopiętrowymi budynkami wzniesionymi jakby z bambusa. Było opuszczone i częściowo spalone.

- Opuszczone?

- Tak. Chociaż chyba nie porzucono go dobrowolnie. Wyglądało tak, jakby doszło w nim do walki. Wszędzie wały się kości i nadjedzone przez zwierzęta ciała. Trupy miały futra i ogony i na pewno nie były ludzkie.

- Sir, w tym mieście żyły setki mieszkańców i nie został tam nikt żywy - odezwał się Mallory. - Moim zdaniem coś ich pożarło. Nie ścierwojady, bo one nie usypują stosów z kości.

Pam wyszła na chwilę i wróciła z termometrem.

- Pani też to widziała? - spytał Ellis.

- Tak - stwierdziła pielęgniarka z zaciętą miną i wetknęła mu termometr w usta.

- Poza tym jest jeszcze gorzej, sir - powiedział Brister. - Kaufmanowi już kompletnie odbiło. Powtarza, że Cejlon jest naszą jedyną nadzieją i że za wszelką cenę musimy tam dopłynąć. Nikogo nie słucha. Gdy powiedziano mu, że niemal wszyscy są za tym, żeby niezależnie od konsekwencji odszukać *Walkera*, zagroził, że następnego, który to zaproponuje, zostawi w szalupie na pustym oceanie. - Otarł pot z czoła, a pielęgniarka wyjęła Jimowi termometr i mruknęła coś pod nosem. - Potem dopadł nas sztorm. Może nie taki znowu wielki, ale w obecnym stanie nabraliśmy sporo wody i mieliśmy szczęście, że zostaliśmy na powierzchni. Rano opanowaliśmy sytuację, ale pompy ledwie dawały radę i trzeba było wykonać kilka napraw, schowaliśmy się więc w zatoczce przy wyspie Panaitan...

- I tam trafiliśmy na samolot! - nie wytrzymał uśmiechnięty szeroko Mallory.

- Samolot?

- Tak, sir. PBY *Catalina*. Może go pan zobaczyć przez bulaj.

Ellis spróbował się podnieść, ale był jeszcze za słaby Mallory natychmiast pożałował swoich słów, ale siostra pomogła oficerowi. Inna sprawa, że ciężko przy tym westchnęła. Ellis ledwie co widział i w głowie mu się kręciło, ale poznał znajomą sylwetkę wodnosamolotu, wyciągniętego częściowo na plażę. Był trochę poobijany, ale nader prawdziwy.

- Nie żartował pan - stwierdził. - Jak on się tu znalazł?

Obaj mężczyźni wzruszyli ramionami.

- Pewnie tak samo jak my - powiedział Mallory. - Gdy wpłynęliśmy do zatoki, leżał po prostu przy plaży. Nigdzie nie dostrzeżliśmy załogi. Ta wyspa jest pełna jaszczurów. Takich ja te, które pogryzły pańskiego człowieka na Menjanganie. - Nie musiał dodawać, co się zapewne stało z załogą samolotu. - Maszyna ma trochę dziur po pociskach i nabrała wody, ale poza tym jest w porządku. Tyle że paliwo się skończyło. Radio nie działa, to sprawdziliśmy zaraz na początku. Palmer uważa, że słona woda przeżarła styki. Był tam z nami. Widać przerzuciło tę catalinę podobnie jak nas i chłopaki lecieli później przed siebie, aż w okolicy Cieśniny Sundajskiej zabrakło im paliwa. Może to była jedna z maszyn, które próbowały przeszkodzić Japończykom w atakach na nas, gdy *Huston* dostał bombą. Najodważniejsi ludzie, jakich widziałem. Zanurkować w trzy PBY między myśliwce i bombowce, żeby utrudnić im

celowanie... - Pokręcił głową. - Szaleńcy.

- Możliwe - przyznał Brister. - Ale jest też dobra nowina. *Mahan* ma na rufie beczki z benzyną lotniczą, *Walker* zresztą tak samo. Wozimy ją na wypadek, gdybyśmy musieli tankować jakiś wodnosamolot. Wlaliśmy jej trochę do zbiorników maszyny i uruchomiliśmy silniki. Działają bez zarzutu. Zrobiliśmy to we trzech, gdy wszyscy poza nami pracowali na okręcie. Moje miejsce jest wprawdzie tutaj, ale myślę, że Kaufman mi nie ufa.

- Jak długo już tu jesteśmy i ile czasu poświęciliście samolotowi? I czy on naprawdę poleci? - spytał Ellis z nadzieją w oczach.

- Tak z tydzień - odparł szeptem Mallory. - Jeszcze kilka dni i możemy startować.

Nagle na okręcie rozległ się sygnał alarmu i aż podskoczyli.

- Alarm bojowy! Wszyscy na stanowiska! Przygotować się do podniesienia kotwicy!

Spojrzeni po sobie, zdumieni tymi rozkazami, ale zanim cokolwiek zdołali wykrztusić, do mesy zajrzał Frankie Steele.

- Jakies statki pojawiły się w cieśninie!

- Statki? - spytał Jim.

- Aye, sir... Cieszę się, że czuje się pan lepiej. Duże żaglowce, takie jak na filmach historycznych, tyle że prawdziwe. Kierują się w naszą stronę.

Jim spojrzał na Bristera i Mallory'ego.

- Ratujcie samolot! - rzucił do nich. - Nie pozwólcie, żeby Kaufman go tu zostawił!

Obaj oficerowie bez słowa wybiegli z mesy. Na pokładzie spotkali Eda Palmera, który chyba też ich szukał.

- Weź co się da - powiedział do niego Brister. - Jedzenie, wodę, cokolwiek, co może się przydać, i spotkamy się przy motorówce.

- Co zamierzacie? - spytał Palmer.

- Podpisać pakt z diabłem! - warknął Brister i pobiegł na stanowisko dowodzenia. Stojący tam Kaufman wpatrywał się przez lornetkę w odległe jeszcze statki. Dłonie mu się trzęsły.

- Kapitanie Kaufman, co z samolotem? - zapytał pilota Brister. - Nie możemy go tu zostawić. Do wieczora będzie zdolny do lotu. Przed czym uciekamy?

Kaufman spojrzał na niego przekrwionymi oczami, w których malowało się przerażenie. Od wielu dni nie golił się ani nawet nie czesał i nie przypominał nijak tego zawadiackiego lotnika, którego poznali, gdy wszedł na pokład u brzegów Menjanganu. Wyglądał jak zwierzątko ogarnięte paniką i zdążył już nią zarazić większą część załogi.

- Proszę - powiedział piskliwie, podając Bristerowi lornetkę.

Podporucznik ujrzał trzy pomalowane na czerwono żaglowce starające się jak najszybciej

do nich dopłynąć. Gdy wyostrzył obraz, dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

- To nie są ludzie - powiedział nieswoim głosem. To były potwory.

- Teraz rozumie pan, dlaczego musimy odpłynąć? - spytał z sarkazmem Kaufman. - Wciągać szalupę na pokład!

- Chwilę - powiedział Brister, zwilżając językiem wargi. - Oni muszą walczyć z prądem oraz wiatrem i dotrą tu za kilka godzin. Proszę pozwolić nam zająć się do końca samolotem. - Przerwał i spróbował z innej strony: - Jeśli nam się uda, będziemy mogli polecieć na Cejlon i sprowadzić pomoc. Może nawet przyślą nam eskortę.

To dotarło do Kaufmana.

- Daje pan głowę, że wystartujecie, zanim tu będą?

Brister skinął głową.

- To dobrze, bo nie będziemy na was czekać. Panie Monroe! - zawołał Kaufman. - Proszę zabrać pana Bristera oraz jego ludzi na brzeg i wrócić jak najszybciej na okręt.

- Nie zostawi nam pan nawet łodzi? - spytał z niedowierzaniem Brister.

- Nie. Gdy wyląduje pan na brzegu, może pan zniszczyć samolot i wrócić z panem Monroe albo wystartować. Wybór należy do pana.

Perry pokręcił głową.

- Kapitanie Kaufman, jest pan tchórzem, sir.

Nie czekając na odpowiedź, zszedł po schodni. Po drodze na wyspę opowiedział pozostałym o zachowaniu kapitana.

- Do diabła z nim. Wolę spróbować z samolotem - stwierdził Mallory.

Palmer nic nie powiedział, ale minę miał ponurą.

- Nie widzieliście tego co ja - dodał Brister. - Przypuszczam, że nasi goście to te same stwory, które zgładziły mieszkańców miasta, kimkolwiek oni byli. Polecimy albo będzie po nas.

Gdy dotarli na miejsce, rzucili sprzęt na piasek obok samolotu.

- Zostaw nam chociaż ręczną pompę! - zawołał Perry, gdy motorówka miała odpływać.

- *Mahan* podnosi już kotwicę! - odkrzyknął Monroe. - Nie chcę tu zostać! - Zasalutował im szyderczo. - Nawet jeśli to wasz pogrzeb!

- Drań! - rzucił Palmer.

Obrócili się w stronę samolotu. Brister miał wielką nadzieję, że naprawdę im się uda. Nie wiedział, kim są te stworzenia na statkach, ale ich widok wprowadził go w przerażenie.

- Na co czekamy? - rzucił do Palmera.

Gorączkowo wzięli się do roboty. Byli tak zajęci, że nie zauważyli nawet, kiedy *Mahan*

wyszedł z zatoki, ale gdy znowu spojrzeli na wodę, dziwne statki zmieniły kurs i próbowały ścigać niszczyciel. Oczywiście były bez szans i szybko ponownie skierowały się w stronę wyspy. Załogi musiały już dostrzec samolot i czy to prąd pływów zmienił kierunek, czy wiatr, zbliżały się jakby szybciej.

- Wylewajcie! - zawołał Brister i kolejny kubeł wody wrócił do morza przez otwarte stanowisko obserwatora na burcie samolotu. Chyba zaczął się już przypyływ, bo samolot zaczął się unosić na wodzie. Wciąż był jednak za ciężki, żeby wystartować. Mallory przerwał pracę i spojrzął na nadciągające statki.

- Nie da rady - stwierdził. - Musimy wynieść się z tej plaży, nim odetną nam drogę.

- Ciągle jest za dużo wody w kadłubie!

- Za dużo, żeby latać, to prawda - zgodził się lotnik i przeszedł do kokpitu. - Rzuć cumę, Palmer.

Ed zawahał się.

- Ale jak wejść do wody, ryby mogą mnie dopaść.

- Jak nie wejdiesz, tamci dopadną nas na pewno. Możesz sięgnąć ją z dziobowego stanowiska strzeleckiego. Przy okazji, umiesz to obsługiwać? - spytał, wskazując na zamontowany w pleksiglasowej wieżyczce karabin maszynowy kalibru .30.

- Tak - odparł trochę niepewnie Palmer i poszedł zająć się cumą.

Samolot zaczynał kołysać się na falach. Minęło kilka nerwowych chwil.

- Mam ją! - oznajmił Palmer i niemal natychmiast nos maszyny odsunął się od plaży.

- Dalej, dziecińko! - rzucił Mallory.

Oba silniki zakaszlały i ożyły. Operując gazem i sterem, ustawił maszynę dziobem w kierunku zatoki. Statki były już na tyle blisko, że gołym okiem widzieli dziwne stworzenia na ich pokładach. - Są już prawie przy nas! Najpierw spróbuję ich okrążyć, wylewajcie więc cały czas wodę, ale gdy wam powiem, bierzcie się zaraz do pięćdziesiątek.

Miał na myśli karabiny maszynowe kalibru .50, które znajdowały się przy obu obłych osłonach stanowisk na burtach maszyny.

- Ale paskudne stwory! - sapnął Palmer, patrząc na żaglowce.

- Tak - zgodził się Blister. - Łap wiadro!

Mallory przesunął dźwignie przepustnic i wodnosamolot ruszył przed siebie.

- Chcą wziąć nas w kleszcze - oznajmił. - Ale damy radę. Nie odchodźcie daleko od karabinów na wypadek, gdyby jednak zamknęli przejście.

Ryczące silniki niosły ich coraz bliżej napastników. Rychło weszli między obie jednostki, które ukazały się im teraz w całej potworności.

- Kurwa! - krzyknął Palmer, gdy coś uderzyło w aluminiowe poszycie maszyny tuż obok niego. To była strzała, pierwsza z wielu. - Kurwa, strzelają do nas!

- No to im odpowiemy! - zawołał Brister i obaj otworzyli ogień do strasznych statków.

Smugowe pociski wyrwały całe chmury drzazg, wiele ciał poleciało za burzę. Wrzask potworów był tak głośny, że przebił się nawet przez ryk silników, lecz deszcz strzał urwał się niemal natychmiast. Jednak chwilę później coś ognistego wylądowało tuż obok lewego skrzydła i ogień niemal przysmażył Bristerowi włosy.

- Co to było, u diabła?! - zawołał. - Ben, gaz do dechy!

Mallory przesunął przepustnice do oporu i pełna jeszcze wody maszyna leniwie nabrała prędkości. Huk silników i odgłos kolejnych serii z karabinu maszynowego nie pozwalały nawet zebrać myśli. Kolejna erupcja ognia nastąpiła daleko za ogonem. Widocznie to, że przyspieszyli, zmyliło celowniczych. Potem, równie nagle jak się zaczęła, walka dobiegła końca. Wrogie statki zostały z tyłu i Brister kazał wstrzymać ogień. Trzecia jednostka wciąż kierowała się w ich stronę, była jednak za daleko, żeby odciąć im drogę ucieczki. Bryzgi odkosów spod dziobu maszyny wpadały przez otwarte osłony stanowisk obserwacyjnych i parowały z sykiem na rozgrzanych karabinach.

- Wow! - krzyknął Brister, spoglądając na Palmera.

Wciąż mieli mnóstwo wody w kadłubie, ale odплыnęli jak najdalej pod wiatr i dopiero potem się nią zajęli. Mallory ustawił śmigła w chorągiewkę, dał minimalny gaz i też złapał za wiadro.

- Cholerne strzały - sapnął, wylewając kolejną porcję. - Wyglądamy teraz jak poduszeczka do igieł. Ale potwory dla nas znalazłeś!

- Ciesz się, że nie miały muszkietów ani armat - odparł Brister. - Wtedy bylibyśmy bez szans.

- Pewnie! I co teraz? - spytał Palmer.

- Machaj wiadrem - powiedział Ben. - Jeszcze kilkaset funtów i damy radę wystartować. Potem po prostu zrzucimy resztę. I patrzcie, czy nie ma jakichś dziur!

Niecałe pół godziny później sfatygowany wodnopłatewiec wzniósł się w powietrze i ruszył w ślad za *Mahanem*. Mallory nie miał pojęcia, czy potwory widziały ich poczynania. Możliwe, że nie, bo chyba nie opuściły jeszcze zatoki, ale gdyby jednak, chętnie dowiedziałby się, co o tym pomyślały.

Szybko dogonili niszczyciel, wylądowali i podплыnęli do jego burty. Brister kipiał wściekłością na człowieka, który zostawił ich samych sobie, ale ku jego zdumieniu Kaufman przywitał ich całym uśmiechnięty i wsiadł do motorówki, która skierowała się stronę samolotu.

- Tylko spokojnie - powiedział Mallory. - Pamiętaj, lecimy na Cejlon. Nie zepsuj niczego. Brister zacisnął zęby, chociaż nadal najchętniej zabiłby kapitana gołymi rękami.

- Może strzelę mu z trzydziestki między oczy? - spytał ponuro Palmer.

- To nic nie da. Jak powiedział pan Ellis, ma zbyt wielu zwolenników. Jeśli nawet go dostaniemy, ludzie skoczą sobie do gardeł. Niektórym odbiło równie mocno jak jemu, a wszyscy są uzbrojeni.

- Dobra - mruknął Mallory, tak manewrując maszyną, żeby nie potracić motorówki. - Zostajemy przy pierwotnym planie. Bierzymy paliwo i co jeszcze się nawinie. Mapy, więcej prowiantu i tak dalej. Może nawet ludzi, ale nie nalegajcie za bardzo. Pana Ellisa i tak nie puszczą.

- Zgadza się.

Perry i Ed przeskoczyli do motorówki.

- Jednak wam się udało! - zawołał Kaufman. - Mielicie jakieś kłopoty?

- Nie - skłamał gładko Brister. - Łatwizna. Ale teraz pospieszmy się. Najpierw paliwo. Im szybciej wystartujemy, tym szybciej będziemy na Cejlonie.

Kaufman nie pozwolił dobrać nikogo do załogi. Uznał, że trzech to akurat jak na tak ryzykowny lot. Perry zdołał jeszcze wymknąć się na chwilę „po parę gratów” i zajrzeć do Ellisa. Spotkał go na dole stromej zejściówki, gdy chory próbował o kulach wdrapać się na górę. Pam Cross i Kathy McCoy pomagały mu jak mogły. Beth Grizzel nie było akurat w pobliżu.

- Udało wam się - sapnął Perry. - Dzięki Bogu.

- Tak, sir. Dzięki Bogu. Nie dzięki temu draniowi Kaufmanowi. Zostawił nas, żebyśmy zginęli.

- Wiem. Słuchaj, musicie znaleźć *Walkera*! Kaufman zwariował, podobnie jak połowa załogi. To tylko kwestia czasu, aż pozabija nas wszystkich. Wiem równie dobrze jak ty, że nie ma już tego Cejlonu, który znaliśmy. Znajdź *Walkera* i kapitana Reddy'ego... - Urwał, nie mogąc złapać powietrza.

- Znajdziemy go.

- Powiedz mu, że jest mi przykro, że go zawiodłem. Przykro mi, że zawiodłem ludzi.

- To nie pańska wina, sir!

- Nie? Może i nie, ale jestem za to odpowiedzialny.

- Strzelił do pana!

Jim zaśmiał się gorzko.

- Dobry dowódca strzeliłby pierwszy. A teraz zbieraj dupę, zanim ten drań zacznie coś

podejrzewać.

Perry spojrzął na pielęgniarki. Nie chciał ich zostawiać, ale Kaufman na pewno stanąłby okoniem. Lekarz ledwie sobie radził i dziewczyny były naprawdę potrzebne, ponieważ na okręcie było jeszcze wielu rannych. Poza tym wyprawa mogła się nie udać. Mieli ograniczony zasób paliwa i nie wiedzieli, gdzie może być *Walker*.

- Aye, aye, sir - odparł Brister i uściśnął dłoń Ellisa.

Pam ucałowała oficera w policzek.

- Na szczęście - powiedziała, ściskając mu mocno ramię. - Proszę powiedzieć porucznik Tucker, że nie tracimy wiary. - Spojrzała na Kathy. - Przynajmniej my. Beth odbiło podobnie jak Kaufmanowi. - Wzruszyła ramionami i znów pocałowała Bristera, tym razem w usta. - Podwójnie powodzenia. A teraz proszę się stąd zabierać.

Perry zarumienił się, ale zaszalował porucznikowi Ellisowi i pobiegł do motorówki.

Gdy chwilę później wzlcieli w mroczniejące niebo i okrążyli samotny, zmierzający donikąd niszczyciel, Brister dostrzegł wspartego na kulach Ellisa na pokładzie. Stał przy relingu w otoczeniu małej grupki ludzi.

Dwa i pół tygodnia po przybyciu *Walkera* na wyspę miasto ogarnął szal aktywności. Matt przypuszczał jednak, że mimo iż tubylcy zrozumieli, co im grozi, nie byli w pełni przygotowani na to, co ich spotkało, gdy załoga niszczyciela zabrała się do pracy. Przystawienie ich gospodarki na tory wojenne wywołało nawet pewne protesty, ale Matt zbyt dobrze wiedział, co zdarzyło się w Pearl Harbor i na lotnisku Clark Field. Na własne oczy widział Cavite. Była to bolesna lekcja i jak długo jego los był związany z losem nowych przyjaciół, nie zamierzał marnować czasu, którego później mogło zabraknąć. Załoga *Salissy* miała równie silną motywację i remont wielkiego żaglowca ruszył z kopyta.

Dzień po imprezie powitalnej *Walker* podszedł do nabrzeża i wszyscy zakasali rękawy. Naprawiono dział numer trzy, sprawdzono wszystkie przewody i złącza systemu kierowania ogniem. Utrzymując pod parą tylko kocioł numer cztery, żeby mieć energię elektryczną, sprawdzili pozostałe dwa i doprowadzili je do ładu od środka. Z pierwszym nic się nie dało zrobić, został więc odłączony i przygotowany do demontażu. Spanky chciał wykorzystać miejsce po nim do przechowywania paliwa. Gdy tylko je znajdą, oczywiście.

Podobnie jak załoga *Salissy*, miejscowi też byli zdumieni, że niszczyciel został zbudowany z żelaza. Ile razy spawacze brali się do pracy, na nabrzeżu zbierał się tłum czekający na iskry i oślepiający blask palników. Witali je z takim entuzjazmem, jakby obserwowali pokaz sztucznych ogni. Lud znał żelazo, ale uważał je za zbyt trudne do wytopienia, żeby powszechnie go używać. Dave Elden, który przepracował dwa lata w hucie

w Pittsburghu, porozmawiał o tym z właścicielami odlewni znajdującej się na północnym krańcu miasta. Powiedział potem, że używają niemal wyłącznie piaskowych form, ale są w tym bardzo dobrzy i mając większe piece i kogoś do pomocy mogą zrobić praktycznie wszystko. Pewnie nawet mogliby wytapiać żelazo, gdyby udało się gdzieś znaleźć źródło rudy.

Połowa obsady maszynowni udała się z Bradfordem i jakąś setką tubylców na poszukiwania ropy. Wyruszająca kolumna kojarzyła się z dziewiętnastowiecznym safari. Szybko trafili na dające nadzieję miejsce, w czym bardzo pomogły mapy Australijczyka i jego zapiski na temat holenderskich odwiertów. Uznał, że złoża powinny znajdować się w tym samym miejscu co w ich świecie, i chociaż nie podzielił się z nikim swoją teorią, Matt miał podobne podejrzenia i chętnie by o tym porozmawiał, wszyscy byli jednak zbyt zajęci.

Dostarczywszy rzeką potrzebne materiały, zabrano się do budowy czegoś, co przewodzący pracom Myszowaci nazwali Szpadlem z Fort Worth. Kapitan słyszał o tym urządzeniu, ale nigdy go nie widział. Pierwszy raz miał też okazję rozmawiać z dziwnymi palaczami, co okazało się szczególnym doświadczeniem. Po chwili zaczął odnosić wrażenie, że konwersuje z oPOSEM z papugą na ramieniu. Poczł się jednak przekonany, że wiedzą, co robią i jak się do tego zabrać. Oby tylko zdołali przystęp niej wytłumaczyć rzecz reszcie ekipy.

Inny zespół pracował ciężko nad przerobieniem wyrzutni torpedowej numer trzy w wieżę kondensacyjną. Miało to być rozwiązanie tymczasowe, do czasu zmontowania większego urządzenia, o znaczniejszej wydajności. Niedaleko odwiertu przygotowano teren pod małą rafinerię, na rzece budowano zaś pirs paliwowy. Musiał sięgać na tyle głębokiej wody, żeby *Walker* mógł do niego podejść.

Lemury kręciły się po całym okręcie, pomagając ze wszystkich sił. Często wchodziły komuś w drogę, ale przy brakach w załodze praca tych ciekawskich i pogodnych z natury istot była na tyle cenna, że plusy przeważały minusy. Chack został jakby ich bosmanem i przydzielał im zadania.

Pewnego ranka na nabrzeżu zatrzymał się wóz zaprzężony w „brontozaury”, którymi powoził Alan Letts. Widok szczupłego zaopatrzeniowca siedzącego na koźle pod kolorowym parasolem - tuż za zadem dinozaura - rozbawił nawet bosmana. Załogę z początku bardzo to ubawiło, przestała jednak szczerzyć zęby, odkrywszy, co jest na wozie. Zapobiegliwy oficer przywiózł dziesiątki baryłek białej farby, co z kolei wprawiło w ekstazę Graya. Od razu chciał ją wypróbować, ciekaw, czy dobrze będzie trzymać się stali. Nie chciał, żeby okręt upodobił się do bielonej wapnem obory. Gdy się okazało, że farba jest w porządku, zaczął męczyć

Lettsa o jakiś barwnik, który można by domieszać, aby uzyskać odpowiedni odcień szarości.

- Ejże, bosmanie - odparł Letts. - Przecież ten okręt spędził większość swego żywota pomalowany na biało. Teraz też będzie w sam raz, zwłaszcza że nie musimy już obawiać się samolotów.

- Może, ale wojna to wojna - rzekł Gray. - Biały jest dobry na czas pokoju.

Naprawę torped na razie odłożono. Wciąż mieli trzy sprawne, których nie wystrzelili podczas ucieczki z Surabai, reszta zaś musiała poczekać. Prowadzony przez Donagheya i Sandisona warsztat wytwarzał obecnie części na potrzeby okrętu. Nie mieli wiele stali, gdzie tylko więc mogli korzystali z brązu albo miedzi, o które było tu łatwo. Shinya został pomocnikiem Aldena i wraz z nim szkolił miejscową milicję, jednak w wolnym czasie chętnie zaglądał do warsztatu, żeby pomóc przy tym czy tamtym.

Na pokładzie panował pozorny chaos. Tu leciały iskry, gdzie indziej fruwały płaty zdrapywanej farby, na pokładzie wiły się parciane węże i przewody. Pracowano w dziesiątkach miejsc równocześnie. I na taki właśnie widok trafił podczas swojej pierwszej wizyty na niszczycielu Wielki Wódz Baalkpanu, Nakja-Mur.

Matt widział go wiele razy od czasu ich pierwszego spotkania, a Dowden albo Garrett kontaktowali się z nim codziennie. Jednak aż do tej pory Nakja zaryzykował tylko jeden poranny spacer po nabrzeżu, przy którym zacumowano amerykański okręt. Był nim zafascynowany i Keje twierdził, że bez końca mógłby słuchać o udziale *Walkera* w bitwie, lecz aż do tej pory nie zdecydował się na oficjalną wizytę i wielu było ciekawych dlaczego. Jednak tego dnia przybył bez zapowiedzi, co było wśród jego ludu zachowaniem bardzo niestosownym. W pewnej chwili gapie i pomocnicy na brzegu rozstąpili się i Nakja pojawił się na trapie.

Wraz z nim przybyli Keje, Adar i jakiś tuzin gwardzistów. Mimo wyraźnego zaciekawienia i zadowolenia, gdy zaskoczony bosman zdołał odgwizdać jego przybycie, nie wyglądał na szczęśliwego.

- Łamiesz mi karierę! - jęknął, gdy kapitan powitał go salutem.

Matt zamrugał pytająco. Chack nauczył go wyrażać w ten sposób niektóre emocje.

- Łamię, mój panie? - zdziwił się. - Myślałem, że podobnie jak na pływających domach wódz miasta jest od tego, żeby zarządzać majątkiem dla korzyści ogółu. Wykonujesz po prostu swoje obowiązki.

Chack podbiegł szybko, żeby przetłumaczyć słowa kapitana. Rozbawione mrugnięcia Kejego i Adara dawały do zrozumienia, że nie potrzebują już tłumacza.

- Oczywiście, że tak! Masz rację, że moim obowiązkiem jest zarządzania naszymi

funduszami, ale winienem czynić to mądrze. - Z przerażeniem spojrzął na baryłki farby stojące rzędami na nabrzeżu. - Widzisz to? Czy zdajesz sobie sprawę, że to nasza półroczna produkcja farby? Czy masz pojęcie, ile to kosztuje?

Matt pokręcił głową.

- Zgodziłeś się dostarczać nam wszystko, co będzie nam potrzebne, jeśli pomożemy wam przygotować się na nadejście grików.

- Tak, ale... farba? - Adar pochylił się ku niemu i wyszeptał wodzowi coś do ucha. - Tak, wiem, że żelazo rdzewieje, ale... - Przerwał, rozejrzał się i pokręcił głową. - Przepraszam. Słyszałem, że wasz statek jest z żelaza, ale dopiero teraz zrozumiałem, co to oznacza. Niemniej co szkodzi trochę rdzy?

- Gdy rdza raz chwyci, niełatwo się jej pozbyć, bracie - powiedział Keje. - To dlatego rzadko używamy jej na morzu.

- Dobrze, ale co robią te dziesiątki robotników na północ od miasta? Dłubią jakąś dziurę w ziemi! Po co to?

- Chodzi o paliwo, mój panie - rzekł Matt. - Rozmawialiśmy już o tym. *Walker* potrzebuje czegoś, co wy chyba nazywacie gish. Bez tego nie może się poruszać. Nie może walczyć.

- Ale gishy jest mnóstwo na północy, na bagnach nadbrzeżnych. Sama wypływa z ziemi, tworzy całe jeziora. I cuchnie! Niewielki z niej pożytek, chociaż skutnicy i powroźnicy do czegoś ją tam wykorzystują. Nie trzeba robić żadnych dziur, żeby się do niej dostać.

- Obawiam się, że jednak. Potrzebujemy więcej paliwa, niż możesz sobie wyobrazić, i musimy mieć jego źródło blisko pod ręką.

- My korzystamy z siły wiatru - mruknął Nakja.

- Oczywiście - rzekł Matt. - Grikowie także. Jednak *Walker* jest o wiele szybszy i między innymi dlatego tak dobrze walczy. Ale potrzebuje do tego gishy. Dużo gishy.

- On tego nie rozumie, przyjacielu - wtrącił się Keje. - Nie widział walki. Dbą o swój lud, ale wasz statek kosztował go już więcej, niż miasto może wydać.

- Zapłacimy. Teraz czym się da, później krwią - odpalił Matt.

- On wie o tym. Ale i tak obecna sytuacja mu się nie podoba. Uwierz mi, w sumie jest zadowolony, ale otrzymuje wiele skarg. Także w sprawie szkolenia, które zaczął wasz marine. To lądowe plemię. Są słabi i nie przywykli do wysiłku, którego wymaga się od wojownika.

- Sierżant Alden zna sztukę walki jak nikt inny z naszych. Przynajmniej gdy chodzi o walkę na lądzie. Porucznik Shinya świetnie włada bronią białą i fechtuje skuteczniej niż ktokolwiek z was.

Stojący obok Gray stłumił prychnięcie. Wciąż uważał, że miejsce Japończyka jest w areszcie.

- To prawda, ale odkąd Nakja ogłosił, że wszyscy mają przejść podstawowy kurs walki, niektórzy pytają, dlaczego muszą się uczyć, podczas gdy szkatuła miasta opłaca was, żebyście wy to robili.

Matt pokręcił głową.

- Nie tak się umawialiśmy - przypomniał. - Obiecałem, że wyszkolę waszych ludzi i pomogę w walce. Nie mówiłem, że sami zajmiemy się walką.

- On to wie.

Nakja znowu się odezwał i Chack zaraz przetłumaczył jego słowa:

- Dwa kutry rybackie przyniosły dziś rano wieść o trzech statkach grików węszących w cieśninie. Chyba nie widzieli naszych, ale grikowie nigdy jeszcze nie zjawili się tak blisko. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do walki i obawiam się, że nigdy nie będziemy. Te wasze starania, a zwłaszcza malowanie, nie wydają się poprawiać naszej obronności.

- Jeśli okaże się to konieczne, zaczniemy walkę i będziemy toczyć ją sami do czasu, gdy twój lud będzie gotowy. Od początku tak właśnie to planowaliśmy. Ale mój okręt musi być gotowy do walki!

Gdzieś z daleka dobiegło ich niskie, ale donośne buczenie.

- Co zrobicie z tymi grikami w cieśninie? - zapytał Nakja.

- Jeśli wejdą do zatoki, zniszczymy ich. Jeśli zostaną w pobliżu do czasu, aż będziemy mieli paliwo, wytropimy ich i zniszczymy. Masz na to moje słowo. Musisz jednak przemówić narzekającym do rozumu!

Nakja patrzył na niego przez chwilę, po czym skinął głową. Buczenie przybierało na sile, chwilowo jednak prawie je zagłuszył huk nawiewników kotła numer cztery. Wszyscy spojrzeli w kierunku rufy, gdzie uniosła się chmura sadzy.

- Cholerne kocmołuchy - warknął Gray, ruszając w stronę włazu kotłowni. - Tam jest świeża farba!

Kapitan prawie się uśmiechnął. Buczenie było z każdą chwilą głośniejsze i coś mu przypominało.

- Może wódz chciałby zwiedzić okręt? - spytał, ale nagle zamarł, nastawiając ucha. Nagle zrozumiał, co słyszy, i spojrzął na bocianie gniazdo. Było oczywiście puste, ale Garrett, który stał na pomoście kontroli ognia, też coś usłyszał. Ich spojrzenia spotkały się i obaj pomyśleli to samo. Rozległ się przenikliwy sygnał.

- Alarm bojowy! To nie ćwiczenia! - huknął Larry Dowden przez głośniki. - Kapitan na

mostek!

Matt wyrwał się z gromadki lemurów i przeskakując przez przeszkody, dopadł schodni. Goście, którzy nie otrzymali żadnej instrukcji, po prostu poszli za nim i po chwili mostek pełen był futrzaków i ludzi, nie zawsze naprawdę tutaj potrzebnych, a Nakja omal nie został stratowany przez marynarza niosącego pas amunicyjny.

- Co się dzieje? - spytał ze złością.

- Na pewno coś bardzo interesującego - odparł Adar.

Matt dotarł na pomost, wyrwał komuś lornetkę i zaczął przepatrywać niebo.

- Tam jest, sir. Za rufą, namiar jeden dwa. A teraz kieruje się prosto nad zatokę! To... to samolot!

- Zgadza się - rzucił Matt. - Ale czyj i co on tu robi? Proszę obsadzić wszystkie karabiny maszynowe, panie Garrett, ale nie otwierać ognia bez rozkazu.

Czekali w napięciu, wsłuchując się w odgłos pracy silnika tłokowego. Chack i Keje też wdrapali się na pomost.

- Co to latająca rzecz? - spytał przejęty Keje.

- Samolot - oparł trochę nieprzytomnie Matt.

Keje ogarnął spojrzeniem przygotowania na stanowiskach strzeleckich.

- A ja myślałem, że to grikowie są groźni - mruknął. - Będziecie z nim walczyć? Zaatakuj nas? - Spojrzał niespokojnie na *Salisę*, unieruchomioną cumami przy nabrzeżu. Nigdy nie słyszał o latającej istocie dość wielkiej, żeby mogła zagrozić ludziom, widział jednak drapieżniki wyławiające ryby z wody i przypuszczał, że podobnie jak one, byłiby bezradni wobec ataku z powietrza. Zachowanie załogi niszczyciela sugerowało zaś, że ta latająca rzecz może być niebezpieczna. - Zaatakuj? - spytał ponownie.

Matt opuścił lornetkę i uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie sądzę - powiedział. - To PBY - dodał nie tyle pod adresem gości, ile Garretta.

Samolot rósł w oczach. Gdy był już na zatokę, skręcił i słońce odbiło się od pokrytych szaroniebieską farbą zmatowiałych skrzydeł. Kołysał się lekko, jakby prowadzony niewprawną ręką. Ale może nie o to chodziło, leciał bowiem tylko na jednym silniku. Przemknął z rozgłośnym warczeniem tuż nad masztami łodzi rybackich, porywając ich żagle i omal nie doprowadzając do wielu kolizji. Matt uśmiechnął się mimowolnie, widząc tę scenę, ale wszyscy miejscowi na nabrzeżu i okręcie przerwali swoje prace i zbili się w gromadki, niepewni co teraz nastąpi.

Pilot musiał ich już dostrzec, skręcił bowiem ponownie i nakierował maszynę na pas wolnej wody po prawej burcie niszczyciela. Ster kierunku poruszył się wyraźnie, żeby

wyrównać tor lotu i skompensować ściąganie w bok wywołane pracą tylko jednego silnika. Potem opuścił pływaki. Zwieńczony kopulastą wieżyczką nos maszyny wyglądał, jakby badawczo wahał fale. Na tle spłowiałej farby i zacieków od słonej wody ciemniały wyraźnie granatowe kręgi z białymi gwiazdami i czerwonymi kropkami w środku. Był to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie Matt podziwiał w swoim dotychczasowym życiu. Brzuch samolotu dotknął wody i catalina niemal natychmiast wyhamowała. Prawie zatrzymała się, gdy pilot przymknął gaz, potem jednak ruszył z rykiem silnika w stronę niszczyciela.

Nakja dołączył do zgromadzonych na pomoście.

- Co to za straszidło? - spytał ostrym tonem.

- Przypuszczam, że przyjacielskie - odparł Matt i Chack przetłumaczył.

Pilot wyłączył silnik jakieś pięćdziesiąt jardów od burty okrętu i nagle zrobiło się cicho. Matt poczuł, że napięcie wokół niego opada. - Przygotować odbijacze - rozkazał. - Motorówka na wodę.

Niecałą minutę później łódź spłynęła z żurawików. Tymczasem odsunęło się okienko w kokpicie i wyjrzała przez nie uśmiechnięta brodata twarz.

- Jeszcze jeden Amer-i-kanin! - zawołał Nakja. - Taki, który lata. Lata! - Przez chwilę milczał zdumiony, potem spojrzał z uśmiechem na Matta. - Jego też pewnie będę musiał żywić?

- Ilu jeszcze niezwykłych przyjaciół oczekujesz, kap-i-tanie Reddy? - spytał cicho Keje. Wpatrywał się w catalinę z niemal nabożnym podziwem, pytał jednak poważnie.

- Po prawdzie nie oczekiwałem nawet tego. Chodźmy zobaczyć, co to za tajemniczy lotnik.

Porucznik Benjamin Mallory zdrętwiał od pasa w dół od wielogodzinnego siedzenia nieruchomo w cienko wyściełanym, metalowym fotelu rozedrganego samolotu. Wchodząc na pokład niszczyciela, ledwie mógł poruszać nogami, wciąż jednak się uśmiechał. Godzinę wcześniej wyłączył prawy silnik i ustawił jego śmigło w chorągiewkę, żeby oszczędzać paliwo. Ta zatoka była ich ostatnią szansą. Wcześniej sprawdzili Menjangan i zapuścili się aż do Aloru, skąd zawrócili w stronę Balikpapanu. Wiedzieli, że jeśli i tutaj nie znajdą niszczyciela, ich los będzie przesądzony. Czekaliby ich długa samotna egzystencja albo szybkie uwolnienie od trosk w żołądkach znanych im już napastników. Widok czterofajkowca cumującego przy nabrzeżu pośród całej masy tubylczych jednostek niemal wycisnął łzy z oczu porucznika. To, że z jednego komina snuł się dym, a nad pokładem powiewała bandera, sugerowało jednoznacznie, że *Walker* znalazł się tutaj dobrowolnie i jakkolwiek do tego doszło, jest to bezpieczne miejsce.

Uchwyciwszy pomocne ręce, które wyciągnęły się do niego z góry, wdrapał się wreszcie na pokład i zaszalutował drżącą ręką banderze, potem kapitanowi Reddy'emu. Zdumiał go widok... krajołców, jednak znacznie mniej niż jeszcze kilka tygodni wcześniej.

- Porucznik Benjamin Mallory, Korpus Lotniczy Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych. Proszę o pozwolenie na wejście na pokład, sir. - Niepewnie przesunął się o krok, żeby zrobić miejsce dla kolejnego na drabince.

- Ed Palmer, sygnalista. Cieszę się, że wróciłem, sir - powiedział z przejęciem jasnowłosy marynarz z Oklahomy, który miał pozostać na pokładzie *Mahana* aż do wejścia do Perth. Odchorował na swój sposób ten dziwny rejs.

Trzecia osoba, ciemnowłosy mężczyzna w poszarpanym mundurze khaki, wydała się Mattowi znajoma.

- Podporucznik Perry Brister, proszę o pozwo...

- Brister! Jest pan oficerem maszynowym z *Mahana*. Wszyscy jesteście z *Mahana*. Co się z nim dzieje?

- Nie wiemy, sir - odparł Mallory. - Gdy ostatni raz go widzieliśmy, był u zachodnich brzegów Sumatry.

- Sumatry? - zdumiał się Matt. - Mój Boże. Co ten Ellis kombinuje?

Wszyscy trzech mężczyźni zgodnie pokręcili głową.

- To nie pan Ellis, sir - powiedział Brister.

- Właśnie - dodał lotnik, teraz już bez uśmiechu. - To długa historia, kapitanie Reddy, i chyba powinien pan ją jak najszybciej usłyszeć. - Wskazał na siebie i innych. - Ale czy najpierw możemy dostać zimnej wody? Albo nawet coli?

- Oczywiście. Proponuję kontynuować tę rozmowę w mesie, gdy zjecie już coś i wypijecie. - Matt zwrócił się do Dowdena, który właśnie zjawił się obok. - Czy pan McFarlane wrócił już na okręt? Nie? Proszę zatem przekazać wiadomość panu Bradfordowi. On wrócił rano z miejsca odwiertu, prawda? - Dowden przytaknął. - Dobrze zatem. Proszę przekazać jemu, panu Lettsowi, panu Tolsenowi i panu Garrettwi, że czekam na nich w mesie. I niech pan może zaprosi także porucznik Tucker i porucznika Shinyę.

- Porucznik Shinya i sierżant Alden szkolą dzisiaj milicję, sir - rzekł Dowden.

- Faktycznie. - Spojrzał na tubylców, o których w ostatnich chwilach niemalże zapomniał. Przez chwilę rozważał, czyby ich nie przeprosić, ale pomyślał, że mogliby dojść do wniosku, iż ma przed nimi jakieś tajemnice. Lepiej tego unikać. W końcu zorientowali się, że są świadkami czegoś ważnego, bo cataliny nie krążyły codziennie nad Baalkpanem, żeby wylądować w zatoce. - Nasi goście mogą nam towarzyszyć, jeśli chcą, jednak w mesie nie ma

wiele miejsca. Będą musieli zostawić świątę na zewnątrz. - Zwracał się do Dowdena, ale ostatecznie zdanie było skierowane do Kejego. Sugerowało, że wskazane będzie spotkanie na najwyższym szczeblu. Keje zrozumiał i wytłumaczył to Nakjemu.

Gdy weszli do mesy, na stole potniały już karafki z mrożoną herbatą. Tak jak wcześniej Keje i Adar, wódz miasta nie miał do czynienia z ludzkimi krzesłami, ale podpatrując bardziej doświadczonych przyjaciół, szybko usadowił się w miarę wygodnie. Bardziej zainteresował go widok Amerykanów zgromadzonych przy jednym stole i popijających napój z tych samych karafek. Gospodarze szcycili się swoim przywiązaniem do egalitaryzmu i byli przekonani, że wśród bezogoniastych obowiązują ściśle podziały społeczne. Po raz pierwszy Nakja mógł się przekonać, że ten hierarchiczny porządek jest raczej tradycją i wynika z instytucjonalnej dyscypliny. Nie wiązał się z przekonaniem, żeby kapitan czy ktokolwiek z oficerów był z założenia ważniejszy. Odkrycie zdumiało lemury, ale przywitały je z niejaką ulgą.

Przez dłuższą chwilę siedzieli tylko i popijali herbatę, podczas gdy wentylator mieszał leniwie powietrze nad ich głowami. Goście skończyli wcześniej i czekali cierpliwie, aż zmęczeni powietrznymi podróżnicy się nawodnią. W końcu Mallory otarł usta i odchrząknął.

- To było to, sir - powiedział. - Zabraliśmy tylko trochę wody, żeby nie obciążać za bardzo maszyny. Gdyby coś się nie udało... Tak czy owak dziękuję, sir. Widok niszczyciela był balsamem dla moich piekących oczu.

- I ja dziękuję, poruczniku. Dostarczyliście nam nie lada atrakcji. Ale co z *Mahanem*? Gdzie jest i co się właściwie stało?

Przybysze spojrzeli po sobie i wspólnymi siłami, trochę niezbornie, opowiedzieli, jak Kaufman przejął okręt. Reszta słuchała krańcowo zdumiona. Relacja brzmiała wręcz niewiarygodnie. Nie tylko ze względu na sam w sobie przedziwny bunt, ale i szaleństwo, którym był podszyty. Brister wspominał, jak Jim próbował odebrać Kaufmanowi broń i został postrzelony. To ostatecznie szczególnie rozwścieczyło Matta.

- Nie zabił go, sir - dodał czym prędzej oficer. - Tak naprawdę to był chyba tylko wypadek. Słyszałem, że pan Ellis zdrowo mu wcześniej dołożył, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ale Kaufman postrzelił go w nogę.

Na dłuższą chwilę w mesie zapadła cisza.

- Proszę mówić dalej - odezwał się w końcu Matt.

Brister opowiedział o dalszym przebiegu buntu oraz obsesji Kaufmana, żeby dotrzeć na Cejlon, i jak po drodze Ellis dostał ataku gorączki, okręt zaś zawinął do Cilacapu w nadziei zdobycia paliwa, tyle że znanego im miasta na wyspie nie było. W kilku zdaniach odmalował

widok ruin, na które trafili.

Keje zesztywniał na krześle.

- Chill-chaap? - spytał. - Ci Ameri-ka-nie mówią o mieście Chill-chaap?

Larry Dowden przeprosił na chwilę i wrócił z mapą ukazującą południową Jawę i pobliskie wody. Gdy rozłożył arkusz na stole, Nakja i miejscowy kapłan poruszyli się niespokojnie, zostali jednak uprzedzeni przez Adara i Kejego, że bezogoniaści mają własne Zwoje i obchodzą się z nimi dość bezceremonialnie, nie zgłosili zatem protestów. Brister spojrział na Kejego i położył palec w miejscu, gdzie zaznaczony był port Cilacapu.

- To tutaj, sir.

- Tak. Chill-chaap. Chill-chaap zostało zniszczone - odezwał się Keje do swoich pobratymców.

Nakja, zerwawszy się na równe nogi, krzyknął coś do niego, po czym zaczął wygłaszać jakąś tyradę.

- Jest... wzburzony - wyjaśnił półgłosem Keje.

- Mimo wszystko... niech go pan poprosi, żeby się opanował - odrzekł Matt. - Musimy wysłuchać tych ludzi do końca.

- Spróbuję, kap-i-tanie, ale proszę go zrozumieć. Zrozumieć nas. Chill-chaap było niemal tak samo duże jak Baalkpan. To jedna z naszych najstarszych kolonii i jedyna na Jawie, z którą utrzymywaliśmy przyjazne kontakty. Mieszkały tam tysiące naszych pobratymców. - Keje powiedział coś do Nakii uspokajającym tonem. Po dłuższej chwili rosty lemur usiadł, wciąż jednak kipiał ze złości. Zrobiło się dziwnie cicho.

- Poruczniku Brister - poprosił Matt.

- Tak, sir. Tamto miasto zostało zniszczone. Nie został w nim nikt żywy. Na dodatek wyglądało na to, że jego mieszkańców wymordowano i zjedzono, tak że niewiele zostało dla padlinożerców.

- Boże - wyszeptała Sandra.

- Tak - mruknął Keje. - Przecież mówiłem. Jesteśmy dla nich tylko zdobyczą. - Spojrział na pielęgniarkę. - Pytałaś kiedyś, dlaczego wrzucamy ich do morza. - Pokręcił głową.

Brister odchrząknął i podjął opowieść. Z pomocą Mallory'ego przedstawił sprawę samolotu i przeszedł do napotkanych później statków z potworami.

- Grikowie - warknął Keje.

- Ile było tych statków? - zapytał Matt.

- Trzy, sir.

Matt spojrział na Kejego.

- To nie mogły być te same, które kręcą się po okolicy. Za daleko - ocenił. - Co było potem? - spytał lotnika.

Ben opisał, co zrobili, żeby uwolnić samolot, jak uciekli z zatoki i wodowali obok *Mahana*.

- Po prostu was zostawił? - spytał z niedowierzaniem Bradford. - Bez łodzi?

- Właśnie. Ale nawet gdybyśmy ją mieli, na wiele by się nie przydała. Nie było innej szansy na ucieczkę, my zaś mieliśmy bardzo silną motywację. Te stworzenia są naprawdę przerażające.

Matt przytaknął.

- Też je widzieliśmy i zgadzam się. Są przerażające. Gratuluję wam udanej ucieczki.

- Dziękuję - odpowiedzieli chórem.

- Czy jaszczury widziały wasz start?

- Może - odparł Mallory. - W każdym razie my ich wtedy jeszcze widzieliśmy. Dlaczego?

- Nic takiego - rzekł z uśmiechem Matt. - Poruczniku, proszę się nie przejmować. Pomyślałem tylko o elemencie zaskoczenia. To zawsze może się przydać.

Mallory spojrział na swoje dłonie.

- Przepraszam, kapitanie. Dopiero później o tym pomyślałem. Po drodze widzieliśmy jeszcze sześć innych statków, ale byliśmy wtedy wysoko. Jeśli nawet nas słyszeli, to raczej nie zobaczyli.

- Boże - mruknął Bradford. - To daje razem co najmniej dziewięć jednostek. - Spojrział na Kejego, który wydawał się wstrząśnięty. - Wasz przeciwnik już tu jest, i to w znacznej sile. Nie mamy czasu do stracenia!

Matt uniósł dłoń.

- Jeszcze chwilę, panie Bradford - powiedział. - Poruczniku Mallory? Co było dalej?

- Kaufman chciał, żebyśmy lecieli na Cejlon, my zaś skwapliwie mu przytakiwaliśmy. Zabraliśmy maksymalny zapas paliwa i ruszyliśmy was szukać.

- Przed odlotem widziałem się z panem Ellisem. Pielęgniarki mają się dobrze i zajmują się pacjentem - powiedział Brister, patrząc na Sandrę. - Siostra Cross kazała przekazać, że nie tracą wiary. Rozmawiałem z nimi kilka minut, a pan Ellis... - Brister spojrział na Matta. - Pan Ellis kazał przeprosić w swoim imieniu, ale to nie jego wina, kapitanie! Tak czy owak, do teraz pewnie wszyscy już wiedzą, że poleciliśmy was szukać. Przynajmniej ci, którym nie odbiło.

- Przepraszam - odezwał się Keje. - Ci latający ludzie przynieśli ważne wiadomości. Dowiedzieliśmy się, że Chill-chaap padło ofiarą grików, którzy rzeczywiście nie cofają się

chyba przed niczym. Nadciągają mroczne czasy. Wkrótce się okaże, czy wszystko, co stworzyliśmy od pokoleń, czyli nasze kolonie, kultura i sposób życia, ocaleje, czy też znów będziemy musieli uciekać. To dla nas dosyć ważne - dodał z wyczuwalną ironią. - Mam nadzieję, że obchodzi to także naszych sojuszników. Wy jednak zdajecie się myśleć raczej o tym drugim statku, *Mahanie*. Co to za statek i co to jest Sey-lon i gdzie leży?

Matt poprosił gestem o ciszę, otarł chustką pot z czoła i odgarnął przetłuszczone włosy.

- Wybacz, przyjacielu - odpowiedział. - Wszystko, o czym wspomniałeś, bardzo mnie obchodzi, ale te wieści oznaczają, że tym bardziej musimy przyłożyć się do przygotowań. A *Mahan...* też jest ważny. To taki sam okręt jak nasz. Ma identyczne możliwości, a co więcej, jego załoga to moi ludzie. Jestem za nich odpowiedzialny i jestem im winien pomoc tak samo, jak poczuwam się do pomagania Ludowi. Jednak co nawet ważniejsze, okręt ten płynie w tej chwili prosto na grików. Co będzie, jeśli go opanują? Powiedzieliście, że mają talent do naśladowania innych. Ile czasu potrwa, nim go skopiują? Może i dwa pokolenia, ale wcześniej mogą wyszkolić własną załogę. I co wtedy zrobią? Czy nie znajdą sposobu, żeby zniwelować naszą przewagę? - Przerwał i rozejrzał się wkoło. - Musimy go odszukać i zawrócić. Zawrócić albo zatopić.

Nakja wstał i przyjrząwszy się wszystkim po kolei, zaczął własną przemowę. Keje tłumaczył.

- Znacie nas już, Amer-i-ka-nie. Może nie do końca, ale nie mamy przed wami tajemnic i nie kryjemy naszych obaw. My jednak o was nie wiemy prawie nic. Powiedzcie nam chociaż, skąd przybywacie. Jeśli macie tu dwa dymiące statki, dlaczego nie przyzwiecie kolejnych? Ta wasza latająca bestia też jest zrobiona z metalu, a jednak pływa. I lata! Z trzema Amer-i-kanami na pokładzie starcza za trzy statki grików! Nigdy nie widzieliśmy takich cudów. Możecie uratować nas przed grikami! Proszę, wezwijcie więcej swoich pobratymców. Razem wygubimy jaszczury i nasze narody będą mogły po wsze czasy żyć razem w pokoju!

Matt spojrział niepewnie na Nakję. Miotaly nim sprzeczne emocje. Tak jak jego poprzednicy z Kompanii Wschodnioindyjskiej wolały nie przekazywać miejscowym zbyt wielu informacji. Z drugiej strony to byli ich sojusznicy i mieli prawo znać odpowiedzi na zadane pytania. Zerknął na Sandrę, która lekko kiwnęła głową.

- Nie możemy posłać po pomoc - powiedział w końcu. - Pamiętacie, co powiedzieli ci dawni bezogoniaści? Że ich dom zniknął? Nasz też. Nie wiemy, jak do tego doszło, sądzę jednak, że nadeszła pora, żebyście usłyszeli o wojnie większej niż wszystko, co możecie sobie wyobrazić. Takiej, która ogarnęła cały świat i już na samym początku spowodowała śmierć setek tysięcy ludzi. Ten okręt, który macie za pełen cudów, to jedna z najsłabszych i najmniej

ważnych jednostek biorących udział w tej wojnie. Trybik w maszynie historii. - Kapitan zaczerpnął głęboko powietrza. - I my tę wojnę przegrywaliśmy. Potem stało się coś... i w niepojęty sposób znaleźliśmy się tutaj.

Keje wyglądał na zaskoczonego i zmieszanego.

- Ale wcześniej powiedziałaś nam, że przybywacie ze Skraju Świata, lądu tak odległego... że nie ma go na mapach.

- To prawda. Tak było. Ale ta wojna toczyła się tutaj. Wśród tych wysp.

Przez chwilę w miesie słyhać było tylko głosy pracujących na pokładzie i na rusztowaniach marynarzy oraz zgrzyt towarzyszący usuwaniu starej farby z burt niszczyciela.

- Nie ma wątpliwości, że jesteśmy dziećmi tego samego świata - odezwał się Bradford. - Wszystko, co wiemy, zdaje się o tym świadczyć. - Położył dłoń na mapie. - Jest niemal taka sama jak wasze Zwoje. Znaleźliśmy tylko kilka drobnych różnic. Taka sama jest też woda, takie samo powietrze, to samo niebo. Tyle że w świecie wspomnianym przez kapitana Reddy'ego... tym, w którym trwała wojna i z którego przybyliśmy... jedno było odmienne. Zamieszkiwały go inne istoty. Nie było w nim grików ani gigaryb, ani... ani was. - Wyprostował się na krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. - Ja nie pochodzę z krawędzi świata, jak moi amerykańscy przyjaciele. Jestem stąd... - Wskazał palcem na południowo-wschodni kraniec Wysp Sundajskich, tuż na skraju mapy. - Na waszych mapach ląd ten nazywa się zapewne Nową Holandią albo jakoś podobnie, chociaż zapewniam was, że niewielu było tam Holendrów, gdy wypływałem.

Keje patrzył na niego tak, jakby Australijczyk ogłosił właśnie, że jest własnym dziadkiem i synem gigaryby.

- Owszem, tam są kolonie - powiedział. - A bardziej na południe leży miejsce, gdzie budują morskie domy. Ale nigdy nie widziałem tam Amer-i-kanów.

Bradford westchnął.

- Nie jestem cholernym Amerykaninem, ale to osobna sprawa - rzekł. - Nasze mapy są niemal identyczne, ale na naszych nie ma waszych miast, na waszych zaś tych, które były w naszym świecie. Tłumaczyć to można tylko tym, to że te światy są jakby... równoległe. - Przerwał i rozejrzał się dokoła. - Dwa światy jeden obok drugiego, kiedyś może nawet będące jednym, ale od jakiegoś czasu rozwijające się w różny sposób, zdążające w różnych kierunkach.

- Ale... ale to niemożliwe - wyjąkał Keje.

Bradford prychnął i ponownie wyprostował się na krześle.

- Może i nie - przyznał - ale niczego lepszego nie udało mi się wymyślić. Kapitanie?

- Zgadza się, panie Bradford. To nawet lepsze wyjaśnienie niż to, które przyszło mi do głowy, ale ogólnie się zgadzam.

Nakja powiedział coś i Keje przetłumaczył:

- Jeśli to prawda, jak się tu dostaliście?

Matt rozłożył ręce.

- Nie mamy pojęcia. Wiemy tylko, że *Mahan* i *Walker* płynęły razem, przetrwawszy walkę z potężnym okrętem nieprzyjaciela. Potem weszliśmy w dziwny szkwał, a gdy z niego wyszliśmy, stwierdziliśmy... Chociaż nie. Nie wiedzieliśmy tego od razu. Zorientowaliśmy się później. Tak czy owak byliśmy już tutaj, w waszym świecie. - Pochylił się, opierając dłonie na mapie. - Nie wiemy, jak tu trafiliśmy, i nie wiemy, jak wrócić - dodał z naciskiem. - Utknęliśmy tutaj i jesteśmy na siebie skazani. W odróżnieniu od tamtych bezogoniastych nie odpłyniemy i nie zostawimy was samych sobie. Nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy. Nasze losy splotły się nieodwołalnie. Nasze życie zależy od tego, czy pokonamy grików. Tak więc będzie dobrze, Nakja-Mur, jeśli powiesz malkontentom, że dotąd tylko im się wydawało, że mają powody do niezadowolenia. Po tym, co dzisiaj usłyszeliśmy, musimy włączyć czwarty bieg.

- Czwarty bieg? - spytał Keje. - Czy to znaczy to samo co „gaz do dechy” albo „płyn lub toń”, jak mawia twój człowiek Silva?

- Zgadza się.

Keje zamrugął ze zrozumieniem.

- Zgadza się - powiedział. - Silva powiedział mi jeszcze jedno. - Rozejrzył się po obecnych i spojrzał Nakii w oczy. - Skoro Amer-i-kanie przybyli do nas w ten sposób, jest dla mnie jasne, że to Stwórca Wszechrzeczy ich przysłał, bo tylko on mógł spowodować coś podobnego. Skoro tak, musimy dać sobie radę. Choćbyśmy mieli się zesrać, jak mówi Silva.

Nad zatoką wstał wreszcie pogodny dzień. Wilgotność powietrza spadła zdecydowanie i nie mogło być więcej niż osiemdziesiąt stopni Fahrenheita. Z południowego zachodu wiała chłodna bryza, a silnik motorówki warkotał miarowo, wystawiając dobre świadectwo pokładowym mechanikom. Lekka fala powodowała, że trochę wody przyskała niekiedy na Matta, Lettsa, Bradforda i Shinyę, którzy jednak nie mieli nic przeciwko temu. Odmienne niż sternik, który wzdragał się za każdym razem, jakby oblewano go stężonym kwasem.

Matt domyślał się, co się przytrafiło nieustraszonemu kiedyś sternikowi, mógł jednak tylko mieć nadzieję, że lęk przed wodą z czasem mu przejdzie. Zbyt mało ludzi zostało, żeby odsyłać go na brzeg, przynajmniej do czasu, gdy zakończy się szkolenie pierwszych

miejscowych „kadetów”. Sam zainteresowany nie wnosił zresztą żadnych próśb o przeniesienie, stoicko znosząc swój los. Owszem, co rusz zerkał niespokojnie za burtę, jakby spodziewał się tam ujrzeć wielką rybę przymierzającą się do połknięcia łodzi, ale był sternikiem i już. Miał pewne obowiązki.

Matt cieszył się z wycieczki. *Walker* już od miesiąca stał przy nabrzeżu i kapitan dość już miał tego bezruchu. Owszem, naprawy przebiegały bez przeszkód i można było oczekiwać, że już wkrótce niszczyciel wyjdzie w morze w lepszej kondycji, niż gdy opuszczał Surabaję, uciekając przed Japończykami. Tyle że na razie czekanie dawało kapitanowi w kość, zwłaszcza wobec zagrożenia ze strony grików.

Matt spojrzał przez zatokę w stronę nabrzeża, ale nie dostrzegł okrętu. U brzegów Baalkpanu kotwiczyło obecnie aż siedem wielkich pływających domów, a w najbliższych dniach miały przyplłynąć następne. Nakja, wysławszy flotę rybacką, wezwał je na „wielkie zebranie” lub coś w rodzaju narady wojennej. Grikowie napadli na wiele pływających domów i chociaż w żadnym wypadku przeciwnik nie był tak liczny jak podczas ataku na *Salissy*, przynajmniej jeden statek nie zdołał się obronić. Jego na wpół zatopiony i osmolony kadłub widziano u południowo-wschodniego wybrzeża Jawy, w pobliżu miejsca, gdzie w dawnym świecie znajdowała się Batawia. Wiadomość poraziła Kejego i z miejsca zgodził się na wszystkie modyfikacje *Salissy* zasugerowane przez Lettsa. Nawet teraz, kiedy motorówka kierowała się już ku ujściu rzeki, zwanej przez miejscowych Sungaa, Alan dyskutował na ten temat z Bradfordem. Kapitana interesowało wszystko, co skłonny był zaproponować jego oficer zaopatrzeniowy, ale chwilowo więcej uwagi poświęcał pierwotnej przyrodzie, którą mógł wreszcie podziwiać z bliska.

Sungaa nie była długą rzeką i szybko przechodziła w wąski i błotnisty strumień wypływający z gór Lohr na północy, pozwalala jednak łatwo dotrzeć do miejsca, w którym zaczęli pierwszy odwiert. Poza nieudaną wyprawą na Bali Matt dotąd prawie nie schodził na ląd, chyba że musiał zajrzeć do odległego o kilka mil miasta. Teraz, gdy minęli już ostatnie chaty rybaków i myśliwych, znaleźli się w całkiem dzikiej okolicy tutejszego Borneo.

Wśród płataniny drzew polatywały dziesiątki najróżniejszych barwnych stworzeń, które do złudzenia przypominały ptaki. Miały opływowe i skórzaste ciała ze skrzydłami pokrytymi czymś w rodzaju krótkich piór. Polowały na ryby, owady i inne „ptaki”, które były od nich mniejsze. Co rusz dochodziło do walk między amatorami tej samej zdobyczy i w odróżnieniu od konfliktów między znanymi Mattowi ptakami, tutaj pokonany rzadko uchodził z życiem, a jego ciało zwykle nawet nie miało szansy spaść na ziemię czy do wody.

Groźne ryby pojawiały się w zatoce o wiele rzadziej niż na pełnym morzu, w rzece zaś

nie było ich wcale. Po drodze minęli stadko wielkich zwierząt maszerujących powoli płyciznami. Były wielkości hipopotamów, przypominały jednak pancerniki, tyle że miały długie szyje i masywne zadnie łapy. W błocie taplały się też najzwyczajniejsze krokodyle. Matt skłonny był przypuszczać, że zwieszające się nad wodą drzewa też są całkiem normalne, ponieważ jednak nie znał się na drzewach, patrzył na palmowate rośliny jak na coś całkiem dlań nowego. Bradford stwierdził, że to jakiś nowy gatunek, i kapitanowi to wystarczało. Okolica była z jednej strony niezwykle piękna, z drugiej jednak wyczuwało się w niej coś niepokojącego, może nawet przerażającego.

Oderwawszy spojrzenie od brzegu, Matt zauważył, że Shinya chłonie widoki z równym jak on zainteresowaniem, jednak Letts i Bradford zupełnie je ignorowali. Być może dlatego, że szli już tędy ileś razy. Letts musiał go właśnie o coś zagadnąć, bo Australijczyk spojrzał na niego pytająco.

- Przepraszam, panie Letts, może pan powtórzyć? - powiedział.

- Jasne. Zastanawiałem się, czy lepiej będzie rozstawić działa na jednej burcie *Salissy*, tworząc z niej pływającą baterię, czy na obu, jak na dawnych okrętach liniowych, co ułatwiłoby też wyważenie. Nie wiemy, czy starczy nam czasu i materiałów na wyprodukowanie kompletu dział.

Matt pokręcił głową.

- Nie wiem, czy zdołamy zrobić jakiegokolwiek działa - rzekł.

- Jasne, że tak, skipper. To głównie kwestia czasu. Rozmawiałem z chłopakami z odlewni - powiedział Letts, mając na myśli dwóch braci, do których należał ten zakład. - Twierdzą, że to nie problem. Normalnie odlewają kotwice dla tych wielkich statków, wiedzą więc, jak obchodzić się z wielkimi formami. Jedna kotwica waży tyle, co pięć albo sześć dział.

O siłę roboczą jest najłatwiej. Ostatnie nowiny ostro wszystkich zmobilizowały, a Nakja wręcz dostał kota, żeby przygotować też własne działa. Zagwozдки widzę trzy. Pierwsza to czy pozwolą nam wyciąć otwory działowe w burtach statku, druga to pozyskanie wystarczającej ilości metalu, a trzecia - produkcja amunicji. Sam proch to pestka. Tutejsze wyspy są wulkaniczne i wszystkie surowce mamy pod ręką, z siarką włącznie. Tyle że trudniej będzie zbudować młyn prochowy. To wymaga czasu. Z braku bystrych rzek nie możemy czerpać energii z wody. Chyba że skorzystamy z pomysłu Myszowatych. Co do surowca, armaty można zrobić także z miedzi, chociaż wtedy trudniej będzie w coś z nich trafić.

- A co z kalibracją i gwintowaniem? - zapytał Matt.

Letts lekko wzruszył ramionami.

- Mam parę pomysłów.

Matt pokręcił głową. Nie wiedział, co opętało jego oficera zaopatrzeniowego, że stał się ostatnio takim gejerem wynalazków, cieszył się jednak, że do tego doszło. Być może Letts, podobnie jak wiele innych osób, uświadomił sobie w końcu, jak poważna jest sytuacja.

- Założę się, że Keje będzie protestował przeciwko wycinaniu otworów - mruknął. - A swoją drogą ile ma być tych dział?

- Chciałbym ze dwadzieścia na burtę. Może to niewiele jak na tak dużą jednostkę, zwłaszcza w porównaniu z siedemnastowiecznymi okrętami liniowymi, ale... - Znowu wzruszył ramionami.

Matt spojrział na niego zdumiony i zamrugał w sposób, który przejął od nowych przyjaciół.

- Dwadzieścia! - zdumiał się. - Myślałem, że dwa albo trzy będzie dość. A jak mają być wielkie?

- To zależy od tego, jak ostatecznie je nawiercimy. Wieczorem mam się spotkać z panem McFarlanem i Sandisonem, żeby się nad tym pozastanawiać.

Matt zachichotał.

- Proszę bardzo, panie Letts - powiedział. - Niech mnie pan informuje o wszystkim i proszę w żadnym razie nie używać narzędzi, które są obecnie potrzebne na okręcie. - Letts skrzywił się, jakby o to właśnie chciał poprosić. - A co do późniejszego wykorzystania tych dział, niech Keje decyduje. To jego okręt. Pływającą baterią trudno byłoby manewrować w zatoce, a gdyby coś poszło nie tak, cała obrona mogłaby się załamać. Nie jestem zresztą zwolennikiem taktyki defensywnej i sądzę, że Keje myśli podobnie.

Bradford energicznie skinął głową.

- Tak, tak! - rzekł. - Pomyślcie tylko, ile pożytku miała Francja z Linii Maginota! Nie wspomnę nawet o Singapurze! Co do Kejego, to jestem przekonany, że ma pan rację. Poza nielicznymi wyjątkami lemury prowadzą życie nomadów. Morskich nomadów. Sam pomysł przywiązania do jakiejś pozycji obronnej jest dla nich zapewne czymś obcym. Nie należy im tego nawet proponować, żeby nie stracili do nas szacunku. Jak dotąd chętnie przyjmują wszystkie nasze rady, ale też tym właśnie tak naprawdę jesteśmy: doradcami. Oficjalnie nie zostaliśmy włączeni do ich struktury dowodzenia. O ile jakaś istnieje, bo nie jestem tego pewien. Nakja jest wodzem naczelnym mieszkańców Baalkpanu, Keje jednym z kapitanów i chyba są sobie równi. Każdy dowodzi swoimi ludźmi, reszta zależy zaś od tego, który gdzie akurat się znajduje. Może z tego wyniknąć spore zamieszanie. Już lepiej, gdyby mieli króla, a wszystkie te miasta i statki były częścią jego królestwa.

- Jak w imperium brytyjskim? - podsunął Letts.

- Otóż to! Tutejszy porządek za bardzo kojarzy mi się z Ameryką. Dużo gadania i brak zgody na wspólne działanie dla osiągnięcia upragnionego celu.

Matt uśmiechnął się tolerancyjnie.

- Powiedziałbym, że Stany Zjednoczone potrafią jednak czasem coś zdziałać - napomknął. - Zwłaszcza gdy sprawa jest tego warta.

- Ale trzeba aż wojny, żeby im się chciało!

- Możliwe - przyznał Matt. - Przypomnę jednak, że tutaj też trwa wojna.

Przez chwilę nikt się nie odzywał i motorówka płynęła w górę rzeki. Było całkiem spokojnie do chwili, gdy wpadli na krokodyla i spanikowany sternik sięgnął po thompsona, którego zawsze nosił na ramieniu.

- Proszę nie strzelać, panie Scott - powiedział Matt dość głośno, żeby dotarło do nieboraka.

Krokodyl odpłynął nie speszony, a Tony najpierw odzyskał kontrolę nad sobą, potem zaś nad motorówką.

- Jak tam na brzegu? - spytał Matt, spoglądając na Shinyę.

Drobny wypadek z krokodylem odebrał mu chęć studiowania przyrody

- Jeśli chodzi o szkolenie milicji, to postępy są powolne, ale stałe - odparł Japończyk.

Nakją zarządził, że wszyscy zdrowi mieszkańcy, tak kobiety, jak i mężczyźni, mają codziennie brać udział w zajęciach prowadzonych przez sierżanta Aldena, porucznika Shinyę i kilku spośród nielicznych wojowników lemurów. Mimo obligatoryjnego charakteru szkolenia frekwencja była od początku marna, niemniej co bardziej zaangażowani doszli do wystarczającej wprawy, żeby otrzymać awans na kaprali. Alden zaczął nawet pracować z „elitarną” grupą najtwardszych, która miała stać się załóżką miejscowej piechoty morskiej.

Większość unikała szkoleń oficjalnie, starczyło bowiem złożyć skargę w sekretariacie wodza, żeby uzyskać zgodę jako osoba wykonująca pracę „o wielkim znaczeniu dla obronności”. Często nawet było to zgodne z prawdą, zwłaszcza w wypadku młodych, którzy chętnie angażowali się w różne programy Amerykanów. Pozostali poznali, na czym polega wojskowa dyscyplina, cały dzień ćwicząc musztrę, ucząc się taktyki i użycia broni. Gdy zagrożenie ze strony grików stało się namacalne, Shinya zaczął widywać na zajęciach coraz więcej nowych twarzy.

- Na jakie siły będzie można liczyć? - spytał Matt.

- Trudno powiedzieć - odrzekł Shinya. - Szkolenie odbywa się codziennie, ale widzę ich co drugi dzień.

Ćwiczenia prowadzono na placu przed „pałacem” Nakii i wódz często je obserwował. Zasadniczo był to park miejski, chociaż miejscowi chyba nie znali tego określenia. Obecnie był już zdeptany i bardziej przypominał teren parad wojskowych. Duże rozmiary pozwalały na jednoczesne szkolenie połowy uczestników kursu, druga połowa przychodziła następnego dnia. Obniżało to efektywność, ale w mieście brakło otwartej przestrzeni.

- Sądzę, że około tysiąca pięciuset - powiedział Japończyk, odrywając oczy od rzeki. - Przyzwóicie wyszkolonych i przygotowanych do takiej bitwy, jaką widzieliśmy na *Salissie*. Po dwóch tygodniach zapewne jeszcze drugie tyle. W pół roku zbierze się może i dziesięć tysięcy, ale to byliby już dosłownie wszyscy dorośli z miasta. Ponadto musieliby mieć jeszcze silniejszą motywację niż obecnie.

- Czyli musieliby stanąć wobec groźby bezpośredniego ataku? - spytał z rezygnacją Matt.

Shinya pokiwał głową.

- Obawiam się, że tak - przyznał. - Oczywiście wtedy byłoby już za późno, żeby należycie ich zorganizować. Część marines sierżanta Aldena została skierowana na pokłady wielkich statków, żeby nauczyć załogi naszych metod, co powinno pozwolić na koordynację działań, ale zostali przyjęci z mieszanymi odczuciami. Co do taktyki, bez broni palnej niewiele możemy zastosować. W grę wchodzi rzymska ściana tarcz z pikinierami i łucznikami wspierającymi ją od tyłu. - Pokręcił głową. - Najtrudniej było skłonić ich do rezygnacji z kusz. Bardzo są do nich przywiązani. Łuki mają większy zasięg i lepszą szybkostrzelność, ale lemurom trudno było pojąć, dlaczego przy całej naszej zaawansowanej technice nalegamy na użycie czegoś tak prymitywnego. Niemniej gdy dostrzegli zalety łuku, przestali się dziwić. - Uśmiechnął się szeroko. - Jednak cały czas domagają się broni palnej.

Matt pokiwał głową.

- Chciałbym im ją dać, ale bez stali... - Westchnął. - Gdy wyciągniemy ich już z epoki brązu, będzie można pomyśleć o muszkietach albo czymś podobnym, ale obecnie? - Rozłożył ręce. - Wiem, że Alden i tak uczy część ich wojowników posługiwać się naszą bronią, ale jak on to robi?

- Tak, utworzył taki oddział. Liczy pięćdziesięciu wojowników, a każdy z nich wystrzelił ledwie kilka pocisków. Pan Sandison znalazł prosty sposób ich wytwarzania na zasadzie tłoczenia, ale problemem jest produkcja nowych łusek. Oraz, oczywiście, spłonek. O sam proch nikt się nie martwi, chociaż z początku nie będzie to raczej proch bezdymny, co może sprawiać kłopoty przy broni automatycznej. Oczywiście logistyka to nie moja sprawa, zwłaszcza że niewiele wiem na ten temat, ale rozumiem, że pan Sandison martwi się przede wszystkim, jak uzupełnić zapas amunicji do głównych dział okrętu. Obecne eksperymenty z

bronią ręczną traktuje jak wstęp do prac przy czterocalówkach.

- Nie wiem, jakie są wasze zwyczaje, poruczniku Shinya, ale logistyka powinna być bliska każdemu oficerowi, nawet piechoty - rzucił Matt, spoglądając przed dziób. - A pan stał się właśnie oficerem piechoty i cieszy mnie, że uzupełnia pan swoją edukację.

Na rzece pojawiła się masywna drewniana konstrukcja z wbitych w dno pali. Z bliska dostrzegli budowany na nich pomost i brygadę lemurów kładących deski. Dotarli do pirsu paliwowego.

Przycumowali motorówkę i zeszli na brzeg. Mimo licznej ochrony wszyscy byli uzbrojeni. Bradford nalegał na to, dowodząc, że w tym świecie nawet obecność całej armii robotników nie odstraszy drapieżników; już prędzej mogą uznać ją za ruchomy bufet. Miejscowi także potraktowali sprawę poważnie, przydając placówce silny oddział z kuszami wyrzucającymi długie na dwie stopy i grube na cal pociski. Matt słyszał, że w dżunglach tego nowego Borneo żyje kilka niezwykle groźnych gatunków. Bradford nawet mu je opisał, jednak Matt, zajęty sprawami okrętu, nie zwrócił na to większej uwagi. Teraz spróbował sobie coś przypomnieć. Muszą być olbrzymie, pomyślał, skoro trzeba aż tak ciężkiej broni, żeby je powalić.

Na skraju polany wznosiły się trzy wielkie oplecione miedzianymi rurami cylindry z piecami w roli fundamentów. Matt rozpoznał w nich wyrzutnie torpedowe ze swojego niszczyciela. Miał nadzieję, że tutaj przydadzą się bardziej niż na okręcie. Robotnicy w spódniczkach montowali kolejne podzespoły tego, co z czasem miało się stać rafinerią. Oczywiście pod warunkiem, że znajdą ropę. Nadzorujący prace Donaghey i Brister byli usmarowani jak nieboskie stworzenie, co świadczyło, że przykładają się do obowiązków. Matt pomachał im, żeby sobie nie przeszkadzali, i ruszył z resztą grupy ku środkowi polany. Tam natknął się na w pełni już ozdrowiałego Davisa z jednym z cennych karabinów maszynowych. Wyglądał jak strażnik więzienny pilnujący skazańców w kamieniołomach, tyle że jego zadaniem była ochrona pracujących. Kolejni uzbrojeni strażnicy stali rozstawieni w równych odstępach wzdłuż drogi biegnącej od nabrzeża ku dżungli.

Stanowisko wiertnicze leżało milę w głębi lądu. Droga była szeroka, a jej środkiem biegł rurociąg z bambusów, które wyglądały identycznie jak „domowe”, tyle że miały zdecydowanie większą średnicę. Miejscowi budowali z nich domy i robili maszty, co było całkiem naturalnym zastosowaniem, zważywszy że były wielkości słupów telegraficznych. Matt nie sądził, że nadadzą się także do transportowania surowej ropy naftowej. Bradford i Letts zauważyli jego zdumienie i podziw.

- Będzie przeciekać, ale trudno - powiedział Letts. - Złącza są z dopasowanych cynowych

obejm, które uszczelniliśmy smołą. Może z czasem wymyślimy coś lepszego.

- Nie, panie Letts, to genialny pomysł - pochwalił go Matt. - Nie sądziłem, że w ogóle będziemy mieli jakiś rurociąg. Dobra robota.

- Tak naprawdę to był pomysł Spanky'ego - dodał zakłopotany Letts.

- Ktokolwiek to wymyślił, zrobił dobrą robotę. - Matt przystanął i z namysłem spojrzął na rurociąg. - Jedno mnie tylko zastanawia. Mamy już to, niebawem gotowe będą pirs i rafineria. Nie wydaje się panu, że zbyt wiele zostawiamy przypadkowi? Co będzie, jeśli nie znajdziemy ropy?

Bradford zamrugał zdumiony i osuszył spocone czoło chustką, niegdyś zapewne białą. Potem uśmiechnął się chytrze.

- Bez obaw, szanowny kapitanie - rzekł. - Jak mawiacie w Ameryce, nie może nam się nie udać. - Przystanął i spojrzął w niebo widoczne między koronami przydrożnych drzew. Jak często o tej porze dnia, poranny błękit ustąpił już grożącej deszczem szarości. - O Boże - mruknął.

Isak Reuben sztachnął się ostatni raz parzącym już wargi papierosem i cisnął go z platformy w kałużę, gdzie niedopałek zgasł z sykiem. Ulewa przeszła w mżawkę, jednak zdążyła kompletnie go przemoczyć. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, bo i tak cały czas był mokry od potu i brudna koszulka kleiła mu się do ciała niczym gnijąca szmata. Okrętowa bladeść ustąpiła czerwonej opaleniznie, którą pamiętał z czasów pracy na polach naftowych. Wolałby jej nigdy więcej nie oglądać, ale cóż. Gilbert wyglądał podobnie.

- Cholera - zaklął nagle. - Nie jesteśmy już białymi myszami. - Złapał za linę, która zwieszała się z belki i znikła w dziurze u jego stóp. Luz wydawał się właściwy. - Ruszamy, Gilbert - powiedział chrapliwie do kompana, który wykonał ręką taki gest, jakby coś obracał.

Kilkanaście kroków dalej stał brontozaur z dwoma lemurami na grzbiecie. Jeden z nich syknął przenikliwie i uderzył zwierzę w zad bambusowym kijem. Stwór zaprotestował gardłowo, ale ruszył przez błoto. Był zaprzężony do wielkiego kieratu połączonego pasem transmisyjnym z kołami o różnej średnicy, z których ostatnie rytmicznie podnosiło belkę. Gdy ta opadała własnym przemyślem, umocowane na końcu liny masywne wiertło wbijało się z głuchym odgłosem o kolejnych kilka cali głębiej.

Isak spojrzął w niebo nad wysoką na osiemdziesiąt stóp bambusową wieżą, która ciągle wydawała mu się jakaś dziwna. W przerwach między chmurami pojawiły się pierwsze smugi błękitu. Isak pokręcił jednak głową niezadowolony. Ile razy widział nadciągający szkwał, w głębi ducha liczył na to, że może przeniesie on ich z powrotem tam, skąd przybyli. Do domu,

do prawdziwego świata, gdzie znowu mógłby zaszyć się w samotni obok okrętowych kotłów. W tym magicznym miejscu, gdzie powstawała para obracająca święte turbiny. Tam albo i gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. Tutaj sama ziemia parowała przypiekana słońcem, a zwierzęta udawały maszyny. Zmarszczył czoło, sięgnął po nowego papierosa i raz jeszcze przyjrzał się dinozaurowi.

- Powolny jest, ale moc ma niezłą - powiedział.

- Co? - spytał Gilbert, podchodząc do niego, i też sprawdził luz liny przy dolnym położeniu belki.

- Nic.

Gilbert pokiwał głową.

- Cicho tutaj.

Obaj przywykli do nieustannego warkotu silników napędzających urządzenia wiertni.

- Za cicho - zgodził się Isak. - To nienaturalne.

Gilbert ponownie pokiwał głową.

- Daj dymka, jeśli łaska - burknął tonem, który oznaczał u niego uprzejme przymawianie się.

- Nie.

- Dlaczego nie? Ja cię częstowałem.

- Tak, i już nie masz co palić. Głupi byłeś.

Gilbert spojrzał na ponownie luzującą się linę. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że Isak miał rację. Rzeczywiście był mądrzejszy z nich dwóch. Mimo to w końcu wyciągnął sfatygowanego papierosa i podał kumplowi, po czym zajrzał do paczki.

- Masz - powiedział. - Teraz jestem tak samo głupi jak ty. Został mi już tylko jeden.

Tej polany także strzegł oddział wartowników. Jeden z nich, siedzący na wieży obok przecinki z rurociągiem, wydał przenikliwy okrzyk.

- Co jest? - mruknął z irytacją Isak, sięgając po jeden ze starych karabinów, które zawsze trzymali pod ręką. - Byle nie znowu to duże bydlę. Mamy za mały kaliber na takie polowanie.

Miał na myśli długie na czterdzieści stóp stworzenia, które Bradford nazywał alozaurami. W przeciwieństwie do innych tutejszych stworzeń nie różniły się prawie od znanych Australijczykowi skamielin, były tylko trochę większe niż ich prehistoryczni przodkowie. Nie pojawiały się też często, bo chociaż umiały się szybko poruszać, wolały czekać w dżungli, aż zdobycz sama do nich przyjdzie. Marynarze nazwali je superjaszczurami i protesty Bradforda nic w tym wypadku nie dały. Isaka zaś obchodziło tylko jedno - że trudno te cholery zabić i że bardzo się ich boi.

- Spokojnie - powiedział Gilbert. - Nie rozumiem tego ich małpiego gadania, ale to brzmiało trochę inaczej niż ostrzeżenie przed dużym.

Obaj spojrzeli na wylot drogi i odetchnęli, widząc wyłaniające się stamtąd ludzkie sylwetki.

- Poniekąd jednak coś dużego - stwierdził Isak. - To skipper.

Matt pomachał lemurowi patrzącemu na niego z wieży. Był to jeden z marines Aldena, uzbrojony w karabin Kraga. Wiertnia miała decydujące znaczenie dla całego programu paliwowego, jednak poza wartownikami pracowało tu może z dziesięć osób. Większość zajmowała się czyszczeniem i układaniem elementów bambusowej rury, reszta zaś samymi wiertłami, które poza okresowym ostrzeniem nie wymagały jednak licznej obsługi.

Dwa z nich leżały teraz na kozłach, przytrzymywane przez dwie pary rąk każde, podczas gdy inni pracowali przy nich z pilnikami. To Spanky wpadł na pomysł, żeby wiercić w taki sposób. Wiertła zostały wykonane z ciężkiego stalowego dwuteownika używanego do prostowania wybrzuszonych płyt poszycia. Pocięty na trzy części dał trzy odcinki, po cztery stopy każdy. Obciążone miedzianym balastem sprawiały się nieźle, tyle że często trzeba było je ostrzyć.

Matt patrzył zafascynowany na bambusową konstrukcję z pomysłowym urządzeniem wiertniczym. Widywał już wieże naftowe, ale niewiele o nich wiedział. O tej potrafił powiedzieć tylko tyle, że zdradza podobieństwo do oryginalnych, chociaż jest żółtozielona. W końcu dostrzegł stojących na platformie palaczy. To pewnie jeszcze jeden powód, dlaczego tak mało ludzi tu pracuje, pomyślał. Trzeba było sporego samozaparcia, żeby wytrzymać dłużej w towarzystwie Myszwatych, przy czym lemury podchodziły do nich chyba podobnie jak załoga niszczyciela. Matt poprowadził grupę przez błoto w stronę wieży i wspinał się na platformę.

- Dzień dobry - rzucił przyjaźnie. - Pomyślałem, że warto będzie tu zajrzeć i zobaczyć, jak sobie radzicie.

Isak wzruszył ramionami i rozejrzył się wkoło, jakby chciał powiedzieć, że tutaj przecież nie ma co oglądać. Bradford z trudem stłumił chichot.

- Widać, że świetnie sobie radzą! Naprawdę niezwykle! - Spojrzał radośnie na obu mężczyzn. - Jak głęboko jesteśmy?

Gilbert cofnął się kilka kroków i stanął obok wspornika belki dźwigającej wiertło. Obaj Myszwaci prawie nigdy nie rozmawiali z oficerami, Spanky'ego oczywiście nie licząc, bo czuli się przy nich niepewnie. Oficerowie należeli do innego świata i bardzo rzadko pojawiali

się w kotłowni.

- Trzysta sześćdziesiąt dziewięć stóp przy napiętej linie - odparł Isak, patrząc gdzieś między głowami gości. Nagle zerwał z głowy brudną czapkę. - Przepraszam.

- Świetna sprawa! - ucieszył się Bradford. - Na pewno niewiele już zostało. - Spojrzał na Matta. - Jak mówiłem, nie może się nie udać. Przypadkiem wiem, że w 1938 roku trafiono tutaj na całkiem wydajne złożo. Akurat na nasze potrzeby.

- Ale skąd pan ma pewność, że w tym świecie jest tak samo? - spytał z uśmiechem Matt.

- Dzięki panu, oczywiście! Jak pan powiedział, geograficznie rzecz biorąc, mamy tutaj dokładnie to samo. Sporo o tym rozmawialiśmy i stwierdziliśmy, że brak istotnych różnic. Tylko większość mieszkańców jest inna. Skoro ropa była tu w naszym 1938 roku, powinna być także teraz, jeśli nikt jej dotąd nie wydobył.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli, panie Bradford - powiedział Matt i uśmiechnął się smutno. - Nie jestem pewien, czy to ta sama kwestia i czy skoro Borneo wydaje nam się identyczne, to ta sama ropa jest pod ziemią. Nie wątpię, że jest tu także kontynent północnoamerykański z taką samą linią brzegową i rzeźbą terenu jak te, które znamy. Pewnie płynie też swoim korytem rzeka Paluxy, w której łapałem kiedyś ryby. Ale czy to te same ryby, panie Bradford? Wątpię. Cokolwiek tam pływa, chętnie by nas zjadło. - Uniósł rękę, powstrzymując protest Australijczyka. - Chcę tylko powiedzieć, że jeśli nie znajdziemy tu ropy, będziemy musieli szukać jej gdzie indziej. Nie wolno nam zabijać w ludziach nadziei, że ona gdzieś tu jest. Pamiętajcie, panowie, być może nie trafimy na nią tam, gdzie była, ale w końcu ją dopadniemy!

Gilbert z powagą pokiwał głową, zgadzając się z kapitanem. Co ten cholerny kangur sugerował? Chciał ich zniechęcić? Myszowaty sprawdził linę.

- Napięta - powiedział.

Isak przytaknął i spojrzał na tubylców, którzy poganiali wielkie zwierzę.

- Wy tam! - krzyknął. - Stop dino! Płuku-płuku urobek! Woda won łup-łup!

Młodzi tubylcy całkiem po ludzku pokiwali głowami i zeskoczyli z grzbietu dinozaura.

- Łapiesz lokalne narzecze - skomentował oschle Letts.

Isak wzruszył ramionami.

- Tak. Trudno inaczej.

Przy lunchu kapitan zamyślił się głęboko. Prace były zaawansowane, co napełniło go optymizmem. Mogło się wydawać, że znalezienie ropy jest tylko kwestią czasu. Wystarczy dowiercić się do odpowiedniej głębokości i będzie można napełniać zbiorniki *Walkera*. Mimo

to nie mógł się wyzbyć niepokoju. Wbrew temu, w co wszyscy wierzyli, nie wszystko było tu identyczne. Na przykład wzgórza nad zatoką zdawały się wznosić wyżej, niż pamiętał. Mniejsza erozja czy niższy poziom morza, a może coś jeszcze? Skoro jednak były pewne różnice, mogły też dotyczyć złóż ropy.

Bradford twierdził, że to nie działa w ten sposób. Dowodził, że tutejsza budowa geologiczna sprzyja powstawaniu pokładów gromadzących surową ropę naftową. Matt miał nadzieję, że Australijczyk wie, co mówi. Bez wątpienia był pewien swego, a ci dziwni palacze chyba mu wierzyli. Oby się udało. I żeby rafineria zadziałała. Znaleźć ropę to jedno, ale trzeba było jeszcze przerobić ją na paliwo dla kotłów.

Gdy wyszli z powrotem na zatokę, nastawił ucha na toczony obok rozmowy na temat miejscowej przyrody. Za motorówką krążyło kilka barwnych latających gadów polujących na ryby pojawiające się w kilwaterze. Matt odpłynął myślami tam, gdzie coraz częściej zdarzało mu się ostatnio błędzić. Pomyślał o Sandrze. Nie mógł zaprzeczyć, że mu się podoba. Ale komu mogłaby się nie spodobać? Zwłaszcza przy tak niewielu kobietach na pokładzie. Jednak mimo tej szczególnej sytuacji był pewien, że naprawdę ją lubi, i nie chodziło tylko o zwykły pociąg. W normalnych okolicznościach najpewniej spróbowałby już poznać ją bliżej, ale teraz...

Jak dotąd mimo wszystko załoga trzymała się razem. Owszem, zdarzały się konflikty, zawsze jakieś były, ale nie wykraczały ponad średnią. Na razie. Matt nie pojmował, jak mogło dojść do tak szybkiego rozprzężenia na *Mahanie*. Jim był dobrym dowódcą i powinien był sobie z tym poradzić i pewnie by mu się udało, gdyby nie został postrzelony. Brister uważał, że histeria Kaufmana nałożyła się pechowo na przemęczenie i nerwy załogi. Groźna mieszanka, której należy unikać. Na *Walkerze* największym źródłem nerwowości mógł się stać brak kobiet. Matt był przekonany, że w końcu znajdą jakichś ludzi, na przykład potomków załóg tych dwóch indyjskich statków, które pożeglowały na wschód. To był dobry ślad. Na razie jednak byli sami. Cała masa chłopów i tylko dwie kobiety. Kapitan zawsze uważał, że osobisty przykład działa lepiej niż słowa, i dlatego nie mógł teraz pójść za głosem serca. To nie byłoby w porządku wobec ludzi, poza tym jak mógłby oczekiwać od nich opanowania, gdyby sam zachował się inaczej? Musiał chronić swój autorytet dowódcy, zwłaszcza że nic innego już mu nie zostało. Nawet żołdu nie mógł nikomu zawiesić, skoro zniknęli ci, którzy go przyznawali. Obie pozornie dostępne kobiety były poza jego zasięgiem.

Spojrzał na Alana Lettsa. Dwie albo tylko jedna, pomyślał. Coraz częściej widywał Lettsa w towarzystwie Karen Theimer, co może i miało dobry wpływ na oficera. Kto wie, czy to właśnie nie przydało mu bystrości i inicjatywy. Lepiej jednak niech uważa. Matt wiedział, że

Bernie i Greg też mają oko na tę dziewczynę. Może dlatego stosunki między młodszymi oficerami stały się ostatnio jakby bardziej oficjalne. Mogło to oznaczać kłopoty. Na dłuższą metę nawet poważniejsze niż brak paliwa czy amunicji.

Po raz tysięczny pożałował, że wysłał pozostałe pielęgniarki na *Mahana*. Nie dlatego, żeby ich obecność mogła rozwiązać problem, ale pewnie trochę złagodziłaby atmosferę. Prędzej czy później i tak musiał poszukać innych ludzi, był to winny swojej załodze. Niemniej jeszcze nie teraz. Ta sprawa musiała poczekać, tak jak jego zainteresowanie Sandrą. Oraz cały problem z *Mahanem*. Obecnie miał kolejną wojnę na karku. Tyle dobrego, że do walki ludzie zdążyli już przywyknąć i każdy dobrze wiedział, co ma robić w takiej sytuacji.

- Jakież regaty tu dzisiaj mają czy co?! - zawołał Tony Scott, przekrzykując silnik i szum wody. Kapitan spojrzał na zatokę, gdzie dziesiątki łodzi rybackich zdążyły pod pełnymi żaglami w stronę miasta. Matt odruchowo poszukał spojrzeniem swojego okrętu. Szybko go dostrzegł. Nowy odcień szarości zasugerowany przez bosmana ostro kontrastował z pstrokacizną miasta i zielenią dżungli. Matt po chwili przeniósł wzrok na wejście do zatoki.

Czerwony statek grików też postawił wszystkie żagle i parł prosto przed siebie, w kierunku zdobyczy. Niemal w tej samej chwili dokoła rozległy się sygnały alarmowe lemurów. Przypominały dźwięk rogu, ale ich źródłem były specjalnie ukształtowane muszle.

- Cała naprzód, Scott! - zawołał Matt. - Jak najszybciej pod okręt!

Sandra spojrzała znad książki na kolejnego pacjenta, który wszedł do mesy. Czytała akurat zszargany egzemplarz *Cudownej księgi historii, nauki, przyrody, literatury, sztuki, religii i filozofii* Henry'ego Thomasa, który pochodził z obszernej a ekscentrycznej biblioteczki poległego lekarza okrętowego i krążył obecnie z rąk do rąk. Sam autor przypominał Sandrze Bradforda. Był podobnie pompatyczny i zdawał się wiedzieć trochę o wszystkim. Na widok pacjenta odłożyła lekturę.

- Dennis Silva, jak pragnę zdrowia - zdziwiła się.

Silva stanął przed pielęgniarką i nic nie powiedział. Obecne prace remontowe obfitowały w drobne wypadki, kończące się głównie drobnymi skaleczeniami albo oparzeniami. Rzadziej ktoś, ogoniasty albo i bez ogona, zjawiał się ze zmiażdżonymi palcami czy ranami, które trzeba było szyć, niemniej pacjentów było tak wielu, że Sandra dyżurowała w mesie na zmianę z Karen, zajmując się pacjentami na bieżąco. Zaraz potem byli zwykle odsyłani do pracy. Jednak rosły mat wyglądał na całkiem zdrowego.

- I o co chodzi? - spytała w końcu porucznik.

Silva zarumienił się.

- Jestem chory, proszę pani.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chory? Pan? - Silva cieszył się wręcz legendarnym zdrowiem. Wedle zapisków w księdze chorych dotąd pojawiał się u lekarza wyłącznie z powodów, które zdarzały się większości co bardziej męskich marynarzy Floty Azjatyckiej jakiś czas po powrocie z przepustki. Obecnie nie wydawało się to prawdopodobne, chociaż... Podobno niektórzy mężczyźni próbowali szczęścia z miejscowymi kobietami, co mogło być nawet prawdą, zważywszy na to, że obie rasy lubiły przygody. Sandra mimowolnie zadrżała i potrząsnęła głową, żeby odpędzić te myśli. - Na co chory? - spytała i nagle się przeraziła. Jak dotąd mieli szczęście, cały czas jednak obawiała się wybuchu jakiejś epidemii. Czegoś, na co nie są odporni.

Silva opuścił głowę i wbił spojrzenie w czubki butów.

- Mam sraczkę - wymamrotał.

- Znaczy biegunkę? - ujęła to delikatnie Sandra.

Pokiwał głową.

- Od wczorajszego popołudnia ciągle przesiaduję w kiblu - powiedział. - I zaraz znowu będę musiał...

Odruchowo spojrzała na korytarz za jego plecami. Na twarzy Silvy odmalowało się oburzenie - przecież tam był kibiel oficerski!

- Ale wytrzymam jeszcze chwilę - uspokoił ją.

- A od czego ta przypadłość? Zjadł pan coś?

- No... tytoń jest już na wagę złota i ten cholerny Chack...

Sandra uderzyła się dłonią w czoło i pozwoliła sobie na uśmiech ulgi. Widząc jej beztrudne zachowanie, Silva zamarł ze zgrozy.

- Naprawdę jest pan tak naiwny, żeby brać do ust każdy kawał zielska, który panu podsunie? - W końcu nie wytrzymała i zaśmiała się głośno. - To paradne! Słyszałam o tym. Powinien pan choć trochę uważać. To nie jest byle kmiotek, jak niektórzy z was sądzą. Na dodatek ma chyba swoiste poczucie humoru. - Zanotowała sobie w myślach, żeby porozmawiać z Chackiem i uświadomić mu, że to, co dobre dla niego, może być czasem niezdrowe dla ludzi. I żeby zaczął oglądać się za siebie, bo ktoś może odplacić mu pięknym za nadobne. - Jestem pewna, że wróci pan do zdrowia, panie Silva. Wiem, że eksperymentował pan dla dobra nauki i chcąc pomóc kolegom, ale może raczej skorzystałby pan z okazji, żeby pozbyć się nałogu?

Silva spojrzał na nią prawie błagalnie.

- Ale jak? Nie ma nie tylko tytoniu, ale też kończy się kawa, nie ma... - przerwał i zaraz zmienił temat. - Już sama walka dała nam w kość, a teraz to? Bez zucia nie da się wytrzymać.

Sandra pokiwała głową. Na swój sposób miał rację. Niemal cała załoga odczuwała brak tytoniu i nie było to jedyne ich zmartwienie. Co więcej, narastające niedostatki prowadziły do nasilenia konfliktów, a nawet bójek. Lekarskie wskazania to jedno, ale liczyło się także morale załogi.

- Trudno, panie Silva - powiedziała z westchnieniem. - Pomyślę o tym. Ale uprzedzam, że możemy nie znaleźć niczego, czym można by zastąpić tytoń.

- Ważne, że pani poszuka - odparł Silva z nutą wdzięczności. - Te koty nie mają nawet betelu.

Sandra była przekonana, że miejscowi znają jeszcze inne stymulanty poza sfermentowanym sokiem owoców pota. Przypominający piwo napój był już dobrze znany ludziom, którzy konsumowali go nagminnie podczas rzadkich przepustek, chociaż powodował pewne niepożądane skutki uboczne, konkretnie szczególnie przykrego i długotrwałego kaca. Sandra ubolewała, że poza tym jest nieszkodliwy, ale Matt miał rację, że nie należy wydawać rozkazów, o których z góry wiadomo, że nie zostaną wykonane. W tym wypadku jedynym sposobem powstrzymania marynarzy od picia byłoby odwołanie wszelkich przepustek. Byłaby to jednak zbyt surowa sankcja, która wpłynęłaby na morale jeszcze bardziej destruktywnie niż brak tytoniu.

Jeśli zaś chodzi o jakieś zastępcze ziele... Tym bardziej będzie musiała porozmawiać z Chackiem. Skoro bawią go takie żarty, może będzie też skłonny pomóc. Zapyta go zatem.

I ostrzeże. Jeśli plotki są prawdziwe, dolegliwości Silvy mogą należeć do bardzo przykrych.

- Co do pańskiej choroby... - powiedziała i rozłożyła ręce. - Niestety, nie zostało mi już nic, co mogłoby złagodzić objawy. Musi pan po prostu poczekać, aż samo przejdzie. Proszę tylko pamiętać o nawadnianiu.

- Nawadnianiu? Czego i w jaki sposób? - spytał podejrzliwie Silva.

- Siebie. Musi pan pić dużo wody. Ale tylko naszej. Nie chcę nawet myśleć, co mógłby pan złapać po miejscowej wodzie. - Zakarbowała sobie w pamięci i to, żeby ponownie poszukać McFarlane'a. Gdy długi kocioł numer cztery był pod parą, skraplacze dostarczały niewielkie ilości czystej wody, która w miarę starczała do picia, chociaż do niczego więcej. Wszyscy mieli nieustannie wbijane do głowy, żeby unikać wszystkiego, w czym może być miejscowa woda. Chyba żeby ją gotować, pomyślała Sandra. Tyle dobrego, że generalnie nie musieli się martwić, że jej zabraknie.

- Chyba jednak skorzystam z oficerskiej ubikacji, proszę pani - powiedział zatroskany Silva. - Obawiam się, że nie dojdę do naszej.

Sandra uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Jasne.

W tej samej chwili okręt rozbrzmiał sygnałem alarmu bojowego.

Pasażerowie motorówki wspięli się czym prędzej na nabrzeże i wbiegli po trapie na pokład. Po drodze musieli torować sobie drogę przez spanikowanych tubylców i równie przerażone zamieszaniem brontozaury. Jeden z nich stanął nawet na tylnych łapach, wysypując zawartość wozu, do którego był zaprzężony, po czym zmiażdżył pojazd zadem. Woźnica ledwie zdążył zeskoczyć z kozła.

Na okręcie nikt ich nie witał, ale i tak pospiesznie oddali honory banderze. Po chwili nadbiegł zdyszany bosman.

- Chyba wszyscy na miejscu, sir. Tyle że pan Dowden i Spanky poszli godzinę temu pogadać ze stoczną. Powinni wrócić w każdej chwili.

- Trudno. Poluzować cumy i przygotować się do odbicia.

Gray rozejrzał się bezradnie, ale zaraz się opamiętał i zasalutował.

- Aye, aye, sir.

Matt spojrzał na Shinyę.

- Marine są dzisiaj na placu? - Japończyk przytaknął. - Jak szybko można ich tu ściągnąć?

Shinya spojrzał na tłumy kłębiące się na drodze do miasta i pokręcił głową. Dopiero jeden statek grików pojawił się w zatoce, a miejscowi zachowywali się tak, jakby wróg wygrał już bitwę i pustoszył okolicę.

- Przypuszczam, że sierżant Alden wyruszył już do portu - odrzekł - ale chyba trudno na niego liczyć.

- Rozumiem. Proszę skontaktować się z *Salisą* i poprosić Kejego o stu jego najlepszych wojowników. Niech przyśle ich tutaj jak może najszybciej. - Shinya zasalutował i pobiegł po trapie, Matt zaś skierował się na mostek. Nie zdziwiło go nawet, że niedawny przeciwnik najwyraźniej uznał go za swego dowódcę.

- Kapitan na mostku! - krzyknął porucznik Garrett.

Matt skinął głową, wziął lornetkę i wyszedł na skrzydło mostka. Statek grików płynął w stronę miasta, ale wyraźnie zwolnił, jakby miał zawrócić, chociaż do brzegu zostały mu jeszcze cztery mile. To było coś nowego. Dotąd jaszczury po prostu atakowały na oślep.

- Wszystkie stanowiska w gotowości, kapitanie - zameldował Garrett.

- Dobrze. Przygotować się do odbicia.

Garrett spojrział zdumiony na kapitana.

- Ale... paliwo - wydukał. - Możemy go przecież zatopić, nie ruszając się od nabrzeża.

- Wiem, panie Garrett, ale sądząc po ich zachowaniu, oni także to wiedzą - zaśmiał się gorzko. - Chyba nasza reputacja nas wyprzedziła. Poza tym on pewnie nie jest sam. - Dostrzegł szereg barwnych flag wciąganych na maszt statku jaszczurów. - Właśnie. Gdzieś w cieśninie jest jeszcze jeden. Co najmniej jeden. Niech maszynownia rozpala trójkę i dać rogiem sygnał: pięć minut na powrót na pokład.

- Mają rozpalać trójkę, sir? - spytał z niedowierzaniem Garrett. To oznaczało, że wieczorem zostaną bez paliwa.

- Wiem, ale trudno - westchnął Matt. - Musimy zatrzymać też statek, któremu ten tutaj daje sygnały. Na jednym kotle możemy robić dziesięć węzłów, oni przy tej bryzie wyciągną nawet dwanaście. - Już wcześniej na wszelki wypadek załadowali na pokład trochę drewna, chociaż kapitan wciąż miał nadzieję, że może jednak nie będą musieli z niego korzystać.

- Aye, aye, sir. Sygnał, kocioł numer trzy, za pięć minut rzucamy cumy.

Dwie minuty później Shinya i Keje poprosili o zgodę na wejście na pokład. Matt ucieszył się na widok przyjaciela, który zdążył już włożyć miedzianą zbroję i przypasać miecz. Shinya też miał już przy boku broń, którą Sandison sporządził dla niego z jednego z przydziałowych kordów. Nie była to dokładnie katana, ale po usunięciu kabłąka i przedłużeniu rękojeści można było nią władać podobnie jak japońskim mieczem. Porucznik ciągle nie mógł przeboleć straty swej paradnej broni, która poszła na dno razem z niszczycielem, i tym bardziej poczuł się poruszony prezentem Berniego.

Po chwili na mostek przybiegł też Larry Dowden, a na pokładzie zadudniły kroki setki miejscowych wojowników. Bosman zaraz ich przywitał.

- Przepraszam, skipper - wydyszał Larry. - Ledwie zdążyliśmy. Spanky też wrócił, od razu pobiegł do maszynowni. Powiedział, że skoro zostawia dwóch najlepszych ludzi na lądzie, sam zajmie się palnikami.

- Dobrze. Rzucić cumę rufową. Ster cała w lewo. Lewa turbina na jedną trzecią.

Walker ożył, zawibrował pokład. Mieszając śrubą brudną i zamuloną wodę basenu, zaczął się odsuwać od nabrzeża.

- Wszystko stop. Ster prosto. Rzucić cumę dziobową. - Matt poczekał, aż jego rozkazy zostaną wykonane. - Maszyny jedna trzecia wstecz. - Pojękując nitami, niszczyciel cofnął się od pirsu i zacumowanej przed nim *Salissy*. Gdy mieli już dość wody przed sobą, Matt rozkazał dać ster w prawo i dwie trzecie naprzód.

Keje milczał, obserwując manewry, w końcu potrząsnął głową.

- Zdumiewające - powiedział i spojrział na kapitana. - Przyproważyłem stu najlepszych. Wszyscy chcieli walczyć i najtrudniej było wybrać spośród nich stu. Zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że chodzi o walkę na twoim wspaniałym okręcie.

Matt klepnął go w ramię.

- Mogą poczuć się rozczarowani, gdy przyjdzie nam wracać na wiosłach. Mamy za mało paliwa.

- Aha - mruknął Keje i zamrugał energicznie. - To nic. Ważne, że znowu będziemy razem zabijać grików.

Trzeci komin plunął tłustym dymem i *Walker* ruszył z miejsca. Matt spojrział przez lornetkę.

- Tego się spodziewałem - rzekł. - Wyczuli, co się święci, i uciekają. Stawiają więcej żagli.

Keje też uniósł lornetkę do oczu. Larry Dowden pokazał mu, jak dostosować rozstaw okularów i nastawić ostrość.

- Tak, uciekają - potwierdził Keje. - Też widzę flagi sygnałowe. - Spojrział na Matta. - Dwa razy widziałem dotąd, jak nieprzyjaciel ucieka, za każdym razem z powodu twojego okrętu. Tamten, który umknął po bitwie, musiał przekazać wiadomość. Zresztą to może być nawet ten sam. Ale i tak na pewno drugi jest w cieśninie i kolejny jeszcze dalej. Trzeba zniszczyć je wszystkie. Jeśli zaniosą wieści o Baalkpanie do swojej floty, wrócą wielką siłą. Na to nie jesteśmy jeszcze gotowi. - Poruszył nerwowo uszami i ogonem. - Chyba zgodzisz się ze mną. Też widziałeś, co działo się na nabrzeżach.

- To przejściowe - pocieszył go Matt. - Widzieliśmy naturalną reakcję kogoś, przed kim właśnie zmaterializował się jego najgorszy koszmar. Pamiętaj, że dla większości mieszkańców miasta grikowie byli dotąd postaciami z legend. Tutejsi nigdy ich nie widzieli, nie poznali wojny. Teraz wiedzą przynajmniej, że wróg naprawdę istnieje i że nie szkolimy ich bez powodu. - Wskazał na odległy czerwony statek. - Może zaczną traktować całą tę sprawę poważniej.

- Obyś miał rację - mruknął Keje. - Ja odniosłem wrażenie, że robili pod siebie.

Matt zmarszczył czoło.

- Musiałbyś nas zobaczyć, gdy Japończycy zaczęli bombardować Cavite.

Walker był już na kursie pościgowym i stopniowo zwiększał prędkość. Spanky w pełni zdawał sobie sprawę ze stanu bunkrów i uważnie sterował maszynami. Matt poszukał spojrzeniem czegoś, co pozwoliłoby mu ocenić kierunek i siłę wiatru. W końcu wypatrzył

łódź rybacką, która szła chyba dokładnie z wiatrem. Keje też na nią spojrział.

- Tak, nieprzyjaciel ma dobry wiatr - powiedział. - Złapał wiatr w żagle. Tak chyba mówicie? Wasze żagle działają podobnie jak nasze skrzydła. Zwłaszcza przy wietrze od... rufy? - Pokręcił głową. - Jeszcze się uczę waszych morskich terminów.

- Dobrze ci idzie - rzekł z uśmiechem Matt.

Keje skłonił się lekko.

- Tak czy owak dobrze będzie go złapać, nim dotrze do cieśniny - orzekł.

Matt spojrział na Garretta, który skinął głową.

- Są w zasięgu ognia, skipper - powiedział.

Statek grików był niecałe dwie mile od nich i nabierał prędkości. Keje chrząknął, jakby chciał powiedzieć, że też mu się wydaje, iż mogliby już ostrzelać przeciwnika.

- Dobrze, ale na głębszej wodzie - rzekł Matt. - Nie chciałbym go zatopić w kanale. I niech Spanky przykręci trochę kurek. Niech tamci myślą na razie, że mogą uciec. - Uśmiechnął się smutno. - Panie Garrett, przejmuję okręt. Proszę zająć stanowisko na pomoście kontroli ognia. Może być potrzebne, gdy natkniemy się na jeszcze jednego.

- Aye, aye, sir. Kapitan przejmuje okręt - obwieścił Garrett.

Gdy poszedł, Matt pokręcił głową. Dawno już powinienem był go tam posłać, pomyślał. Zbyt ulegam emocjom.

- A co ze mną? - spytał Dowden. - Mam przejść do tyłu?

- Jeszcze nie. To będzie pewnie zwykle strzelanie do kaczek, ale mogę mieć dla pana coś innego do roboty. Sternik - zwrócił się do Tolsona. - Proszę trzymać się za jego rufą i pilnować stałej prędkości.

- Aye, sir, stały dystans za rufą.

Statek grików chylił się lekko na burtę, płynąc pod całą piramidą białych żagli kontrastujących z ciemnoczerwonym kadłubem i błękitem morza. Szedł tak szybko, że zostawiał za sobą okazały, spieniony kilwater.

- Cokolwiek powiedzieć o tych jaszczurach, statki budują piękne - mruknął kapitan.

Gdy wyszli z zatoki, okazało się, że cieśnina jest pusta. W dali widać było tylko trochę chmur i szare pasma deszczu nad Celebesem. Poza tym widoczność była wspaniała.

- Obserwator melduje żagiel za półwyspem, namiar dwa, dwa, pięć - odezwały się kapitańskie słuchawki. Matt zwrócił lornetkę we wskazanym kierunku, ale bujna roślinność na brzegu zasłaniała morze po drugiej stronie cypla. Bocianie gniazdo było jednak znacznie wyżej, więc i pole widzenia dawało większe.

- Zatem na pewno są dwa - stwierdził Matt. - Pytanie tylko, czy ten, którego ścigamy,

skręci w kierunku towarzysza, czy raczej będzie starał się nas od niego odciągnąć. To może nam wiele powiedzieć.

- A jaka to różnica? - spytał Keje.

- Znacząca - stwierdził Matt i zamilkł na chwilę. - Powiedzmy, że masz dwa albo trzy szybkie statki i znalazłeś bazę grików. Ruszają w pościg za tobą. Wiesz, że nie wygrasz, ale musisz przekazać innym, co odkryłeś. Co robisz?

Matt wiedział, że teoretyzowanie nie jest mocną stroną miejscowych, ale Keje wpatrzył się w rufę uciekającego statku i zastanowił głęboko.

- Kazałbym statkom uciekać w różnych kierunkach - powiedział. - Może wtedy któryś by uciekł. Tak było, kiedy opuszczaliśmy dawną ziemię. Gdy grupa się rozproszy, prześladowcom trudno ścigać każdego osobno.

Matt pokiwał głową.

- Właśnie - rzekł. - Jednak jest też ryzyko, że tym łatwiej uporają się ze ściganymi, niszcząc ich pojedynczo. Ale gdyby nikt nie miał szansy ucieczki? Co wtedy byś zrobił?

- Spróbowałbym walczyć, żeby ich opóźnić. Albo poprosił inny statek, żeby podjął walkę.

- Tak. - Kapitan podszedł do steru i zerknął na kompas. Potem spojrzał w niebo i ponownie ocenił wiatr. Ze statków grików musiano już dostrzec towarzysza, który stawiał właśnie nowe żagle i kierował się wzdłuż brzegu kursem SSW. Jeśli uciekający zamierzał do niego dołączyć, powinien za chwilę skręcić. - No i właśnie. Znalazłeś kilka rozwiązań. Ale czy spodziewałbyś się, że grikowie też zdolni są do czegoś takiego?

Keje zamrugał zdumiony. Dla niego nowością było już to, że nieprzyjaciel ucieka. Pomysł, że mógłby zacząć myśleć zupełnie inaczej niż dotąd, a nawet zdobyć się na poświęcenie statku, był przerażający. Ale fakty mówiły same za siebie. W odróżnieniu od ludzi z załogi niszczyciela Keje zawsze zwracał uwagę na wiatr i bez kompasu zrozumiał, że grikowie powinni już zmienić kurs.

- Jeśli uznali, że informacja na temat Baalkpanu ma strategiczne znaczenie, i gotowi są ją przekazać za wszelką cenę, to są całkiem innym przeciwnikiem, niż dotąd zwykliśmy o nich myśleć. - Matt poderwał nagle lornetkę do oczu. - Cholera - mruknął, gdy ujrzał zwijane żagle. Czerwony statek wyraźnie skręcał. - Jeszcze chwilę temu miałem nadzieję, że jednak się mylę, ale nie. Nie zdołają uciec, więc chcą walczyć, żeby nas opóźnić. - Pokręcił głową. - Wcale mi się to nie podoba. Panie Garrett, proszę otworzyć ogień. Sternik, idziemy za tym drugim. Nie mamy dość paliwa na dodatkowe manewry.

Odezwał się brzęczyk ostrzegający przed salwą. Podczas gdy *Walker* skręcał leniwie na

prawą burtę, trzy kolejno odpalone pociski z działa numer dwa zmieniły spory i niegdyś piękny statek w dymiący wrak zapadający się w fale. W porównaniu z prawdziwą artylerią pokładową czterocalówki nie znaczyły wiele, jednak z drewnianym kadłubem poradziły sobie z naddatkiem. W zasadzie powinny wystarczyć nawet dwa pociski, jednak pełniący akurat obowiązki celowniczego Silva musiał być chyba rozkojarzony, bo pierwszy strzał okazał się niecelny, co skwitowano gwizdami. Pozostałe dwa doszły celu, co zachwyciło obecnych na pokładzie tubylców. *Walker* leżał już na kursie pościgowym za drugim statkiem, a Silva spojrzał ze złością na *Chacka*.

Keje stał obok *Matta*, który siedział na swoim świętym krześle. Zdobycz rosła powoli w oczach. Kapitan był pod wrażeniem prędkości czerwonego statku, który musiał robić chyba ze trzynaście węzłów. Chwilę później minęli unoszące się na wodzie baryłki i jakieś inne drewniane przedmioty. Grikowie próbowali najwyraźniej odciążyć statek.

- Chciałbym opanować ten żaglowiec - powiedział *Matt* do *Kejego*. - Przybyli węszyć wokół nas i chętnie odplaciłbym im tym samym. Zbyt wielu rzeczy o nich nie wiemy. Ani skąd przybywają, ani czego chcą, ani co tu właściwie robią. Czy naprawdę mają na Morzu Jawajskim ponad dziesięć jednostek? A może więcej? Szlag mnie trafia, że nie mamy pojęcia, z kim właściwie walczymy. Gdy utracimy mu maszty, zabijemy ilu się da ogniem karabinów maszynowych. Potem wdrzemy się na pokład. Sądziś, że można to zrobić przy... minimalnych stratach? Zakładam, że będą na nas czekać na pokładzie i łatwo wielu z nich zastrzelimy, ale ciężar walki wręcz spocząłby na twoich ludziach. Nie mogę wysłać wielu swoich, bo już teraz nie mam ich dość do obsługi okrętu. Poza tym niewielu z nas zna się na takiej walce. - Zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał na *Kejego*, który wyraźnie palił się do boju przekonany, że byłby to historyczny wyczyn.

Kapitan jednak uniósł dłonie.

- Powiedziałem, że chciałbym. Najpierw jednak muszę coś sprawdzić. - Połączył się z maszynownią. - Mówi kapitan. Chcę rozmawiać z panem *McFarlanem*.

- Aye, aye, sir - dobiegło go, a chwilę później usłyszał głos inżyniera.

- Jak paliwo, *Spanky*? - zapytał.

Po chwili rozległo się westchnienie.

- Jeśli zmniejszymy szybkość - rzekł *McFarlane* - wyłączymy trójkę i zaraz zawrócimy, może dotrzemy do zatoki o własnych siłach.

- A drewno?

Tym razem chwila ciszy była dłuższa.

- Możemy palić drewnem, *Spanky* - powiedział *Matt*.

- Aye, sir, możemy - odparł z rezygnacją inżynier. - Tyle że to wyłączy kocioł na czas potrzebny do usunięcia popiołu. Nie wiem, jak długo to potrwa ani czy kocioł wyjdzie z takiej próby bez szwanku. Przypominam, że w tym świecie nie znajdziemy do niego żadnych części zamiennych.

Matt przygarbił się lekko i pokiwał głową, jakby Spanky stał tuż obok.

- Rozumiem. Przygotować się do wygaszenia trójki. - Spojrzał na stojących na mostku, a potem na uciekający statek. Był już niecałą milę od nich. - Cholera - mruknął i dostrzegł w oczach Kejego błysk rozczarowania. - Innym razem. Jeszcze będzie okazja. W końcu czegoś się o nich dowiemy. Musimy! - Wstał i raz jeszcze spojrzął na przeciwnika. - Zatopić go!

Do zatoki weszli już o zmroku. Zbiorniki były praktycznie puste, a ciśnienie pary tak małe, że nie mogli nawet przybić do kei. Rzucili kotwicę tam, gdzie zatrzymali się pierwszy raz przybywszy na wyspę. Zmęczony Matt przetarł oczy. Nikt z miejscowych nie wypłynął sprawdzić, co właściwie robią w cieśninie, i można się było obawiać, że przyjdzie im jednak palić drewnem pod kotłami. Catalina cumowała na swoim miejscu i kapitan zastanowił się, ile czasu musiałoby jeszcze minąć, zanim Mallory zdecydowałby się poświęcić trochę cennego paliwa, żeby polecieć na poszukiwanie niszczyciela. Może niewiele. Mimo zmroku dostrzegał kilka sylwetek stojących na skrzydle samolotu.

- Proszę zaraz zacząć przewozić ludzi Kejego na brzeg - rozkazał Matt. - Rano zacumujemy okręt.

- Nie zamartwiaj się - powiedział mu Keje. Uporał się już z rozczarowaniem i teraz napawał się łatwym zwycięstwem. - Dokonałeś czegoś wielkiego i cieszę się, że mogłem być z tobą!

- On ma rację - odezwała się Sandra. Była na mostku, odkąd stało się oczywiste, że nie będzie żadnych ofiar. Wskazała na miasto, które jaśniało już od świateł. Na nabrzeżach znowu kłębił się tłum, tyle że tym razem radosny. - Ci ludzie po raz pierwszy zobaczyli wroga i teraz wiedzą, że można go zwyciężyć. To ma wielkie znaczenie.

- Miałoby większe, gdybyśmy zdobyli jakieś informacje. No i wciąż nie wiemy, co z tą trzecią jednostką. - Nim zniszczyliśmy ten statek grików, podniósł on takie same sygnały jak pierwszy, jednak bocianie gniazdo nie dostrzegło trzeciej jednostki. Można więc sądzić, że wróg nie odebrał informacji, niemniej...

- Jak sam powiedziałeś, jeszcze będzie okazja - przypomniał Keje.

- Przejmujesz wachtę - powiedział Matt do Sandisona. - Ja odprowadzę kapitana Kejego na brzeg albo i na jego statek, jeśli takie będzie jego życzenie. - Spojrzał na Sandrę. - Czy

zechce nam pani towarzyszyć?

- Oczywiście, kapitanie - odparła z uśmiechem Sandra. - Tylko się przebiorę. - Rozłożyła ręce. Wciąż miała na sobie lekarski fartuch, który włożyła po ogłoszeniu alarmu.

- Nie wydaje mi się... - zaczął Matt, ale Keje położył mu dłoń na ramieniu.

- Tak, powinna. I ty też, przyjacielu. Weź miecz i najlepszy kapelusz. Musimy uczcić to zwycięstwo! - dodał z uśmiechem.

Isak Reuben i Gilbert Yager siedzieli na drewnianym pomoście, do którego zacumowana była catalina, i palili papierosy. Nie zwracali uwagi na zgiełk dookoła ani nawoływanie porucznika Mallory'ego, żeby przestali tu kurzyć. Czasem jakiś lemur zakaszłał zaskoczony chmurą niebieskawego dymu, ale to też nie obchodziło Myszowatych. W końcu Mallory kucnął przy krańcu skrzydła, prawie na poziomie obu palaczy, i spróbował przemówić im do rozumu.

- Słuchajcie, chłopaki! - mówił podniesionym głosem, przekrzykując zgiełk. - Jeśli własne zdrowie was nie obchodzi, pomyślcie o samolocie. Nie pali się przy samolotach!

Tłum powitał wiwatami i tupaniem kolejną grupę wojowników przywiezionych z niszczyciela. Isak wydmuchnął dym i spojrzał na oficera.

- Co mnie obchodzi samolot, żołnierzu? Stał sobie tutaj, gdy my byliśmy na wojnie.

- Typowe - prychnął Gilbert.

Mallory nie miał ochoty na takie spory. Bardziej interesowało go, skąd ci dwaj wzięli papierosy. Przez ostatnią godzinę odpalali jednego od drugiego. Pewnie to Alden. Wielki marine zawsze miał jakieś fajki. Mówili, że z Surabai zabrał ich cały marynarski worek. Pewnie to on zaopatrzył tę dziwną parę. Dziwną, bo obaj mężczyźni cali byli umorusani jakimś czarnym smarem. W półmroku widać było tylko białka ich oczu oraz ogniki papierosów. Porucznik spróbował innego podejścia:

- Ale to samolot marynarki.

Następna łódź przybiła do nabrzeża i hałas znowu przybrał na sile, zwłaszcza gdy dostrzeżono Matta, Sandrę i Kejego. Tak naprawdę nikt jeszcze nie wiedział, co zaszło w cieśninie, było tylko wiadomo, że nieprzyjaciel zniknął, a *Walker* powrócił. Na razie tyle musiało wystarczyć. Sierżant Alden przepchnął się przez ciżbę i powiedział coś kapitanowi do ucha. Wyższy o głowę od zebranych Matt stanął prosto i poszukał czegoś spojrzeniem, aż w końcu wypatrzył Myszowatych. Isak zaciągnął się głęboko dymem.

- Pewnie mu o nas powiedział - rzucił i obaj wstali, zostawiając na pomoście ciemne ślady w miejscach, gdzie chwilę wcześniej siedzieli.

Matt podszedł do nich, ale przystanął w odległości kilku kroków, jakby bał się pobrudzić

swój biały kapitański mundur. Isak poczuł, że chyba powinien coś zrobić, i wiedziony niemal zapomnianym odruchem przytknął palec wskazujący do czoła.

- Znaleźliśmy rope, skipper - powiedział, odklejając palec od skóry. - Rano, jakąś godzinę po tym, jak pan wypłynął. Dokładnie tam, gdzie kangur pokazał. - Przerwał nagle speszony. Nigdy wcześniej nie odezwał się do oficera nie zagadnięty. Kapitan jednak tylko się uśmiechał. - Dobrze, że pana wtedy tam nie było. Zwłaszcza w tym mundurze.

Gilbert przytaknął z powagą.

- Czy teraz możemy wracać do siebie? - zapytał.

Zgiełk na nabrzeżu zaczął przycichać i Earl Lanier zastanowił się, czy to znaczy, że impreza przygasa czy też gdzieś się przenosi. W końcu wzruszył ramionami i oparł owłosionym przedramieniem pot z czoła. Znajdujący się pod platformą działową na śródkręciu kubryk był jego królestwem, czasem jednak Lanier zastanawiał się nad sensownością starego powiedzenia, że lepiej rządzić w piekle, niż służyć w niebie. Przez sąsiedztwo kotłowni kuchnia była jednym z najgorętszych miejsc na okręcie. Poza tym może i rządził tutaj, ale także służył, w sumie więc przebywał jakby w piekle bez żadnych profitów. Jęknął, schylając się, upomniany przez żołądek, który nie lubił takiej gimnastyki, i spojrzał na dochodzące w piecu bochny chleba. Były już gotowe. Pachniały trochę dziwnie za sprawą dziwnej mąki dostarczanej przez tubylców, ale nie była to przykra woń. Chleb poza tym miał posmak dyni, na co załoga oczywiście chóralnie narzekała. W obecnej sytuacji wydało się to kukowi szczególnie dziwne, ale się tym nie przejmował. Chleb to chleb. Póki mógł go wypiekać, żeby napchać brzuchy załogi, wszystko było w porządku. Jeśli ktoś uznawał, że ma narzekanie wpisane w obowiązki, to już nie jego zmartwienie. Co innego, gdyby w ogóle nie było niczego do jedzenia.

Otworzył piec i wysunął bochny, żeby ostygły, po czym podszedł do wielkiego miedzianego kotła i uniósł pokrywę. Skrzywił się, gdy kubryk wypełniła gorąca para buchająca z potrawki przyrządzonej z jakiegoś miejscowego stworzenia. Nie wiedział, jak się nazywało, ale z grubsza przypominało indyka. Tyle że miało krótki ogon i nie pachniało jak indyk. Zamieszał zawartość kotła, aż ciemne kawałki mięsa wypłynęły na powierzchnię. Wziął odrobinę na chochlę, podmuchał i spróbował wywaru.

- Spodoba im się - mruknął zdumiony własnym osiągnięciem. - Słowa nie powiedzą. Od razu mnie powieszają.

Wytarł tłuste dłonie o fartuch i otworzył szafkę z przyprawami. Niewiele już w niej zostało. Sól, trochę curry, resztką czarnego pieprzu. To lepiej zostawić, pomyślał. Wyciągnął

tackę z suszonym pieprzem, który zdobył na Jawie przed wypłynięciem, i spojrział krytycznie na zawartość. Nigdy jej jeszcze nie używał, ale podobno ten pieprz był bardzo ostry. Powąchał. Nic. Spróbował ostrożnie językiem. Może lekkie łaskotanie, ale tylko tyle.

- Co u diabła?

Cisnął dwie garście suszu do kotła.

- Gorzej na pewno nie będzie - mruknął pod nosem i dodał jeszcze filiżankę soli. - Potrzebują soli - mruknął. - Tyle jej codziennie wypacają.

Zamieszał zawartość i z głośnym stukiem nałożył z powrotem pokrywę. Potem ponownie wytarł dłonie w fartuch i przeszedł na drugi koniec kuchni, gdzie trzymał swoją wędkę. Zrobił ją z krótkiego bambusowego kija znalezionego na wyspie. Linkę przymocował dwoma stopami drutu. Wziął gumowaty kawałek wnętrzości „indyka” i nadział go na haczyk. Przy wyjściu natknął się na mesowego Raya Mertza, który spał na opartym o ścianę krześle. Przednie nogi mebla unosiły się w powietrzu i Laniera kusilo, żeby wykopnąć krzesło spod śpiącego, ale ograniczył się do trącenia jego stopy. Zaskoczony chłopak i tak omal nie zleciał na podłogę.

- Pilnuj ognia - powiedział Earl. - Pora na moje śniadanie. - Ignorując tradycję, zagwizdał *The Krawdad Song* i wyszedł na pokład. - Dość, że muszę gotować to gównno - mruknął. - Nie mogą mnie zmusić, żebym to jadł. - Istotnie, rzadko kosztował tego, co upichcił. Tylko on z całej załogi uwielbiał srebrzyste ryby. Głównie smażone. Ludzie są dziwni, pomyślał. Jasne, że one jedzą wszystko, co wypadnie za burtę, od ludzi począwszy, a na gównie skończywszy, ale przecież sumy nie są lepsze. Od dzieciństwa uwielbiał ryby. Owszem, w Pinedale w stanie Wyoming, gdzie się wychował, trudno było czasem o pstrąga, niekiedy jednak się trafiał, by odegrać swą życiową rolę, czyli wylądować na patelni Earla.

Podszedł do prawoburtowego relingu obok wyrzutni torpedowej numer dwa. Światła niedalekiego miasta odbijały się w wierzchołkach ciemnych fal i było już prawie całkiem cicho. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wygaszono kotły i nawet nawiewniki nie szumiały. Poza chlupotaniem fal słychać było tylko chrapanie tej części załogi, która nie świętowała na lądzie zwycięstwa. Do powrotu pierwszych pijanych została pewnie jeszcze z godzina. Reszta spała na pokładzie, gdzie komu było wygodnie. Nawet miejscowi „kadeci” unikali dusznych kajut. Wszyscy byli tak zmęczeni, że gwizdanie Laniera nikogo nie obudziło. Obrócił wędkę i zaczął opuszczać hak z przynętą do wody.

- Na ryby? - spytał ktoś z tyłu.

- Nie, na grzyby - warknął Lanier.

Z mroku wychynął Tom Felts. Pewnie ma wachtę, pomyślał kuk.

- Słyszałeś, że Myszowaci znaleźli w końcu ropę? - spytał Felts.

Lanier przytaknął. Bardzo mu ulżyło, gdy się o tym dowiedział.

- Ciekaw jestem, kiedy do nas trafi - powiedział.

- Podobno niebawem. Słyszałem, że jest „słodka” czy jakoś tak, i przez to łatwa w obróbce. Koty budują już zbiorniki. Pewnie dostaniemy ją za parę dni. Oby. Głupio się poczułem, gdy trzeba było wygasić kotły.

Lanier pokiwał głową. Gotował na węglu, ale bez elektryczności niewiele widział w kuchni. Musiał używać lamp śmierdzących tłuszczem jakiejś wielkiej ryby, na którą polowali miejscowi.

- Tak - mruknął, życząc sobie w duchu, żeby Felts już sobie poszedł. Nagle kij szarpnął mu się w rękach. Nie musiał czekać, aż ryba porządnie połknie haczyk, już teraz musiała go mieć w żołądku. Mocno trzymał wędkę, a linka miotła się na jej końcu. Nie miał kołowrotka, musiał więc czekać, aż zdobycz się zmęczy i będzie mógł ją wyciągnąć na pokład. Linka powinna wytrzymać, o ile ryba nie waży więcej niż czterdzieści czy pięćdziesiąt funtów. Aż jęknął, gdy spróbowała zanurkować głębiej i schować się pod kadłubem.

- Co złapałeś? - spytał przejęty Felts.

- Rybę, idioto - warknął Lanier.

- Wiem, ale jaką?

- Chryste, nie wiem - odparł kuk, starając się nie tracić nad sobą panowania. - Nie mam pojęcia, jak nazywają się te ryby, które tu łapię. Może być kolejna taka sama, może inna. Odczep się.

Walka trwała jeszcze kilka chwil, aż Lanier dostał lekkiej zadyszki. Felts zerkał ciekawie za burtę.

- Chyba słabnie - powiedział.

Lanier przytaknął i zdmuchnął krople potu z górnej wargi. Obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy na nikogo nie wejdzie.

- Idzie - mruknął i poderwał kij.

Felts krzyknął, gdy coś przebiło powierzchnię wody i zaczęło się tłuc o burtę, a chwilę później zaraz obok pojawił się potwór rodem z najgorszych koszmarów. Miał sześć stóp długości i ciało spłaszczonego węża, tyle że z „pierzastym” grzebieniem od pyska do ogona. Przypominał węgorza, tyle że w jego zasadniczo rybim łbie otwierała się nieprawdopodobnie szeroka paszcza z tysiącami długich i ostrych jak igły zębów. Miał też czarne, łpiące nienawiścią ślepia. Miotał się po pokładzie, próbując przegryźć linę, a jego ciało lśniło tęczowo coraz bliżej Feltsa.

- Cholera! - jęknął wachtowy i cofnął się, aż wpadł na reling. Gorączkowo poszukał przy pasie broni. W końcu wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i zaczął strzelać. Pociski rykoszetowały od pokładu i wpadały ze świstem do wody. Kawałki ciała ryby i płaty zdartej farby obsypały co bliżej śpiących, którzy nie wiedzieli jeszcze, co to za huk ich obudził. W końcu Felts wystrzelał cały magazynek, lecz dalej celował w rybę i nerwowo szarpał spust.

Lanier cisnął wędkę na pokład.

- Ty głupi sukinsynu! - wrzasnął.

Obudzeni ludzie spoglądali w kierunku awantury. Początkowo, z uzasadnionej ostrożności, nikt nie wstawał, w końcu rozległy się zaniepokojone głosy i odgłos kroków. Po chwili zjawił się bosman Campeti z latarką w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Miał na sobie jedynie koszulkę i gacie.

- Co tu się wyrabia? - warknął. - Kto strzelał? - Zamiótł światłem dokoła. Blask odbił się w dziesiątkach oczu, tak ludzkich, jak i lemurzych. W końcu padł na twarz przerażonego Feltsa i jego dymiący jeszcze pistolet, wciąż tkwiący w wyciągniętej dłoni. Campeti skierował latarkę w bok i cofnął się odruchowo, bo w końcu zobaczył również rybę. Była w strzępach, ale olbrzymie szczęki wciąż drgały spazmatycznie. W dolnej wardze tkwił haczyk, linka znikła za burką.

- Kto wciągnął to coś na mój pokład? - spytał Gray.

- Ja! - wykrzyknął Lanier. - Łapy sobie urabiam, żywiąc tę zgraję, i chciałem złapać sobie rybkę na śniadanie. I co? Zaraz jeden z nich mi ją rozstrzelał. - Kuk trzymał w dłoni nóż do filetowania i przez chwilę nie było wiadomo, czy nie zamierza wypatroszyć nim Feltsa, ostatecznie jednak klęknął przy truchle ryby z taką miną, jakby chodziło o umierającą kochankę. Przesunął nożem po poszarpanym ciele. - Do niczego - jęknął.

Wkoło zebrała się już spora gromadka półnagich ludzi i całkiem nagich lemurów.

- Nikt nie jest ranny? - spytał Campeti i tłumek zaszemrał, jednak nikt się nie zgłosił.

- Nie jedz! - odezwał się nagle ktoś z grupy.

- Co?

- Nie jedz. - Jeden z miejscowych kadetów podszedł bliżej i spojrzał na rybę, a potem na Graya. - Zła ryba. Nie jeść. Od niej... śmiertelnie chory. Rę... rą... rębacz. Rębacz nie jedzenie. On jeść martwych.

Gray trącił Laniera nogą.

- Słyszałeś? Felts właśnie uratował twoje bezwartościowe życie - powiedział i ponownie oświetlił wachtowego. - Już dobrze?

Felts z trudem przełknął ślinę.

- Wężę, szefie - wydukał. - Od dzieciństwa tak mam. Gdy nagle to coś wpadło na pokład... - Pokręcił głową.

Campeti wyjął mu broń z ręki.

- Ja też - powiedział i wytrząsnąwszy z paczki cennego papierosa, podał go artylerzyście. Musiał mu też przepalić, bo nieszczęśnikowi wciąż trzęsły się dłonie.

W końcu zjawił się też porucznik Garrett. Był nieco kompletniej ubrany niż Gray, bo zdążył nałożyć czapkę.

- Co jest? - spytał i bosman streścił mu sprawę.

Lanier, nie zaczekawszy do końca meldunku, podszedł do oficera.

- Żądam postawienia tego człowieka do raportu! - warknął. - Strzelał w porze ciszy nocnej, i to na oślep. Mógł kogoś trafić. Nie wspominając, że zniszczył moją rybę. To pański podwładny, poruczniku Garrett. Co zamierza pan zrobić?

Garrett westchnął i spojrzał na Feltsa. Wszyscy mieli za sobą ciężki dzień i nerwy w ogólnie kiepskim stanie. Dyscyplina była nader ważna, jednak na widok takiej ryby pewnie też sięgnąłby po broń.

- No...

- A wy jesteście moim podwładnym, Lanier - odezwał się nagle Alan Letts, wychodząc z mroku. Był w mundurze, choć nie miał wachty. - I co mam z wami zrobić? Włączycie się nocą po pokładzie, puszczacie luzem podejrzone trujące ryby... - Letts pokręcił głową, dając załodze czas na śmiechy. - Boję się myśleć, co powie o tym kapitan. - Śmiechy przybrały na sile i Lanier jakby trochę zbladł. Letts spojrzał na Graya. - Skoro to pokład jest w to najbardziej zamieszany... - Poczekał chwilę, aż ludzie ucichną. - Skoro to pokład jest najbardziej zamieszany w tę sprawę, to chyba dobrze będzie, jeśli pan ją rozstrzygnie. O ile porucznik Garrett się zgodzi, oczywiście. Mnie martwi najbardziej zdarta farba i ten bałagan dokoła - rzekł, na co nawet Felts się uśmiechnął.

Gray podrapał się po głowie i spojrzał na Feltsa, który momentalnie spoważniał. Potem zgromił wzrokiem dziwnie spokojnego teraz Laniera. W końcu odezwał się nader oficjalnym tonem.

- Pan Lanier i tak truje nas na co dzień i nie sądzę, żeby cokolwiek, co złowi, mogło być jeszcze gorsze, uwalniam go więc od winy, jeśli posprząta te glutiny z mojego pokładu - powiedział, wywołując ogólną wesołość. Potem spojrzał na Feltsa tak surowo, że ten aż zadrżał. - Z drugiej strony należałoby odnotować w dzienniku pokładowym, że mat Felts uratował śpiącą załogę przed atakiem potwora morskiego, i wręczyć mu z tego tytułu młotek do klepania oraz puszkę farby, żeby rano usunął ślady swojego bohaterskiego czynu. -

Spojrzał na Garretta. - Poruczniku?

- Skoro tak pan uważa, na pewno go przyślę.

- Panie Letts?

- Dla mnie w porządku. To bosman rządzi na pokładzie.

Campeti wzruszył ramionami.

- Największy przykład odwagi, z jakim się zetknąłem - stwierdził. - Wszędzie krew i każdy strzał celny. Chłopak powinien dostać medal. Ale teraz proszę wyrzucić to ścierwo za burtę. Nie chcę go na moim talerzu.

Dramatyczny epizod dobiegł końca i załoga ponownie zachrapała. Campeti został z Feltsem, który nie zakończył jeszcze wachty, i bosman chciał mieć pewność, że marynarz już doszedł do siebie.

- To było coś - szepnął Felts. - Pan Letts wyskoczył jak diabełek z pudełka. Myślałem, że jest na lądzie. To jednak całkiem równy gość jak na oficera.

- Tak - mruknął Campeti. - I był w dobrym humorze. - Sonny miał wiele wad, z których zdawał sobie sprawę, nie był jednak skłonny do plotkarstwa. Owszem, porucznik Letts zjawiał się całkiem nieoczekiwanie. Zgadzało się, że chociaż wcześniej był raczej popularny, nikt nie traktował go poważnie do czasu, gdy się okazało, że ma talenty mogące się przyczynić do ich ocalenia. Jeśli szminka widoczna na jego brodzie miała z tym coś wspólnego, nie należało sprawy nagłaśniać. Chociaż swoją drogą...

Matt i Sandra zostali na uroczystościach na tyle długo, żeby goście nie poczuli się urażeni ich wyjściem, chociaż wszyscy obficie raczyli się trunkami i wątpliwe, by ktokolwiek zauważył ich nieobecność. Po raz pierwszy kapitan pozwolił załodze na pełną swobodę i trochę się z tego powodu niepokoił. Owszem, ludzie zasłużyli na zabawę i szczerze życzył im dobrego spędzenia czasu, obawiał się jednak, że mogą przesadzić. Zatopili dwa statki grików i zaczęli nienawidzić ich prawie tak samo jak Japończyków. Myszowaci znaleźli ropę w miejscu wskazanym przez Australijczyka, który znacznie zyskał przez to na prestiżu. Ostatnio widziano go, jak leżał bez zmysłów na jednych poduchach z Nakja-Murem. Myszowaci gdzieś zniknęli. Zapewne znów się zaszyli w kotłowni i Matt aż cierpł na myśl, że będzie musiał im rozkazać, by wrócili na stanowisko wiertnicze, gdzie ciągle byli jeszcze potrzebni. Z drugiej strony cieszył się, że wreszcie napełni zbiorniki. Przez kilka długich tygodni czuł się bezradny i niezdolny do działania. Co gorsza, miał świadomość, że gdzieś tam błędzi *Mahan*. Teraz miał szansę uratować bliźniaczą jednostkę, chociaż z drugiej strony ciągle nie

potrafił ustalić jasnej listy priorytetów i nie miał pewności, czy właśnie to zadanie powinno się znaleźć na jej początku.

Matt i Sandra pod silnym wrażeniem swej bliskości podeszli w milczeniu do nabrzeża. Basen był pusty, zaraz jednak pojawiła się zmierzająca ku niszczycielowi motorówka z marynarzami w różnych stadiach ożywienia. Mieli zameldować się na pokładzie do pierwszej po północy, nikt nie dostał zgody, żeby zostać na łądzie do rana. Dowden pozbiarał kilku trzeźwiejszych i skompletował z nich lotne patrole mające odławiać bardziej zaprawionych.

Podeszli blisko miejsca, gdzie wieczorem siedzieli Myszowaci, i Matt się zatrzymał, obawiając się do niego zbliżyć. Wciąż miał na sobie jedyny galowy mundur. Kilku ludzi w motorówce zaczęło śpiewać i Matt zdrętwiał, rozpoznawszy piosenkę. Głosy niesło po wodzie lepiej niż terkot silnika łodzi. Wokalistom wyraźnie bardziej zależało na natężeniu dźwięku niż na jego jakości. Najsilniejszy musiał należeć do porucznika McFarlane'a.

*The boys out in the trenches
Have got a lot to say
Of the hardship and the sorrows
That come the soldiers way.
But we destroyer sailors
Would like thier company
On a couple of trips in our skinny ships
When we put out to the sea!*

- Piękna noc - powiedział Matt, niezgrabnie próbując odwrócić uwagę Sandry od popisów chóru, ale nic to nie dało. Refren był ulubionym kawałkiem tych moczymordów, wyrzyczeli go więc tym głośniej.

*Oh, it's roll and toss
And pound and pitch
And creak and groan, you son of a bitch!
Oh, boy, it's a hell of a life on a destroyer!*

Matt zerknął na Sandrę, spodziewając się, że wstrząśnięta dziewczyna zakryje usta dłonią, ale ona tylko się uśmiechnęła.

*Oh, Holy Mike, you ought to see
How it feels to roll through each degree.
The goddam ships were never meant for sea!
You carry guns, torpedoes, and ash-cans in a bunch,
But the only time sure to fire
Is when you shoot your lunch!
Your food is the Navy bean,
You hunt the slimy submarine.
It's a son-of-a-bitch of a life on a destroyer!*

Sandra w końcu zakryła usta, ale żeby stłumić chichot. Motorówka zbliżała się już do okrętu. Nie było księżycy i mimo nowego, jaśniejszego malowania sylwetka niszczyciela ledwie majaczyła w ciemnościach. Kojarzyła się ze smutkiem i osamotnieniem. Nawet śpiew trochę przycichł, jakby powracającym udzielił się ten nastrój. Z drugiej strony może po tych wszystkich wspólnych przejściach nie chcieli zbyt urazić starego czterofajkowca. Zresztą ostatnia zwrotka była bardziej refleksyjna.

*We've heard of muddy dug-outs,
Of shell holes filled with slime,
Of cootie hunts and other things
That fill a soldier's time.
But believe me, boys, that's nothing,
To what it's like at sea,
When the barometer drops
And clinometer hops
And the wind blows dismally.*

- To świetni ludzie, kapitanie Reddy. Cała pańska załoga - powiedziała cicho Sandra.

- Tak, owszem - odparł Matt z westchnieniem. - Ale to jeszcze utrudnia sprawę.

- Trudniej nimi manipulować?

Spojrzał na nią zdumiony, ale przytaknął.

- Właśnie. A ja przecież to właśnie robię. Prowadzę ich na wojnę, o której nic nie wiem. - Pokręcił głową. - Nie, nie rozczulam się nad sobą. Wiem, że nie było wyboru. Nie mieliśmy wyboru, odkąd wyszliśmy ze szkwału. I nawet na niego nie narzekam. Wprawdzie utrudnił

nam życie, ale też ocalił. To tylko... - Nie potrafił powiedzieć, co właściwie czuje. Zwłaszcza o tym, co wiązało się z *Mahanem*. O tych wszystkich koszmarach, wątpliwościach i poczuciu winy. A jeszcze bardziej o tym, co myślał na temat pani porucznik. Na wszelki wypadek zmienił temat.

- Wcześniej służyła pani na starym *Langleyu*, prawda?

Przytaknęła. USS *Langley* był pierwszym prawdziwym lotniskowcem amerykańskiej marynarki wojennej. Przebudowany z frachtowca otrzymał pokład startowy zamocowany na nadbudówce, przez co zyskał przydomek „Kryta bryka”. Gdy wybuchła wojna, wyglądał już bardzo „niemodnie” i był za mały na potrzeby nowoczesnych samolotów. Transportował myśliwskie P-40 na Jawę, gdy dopadły go japońskie samoloty. Nie miał w tym spotkaniu żadnych szans. Sandra nie przeżyła wcześniej straszniejszych chwil. Dopiero później, już na *Walkerze*, przekonała się, że może być jeszcze gorzej.

- Byliśmy na patrolu w pobliżu wyspy Bawean, gdy dowiedzieliśmy się o *Langleyu* - powiedział Matt. - Czekaliśmy wtedy na japońską inwazję. Kierowaliśmy się do Surabai na tankowanie, gdy Doorman nas zawrócił. Japończycy byli już u brzegów Baweanu. Po prostu ich przeoczyliśmy - dodał głucho i wpatrzył się w sylwetkę niszczyciela. - Szliśmy tak szybko, że *Pope* nie zdołał do nas dołączyć. Nie, żeby to robiło jakąś różnicę. Gdy uporaliśmy się już z minami, zaatakowali nas z powietrza i musieliśmy podjąć walkę. Mieliśmy już tylko osiem myśliwców i Holendrzy chcieli zachować je na ostatnią chwilę, gdy zacznie się inwazja. - Nagle parsknął. - Osiem maszyn nie miało szansy powstrzymać japońskiego desantu, ale nam by pomogły. Odeгнаłyby bombowce i pokazały, gdzie jest przeciwnik. - Zamilkł na dłuższą chwilę. Sandra czekała cierpliwie. - Ich osłona sił inwazyjnych nie była tym razem wiele silniejsza niż nasz zespół, ale nie mieliśmy w ogóle wsparcia z powietrza. Japończycy wykorzystywali przez cały czas samoloty patrolowe do korygowania ognia artylerii. Było na co popatrzeć. Krążowniki to nie pancerniki, ale niewielka to różnica, gdy zaczęły walić salwami z dział głównej artylerii. Oczywiście mogliśmy tylko patrzeć. - Zaczerpnął powietrza. - *Exeter* dostał, a kilka minut później *Kortenaer* nadział się na jedną z tych wielkich japońskich torped. Po prostu wyleciał w powietrze. *Edwards* płynął zaraz za nim i musiał skrócić. Gdy mijali holendra, widzieli już tylko dwie osobne połówki kadłuba tonące do góry kilem i ani jednego człowieka. *Electra*, jeden z brytyjskich niszczycieli, przeprowadziła w pojedynkę atak torpedowy, żeby odciągnąć Japończyków od *Exetera*. - Matt zdjął czapkę i przeczesał dłonią włosy. - Chyba każdy ich okręt skoncentrował na niej ogień. Widzieliśmy tylko kolumny wody, potem kłęby pary i dymu... i nic. - Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. - Robiło się ciemno i chyba Doorman miał już dość.

Krażownicy skręciły, żeby odejść, my zaś sami zaatakowaliśmy torpedami, ale nie mieliśmy trafień. Tyle że Japończycy musieli złamać szyk, a Doorman zdołał im ujść. Miał charakter. Gdy tylko zrobiło się spokojniej, znowu zaczął szukać transportowców. My już nie. Nie mieliśmy torped i prawie skończyło się nam paliwo, a silniki ledwie się trzymały po godzinach marszu z prędkością trzydziestu węzłów. Binford rozkazał nam wracać do Surabai.

Motorówka wracała do nabrzeża, żeby zaczekać tam na kolejną grupę.

- Doorman nie był idiotą - ciągnął Matt. - Nie podobało mu się to, jak powierzono mu dowództwo, przede wszystkim jednak nie wiedział, jakie siły ma przeciwko sobie i gdzie właściwie jest przeciwnik. Teraz domyślam się, jak musiał się czuć. My też nie wiemy, z kim walczymy. Jak powiedziałem wtedy, gdy pomogliśmy *Salissie*... - Przerwał i spojrzał na dziewczynę. - Proszę nie zrozumieć mnie źle. Cieszę się, że to zrobiliśmy. Ci ludzie, Keje, Adar, Chack, nawet Nakja, są naprawdę w porządku. Pomagają nam i zasługują na naszą pomoc. Nie podoba mi się tylko, że wikłam swoich ludzi w coś, o czym nic nie wiem. Grikowie są paskudni, może jeszcze gorsi niż Japończycy. Trzeba ich pokonać, bo jakkolwiek się tu znaleźliśmy, nie będziemy bezpieczni, póki nam zagrażają. Dotąd szło nam łatwo, ale to się może zmienić, jeśli potrafią operować czymś więcej niż zespołami po kilka jednostek. Musimy jakoś się tego dowiedzieć!

- Ale jak?

- Nie wiem - odparł z uśmiechem. - Cały czas nad tym pracuję. Jakies pomysły?

Sandra też się uśmiechnęła. Była pewna, że kapitan nikomu innemu nie okazałby tyle zaufania. Przed nikim innym tak by się nie odsłonił. Co to mogło oznaczać?

- Co się stało z Doormanem? - spytała.

- Następnej nocy znowu natknął się na Japończyków. *De Ruyter* i *Java* zostały zatopione. *Exeter* i *Encounter* zdołały wrócić do Surabai, gdzie pani weszła na nasz pokład. *Huston* i *Perth* poszły na dno, próbując się przedostać do Cieśniny Sundajskiej.

- A wszystko to dlatego, że nie mieli informacji o nieprzyjacielu - powiedziała Sandra i spojrzała z zastanowieniem na catalinę. - My jednak mamy samolot. A grikowie nie.

Matt również spojrzał na łódź latającą.

- Tak, ale dopóki nie wyprodukujemy więcej paliwa, niewielki będzie z niego pożytek. Benzynę jednak nietrudno uzyskać, chociaż Mallory twierdzi, że te silniki potrzebują wysokooktanowej, z którą może być gorzej. Nie znam się na tym, ale Bradford owszem. Gdy załatwimy paliwo dla okrętu, zajmie się benzyną. - Wzruszył ramionami i przyjrzał się catalinie, jakby była starym spracowanym koniem. - Musimy też pamiętać, że o części do niego będzie jeszcze trudniej niż do naszych maszyn.

- A ile mają tego paliwa? - spytała Sandra. - Dość, żeby poszukać *Mahana*?

Odpowiedział jej monotonnym głosem, który słyszała u niego już wcześniej, gdy mówił o czymś nieuniknionym i przykrym.

- Może. Zatankowaliśmy maszynę i mamy dość paliwa w beczkach na jeszcze jedno tankowanie, ale nie mogę wysłać nikogo na tak daleki patrol, póki *Walker* nie wyjdzie w morze, żeby popłynąć za samolotem. Chyba żebym naprawdę musiał. Riggs sądzi, że uda mu się naprawić radio, i to może coś zmienić. Wcześniej nie chcę nikogo narażać. Dobrze byłoby też znać przybliżoną pozycję *Mahana*. Na razie wiemy tylko, że jakiś czas temu był na zachód od Sumatry, a to zbyt nieprecyzyjna informacja. Najprawdopodobniej już zatonął... albo grikowie go przejęli. - Westchnął. - Sumienie podpowiada mi, żeby ruszać na poszukiwania, gdy tylko będziemy mieli paliwo, ale odpowiadam przecież także za *Walkera* i nie mogę pływać sobie, gdzie chcę i jak chcę, dopóki nie wiem, gdzie powinienem się skierować. *Mahan* i nasi przyjaciele muszą poczekać. Na pewno to zrozumieją.

- Czy pan Mallory i pan Brister też tak myślą? - spytała Sandra. - Wiem, że palą się do poszukiwań.

Matt zacisnął zęby

- Nawet jeśli myślą inaczej, to trudno - rzekł. - Tutaj ja za wszystko odpowiadam.

- Oni też sobie wyrzucają, że ich zostawili. Powinien pan z nimi porozmawiać, wyjaśnić...

- Zawahała się, nim znowu się odezwała. - Czy nie skrytykował pan przed chwilą Holendrów, że nazbyt oszczędzali swoje samoloty?

Matt uśmiechnął się, słysząc ten przytyk, ale pokręcił głową.

- To nie to samo. - Samolot jest cenny, ale zaryzykuję jego utratę, jeśli będę musiał. W to nie wątpię. Jednak wyślę go tylko wraz z okrętem. Jeśli nauczyłem się czegoś od Doormana czy z całych działań Floty Azjatyckiej, to żeby nigdy nie jeździć z zawiązanymi oczami na trójkołowym rowerku przed walcem drogowym. Czy grikowie są takim walcem? - Wzruszył ramionami. - Tubylcy bardzo się ich boją, ale jeśli mają tylko tuzin statków na Morzu Jawajskim... teraz może dziesięć... to oni są trójkołowcem i nie musimy się ich obawiać. - Pokazał jej dwa palce. - Dzisiaj tyle nam brakowało, żeby się tego dowiedzieć. Ledwie kilka galonów paliwa załatwiłoby sprawę. W odróżnieniu od admirała Doormana nie zamierzam gonić za cieniem, jak długo... - Nagle przerwał i po twarzy przebiegł mu dziwny grymas. - Chyba...

- Co?

- Wpadłem na pewien pomysł, później powiem jaki. - Wskazał na nadpływającą motorówkę. Po chwili jeden z załogantów wdrapał się na nabrzeże i zdumiał się, poznawszy

kapitana.

- Chce pan już wracać na okręt, skipper? - zapytał.

Matt spojrział na Sandrę. Dziewczyna pokręciła głową.

- Jeszcze nie - powiedziała.

Kolejna osoba wspięła się na górę. Był to głośno przeklinający Tony Scott, który wolał znaleźć się trochę dalej od wody. I tak wiedział, że gdy zbierze się następna grupa marynarzy, znowu będzie musiał popłynąć. Obaj załoganci odsunęli się taktownie poza zasięg głosu.

- Nie wykorzystuje pan swoich ludzi - powiedziała cicho Sandra. - Nie ma różnicy między tym światem a tamtym, który opuściliśmy. To świat nas wykorzystuje niezależnie od tego, co pan robi. Jeśli nie będzie pan uważać, sam może się pan nabrać. Dbaj pan o swoich ludzi i szanuj ich. Oni o tym wiedzą i ja też. - Spojrzała na niego przelotnie i w jej oczach odbiły się światła miasta. - Wszyscy pana za to uwielbiamy. Za to i inne rzeczy. - Przelknęła, starając się zachować spokój. Co właściwie chce mi powiedzieć? zastanowił się Matt. - Przede wszystkim wiemy, że zrobi pan wszystko, abyśmy byli bezpieczni. Cokolwiek się zmieniło, to zostało po staremu i czasem człowiek musi zaryzykować, żeby ochronić to, co jest mu bliskie. - Wskazała na okręt. - Oni to wiedzą. A że jest pan taki, jaki jest, oni zaryzykują dla pana, gdy będzie trzeba. - Westchnęła. - Gdy wyprodukujemy paliwo, będziemy mogli odpłynąć. Na przykład na Filipiny albo do Australii. Może tam również znajdziemy paliwo. Ostatecznie moglibyśmy popłynąć na Hawaje albo nawet Zachodnie Wybrzeże. Może tam nie ma gryków. Może jest tam tak samo paskudnie, ale jeśli nie? Bylibyśmy bezpieczni, lecz co dalej? Potrzebujemy przyjaciół, jeśli mamy przetrwać, i na razie mieliśmy do nich szczęście. Tak się składa, że oni też walczą o przetrwanie. Dzięki nim jesteśmy bezpieczniejsi, a udzielając im pomocy, robimy coś słusznego. Pańscy ludzie to rozumieją i założę się, że gdyby mieli głosować, większość chciałaby zostać. Wiedzą, że mogą zginąć. Życie na pokładzie niszczyciela bywa niebezpieczne. Mogli zginąć już w naszym świecie, i to wiele razy, nawet przed wybuchem wojny. Dlatego jeśli chce pan im dać nadzieję, niech pan robi swoje najlepiej jak potrafi. A gdy przyjdzie pora, niech pan przystąpi do walki. Nieważne, nad czym pan panuje, a nad czym nie, ważne jest, by walczyć do zwycięstwa! - Uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami. - I niech pan przestanie czuć się winny, że wplątaliśmy się w cudzy konflikt. To był sukces, nie porażka!

- Ale skąd...?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Moja kajuta jest tylko dwa wejścia od pańskiej i wszyscy mamy zasłony zamiast drzwi, a pan mówi przez sen. - Odchrząknęła i spojrzała na marynarzy stojących w pobliżu

motorówki. - To nic złego - dodała. - Ale dzięki temu wiem, że wini się pan za wszystko od śmierci Marvaneya po utratę kontaktu z *Mahanem*. - Jej uśmiech zniknął. - To się musi skończyć. Jeśli nie zacznie pan normalnie sypiać, da o sobie znać zmęczenie i zacznie pan popełniać błędy.

Matt pokiwał głową.

- Spróbuję - powiedział. - Dziękuję, pani porucznik.

Spojrzała na niego surowo.

- Poza służbą do wszystkich oficerów zwraca się pan po imieniu. Dlaczego jestem wyjątkiem?

- Hmm, ponieważ...

- Ponieważ jestem kobietą? Jestem też przyjacielem. Przynajmniej mam nadzieję, że uważa mnie pan za przyjaciela. Keje chyba myśli, że jestem pańską żoną! Nie sądzi pan, że mógłby mi mówić po imieniu, przynajmniej gdy nikt nie słyszy?

Matt poczuł, że pieką go policzki, ale przytaknął. Zastanowił się, jak grząski może okazać się grunt, na który wkracza.

- Dobrze... Sandro. Ale tylko gdy będziemy sami - stwierdził całkiem poważnie. - Chyba domyślasz się dlaczego.

Oczywiście wiedziała i zyskała w ten sposób potwierdzenie, że tylko wymogi służby kazały mu zachować dystans. Poczucie obowiązku i odpowiedzialności za podwładnych. Poza tym był nią zainteresowany, pomyślała z radością, ale i smutkiem, że los zetknął ich ze sobą w takich właśnie okolicznościach. Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, Matthew, rozumiem.

Powiedziała to w taki sposób i z takim wyrazem twarzy, że Matt gotów był ją pocałować, nie bacząc na konsekwencje. I zrobiłby to, gdyby nie Silva, a właściwie zamieszanie, którego Silva był głównym sprawcą.

Gdyby pojawił się wtedy na pomoście krwiożerczy jaszczur, a nie Silva, byłaby to cicha msza wobec pożaru w burdelu. Rosły marynarz miotał się, usiłując zrzucić z siebie połowę lotnego patrolu Dowdena. W pewnej chwili tak mocno pchnął Freda Reynoldsa, jak się okazało, że ten wylądował na deskach niebezpiecznie blisko wody. Inna sprawa, że raczej by nie spadł, był bowiem skuty z Silvą kajdankami.

- Puszczajcie! - ryknął awanturnik. - Gdzie moja dziewczyna?! Mam ochotę na miłość!

- O mój Boże...

Potem Silva zaczął śpiewać, jakby chciał przelicytować kolegów. Patrol ciągnął go przy tym cały czas w stronę okrętu.

- Wstąpiłem do maryny, żeby zobaczyć świat! I co widziałem, biedny... brat? Morze, morze, tylko morze... Nie rzygam od fali, gdy buja... gdy wali, ale morza, ale morza mam dość! - Przerwał i zwymiotował na Reynoldsa, który nie zdążył się jeszcze podnieść, i rozejrzał się dokoła. - Wybacz, chłopie. Gdzie moja dziewczyna? Gdzie moje kochanie? Jeszcze się nie natańczyłem! - Zdumiewająco zgrabnie wykonał kilka kroków walca i uczepli go marynarze nie byli mu w tym żadną przeszkodą. - Jestem Fred Astaire! - Nagle stanął jak wryty, ujrawszy kapitana. Zakołysał się i zasalutował z rozmachem. - ...wieczór, skipper! Uszanowanie, prucznik Tucker!

- Pan Silva - mruknął Matt, kiwając głową. - Widzę, że zabawa się udała.

- Aye, aye, sir! Tanie piwo tu mają... a właściwie to było za darmo. - Beknął rozgłośnie.

- Jest pan gotów spokojnie wrócić na okręt?

Silva zamrugał i rozejrzał się.

- Nie, do diabła... Ci dranie... wyrwali... oderwali mnie od mojej żony!

- Co? O co chodzi, panie Dowden?

Zanim Larry zdążył odpowiedzieć, w ciemności rozległ się przenikliwy krzyk:

- Si-vaa!

W polu widzenia pojawiły się dwie biegnące postaci. Pierwsza, wyraźnie żeńska, skoczyła na mata i omal go nie przewróciła. Matt pomyślał w pierwszej chwili, że to atak, jednak ogoniasta osoba objęła Silvę i zaczęła go lizać po twarzy.

- Jest moje słoneczko! - huknął marynarz.

Osobnik, który nadbiegł drugi, stanął sprężysto na baczność. Mimo ciemności można było poznać, że Chack jest wściekły.

- Co tu się wyrabia? - nie wytrzymał Matt. - Coście nawyczyniali, Silva?

- To moja siostra, kap-i-tanie! - odezwał się Chack. - Nazywa się Risa. Jest niedysponowana. Ten olbrzym upił ją i...

- On?! - pisnęła radośnie Risa. - On się ze mną ożenił! Należy już do klanu Sab-At!

- Nigdy! - syknął Chack.

Sandra zakryła usta, ale kapitan nie potrafił orzec, czy jest przerażona, czy raczej krztusi się ze śmiechu.

- Bóg mi świadkiem, Silva, że jeśli zrobisz coś, co zaszkodzi naszym kontaktom z tymi ludźmi, albo zmusisz ją... Chyba zwariowałaś... Powieszę cię na rei!

- Żadne takie, skipper, mogę przysiąc na Biblię albo kolekcję płyt Marvaneya...

- Kłamiesz! - wrzasnął Chack.

- Nie kłamie - zamruczała Risa. - Jeśli kto tu zwariował, to tylko biedny Chack. Nikt

inny. I nikt się nie obraża. Si-vaa kocha Rise!

Kto tylko mógł, odsunął się od mata i jego wybranki. Chack położył uszy i zaczął wywijać ogonem. Przypominał szykującą się do ataku kobrę. Matt już chciał zbesztać ich od najgorszych, gdy Sandra pociągnęła go za rękaw i szepnęła mu coś do ucha. Spojrzał na nią pytająco i zdumiał się, gdy przytaknęła.

- Dojdziemy jeszcze prawdy - powiedział po chwili. - Panie Chack, proszę odprowadzić swoją siostrę na *Salisę*. Chyba rzeczywiście jest... niedysponowana.

- Ale... Aye, aye, kap-i-tanie.

- A co z moją nocą poślubną? - jęknął Silva.

- Zgodnie z moim rozkazem wszyscy mają być przed pierwszą na okręcie. Ponieważ nie wystąpiliście o specjalną przepustkę, nie możecie pozostać dłużej na lądzie, żeby... skonsumować małżeństwo. Nie możecie także zrobić tego na okręcie, ponieważ USS *Walker* nie jest statkiem wycieczkowym dla nowożeńców. - Zamilkł na chwilę, dochodząc do wniosku, że jest tylko jeden sposób, aby sprawdzić, czy Sandra ma rację. - Jutro porozmawiam z Kejem i Nakją i dowiem się, co więcej trzeba, o ile jest w ogóle taka konieczność, żeby uprawomocnić wasz związek z Risą. Może powtórzenie ceremonii według naszych zwyczajów?

Silva jakby nagle wytrzeźwiał i wybałuszył oczy na kapitana. Cóż, może chciał zażartować sobie z Chacka, ale na pewno nie przewidział, że kapitan się do tego włączy.

- Miłych snów, cukiereczku - powiedział i pocałował Rise, która czule odwzajemniła całusa.

Naprawdę wolałbym, żeby to okazało się żartem, pomyślał Matt, gdy Chack stanowczo odciągnął siostrę, a patrol opuścił nagle oklapłego Silwę do motorówki. Kapitan zdjął czapkę i przetarł oczy.

- Jezu! - jęknął.

- Na Filipinach miałeś z nimi to samo? - spytała Sandra ze śmiechem.

- Nie! To znaczy do pewnego stopnia, ale...

- Mówiłam Chackowi, żeby uważał na kawalarzy, ale chyba nie zrozumiał.

- Tak czy owak mam nadzieję, że to koniec sprawy.

- Chyba nie myślisz, że on naprawdę...?

- Jeśli obudzisz się rano, nie zobaczymy na nabrzeżu tłumu wściekłych kotów z pochodniami, zamierzam udawać, że nic się nie stało. Ale na pewno to nie Silva będzie się śmiał ostatni!

Nabrzeże znowu było puste, ale nastrój prysnął.

- Wspomniałeś, że wpadłeś na jakiś pomysł - powiedziała po chwili Sandra.
- Co? Tak, ale najpierw muszę pozbiierać myśli.

Rozdział 7

- I co wtedy uczynimy? Jak ich pokonamy, skoro naszym przodkom się to nie udało? - spytał wielki wódz jednego z pływających domów.

W zatoce kotwiczyło teraz siedem tych wielkich statków i wszyscy ich wodzowie oraz starsi „oficerowie” przybyli do sali tronowej Nakii na od dawna oczekiwaną naradę. Zjawili się też przedstawiciele kilku mniejszych „kolonii lądowych”. Spotkania takie należały do rzadkości i zdarzały się nie częściej niż raz czy dwa na dziesięć lat. Nie zwoływano też ich cyklicznie, lecz wyłącznie w razie palącej potrzeby. Na ile Matt zdołał się zorientować, wieść o nich rozpowszechniano słownie, przede wszystkim za pośrednictwem rybaków. W praktyce mogło to polegać na rzuceniu przez jednego szypra drugiemu zdania „Wielka narada na Baalkpanie, przybywaj, jeśli masz ochotę”. Przy tutejszych środkach komunikacji nie mogło to wyglądać inaczej.

Spotkania te były również okazjami do zabawy, handlu i zawierania kontaktów towarzyskich. Na nich też zapadały decyzje o ufundowaniu przez bogatsze domy nowych statków z nowymi klanami. Pędzące samotnicze życie załogi z utęsknieniem wypatrywały podobnych okazji, zastanawiając się, gdzie i kiedy nadarzy się kolejna. Obecnie wszyscy zdawali sobie sprawę z wagi nadciągającego zagrożenia i nikt nie cofał się przed dyskusją na ten temat. Niestety, chociaż wszyscy zgadzali się, że coś należy zrobić, brakło wspólnej wizji owych poczynań.

Kolejny zabrał głos wódz *Fristara*, jednego z pływających domów, które przybyły do Baalkpanu jeszcze przed *Walkerem*. Jego kapitan wyglądał młodo z plerą czarnych włosów i białymi wibrysami otaczającymi twarz. Miał czujne zielone oczy i poza zwykłą spódniczką nosił złote obręcze na szyi i przedramionach. Jego klany należały do pionierów rzadko zaglądających na te wody i większość czasu spędzały na Morzu Południowochińskim, jednak grikowie zmusili je do pożeglowania na południe. Był też najbardziej wygadany przedstawicielem stronnictwa gardlującego „popłynijmy po prostu tam, gdzie nie ma grików”.

- Chciałbym, żebyś posłuchał kap-i-tana Reddy’ego, wielkiego wodza *Waa-kura*. Jako wódz niezależnych klanów ma takie samo prawo stanąć przed nami jak wszyscy inni - odpowiedział Keje. - A może nawet większe, skoro uratował mój Dom przed grikami. Obecnie Amer-i-kanie pomagają nam się przygotować do walki z grikami, nie żądając nic w

zamian. - Keje stał przed milczącą grupą wodzów, przebiegając spojrzeniem po ich twarzach. Nie wspomniał o potyczce sprzed dwóch tygodni, kiedy *Walker* zatopił kolejne dwa statki grików, ale i nie musiał. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet ci, którzy wtedy jeszcze nie wpłynęli do zatoki, i nie było sensu wymieniać wszystkich zasług sprzymierzeńców. Poza tym Matt za nic nie chciał sprawiać wrażenia, że jeden niszczyciel może uratować ich wszystkich. Tak jak Keje się spodziewał, rozległy się szmery protestu. Nie dlatego, że obcy nie należał do Ludu, ale ponieważ jego statek był niewielki i miał nieliczną załogę. Czy niedługo zaczną się nadawać status domów także łodziom rybackim?

Keje przygarbił się i położył dłoń na przypasanej broni.

- Deklaruję, że kap-i-tan Reddy jest moim bratem w równej mierze jak inni wielcy wodzowie i gotów jestem walczyć z każdym, kto będzie chciał pozbawić go prawa głosu. - Ostatnie słowa wypowiedział gardłowo, jakby warczał.

Było to niezwykle zachowanie i niektórzy spojrzeli na Nakję, oczekując jego reakcji, on jednak tylko patrzył spokojnie na Kejego, nawet nie zmieniając pozycji na tronie.

- Amer-i-kanie przybyli z bardzo daleka - ciągnął Keje - i wiedzą więcej o wojnie niż my. Zanim nam pomogli, brali udział w zmaganiach, które nam trudno byłoby sobie nawet wyobrazić. Ich cudowny statek jest tylko jednym z wielu, zapewne setek, oni zaś twierdzą, że był jednym z najmniejszych i najmniej znaczących. A jednak wygrali!

Matt skrzywił się, słysząc tłumaczenie Chacka. I to by było na tyle, jeśli chodzi o przechwałki, pomyślał. Poza tym wygrali tylko w tym sensie, że przeżyli. Keje, który wiedział o tym, uśmiechnął się ironicznie do Matta.

- Przemówisz do nich, bracie? - zapytał. - Może ty zdołasz ich przekonać. Przetłumaczę twoje słowa.

Matt pokiwał głową. Żeby jego plan zadziałał, miejscowi musieli w pełni uświadomić sobie zagrożenie, potrzebowali jednak również nadziei. Musiał wystraszyć ich akurat na tyle, żeby chcieli walczyć, nie uciekać. Zwłaszcza że plan, który przyszedł mu do głowy, był co najmniej ryzykowny. Była w tym pewna ironia losu. Kapitan dobrze pamiętał, jak odnosił się do decyzji polityków i admirałów, którzy przesadzili o losie zespołu ABDA. Tak naprawdę obchodziły go tylko o tyle, o ile dotyczyły jego okrętu, załogi i jego samego. Teraz nagle stał się jakby jednym z nich i nie było mu z tym dobrze. Niemniej stanął obok Kejego i odchrząknął.

- Tak naprawdę to nie wiem, czy możemy ich pokonać - zaczął i Keje natychmiast zgromił go spojrzeniem. - W ogóle niewiele o nich wiem. Nikt dobrze ich nie zna. Nie wiemy, skąd przybywają ani jak żyją, chociaż są zapewne liczniejsi od nas. Ich statki nie są

tak wielkie jak wasze, ale są szybsze i każdy ma na pokładzie równie wielu wojowników, co jest możliwe, ponieważ nie są one domami. O ile wiemy, nie wożą ze sobą rodzin, nie uprawiają na tych statkach niczego ani nie hodują. Budują je tylko w jednym celu: żeby dostarczyć wojowników na miejsce walki. - Przerwał na chwilę. - Jest to zarówno silna, jak i słaba ich strona. Mogą zmieścić na pokładach wielu wojowników, muszą jednak często uzupełniać zapasy i nie mogą długo przebywać na naszych wodach. Jedno, co wiemy o nich na pewno, to że znaleźli się bardzo daleko od swoich domostw. Atakują także dla zdobycia żywności, o czym świadczy napaść na Chill-chaap, co odciąga ich od operacji ofensywnych. Im więcej ich tu będzie, tym większy będą mieli problem. Niemniej to wszystko, co wiemy o sytuacji strategicznej. Nie potrafimy odgadnąć, czego chcą ani dlaczego przybyli właśnie tutaj. Wszystko zdaje się sugerować, że są głodni podbojów, ale czy kryje się za tym jakiś większy plan, trudno powiedzieć. Jak dotąd ich działania nie były szczególnie skoordynowane, chociaż Keje powiedział mi, że obecnie radzą sobie lepiej niż w przeszłości. Domyślam się, że mają w pobliżu kilka niezależnie operujących zespołów i prowadzą rozpoznanie, żeby później zaatakować nas z wielką przewagą liczebną. To zgadzałoby się z historycznymi przekazami ze Zwojów. My też mamy mocne i słabe strony - dodał, spoglądając na obojętne twarze zebranych.

- Jakie mocne strony poza tym, że możemy ich po prostu zostawić i popłynąć gdzie indziej? - spytał z sarkazmem czarnofutry wódz.

Matt zmierzył go spojrzeniem.

- Pierwsza to odwaga - odparł. - Odwaga wsparta rozsądkiem, bez skłonności do ataków w malignie szaleństwa. - Wszyscy obecni znali co najmniej z opowieści sposób walki girków, którzy po prostu rzucali się na przeciwnika. Może i opanowali podstawy taktyki, ale gdy przychodziło do bezpośredniego starcia, obłęd bitewny brał górę. - Mam też *Walkera* - powiedział takim tonem, jakby oznajmiał, że jest dzień. - Oni nie dysponują niczym o podobnej prędkości czy zasięgu uzbrojenia. Uzbrojenia, którego będziemy mieli niebawem znacznie więcej, ponieważ dojdą działa montowane na waszych statkach. Przynajmniej jednak uważam, że jesteśmy mądrzejsi od nich. Dość mądrzy, żeby wykorzystać siłę girków przeciwko nim samym. A gdy ich siła stanie się ich słabością... - Zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Naszą najsłabszą stroną jest ignorancja. - Niektórzy zaszemrali z wrogością, co wynikało jednak z trudności przekładu. Najbliższym odpowiednikiem „ignorancji” była w miejscowej mowie „głupota”. Trudno, pomyślał Matt, i pospieszył z wyjaśnieniami. - Nie podoba mi się to z wielu powodów i chciałbym to zmienić. Tak właśnie, ponieważ inne nasze problemy zdają się wynikać z tego jednego. - Zaczął wyliczać na palcach. - Po pierwsze, na

Morzu Jawajskim może być teraz pięć do dziesięciu ich statków, ale co do tego nie możemy mieć pewności. Nie wiemy, czy to tylko zwiad, czy forpoczta sił głównych. Zwoje wspominają o powolnych postępach przeciwnika, ale czy to ich początek czy może punkt kulminacyjny? Nie wiemy. Przez taką właśnie ignorancję, przez taką niewiedzę, nie możemy wybrać strategii, która pozwoliłaby ich pokonać. - Skinął na Benjaminą Mallory'ego. - Widział pan zniszczone miasto. Czy mógłby pan powiedzieć na tej podstawie coś o przebiegu tamtego ataku?

- Tak, sir. To tylko domysł, ale sądzę, że był to frontalny atak od strony morza połączony z natarciem oddziałów podchodzących do miasta przez dżunglę.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ciała znalezione w dżungli leżały w grupach. To nie byli rozproszeni uciekinierzy z miasta, którzy przypadkiem wpadli na grików. Wygląda na to, że doszło tam do regularnych potyczek.

Matt pokiwał głową.

- To ma sens - powiedział. - Atak z wielu kierunków jednocześnie. Taką samą taktykę zastosowali przeciwko *Salissie*. Możliwe, że znajduje to odbicie również w ich myśleniu strategicznym. Jeśli tak, przybył nam jeszcze jeden problem. Jesteśmy zbyt rozproszeni. Wiem, że tak właśnie zwykliście żyć, ale musicie to zmienić. Uwierzcie mi, wiem, jak to jest być w pojedynkę, gdy cały świat wali się na głowę. Żeby bronić się przed takimi atakami, trzeba być razem. Trzeba się zjednoczyć i działać wspólnie, łącząc siły. Pytanie, gdzie to zrobić. Nie każde miejsce się do tego nadaje. - Spojrzał na Kejego. - Nie możemy zrobić tego gdziekolwiek. Baalkpan byłby dobry, gdyby ufortyfikować miasto i otoczyć je murem, urządzić stanowiska strzeleckie, może nawet dla dział. Wykarczowalibyśmy dżunglę dokoła i nawet grikowie baliby się podejść. Na to jednak nie mamy czasu. Nie wiemy, jak wielka flota ciągnie za tymi pierwszymi zespołami. Oznaczałoby to również oddanie inicjatywy przeciwnikowi i nazbyt przypominało, jak sądzę, to co się działo poprzednio. Tak czy owak pozostaje problem tego, czego nie wiemy.

Nakja uniósł opartą na koniuszkach palców brodę.

- Uważasz, że tak możemy pokonać grików? - zapytał.

- Nie - odparł Matt po chwili wahania. - Tak tylko zdołamy oddalić klęskę, ale nie zwyciężymy. Siedząc za murami i zabijając kolejne szeregi atakujących, będziemy z czasem coraz słabsi, grikowie zaś będą napływać fala za falą, aż w końcu nas zaleją. Zwyciężymy, jedynie atakując!

Rozległy się krzyki niedowierzania.

- Atakować ich?! Gdzie mamy atakować?! Przecież nie wiemy, skąd przybyli! - zawołał czarnofutry wódz. Inni też mieli pytania i komentarze: „Możemy nękać ich statki, ale czy zechcą walczyć, gdy zgromadzimy dość sił, żeby ich pokonać? Gdy zaczną uciekać, na pewno ich nie złapiemy! Co się stanie z Baalkpanem, jeśli zostawimy go bez obrony? Zjednoczyć siły? Ale gdzie i jak?”

Matt słuchał tego cierpliwie, aż w końcu wypowiedział jedno słowo:

- Ignorancja!

Keje powtórzył je tym samym tonem. Wrzawa momentalnie ucichła i wszystkie oczy zwróciły się na kapitana *Walkera*.

- Ignorancja - powtórzył. - Czyli nasza niewiedza. Mam jej już dość. Pomyślmy, jak to zmienić.

- Jak moglibyśmy to zrobić, bracie? - spytał Keje.

- Połączywszy siły.

- Ale sam właśnie powiedziałeś, że oni... Że nie możemy tylko na nich czekać w jednym miejscu. Przecież nie da się jednocześnie koncentrować sił i ścigać przeciwnika!

- Nie, ale możemy sprawić, że przeciwnik przyjdzie do nas. Nie cały, póki nie znamy jego sił, i nie tutaj.

- Ale mówisz, że musimy atakować...

- Byłby to atak przez obronę. Przygotujmy się do niej, żeby przyciągnąć tych grików, którzy są tu obecnie. Może to ryzykowny pomysł, ale zapewne pozwoli sporo się o nich dowiedzieć.

- Mój lud nie chce mieć nic wspólnego z tym szaleństwem! - wykrzyknął wódz *Fristara*.

Nakja wstał. Wyglądał na wyjątkowo przejętego sytuacją.

- Możesz więc odpłynąć, kiedy zechcesz - powiedział. - Mój lud nie ma wyboru. - Spojrzał na Matta. - Mój lud... ani ja... nie znamy w ogóle wojny, ale poprzemy twój plan. Nie chcę tutaj grików. Damy ci nawet całą naszą farbę, żebyś do tego nie dopuścił - dodał ze smutnym uśmiechem.

- Dziękuję, panie - odparł Matt, rozglądając się po sali. - Na razie jednak będziemy potrzebowali przede wszystkim wojowników. I koncentracji sił.

Sierżant Pete Alden z Korpusu Piechoty Morskiej przyglądał się ćwiczącym „kadetom”. Większość nic jeszcze nie umiała i wymachiwała bronią bez ładu i składu, niektórzy jednak naprawdę się przykładali, a miejscowi „marine” nie szczędzili im uwagi. Reszta jednak tylko się bawiła. Sierżant zaklął pod nosem. Przy wcześniejszych, znacznie mniej licznych grupach

szkolenie coś dawało i była szansa na stworzenie tutejszego oddziału piechoty morskiej, nawet jeśli różniłby się trochę wyszkoleniem od pierwowzoru. Teraz jednak, gdy wystraszeni atakiem grików rekruci napływali szerokim strumieniem, sprawa się skomplikowała.

Jego starannie dobrani marine przekształcili się w kadrę przyszłej, większej struktury, zwanej obecnie już nie milicją, ale gwardią. Na ćwiczeniach zaczęli zjawiać się nawet wojownicy ze statków. To akurat było pożądane, ale ośrodek US Marine Corps na Parris Island nie widział nigdy podobnej zbieraniny. Aldena czekało niewiarygodnie trudne zadanie przekształcenia tego tłumu kupców, sklepikarzy, rybaków i marynarzy w prawdziwą armię. Na dodatek musiał tego dokonać ledwie w kilka tygodni. Gdyby teraz odwołał swoich ludzi, miałby dwie kompanie dobrze wyszkolonych i zdyscyplinowanych żołnierzy. Oczekiwał, że kapitan będzie ich chciał podczas planowanej wyprawy. Gdy wróca, wznowi szkolenie. Zapewne okaże się skuteczniejsze, bo instruktorzy będą mieli za sobą doświadczenie bojowe.

Wojownicy, którzy zjawili się na szkoleniu, potrafili współdziałać, jednak poza tym przyprawiali sierżanta o nieustanny ból głowy. Uznali się za wyszkolonych i chcieli robić wszystko po swojemu. W odróżnieniu od szczerów lądowych rozumieli konieczność zachowywania dyscypliny w boju, jednak zaproponowana przez kapitana nowa taktyka walki w szyku sprawiała im same kłopoty. Alden też musiał się do tego przyzwyczaić. Jako marine rozumiał zasadę, jednak w jego piechocie morskiej walka ramię w ramię tak blisko przeciwnika, że czuło się jego oddech, nie była czymś naturalnym. Owszem, nie miał nic przeciwko pojedynkom i był w tym nawet dobry. Jak wielu marine świetnie posługiwał się bagnetem, o ile był on przytwierdzony do świętego springfielda. Jeszcze w rekruckich czasach wpojono mu, że podstawa to broń strzelecka wsparta bagnetem i woła, żeby go użyć - w ostateczności, gdy naprawdę nie ma już innego wyjścia.

Springfieldów mieli jednak za mało, ledwie starczało ich dla załogi *Walkera*. Co lepiej wyszkoleni miejscowi dostali kragi, jednak siły podstawowe miały walczyć na miecze i włócznie, stojąc oko w oko z wrogiem. Jedyłą ich szansą było w tej sytuacji zastosowanie muru tarcz oraz głębokiego szyku. Oraz utrzymanie dyscypliny. Kapitan powiedział, że to właśnie odróżniało Rzymian od barbarzyńców. Alden to rozumiał, wciąż jednak miał wrażenie, że to szaleństwo, i musiał przekonywać sam siebie, że tak trzeba.

Brakowało springfieldów, ale mieli łuczników. W gruncie rzeczy każdy tutejszy żołnierz był gorszym lub lepszym łucznikiem. Przednie szeregi włóczników nosiły łuki, których używały do czasu, aż przeciwnik podszedł do ich pierwszej linii, więc raczej krótko, zważywszy na ukształtowanie terenu i bujną roślinność dokoła miasta. Problemem był jednak długi czas szkolenia potrzebnego, żeby strzelać naprawdę dobrze. Stąd też Alden zgodził się

na kusze, chociaż miały mniejszą szybkostrzelność i donośność. W ich wypadku nie trzeba było jednak żadnych specjalnych umiejętności. Wyłączył z tego tylko pierwszy szereg. Nie sposób było dobrze robić włócznią i mieczem, dźwigając ciężką kuszę. Pierwszy szereg musiał więc być uzbrojony w łuki. Kusze zostawały dla reszty, w tym kobiet i wojowników zbyt słabych albo niskich, żeby zająć miejsce w murze tarcz. Miejscowe panie nie należały do słabych, miały jednak ten sam... feler, który utrudniał strzelanie z łuku ludzkim kobietom. Większość włóczników Aldena nie radziła sobie dobrze z łukiem, ale szkolił ich codziennie i średnia wyników się poprawiała.

Obecnie jednak ćwiczili walkę na bliski dystans, jeden na jednego, na wypadek gdyby mur tarcz pękł. Oraz na potrzeby zbliżającej się operacji, podczas której takich właśnie walk należało oczekiwać. Na razie wychodziła z tego malownicza katastrofa. Plac ćwiczeń przypominał rozkopane mrowisko, nieustannie ciurkał zeń strumyk rannych i posiniaczonych ciągnących ku urządzonemu przez Karen Theimer punktowi pierwszej pomocy. Niektórzy naprawdę odnieśli jakieś obrażenia, większość jednak chciała choć chwilę odetchnąć.

Do sierżanta podbiegli Chack, Risa i porucznik Shinya. Risa była „szkoleniowcem łącznikowym” oddelegowanym z *Salissy* i miała służbowy powód, żeby tutaj przebywać, Chack zaś nie chciał jej spuszczać z oka od pamiętnego incydentu na nabrzeżu. Alden ciągle nie dowierzał, że pomogła Silvie zrobić taki żart. O ile to był żart. Tak czy owak poczucie sprawiedliwości Silvy pozostawiało trochę do życzenia. Ostatecznie podsuniecie liści, które miały zastąpić tytoń, a okazały się środkiem przeczyszczającym, nie zasługiwało aż na taką odpowiedź. Silva jednak widział sprawę po swoim. W każdym razie Chack odbył przyspieszony kurs amerykańskich reguł żartowania.

Pete Alden pokręcił głową i sięgnął po papierosa. Jego zapasy tytoniu wydawały się niewyczerpane.

- Boże dopomóż - mruknął pod nosem, bo grupka była dość blisko, żeby go usłyszeć.

- Maszerują już całkiem niezłe - powiedział Shinya, jakby chciał go pocieszyć. - I sprawnie formują mur. Jednak gdyby przyszło do sprawy... - machnął ręką w kierunku kłębowiska na placu - to przepadną.

Alden mimo wszystko pokiwał głową. Trudno, żeby było inaczej, skoro nagle kazano im ćwiczyć zupełnie inny rodzaj walki. Aż do teraz to obrona miała priorytet. Odwrócił się i wyciągnął z kieszeni zieloną książeczkę. Była to instrukcja musztry i ćwiczeń z bronią wydana przez US Navy w 1914 roku. Znalazł ją w bibliotece doktora, gdy szukał czegoś do czytania. Trafiała na pokład zapewne razem z całym wyposażeniem przed wcieleniem okrętu do służby. Była oczywiście przestarzała, zawierała jednak rozdział poświęcony ćwiczeniom z

bagnetem i szablą. Tekst był bogato ilustrowany. Pracę z bagnetem łatwo można było zaadaptować do ćwiczeń z krótką włócznią, jednak rzecz jasna w książeczce nie było ani słowa o tarczy. Chociaż to, co się działo na placu, i tak nie pasowało do żadnej z ilustracji w książeczce.

Shinya zajrzał sierżantowi przez ramię i Alden przesunął książeczkę, żeby porucznik też mógł poczytać. Przez głowę przebiegło mu, jak to dziwnie się ułożyło, że pracuje teraz razem z żółtkiem. Chwilami wszystko układało się naturalnie, niekiedy jednak było mu nieswojo. Owszem, w ostatnich miesiącach wiele się wydarzyło, jednak nic nie mogło wymazać z pamięci Pearl Harbor, Cavite, Filipin czy Morza Jawajskiego. Z drugiej strony Shinya nie bombardował Hawajów i nie było jego winą, że urodził się Japończykiem. Ku własnej zgrozie Pete przyłapywał się chwilami na tym, że prawie lubi tego żółtka. Niewielu czuło to samo. Pewnie Bernie, może Garrett.

Kapitan szanował porucznika, bosmana jednak nosiło na jego widok i trudno było powiedzieć dlaczego.

- Cholera - mruknął, zamykając energicznie książeczkę, i podał ją Shinyi. - Kumaszu, co tam jest o walce szablą?

Japończyk skinął głową.

- Chyba tak - powiedział. - Wydaje się prosto wyłożone. Możesz mi wierzyć lub nie, ale fechtowałem na uczelni - dodał z uśmiechem.

Pete wznosił oczy do nieba.

- Tylko nie przerabiaj ich na samurajów. Nie mają ganiać dokoła z szablami, tylko siedzieć za murem. Jeszcze im się wszystko pomiesza.

Shinya zachichotał.

- Nauki mistrza Musashiego poznałem o wiele gorzej niż fechtunek na modłę zachodnią. Tyle tylko, żeby nie okryć hańbą ojca. Wątpię jednak, żeby był dumny z moich umiejętności.

- Przestał się uśmiechać i spojrzał z powagą na sierżanta. - Droga miecza wymaga rozwiniętej duchowości, a tej mi niestety brakuje.

- Cóż, powiedzmy. Sam nie miałem nigdy do czynienia z niczym bardziej przypominającym szablę niż to - powiedział Alden, ujmując zawieszony u pasa długi bagnet.

- Chyba że policzyć dziadkową szablę z okresu wojny secesyjnej, co to wisiała w domu nad kominkiem. W ogóle szable i tarcze mi nie leżą, ale bagnet już tak. Chyba pora będzie to wykorzystać.

Podniósł z ziemi jedną z sześciostopowych włóczni z brązowym grotem.

- Ty zajmiesz się szablą - zdecydował. - Nauczysz ich, jak jej używać w swobodnej

walce. Też się przyda, może nawet wcześniej niż nauka zadawania cięć zza muru tarcz. Zresztą spytaj kapitana, on powinien wiedzieć. Chodźmy, Chack - skinął na lemura. - Potrzebne mi twoje gadane.

- Co zamierzasz? - spytał Shinya.

- Poszukać zaczepki - mruknął sierżant, pokazując na środek placu, gdzie zebrała się grupa wojowników z pływających domów. Wyraźnie naśmiewali się z rekrutów. - Chcę pokazać tym matrosom, że nie są wcale tacy twardzi, jak im się wydaje. Bez obrazy, Chack.

Chack zamrugał aprobowczo. Odbił cykl szkoleń Aldena i wiedział, co sierżant potrafi zrobić z bagnetem w dłoni. Razem przeszli przez tłum ćwiczących, odsuwając tego i owego, czym wzbudzili zainteresowanie na tyle duże, że niektórzy ruszyli ich śladem ciekawi, na co się zanosi. Gdy dotarli do grupy, okazało się, że pochodzi ona z *Fristara*, co zdumiało Aldena. Pamiętał, że ich wódz zamierzał się wycofać ze wspólnych działań. Nie odpłynął jednak jeszcze, a jego ludzie chyba prosili się o kłopoty.

Stali w kręgu i zaczepiali albo odpychali każdego, kto znalazł się blisko nich. Przerwali tę zabawę, dopiero gdy jeden z „amer-i-kańskich czarowników” przystanął tuż obok.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział z uśmiechem Pete Alden. - Jestem grikiem. Zabijcie mnie. - Chack przetłumaczył i dowodzący grupą skrzydłomistrz spojrzał na kompanów. Jeden z nich, chyba największy miejscowy, jakiego widział sierżant, kiwnął głową, pisnął rozzdzierająco i ruszył na przeciwnika z rozpostartymi ramionami. Sierżant wykonał kilka błyskawicznych ruchów włócznią i lemur krzyknął, jęknął, po czym padł na ziemię z grotem o kilka cali przed twarzą.

- Nie żyjesz - powiedział Alden. - Następny.

Kolejny prowokator wskazany przed dowódcę miał nieco białych włosów w bursztynowo umaszczonej sierści. Poruszając nerwowo ogonem, wziął podaną przez jednego z towarzyszy prawdziwą włócznię i przyjął nieco mniej ofensywną niż poprzednik postawę bojową.

Tym razem doświadczony wojownik, pomyślał Alden. Tym lepiej.

Kotowaty mierzył włócznią w przeciwnika, lewą dłonią ściskając ją tuż pod grotem. Prawą rękę wyprostował za plecami, ściskając w niej drzewce niczym harpun. Ugiąwszy nogi, przesunął się o krok w prawo, po czym błyskawicznie rzucił się na sierżanta, który nie cofnął się, tylko odbił własną włócznią broń przeciwnika i końcem drzewca uderzył go w tułów. Lemur jęknął przejmująco i zgiał się wpół. Pete zademonstrował jeszcze zdumionej publiczności klasyczne pchnięcie, zatrzymując grot tuż przed klatką piersiową przeciwnika. Potem odwrócił się i spojrzał na widownię. Jego przekaz był nader jasny - jeden na ziemi, jeden z trudem łapie powietrze, on zaś nawet się nie zdyszał.

Niektórzy z miejscowych zaczęli wiwatować na swój charakterystyczny piskliwy sposób, sierżant wiedział jednak, że chodziło im o to, że zwyciężył, a nie jak to zrobił. Musiał się tym zająć.

- Chack, tłumacz - powiedział i ruszył wkoło, mierząc zebranych takim wzrokiem, że w końcu przycichli. Zanim jednak zdążył się odezwać, z cizby wysunął się rosły dowódca grupy z *Fristara*. Był tak wysoki, że nie musiał zadzierać głowy, patrząc na sierżanta. Wprawdzie trochę od niego lżejszy, mógł być jednak silniejszy. Gdy wbił włócznię w ziemię, mięśnie wyraźnie zagrały mu pod futrem. Nagle zapadła cisza.

- Dlaczego poniżyłeś członków klanu *Fristara* przed ceglarzami, bezogoniasty? - zapytał.

- I to ty, który też pływasz po Wielkim Morzu? - tłumaczył jego słowa Chack.

Pete podszedł do niego i spojrzał prosto w oczy.

- Jeśli czujecie się poniżeni, to na pewno nie za sprawą tego, co zrobiłem. Wbici w dumę uwierzyliście, że jesteście lepszymi wojownikami, niż właśnie się okazało. Poza tym wśród moich też jestem ceglarzem, jak to nazwałeś. Na *Walkerze* również są klany, a wszystkim włada nasz wielki wódz. My nazywamy go kapitanem. Kapitanem Reddym. Słucham go, ale jestem też wodzem własnego klanu. Nazywa się Marines albo Piechota Morska. - Obrócił się i spojrzał na zgromadzonych. Wszyscy przerwali ćwiczenia i cisnęli się jak najbliżej, żeby go usłyszeć i może zobaczyć jeszcze jedną walkę.

- Wśród mego ludu Marines to klan wojowników. Zajmują się tylko walką. Czasem na morzu, czasem na lądzie. Niekiedy nawet w powietrzu. Dla nas to bez różnicy. Walczymy z przeciwnikiem wszędzie, gdzie go znajdziemy. - Przerwał na chwilę. - Związaaliśmy się sojuszem z twoim ludem, ponieważ widzieliśmy, jacy są grikowie. Teraz wasz wróg jest również naszym wrogiem. Naszym i moim konkretnie, ponieważ walka to moje życie. Poza tym do moich obowiązków należy szkolenie was, żebyście umieli lepiej walczyć. Walczyć jak Piechota Morska. To znaczy walczyć w dowolnej chwili i wszędzie, na morzu i na lądzie. Tak walczyć, żeby ich pokonać. Oni nie przybywają, żeby zrabować waszą własność. Jeśli Zwoje mówią prawdę, chcą was wytepić! Załoga *Walkera* związała się z wami sojuszem, przez co też jest w niebezpieczeństwie. Tak więc każdy, kto nie dość się stara, żebyśmy wszyscy byli gotowi do walki, jest moim osobistym wrogiem. Czy jasno się wyraziłem? - Obrócił się, wyszarpnął włócznię z ziemi i cisnął ją pod nogi, przyjmując wyzwanie. Oficjalne wyzwanie, co oznaczało, że może dojść do rozlewu krwi. - Proszę! Walczmy, jeśli chcesz, ale obiecuję ci, że nawet nie zauważysz, jak zginiesz. - Spojrzał na Chacka. - Możesz też walczyć z nim, jeśli mnie się boisz, ale on zabije cię równie szybko. Zrobi to, bo sam go uczyłem! - Zerknął na wysokiego dowódcę grupy z *Fristara*. - To jak? Chcesz zginąć? Czy

może wolisz się nauczyć, jak lepiej zabijać?

Lemur odwzajemnił spojrzenie Aldena. Zapadła cisza nabrzmiąca oczekiwaniem i obawą. Oficjalne wyzwania nie zdarzały się często, ale gdy już do nich dochodziło, wynik był zazwyczaj tylko jeden. Wszyscy lękali się politycznych konsekwencji incydentu. Na pewno *Fristar* odpłynąłby, narażając na szwank kruche przymierze wypracowane podczas narady, ale czy na tym by się skończyło...? Każdy taki pojedynek psuł w jakiś sposób atmosferę, a tutaj sprawa była oczywista - Amerykanin na pewno by wygrał. Wielki kotowaty spojrzał na swoją włócznię, po czym kopnął ją w bok, wycofując wyzwanie. Zebrani odetchnęli z ulgą.

- To pokaż mi, mar-i-ne, jak najlepiej zabijać.

Wydobywszy z rozchichotanej Risy obietnicę, że nie pobiegnie do swojego „małżonka”, Chack pozwolił jej opuścić plac ćwiczeń, żeby kontynuowała swoje badania, i skierował się z powrotem na *Walkera*. Jego dom. Sam nie wiedział, kiedy zaczął myśleć o niszczycielu w ten sposób, ale miało to zapewne związek z ambicjami, które wcześniej żywił. Nie był już zwykłym marynarzem od skrzydeł na *Salissie*, został bosmanmatem, dowódcą własnej drużyny pobratymców służących na USS *Walker*, i jak wszyscy „kadeci” złożył nawet ślubowanie na wierność Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych, chociaż po prawdzie niezbyt wiedział, co to takiego te Stany Zjednoczone. Ale to nieważne. Liczyło się tylko, że został wojownikiem i członkiem załogi okrętu wojennego. Kochał *Salisę* i tak miało pozostać, ale zmienił klan, co i tak było zapewne nieuniknione. Zamierzał przecież stworzyć kiedyś własny dom. Zachichotał nad ironią losu i wspomniął, jak się złościł, gdy się dowiedział, że Silva wszedł do jego klanu. Teraz on wszedł do klanu Silvy, chociaż wcale nie chciał go za brata.

Nie podzielał wątpliwości sierżanta Aldena. Pamiętał, że jeszcze nie tak dawno wcale nie miał wojowniczego ducha. Całkiem jak mieszkańcy Baalkpanu, chociaż oni przynajmniej się starali. Trzeba było prawdziwej bitwy, żeby się to zmieniło. Może z nimi będzie podobnie. Wierzył, że staną do walki. Skoro on mógł, dlaczego oni nie mieliby tego zrobić. Sporo mogło od tego zależeć. Sojusz objął większość pływających domów, na razie jednak ich dowódcy i załogi przyjęli pozycję wyczekującą. Chcieli zobaczyć, co wyniknie z ich wyprawy, a w zasadzie zwiadu walką. Przede wszystkim zamierzali zdobyć pewne informacje, ale w razie konieczności gotowi byli zaatakować. Gdyby grikowie okazali się tak mało liczni, jak na podstawie pewnych przesłanek można było sądzić, można by zniszczyć wszystkich, którzy przybyli dotąd na okoliczne wody. Należałoby jednak działać szybko. Kapitan Reddy miał nadzieję, że uda się przynajmniej wyprzeć ich z Morza Jawajskiego i

ustanowić „barierę malajską”, za którą mogliby czynić dalsze przygotowania. Pomysł był ciekawy, a kapitan tak optymistycznie nastawiony, że Chack zastanawiał się, skąd on czerpie tyle pogody ducha. Dowiedział się już sporo o tej niezwykłej wojnie w innym świecie i rozumiał, że kapitan stara się wyciągać wnioski z popełnionych tam błędów, przede wszystkim unikając działania w ciemno. Jeśli będzie konsekwentny, na pewno im się uda. Grikowie to straszny przeciwnik, ale nie są równie niezwyciężeni jak Japończycy.

W takim nastroju z karabinem na ramieniu kluczył między wózkami handlarzy ryb tłoczącymi się na drodze do nabrzeża. W końcu ujrzał cumującego *Walkera*. Z tylnego komina ponownie unosił się dym.

- Chack.

Obrócił się i serce załopotało mu w piersi. Przed nim stała Selassa. Jak zwykle wyglądała wspaniale. Jej jedwabiste futro jaśniało w blasku słońca. Jak ojciec nosiła pancerz, tyle że jej był ogniście różowy. Uzbrojona w krótką szablę zmierzała na plac ćwiczeń. Chack widział ją tam kilka razy, czasem podejmowała nawet walkę z Risą. Położył uszy po sobie i skłonił się nisko.

- Witam cię, Selass-Fris-Ar. Jak się miewasz?

- Dobrze... - odparła i zamruła ze smutkiem.

Chack pokiwał głową.

- Wciąż oplakujesz Saak-Fasa. Rozumiem. Mam nadzieję, że ten ból wkrótce minie.

Zamruła niecierpliwie.

- Nie oplakuję go! Jeśli nawet wcześniej tak było, ból dawno już minął. To całkiem inny smutek.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem i współczuciem, co rozzłościło dziewczynę.

- A, mam to głośno powiedzieć? - wycodziła. - Rozumiem. Nie nacieszyłeś się jeszcze zemstą?

- Zemstą? - zdumiał się Chack.

- Tak, zemstą! Za zwodzenie ciebie, zabawę twoimi uczuciami, wyprowadzenie cię w pole! Nie uważasz, że dość już wycierpiałam? Saak-Fas był głupcem. Teraz go już nie ma... I dobrze. Myliłam się co do ciebie. Myślałam, że jesteś słaby. Ale sądziłam też, że mnie kochasz. Miałam nadzieję, że ciągle mnie pragniesz. Czy w tym też się myliłam? Często cię widuję, ale nie słyszę niczego poza zwykłym powitaniem. Chcesz, żebym cię błagała? - Zamruła z furją. - Trudno! Myliłam się co do Saaka, pomyliłam się też co do ciebie. Ale teraz cię chcę!

Zszokowany Chack nie wiedział, co powiedzieć, i tylko patrzył na dziewczynę. Kiedyś

marzył, że usłyszy od niej podobne słowa, i teraz też go poruszyły, ale nie sprawiły radości. Przyniosły raczej zmieszanie i smutek.

- Nie zrobiłaś nic złego. To ja byłem głupi - odpowiedział spokojnie. - Byłem taki, jakim siebie wtedy widziałem. Ale teraz jestem już kimś innym, tak jak pierak, gdy odrzuci ogon i skrzela i wzleci nad fale. Wciąż cię podziwiam i pochlebia mi, że mnie chcesz, ale nie żałuję tego, co się zdarzyło. Myślę, że ciągle cię Kocham, chociaż nie płonie już we mnie dawny ogień. Ostatnio zajmuje mnie wiele innych spraw. Zaskoczyłaś mnie tym, co powiedziałaś. Czy mogę prosić o trochę czasu do namysłu? Zapewniam cię, że nie kieruje mną chęć zemsty, nie chcę cię zranić. Wróćmy do tej rozmowy po wyprawie, gdy będziemy już wiedzieli, jaka wojna nas czeka. Jeśli nadal będziesz wtedy chciała usłyszeć moją odpowiedź, udzielę jej.

W oczach Selassy odbiły się kolejno wstyd, smutek i konsternacja. Ostatecznie jednak dziewczyna skłoniła się i pocałowała go przelotnie w policzek, omal nie skłaniając go tym do zmiany decyzji. W końcu poszła w stronę placu ćwiczeń. Chack patrzył za nią przez dłuższą chwilę, aż zniknęła w tłumie. Prócz zdumienia dopadło go jeszcze poczucie winy. Uświadomił sobie, że przez kilka ostatnich tygodni ani razu nawet nie pomyślał o Selassie. Teraz będzie musiał to odrobić.

Matt stał na mostku z kubkiem... czegoś. Skrzywił się, zerkając na pienisty napój. Nie pamiętał, jak Juan nazwał ten miejscowy odpowiednik kawy. Może nawet to był jakiś rodzaj kawy, robiło się ją bowiem z palonych i mielonych ziarenek. Niewielu miejscowych ją pijało, służyła raczej jako lekarstwo, głównie środek pobudzający. Matt próbował napoju po raz pierwszy, ale spora część załogi zdążyła się już do niego przyzwyczać. Niektórzy nazywali go jawa, inni, co bardziej konserwatywni, małpią kawą lub jeszcze inaczej. Pachniał nawet podobnie, jednak nie przypominał żadnej kawy, którą zdarzyło się Mattowi pić. Zastrzeżenia budziła zwłaszcza żółtozielona pianka.

W końcu jednak pianka opadła, a płyn pod spodem okazał się należycie czarny, choć wciąż zostawiał na ściankach kubka brunatnozielony osad. Matt spróbował go ostrożnie językiem. Niezłe, pomyślał. Napój miał posmak kredy, ale tak było z każdą kawą parzoną przez Juana. No a smak... To jednak była kawa, może nie najlepsza, ale na tyle znośna, że częściowo zapełniała bolesną pustkę po pierwowzorze.

Walker stał zacumowany przy nowym pirsie paliwowym, a wyznaczona do tego drużyna wyjmowała właśnie wąż z jednego zbiornika bunkrowego i przygotowywała się do napełnienia następnego. Bosman doglądał pracy z zapałem, z jakim jastrząb obserwuje stadko kurczaków, i zdawał się tylko czekać, aż ktoś wyleje kilka kropli ropy na jego czysty pokład.

Transfuzja życiodajnego płynu do zbiorników niszczyciela przydała jednak ludziom tyle pogody ducha, że wątpliwe, by przejęli się krzykami Graya.

Matt jednak nie czuł się zbyt pewnie i robił co mógł, żeby ukryć to przed załogą. Głośny szum znajdującego się za mostkiem nawiewnika był mu w tym pewną pomocą. Martwił się głównie o wyprawę, planowaną od tygodni i odkładaną z konieczności do chwili, gdy wreszcie będą mieli paliwo. Po wytworzeniu pierwszej partii została ona w beczkach przewieziona na *Walkera*, żeby można było rozpaść kocioł i pod płynąć kawek w górę rzeki, gdzie czekał końcowy produkt gromadzony w wielkich miedzianych zbiornikach. Wreszcie byli gotowi.

Poza niszczycielem zespół miał się składać z *Salissy* oraz sześciu największych łodzi rybackich. Pozostałe jednostki czekały w wewnętrznym kanale portu. Chęć udziału zadeklarowały jeszcze dwa inne pływające domy, ale w tej potrzebie byłoby to za wiele. Po zatankowaniu *Walker* miał dołączyć do zespołu i razem z nim udać się do Cieśniny Makasarskiej, tam zaś wyjść na prowadzenie i chronić wolniejszych towarzyszy. Matt niecierpliwie czekał, aż znajdzie się wreszcie znowu na otwartym oceanie, gdzie jego okręt będzie miał pełną swobodę ruchów, ale i obawiał się o wynik rejsu.

Przygotowany wraz z Kejem plan był bardzo śmiały i ryzykowny. Jeśli jednak im się uda, będą mieli szansę sporo się dowiedzieć o przeciwniku. Doświadczenia wojenne odcisnęły piętno na kapitanie, który przywiązywał teraz obsesyjną wręcz wagę do rozpoznania, zdołał nawet zarazić tym Kejego. Obaj wiedzieli, ile od tego zależy. Owszem, na krótką metę sukces mógł znaczyć równie mało jak zatopienie statków grików w cieśninie czy zwycięstwo Floty Azjatyckiej, odniesione niemal w tym samym miejscu nad Japończykami. Jednak w dłuższej perspektywie ten wysiłek mógł się opłacić, zwłaszcza gdyby dowiedzieli się dość, żeby wypracować strategię postępowania wobec przeciwnika. W razie czego *Walker* miał jeszcze dość amunicji, żeby rozprawić się ze sporą flotą grików. Potem, mając więcej swobody, mogliby skupić się na wzmacnianiu przyjaciół i poszukać *Mahana*, a może nawet innych ludzi, o ile znaleźli się oni w tym świecie. To były ich perspektywiczne cele. Teraz, gdy mieli już paliwo, wydawały się nawet osiągalne.

- Kapitanie - odezwał się Larry Dowden, salutując Mattowi.

- Witam, pierwszy.

Dowden zerknął na pozostałych stojących na mostku i ściszył głos.

- Sir, zdaje się, że Myszowaci przemknęli się na pokład. Sam ich nie widziałem, ale moim zdaniem to pewna wiadomość.

Matt zmarszczył brwi.

- Nie słyszeli mojego rozkazu, że wszyscy pracujący przy paliwie nie płyną z nami? - Całkiem sporo członków załogi *Walkera* miało zostać na lądzie. Nikt nie był z tego powodu szczęśliwy, ale Matt nie chciał już więcej wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Letts zostawał, żeby koordynować prace nad rozwojem przemysłu. Do pomocy dostał Bristera, który odpowiadał też za przygotowanie umocnień obronnych. Miało to sens, bo Letts obecnie miał więcej obowiązków na lądzie niż na okręcie i był w tej roli bardzo cenny. Co więcej, chyba akurat przeżywał najpiękniejsze chwile w życiu i miewał błędny wzrok. Z tego też powodu Karen Theimer miała zostać w mieście, oficjalnie żeby udzielać nauk coraz liczniejszemu miejscowemu korpusowi medycznemu. Matt wiedział, że tak życzliwy gest wobec obojga nasili żal innych oficerów, ale nic na to nie mógł już poradzić. Jedna pielęgniarka i tak musiała zostać, a Sandra po prostu odmówiła. Dobrze, że nikt nie widział, jak sprzeciwiła się jego rozkazowi. Był na nią wściekły, ale i zadowolony, że będzie przy nim. Co do Lettsa i Theimer uznał ostatecznie, że „co z oczu, to z serca”, i dał spokój sprawie.

- Sam nie przekazałem im rozkazu, bo w ogóle rzadko ich widuję - rzekł Dowden. - Ale musieli go znać: został ogłoszony i wywieszony tydzień temu. Zignorowali go i już.

Matt pokręcił głową.

- Będą utrzymywali, że go nie widzieli, a bezpośrednio nikt im go nie przekazał. - Westchnął. - Nie ma sensu ich szukać, bo się tylko lepiej ukryją. - Zastanowił się. - Nikt więcej nie uciekł na okręt? Bradford? Porucznik Brister?

Dowden pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo.

- Bradford prawie - powiedział. - Ma pomagać Bisterowi przy fortyfikacjach, w końcu jest inżynierem, ale nie chciał tracić widowiska. Nakja przekupił go obietnicą safari na superjaszczury. Pewnie nic mniej atrakcyjnego by nie zadziałało.

Matt zaśmiał się, ale zaraz znowu spoważniał.

- Zasłużył. Ale co do Myszowatych... Nie postawię ich do raportu. Są zbyt cenni, jakkolwiek dziwnie to brzmi w moich ustach. Trudno zatem. Odwiert działa już sam i ma się nim kto zajmować. Wciąż jest cenny, ale już nie bezcenny.

Spojrzał na ludzi kręcących się po przednim pokładzie. Było tam teraz znacznie mniej miejsca za sprawą urządzenia, którego przydatność Matt miał nadzieję niebawem udowodnić. Niektórzy klęli przeszkodę, którą musieli co chwila omijać, kłopoty mogła mieć też obsada działa numer jeden, gdyby trzeba było prowadzić ogień na lewą burtę, ale cóż. Jeśli mieliby użyć jedyńki, to i tak tylko w razie upadku całego planu.

- Niech zostaną - zdecydował Matt. - Zrobili swoje. Ale jeśli powtórzą ten numer, to choćby nawet zaczęli szczać ropą, nic im nie pomoże. Zadbaj, żeby to do nich dotarło.

- Tak jest, sir.

Przeszli razem na skrzydło mostka i Matt spojrział na rzekę. Jej powierzchnia falowała nawet tutaj, dość daleko od ujścia. Niebo było bardziej zanieśione niż zwykle. Pogoda mogła im splatać brzydkiego figla.

- Chyba Adar ma rację - mruknął z uśmiechem Matt. - Może mocno dmuchać.

- I bardzo dobrze - odparł Dowden.

Ben Mallory nie wierzył, że znowu lata, zwłaszcza w tak paskudną pogodę. Po rozmowie, podczas której kapitan wyjaśnił mu, dlaczego poszukiwania *Mahana* muszą na razie poczekać, zaczął się obawiać, że *Catalina* będzie traktowana jak eksponat muzealny. Na szczęście mylił się. Skoro samolot mógł ułatwić rozpoznanie, Matt skłonny był go użyć, pod warunkiem że za nadto nie będzie się oddalał. Zwłaszcza że działało już radio.

Mallory walczył z deszczem i wiatrem na zachód od grupy skalistych wysepek u brzegów Celebesu. Świat wokół był szary, morze znaczyły białe grzywy fal. Nieustanne turbulencje mogły przyprawić o mdłości, ale on cieszył się każdą chwilą tej huśtawki. W pewnej chwili zerknął na swojego drugiego pilota, którym był młody lemur o sobolowej sierści. Nazywał się Jis-Tikkar, ale pozwolił, żeby mówić na niego Tikkar. Był dobrym kompanem i szybko się uczył, pracując równie ciężko jak wszyscy, którzy zajmowali się samolotem. Teraz lornetował morze w dole. Był to jego pierwszy lot, cudowny i niezwykle oczywiście, chociaż wisieli po prostu na niebie, wlokąc się z mizerną prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. W takich chwilach Ben bardzo tęsknił za swoim P-40E.

Jakkolwiek pojętny, Tikker oczywiście nie był jeszcze prawdziwym drugim pilotem. Przede wszystkim nie potrafił się skupić na tablicy przyrządów. Wcześniej, zanim jeszcze trafili na sztorm, Mallory oddał mu na chwilę stery podczas spokojnego lotu po prostej, ale wiedział, że nieprędko powtórzy ten eksperyment. Poczwszy wolant, łobuz natychmiast spróbował wykonać beczkę. Na tym chwilowo kończyły się lekcje pilotażu i Tikker został po prostu obserwatorem. Miał także pilnować, żeby Mallory nie zasnął, co przy jego poczuciu humoru nie powinno być trudne. Chwilowo jednak był całkowicie skupiony na swoim głównym zadaniu.

Reszta załogi składała się z Eda Palmera i jeszcze dwóch lemurów. Obdarzeni szczególnie bystrym wzrokiem zajęli miejsca w stanowiskach obserwacyjnych na burtach maszyny. Ed siedział zaraz za pilotem, utrzymując łączność z *Walkerem* oraz ucząc się obowiązków nawigatora. Miał pewne przygotowanie z czasu służby na *Mahanie*, ale błyskawicznie by się zgubił, straciwszy z oczu punkty orientacyjne, przez co mieli zakaz

lotów w nocy.

- Jest feluka! - zawołał Tikker.

Ben lekko pochylił nos maszyny i wyciągnął szyję. Daleko w dole majaczył na tle fal ciemny kształt. Feluki z Baalkpanu miały dwa maszty i były zdumiewająco szybkie, ale nie radziły sobie dobrze na wzburzonym morzu.

- Kieruje się na południowy wschód. Musiał na coś trafić.

Ben ponownie pochylił samolot, spoglądając przez zalany deszczem pleksiglas. Wycieraczki robiły, co mogły, ale bardziej rozmywały wodę, niż ją usuwały

- Tam! - powiedział Tikker, przepatrując morze. Odjął lornetkę od oczu i spojrzał na Bena. - Trzeci statek grików. Ściga felukę.

Mallory dostrzegł między kroplami wody rozmytą czerwoną plamę kadłuba.

- Podejźmy bliżej? - spytał Ed. - Chyba nie byłoby wskazane. Nawet jak nas nie zobaczą, to na pewno usłyszą.

- Nie ma mowy. Przy tym wietrze i deszczu... - mruknął Ben. - Chociaż... - Zaczął skręcać na południe.

- Czekaj! - rzucił nagle Tikker. - Jest jeszcze jeden. I kolejny. Temu pierwszemu towarzyszą jeszcze dwa statki grików.

- Kurde - powiedział Palmer. - Nie ma więcej?

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w ocean.

- Nie - orzekł w końcu Ben. Trzy statki trzymały się w miarę razem, więcej nie było ich widać. - To chyba wszystkie.

- I tak dość - stwierdził Palmer. Zaklął cicho i sięgnął do radia. - Jesteś tam, Clance? Powiedz skipperowi, że mamy trzy wrogie obiekty - podał otwartym tekstem, bo niby kto mógłby ich podsłuchiwać?

- Przyjąłem - odparł radiotelegrafista Clancy, przebijając się przez szumy statyczne. - Jaka tam pogoda?

- Poprawia się - przekazał Palmer. - Już nie rzuca, tylko buja. Ten kapłan niebieski jest naprawdę dobry w prognozach.

- Też tak sędzę - zgodził się Clancy. - To coś więcej niż czytanie map i paradowanie w zabawnym wdzianku. Poczekaj. - Minęło kilka chwil, nim odezwał się ponownie. - Skipper mówi, żebyś sprawdził dokładnie liczebność sił przeciwnika, potem masz wracać.

- Ale Ben... to znaczy porucznik Mallory... uważa, że moglibyśmy zostać jako osłona powietrzna. Może trzeba będzie kogoś ostrzelać czy co.

- Odmowa. Kapitan mówi, żebyście zabierali dupy do domu. Teraz to już nasza robota.

Załatwiliście co trzeba. Przy tej pogodzie nawet nie dacie rady zejść nisko.

- Zrozumiałem - warknął Ed. Wyłączył mikrofon i zajął do kokpitu.

- Jakie wieści? - spytał Ben.

- Mamy raz jeszcze sprawdzić, ile ich tu jest, i wracać na Baalkpan. Cholera, nie zobaczymy, jak im pójdzie!

- Fakt, gości jest trochę więcej, niż się spodziewaliśmy. Będzie trudniej. Mam nadzieję, że nie trzy razy trudniej.

- Hm... to co robimy?

Ben spojrzał na niego.

- Wykonamy rozkazy, marynarzu. Tyle że nie od razu.

Sztorm zaczął w końcu słabnąć. Rzeczywiście był gwałtowny, nawet silniejszy, niż Adar oczekiwał. Wiatr wciąż wiał z szybkością co najmniej trzydziestu węzłów, a białe szczyty fal pluły wodną mgiełką. Keje stał na piaszczystej plaży i patrzył na swój ukochany Dom. Przechylona nienaturalnie i bardziej niż zwykle zagłębiona w wodzie *Salissa* tkwiła na płyčźnie kilkaset metrów od brzegu w miejscu, które Matt nazywał zatoką Mandar. Keje ledwie pamiętał, jak zdołali tu wejść przez labirynt zalewanych wielkimi falami skał. Kojarzył tylko, że było mu bardzo mokro i nie mógł ustać na nogach ze zmęczenia. Jednym słowem przeszedł chi-kaash, czyli piekło.

Załoga wznosiła zadaszzenia nad stertami cennych zapasów i rozpałała ogniska, żeby trochę się wysuszyć i ogrzać. Jak wzrokiem sięgnąć, plaża była usłana szczątkami i budzącymi współczucie postaciami rozbitków. Niektórzy tylko patrzyli w morze, jak Keje, wyglądając na przybitych sytuacją, inni brodzili w wodzie, przenosząc różne tobołki z feluki, którą także cisnęło na mieliznę. Jeszcze inna łódź krążyła niedaleko, nie mając odwagi wejść między ogarnięte przybojem skały. Za Kejem wichura kołysała smukłymi pniami drzew. Znow spojrzał na szare morze, wypatrując niszczyciela, ale niczego nie dostrzegł.

- Zobaczyli coś! Uciekają! - zawołał Adar na tyle głośno, że Keje go usłyszał.

Przetarł oczy i spojrzał przez lornetkę, którą dostał od Bradforda. Rzeczywiście. Odleglejsza feluka postawiła więcej żagli i skrzyła na północny wschód. Zazdrościł tym statkom wdzięku i prędkości. Jeszcze inna zmieniła kurs, żeby dołączyć do pierwszej. Feluki mogły wykorzystywać wiatr o wiele swobodniej niż pływające domy. Lepiej nawet niż statki grików. Na szczytach masztów załopotaly flagi sygnałowe. Keje skupił się, żeby odczytać przekaz.

- Muszę wracać na *Salisse!* - krzyknął do przyjaciela. Zrobił już swoje na brzegu.

Przeprawa w łodzi pełnej mokrych wioślarzy była trudna, ale niebawem schronili się przed wiatrem za wysoką burtą *Salissy*. Keje wspiał się po linie i złapał wyciągnięte ku niemu ręce, żeby wskoczyć na pokład. Poza jego grupką Dom wydawał się opuszczony. Przednia nadbudówka, którą niedawno odbudowali, była nietknięta, ale wielki trójnóg leżał w poprzek pokładu, a wielkie skrzydło zwieszało się za burtę. Dokoła zalegały popękane liny, porozbijane baryłki i różne trudno rozpoznawalne śmieci. Postaci na brzegu ruszyły biegiem ku obozowisku, widocznie wiadomość już się rozeszła, tylko nieliczni próbowali zorganizować jakąś obronę. Oto była wielka nagroda, zdobycz tak kusząca, że żaden grik nie mógł jej poniechać. Wielki statek pełen żywności i narzędzi, a do tego ulubiona żywa nagroda! Tłum zdezorganizowanych, zmęczonych i bardzo smacznych marynarzy, którzy nijak nie mogą się obronić. Keje wbiegł po schodni na pomost i przypomniał sobie, kiedy tu stał ostatnio. Tyle się zmieniło od tego czasu. Ponownie uniósł lornetkę do oczu.

Grikowie!

Na tle szarego nieba widać było trzy kolumny spłowiłych żagli. Kierowały się w ich stronę tak szybko, jak tylko mogły. Niebawem ukazały się też krwistoczerwone kadłuby. Keje poczuł się nieswojo. Grikowie byli równie przewidywalni jak ławica drapieżnych ryb, która czeka, aż ktoś wpadnie do wody. I równie bezlitośni.

- Dostrzegli nas - powiedział.

Przez chwilę stał ze swoimi oficerami na platformie. Był z nim też Jarrik-Fas, najstarszy akolita Adara. Sam kapłan pozostał na brzegu, żeby przejąć dowództwo na czas nieobecności Kejego. Jego córka, Selassa, ku zdumieniu ojca też była na pokładzie. Niewiele rozmawiali od czasu zniknięcia Saak-Fasa, ale to pewnie z jego winy. Ciągle był zajęty. Teraz też stała niedaleko, ale nie zamienił z nią ani słowa. Może z powodu obecności Risy-Sab-At, która została niedawno awansowana na dowódcę Gwardii Przedniego Skrzydła. Między tymi dwoma kobietami wyczuwało się napięcie.

Keje wiedział, że Selassa oczekiwała od brata Risy, że ponowi zaloty, ale on się do tego nie palił. Traktował ją jak innych, przyjaźnie i życzliwie. Tak jakby wcześniej nic się między nimi nie zdarzyło. To musiał być wielki cios dla jego samolubnej i wpatrzony w siebie córki. Że też ktoś mógł tak łatwo o niej zapomnieć... Skutek był łatwy do przewidzenia - Selassa stała się znacznie mniej pewna siebie. Nagle zrozumiał, do czego zmierza były marynarz od skrzydeł, i uśmiechnął się lekko. Przypomniał sobie, że jeden z Amer-i-kanów, wielki Silva, nazwał kiedyś Chacka nicponiem. Jeśli tak jest, to tym lepiej.

Jednak wojna bardzo odmieniła Chacka. Nie tylko stał się ważnym wojownikiem, ale i dołączył do klanu Amer-i-kanów. Keje nie przewidział tego, chociaż nie miał też nic

przeciwko. Zdumiewało go tylko, jak wielka to była zmiana. Młodzieniec nabrał powagi, znacząco dojrzał. Jego spięcie z Silvą było tak naprawdę bez znaczenia. W odróżnieniu od większości był przekonany, że całe to małżeństwo Silvy i Risy było farsą, chociaż przed kapitanem Reddym udawał, że traktuje je poważnie. Robił to w nadziei, że para rzekomych kochanków poczuje się nieswojo, wyzna prawdę i pozwoli wszystkim zapomnieć o tej sprawie. Im jednak wcale do tego nie było spieszno. Keje nawet nie próbował się zastanawiać, czy taki związek byłby możliwy, chociaż z drugiej strony uważał, że Risa i Silva są stworzeni dla siebie. Cóż, życie robiło się coraz bardziej interesujące. Zbyt ciekawe, żeby kończyć je tutaj i teraz.

Statki grików rosły w oczach. Przypominające mrówki postaci wspinały się wśród żagli, refując je zdumiewająco sprawnie, prawie jak załoga pływającego domu. Przeciwnik skrzył i zwolnił jakieś pół mili przed pierwszymi skałami, które otaczały pierścieniem wysepkę. Przez lornetkę widać było wojowników tłoczących się przy burtach i czekających, aż łodzie podejda dość blisko. Ich zbroje i pióropusze wyglądały na zszargane, ale Kejego i tak przebiegł dreszcz. Dostrzegł jednak, że wojownicy nie schodzili do łodzi z entuzjazmem, z jakim atakowali jego statek. Może to wpływ pogody? Poczł satysfakcję na myśl, że grikowie są zapewne podatni na chorobę morską. Dostrzegł, jak dwóch schodzących wpadło do wody. Nikt nie próbował ich ratować.

- Zawsze to mniej przeciwników - mruknął. - Ale na gwiazdy, jak tak można?

Niestety było ich trzy razy więcej, niż oczekiwali, ale mało co szło ostatnio zgodnie z przewidywaniami. Trudno. Nic już na to nie poradzą.

Wkrótce dwanaście łodzi, każda mniej więcej wielkości motorówki *Walkera*, skierowało się w stronę wyspy. Wszystkie były wylądowane po burty wojownikami, na każdej mieściło się ich co najmniej osiemdziesięciu. Gdy tylko zanurzyli wiosła, stało się oczywiste, że to *Salissa* będzie ich pierwszym celem. Po zajęciu statku zamierzali zaatakować rozbitków na brzegu. Przypomniawszy sobie o nich, spojrzł na plażę. Porządek został przywrócony i większość jego podkomendnych stała na piasku z mieczami i kuszami w dłoniach. Znowu obrócił głowę w stronę przeciwnika.

Nad łodziami powiewały szkarłatne proporce, każdy z podobizną jakiegoś szkaradztwa. Były też przyozdobione piórami, co mogło oznaczać przynależność do takiego czy innego klanu. Grikowie przebyli już prawie jedną trzecią drogi.

- Chyba nadeszła chwila, na którą czekaliśmy - powiedział Keje do akolity, który zamrugał, dając znak, że zrozumiał. Sięgnawszy między fałdy szaty, wyciągnął przedmiot z drewnianą rękojęścią z jednej strony i czarną rurą z drugiej. Przycisnął guzik z boku i rura

odchyliła się do przodu. Akolita pokiwał głową, złożył z powrotem przedmiot, odciągnął coś przypominającego młoteczek i wycelował rurę w niebo, lekko pod wiatr. Potem rozległo się stłumione puf! i jasnoczerwone coś poszybowało wysoko pod chmury, ciągnąc za sobą smugę czarnego, szybko rozpraszającego się dymu. Chwilę później w górze rozbłysło nienaturalnie jaskrawe światło, które musiało być widoczne na milę dokoła. Wiatr znosił je na bok i po kilku chwilach zgasło. Keje i akolita spojrzeli na grików. - Teraz zobaczymy, co się stanie.

Przez moment przeciwnik jakby się wahał zaskoczony niezwykłym zjawiskiem, ale że nic więcej się nie wydarzyło, ponownie ruszył ku *Salissie*. Załogi wiosłowały równo i wytrwale. Na dziobie każdej łodzi stał jeden grik w wyróżniającym się stroju. Za kilka chwil Keje i jego ludzie mieli się dowiedzieć, czy przeżyją ten dzień.

- Tam! - zawołał Jarrik-Fas i wskazał palcem.

Zza przylądka jakieś trzy mile na północ wyłonił się szary i niemal niewidoczny na tle wzburzonego morza smukły kształt. Z trzech pierwszych kominów unosiły się smugi dymu, woda spływała pienistymi kaskadami po burtach, ostry dziób bez wysiłku ciął fale. Kejego przebiegł dreszcz satysfakcji. Ich zdobycz była większa, niż oczekiwali, ale powinni sobie poradzić. Liczyli na jeden statek, gotowi byli na dwa, ale trzy raczej nie zrobią większej różnicy. Spojrzawszy na łodzie, oszacował, że przemierzyły już dwie trzecie drogi, i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Połknęli przynętę - stwierdził Jarrik-Fas. - Pozostało nam tylko zamknąć pułapkę. Czy mamy ujawnić naszą niespodziankę?

Podszedł do nowego urządzenia alarmowego, cylindra z brązu zawieszzonego na ograniczającym wychyły pałąku, i zaczął walić w niego masywnym prętem. Jak wcześniej sprawdzono, dźwięk był tak przenikliwy, że docierał do wszystkich zakamarków statku. Usłyszawszy sygnał, setki wojowników wyległy czym prędzej na pokład i pobiegły na stanowiska. Prawa burta zaroїła się od chętnych do walki wojowników, przy czym nie dla wszystkich *Salissa* była domem. Część pochodziła z innych statków, które niedawno zawinęły do Baalkpanu, jak *Nerracca*, *Aracca* czy *Humfra-Dar*, reszta należała do wyszkolonego przez Aldena oddziału piechoty morskiej. Poniżej pokładu otworzyło się pięć wielkich furt.

Grikowie zwolnili, ujrawszy, że ich ofiara wcale nie jest bezbronna. Keje miał nadzieję, że nie sprzeniewierzą się tradycji i nie zrezygnują z ataku. Ponad połowę zbrojnych wciąż trzymał w ukryciu, by utrzymać przeciwnika w mniemaniu, że nadal ma przewagę liczebną. Wprawdzie dotąd jej brak nie zniechęcał grików, jednak ostatnio zaczęli przejawiać tyle nowych zachowań, że dobrze było zachować ostrożność. W końcu podnieśli wrzawę i ruszyli

dalej. Coraz energiczniej potrząsali bronią i uderzali nią w tarcze. W ich oczach szalała żądza walki. Widok był przerażający.

Keje rzucił okiem na odległe statki grików. Pozostałe na pokładach załogi chyba jeszcze nie zauważyły *Walkera*, w czym nie było nic dziwnego, niszczyciel podchodził do nich bowiem pod wiatr, z ćwiartki, w której nikt rozsądny nie oczekiwał żadnych kłopotów. W końcu jakiś obserwator musiał go dostrzec, ponieważ postaci na wantach zaczęły miotać się gorączkowo, luzując żagle. Keje wyobraził sobie, jaka panika musiała zapanować wśród nieprzyjaciół, i uśmiechnął się drapieżnie. Powoli, bez ładu i składu, pierwszy statek grików podniósł żagle i zaczął robić zwrot na prawą burzę. Szybko nabrał prędkości. Pozostałe dwa nie miały tyle szczęścia. Pierwszy wszedł na skałę, tracąc sporą część prawej burty. Wstrząs powalił też oba maszty. Wprawdzie kadłub odbił się od skały, zaraz jednak dostał poważnego przegłębienia na dziób.

Trzeci statek wszedł na kurs, który musiał go zaprowadzić w pobliże *Salissy*. Bardzo dobrze, pomyślał Keje. Będzie okazja do kolejnego testu, może nawet równie ważnego. Zaciśnął zęby i czekał. Pierwsza jednostka wydostała się poza usiany skałami akwen, nie miała jednak szans. *Walker* siedział jej na ogonie, sunąc z taką prędkością, że radość brała od samego patrzenia. Jeszcze przed wyprawą zadbali o odpowiednie ceremonie, jednak Keje ponownie, chociaż szybko, odmówił krótką modlitwę do skrytego za chmurami słońca oraz duchów przodków, prosząc o opiekę nad jego braćmi i przyjaciółmi. Potem zajął się obowiązkami. Grikowie w łodziach chyba nie zdawali sobie sprawy, co się działo za ich plecami.

Być może przez przypadek, może byli nazbyt skupieni na *Salissie*.

- Na mój rozkaz...

- Otworzyć ogień z dział artylerii głównej - rozkazał Matt - ale celować tylko w maszty i ożaglowanie, panie Garrett!

Zanim jeszcze rozległ się brzęczyk uprzedzający przed salwą, Matt usłyszał, a nawet trochę poczuł, basowe dudnienie od strony wyspy. Spojrzał w tę stronę, ale przy tej odległości zdołał dostrzec tylko rozwiewające się kłęby dymu. Na razie idzie dobrze, pomyślał, choć przeciwnik był liczniejszy, niż oczekiwał. *Salissa* musiała stawić czoła nie tylko kilku setkom wojowników, ale zapewne też trzeciemu statkowi, została jednak należycie przygotowana. Wprawdzie ambitny plan Lettsa, żeby uzbroić pływający dom w czterdzieści dział, został znacznie okrojony i ostatecznie zamontowano ich po pięć na każdej burcie, były to jednak wielkie trzydziestodwufuntówki. Zapewne były masywniejsze, niż powinny, nie należały też

do arcydzieł puszkarstwa, musiały jednak budzić szacunek. Każdy ładunek składał się z pięciuset miedzianych kulek o średnicy trzech czwartych cala. Matt wyobrażał sobie, co mogą one zrobić z załogami i pasażerami łodzi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyjdzie z tego jakaś bieda - historia nie raz dowodziła, że wyposażanie prymitywnych technicznie ludów w broń palną mogło się skończyć bardzo źle. Jednak czy w tej sytuacji miał inne wyjście? Poza tym teraz nie powinien zaprzętać sobie tym głowy. Usłyszał brzęczyk artyleryjski.

Trzy działa wystrzeliły jednocześnie. Tylko jeden pocisk trafił w cel, było to jednak wybitnie fortunne trafienie, dokładnie w podstawę głównego masztu, który został całkowicie ścięty, a drzazgi i kawałki metalu posiekały resztę takielunku i dokonały masakry na pokładzie. Splątana masa żagli i lin okryła większość kadłuba, a napięte do granic wytrzymałości liny pociągnęły za sobą przedni maszt, który trzasnął jak zapalka i także runął, powiększając zniszczenia. Przedni sztaksel urwał się i został zdmuchnięty do morza, co w połączeniu z siłą płócien pozostałych jeszcze na bezanie sprawiło, że statek przechylił się mocno na prawą burtę i zaczął bezradnie zakręcać. Ostatnim akcentem tej katastrofy, wywołanej jednym jedynym trafieniem, było runięcie tylnego masztu, który spadł za rufą żaglowca.

- Krowo niebiańska! - mruknął Rick Tolson.

Walker był już niecałe trzysta jardów od swojej ofiary.

- Zmniejszyć prędkość! - rozkazał Matt. - Powoli naprzód. Sternik, na mój znak podprowadź nas na sto jardów i dziesięć stopni w lewo. Grupa abordażowa na razie ma pozostać w ukryciu, ale... - Spojrzał na stojącego w pobliżu Chacka. - Nie przypuszczam, żeby chcieli się poddać. - Lemur z początku nie zrozumiał. Grikowie nie znali chyba w ogóle takiego pojęcia. Chack zapewne też nie, chociaż Matt wiele razy podkreślał, jak ważne będzie branie jeńców. Potarł nos i uśmiechnął się do młodego wojownika. - Jasne, że nie. Ale nic. - Zwrócił się do wachtowego. - Pozwalam na ogień karabinów maszynowych wedle uznania. Do celu, oczywiście, nie Panu Bogu w okno. Nie marnować amunicji.

Jedną trzydziestkę zostawili w rafinerii dla ochrony przed drapieżnikami, ale obie pięćdziesiątki i pozostała trzydziestka znajdowały się w tej chwili na prawej burcie. Niemal natychmiast trzydziestka zaczęła swoje staccato. Oba cięższe karabiny ze śródokręcia poszły w jej ślady, masakrując zaskoczonych grików, którzy dopiero wygrzebywali się spod stert płótna i plątaniny lin. Rozległy się przeraźliwe skrzeki, w powietrzu latały drzazgi, fragmenty ciała i odłamki kości. Niszczyciel znajdował się w zasięgu wyrzutni bomb zapalających przeciwnika, ale atak był tak niespodziewany, że grikowie albo nie zdążyli przygotować tej broni, albo stos szczątków na pokładzie nie pozwolił jej użyć.

Walker podszedł do dryfującej ofiary. Karabiny strzelały coraz rzadziej, ale i coraz mniej było celów.

- Dobrze - rzekł Matt, mając nadzieję, że barwa głosu nie zdradzi, jak jest zdenerwowany, i odruchowo sięgnął do pałasza przy boku. - Panie Dowden, obejmuje pan okręt. Jak ustaliliśmy, proszę pozostać równoległe do burty i mieć oczy dokoła głowy. Niech pan pamięta o świeżej farbie - dodał z uśmiechem. - Gdyby musiał pan odejść, proszę się nie zastanawiać, tylko zrobić co konieczne. Ale niech pan wraca jak najszybciej.

Tolson rzucił niespokojne spojrzenie na kapitana.

- Tak jest, sir, przejmuję okręt - niechętnie potwierdził rozkaz Dowden. - Czy mam spuścić motorówkę na wypadek gdyby...

Matt ocenił stan morza i pokręcił głową.

- To byłoby zbyt niebezpieczne - orzekł. - Gdyby ktoś wypadł, proszę go jak najszybciej wyciągnąć, ale nie ma sensu ryzykować z łodzią. Nie na tym morzu. - Spojrzał na pozostałych. Miał nadzieję, że jeśli cokolwiek mu się stanie, reszta wyjdzie z tego cało. Musiał jednak iść. - Dobrze zatem, proszę działać. Wszyscy wiecie, co robić. - Zdjął czapkę i podał ją Reynoldsowi, po czym sięgnął po płytki hełm. Zapiął pasek pod brodą i spojrzał na Chacka. - Ruszamy.

Razem zeszli po drabince, żeby dołączyć do oddziału abordażowego, który krył się pod mostkiem i platformą dział. Był na tyle liczny, na ile rozmiary *Walkera* pozwalały - liczył około setki wojowników uzbrojonych w broń białą i włócznie. W większości byli to podkomendni Aldena, ale także załoganci, których Shinya wybrał ze względu na postępy w nauce fechtunku. Ci byli uzbrojeni również w pistolety, Silva zaś wziął ręczny karabin maszynowy, a Tony osobistego thompsona. Matt przepchnął się do zejścia na przedni pokład, gdzie natrafił na bosmana i porucznika Garretta.

- Witam panów - powiedział - nie pamiętam jednak, żebyście zostali wymienieni w rozkazie jako członkowie grupy abordażowej.

Bosman ostro szarpnął i tak już mocno ściągnięty pas i spojrzał twardo na kapitana.

- Owszem, skipper, ale nie było też mowy, że nie możemy się zabrać.

- Uważajcie zatem - odparł Matt, marszcząc czoło. - Nie możemy was stracić.

- A zapasowego kapitana to niby mamy? - spytał Alden, przepychając się do przodu. Ludzie starali się schodzić mu z drogi, ale miejsca było niewiele. Wyczuwało się kwaśną woń potu i mokrego futra. - Kapitanowie nie prowadzą abordażu. To robota szefa marine, czyli moja.

Matt odpowiedział mu uśmiechem. Owszem, sam tak twierdził, ale teraz sierżant był

jedynym marine na całym tym świecie.

- Mniejsza z tym, i tak idę. Już o tym rozmawialiśmy. Ale zbieraj swoich. - Ogarnął gestem żołnierzy, tak ludzi jak i lemury. - Ty ich szkoliłeś. Przejmiesz dowodzenie, jeśli natrafimy na zorganizowany opór. Tylko nie zapomnij o priorytetach.

- Jasne - mruknął Alden. - Zabezpieczyć statek i nie pozwolić, by zatonął. Starać się brać jeńców, ale zabijać każdego, którego trzeba będzie zabić. Nikt z nas nie mówi w ich języku i sam statek powie nam pewnie więcej niż jeńcy.

Matt pokiwał głową.

- Nie ryzykuj niczyjego życia, żeby wziąć języka. Ja z dziesięcioma miejscowymi od razu sprawdzę kwatery oficerskie. Może znajdziemy tam jakieś papiery, mapy czy cokolwiek. Może nawet ich kapitana.

Alden zerknął przez małe okno tuż obok wjazdu prowadzącego na pokład dziobowy i wysilił spojrzenie, usiłując dostrzec cokolwiek przez zalewającą je wodę.

- Może, skipper. Ale jeśli jest na pokładzie, to się nie uda - mruknął i gwizdnął, dostrzegłszy stertę płótna, lin i połamanych masztów. Karabiny maszynowe przestały już strzelać i w polu widzenia nie było nikogo żywego. - Jaki piękny wrak.

- A cholera wie, gdzie będzie - stwierdził bosman. - To, że te łajby mają taki sam pomost sterowy jak indyjskie żaglowce, nie znaczy jeszcze, że kapitan tam właśnie siedzi. Równie dobrze mogli zrobić w środku hinduistyczną kaplicę.

Ludzie zaśmiali się i nawet miejscowi zastrzygli uszami. Nikt z nich nie zrozumiał dowcipu, ale w takiej chwili odrobina humoru była bardzo pożądana. Alden odblokował wjazd.

- Dobra, słuchajcie! - krzyknął. - Idziemy uruchomić wynalazek kapitana Reddy'ego. Gdy będzie gotowy, dam sygnał gwizdkiem. Ledwie go usłyszycie, ruszajcie. Bez marudzenia. Nie będzie łatwo manewrować, żeby utrzymać kładkę. Możemy ją stracić w każdej chwili. Gdyby do tego doszło, pozostali na pokładzie ponowią próbę. Tam musi być jeszcze sporo jaszczurów i raczej nie przywitają nas kwiatami. - Pomachał porucznikowi Shinyi, który stał mniej więcej w środku ciżby. Japończyk odwzajemnił gest. - Powodzenia! - ryknął Alden, otworzył wjazd i wyszedł na pokład, a Matt i pozostali czym prędzej podążyli za nim.

Gdy biegli do dwóch ciężkich wsporników spoczywających na pokładzie dziobowym, błyskawicznie przemoczyły ich rozbryzgi wody. Matt zerknął kątem oka na dryfujący wrak, potem spojrzał na wychylonego przez reling Dowdena, który starał się oszacować dystans. Nagle wskazał energicznie na kapitana i coś krzyknął, lecz zagłuszyło go wycie wiatru. Garrett i Gray zwolnili liny przytrzymujące „wynalazek” przy ścianie nadbudówki i

konstrukcja runęła na prawą burtę. Matt wstrzymał oddech, niepewny, czy nie rozpadnie się przy uderzeniu.

Urządzenie to wymyślił zainspirowany historią antyczną, a ściślej wojen punickich. Podczas nich właśnie używano do abordażu takich pomostów. Tak jak one „wynalazek” na końcu miał szpikulec, który powinien się wbić w deski statku przeciwnika i utrzymać obie jednostki blisko siebie. Raczej zadziała, pomyślał Matt. Wprawdzie Rzymianie zarzucili ten pomysł, ale tylko z braku okazji wykorzystania pomostu.

Zgodnie z przewidywaniami ciężar opadającego pomostu sprawił, że szpikulec wbił się głęboko. „Wynalazek” wygiął się trochę, ale po chwili wrócił do pierwotnego kształtu. Zrobiony został z grubego bambusa, który był tutaj uniwersalnym materiałem konstrukcyjnym. Alden zadał przeciągle w gwizdek. Ujawszy pałasz w jedną dłoń, a pistolet w drugą, Matt pobiegł za marine po chwiejnej kładce. Jego przybocznicy deptali mu po piętach, za nimi zaś tłoczyła się cała reszta, wrzeszcząc i gadając. Na pokładzie jednostki przeciwnika natychmiast uformowali obronny półokrąg, który rósł z każdą chwilą, w miarę jak coraz więcej wojowników przeprawiało się pomostem. Wszędzie leżały ciała grików, niektóre posiekane pociskami, inne zmiażdżone spadającymi szczątkami. Spływająca po pokładzie woda była ciemna od ich krwi.

Matt obejrzał się. Na pomost wchodziła druga fala, dowodzona przez Shinyę. Pozbawiony masztów kadłub kołysał się niemiłosiernie, wystawiając kładkę na ciężką próbę. Zaczep rozdzierał pokład, wrywając coraz większą dziurę. Mimo wysiłków Dowdena pomost zaczął się rozpadać

- Szybko, szybko! - krzyknął oficer, ale nikt nie mógł być aż tak szybki. W końcu to mocowanie po stronie *Walkera* nie wytrzymało, nie szpikulec. Shinya był już prawie po drugiej stronie, gdy nagle pomost uciekł mu spod stóp i jeden jego koniec runął do morza.

- Liny! - zawołał Alden, gdy szpikulec również wyrwał się z otworu i cała konstrukcja zniknęła za burtą. Wielu go posłuchało, Matt zaś z mocno bijącym sercem wyjrzał przez reling. Szczęśliwie pomost zaplątał się już w resztki takielunku i nie odpłynął od burty. Zdołało się go ucześcić co najmniej dziesięciu ludzi i nieludzi, kilku innych znalazło się w wodzie. Ci, których zносиło ku rufie, machali rękami, żeby o nich nie zapomnieć.

- Wyłowić ich! - Gray wychylił się, złapał Shinyę jak szmacianą lalkę i wydźwignął go na pokład. Zaraz pojawiły się następne ręce, pomagające wojownikom dostać się na górę. Równocześnie odezwał się karabin maszynowy Silvy, co znaczyło, że grikowie podjęli walkę.

Tony Scott stał przy relingu *Walkera* i obserwował drobne postaci trzymające się lin albo walczące w wodzie o życie. On miał iść następny. Postawił już stopę na pomoście, gdy ten runął. Ocalał tylko dlatego, że złapał się łańcucha. Niewiele brakowało, żeby wpadł do wody! Jak dotąd nie pokazała się żadna ryba. Niewykluczone, że przy tym stanie morza wolały trzymać się głębiej albo zdeorientowały je fale, ale trudno było oczekiwać, że w ogóle się nie zjawia. Byłaby to bardzo zła nowina dla tych, którzy znaleźli się w wodzie. Jeden z nich, w noszonym przez większość załogi hełmie, był chyba ogłuszony albo i ranny, i tylko trzymał się liny, nie próbując się po niej wspinać. Nagle Scott dostrzegł z przerażeniem, że spod hełmu wysunęło się pasmo długich włosów.

- Boże, porucznik Tucker - szepnął i rozejrzał się wkoło. Przecież jej nie miało tu być i chyba nikt o niej nie wie. Skąd się wzięła? Krzyknął, starając się zwrócić uwagę tych, którzy byli na pokładzie statku grików, ale jego głos zagłuszył szum fal i strzały. Laney jednak, który stał tuż obok, usłyszał go doskonale.

- Przykra sprawa - powiedział ze szczerym żalem.

Tony spojrzał na niego zdumiony, ale rozumiał. Naprawdę nie mogli nic zrobić. On nie mógł nic zrobić. Nic się nie udawało. Ledwie trochę ponad połowa oddziału przeszła na statek grików, reszta mogła tylko stać i patrzeć. A teraz jeszcze dziewczyna kapitana znalazła się w wodzie...

Tony poczuł jednak, że to dla niego za wiele. Nie mógł tylko stać i patrzeć. Nie mógł, chociaż był śmiertelnie przerażony. Dostrzegł na skrzydle mostka Dowdena i pomachał do niego nad głową, jakby coś przykręcał, po czym wskazał drugi statek. Dowden nie był chyba pewien, czy to dobry pomysł, jednak po chwili niszczyciel ponownie zbliżył się do wraku na jakieś dwadzieścia jardów. Scott czym prędzej przerzucił na drugą stronę swojego ciężkiego thompsona. Miał nadzieję, że nikogo nim nie trafi. Zaraz potem cisnął pas amunicyjny.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknął Laney, ale Scott tylko zerknął na niego, trzasnął go hełmem w brzuch i skoczył za burtę.

Woda była ciepła i znajoma, ale i tak krzyknął ze strachu, gdy się w niej znalazł. O kilka jardów od niego porucznik Tucker desperacko próbowała podciągnąć się na linie. Powieki miała mocno zaciśnięte. Tony uniósł wzrok i przekonał się, że niemal wszyscy pechowcy są już na pokładzie albo właśnie się tam wspinają. Albo nie dostrzegli pani porucznik, albo lina gdzieś się splątała i nie mogli jej wyciągnąć. Coś mocno trąciło jego stopę.

- Obejmij mnie! - krzyknął przez szum morza. - Wyciągnę nas oboje.

Nie usłyszał jej odpowiedzi, ale poczuł, że zaciska na nim ramiona, i zaczął się wspinać jak szalony. Chwilę później uderzył w burtę statku. Niemal ogłuszony czuł nierówności

drewnianego kadłuba.

- Pomocy! - krzyknął. - Pomocy, kurde! Mam tu porucznik Tucker!

Niemal natychmiast na górze pojawił się kapitan Reddy, a zaraz po nim Garrett, Chack i paru innych. Garrett pracował kordem, chyba coś odcinając, reszta ciągnęła za linę. I nagle Tony znalazł się z Sandrą na pokładzie.

Stanąwszy na czworakach, Scott zwymiotował, po czym spróbował wstać. Pierwszym, co zobaczył, była uśmiechnięta gęba Silvy.

- Masz - warknął Dennis, wciskając mu thompsona w rękę. - Ty idioto!

Zanim zdążył odpowiedzieć, Sandra znowu zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała w policzek. Krew zaszumiała mu w uszach.

- Dziękuję! - powiedziała i pocałowała go ponownie, aż ugięły się pod nim nogi.

Strzelanina nieco ucichła. Pewnie walka przeniosła się pod pokład.

- Dziękuję, panie Scott! - powiedział Matt, mocno i serdecznie ściskając Scotta. Na twarzy kapitana malowała się wielka ulga, podszyta jednak wściekłością.

- Co ty sobie myślisz? - rzucił pod adresem Sandry.

Dziewczyna dumnie poderwała głowę.

- Pomyślałam sobie, kapitanie Reddy, że przyda wam się tu pomoc medyczna - odpowiedziała.

- I przez to... mało cię nie straciliśmy!

- Kapitanie - przerwał im Alden. - Musimy na nich napierać, zanim się pozbierają. Mamy trochę mało ludzi, a tych szcurków jest chyba więcej, niż przypuszczaliśmy.

- Oczywiście, sierżancie. Proszę działać. Ja zajmę się porucznik Tucker.

Alden pokiwał głową.

- Panie Shinya... - zaczął i zawahał się. - Proszę wziąć kompanię A i wywalczyć sobie przejście na dziób. Sprawdzaj wszystko, żeby żaden nie został za waszymi plecami. Chack, weźmiesz kompanię C i pójdiesz za nimi. Poszukaj drogi pod pokład. My zajmiemy się nimi tutaj, ty uderzysz od tyłu. Kompania B za mną!

Zebrali się przy kikucie środkowego masztu, gdzie czerniał w pokładzie otwór włazu.

- Granat!

Silva przerzucił kaem przez ramię i sięgnął do chlebaka. Szybko wyrwał zawleczkę i cisnął granat. Rozległ się stłumiony huk i zadrzał pokład. Po chwili dobiegło ich bolesne skrzeczenie i posykiwania grików.

- Chyba ktoś jest w domu - mruknął Silva.

- Jeszcze jeden! - rozkazał Alden. - Scott, wszystko w porządku? Pójdiesz z

thompsonem i pierwszą drużyną, gdy tylko wybuchnie granat. My za tobą.

Tony energicznie kiwnął głową i ustawił się obok schodni. Po tym, co właśnie przeszedł, walka była drobiazgiem. Tutaj przynajmniej mógł strzelać. Silva cisnął drugi granat, który wywołał kolejną falę skrzeczenia, potem zaś wszyscy stłoczyli się we włazie, niemal go zatykając. Thompson plunął zaraz długą serią.

- Druga drużyna za mną! - zawołał Alden, prowadząc swoich pod pokład. Miał przy pasie pistolet, ale zbiegł na dół z włócznieą, którą trzymał niczym springfielda z nasadzonym bagnetem. Zamierzał walczyć tak, jak wcześniej szkolił swoich marines. Gdy Silva mijał bosmana, ten złapał za jego chlebak.

- Daj kilka! - krzyknął i Silva szybko otworzył torbę. Gray wziął granaty i pobiegł dalej. Chwilę później rozległo się basowe powarkiwanie jego karabinu.

- Jest ich tam więcej, niż sądziliśmy - stwierdził z niepokojem Garrett. - Może trochę potrwać, nim ich wykurzymy.

Jeden marine jęknął głucho i padł na pokład z bełtem w piersi. Sandra przypadła do niego, otwierając swoją torbę.

- Tam! - zawołał Gray. - Ten światek naprzeciw steru!

Matt złapał za ramię jednego z żołnierzy.

- Pięciu zostaje z porucznik Tucker i rannym! Sama mówisz, że po to z nami poszłaś - powiedział, widząc, że Sandra chce zaprotestować, po czym rozpiął kaburę i wyjął pistolet.

- Ale nie trzeba aż tylu... - zaprotestowała dziewczyna.

- Mniejsza z tym. - Wcisnął jej broń do ręki. - Umiesz się nim posługiwać? - Skinęła głową przerażona, ale nie widokiem pistoletu.

- Oczywiście! Ale nie pobiegiesz chyba walczyć tym paradnym pałaszem!

- Nie musiałbym, gdybyś została gdzie twoje miejsce - szepnął jej do ucha i zaczerpnął głęboko powietrza. - Chyba cię kocham, Sandro Tucker, ale czasem zachowujesz się jak kompletna idiotka. - Uśmiechnął się i wstał. - Reszta za mną!

Pobiegli czym prędzej, żeby zniknąć z pola widzenia, nim kusznik znowu wystrzeli. Nie całkiem im się udało, ale bełt tym razem chybił, wbijając się we wspornik pokładu. Gray rzucił granat w otwór i padł na pokład. Oprócz drzazg i dymu wybuch wyrzucił też zakrwawione strzępy piaskowego futra.

- Do środka! - krzyknął kapitan i zniknął w dole.

Keje patrzył wstrząśnięty na zniszczenia, które udało im się spowodować. Wielkie brązowe działa, które tyle potu kosztowały ponad setkę odlewników z Baalkpanu, nie zostały

wykorzystane najlepiej jak można. Pomimo nadzoru Feltsa i innych Amer-i-kanów ponad połowa destrukcyjnej mocy dział została zmarnowana, bo pociski smagały morze na setki ogonów od celu. Niemniej i tak wykonały swoje zadanie. Piętnaście strzałów, po trzy z każdego działa, nie dało łodziom oraz ich załogom żadnych szans. Tysiące miedzianych kulek rozbiły burty i skosiły przyozdobionych pióropuszcami wojowników. Gdy ucichły ich krzyki i rozwiął się dym, po przeciwniku zostały tylko pływające kawały drewna i szamoczące się w wodzie niedobitki grików. Srebrzyste ryby nie były groźne podczas sztormu, kiedy morze było w ruchu i trudno było odszukać w nim ofiarę, poza tym przybój na płyciznach mógł być wówczas dla nich groźny. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Tak jak Lud, grikowie nie przykładali żadnej wagi do nauki pływania, toteż po chwili pochłonęło ich morze.

Został już tylko sunący wprost na nich statek. Podczas kanonady trzymał się poza zasięgiem dział. Jego załoga widziała, co się stało z łodziami, ale nie zmieniała kursu. Żaglowiec sunął przed siebie, lecz chyba nie po to, by wysadzić desant. Wyglądało na to, że jego kapitan postanowił staranować *Salissę*, co mogłoby spowodować znaczące uszkodzenia. Tom Felts kazał przygotować działa do salwy i gdy wroga jednostka podeszła na dwieście ogonów, wielkie lufy przemówiły. Masywnymi działami szarpnął odrzut, napinając liny, którymi były przymocowane do pokładu. Miedziane kulki pomknęły z szumem w kierunku celu i wybiły w nim setki małych dziur oraz jedną wielką. Pozbawiony sporej części dziobu statek zwolnił i zaczął brać wodę. Zatrzymał się jakieś sto ogonów od pływającego domu. Keje dostrzegł unoszącą się z niego smugę dymu i przypomniał sobie o bombach zapalających.

- Jeszcze raz! - rozkazał.

Tym razem, gdy dym prochowy się rozwiął, ujrzeli zapadający się w wodę kadłub. Gdy uderzył o dno, zakołysały się maszty, jakby miały się złamać.

Potem rozległ się krzyk radości. Już wcześniej widzieli, co potrafi artyleria, jednak tym razem to oni, nie *Walker*, uwolnili jej niszczycielską moc. Z taką bronią *Salissa* mogła nie obawiać się żadnego przeciwnika. Być może nadszedł czas, żeby pradawny nieprzyjaciel, który nawiedzał ich nawet w snach, został wreszcie pokonany. Może nawet uda się odzyskać legendarną ojczyznę, z której zostali niegdyś wygnani. Wówczas o Kejem mówiono by z podobnym szacunkiem jak o Siska-Ta, prorokini, która spisała Zwoje.

Keje nie czuł nigdy takiego uniesienia. Z radości wziął Selassę w objęcia i zaczął ścisnąć się z innymi. W tej krótkiej chwili wszystko było możliwe. Większość stojących na brzegu nie widziała, co dokładnie zaszło, ale słysząc krzyki radości, też zaczęła wiwatować.

- Patrzcie! - zawołał Jarrik, wskazując na morze, gdzie *Walker* manewrował wokół pozbawionego masztów statku grików. Znajdował się zbyt daleko, aby nawet przez lornetki można było dostrzec, co właściwie tam robi.

Keje nagle otrzeźwiał, pojawiwszy, że niszczycielowi przypadło o wiele bardziej niebezpieczne zadanie. Nie myślał tak, gdy układali plan i nim się przekonał, co potrafią jego armaty. Nikt z licznych obrońców *Salissy* nie miał najmniejszej okazji do użycia broni, podczas gdy ludzie z *Walkera*, w tym i przyjaciele Kejego, bezpośrednio nadstawiali karku. Wcześniej sądził, że to on zaryzykuje najwięcej, wystawiając swój statek na atak.

Matt wylądował na uszkodzonym stole, który rozpadł się z trzaskiem pod jego ciężarem. Kapitan przetoczył się po śmieciach i kaszląc od dymu i kurzu, pozbierał się na równe nogi. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i pochylił się akurat w porę, żeby uniknąć ciosu topora, którego ostrze przemknęło górną i wbiło się z hukiem w ścianę. Warczący ze złości grik spróbował je wyrwać. Matt dobył z metalicznym zgrzytem swojego pałasza z Akademii.

Niewiele myśląc, wbił sztych w pierś przeciwnika, skręcił i wyrwał. Grik zakrzeczał nieziemsko i skoczył chwiejnie na Matta, on jednak odstał o krok i zadał drugi cios, tnąc przez gardło. Trysnęła krew i jaszczur padł na pokład. Konając, uderzał jeszcze spazmatycznie ogonem, gdy z mroku wyłonił się kolejny grik, na szczęście ranny i osłabiony. Matt ciął go szablą, ale żelazo nie działało wiele. Jakimś cudem kapitan nie pomyślał, żeby porządnie je naostrzyć. Szczęśliwie dla niego grik potknął się czy pośliznął na krwi poprzednika, i odsłonił plecy. Matt skorzystał z okazji i chyba przeciął mu kręgosłup, jaszczur bowiem padł jak podcięty i choć poruszał szczękami, nie mógł wstać. Matt obrócił się w miejscu, oczekując z wysuniętym pałaszem na kolejnych przeciwników, ale żaden się nie pokazał.

Serce waliło mu w piersi po walce, jak i z powodu bliskości przerażających stworów. Wcześniej widział je z daleka i przekonał się, że są bardzo podobne do tych z Bali, ale pierwszy raz stanął z nimi oko w oko... Kołysząca się na haku w ścianie lampa ledwie oświetlała pomieszczenie, dostrzegł jednak, że wszędzie jest pełno krwi, a na podłodze leżą jeszcze dwa ciała. Jeden grik musiał chyba oberwać podczas wybuchu granatu, nie miał bowiem obu rąk i cały był zmasakrowany. Matt postarał się uspokoić oddech i wbił pałasz w pokład, żeby oprzeć na nim dłonie. Pozostałych czterech marines zeskoczyło na dół. Za nimi pojawił się Garrett, który pomógł dość ciężkiemu bosmanowi opuścić się bezpiecznie na resztki stołu.

- Dobra robota, kapitanie! Szybko ich pan załatwił! - zawołał Garrett.

- Dziękuję, panie Garrett. Teraz sprawdźmy, co jest za tymi drzwiami. Tutaj była chyba ich mesa, więc to przejście może prowadzić do kwater oficerskich. A tam zdaje się jest kabina kapitana - dodał, wskazując pałaszem.

W tej samej chwili ciężkie drzwi przed nimi poddały się z trzaskiem i do środka wpadła horda wymachujących bronią jaszczurów. Marines rzucili się na nich z włóczniami, a Garrett i Gray otworzyli ogień.

- Boże, ale zabawa! - zawołał Silva, wymachując kordem jak toporem. Kolejnego grika ciął przez pysk, sięgając prawie do szyi. Krew trysnęła niczym fontanna.

- Mów za siebie! - odkrzyknął Scott, zmagając się z kolejnym magazynkiem. Silva w ogóle dał spokój karabinowi, nie miał na niego czasu i nawet nie wiedział, gdzie on właściwie leży. Na dole było tylu grików, że wydawało mu się, jakby wskoczył do gniazda szerszeni. Tarcze były w tej ciasnocie bezużyteczne, walka zatem przerodziła się w liczne pojedynki, jak obawiał się Alden. Na szczęście marines nauczyli się już trochę władać bronią. Jeśli przeżyją, może będzie z nich porządna kadra. Scott osadził wreszcie magazynek z trzydziestoma nabojami i zaraz kilka z nich wystrzelił.

- Mówię za siebie! - odparł Silva, uchylając się przed serią, i ciął jaszczura, który chciał zrobić to samo. Niemal pozbawił go głowy, a ciało, straciwszy ośrodek kontroli, skoczyło pod sufit i spadło na inne potwory. Silva aż się roześmiał. Już zabijał, nawet przed wojną, głównie podczas walk w barach i uliczkach chińskich miast, chociaż praca dla Mobile też dawała po temu okazje. Uważał, że ci, których posłał na tamten świat, zasłużyli sobie na to, nawet jeśli raz czy drugi trochę się pospieszył. Japończykom na pewno się należało, a zabił ich trochę, obsługując dział numer jeden. Jednak ta walka była jak rozgrywka sportowa. Nigdy nikogo nie zabił dlatego, że uważał się za „dobrego”, a tamten był „zły”. Wystarczało, że był gorszy niż sam Silva. A Dennis Silva bywał paskudny. Teraz jednak czuł, że naprawdę jest dobry, a potwory, które zabija, to bez dwóch zdań zło wcielone. Zabiły Marvaneya i wielu jego kocich przyjaciół. Mallory powiedział, że starły z powierzchni ziemi miasto podobne do Baalkpanu, a teraz próbowały zabić jego! Były obrzydliwe i należało je zabijać. Walka w słusznej sprawie spodobała się Silvie, który poczuł się jak baśniowy smok. Taki smok, którego wszyscy się bali, a on dopadł i pożarł złego króla. Czasem dobrze jest być dobrym, pomyślał.

Omal nie stracił równowagi, gdy kilku przeciwników rzuciło się na niego jednocześnie, ale włócznie marines i pistolet Aldena uratowały mu życie. Alden pokiwał głową, schował broń do kabury i ponownie ujął włócznię. Silva spojrział na niego z podziwem. Marine sparował zamach kolejnego jaszczura z taką łatwością, jakby oganiał się od much, i wraził

sztym w kałdun stworu. Grik wrzasnął i jego wnętrzności wylały się na pokład. Muszę zapamiętać, żeby nigdy nie walczyć z tym gościem, pomyślał Silva i omal się o coś nie potknął. Spojrzał pod nogi. To był jego karabin maszynowy.

- Mam sikawkę! - zawołał radośnie. - Daj mi minutkę, Tony!

Scott odpowiedział kolejną serią.

Silva wbił kord w ciało wroga, żeby broń była pod ręką, i ujął karabin. Był śliski od krwi i oblepiony czymś nieapetycznym. Magazynek jednak wszedł jak należy.

- Kończy mi się amunicja! - krzyknął Scott. - Kompania A i C powinny już tu być. Jeśli Japoniec nie ruszy szybko dupy, nawet ty cienko zaśpiewasz!

- Spokojnie, zdąży! - zapewnił go Dennis i zastanowił się nagle, skąd mu się wzięła ta pewność. - Odsuń się! - rzucił i uniósł broń.

Pomieszczenie, które mogło być mesą, przypominało rzeźnię, udało im się jednak wyprzeć wroga na korytarz i zatrzasać drzwi, które zostały wyposażone w mocny rygiel uniemożliwiający wejście z zewnątrz. Matt pomyślał, że nie świadczy to dobrze o dyscyplinie na pokładzie. Jeden marine zginął, a Garrett został ranny w rękę, którą ledwie mógł teraz poruszać. Krew kapłała mu z palców prosto w czerwoną kałużę na pokładzie. Matt nie odniósł obrażeń, był jednak cały czerwony od posoki, a jego paradny pałasz dorobił się wielu szczerb. Gray wiązał opaskę uciskową na ramieniu Garretta, a trzech marines targali fragmenty ciężkiego stołu pod drzwi, do których nieustannie ktoś się dobijał.

- Szybko, sprawdźmy pozostałe pomieszczenia! - zawołał Matt.

Zajrzeli do obu kabin po bokach. Nie znaleźli w nich grików, były tam jednak swoiste dekoracje. Głównie czaszki, wyeksponowane jak trofea. Jedno wnętrze pełne było glinianych dzbanów zabezpieczonych siecią na półkach. Trudno było powiedzieć, co się w nich znajduje, ale smród był obezwładniający. Może był to magazyn bomb zapalających? Gray i jeden marine pilnowali drzwi na korytarz, gdzie walka wrzała w najlepsze. Słysząc było strzały i wybuchy granatów. Matt, Garrett z dwoma lemurami doszli tymczasem do ostatnich drzwi, które okazały się zamknięte od środka.

- Odsuńcie się - rozkazał Matt i skinął na Garretta, który wystrzelił dwa pociski w całkiem swojską dziurkę od klucza pod masywną klamką. Marines kopnęli drzwi i wpadli do środka. Jeden runął natychmiast z włócznią w piersi. Potem czekający za progiem grik zamachnął się na drugiego, ale chybił o włos. Garrett zaklął głośno, po raz pierwszy, od kiedy Matt go poznał, i strzelił przez ścianę. Kapitan zanurkował do środka i obrócił się, unosząc pałasz. Grik szamotał się z marine, kobietą zresztą, usiłując dobrać się jej do gardła. Ten,

którego trafił Garrett, osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie krwawe smugi. W kajucie było ciemno, kapitan jednak dostrzegł jakiś ruch i ruszył z uniesioną bronią prosto na grika w ozdobnej szacie. Ten sięgnął go pazurami, ale osunęły się po stalowym hełmie. Nagle tuż obok pojawił się Garrett i strzelił do jaszczura. Obaj obrócili się ku marine walczącej z grikiem. Stwór spojrział na nich i zamarł na chwilę, jakby zaskoczony. Marine wykorzystwała okazję i wbiła mu ostrze w brzuch. Głęboko, niemal po rękojeść.

Matt obrócił się, pamiętając, że przecież dostrzegł tam coś jeszcze. I rzeczywiście. Za ciemnym, wykończonym na wysoki połysk biurkiem siedział widoczny na tle okna zdumiewająco otyły grik. Patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, w ogóle nie mrugając. Odziany był w lśniącą czerwono-złotą szatę z czegoś, co przypominało jedwab, a jego sierść, czy może pióra, połyskiwała w sposób zdradzający, że o nią dba. Okno było otwarte, a na biurku leżały jakieś papiery lub coś podobnego. Czyżby właśnie je wyrzucał? Warknął na nich i z żółtych zębów spłynęła mu nitka śliny. Bez wahania złapał z blatu zakrzywiony nóż. Matt uniósł pałasz, żeby skoczyć na grika, nim zaatakuje, on jednak skrzeknął rozziewając i przeciągnął ostrzem po własnym gardle, przecinając skórę, mięśnie i arterie. Zrobił to z taką siłą, że naruszył nawet kręgosłup, głowa bowiem odchyliła się mocno do tyłu, trzasnęła kość i czerep, odpadłszy od kadłuba, zawisł na resztkach skóry i mięśni.

Matt opuścił broń. Przez otwarte okno wiatr nawiewał woń dymu prochowego, jednak smród krwi i zawartości jelit był silniejszy. Marine pochylili się w kącie i zwymiotowali.

Gray wbiegł do kabiny i ogarnął ją spojrzeniem. Podeszedł do ciała kapitana i zepchnął je z fotela. Padło na podłogę niczym worek mokrej tapioki.

- Zakrwawi drań wszystkie książki!

Matt pokręcił głową i dołączył do bosmana. Przyjrzał się bałaganowi na biurku.

- Tu może coś być. - Zerknął na martwych marines, jednego przy drzwiach, drugiego za progiem. - Mam nadzieję, że było warto. - Zachwiał się lekko, gdy statek przechylił się niespodziewanie. Odgłosy walki przycichły i ktoś zabębnił do drzwi prowadzących na korytarz.

- Kapitanie! Kapitanie Reddy! Jest pan tam?! - zawołał.

- Kto chce wiedzieć? - ryknął Gray.

- To ja, Silva! - rozległa się przytłumiona odpowiedź, jednak w głosie Dennisa wyczuwało się ulgę. - Wpuście mnie! Mam już statek, a przynajmniej ten pokład. Część jaszczurów związała do ładowni. Musimy je dopaść.

Gray podeszedł do drzwi i rozebrał barykadę. Dym i smród wypełniające te wnętrza były niczym w porównaniu z odorem, który napłynął z korytarza. Silva wszedł na czele małego

oddziału marines. Wszyscy byli zmęczeni, a ich sierść zmatowiała od krwi. Na przedramieniu Silvy czerwieniała rana ciągnąca się od nadgarstka aż do zrolowanego rękawa. Gdy ujrzał kapitana, jego brodata twarz pojaśniała.

- Ach, skipper! - zawołał. - Miło pana widzieć. Zabiliśmy całe mnóstwo tych diabłów. Założę się, że były ich tu ze dwie setki. W życiu tak się nie bawiłem! Czuję się jak prawdziwy pirat! - Spojrzał na Graya i machnął kordem. - Wrrr!

Bosman spurpurowiał ze złości.

- Co z naszymi, Silva? Są ranni? - spytał Matt.

- Nie wiem, ilu straciliśmy przy przejściu - odparł Silva i Matt lekko poblądł. To nie powinno tak wyglądać. - Wiele kotów dostało. O naszych wiem tylko, że paru jest niegroźnie rannych. Chociaż gdy zesliśmy na dół, nie było łatwo. Jaszczury prawie nas osaczyły i dopiero Japoniec i Chack je pogonili. Potem już tylko je wykańczaliśmy. Fajna sprawa. Założę się, że większość z tych drani nie była nawet wojownikami. Pewnie zwykła załoga, bo nie mieli broni, chociaż po co komu broń, jak ma takie kły i pazury. Ale musiałby pan widzieć naszego Japońca! Co on wyprawia z mieczem! - W głosie mata pobrzmiwał szczerzy podziw.

- Powinieneś zobaczyć naszego kapitana - warknął Gray. - On miał tylko pałasz.

Silva spojrział na zakrwawioną broń w ręku Matta i zagwizdał. Kapitan wiedział, że w odróżnieniu od Shinyi on działał nią cokolwiek dzięki desperacji, nie umiejętnościom. Silva jednak wyglądał tak, jakby w najbliższych dniach miał nazywać Matta krwawym kapitanem.

Statek znowu zatoczył się jak pijany.

- Musimy wziąć ten wrak na hol albo się stąd zmyć. Jedno albo drugie - powiedział Matt do bosmana. - Tu jest za wiele wysepek, na których można się rozbić. - Spróbujcie założyć hol. I proszę wyznaczyć oddział, który usunie to rumowisko z pokładu. Bez niego będzie się mniej kołysać.

- Aye, aye, kapitanie - odparł Gray, skinął na oddziałek Silvy i przeszedł przez pobożowisko do włazu prowadzącego na górę.

- Może powinieneś poszukać pielęgniarki? - powiedział Matt, patrząc na rannego Garretta.

- Nic mi nie będzie, skipper.

- Cóż, popatrzmy, co tu mamy. Brać wszystko, co może się przydać. Sakwy, papiery i co tam jeszcze. Odsyłajcie je od razu na *Walkera* na wypadek, gdybyśmy musieli się wynosić.

- Aye, sir - odparł roztargnionym tonem Garrett. - Sir, chyba powinien pan to zobaczyć.

- Co?

Oficer spojrział na Silvę i ściszył głos. Był bardzo przejęty.

- Proszę samemu zobaczyć.

- Dobrze - odparł z ciekawym Matt i wrócił do kabiny kapitańskiej. Teraz przyjrzał się jej uważniej. Na pokładzie leżało wiele arkuszy podobnych do tego na stole. Na ścianie wisiały półki z przegródkami, w których leżały rulony przypominające mapy! Podeszedł, by je obejrzeć. - Niezwykłe. To może być właśnie to, czego szukamy.

- Sir - odezwał się Garrett z nietypowym dla niego uporem i wskazał na belkowanie sufitu. Podobnie jak w innych kabinach, po obu stronach dźwigara przymocowano wiele czaszek. Należały do różnych stworzeń, na niektóre z nich polowały także lemury. Matt miał u siebie w domu trochę poroża, nie brzydziły go więc te myśliwskie trofea, dziwiło jednak takie ich nagromadzenie. Po chwili jednak zorientował się, że większość należała do lemurów.

Nie widział dotąd ich czaszek, ale kształt wskazywał, że nie może chodzić o inne. Wiele było poślizgniętych i zakurzonych, część wyglądała na świeże. Niektóre pomalowano w jakieś wzory, ale nie miał pojęcia, co mogą one znaczyć. Pokręcił z obrzydzeniem głową. W zasadzie można było oczekiwać tego po grikach. Ale przecież kotowaci to też ludzie, pomyślał i spojrział na Garretta, który również wyglądał na wstrząśniętego.

- Proszę je zdjąć z szacunkiem - powiedział. - Przekażemy je naszym sojusznikom, żeby zrobili co należy.

- Kapitanie! - syknął Garrett, wskazując na jedną z czaszek, wiszącą naprzeciwko biurka. Migotliwe lampy ledwie pozwalały ją dojrzeć, ale Matt od razu pojął, co widzi, i krew zaszumiała mu w głowie. Ciemniejący pustymi oczodołami czerep był niewątpliwie ludzki.

Silva wszedł za nimi do kabiny i zaczął przeglądać papierzyska leżące na podłodze. Też spojrział w górę i cały dobry humor momentalnie się ulotnił.

- O skurwiele! - wycedził.

- Skipper! - zawołał od progu sierżant Alden. - Wszystkie włązy zabezpieczone, jesteśmy gotowi wejść do ładowni. Ale to nie będzie majówka. Na dole jest ich trzydziestu albo więcej i wszyscy zachowują się, jakby dostali wścieklizny. Gdy zrozumieli, że przegrali, zaczęło się to samo co na *Salissie* pod koniec walki, gdy wyskakiwali za burtę. Tyle że tutaj mogli uciekać tylko na dół. Teraz są osaczeni i idę o każdy zakład, że całkiem im już odbiło. Najchętniej wykurzyłbym ich dymem, albo nawet uwędził, ale obawiam się, że mogą wybić dziurę w kadłubie. Poza tym chciał pan jeńców...

Matt nie odpowiedział od razu. Uniósł pałasz i przesunął palcem po wyszczerbionym ostrzu.

- Panie Garrett, proszę wykonać mój rozkaz i pozwolić, by porucznik Tucker obejrzała pańską ranę - odezwał się w końcu lodowatym głosem. - Odnieśliśmy sukces. Dowiedzieliśmy się sporo o przeciwniku, a te materiały pozwolą nam poznać go jeszcze lepiej. Sierzancie Alden, wspomniał pan, że nie zna ich mowy? Ja także nie. - Spojrzał na Silvę i wskazał pałaszem drzwi. - Chyba już nie potrzebujemy jeńców.

Walker utrzymywał pozycję w pobliżu kiwającego się coraz bardziej wraku, a obsady dział i karabinów maszynowych trwały na stanowiskach, jednak oddział abordażowy był chwilowo zdany wyłącznie na siebie.

- Posprzątać ten śmietnik! - krzyknął Gray do swoich marines, gdy znalazł się na pokładzie, i podbiegł do grupy lemurów pomagających Sandrze przy rannych.

- Nic panu nie jest, szefie? - spytała, przekrzykując wiatr. Bosman był cały czerwony od krwi zabitych.

- Nawet mnie nie drasnęło, ale dzięki za pytanie. Kapitan w porządku - dodał, dostrzegłszy jej wyczekujące spojrzenie. Wyraźnie jej ulżyło i bosman uznał, że to może być dobra chwila, żeby przekazać coś, co leżało mu na wątrobie. - Ale nie dzięki pani. - Wskazał na pistolet, który trzymała za paskiem. - Powinien mieć go ze sobą.

- Nie chciałam, żeby mi go dawał - powiedziała Sandra, przesuwając palcami po rękojeści.

- Cokolwiek pani chciała, to bez znaczenia. Nie sądziłem, że weźmie udział w walce, ale zrobił to. Jest kapitanem i chyba uważa, że nie może tylko patrzeć, jak się narażamy. Jednak pani pomysł, żeby się zabrać, to był pokaz czystej głupoty. Niewiele brakowało, żeby pani zginęła. - Pani porucznik zapłonęła oburzeniem, ale nie dał jej dojść do słowa. - Tak, wiem, chciała się pani zajmować rannymi, ale jaki byłby pożytek z pani śmierci? Co byśmy wszyscy na tym zyskali? - Odczekał chwilę, aż jego słowa dotrą do dziewczyny. Potem już złagodził ton. - Teraz proszę wziąć pod uwagę, że musimy posprzątać ten bu... bałagan i to nie jest dobre miejsce ani dla pani, ani dla rannych. Na dolnym pokładzie będzie bezpieczniej. Wprawdzie pełno tam krwi, ale zawsze to dach nad głową.

- Gdybyśmy mogli znieść ich pod pokład, tak byłoby najlepiej - przytaknęła szybko Sandra. - I... bosmanie... przykro mi i przepraszam.

Gray chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu tylko pokiwał głową.

- W porządku - powiedział.

Przebrnął przez rumowisko do pary lemurów zaszytych między stertami żagli przy nadburciu. Zostali na pokładzie, żeby strzec tyłów, uznali jednak widać, że ich własne

bezpieczeństwo jest ważniejsze. Kolejna fala runęła na pokład, podcinając bosmanowi nogi, i popchnęła go ku ukrytym lemurom. Gdy wyłonił się z piany, zaraz złapał się jednego z nich. Rumowisko dokoła nieustannie pracowało, pojękując i trzeszcząc.

- Wy leniwce, pomóżcie porucznik Tucker znieść rannych na dół. - Rozkazał, po czym skinął na oddział za plecami. - A wy odetnijcie to wszystko. Kordami. - Nie wiedział, czy na pewno go zrozumieli, uniósł więc własną broń i wziął się do roboty. Szybko zrozumieli, o co mu chodzi, i zaczęli rąbać jak szaleni. Po chwili zjawili się kolejni marines, którzy nie byli już potrzebni na dole, i wzmocnili ekipę. Kawałek po kawałku liny, żagle i fragmenty masztów trafiały za burtę, aż w końcu statek przestał się tak zataczać. Kiwał się teraz nawet bardziej, ale było to normalne kołysanie.

Gray czuł, że ma rękę jak z ołowiu, ale nie przestawał pracować. Za stary i za gruby już na to jestem, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Nigdy by tego zrobił. Owszem, zbliżał się do sześćdziesiątki, ale bosman musi być wszechpotężny i niezniszczalny. Musi i już. Spojrzał na niebo. Gdy napotkali statki grików, było wczesne popołudnie, pewnie więc nie zostało im już wiele światła. Jeśli nie założą holu przed zmrokiem, będzie źle. Zostawił oczyszczenie reszty pokładu młodszemu i poszedł poszukać czegoś, co nadałoby się do sygnalizowania.

Pięć granatów poleciało w mroczny właz i po każdej detonacji rozległ się koszmarny chór zawodzeń. Tym razem Silva i Scott schodzili razem z Mattem, Aldenem, Chackiem, Shinyą i grupą lemurów za plecami. Poruszali się w półmroku, tnąc wszystko, co tylko się poruszyło. W tym zapewne i różne gryzonie, które najpewniej zasiedlały najniższe pomieszczenia na statku. Stopy ślizgały się na mokrych kamieniach balastowych, ale poza nimi leżały tu jeszcze kości. W blasku pochodni widać było tysiące kości zaścielających dno statku. Wszystko to niewiarygodnie cuchnęło. Gdy ich oczy trochę przywykły do mroku, dotarli do czegoś, czego nigdy nie mieli zapomnieć. Wówczas to Matt zrozumiał, że wszystko, co widział wcześniej, nie oddawało prawdziwej natury ich przeciwnika. W głębszej części ładowni mieściła się rzeźnia. Porzucone na dole kości należały przede wszystkim do lemurów. Na hakach wisiały w ordynku oprawione tusze, a pod ścianami kulili się w łańcuchach brudni i wynędzniali jeńcy. Był ich może tuzin. Widząc to, Matt był już pewien, że cokolwiek by rozkazał, jego ludzie nie będą brać jeńców.

Marine wpadli w amok. Walczyli, jakby w ogóle nie obawiali się śmierci. Ludzie zachowywali się podobnie. Scott zachwiał się, z twarzą zalaną krwią, i Shinya odciągnął go na tyły. Matt przejął thompsona, rażąc szarżujących grików krótkimi seriami. Kapitan płonął

słusznym gniewem. Wreszcie mógł wyładować całą złość i frustrację, która gromadziła się w nim od miesięcy. Gdy zamek szczęknął głucho, Matt znowu sięgnął po pałasz.

- Na nich! - zawołał. Kiedyś nawet sobie nie wyobrażał, że może wyciągnąć białą broń w prawdziwej walce, teraz jednak wydawała mu się przedłużeniem jego ramienia, może nawet duszy. Narzędziem oczyszczenia. Marine ruszyli przed siebie, światło lamp odbijało się w brązowych grotach ich włóczni. Silva dobył korda, inni poszli w jego ślady. Alden był przekonany, że spośród wszystkich ludzi na tym świecie kapitan Reddy jest ostatnim, który powinien brać udział w tym starciu, ale wiedział, że nie zdołałby go powstrzymać. Zaatakowali. Nawet bez tarcz błyskawicznie rozbili obronę przeciwnika, zabijając kolejnych grików z dzikością, która przeraziła jaszczury. Te, które jeszcze nie padły, rzuciły się do ucieczki. Skrzecząc ze strachu, miały się w ciemnych zakamarkach, byle dalej od przeciwnika. Większość rzuciła broń. Matt przystanął na chwilę, oparł dłonie na kolanach i spróbował uspokoić oddech. Potem znowu ruszył przed siebie.

- Kapitanie - powiedział spokojnie Alden, łapiąc go za ramię. - Już nie trzeba. Już po wszystkim.

Matt chciał mu się wyrwać, ale nagle znieruchomiał, wstrząśnięty siłą swych emocji. Pokiwał głową. Marines szybko dobili około dwudziestu przeciwników, którzy uciekli w najdalszy kąt śmierdzącej i częściowo zalanej ładowni. Przez chwilę czekali jeszcze, czy coś usłyszą, ale nic więcej nie zaskrzeczało.

Z mroku wyłonił się Chack. Mocno kulał i szedł wsparty na Silvie, który wyglądał niczym bóg wojny. Za nimi nadciągęli kolejni marines.

- Sierzancie Alden, proszę zabrać stąd rannych, a potem przysłać ludzi, żeby uwolnili tych biedaków - powiedział Matt, wskazując na skutych jeńców.

Większość z nich zaczęła żałośnie zawodzić. Mając już zapewne niewielki kontakt z rzeczywistością, musieli być przekonani, że zaraz i oni pójdą pod nóż. Wyglądali na obłąkanych. Matt przystanął przy nich, patrząc, jak śmiertelnie poważni pobratymcy uwalniają ich po kilku i wyprowadzają na otwarty pokład, byle dalej od tego koszmaru. Tam owijano ich w płótno żaglowe, dla ochrony przed chłodem i wodą, ale łańcuchów jeszcze nie zdejmowano. Mając swobodę ruchów, mogliby w obecnym stanie zrobić krzywdę sobie lub innym.

Silva prowadził Chacka przez kamienie balastowe. Lemur dobitnie powiedział, że chce wyjść na własnych nogach i nie życzy sobie, aby go wynoszono. Nagle zatrzymał się przed jedną z wymizerowanych postaci. Okropnie wychudzony jeńiec ciężko łapał powietrze. Trudno było sobie wyobrazić, co przeszedł, co musiał widzieć. Matt polubił tubylców, zwykle

wesołych indywidualistów, podobnych w tym do jego załogi, i nie mógł na to patrzeć spokojnie.

- Zostaw go, Chack - powiedział Silva z nietypową dla niego łagodnością. - Przecież widzisz, że ledwie dycha.

Chack jednak pokręcił głową i pochylił się nad jeńcem.

- Witam cię. Nie obawiaj się - powiedział we własnej mowie.

- Znasz go? - spytał Matt.

Chack skinął głową i uśmiechnął się dziwnie.

- Znam.

- Czy on ciebie poznaje?

Chack odezwał się nagle, powtarzając niektóre słowa po kilka razy. Po jakimś czasie jeńiec zaczął spoglądać przytomniej, w końcu odpowiedział. Chuck spojrział na Matta.

- Mówi, że większość tych tutaj to byli mieszkańcy Chill-chaapu, ale widział też sprowadzonych z innym miejsc. On sam został przeniesiony z innego statku razem z jednym bezogoniastym, takim jak wy.

Matt przypomniał sobie czaszkę.

- Co się z nim stało? - zapytał.

Chack odpowiedział oczywistym gestem.

- Mówisz, że go znasz. Kto to jest?

- Nazywa się Saak-Fas - odparł młodzieniec, powstrzymując się od westchnienia. - To partner córki Kejego.

Tony Scott i Tamatsu Shinya znaleźli Graya odpoczywającego w półmroku obok obracającego się swobodnie koła sterowego. Oddychał ciężko i bezskutecznie tarł oczy, próbując pozbyć się z nich drobin soli. Scott miał rozdarty rękaw i ranę na przedramieniu, oberwał też w dolną wargę, która mocno mu opuchła. Był bez hełmu, zawiązał jednak chustkę na głowie, żeby włosy nie spadały mu do oczu. Pasek thompsona przewiesił przez zdrowe ramię.

- Gatuje, shehie - powiedział, starając się oszczędzać obolałą wargę. - Jak przygotowania do hoochania?

Gray jęknął i podniósł się z pokładu.

- Jesteśmy już na holu, matolku. Prawie od kwadransa. Miałem właśnie zameldować o tym kapitanowi, gdy mi przeszkodziłeś.

Scott pokiwał głową.

- W taki razie apitan chce, żeby wyhodowa pan ezy.

- Co mam wyhodować?

- Wysondował zęzy - powtórzył z wysiłkiem Scott. - Adownia est ysta i eba awdziś, czy ta ajba uczya się na odzie. Póe z panem.

- Dobra. Najpierw jednak zamelduję się u kapitana. Co teraz robi? Oczekiwałem, że zjawi się na górze.

- Ogloda eczy. Mapy i inne... inne enty. Tam są saszne eczy na nich.

Gray skierował się do schodni.

- Bosmanie - odezwał się nagle Shinya. - Czy mogę na słówko?

Twarz bosmana pociemniała, ale kiwnął głową.

- Wiem, że mnie pan nie lubi, ale uratował mi pan dzisiaj życie, gdy pomost się załamał. Chcę panu podziękować.

Gray wzruszył ramionami.

- Za panem byli jeszcze inni. Musiałem odsunąć pana z drogi. - Obrócił się, żeby pójść za Scottem, ale po chwili się zatrzymał. - Ma pan dzieci?

- Nie - odparł zdumiony Tamatsu.

- A ja owszem. Chłopca. Teraz powinien mieć koło trzydziestki. Poszedł w ślady starego, tyle że pod pokład. Mat maszynista. Ostatni raz widziałem go cztery lata temu, ale byłem z niego dumny. Jak to z syna, rozumiesz?

- Co się z nim stało?

- Nigdy nie znaleźli jego ciała, oficjalnie jest zaginiony. Był jednak w kotłowni *Oklahomy*, gdy się przewróciła. W Pearl Harbor. Nie dziękuj mi więc za uratowanie twojego parszywego życia. Rzygać mi się chce od tego. Odsuwałem cię tylko z drogi. - Powiedziawszy to, pobiegł na dół.

- Tak - mruknął Shinya pod nosem. - A jednak wciągnąłeś mnie na pokład, zamiast zepchnąć do morza.

- Osiągnęliśmy główny cel wyprawy - powiedział Matt. - Zdobyliśmy informacje na temat przeciwnika.

Razem z Sandrą, Garrettem, Aldenem i Shynią stał przy biurku kapitana. Na blacie piętrzyły się znalezione mapy. *Walker* holował wrak okrężnym kursem przez Cieśninę Makasarską na Morze Jawajskie. Powinni dzięki temu ominąć nocą skaliste wysepki i płycizny, a rano być może spotkać się z *Salissą* i przyjaciółmi. Morze się uspokoiło, a Gray zameldował, że z pomocą pomp przynajmniej powinien utrzymać się na powierzchni.

Inna sprawa, że bosman wrócił z ładowni dziwnie milczący. I nie chodziło o przecieki, spowodowane nie tyle ostrzałem, ile późniejszym dzikim kołysaniem, które trochę osłabiło konstrukcję. Najgorsze było to, co pozwoliło im lepiej poznać przeciwnika.

- Są gorsi niż Japończycy - powiedział Alden, ale zaraz spojrzał przeprasząco na Shinyę, który mimo to wziął przytyk do siebie. - Chociaż nie tak. Są gorsi niż wszystko, co można sobie wyobrazić.

Kapitan bezskutecznie przetrząsał pamięć w poszukiwaniu jakiegoś epizodu z ludzkiej historii, który mógłby tutaj przywołać. W końcu przetaił oczy i zauważył, że Tamatsu się uspokoił.

- Chyba ma pan rację - rzekł głucho. - Gorsi niż wszystko.

To był długi, krwawy dzień. Zginęło osiemnastu miejscowych, niemal drugie tyle odniosło rany. Większość ludzi z załogi niszczyciela też jakoś ucierpiała, chociaż tylko Norman Karas poważnie. Nie tyle zresztą za sprawą przeciwnika, ile Surreya, który wypuścił kord z ręki tak pechowo, że broń spadła pokład niżej i przybiła Karasowi stopę do desek. Szczęśliwie ostrze nie naruszyło kości, ale Norman był chwilowo wyłączony ze służby. W innych okolicznościach incydent mógłby być nawet zabawny, bólu mata kwatermistrza nie licząc, ale w tej chwili nikomu nie było do śmiechu.

Przyglądali się jednej z map. Matt był pewien, że Adar wpadnie w dziki popłoch, dowiedziawszy się, że grikowie też mają swoje „zwoje”. Ten tutaj ukazywał zachodnią część Oceanu Indyjskiego z Madagaskarem i wschodnią Afryką aż do równika na północy i trzydziestego równoleżnika na południu. Wschodnia granica przebiegała w okolicy osiemdziesiątego południka. Odwzorowanie było raczej mizerne, na poziomie szesnastowiecznych ludzkich map, ale wystarczało do skutecznej nawigacji. Co więcej, mapy były opisane.

Nie całe wprawdzie, bo wiele naniesionych chwiejnie oznaczeń poczyniono alfabetem przypominającym arabski, jednak niektóre nazwy oraz wskazówki żeglarskie skreślono po angielsku. Ludzkie były również cyfry. Wszystko to sugerowało, że grikowie dowiedzieli się od swoich brytyjskich „nauczycieli” o wiele więcej niż lemury. Ale przy ich metodach perswazji nie mogło być chyba inaczej...

- Madagaskar - powiedział w końcu Matt. - Wydaje się, że Bradford miał rację.

- Zapewne - stwierdziła Sandra. - Obecnie znajduje się w głębi imperium grików. Po prawdzie niemal każdy ląd przedstawiony na tej mapie zdaje się należeć do nich.

- Mają nieporównanie większe zaplecze niż my - dodał z niepokojem Garrett.

- Co z pozostałymi papierami? - spytał Matt, patrząc na Aldena, który przeglądał kartki

zszyte w coś na kształt książek o formacie dwanaście na dwanaście cali. Wypełniały je głównie atramentowe rysunki.

- Ten kapitan całkiem dobrze szkicował. Chyba że to jego pierwszy się tym zajmował. Rysował głównie zwierzęta, owady, krajobrazy. Może był naturalistą, jak Bradford, lecz na ich własny, pokręcony sposób.

Matt pokiwał głową i skinął na Shinyę, żeby rozwinął kolejną mapę. Obejmowała ona obszar od ujścia Gangesu do Wysp Kokosowych. Na zachodzie sięgała do Timoru i Formozy. Linia brzegowa Indochin Francuskich oraz Holenderskich Indii Wschodnich została narysowana dokładniej niż inne. Na wschodzie widniał zarys jakiegoś wielkiego lądu, ale Filipin nie było.

Światło było mdłe i kapitan oparł łokcie na blacie, żeby lepiej się przyjrzeć symbolom. Ciało boleśnie go za to upomniało. Nie wiedział, że ma aż tyle różnych mięśni.

- Proszę spojrzeć! - zawołał Alden, podsuwając jedną z książek.

Zaskoczona Sandra krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Matt tylko się roześmiał. Na pożółkłym papierze widniał stylizowany, ale rozpoznawalny rysunek USS *Walker*. Był nawet numer 163, widoczny na dziobie.

- Sukinsyn - rzekł Alden. - To musi być ten, który nam uciekł.

- Może - mruknął Matt. - Ale tak szybko znalazłby nowy zespół? Zastanawia mnie, ilu ich tu jest i jak często się kontaktują.

- Całkiem sporo - odezwała się Sandra, ponownie pochylając się nad mapą. - Spójrzcie. Wiele linii brzegowych zostało poprawionych, często nawet kilka razy. Jakby ci tutaj przeprowadzali zwiad i aktualizowali dane. I widzicie tę ciemną plamę? - Wskazała punkt na mapie. - Nie jestem nawigatorem, ale to chyba miejsce, gdzie wzięliśmy udział w obronie *Salissy*?

Garrett zmrużył oczy.

- To chyba plama krwi, kapitanie - powiedział. - A obok jest mała sylwetka niszczyciela! Gruba pozioma linia z czterema pionowymi kreskami. Pewnie chodzi o *Walkera*.

- Wygląda na krew - zgodził się Shinya. - Może zaznaczają w ten sposób miejsca walki. Tak czy owak na mapie jest więcej takich plam.

- Także w pobliżu Cilacapu - potwierdziła Sandra. - Pan Shinya może mieć rację. Widzę całe tuziny plam. Jeśli oznaczają walki, a sylwetka *Walkera* zdaje się to potwierdzać, muszą mieć sprawną wymianę informacji. Przecież ten jeden statek nie mógł brać udziału we wszystkich ani samodzielnie sprawdzić wszystkich brzegów.

- To znaczy... - zaczął Garrett.

- To znaczy, że to nie musi być ten, który nam uciekł - przerwał mu Matt. - Teraz pewnie już wszystkie ich zespoły wiedzą o *Walkerze*.

Zapadło nerwowe milczenie. Wszyscy rozważali skutki takiego stanu rzeczy.

- Dobrze - powiedział w końcu Matt, ponownie wskazując na mapę. - Bitwa tutaj, tam, siam. Przy każdej plamie widnieje symbol przypominający drzewo. Może tak oznaczają kołowaty? - Przesunął palec wzdłuż wybrzeży Borneo. - Nie ma nic przy Baalkpanie, może więc jeszcze nic nie wiedzą o umacnianiu miasta.

- Ale taki symbol jest przy Surabai - pokazał Shinya. - Brakuje jednak znaku, że doszło tam do walki.

- Na pewno nie na długo - mruknął Alden. - Ale ciekawi mnie, co mogą oznaczać te klinowate trójkąty.

Mimo panującego w kabinie gorąca Matt poczuł zimny dreszcz.

- Założę się, że to statki grików. A te kółka wokół nich oznaczają obszary operowania poszczególnych zespołów. Widzicie te trzy w Cieśninie Makasarskiej?

- Już ich tam nie ma - wtrącił Alden.

- Ale poza tym są wszędzie - stwierdziła Sandra. - Kilkadziesiąt na samym Morzu Jawajskim. To samo było na innych mapach, które przeglądaliśmy.

- Mój Boże - mruknął Garrett.

Alden prześledził rozkład plam bitewnych u brzegów Jawy i Sumatry. Nagle zeszywniał.

- Patrzcie! - zawołał, pokazując palcem na ślad widoczny obok wysp Banyak. Obok widniała kolejna gruba pozioma linia, ale tylko z trzema pionowymi kreskami. Matt przypomniał sobie nagle o tym kominie, który runął na żurawik łodziowy.

- *Mahan* - powiedział prawie bez tchu.

Sztorm ucichł w nocy i tylko fale były jeszcze trochę większe. *Salissa* unosiła się już normalnie na wodzie pod bezchmurnym błękitnym niebem. Na wielkim statku wszystko wróciło do normalności, na pokładzie zapanował porządek, a wszystkie wywiezione na plażę zapasy znalazły się z powrotem w ładowniach. Wciąż jeszcze wylewano za burtę wodę, którą obciążono statek, i ta praca miała jeszcze trochę potrwać. Konieczność częściowego zalania kadłuba budziła początkowo wielkie opory Matta, ale Keje sam zaproponował, żeby jego Dom odegrał rolę przynęty. W końcu zapewnił przyjaciela, że to nic trudnego ani nawet niebezpiecznego i że robią to regularnie.

Raz w roku zwykli czyścić dolne pokłady i osadzali w tym celu statek na piaszczystej mieliźnie, otworzywszy zawory denne. Po kilku dniach zamykali wszystkie otwory, usuwali

wodę i suszyli wewnątrz. Takie zabiegi uwalniały ich od gryzoni i robactwa, a także cuchnących resztek oleju.

Okresowe „zatapianie” statków było okazją do świętowania oraz rywalizacji w ściganiu uciekających na górne pokłady gryzoni. Nie można się ich było pozbyć całkowicie, ale przez jakiś czas były o wiele mniej liczne, a przestronne ładownie pachniały świeżością. Jednak żadne z wcześniejszych zatopień nie było obchodzone aż tak uroczyście, zwłaszcza odkąd ujrzeli na horyzoncie holującego przyz *Walkera*.

Przednie skrzydło *Salissy* nie zostało jeszcze podniesione, poza tym była jednak w idealnym stanie i bez trudu wyszła na otwarte morze, żeby przywitać sojusznika. Setki postaci tłoczyły się przy nadburciach i na skrzydłach, żeby pozdrowić niszczyciel wielkim krzykiem. Załadowano nawet wielkie działa, żeby oddać salut.

Walker odpowiedział syreną, a cała załoga wraz z piechotą morską i kadetami ustawiła się wzdłuż burt. To samo zrobiła załoga przyzowa, która przygotowała nawet banderę zawieszoną na kikucie masztu tuż nad czarno-czerwonym proporcem grików.

Keje po raz pierwszy pojął w pełni, czym właściwie jest bandera. Poczł dumę na jej widok, chociaż nie była jego znakiem, oraz trochę zazdrości. Postanowił, że pewnego dnia jego lud też będzie miał coś podobnego. Mieli całą masę symboli związanych z różnymi klanami i umieszczali je na tapiseriach wywieszanych w salach narad, brakło jednak czegoś, co zawsze mogliby nosić ze sobą. Dawnej prorokini Sika-Ta na pewno by się coś takiego spodobało. Amerykanie mieli swoją banderę, nawet grikowie używali proporców, i pora, żeby Lud też dorobił się własnej flagi.

Dla podkreślenia niezwykłości chwili z północnego zachodu nadleciała catalina i przemknęła z rykiem silników nad całym zespołem. Keje przyglądał się, jak zakręca i zwolniwszy lot, osiada miękko na falach. Widok był tak niezwykły i piękny, że aż dech zapierał. Wstawał naprawdę wielki dzień!

Kołyszący się na fali *Walker* opuścił motorówkę, która kilka chwil później przybiła do burty *Salissy* pełna pasażerów wyciągających już ręce do opuszczonych dla nich sieci. Na pokładzie czekała na nich drużyna honorowa marines, były też kościane gwizdki zrobione na wzór bosmańskich.

Kapitan Reddy zasalutował zwrócony w kierunku rufy, jak zawsze to robił, i Keje raz jeszcze pożałował, że nic tam nie powiewa. Niemniej chętnie oddał salut i serdecznie objął przyjaciela.

- Niepokoiliśmy się o ciebie, bracie - powiedział.

- A my o was - odparł Matt. - Chociaż ani przez chwilę nie wątpiłem w rezultat waszej

walki.

- Tak byłeś nas pewien? - spytał ze śmiechem Keje. - Ja nie całkiem. Dopiero gdy działa przemówiły... To było wspaniałe!

Matt też się uśmiechnął, zaraz jednak spoważniał.

- Jaka była cena zwycięstwa?

Keje tylko wyszczerzył zęby i pozwolił, żeby Jarrik odpowiedział za niego.

- Żadna. Nie ponieśliśmy strat, panie. Wszystko poszło bardzo łatwo. Oni zginęli, a nasi nie musieli nawet dobywać oręża.

- Cieszy mnie to - stwierdził Matt. - Zwłaszcza że my mamy sporo ofiar. Niestety. Ale marines sprawili się należycie.

- Oczywiście, że macie ofiary - powiedział ze współczuciem Keje. - Wam było trudniej, ale ci, którzy zginęli, znajdą honorowe miejsce u boku Stwórcy i swych przodków!

- Oczywiście.

- A teraz powiedz, czego się dowiedzieliście - rzekł Keje, niecierpliwie zacierając dłonie.

Matt zmusił się do uśmiechu i spojrzał na otaczający ich tłum.

- Musimy porozmawiać, Keje-Fris-Ar - powiedział półgłosem. - Może lepiej na osobności, żeby nie popsuć innym święta.

- Miałeś rację, że nie chciałeś mówić tego przy wszystkich - westchnął Keje, kręcąc głową. - To tak, jakby niebo zważyło mi się na głowę. - Siedział na swoim ulubionym stołku przy prostym stole w wielkiej sali *Salissy*. Przed nim leżała jedna z map grików i Keje cierpiał na samą myśl, że wytwór tych potworów spoczywa na gładkim drewnie jego mebla. Pozostałe stołki zajęli Matt, porucznik Tucker, Garrett i sierżant Alden.

Płonący świętym oburzeniem Adar pochylał się nad mapą.

- To bluźnierstwo! - syknął. - Niewyobrażalne bluźnierstwo! Oni plugawią Niebiosą samym swoim istnieniem... Te przeklęte przedmioty muszą zostać spalone! Zniszczone co do jednego! Jak oni mogli ukraść dar Wiedzy o Ścieżce Gwiazd... I co zrobili z tą wiedzą? To gwałt! Niesłychany gwałt... - W końcu zabrakło mu słów.

- Jasne, że będziesz mógł je zniszczyć - powiedział zaniepokojony Matt. - Ale najpierw spróbujmy dowiedzieć się z nich, ile tylko można.

Kapłan spojrzał na niego ostro.

- Kapitanie Reddy! - wykrzyknął takim tonem, jakby właśnie usłyszał o kolejnej herezji. - Zbadajcie je dokładnie. Zróbcie co w waszej mocy, żeby zniszczyć te obrzydliwe i złe do kości istoty. Gdy już tego dokonacie, spalimy to wszystko, ja zaś nie spocznę do dnia, kiedy

uda się to przeprowadzić.

- Jeśli tak, to w najbliższych latach nie zaznasz wiele snu - westchnął Keje i spojrzał błagalnie na Matta, jakby szukał pociechy, zapewnienia, że nie jest aż tak źle, jak wynika ze zdobytych materiałów. - Powiedziałeś, że te trójkątne symbole oznaczają ich statki? Zapewne setki ich statków?

- Tak uważamy. Ich strategia wydaje się obecnie jasna. To podbój. Wyjaśniło się też, dlaczego przy tak wielkim potencjale czynią jednak względnie powolne postępy. Wasi przodkowie mieli rację. Oni boją się wody. - Wskazał na mapę, gdzie w miejscu Oceanu Indyjskiego widniał duży rysunek groźnej ryby. Poza nią nie było nic, nie zaznaczono nawet żadnej ze znajdujących się na tym oceanie wysepek.

- To chyba ich wersja ostrzeżenia, że tam mogą być potwory - mruknął Garrett.

- Morze Zachodnie jest wielkie, głębokie i naprawdę żyją w nim potwory - powiedział Adar. - To dlatego grikowie trzymają się blisko lądu. Prowadzą podboje, ale boją się oderwać od linii brzegowej. Dlatego tak wiele czasu im zabrało dotarcie tutaj.

- Otóż to - przytaknął Matt. - Wcześniej opanowali chyba wszystkie tereny przylegające do... Morza Zachodniego. Włącznie z Singapurem, chociaż to chyba względnie nowy nabytek. Największą koncentrację sił widać wokół Cejlonu. Symbol drzewa zdaje się wskazywać znane im osiedla Ludu. Przy kilku są krwawe plamy. Sądzymy, że oznaczają w ten sposób miejsca, gdzie rozegrała się jakaś bitwa.

Keje przebiegł spojrzeniem po ciemnych plamach.

- Drzewo - powiedział w końcu. - Jesteśmy dla nich drzewem. To bardzo stosowne i... niestosowne zarazem. Powiadasz, że znaleźliście też ludzką czaszkę? - Matt skinął głową. - Przykro mi to słyszeć, ale skąd mogła się tam wziąć?

- Tak samo jak wszystkie. Dopadli kogoś, kogo zjedli.

- Saak-Fas widział tego człowieka?

- Owszem - odparł Matt. - Opisał go na tyle dokładnie, że bez wątplenia chodziło o człowieka. Nie wiedział jednak, gdzie ani od kogo go przejęli.

- Ale jak w ogóle trafił w ich łapy?

- Nie wiemy. - Matt wskazał na mapę. - Owszem, mieli kontakt z *Mahanem*, ale z tego, co znaleźliśmy, wynika, że zdobyty przez nas statek nigdy się nawet nie zbliżył do jego pozycji.

- Sądysz, że ten człowiek mógł pochodzić z innego statku?

- Niewykluczone.

- A co z *Mahanem*? Uważasz, że mogli go opanować? - spytał Keje.

Matt wzruszył ramionami.

- Na pewno będą go szukać albo już szukają.

- Nie mogą go dostać! - zawołał Adar. - Gdyby przejęli te moce, którymi wy dysponujecie...

- Nie mogą go dostać - zgodził się Matt.

- Ale co zrobisz? Co wszyscy musimy zrobić? - Po raz pierwszy, od kiedy Matt poznał Kejego, wyglądał on na przerażonego.

- Dwie rzeczy - stwierdził kapitan. - Po pierwsze, potrzebujemy pomocy. Baalkpan już się zaangażował, ale oni nie mogą po prostu odpłynąć. Koniecznie musimy nakłonić do współpracy inne pływające domy. Nie wiem, jak to zrobić przy tylu izolacjonistach. Poza tym proponuję zapomnieć o starych waśniach i pojednać się z tymi z Surabai. Wydaje się, że jest następna na liście. Przeciwnik nie wie na razie o Baalkpanie, ale to nie potrwa wiecznie. Statki, które grikowie wysłali w celu mapowania tych okolic, nie wrócą, więc wyślą kolejne. Jeśli pomożemy Surabai, wzmocnimy naszą obronę i być może zyskamy sojusznika.

- A druga sprawa?

- Musimy znaleźć *Mahana* - powiedział Matt z ponurą determinacją. - Musimy to zrobić, nim grikowie go dopadną. Albo go zniszczyć, jeśli już jest w ich rękach.

- Nigdy nie sądziłem, że oni mogą być tak liczni - powiedział Keje, który nie otrząsnął się jeszcze z szoku po usłyszeniu najważniejszych nowin. - Te mapy pokazują lądy, o których nic nie wiedzieliśmy. Obecnie są one we władaniu zła. Wczoraj odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Naprawdę wielkie, a przynajmniej tak nam się wydawało. Teraz widzę, że w porównaniu z tym, co nas czeka, była to tylko marna potyczka. Niczego nie osiągnęliśmy! Walka dopiero się zaczyna. - Wskazał na niewidoczny przez burty przysłaniający się niedaleko *Salissy*. - Razem zniszczyliśmy dziesięć ich statków tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak niewielka to część ich floty! Na dodatek byli to jedynie zwiadowcy. - Uderzył pięścią w blat. - Wysłani nie do walki, ale do rysowania map!

- Owszem, nie wygląda to dobrze, ale zwycięstwo pozostaje zwycięstwem - zauważył Matt. - Wiemy już, z kim walczymy, a to więcej, niż oni mogą wiedzieć. Więcej, niż my kiedykolwiek wcześniej wiedzieliśmy.

- Taka walka - prychnął Keje. - Przyjdą i trafią na zdeorganizowany tłum, od którego i tak będą dziesięć razy liczniejsi.

- Nie! - rzucił ostro Matt, zrywając się ze stołka. - Trafią na żołnierzy. Odważnych i zdeterminowanych żołnierzy. Na ich statek weszliśmy tylko połową tych sił, które były wyznaczone do walki. Z mojej winy. Oni mieli przewagę cztery do jednego, ale zabiliśmy ich

dziesięć razy więcej, niż sami mieliśmy ofiar, i to walcząc na ich modłę. Natkną się też na działa, które będą dla nich bardzo niemiłą niespodzianką. Oraz na *Walkera*, który będzie was chronił, jak długo utrzyma się na wodzie. Widziałem już sporo zła, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie zetknąłem się jednak z niczym podobnym do potworności wnętrza tego statku. Jesteśmy przyjaciółmi i sojusznikami od dnia, kiedy się spotkaliśmy, ale szczerze mówiąc, żałowałem czasem, że uwikłałem moich ludzi w waszą wojnę. Tak o niej myślałem: wasza wojna. Czuję się trochę jak najemnik, a moi ludzie nie pisali się wcześniej na coś takiego. Jednak po wczorajszym dniu to także już nasza wojna. I to wcale nie z powodu ludzkiej czaszki, którą znaleźliśmy w kabinie kapitana - dodał i usiadł.

- Zostaje więc nam zdecydować, czy będziemy tu siedzieć i biadolić, czy może weźmiemy się do roboty - powiedział z wilczym uśmiechem Adar.

Matt pomyślał, że chyba wreszcie go pozyskali. Co i dobrze, bo miał on zapewne lepsze kontakty z innymi domami niż Keje.

Keje jednak nie otrząsnął się jeszcze w pełni ze wstrząsu.

- A czy ty nie poczułeś się przytłoczony, gdy dotarło do ciebie, z jak wielką siłą masz do czynienia? - spytał, pochylając się nad blatem.

Matt pomyślał, że przez poprzednie sześć miesięcy codziennie czuł coś takiego, jednak teraz było inaczej. Wprawdzie walec wciąż nadciągał, a jego trójkołowy rowerek złapał właśnie gumę, ale przynajmniej nie miał już opaski na oczach.

- Tak czy owak biadolić nie będę! - oznajmił Keje.

Matt stał wraz z Sandrą przy burcie *Salissy* i oparty o reling obserwował zachód słońca. Świętowanie zwycięstwa trwało w najlepsze. Mieli jeszcze czas, żeby się poważnie zastanowić nad tym, co ich czeka. Na razie była pora na radość. Zasłużyli na nią. Adar zaklinał się, że pogoda będzie przez kilka dni dobra, Matt nie odesłał więc cataliny do Baalkpanu. Maszyna unosiła się na łagodnych falach schowana przed wiatrem za wysoką burtą *Salissy*. Bradford skrócił swoje safari. Mimo znacznych rozmiarów jaszczury bardzo trudno było wytropić - zwłaszcza że przewodnicy Australijczyka otrzymali od Nakii wyraźne polecenie, żeby nie prowadzić gościa tam, gdzie naprawdę może coś być. Przyleciał samolotem i obecnie badał przyz razem ze Spankym, bosmanem i grupą akolitów Adara. Nieco dalej przesuwał się powoli *Walker*, oświetlony świętecznie od dziobu po rufę, ale poza tym na służbie. Jak zawsze i wszędzie.

Matt zamrugał i rozejrzał się. Byli sami na sporej połaci pokładu. Wcześniej towarzyszyli im Keje, Garrett, Pete i Jarrik, ale ulotnili się gdzieś bez słowa. Dziwne. Matt i Sandra od

dłuższej chwili też nie rozmawiali, ciesząc się prywatnością.

- Smutno mi z powodu Chacka - powiedziała w końcu Sandra, - Tak, i córki Kejego też mi żal. Gdy zobaczyła Chacka, myślała już pewnie o weselnych dzwonach.

- Ona ma na imię Selassa - przypomniała mu Sandra. - Rozmawiałam z nią, nim wypłynęliśmy z Baalkpanu, i opowiedziała mi, jak poróżniła się kiedyś z Chackiem i jak bardzo teraz na niego liczyła. Zastanawiała się, co postanowi. - Wzruszyła ramionami. - Nie potrafiłam jej powiedzieć. Teraz... nie będzie miała łatwo. Kocha go, ale nie może z nim być, cokolwiek on by postanowił.

- Dlaczego? Myślałem, że oni zawierają związki i rozwodzą się bez większych ceregieli.

- Czasem tak, ale pewne sytuacje traktują chyba nadzwyczaj poważnie. Zwłaszcza gdy chodzi o chorobę. Selassa nie może się rozstać z Saakiem, póki on nie wyzdrowieje, co pewnie nigdy nie nastąpi. Chyba że Saak umrze.

To była scena, która łapała za serce. Selassa przywitała radośnie Chacka, gdy wszedł na pokład, zaraz potem jednak wciągnięto Saak-Fasa. Otrzymała odpowiedź, lecz całkiem inną, niż oczekiwała, Chack zaś powlókł się przed siebie i zniknął w tłumie, chociaż Selassa wołała jego imię.

Nagle Sandra zachichotała.

- A widziałeś, jak Risa tuliła się do Silvy przy powitaniu? I to przy wszystkich. Jeśli nie przestaną, ludzie naprawdę uwierzą w to małżeństwo. Chyba posuwają się za daleko. Mogą napytać sobie biedy. Poza tym nie przypuszczam, żeby Silva aż tak lubował się w żartach. Odkuś się już na Chacku. Teraz wygłupia się już chyba tylko dla rozgłosu.

Matt jęknął, przypomniawszy sobie to żenujące przedstawienie.

- Nie chcę nawet o nim słyszeć! Dostał zakaz opuszczania okrętu na całą resztę życia. Zobaczmy, jak w tej sytuacji ułoży sobie życie rodzinne.

Znów zapadła cisza, którą ponownie przerwała Sandra, jednak tym razem się nie uśmiechała.

- Zastanawia mnie, co Chack zamierzał Selassie powiedzieć? Czy się zdecydował. Czy może chciał jej powiedzieć to, co ty powiedziałaś mi wczoraj?

- Co? - Matt spojrzał na nią zmieszany. - To, że jesteś idiotką?

Sandra parsknęła śmiechem, ale łzy napłynęły jej do oczu. Matt nawet nie sprawdził, czy ktoś ich widzi, tylko wziął ją w ramiona.

- Nie wiem, co chciał powiedzieć. To nie moja sprawa. Ale kocham cię, Sandro Tucker. - Pocałował ją w czoło, ona zaś przytuliła się do niego.

- I ja cię kocham - szepnęła w jego pierś. Czuł jej ciepły oddech na mokrym od łez

ubraniu. - Ale co teraz zrobimy?

- Co masz na myśli? - spytał gardłowo Matt. - Czy wygramy? Czy znajdziemy innych ludzi? Czy w ogóle uda nam się przetrwać? - Łagodnie uniósł podbródek Sandry, żeby spojrzeć jej w oczy. - Czy zawsze będzie tak jak teraz? - Pocałował ją delikatnie w usta, a ona odwzajemniła pocałunek, aż przeszedł go dreszcz. Przez długą chwilę trwali tak razem, czerpiąc z siebie nawzajem siły. Potem odgarnął jej włosy i pocałował mokry od łez policzek. - Cóż - westchnął - ale to już całkiem inna historia, prawda?

Kawałek morza dalej około dziesięciu ludzi stało opartych o reling obok działa numer trzy. Mieli tylko dwie lornetki i podawali je sobie z rąk do rąk.

- Najwyższy czas - mruknął Silva.

- No - zgodził się Felts. - Do dzieła, skipper!

Silva spojrzał na Laneya.

- Zapaliłbym - powiedział.

Stojący w rozsądnej odległości od relingu Laney podał mu niechętnie dwa wymięte papierosy. Obecnie były one bardziej środkiem płatniczym niż używką i nikt już ich nie palił. Do teraz. Silva podzielił się z Feltssem i wyciągnąwszy zapalniczkę Zippo, podał mu ogień. Zaciągnęli się głęboko.

- Czego się tak cieszycie? - spytał Laney, patrząc, jak jego niedawna własność idzie z dymem. Niestety przegrał zakład. - Na całym tym cholernym świecie są tylko dwie kobiety i obie już zajęte!

Silva spojrzał na Feltsa i wzniosł oczy do nieba.

- Ci z dołu słabują na umyśle - powiedział. - Brak światła rzuca im się na głowy. Ale niektórzy są głupszy niż inni. Bo widzisz, to idzie tak. Skipper i porucznik Tucker dostali kota na swoim punkcie i wszyscy to widzieli, chociaż nikt głośno o tym nie wspominał. Oni zaś nie zrobią niczego, póki nie znajdą kobiet dla nas wszystkich. - Pokręcił głową. - Głupie, ale może przez to bardziej będą się starali, nie uważasz?

Po chwili Laney uśmiechnął się i też sięgnął po papierosa.

W końcu lornetka trafiła do Myszowatych. Nikt nie wiedział, po co właściwie przyszli. Na pokładzie było przecież chłodno, mogli się więc przeziębic i umrzeć. Poczekali jednak na swoją kolej, spojrzeli i odczłapali na dół.

- Może moglibyśmy poślubić którąś z miejscowych, tak jak Silva? - zdumiał się Gilbert.

Isak pokręcił głową.

- Nie da się. Skipper powiedział Silvii, że anodował jego małżeństwo. Czy jakoś tak.

- Nie wiedziałem, że małżeństwo można anodować - zadumał się Gilbert.

- A jednak.

Gilbert spojrział na Silvę, przekrzywiając głowę.

- No i po ptokach - stwierdził.

OD AUTORA

Wszystkie „ludzkie” okręty wspomniane w tej książce istniały naprawdę. 27 lutego 1942 roku stary *Langley*, pierwszy amerykański lotniskowiec, został śmiertelnie ugodzony przez japońskie samoloty, gdy przewoził myśliwskie P-40 na Jawę. W nocy z 28 lutego na 1 marca krążowniki *Huston* i *Perth* natknęły się na zespół trzech japońskich krążowników w asyście dziewięciu niszczycieli, które ochraniały grupę transportowców. Oba alianckie okręty zostały zatopione podczas epickiej bitwy w Cieśninie Sundajskiej. Niestety, jedyny okręt we Flocie Azjatyckiej, który miał radar, krążownik *Boise*, został odesłany do Stanów po tym, jak wszedł na rafę. Japończycy też nie mieli radaru, ale wcześniej uzyskali panowanie w powietrzu. 1 marca 1942 roku *Pope*, *Exeter* i *Encounter* zostały zatopione przez połączone siły japońskie, w tym cztery ciężkie krążowniki. Alianckie okręty próbowały uciec z Surabai na Cejlon (obecnie Śri Lanka). Pominąwszy to, że lekko udramatyzowałem tę historię, wszystko przebiegało tak, jak to opisałem. Wszystko poza tym, że nie było tam ani *Walkera*, ani *Mahana*, ani *Amagiego*.

Gdyby jednak oba niszczyciele i japoński krążownik liniowy były tam obecne, na wynik walki nijak by to nie wypłynęło. *Pope*, *Exeter* i *Encounter* tak samo spoczęłyby na dnie, gdyż dysproporcja sił była zbyt wielka. Po prostu w ich pobliżu spoczywałyby jeszcze dwa rdzewiejące wraki, a książki historyczne podawałyby trochę dłuższą listę ofiar.

Niemniej zarówno *Walker* i *Mahan*, jak i *Amagi* istniały naprawdę. Ten ostatni został zaprojektowany jako olbrzymi krążownik liniowy o wyporności 47 tysięcy ton, długi na ponad 251 metrów i na ponad 30 szeroki, z dziesięcioma działami kalibru 406 milimetrów. Miał być potężniejszy niż ówczesne pancerniki i niewiele ustępował o wiele późniejszym amerykańskim okrętom liniowym typu „Iowa”. Po wojnie miano go przebudować na lotniskowiec i zapewne by do tego doszło, lecz jego kadłub został poważnie uszkodzony przez trzęsienie ziemi i w 1922 roku rozebrano go na pochylni.

Historia *Walkera* i *Mahana* jest nieco bardziej złożona. Podczas pierwszej wojny światowej i zaraz po niej zbudowano w Stanach Zjednoczonych ponad 270 takich czterokominowych niszczycieli. Prace przy nich postępowały bardzo szybko (czasem od położenia stępki do wodowania miały tylko dwa tygodnie) i nie miały pływać dłużej niż trzydzieści lat. Niektóre faktycznie wycofano po tym czasie, reszta jednak, chociaż

przestarzała już w momencie wprowadzenia do służby, doczekała się drugiej wojny światowej i wzięła w niej czynny udział.

Wiele zniknęło ze składu floty po ratyfikowaniu traktatu waszyngtońskiego, który ograniczał tonaż poszczególnych klas jednostek. Wpakowane wówczas „w naftalinę” czterofajkowce wracały potem niekiedy do służby także w charakterze ćwiczebnych celów, inne wykorzystano na części albo po prostu złomowano. Kilka sprzedano nawet armatorom cywilnym, u których pływały jako statki handlowe (jeden z nich woził potem banany). Pięćdziesiąt darowano czy sprzedano na początku drugiej wojny Wielkiej Brytanii. Te, które przetrwały kolejne zmagania, bywały unowocześniane albo przebudowywane na trałowce, szybkie transportowce, niszczyciele eskortowe, tendry lotnicze i tak dalej.

Gdy japońskie bomby spadały na Pearl Harbor, nawet najbardziej konserwatywni oficerowie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych musieli przyznać, że czterofajkowce są przestarzałe, jednak i tak zdecydowano się ich użyć. Nie, że bym ich krytykował, daleki jestem od tego. Po prostu sięgnęli po to, co mieli. Po konferencji waszyngtońskiej Kongres długo obcinał fundusze US Navy, co sprawiło, że tak zwana Flota Azjatycka mogła w potrzebie przeciwstawić przeciwnikowi niemal wyłącznie antyki. Musiała zaś stawić czoła nowoczesnej i chyba najpotężniejszej wtedy flocie na świecie.

Walker i *Mahan* zostały przedstawione w tej książce jako dwie takie właśnie sieroty traktatu, jednak w naszej rzeczywistości nie dotrwały w służbie do drugiej wojny światowej. Po szesnastu latach na kotwiczowisku *Walker* został przebudowany na sterowany radiem okręt cel. Zatonął w tej roli siedemnaście dni po Pearl Harbor. *Mahan* trafił w 1931 roku do stoczni złomowej. Co ciekawe, oba wzięły udział przynajmniej w jednym doniosłym wydarzeniu - w maju 1919 roku służyły jako okręty pomocnicze podczas historycznego transatlantyckiego przelotu łodzi latających Curtissa zorganizowanego przez US Navy. Żaden jednak nie wziął udziału w walce, póki ja ich do niej nie posłałem.

Jeśli żyją jeszcze jacyś marynarze z DD-102 i DD-163, winien im jestem szacunek oraz wdzięczność i w żaden sposób nie podważam ich zasług związanych ze służbą na tych okrętach. Mam raczej nadzieję, że wraz ze mną zastanowią się, co by było gdyby. Jak wspomniał kapitan Reddy, jest to pytanie, które dręczy wszystkich historyków, nawet jeśli się do tego nie przyznają.

BRONTOZAURY I INNE STWORZENIA

Akcja tej powieści została oczywiście osadzona w alternatywnym uniwersum. Koncepcja światów równoległych jest od dawna wykorzystywana w literaturze fantastycznej, chociaż zapewne jeszcze ciekawsze są obecne naukowe dysputy, czy takie światy rzeczywiście mogą istnieć. Niestety nie mogłem wykorzystać żadnej z nich, pisząc tę książkę. Opisane w niej zjawiska musiały być postrzegane z punktu widzenia kogoś żyjącego na początku lat czterdziestych i raczej niezbyt wykształconego, tak jak większość załóg Floty Azjatyckiej. Mam nadzieję, że udało mi się zrealizować to założenie.

W odróżnieniu od wielu opowieści opartych na takim lub podobnym założeniu, ten wszechświat jest bardzo odmienny od naszego, bo zwyciężyła w nim całkiem inna linia ewolucyjna niż nasza. Dinozaury zostały opisane w tej książce w sposób trochę bardziej złożony, niż jej bohaterowie mogliby je postrzegać. Obecnie wiemy o tych stworzeniach o wiele więcej niż w czasach, kiedy byłem dzieckiem. W porównaniu z ludźmi z 1942 roku wręcz toniemy w zalewie informacji. Tak więc nim ktoś zacznie wymyślać mi od idiotów, którzy nie wiedzą, że nie było nigdy takiego zwierzęcia jak brontozaur, niech pomyśli, że z punktu widzenia tamtych ludzi sprawa wyglądała inaczej.

Książki mojego dzieciństwa opisywały dinozaury jako podobne do jaszczurów bestie, które włóczyły się z miejsca na miejsce, ciągnąc za sobą ciężkie ogony, albo spędzały większość dnia w wodzie, były bowiem zbyt ciężkie, żeby tylko o własnych siłach utrzymać się dłużej na nogach. Najfajniejszy z nich był tyranozaur, gdyż miał mnóstwo zębów i przez ogon, wielki jak trzecia noga, mógł stać prosto jak człowiek. Ale jeśli ktoś wspomniał gdzieś o dinozaurach, pierwszym skojarzeniem był właśnie brontozaur.

Teraz wiemy, że to było zwykłe oszustwo, czaszka dodana do zdekapitowanego szkieletu apatozaura. Jednak w 1942 roku było inaczej, wówczas każdego wielkiego gada porównywano właśnie do brontozaura i mógł to czynić nawet tak zapalony naturalista jak Bradford.

W naszym świecie dinozaury wymarły jakieś 65 milionów lat temu. W świecie powieści stało się inaczej, na dodatek ocalałe tam istoty miały jeszcze wiele milionów lat na dalszą ewolucję. Trudno byłoby przecież oczekiwać, że zatrzymają się na poziomie opisywanych przez współczesnych naukowców skamielin. Zmieniła się również flora i w ogóle cała

ekosfera, trochę nawet geografia. Czas „wielkiego wymierania” jest w tym wypadku punktem zwrotnym, w którym oba światy się rozdzieliły, chociaż w obu zdarzały się takie zjawiska jak epoki lodowcowe, powodzie i jeszcze inne kataklizmy. Przyjąłem jednak, że „brontozaury” mało by się zmieniły i załoga niszczyciela miałaby szansę je zobaczyć.

Były stworzeniami zdumiewająco dobrze zaadaptowanymi do środowiska, w którym żyły. Natura od początku próbowała je czymś zastąpić, ale coś jej nie wychodziło. Skrzyżujcie żyrafę ze słoniem i otrzymacie to, o co chodzi. Póki miały dużo zieleni do jedzenia, brakło im powodu, żeby się zmieniać. Owszem, w dżunglach Indonezji osiągałyby zapewne trochę mniejsze rozmiary niż w Afryce. Jest nawet dowód, że sauropody, jak i stworzenia, które na nie polowały, były zwykle mniejsze w porośniętych dżunglą częściach świata.

Griki wywodzą się od jednego z wielu gatunków niezbyt dużych drapieżników zwanych potocznie raptorami. Były bardzo agresywne, zapewne dość zmyślne i przypuszcza się, że mogły polować w stadach. Jeśli tak, oznaczałoby to zdolność współpracy i tym samym zaczątek zachowań społecznych. Niezależnie od rozmiarów cechy te mogły wywindować je na sam szczyt drabiny ewolucyjnej.

Morza w tej książce są pełne wrogich form życia z wielu powodów, przede wszystkim jednak dlatego, że żyjące w nich 65 milionów lat temu stworzenia śmiertelnie mnie przerażyły. Wyobraźnia dopowiedziała, jak straszne by się stały, gdyby miały więcej czasu. Poza tym na to, co pływa w wodzie, o wiele trudniej się poluje.

Nie zmienione w tamtym świecie pozostały niemal wyłącznie krokodyle, rekiny oraz wspomniane już mityczne brontozaury. Rekiny i krokodyle mimo wielu kataklizmów zdołały przetrwać do dziś. Sądząc po takiej wytrzymałości, przypuszczam, że poradziłyby sobie także w tamtym, bardzo agresywnym ekosystemie.

Gdy mowa zaś o konkurencji, można się jeszcze zastanowić, jak radziłyby sobie ssaki. Wedle niektórych naukowców zapewne nie za dobrze. W tropikalnych regionach zamieszkałych przez grików miałyby szansę przetrwać na tyle długo, żeby rozwinąć rozum, jedynie na odizolowanych obszarach, jak Madagaskar. Gdyby nasz przodek narodził się wtedy w Afryce, nie pożyłby długo. Można mieć tylko nadzieję, że okazałyby się trudną zdobyczą.

A chłodniejszy klimat? Cóż, załoga niszczyciela, która przeszła przez szkwał, poznała na razie tylko skrawek świata, w którym się znalazła. Względnie odizolowany i na dodatek jednorodny. Jakie odkrycia mogą ich czekać, gdy zapuszczą się dalej? I co jeszcze może z tego wyniknąć?